REMIGIUSZ MRÓZ
Show must go on
CHYŁKA
REWIZJA
SERIAL DOSTĘPNY W:
player

REWIZJA

REMIGIUSZ MRÓZ

REWIZJA

CZWARTA STRONA

Copyright © Remigiusz Mróz, 2016
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2016

Redaktor prowadząca: Monika Długa
Redakcja: Karolina Borowiec
Korekta: Alicja Wojciechowska / panbook.pl
Projekt okładki: Mariusz Banachowicz
Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl
Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Wydanie elektroniczne 2016

eISBN 978-83-7976-398-6

CZWARTA STRONA
Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel.: 61 853-99-10
fax: 61 853-80-75
redakcja@czwartastrona.pl
www.czwartastrona.pl

Nemo iudex in causa sua.
– Nikt nie jest odpowiednim sędzią
we własnej sprawie.

Piotrowi M.
Kiedy wracasz z Frankfurtu, stary?

Rozdział 1

1
Arkadia, al. Jana Pawła II

Mężczyzna trwał w bezruchu na środku korytarza, jakby znajdował się w innym świecie. Klienci omijali go mechanicznie, nikt nie zwracał na niego uwagi. Nikt oprócz kobiety siedzącej w niewielkim boksie, w którym udzielała porad prawnych.

Gdy kończyła studia, przez myśl jej nie przeszło, że kiedyś będą istniały takie miejsca. Ale wówczas blisko stu adwokatów nie było zarejestrowanych w urzędach pracy jako bezrobotni. Dziesięć lat temu aplikację kończyło raptem sześć tysięcy osób, teraz czternaście tysięcy. Rynek został przesycony i nie było na nim miejsca dla prawników, którzy zaprzepaścili swoją karierę.

Joanna Chyłka wiedziała, że powinna cieszyć się z pracy w boksie. Była upokarzająca, ale biorąc pod uwagę okoliczności, stanowiła też uśmiech losu. Po numerze, jaki wycięła ostatniemu klientowi jeszcze jako jedna z najlepszych prawniczek kancelarii Żelazny & McVay, żadna szanująca się firma jej nie zatrudni.

Sprzeniewierzyła się korporacyjnym zasadom, ale przynajmniej zachowała czyste sumienie. Było warto. Teraz mogła ze spokojem kasować czterdzieści dziewięć złotych za prostą poradę w sprawach rodzinnych czy spadkowych oraz prawie trzy stówy, jeśli w grę wchodził proces.

Wprost wymarzona sytuacja.

Chyłka skupiła wzrok na mężczyźnie, którego ktoś nieświadomie trącił. Nieszczęśnik potrząsnął głową, jakby dopiero teraz zrozumiał, gdzie jest. Opuścił rękę wzdłuż tułowia i Joanna dostrzegła, że trzyma komórkę.

Najwyraźniej miał jeszcze gorszy dzień od niej. Cokolwiek usłyszał przez telefon, musiało wywrócić jego życie do góry nogami. Mimo nieco ciemniejszej karnacji, twarz mężczyzny była trupioblada.

Powiódł nierozumiejącym wzrokiem wokół i nagle wychwycił spojrzenie prawniczki z boksu.

Chyłka poprawiła się na obrotowym stołku, który był bardziej niewygodny niż krzesło dla gości w jej dawnym gabinecie. Z rozrzewnieniem wspominała tamte warunki. Jeszcze kilka miesięcy temu pracowała w spokoju i wszyscy w firmie wiedzieli, by nie nękać jej bez powodu. Tutaj co chwilę zjawiali się upierdliwcy, którym szkoda było pięciu minut na sprawdzenie czegoś w Google, ale nie szkoda było pięciu dych na poradę prawną.

Większość przypominała tego pobladłego mężczyznę. Nikt nie przychodził do punktu porad prawnych, jeśli miał choć chwilę, by się nad tym zastanowić. Korzystali z niego ci, którzy obudzili się z ręką w nocniku. Ot, choćby tacy, którzy poszli po pęto kiełbasy do pobliskiego Carrefoura i po drodze przypomnieli sobie, że jest trzydziesty kwietnia i mija termin złożenia deklaracji PIT-37.

Tych z siatkami wyładowanymi kiełbasą, cebulą, serami pleśniowymi czy rybami Chyłka szybko odprawiała, kasując swoją standardową stawkę. Pozostałym poświęcała tylko minimalną uwagę – i to wyłącznie, jeśli była trzeźwa, co zdarzało się coraz rzadziej.

Spojrzała na trwającego w bezruchu klienta, a potem nabrała tchu. Podniosła się ze swojego miejsca, opuściła boks i zamknęła za sobą ladę. Skierowała się w stronę mężczyzny.

Minęła go i ruszyła do Carrefoura. Przeszła na dział z alkoholami, wybrała małpkę absoluta i paczkę pistacji, po czym udała się do kasy. Była to jej stała trasa. Po zrobieniu zakupów szła na pierwsze piętro i wchodziła do toalety przy Springfieldzie, z której korzystało najmniej osób. Zamykała się w kabinie, piła, a potem wracała do boksu.

Joanna opróżniła buteleczkę dwoma łykami, zakręciła ją i schowała do kieszeni żakietu. Poprawiła się przed lustrem, po czym zjechała schodami na parter. Idąc do punktu porad, zobaczyła, że pobladły mężczyzna przysiadł na ławce i zwiesił głowę.

Chyłka zaklęła w duchu i zatrzymała się obok.

– Kurs franka poszedł w górę? – bąknęła.

Kiedy rozbitek życiowy podniósł spojrzenie, przekonała się, że ma romskie rysy twarzy. Popatrzył na nią nierozumiejącym wzrokiem i Joanna dostrzegła, że trzęsą mu się usta.

– Nie, nie ten kaliber – oceniła. – Poza tym Cyganie chyba nie biorą kredytów. Jak wam brakuje pieniędzy, po prostu czekacie na kogoś w ciemnym zaułku i…

– Czego pani chce? – przerwał jej mężczyzna.

Dobre pytanie, pomyślała Joanna. Zatrzymała się przy nim bezrefleksyjnie, choć zapewne tkwiła w tym jakaś podświadoma motywacja. Chyłka chciałaby myśleć, że to altruizm, ale obawiała się, że jest zupełnie inaczej – zwyczajnie miała ochotę porozmawiać z kimś, kto ma bardziej gówniane życie niż ona.

– Zauważyłam, że coś z panem nie tak, więc podeszłam – odparła.

Wydawało jej się, że Cygan nie rozumie, co ona do niego mówi. Patrzył na nią, ale jakby na przestrzał, jakby próbował się skupić na czymś za nią.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

Usta zatrzęsły mu się jeszcze bardziej.

– One nie żyją… – wydukał.

– Kto nie żyje? – zapytała Chyłka.

Jeśli kogoś zabił, bez procesu się nie obejdzie. Joanna skasuje trzysta złotych i być może wystarczy na… Nie, właściwie na nic nie wystarczy. Podczas długoletniej kariery w Żelaznym & McVayu zarobiła krocie, ale nadal spłacała kredyt na nowe mieszkanie. W dodatku jakiś czas temu wydała fortunę na naprawdę swojej iks piątki, która zasadniczo nadawała się do kasacji.

Jej finanse były w opłakanym stanie i jeden Cygan z pewnością nie mógł tego zmienić. Ale ziarnko do ziarnka…

– No – odezwała się. – Niech pan mówi, co się stało?

– Moja żona i córka… Właśnie się dowiedziałem… – Urwał i pokręcił głową. W jego oczach pojawiły się łzy, ale zanim popłynęły po policzkach, Rom zakrył twarz dłońmi. – Przepraszam – wybełkotał.

Joanna zaklęła w duchu. Nic ciekawego z tego nie będzie. Mimo wszystko skasuje czterdzieści dziewięć złotych za poradę w kwestii spadku, zadatku pogrzebowego i formalności związanych z prawem funeralnym.

– Niech pan podejdzie – powiedziała.

Mężczyzna opuścił ręce.

– Słucham? – zapytał.

Prawniczka wskazała boks i ruszyła powoli w jego kierunku.

– Zapraszam na chwilę. Usiądzie pan, uspokoi się, zrobię panu kawę.

– Ale ja…

– Proszę, proszę. Nie ma problemu.

Poszedł za nią, zapewne nieświadomy choćby jednego swojego kroku. Usiadł po drugiej stronie biurka, a Chyłka wrzuciła kapsułkę do nespresso i zaparzyła mu małą czarną. Po namyśle zrobiła także jedną dla siebie. Przyda się, biorąc pod uwagę, że buteleczka absoluta nie była pierwszą tego dnia.

Starała się oszacować, ile wypiła od rana, ale straciła rachubę już koło południa. Ranek z pewnością zaczął się od tequili sunrise – od pewnego czasu stanowiło to jej nową tradycję, którą kultywowała z oddaniem nie mniejszym niż muzułmanin przestrzegający postu podczas ramadanu. Potem popijała już tylko z małych, płaskich buteleczek. Chowała je w kieszeni żakietu, by ich liczba nie wymknęła się spod kontroli, ale pozbywała się obciążających dowodów szybciej, niż zdążyła się nad tym zastanowić.

Niespecjalnie się tym przejmowała. Wprawdzie dzień w dzień siadała za kółkiem ze sporą zawartością alkoholu we krwi, ale w najgorszym przypadku zabiorą jej prawo jazdy, nie samochód. Nadal będzie mogła jeździć.

Postawiła kubek kawy przed Romem, jednak klient nie zwrócił na to uwagi. Miała ochotę pstryknąć mu palcami przed twarzą. Napiła się, a potem nabrała tchu.

– Po stwierdzeniu zgonu zostanie wypisany protokół – odezwała się.

Mężczyzna nadal zdawał się znajdować w innym świecie.

– Pójdzie pan z tym do lekarza pierwszego kontaktu, który ostatnio zajmował się żoną i córką. On wypisze panu kartę zgonu, którą będzie trzeba skserować kilka razy. Dla banku, dla ubezpieczyciela, dla…

Cygan poruszył się nerwowo i wbił w nią wzrok.

– O czym pani mówi?

– O czynnościach, które będzie musiał pan podjąć – odparła spokojnie Joanna. – Z kartą zgonu, dowodem i paszportem pójdzie pan do Urzędu Stanu Cywilnego. Właściwy terytorialnie jest ten, gdzie nastąpił zgon. Nie ten, gdzie żona i córka były zameldowane.

– Ale…

– Wie pan, gdzie nastąpił zgon?

– O Boże… ja…

Rom podniósł się na drżących nogach. Chyłce przemknęło przez głowę, że sprawia wrażenie, jakby miał zamiar puścić pawia. Wzdrygnęła się na samą myśl. W boksie nie było sprzątaczki, zatrudnieni tu prawnicy musieli sami dbać o porządek. Przez to sporo było okruchów, zużytych chusteczek i pustych opakowań po batonikach. Joanna sama upchnęła kilka gum przy podłodze. Z wymiocinami nie poszłoby jednak tak łatwo.

Szybko podniosła się ze swojego stołka. Zakręciło jej się w głowie i uświadomiła sobie, że jest lekko wstawiona. To by tłumaczyło, dlaczego w ogóle przyprowadziła tutaj tego człowieka.

– Należy się czterdzieści dziewięć złotych – powiedziała.

Cygan machinalnie sięgnął po portfel, wyjął pięćdziesiątkę i położył ją na blacie. Kompletnie nie rozumiał, co się dzieje. Jego umysł momentami zaskakiwał na odpowiednie tory, ale zaraz potem wracał na kurs kolizyjny z rzeczywistością.

– Oto moja wizytówka – powiedziała Chyłka, wręczając mu porządny świstek kredowego papieru pochodzący jeszcze z czasów jej kariery w Żelaznym & McVayu. Był na nim nieaktualny adres e-mail i stary numer służbowego telefonu, który miał działać jeszcze

do końca miesiąca. Joanna była przekonana, że za jednym zamachem pozbywa się ostatniej wizytówki i samego klienta.

Mężczyzna schował świstek do kieszeni, popatrzył na prawniczkę, a potem oddalił się w kierunku wyjścia. Chyłka opadła ciężko na siedzisko. Poszło całkiem sprawnie.

Do końca dnia miała jeszcze kilku klientów. Zrobiła dwa wypady do Carrefoura i do toalety przy Springfieldzie. Kiedy zapadał zmrok, była w stanie wykluczającym jazdę samochodem. Szybko doszła do wniosku, że zje coś w Streecie, poczeka trochę, a potem pojedzie do domu.

Zajęła miejsce niedaleko telewizora. Spoglądała na niego leniwie, czekając na fajitas z wołowiną. Ożywiła się dopiero, gdy zobaczyła czerwony ticker na dole ekranu, informujący o tym, że na Ursusie odnaleziono zwłoki kobiety i jej kilkunastoletniej córki.

Przemknęło jej przez głowę, że ma to związek z mężczyzną, od którego wydusiła pięć dych za poradę prawną. Szybko jednak odsunęła tę myśl.

Kamera była już na miejscu. Operatorowi udało się ująć w kadrze tory i kawałek drogi gruntowej. Teren ogrodzono już policyjnymi taśmami, a w oddali widać było charakterystyczny niebieski parawan z napisem „POLICJA. OGLĘDZINY”, za którym znajdowały się widoki nieprzeznaczone dla przypadkowych oczu.

Joanna nabiła kawałek mięsa na widelec, przysłuchując się temu, co miał do powiedzenia dziennikarz z NSI. Na początku zastrzegł, że wszystkie informacje są jeszcze nieoficjalne, a potem rozkręcił się na dobre.

– Jak udało nam się dowiedzieć, kobieta i jej córka były mieszkankami pobliskiego Ursynowa. Nie wiadomo, co robiły w tej okolicy. Ciała odnalazł złomiarz, który utrzymuje, że nie zna tożsamości ofiar.

Chyłka przeżuła kawałek mięsa ze skwierczącej patelni. Całkiem niezłe, choć sama dodałaby trochę ostrych przypraw.

– W krótkiej rozmowie mężczyzna powiedział nam, że stan kobiety i dziewczyny nie pozwalał na ich rozpoznanie. Według niego pierwsi funkcjonariusze, którzy pojawili się na miejscu, mieli stwierdzić, że czegoś takiego jeszcze nie widzieli.

Pośród klientów Streeta przeszedł szmer. Joanna spokojnie jadła swoje fajitas. Czuła, że alkohol z niej schodzi i niebawem znajdzie się w stanie, który pozwoli jej zasiąść za kierownicą iks piątki. Popijała colę, myśląc o tym, co otworzy po powrocie do domu.

Odsunęła talerz i zaczęła szukać w menu czegoś na deser. Niczego jednak nie zamówiła. Zamarła, kiedy zobaczyła na ekranie Roma, z którym wcześniej rozmawiała. Próbował przebić się przez policyjny kordon, zapewne ku uciesze operatora z NSI.

Odłożyła mechanicznie kartę dań i obserwowała, jak Cygan szarpie się z funkcjonariuszami. Nie wyglądało to dla niego najlepiej. W takiej sytuacji mąż zawsze jest pierwszym podejrzanym, a przepychanka w niczym mu nie pomoże.

Musiał dojść do podobnego wniosku, bo w końcu odpuścił. Odsunął się, a potem zaczął nerwowo przeszukiwać kieszenie. Joanna ze zgrozą przekonała się, że wyjął z jeansów jej wizytówkę.

Po chwili rozbrzmiał dzwonek. Refren z *Afraid To Shoot Strangers* Iron Maiden od czasu do czasu zwiastował możliwe kłopoty. W tym przypadku było tak z całą pewnością. Prawniczka spojrzała na wyświetlacz, a potem odrzuciła połączenie.

2
Skylight, ul. Złota

Kordian Oryński wszedł do gabinetu opatrzonego plakietką „junior associate”. Wisiała na drzwiach już od półtora roku, ale jej widok nadal sprawiał mu tyle samo satysfakcji, co pierwszego dnia po otrzymaniu własnego biura.

Było to określenie może nieco na wyrost, biorąc jednak pod uwagę wspomnienia z noryobory, gdzie tłoczyli się wszyscy stażyści i praktykanci, należało uznać, że trafił do raju.

Kordian usiadł za biurkiem, otworzył macbooka, a potem zaczął przeglądać portale. Jego poranny rytuał obejmował sprawdzenie działu prawnego na Money.pl, trzymanie ręki na pulsie w zmianach legislacyjnych na Lex.pl i w końcu przeglądanie serwisu „Gazety Prawnej”.

Ledwo dotarł do pierwszego artykułu, drzwi do gabinetu się otworzyły. Oryński oderwał wzrok od monitora i spojrzał na niewysokiego chudzielca, który wparował do środka bez pytania. Zamknął za sobą drzwi, a potem się odezwał:

– Ale kibel.

Kordian nabrał tchu.

– Widziałeś? – zapytał gość. – Będziemy się tarzać w szambie przez kolejne pół roku.

Taka deklaracja w kancelarii Żelazny & McVay zazwyczaj niewiele znaczyła. Ginęła gdzieś w natłoku innych utyskiwań i pesymistycznych scenariuszy. Kiedy jednak składał ją nie kto inny jak Kormak, należało mieć się na baczności. Chudzielec bez wątpienia był najlepiej poinformowaną osobą w firmie – częstokroć wiedział o nadchodzącym kataklizmie wcześniej od starszych partnerów.

Kormak usiadł po drugiej stronie biurka i posłał Oryńskiemu znaczące spojrzenie. Dopiero gdy ten uniósł brwi, szczypior

zrozumiał.

– Ty nic nie wiesz – oznajmił.

– Dziwi cię to?

– Właściwie nie. Wam nigdy nic nie mówią.

– Kto nic nam nie mówi?

Kormak zmrużył oczy, przybierając konspiracyjny wyraz twarzy.

– Mniejsza z tym – oświadczył. – I już ci mówię, o jaki kibel chodzi. Oglądałeś wczoraj te przepychanki z Ursusa?

– Niespecjalnie.

– Hę? Były we wszystkich serwisach informacyjnych.

– Nie widziałem.

– I to w dodatku przez cały wieczór – dodał Kormak.

– Musiały mi umknąć.

– To coś ty robił?

Oryński wzruszył ramionami.

– Mogę wymienić milion ciekawszych rzeczy od…

– Dobra, dobra – przerwał mu chudzielec. – Nie wiesz, o co chodzi, to słuchaj. – Rozparł się na krześle, ani myśląc o tym, że poza pogawędkami junior associate może mieć też inne obowiązki. – Znaleźli wczoraj po południu dwa trupy przy torach. Prawie zupełne zadupie, walące się budynki wokół, jakiś złom, hałdy piachu, takie sprawy.

– Jak w *Drodze* McCarthy'ego.

Kormak skinął głową z uznaniem.

– Przy torowisku kobieta i dziewczyna – ciągnął szczypior. – Obie tak zmasakrowane, że rozpoznali je tylko dzięki dowodom osobistym. Twarze zmiażdżone, wokół pełno krwi, mózgowia… co tam sobie tylko wyobrazisz.

– Moja wyobraźnia raczej nie zapędza się w takie…

– A do tego ślady gwałtu – wpadł mu w słowo rozgorączkowany Kormak. – Wyjątkowo zwyrodniałego, jeśli wierzyć moim źródłom.

– Co to za źródła?

Chudzielec wydął usta.

– Tajemnica adwokacka – oznajmił.

– Nie jesteś adwokatem.

– I dzięki Bogu, bo zarabiałbym dwa razy mniej – zauważył Kormak i zaczerpnął powietrza. – Na domiar złego ktoś wpuścił męża na miejsce zdarzenia. Kamery złapały, jak szarpie się z policjantami. I wiesz co?

– Nie.

– To Cygan.

– Aha.

Oryński potrzebował chwili, by ustalić, dlaczego ta informacja ma jakiekolwiek znaczenie. Najwyraźniej za długo pracował bez Chyłki, która co pewien czas przypominała mu takim czy innym komentarzem, że tolerancja jest mocno przereklamowana.

– I po co mi o tym mówisz? – zapytał Kordian. – Będziemy go bronić?

– No co ty, zwariowałeś?

Oryński uśmiechnął się pod nosem.

– Więc o co chodzi?

– Gnój polega na tym, że ofiary miały jebitną polisę na życie.

– To znaczy?

– Najwyższy pakiet.

Oryński przeniósł wzrok na monitor, a potem wszedł na witrynę TVN24. Wieści związane z upiornym morderstwem zajmowały centralne miejsce. Nagłówek otoczony był czerwonym prostokątem, jakby potrzeba było dodatkowych powodów, by przeciętny internauta zainteresował się sprawą.

Kordian przejrzał pobieżnie treść i zobaczył zdjęcia z miejsca zdarzenia. Kormak podniósł się i okrążył biurko. Stanął obok prawnika i skrzyżował ręce na piersi.

– Cygan nie wygląda na takiego, co by kupował wielką polisę, nie? – zapytał.

– Ano nie.

– Tym bardziej zastanawiająca rzecz.

– Może i tak – przyznał Oryński, obracając się do przyjaciela. – Ale mam trochę spraw na głowie i…

– Mówię ci o tym w konfidencji – uciął chudzielec. – I nie robię tego bez powodu.

– Mhm.

– Żona i córka tego gościa były ubezpieczone w Salusie.

Szczypior patrzył znacząco na Kordiana, ale ten tylko wzruszył ramionami.

– Salus – burknął Kormak. – Ta wielka firma ubezpieczeniowa, która…

– Wiem, czym jest Salus, Kormaczysko.

– Więc powinieneś też wiedzieć, że jest reprezentowana przez Żelaznego & McVaya.

– Co takiego?

– Właśnie to, co powiedziałem.

Kordian odgiął się na krześle.

– To rzeczywiście może być gnój.

Chudy chłopak uśmiechnął się i pokiwał głową. Jego wyraz twarzy kazał sądzić, że misja została wypełniona. Machnął Oryńskiemu na pożegnanie, a potem opuścił biuro, dodając na odchodnym, że wieczorem wpadnie na piwo.

Do Kordiana powoli docierała waga słów przyjaciela.

Kiedy Chyłka przestała być jego patronką, Okręgowa Rada Adwokacka przydzieliła mu innego prawnika z kancelarii. Żelazny osobiście o to zabiegał i twierdził, że ma wprost idealnego kandydata, który „wyprostuje chłopaka po tym, co zrobiła Joanna".

Tym kandydatem był Lew Buchelt, którego Chyłka określiła niegdyś jako „wyjątkowo ponurą kreaturę". Po pierwszym spotkaniu z podstarzałym adwokatem Kordian musiał przyznać rację dawnej patronce. Lew patrzył na wszystkich z wyższością, wydawał z siebie jedynie pomruki, a w dodatku nosił garnitury, które kupował chyba w muzeum PRL-u. Okulary w dużych drucianych oprawach dopełniały obrazu człowieka, który raczej nie stanowił wizytówki kancelarii.

Buchelt rzadko spotykał się z klientami, ale nie miał sobie równych, gdy chodziło o wiedzę z zakresu prawa gospodarczego i gałęzi pokrewnych. Kilkanaście lat temu sprawił, że kilka dużych podmiotów zaczęło korzystać z usług Żelaznego & McVaya – i od tamtej pory Lew prowadził ich sprawy. Jednym z nich była firma ubezpieczeniowa Salus.

Kordian zabębnił palcami o blat biurka i spojrzał na drzwi. Gdyby Chyłka nadal pracowała w firmie i to ona miała Salusa, już wpadłaby

do jego gabinetu jak wichura. Wizyta byłaby krótka – Joanna rzuciłaby kilka krótkich, żołnierskich komend, a potem…

Oryński potrząsnął głową. Nie miał zamiaru o niej myśleć. Ostatnim razem spotkali się w jej biurze, rozważając, co należy zrobić w sprawie Szlezyngierów. Potem zupełnie zignorowała jego zdanie i zrobiła to, co robiła najlepiej – wywołała trzęsienie ziemi.

Kordian zastanowił się, po czym zamknął macbooka. Chyłka nigdy nie dawała mu szansy, by się wykazał. Przy flegmatycznym Buchelcie przynajmniej ma czas, żeby przejąć inicjatywę.

Ruszył na korytarz i skierował się do pokoju, który był powszechnie znany jako Jaskinia McCarthyńska. Chudzielca zastał pochylonego nad książką, dokładnie tak jak się tego spodziewał.

– Ponurak u siebie? – zapytał Oryński.

– Sam powinieneś wiedzieć, gdzie jest twój patron.

– Nieczęsto się widujemy.

– Mhm – mruknął Kormak i włożył zakładkę do książki. – Tak czy inaczej, nie przychodzisz do mnie, żeby pytać, gdzie jest Lew.

– Ano nie.

– Więc?

Kordian zbliżył się do biurka i spojrzał z góry na szczypiora.

– Potrzebuję wszystkiego, co masz na temat tego Cygana.

– A więc proszę. – Kormak wyciągnął otwartą dłoń i obrócił ją spodem do góry. – Dokładnie tyle mam. Bierz, co chcesz.

– Nie rób sobie jaj.

– Nie robię – zaoponował, odkładając powieść z wysłużonym pickupem na okładce. – Nie dostałem zlecenia, żeby się nim zajmować.

– Więc właśnie dostajesz.

– Jak ostatnio sprawdzałem, to nie ty płaciłeś moje rachunki.

Oryński skrzywił się i wbił wyczekujący wzrok w rozmówcę. Na moment zapadła cisza, którą przerwało dopiero głośne westchnięcie chudzielca.

– W porządku – powiedział. – Poszukam czegoś.

– Tylko żeby było dobre.

– Jak dobre?

– Na tyle, żeby nie było mowy o wypłacaniu polisy przez Salusa.

Kormak pokiwał głową w zadumie. Aplikant dostrzegł w jego spojrzeniu cień zawodu, jakby przyjaciel spodziewał się, że Kordian będzie kierował się raczej nieskazitelnymi nakazami moralnymi, a nie interesem swoim czy klienta.

– Chcesz zapunktować u ponuraka, co? – zapytał szczypior.

– Zapunktować? Nie – odparł Oryński. – Chcę sprawić, że na tym minorowym obliczu pojawi się pełen satysfakcji, błogi i szeroki uśmiech, jakby Buchelt wypalił naprawdę dobrego skręta.

Chudzielec wzruszył ramionami.

– Plan dobry jak każdy inny – podsumował.

Kordian podszedł do drzwi, chwycił za klamkę i obrócił się przez ramię.

– Znajdź mi coś, co zniszczy tego faceta – dodał na odchodnym.

3
ul. Argentyńska, Saska Kępa

Chyłka obudziła się w swoim łóżku, co należało uznać za sukces. Ostatnimi czasy, ku jej niewypowiedzianemu zdziwieniu, zdarzało się to coraz rzadziej. Poprzedni tydzień zakończyła przelotną znajomością z… Wiktorem? Witoldem? Walterem? Walerym?

Równie dobrze mógł to być Wirginiusz albo Wrocisław. Nie rozpoznałaby go za żadne skarby.

Zwlekła się z łóżka i rozmasowała skronie. Najwyższa pora, by zrekapitulować wszystko, co działo się zeszłego dnia. Po kolacji w Streecie pojechała do domu, po drodze zahaczając o monopolowy. Potem usiadła na kanapie z butelką tequili i włączyła sobie…

Jakiś film.

Chyba „Drive" Nicolasa Windinga Refna. Dobry, powolny i dołujący obraz, w dodatku główną rolę grał Ryan Gosling. Minus był taki, że wizualnie nieco przypominał jej Kordiana.

Ilekroć pomyślała o Zordonie, zalewała wspomnienie choćby niewielkim łykiem tequili. Tak to działało. I sprawdzało się wcale nie najgorzej.

Chyłka przeciągnęła się i ruszyła do łazienki. Uniknęła odbicia w lustrze, spuszczając wzrok. Obmyła twarz, a potem poszła po środek przeciwbólowy do kuchni. Znajdował się na blacie i miał żółtą etykietę z napisem „Don Cruzado".

Kiedyś piła tylko sierrę z meksykańską czapką na zakrętce, ale od pewnego czasu przerzuciła się na butelkę z podobizną dona. Zaważył fakt, że na siedmiuset litrach Joanna mogła w ten sposób zaoszczędzić dwadzieścia złotych. Biorąc pod uwagę rozmiary konsumpcji, była to mała fortuna.

Napiła się, a potem sięgnęła po telefon. Ostatnio rankiem odkrywała na nim coraz więcej niespodzianek. SMS-y, których

napisania nie pamiętała, połączenia, których wykonania sobie nie przypominała, a nawet dziwne, właściwie niepokojące selfie.

Wzdrygnęła się, widząc, że zrobiła sobie zdjęcie około trzeciej w nocy. Skasowała je szybko, starając się zamazać w pamięci widok samej siebie w stanie mocno wskazującym.

Nagle telefon zawibrował jej w ręce, a z głośnika ryknął gitarowy riff. Chyłka poczuła, jak impuls bólu przemknął jej tuż za oczami. Spojrzała na wyświetlacz, westchnęła, a potem przesunęła palcem po ekranie.

– No – powiedziała.

– Co „no”? – odburknął rozmówca. – Nie wiem, jak witałaś swoich szefów w Żelaznym & McVayu, ale u mnie wypada zachować odrobinę kultury.

– Odrobinę zachowałam – odparła. – W końcu odebrałam, prawda?

W słuchawce zapadła cisza. Joanna zdawała sobie sprawę, że powinna nieco podreperować relacje z obecnym szefem, ale trudno było czuć respekt przed kimś, kto władał boksem porad prawnych, a nie wielką kancelarią.

Co dopiero mówić o prawniczce, która w tym boksie siedzi.

Chyłka szybko odsunęła od siebie tę myśl.

– Co jest, szefie? – zapytała, siląc się na koncyliacyjny ton.

– Co jest? – odpowiedział przełożony. – Ty mi lepiej powiedz. Odbiło ci kompletnie?

– W jakim sensie?

– W każdym możliwym!

– Być może – przyznała pod nosem. – Ale nie bardzo wiem, o co…

– Władowałaś nas w najgłębsze bagno, jakie ta firma widziała – wpadł jej w słowo mężczyzna. – I szczerze mówiąc, nie wyobrażam sobie, jak nas z niego wyciągnąć. Pozwól więc, że ujmę sprawę jasno: mam nadzieję, że potrafisz pływać w gównie. I to sama, bo ja nie mam zamiaru ci w niczym pomagać. A kiedy skończysz tę sprawę, szukaj sobie nowej…

– Jaką sprawę? – zapytała.

Zanim przełożony odpowiedział, odstawiła komórkę od ucha i wyświetliła rejestr połączeń. Szef perorował w najlepsze, ale

głośnik był ustawiony za cicho, by mogła go słyszeć.

Joanna przejrzała numery. Od pierwszej do trzeciej wykonała kilka telefonów. Najpierw na niezapisany numer, potem do kilku znajomych dziennikarzy. Nie wyglądało to najlepiej. I nie potrzebowała wiele, by to wszystko powiązać.

– …i wierz mi, że kiedy tylko usłyszałem, że to zrobiłaś, miałem ochotę…

– Szefie – przerwała mu. – Wzięłam sprawę tego ciawaresa?

– Że co proszę?

– Tego dziabucha.

– Na litość boską, Chyłka…

– Mam na myśli tego Roma.

– Wiem doskonale, kogo masz na myśli!

– Więc po co pan tak kluczy? – odparła pod nosem, sięgając po butelkę. – Zadałam proste pytanie.

– Które samo w sobie świadczy o twojej kondycji psychicznej – odpowiedział przełożony. – Tak, reprezentujemy pana Bukano.

– Tak się nazywa?

– Owszem – mruknął szef.

Joanna znów potarła skronie. Przez moment zastanawiała się, co w nią wstąpiło, że zadzwoniła do tego człowieka i zdecydowała się go reprezentować. Nie było żadnego dobrego powodu, dla którego miałaby to robić – a tequila niczego nie tłumaczyła.

– Lepiej, żebyś to szybko załatwiła. Nie chcę żadnych problemów.

– Jasne, jasne.

Przełożony rozłączył się bez pożegnania. Chyłka spojrzała na telefon, na butelkę, a potem powiodła wzrokiem za szklanką. Znalazła jedną w sypialni, na nocnym stoliku. Przepłukawszy ją pod bieżącą wodą, postawiła naczynie na blacie i wypełniła je po brzegi.

Nie miała dzisiaj dyżuru w Arkadii ani żadnym innym centrum handlowym. Wprawdzie nie pamiętała swojego grafiku, ale szef z pewnością zająknąłby się słowem na ten temat.

Usiadła na fotelu i włączyła NSI. Miała nadzieję, że trafi na podsumowanie wszystkich wczorajszych wydarzeń, ale w paśmie porannym rozprawiano o pomyśle na kolejne bzdurne referendum.

Ściszyła telewizor, a potem pociągnęła jeszcze łyk tequili i wybrała numer, pod który dzwoniła nocą.

– Tak? – rozległ się głęboki, męski głos. Rom nie sprawiał wrażenia, jakby był załamany.

– Joanna Chyłka, kancelaria… – zaczęła prawniczka i urwała. Odchrząknęła. – Rozmawialiśmy wczoraj.

– Tak.

Poprawiła się na fotelu, nie bardzo wiedząc, od której strony podejść do problemu. Nie miała wielkiego doświadczenia w mierzeniu się z konsekwencjami alkoholowych ciągów, do tej pory zawsze udawało jej się ich uniknąć. Tym razem jednak było inaczej.

– Chciałam tylko potwierdzić, że… wszystkie formalności zostały spełnione.

– Tak, mówiła mi już pani o tym.

– Aha.

– I tłumaczyła mi pani, że umowa pełnomocnictwa nie wymaga podpisywania czegokolwiek, że wystarczy…

– Tak, tak – przerwała mu. – Starczy forma ustna, a nawet może być dorozumiana.

Naraz Chyłkę opadły wątpliwości. Zawarła z tym człowiekiem umowę pełnomocnictwa? Jeśli miała zamiar go bronić, w grę wchodziłby stosunek obrończy – a więc powinni podpisać upoważnienie do obrony. O czym ona myślała?

– Jest pan pewien, że mowa była o pełnomocnictwie? – zapytała, ryzykując ośmieszenie się.

– Sama to pani kilkakrotnie podkreślała.

– Rozumiem.

– Coś nie tak?

– Po prostu się upewniam.

Bukano przez moment milczał.

– Upewnia się pani?

– Mniejsza z tym – odparła. – Możemy się spotkać?

– Tak, oczywiście. Będę w…

– Miałam na myśli spotkanie w tej chwili – ucięła. – Będę na pana czekać za piętnaście minut w Saskiej Gębie.

– Słucham?

– W restauracji przy Saskiej 47. Zdąży pan?

– Nie, obawiam się, że…

– To niech się pan pospieszy. Ja mam tam raptem cztery minuty na piechotę. A nie lubię długo czekać.

Rozłączyła się, zanim klient miał okazję odpowiedzieć. Odgięła się na fotelu i na chwilę zamknęła oczy. Natychmiast zakręciło jej się w głowie i musiała unieść powieki. Odczekała moment, a potem zabrała szklankę i poszła do kuchni.

Wlała nieco grenadyny, dodała do tego dwie kostki lodu, a potem zamieszała i wypiła.

Zawarcie pełnomocnictwa mogło świadczyć tylko o jednym – z jakiejś przyczyny zamierzała reprezentować tego człowieka w postępowaniu cywilnym, ale nie w karnym. Zaczęła zastanawiać się, co mogłoby ją do tego podkusić, ale w głębi duszy wiedziała, że istnieje tylko jedna możliwość.

Chciała się na kimś odegrać.

Pół godziny zajęło jej ogarnięcie się. Ruszyła niespiesznie na dół, przeszła Argentyńską, a potem skierowała się do Saskiej Gęby. Przypuszczała, że Cygan będzie potrzebował co najmniej kilkudziesięciu minut na dojazd z Ursusa, Rembertowa, Białołęki, czy gdzie tam mieszkał. Bukano czekał już jednak przy stoliku. Wstał, kiedy Joanna weszła do restauracji, a potem ukłonił się lekko.

Wyglądał tak, jak brzmiał. Trzymał się całkiem nieźle, choć w jego oczach prawniczka dostrzegła głęboki smutek.

Mniejsza z tym, skwitowała w duchu. Przyszła tu, by uzyskać odpowiedzi, a nie pocieszać tego człowieka.

– Miały ubezpieczenie na życie? – zapytała na powitanie.

Zanim zdążył odpowiedzieć, zajęła miejsce po drugiej stronie stolika i skinęła na kelnera.

– Pytała już pani o to.

– I co pan odpowiedział?

– Że owszem, moja córka i żona…

– Jaki ubezpieczyciel?

– Salus.

Joanna przez moment trwała w bezruchu. A więc to był powód, dla którego wzięła tę sprawę. Powinna się tego spodziewać.

W tej samej chwili obok niej stanął kelner.

– To co zawsze? – zapytał.

– Nie. Dziś krem z zielonego groszku z miętą. I lepiej, żeby ten groszek był organiczny, bo jestem na diecie wykluczającej wszelkie syntetyczne dodatki.

Mężczyzna spojrzał na nią z ukosa, po czym odchrząknął.

– Czyli strogonow wieprzowy?

– Tak.

Kelner skinął porozumiewawczo głową i przeniósł wzrok na Bukano.

– A dla pana?

– Jakiś cygański przysmak – wyręczyła go Chyłka. – Może niewinne dzieci albo maca?

– To chyba żydowskie…

– Nieważne – ucięła prawniczka. – Daj mu byle co. Niech będzie strogonow.

Rom nie zaprotestował, więc kelner przyjął zamówienie i czym prędzej oddalił się w stronę kuchni. Joanna spojrzała na nowego klienta spode łba i skrzyżowała ręce na stole.

– Jak pan się zwie? – zapytała.

– Bukano.

– Mam na myśli urzędowe zwanie się.

– Robert Horwat.

– Brzmi znacznie lepiej – oceniła. – Po co wam jeszcze te cygańskie imiona?

– To tradycja. Znacznie mocniej zakorzeniona niż zwyczaj przyjmowania urzędowych…

Chyłka uniosła rękę, więc rozmówca przerwał.

– Nie – powiedziała. – Jednak mnie to nie interesuje.

Zawiesiła wzrok gdzieś w oddali, Bukano rozejrzał się, nieco skonsternowany.

– Więc może przejdziemy do rzeczy? – zapytał.

Nie miała zamiaru tego robić. Dowiedziała się już właściwie wszystkiego, co na tym etapie ją interesowało. Najwyraźniej w pijackim wzburzeniu postanowiła, że rzuci rękawicę kancelarii Żelazny & McVay. Sprawa Roma nadawała się do tego wprost

idealnie – firma będzie jawiła się jako obrońca oligarchicznych interesów, a ona jako apologetka uciśnionych.

Takiej okazji nie mogła przepuścić. Przynajmniej kiedy była pijana.

Pomyślała jednak, że skontaktowała się z klientem z innej przyczyny. Dzwoniąc do niego w nocy, nie mogła wiedzieć o tym, kto reprezentuje ubezpieczyciela. Dowiedziała się tego dopiero w trakcie rozmowy.

Co ją ruszyło? Empatia? Nigdy nie żywiła żadnych pozytywnych uczuć wobec Cyganów, wręcz przeciwnie. Najwyraźniej alkohol poprzestawiał jej coś w głowie.

– Słyszy mnie pani?

Zamrugała kilkakrotnie i zorientowała się, że dwa strogonowy pojawiły się na stole. Do jej dania kelner dodał drinka. Opróżniła połowę jednym łykiem, a potem popatrzyła na klienta.

– Słyszę, słyszę – odparła. – Zastanawiam się tylko, w jaki głębokim bagnie pan siedzi.

Uniósł brwi i wyprostował się.

– To znaczy pomijam fakt utraty rodziny – wyjaśniła. – Swoją drogą, kondolencje.

Skinął głową, sprawiając wrażenie, jakby zastanawiał się, czy dobrze zrobił, wybierając tę prawniczkę do reprezentowania go w sądzie.

– Ale… no wie pan – dodała, wskazując na niego ręką.

– Co takiego?

– Jest pan ciabatą.

– Słucham?

– Od razu wygląda pan na winnego.

– Na… winnego? – wydukał, odsuwając talerz. – Sugeruje pani, że…

– Ja niczego nie sugeruję – oznajmiła spokojnie. – Ale będzie to robić prokuratura, zapewniam pana. Chyba że kto inny zostawił na miejscu zbrodni swój wyraźny podpis.

Zobaczyła, jak mężczyzna stopniowo blednie. Przypuszczalnie nie zaniepokoiła go ta wizja, a raczej wzmianka o miejscu, w którym stracił żonę i córkę. Chyłka przyjrzała mu się i przekonała się, że ma

szkliste oczy. Nie od płaczu – zapewne wylał już wszystkie łzy. Nie, to był typowy, wódczany błysk.

Nic dziwnego, uznała. Zresztą facet nie zaczął spotkania od zauważenia, że śmierdzi od niej alkoholem. A skoro tak, zapewne sam był wstawiony. Ona na jego miejscu nie odkładałaby butelki.

– Mniejsza z tym – odezwała się. – Ja reprezentuję pana w sprawie, która będzie się toczyć przed sądem cywilnym.

Sprawiał wrażenie zmieszanego, ale nie tracił kontroli nad myślami. Był skupiony. Może sytuacja to na nim wymusiła. Może by nie zwariować, musiał całą uwagę koncentrować na jej słowach, nie dopuszczając do siebie świadomości tego, co w istocie się zdarzyło.

– Rozumie pan? – spytała.

– Tak, tak, oczywiście… nie rozumiem tylko jednej rzeczy.

– Jakiej?

– Dlaczego jest pani pewna, że ktokolwiek złoży przeciwko mnie pozew?

Chyłka uśmiechnęła się pod nosem.

– Ponieważ doskonale znam prawników reprezentujących Salusa – odparła, a potem wbiła widelec w kawałek mięsa. – Ale najbardziej interesuje mnie to, jakim cudem cygańska rodzina miała w tej firmie wykupioną polisę na życie.

Bukano przełknął ślinę.

4
Skylight, ul. Złota

Kordian zapukał do biura patrona, a potem odczekał chwilę. Lew Buchelt nigdy nie wpuszczał nikogo ot tak. Musiał podejść do drzwi, uchylić je i dopiero potem zapraszał gościa do środka.

– Wejść – rozległo się mrukliwe polecenie.

Cóż, zawsze musi być ten pierwszy raz, uznał Oryński. Wszedł do gabinetu, a potem skinął starszemu mężczyźnie za biurkiem. Na dwudziestym pierwszym piętrze biurowca Skylight był nazywany ponurakiem, ale stanowiło to pewne niedomówienie. Wiekowy prawnik był raczej borsukiem.

Jego niezmiennie posępna mina przywodziła na myśl nie melancholię, a głębokie zgorzknienie. Właściwie Kordiana trochę to dziwiło. Buchelt miał wszystko, co człowiek w jego wieku mógł chcieć – małą fortunę w OFE, dobry pakiet socjalny, porządne mieszkanie i niemalejący strumień gotówki. W dodatku nikt w pracy mu nie podskakiwał, bo każdy zdawał sobie sprawę, że część przynoszących zyski klientów odejdzie od Żelaznego & McVaya z dniem, gdy Lew przejdzie na emeryturę.

– Ach, to ty, kawalerze.

Określenie to było tylko kroplą w morzu rzeczy, które irytowały Oryńskiego. Mimo to uśmiechnął się i zajął miejsce przed biurkiem.

– Co cię sprowadza? – zapytał Buchelt.

– Wczorajsze wydarzenia.

Pozbawiona wyrazu twarz patrona stężała jeszcze bardziej. Po chwili zmrużył oczy, a zmarszczki wokół nich stały się wyraźniejsze. Przywodził na myśl pomarszczonego Clinta Eastwooda, z tym że dobre dziesięć kilogramów tęższego.

– A konkretnie? – mruknął Lew.

– Salus i polisa tych ofiar z Ursusa.

Jeśli Buchelt był pod wrażeniem, nie dał tego po sobie poznać.

– Tak? – zapytał pod nosem.

– Tak. Przypuszczam, że nie leży w interesie naszego klienta, by wypłacać tę należność.

– Hipotetyczną należność.

– Oczywiście, hipotetyczną – poprawił się Kordian. – I z tego, co słyszałem, wcale niemałą.

Lew przez chwilę milczał. Spuścił wzrok na papiery rozłożone na biurku i pokiwał głową. Był chyba jedynym prawnikiem w kancelarii, który nie korzystał z komputera. Nie miał też sekretarki, więc cała papierkowa robota spadała na Ankę z Recepcji. I z tego powodu dziewczyna bynajmniej nie należała do zwolenników starego adwokata. Być może nikt nie należał.

Kiedy Oryński został do niego przydzielony, odczuł to jako prztyczek… nie, właściwie nie jako prztyczek, a napiętnowanie. O ile się orientował, Lew nigdy nie miał żadnego aplikanta. Być może dysponował szeroką wiedzą z zakresu spraw gospodarczych, ale najwyraźniej nie był skłonny się nią dzielić.

– Tak… – podjął w końcu. – Kwota rzeczywiście jest duża.

Mrukliwa odpowiedź stanowiła chyba rekord liczby słów, które Kordian usłyszał od patrona podczas jednej rozmowy. Najwyraźniej udało mu się przykuć jego uwagę.

– Mogę spytać o konkretną sumę? – zapytał Oryński.

Buchelt mruknął coś niezrozumiałego.

– Dwieście tysięcy? – podsunął aplikant.

– Więcej.

– Pięćset?

Lew niemal niezauważalnie pokręcił głową.

– Siedemset?

– Milion, kawalerze.

– Milion złotych? – wypalił Kordian. – Przecież to… to cygańska rodzina.

– Nie mnie oceniać, kto, co i w jakim zakresie ubezpiecza.

Oczywiście. Jego zadaniem było, by wbrew pierwotnym postanowieniom umowy Salus mógł uchylić się od wypłaty pełnej kwoty. W tym przypadku z pewnością liczyli na to, że uda im się

urwać dobre pół miliona, może więcej, w zależności od tego, jakie w istocie były składki.

– To kupa pieniędzy.

– Słusznie – zauważył Lew i spojrzał pytająco na podopiecznego. – Ale powiedz, z czym do mnie przychodzisz?

Oryński nabrał tchu i poczuł lekkie zdenerwowanie. Miał okazję naprawdę się wykazać. Jeśli w firmie był ktoś, kto nie wiedział, że wszelkie najprzydatniejsze informacje pochodzą od Kormaka, to taką osobą był właśnie Borsuk. Będzie przekonany, że Kordian sam dotarł do wieści, które miał zamiar mu przekazać.

Byłoby to trochę nie fair, gdyby nie to, że chudzielca właściwie nie obchodziło zdanie innych. Poza tym nie mógł nic ugrać – i tak zarabiał więcej niż wielu innych pracowników, którzy ukończyli nie tylko studia prawnicze, ale i aplikację. Oryński postawi mu piwo i będą kwita.

– Na miejscu zdarzenia nie znaleziono żadnych śladów świadczących o udziale osób trzecich – zaczął, starając się zachować spokój.

Lew popatrzył na niego z minimalnym zaciekawieniem.

– Mam na myśli to, że obie ofiary zostały zgwałcone, a mimo to na zwłokach odnaleziono jedynie ślady DNA Roberta Horwata. Podobnie jak na terenie przy torowisku. Wszystko wskazuje na to, że…

Buchelt podniósł się z krzesła. Kordian pierwszy raz widział, by patron wykonał tak energiczny ruch.

– To pewne informacje? – zapytał stary.

– Tak.

– Jak pewne?

– Na tyle, że zdecydowałem się z nimi do pana przyjść – zapewnił go Oryński.

Lew zastanawiał się tylko przez moment. Zaraz potem sięgnął po telefon i polecił Ance z Recepcji, by natychmiast skontaktowała się z przedstawicielami Salusa i umówiła spotkanie w restauracji w Sali Kongresowej.

Kordian z rozrzewnieniem pomyślał o tym, że Chyłka spotkałaby się z najlepszym klientem raczej po drugiej stronie ulicy, w Hard Rock Cafe.

– Dziękuję – zakończył Buchelt i odłożył telefon. Podniósł wzrok na Oryńskiego, wciąż nie siadając. – I tobie również, kawalerze.

– Nie ma problemu.

Stary adwokat w końcu spoczął.

– Masz jeszcze jakieś informacje?

– Nie, ale przypuszczam, że to wystarczy, żeby zadowolić klienta.

– Och, oczywiście. To wymarzona sytuacja.

Kordian pokiwał głową, starając się nie sprawiać wrażenia zbyt zadowolonego z siebie.

– Zapewne w takiej sytuacji jest tylko kwestią czasu, nim prokuratura postawi mu zarzuty i cała zasadność polisy stanie pod znakiem zapytania.

– Naturalnie, naturalnie.

– Na dobrą sprawę wszystko zrobią za nas w postępowaniu karnym. Cywilne będzie tylko wisienką na torcie. Czy może raczej ostatnim świstem ostrza gilotyny.

– Mmhhmm…

– Może nawet nie opłaca się go wszczynać?

Buchelt stopniowo odpowiadał z coraz mniejszym zaangażowaniem, aż w końcu w ogóle zamilkł. Najwyraźniej nie miał zamiaru deliberować z aplikantem na temat swojej sprawy, tym samym dając do zrozumienia, że nie ma możliwości, by poprowadzili ją wspólnie.

Kordian odczekał jeszcze chwilę, po czym stwierdził, że nie został wyproszony z biura tylko ze względu na to, że po drugiej stronie biurka znajdowała się osoba kulturalna. Chyłka dawno kazałaby mu stąd szorować.

Podniósł się, uśmiechnął, a potem opuścił gabinet patrona.

Przeszedł przez korytarz i dotarłszy do Jaskini McCarthyńskiej, bez pukania wszedł do środka. Kormak leniwie uniósł wzrok znad książki.

– Musisz tak bez zapowiedzi? – bąknął.

– A ty musisz cały czas czytać? Krew innych zalewa, że harują, a ty…

– Ja też haruję. Tylko sprawniej.

– Z pewnością.

– I dzięki temu mam potem czas na czytanie. – Założył książkę i odłożył ją na biurko. – A teraz mów, mój młody padawanie, jak poszło?

– To nieadekwatne porównanie.

– Nie szkodzi – odparł Kormak, wyciągając nogi na biurko. – Ponurak był pod wrażeniem? Drgnął? Wypuścił ze świstem powietrze? Otworzył szerzej oczy? Opisz mi reakcję tego osobliwego stworzenia.

– Stwierdziłem, że Borsuk bardziej pasuje.

– Co?

– Określenie Borsuk. Ponurak to niedomówienie.

– Lew… Borsuk… sam nie wiem, czy nie robi się za bardzo zwierzęco – przyznał szczypior. – Ale zrobiłeś na nim wrażenie czy nie?

– Zrobiłem – odpowiedział Oryński, kładąc nogi po drugiej stronie biurka. – Na tyle, że od razu umówił się z ludźmi z Salusa. I chlapnął nawet, jaka jest wysokość polisy.

– Milion.

– Skąd…?

Kormak uśmiechnął się i machnął ręką.

– Zresztą nie chcę wiedzieć – dodał Kordian. – I mimo wszystko Buchelt nie wciągnie mnie do sprawy.

– Spodziewałeś się czegoś innego?

– Sam nie wiem – przyznał Oryński. – Myślałem, że zabierze mnie chociaż na to spotkanie.

Kormak obrócił książkę na biurku, a potem powoli podniósł wzrok. W jego oczach zakołatało zrozumienie.

– Ty przebrzydły sukinsynu – powiedział z uznaniem. – Robisz to, żeby podebrać mu Salusa.

– W żadnym wypadku.

– Ależ oczywiście, że tak! Chyłka w spodniach!

– Daj spokój.

– To zaprzecz szczerze.

– Właśnie to robię.

– Gapiąc się na mnie jak sroka w gnat. Tak robią kłamcy, Zordon. Nie odrywają wzroku od rozmówcy, żeby sprawiać wrażenie, że…

– Jaka sroka?

– To takie powiedzenie. Gnat to kość.

– Nigdy nie słyszałem.

Chudzielec prychnął i skierował spojrzenie na drzwi.

– Właśnie dlatego przychodzisz do Jaskini McCarthyńskiej. Tutaj można się doedukować.

– Z pewnością.

– A w dodatku wyspowiadać – dodał Kormak, patrząc na rozmówce wilkiem. – Więc proszę bardzo, opowiadaj o swoim przebiegłym planie przejęcia Salusa, synu.

– To nie żaden przebiegły plan.

– A jednak zamierzałeś go podebrać.

– Nie podebrać, a zatrzymać, kiedy Borsuk przejdzie na emeryturę.

– Naprawdę musimy go tak nazywać?

– Tak.

– Okej. I w takim razie wychodzi na to, że chciałeś zrobić firmie przysługę?

– Owszem – potwierdził z pełną stanowczością Kordian. – Wszyscy zdają sobie sprawę, że jak tylko Lew odejdzie, Salus pójdzie do Dentonsa. Chciałem temu zapobiec, zachować ciągłość reprezentacji.

– Oczywiście.

– W każdym razie przepadło – zakończył Oryński, znów kładąc nogi na blacie. – Buchelt wytoczy pozew cywilny, który potem zawieszą na czas postępowania karnego, a ostatecznie uznają, że wyrok w sądzie karnym rzutuje bezpośrednio na sprawę i wszystko zakończy się z hukiem. Ten Rom pójdzie siedzieć, a Salus nie wypłaci ani grosza.

Kormak milczał, wpatrując się w sufit.

– Coś nie tak? – zapytał Kordian.

– Nie. Myślę po prostu o tym, co zastali na miejscu.

– A co zastali?

– Nie wiem. Żaden z moich… znajomych z policji nie chce się na ten temat wypowiadać. Ale podobno była niezła masakra. Cygan zgwałcił obie, zmasakrował ciała, a potem widziano go w centrum handlowym. Robił zakupy, jak gdyby nigdy nic.

Oryński skinął głową. Zdążył już przyzwyczaić się do świadomości, że na świecie jest więcej zwyrodnialców, niż sądził przed rozpoczęciem pracy w Żelaznym & McVayu. Dopóki pozostawali niemal anonimowymi osobami, wszystko było w porządku. Problemy zaczynały się, gdy należało reprezentować takiego człowieka.

W tym przypadku Kordian na szczęście stał po właściwej stronie barykady. Szczerze współczuł temu, kto znajdzie się po drugiej.

5
ul. Saska, Saska Kępa

Chyłka nie odzywała się, czekając, aż klient odpowie na pytanie. Wiedziała, że niełatwo będzie z niego wydusić informacje na temat polisy, ale jego milczenie trwało stanowczo za długo.

– No – ponagliła go. – Jeśli mi pan nie powie, jak to się stało, że Rumuni tak wysoko cenili swoje życie, że ubezpieczyli je na…

– Słucham?

Joanna wzruszyła ramionami.

– Nieczęsto się zdarza, że Cyganie mają jakiekolwiek ubezpieczenie – wyjaśniła. – Co dopiero mówić o polisie na życie. To wyjątkowo podejrzane i śmierdzące, biorąc pod uwagę okoliczności, panie Tukan.

– Nazywam się Bukano.

– Jeden pies.

– I nie jestem Rumunem – dodał, jakby nie słyszał, co powiedziała.

– Nie? Zawsze sądziłam, że stamtąd się wywodzicie.

Pokręcił głową, nie patrząc na nią. Zaczerpnął tchu i dopiero teraz uświadomił sobie, że stygnie mu strogonow. Odkroił niewielki kawałek mięsa i włożył go do ust. Przeżuwał bezwiednie, zawieszając spojrzenie gdzieś w oddali.

Joanna uznała, że nie będzie go ponaglać. Jeśli to on zabił swoich bliskich, byłoby to z jej strony nieroztropne. Jeśli tego nie zrobił, miał pełne prawo być roztrzęsiony. Tak czy inaczej, poczekała cierpliwie, aż przeżuł kawałek. Potem odłożył sztućce, jakby stracił apetyt.

– To jeden ze stereotypów, które sprawiają, że tak się nas traktuje – odezwał się w końcu. – Nikt nie rozumie, skąd się wzięli Romowie.

– Nawet wy sami?

Pokręcił bezradnie głową.

– Nie. My doskonale to wiemy – powiedział. – Wywodzimy się z Indii. I jeśli ktoś o tym wie i zna trochę historię tamtego kraju, to rozumie także podział kastowy w naszej diasporze.

Chyłka mruknęła pod nosem. Nieprzesadnie interesowała ją cygańska historia, ale liczyła na to, że klient w ten sposób nieco się otworzy i w końcu przejdzie do sedna. Z jej punktu widzenia Romowie tułali się po świecie w swoich kolorowych wozach, sami nie pamiętając, skąd wyruszyło pierwsze pokolenie. Ale nigdy specjalnie się w temat nie zagłębiała.

– W dwunastym wieku Arabowie napadli na Indie – ciągnął Bukano. – Przegnali nas stamtąd i…

– Może pan to trochę streścić? Tak to dwudziestego wieku?

– W ten sposób zaczęła się nasza kultura wędrowna – dopowiedział, nieco poirytowany. – Osadzona jednak w dawnych zwyczajach kastowych. Dlatego teraz jest wiele grup Romów, różniących się od siebie bardziej, niż mogłaby pani sądzić. W Polsce są Bergitka Roma, Lowarzy, Kalderasze, Polska Roma i…

– Rozumiem – wpadła mu w słowo. – Czyli nie Rumunia.

– Do Rumunii trafiliśmy po wygnaniu z Indii. Przez czterysta lat żyliśmy tam w niewoli, ale to z całą pewnością nigdy nie był nasz kraj. Niektórzy mają takie skojarzenie, ponieważ zostaliśmy tam uwięzieni na tak długi czas. I przez to dziś żyje tam mniejszość romska w liczbie dwóch milionów.

– Fascynujące – odparła pod nosem Joanna.

– Ale nie mamy kraju – kontynuował Bukano, biorąc jeszcze kawałek strogonowa. – Prowadzimy nieustającą wędrówkę, choć jesteśmy takim samym narodem jak Polacy czy Niemcy. Mamy flagę, mamy hymn, historię…

– No nie wiem.

Robert zmierzył ją wzrokiem.

– Mam na myśli to, że jakoś się już nie tułacie – wyjaśniła Chyłka. – Budujecie te swoje pałacyki i osiadacie w miastach.

– I jak pani sądzi, dlaczego tak jest?

Wydęła usta. Jeśli dotychczas poświęcała tej kwestii minimalną uwagę, to wyłącznie zastanawiając się nad tym, jak wyeksmitować ich wszystkich do Rumunii.

– W sześćdziesiątym czwartym władze PRL wydały dekret zabraniający nam dalszej wędrówki – odezwał się Bukano. – Mieliśmy osiedlić się tam, gdzie akurat koczowaliśmy. Nasze wozy zatrzymały się wtedy na zawsze.

– Brzmi melancholijnie – burknęła. – Ale w sumie mało mnie to interesuje. Przejdziemy do konkretów?

– Tak.

– Więc skąd ta polisa?

Obserwowała uważnie wyraz jego twarzy, ale ten niewiele zdradzał. Z pewnością był w nim cień żalu. Trudno było jednak na tej podstawie powiedzieć, czy jest winny, czy nie. Raczej nie wyglądał na takiego, który mógłby zgwałcić córkę i żonę, a potem w bestialski sposób je zamordować. Jednak z jej doświadczenia wynikało, że ci niepozorni są najgorsi.

– Żeby to pani zrozumiała, muszę nakreślić szerszą perspektywę.

– To konieczne?

– Obawiam się, że tak.

Nie wypowiadał się jak Rom, właściwie nie zachowywał się jak żaden z tych, z którymi miała do czynienia. Patrzył ufnie, prosto w oczy rozmówcy, i nie traktował jej jak wroga.

– Moja żona nie była *Romni* – odezwał się.

– Hę?

– *Romni*. Kobietą romską.

– Romką.

– Nie Romką… to obraźliwe określenie – odparł cicho. – Nie wiem, dlaczego zakorzeniło się w waszym języku.

– Mniejsza z tym – ucięła Chyłka. – Była Polką?

– Tak. Poznaliśmy się piętnaście lat temu, zupełnym przypadkiem… choć właściwie może nie był to przypadek, a coś, co musiało się wydarzyć. Snułem się nocą po Marywilskiej, przy Dworcu Wileńskim. Ona czekała na nocny na przystanku, podeszło do niej jakichś dwóch, zaczęło ją zaczepiać. Normalnie ignorowałem takie sytuacje, bo co mnie obchodzi, co robią *gadzie*…

– *Gadzie*?

– Obcy. Nie-Romowie.

– W porządku. I tym razem było inaczej?

– Z jakiegoś powodu tak – powiedział Bukano. – Obrzuciłem tych troje wzrokiem, przechodząc obok. Pech chciał, że dziewczyna akurat spojrzała na mnie. Było w jej oczach coś, co kazało mi się zatrzymać i…

– I dał im pan po mordzie, a damę uratował.

Horwat już otwierał usta, by rozwinąć, ale Chyłka nie dała mu okazji.

– Jak nazywała się żona?

– Patrycja. Pochodzi… pochodziła z dobrze sytuowanej rodziny, więc może pani sobie wyobrazić, że nie mieliśmy łatwo.

– Wyobrażam sobie.

– Po tamtym spotkaniu przy Dworcu Wileńskim zaczęliśmy się widywać… z początku niezobowiązująco, ale po kilku tygodniach oboje uświadomiliśmy sobie, że szukamy każdego pretekstu, by choć przez chwilę pobyć razem. Nie było to łatwe, choć przypuszczam, że tego pani nie zrozumie.

– Rozumiem. Jej rodzina…

– Nie – zaoponował. – Pochodziła ze zwyczajnej, choć bogatej, polskiej rodziny. Nikt jej nie inwigilował dwadzieścia cztery godziny na dobę, mogła spotykać się, z kim chciała. To w moim przypadku było inaczej.

– To znaczy?

Bukano westchnął i złożył sztućce. Odsunął talerz i potarł czoło.

– Jestem *dżungałe Roma*.

– Czym?

– Nie czym, a kim – sprostował. – Choć teraz może już nawet w ten sposób nie można mnie określić.

– Nie rozumiem – odparła Joanna i rozmasowała czoło. Chętnie jeszcze by się czegoś napiła, ale nie chciała przesadzać przy kliencie. Tym bardziej, że nie było jeszcze południa. – Wyjaśni mi pan, o co chodzi?

Skinął głową, choć widziała, że niechętnie wracał do tego tematu.

– Zostałem wykluczony – oznajmił. – Jestem w zasadzie *gadzio*, nie mogę utrzymywać kontaktów ze swoją rodziną.

– Bo ożenił się pan z Polką?

– Niezupełnie… to znaczy, to tak nie działa.

– Jak więc?

Bukano spojrzał na menu, które kelner zostawił na stole. Chyłka poczuła, że oto pojawił się cień szansy, by choć zwilżyć usta kolejnym drinkiem.

– Napije się pan czegoś? – zapytała. – Dają tu dobrą tequilę sunrise. Czternaście złotych.

– Chętnie.

Przywołała kelnera, a ten szybko uwinął się z napitkiem. Kiedy wzięła łyk, poczuła, jak uczucie ciepła przyjemnie rozchodzi się po przełyku, a potem po żołądku. Odetchnęła z ulgą, jakby zrzuciła z barków ciężar całego świata.

Spojrzała na klienta. Sposób, w jaki mówił o Patrycji, kazał jej sądzić, że rzeczywiście ją kochał. A jeśli tak, to być może istniała szansa, że jest niewinny. Ale w takim razie Joanna władowałaby się w wyjątkowo parszywą sprawę. Tam, gdzie są Cyganie, nigdy nie dochodziło do niczego dobrego. Znała to z praktyki.

– Więc jak to jest z tymi małżeństwami? – zapytała.

– Możemy zawierać związki, ale nasz partner musi się scyganić.

– To znaczy?

– Może stać się *manus*… to znaczy człowiekiem, o ile przestrzega zasad *romanipen*, naszego kodeksu postępowania.

– Patrycja się nie stała?

– Nie – odpowiedział, spuszczając wzrok. – Nie mogła, ponieważ pracowała jako położna w szpitalu.

– I co w tym złego?

– Kontakt z takimi ludźmi jest zabroniony.

– Dlaczego?

– Bo towarzyszą przy nieczystym akcie narodzin – odparł ciężko Bukano. – Jeśli ktoś z nas się z nimi kontaktuje, powoduje to skalanie. Sam staje się nieczysty. Do tej grupy zaliczają się też adwokaci.

Chyłka uśmiechnęła się i napiła tequili.

– Doprawdy?

– Tak, ponieważ uczestniczycie w procesie sądzenia. A wszelkie sądy powinny odbywać się w ramach zamkniętej społeczności. Roma może sądzić tylko Rom.

– Wygodne.

– Wynikające z tradycji – skontrował, również podnosząc drinka.

Joanna odgięła się na krześle i poprawiła poły żakietu.

– Więc rodzina pana nienawidzi – zauważyła.

– Można tak to ująć.

– Grozili panu?

– Niejeden raz – odparł. – I nie tylko oni. Musi pani zrozumieć, że związek Polki z Romem nie należy do najłatwiejszych, szczególnie jeśli Polka jest naprawdę dobrze sytuowana, ma mnóstwo znajomych i wielu adoratorów. A Patrycja taka właśnie była…

Chyłka pochyliła się i ściągnęła brwi. Zaczynali przechodzić do konkretów.

– Ile było tych gróźb? – spytała.

– Przez te wszystkie lata? Sporo. Były też rzeczy wykraczające poza groźby.

– Ktoś was atakował?

– Nie raz i nie dwa. Miałem robiony most na zęby, chodziłem w gipsie, noszę do dzisiaj kilkanaście szwów… nie było łatwo, wie pani. – Jednym haustem opróżnił szklankę, a Joanna natychmiast zamówiła powtórkę.

Przypatrzyła mu się i dostrzegła wyraz głębokiego bólu na jego twarzy. Jeśli mówił prawdę, życie nieźle dało mu w kość. Szczególnie biorąc pod uwagę to, w jaki sposób zakończyło się jego małżeństwo.

– Dlatego wykupiliście polisy?

– Nie – odparł, gdy kelner postawił przed nimi kolejne tequile sunrise. – Moi teściowie je opłacali, pieniędzy mają pod dostatkiem…

– To niecodzienne rozwiązanie.

– Owszem – przyznał. – Ale wymuszone okolicznościami. Rodzina Patrycji nie chciała zgodzić się na jakąkolwiek inną formę przekazywania jej pieniędzy. Jej… czy raczej naszej córce. Tylko polisy wchodziły w grę. Została nawet wydziedziczona.

– Raczej pominięta w testamencie. Wydziedziczenie to inna instytucja, związana z pozbawieniem zachowku.

– Słucham?

– Nieistotne – odparła Chyłka. – Więc jaka była wysokość tej polisy?

– Milion złotych.

Joanna zamarła z tequilą w ręce. Nieczęsto zdarzało się, by tak wysoko ubezpieczać życie. W praktyce najczęściej zawierano umowy na kilkaset tysięcy, ale ta sytuacja być może rzeczywiście była wyjątkowa. Rodzina chciała zabezpieczyć dziecko, gdyby coś stało się z rodzicami, a jednocześnie nie zamierzała dawać im niczego wprost. Nie wzięto tylko pod uwagę, że ostatecznym beneficjentem mógł zostać także Bukano.

– W porządku – odezwała się prawniczka. – Więc ewidentnie miał pan motyw.

– Ja? Ale…

– Niech pan nie gra głupa. Widzę, że rozgarnięty z pana… Rom. Doskonale zdaje pan sobie sprawę, że prokuratura weźmie na celownik najpierw męża, a dopiero potem zacznie się rozglądać za innymi podejrzanymi.

– To… to będzie absurdalne.

– Słuszna uwaga. Powinni te słowa wyryć sobie jako motto na budynku przy Rakowieckiej – odpowiedziała Chyłka, a potem odchrząknęła, osuszyła szklankę i odstawiła ją z impetem na stół. Podniosła się i rozejrzała.

– Co pani robi?

– Wiem wszystko, co chciałam wiedzieć – oznajmiła. – A nawet o wiele więcej.

– Ale…

– Teraz pora działać.

– Tylko że…

– Potem prześlę panu upoważnienie do obrony w procesie karnym – dodała. – Właśnie zyskał pan najlepszą adwokat w mieście.

– Jednak…

– Płaci pan za obiad i tequilę. Do widzenia – dodała na odchodnym, po czym skierowała się do wyjścia.

Nie mogła stwierdzić, czy na trzeźwo zachowałaby się tak samo. Podjęła decyzję pod wpływem impulsu, choć w głębi ducha zdawała sobie sprawę z tego, że jeśli będzie reprezentować tego człowieka przed sądem cywilnym, wypadałoby także bronić go przed karnym.

Opuściła restaurację i rozejrzała się. Czas zobaczyć zwłoki, uznała.

6
Biuro Oryńskiego, XXI piętro Skylight

Kordian przejrzał doniesienia medialne, z zadowoleniem przekonując się, że nagonka na romskiego męża już się zaczęła. Gdy tylko wyszło na jaw, że kobieta była Polką, w Internecie aż zawrzało od komentarzy. Standardowo największym ogniskiem były te na Onecie.

Dalej wszystko potoczy się dokładnie tak, jak w każdym innym przypadku. Najpierw fala anonimowej nienawiści pod artykułami, potem pełne rezerwy teksty w serwisach informacyjnych, aż w końcu piętnujące komentarze w telewizji. Wytworzy się społeczna presja, która zgniecie Bukano, nim ten zdąży pomyśleć o wypłacie choćby grosza z polisy.

A potem Rom pójdzie siedzieć. Za bestialskie zabicie żony i córki dostanie dwadzieścia pięć lat albo dożywocie, w zależności od tego, na jakiego sędziego trafi i jak dobrze argumentować będzie prokurator.

Oryński liczył na najwyższy wymiar kary. Takich zwyrodnialców nie powinno się już wypuszczać. Resocjalizacja była sprzeczna z ich naturą.

Przestał o tym myśleć, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę! – krzyknął.

Kiedy do środka wszedł Lew Buchelt, Kordian natychmiast się podniósł i machinalnie poprawił krawat. Pierwszy raz zdarzyło się, by patron zawitał do jego niewielkiego gabinetu.

– Dzień dobry, panie mecenasie – wypalił, choć widzieli się nie dalej jak dwie, może trzy godziny temu.

Borsuk mruknął coś pod nosem i stanął przed biurkiem. Spojrzał na aplikanta z góry, lekko pochylając głowę.

– Dobra robota, kawalerze – powiedział.

– Dziękuję.

– Spotkałem się z przedstawicielem Salusa. Są bardzo zadowoleni.

– Cieszę się.

– Przy następnej okazji chcieliby cię poznać.

Oryński z trudem powściągnął wybuch entuzjazmu. Miał ochotę wyrzucić ręce w górę, krzyknąć, choćby klasnąć. Mimo to uśmiechnął się tylko lekko, odkładając celebrację na później.

– Miło mi – powiedział.

Lew odsunął sobie krzesło i powoli na nie opadł. Potem założył nogę na nogę, skrzyżował dłonie na kolanie i niespiesznie omiótł wzrokiem biuro aplikanta.

– A to oznacza, że będziesz wraz ze mną prowadzić tę sprawę – oznajmił Buchelt.

Trudno było powiedzieć, czy to jego inicjatywa, czy to klient poprosił o udział młodego prawnika, któremu tak szybko udało się dotrzeć do istotnych dla firmy informacji. Oblicze Buchelta niczego nie zdradzało. Zdawał się nie być ani dumny ze swojego podopiecznego, ani rozgoryczony, że Salus oczekuje tym razem tandemu. Był w stu procentach obojętny. Był Borsukiem.

– Tak… – zaczął i odchrząknął. – Rozmawiałem już z Arturem na ten temat. Twierdzi, że nie ma przeciwwskazań.

Żelazny niespecjalnie interesował się losem Kordiana, więc zapewne nawet, gdyby jakieś „przeciwwskazania” istniały, nie byłby ich świadomy.

– Ale przechodząc do meritum… – kontynuował Lew. – Nasz klient życzyłby sobie, żeby sprawa jak najszybciej została zakończona. Bez zbędnego rozgłaszania tej kłopotliwej sytuacji.

– Kłopotliwej?

Buchelt powoli skinął głową.

– Nikt nie chce, by kojarzono go publicznie z Cyganami, prawda? – zapytał Lew.

Oryński właściwie chętnie podjąłby polemikę, ale uznał, że do niczego dobrego to nie doprowadzi. Naprzeciw niego nie siedziała Chyłka, która ceniła sobie ostrą wymianę zdań. Ten człowiek oczekiwał raczej uległości i posłuszeństwa, a wszelkie dyskusje były niemile widziane.

– Media są niepotrzebne – dodał Buchelt. – Zresztą sprawa jest oczywista.

– Jak to, że dwa plus dwa daje cztery.

– Otóż to. Cygan wygląda na winnego, nawet jeśli pominiemy dowody, o których nam doniosłeś.

Kordian nie miał zamiaru z tym polemizować. Każdy był niewinny, dopóki sąd nie orzeknie inaczej, ale w przypadku Romów trudno było zachować obiektywizm. Nie chodziło nawet o ewentualne uprzedzenia rasowe, a o statystyki.

W Polsce niestety były one szczątkowe. Nikt nie prowadził ewidencji osób zatrzymanych i skazanych z uwzględnieniem ich pochodzenia etnicznego. W innych krajach jednak prawo do prywatności nie rozciągało się na tę sferę – i tam statystyki pokazywały, że Romowie trafiają za kratki od kilku do kilkudziesięciu razy częściej niż rdzenni mieszkańcy danego państwa.

Poza tym trudno było przymknąć oko na fakt, że spośród dwudziestu tysięcy polskich Romów około osiemdziesiąt procent jest nieaktywna zawodowo, a więc ma co najmniej wątpliwe źródła utrzymania. Tylko trzystu zdobyło wykształcenie wyższe. Dwoje doktorat. Jeśli istniała korelacja między wykształceniem a przestępczością, konkluzja nasuwała się sama.

To wszystko sprawiało, że Bukano mógł już zastanawiać się nad tym, jak przetrwa w więzieniu. W jego sprawie wystarczyłyby liche dowody, tymczasem prokuratura miała na niego prawdziwy obuch.

Z drugiej strony Kordian pamiętał o słowach Jeana Rigaux. Ten legendarny francuski człowiek filmu powiedział kiedyś, że istnieją trzy rodzaje kłamstwa: przepowiadanie pogody, komunikat dyplomatyczny i statystyka. Jeśli nie pomylił się w tym trzecim przypadku, być może ktoś da Romowi szansę.

– Kawalerze?

Oryński spojrzał na patrona, uświadamiając sobie, że ten czegoś od niego oczekuje. Uniósł brwi.

– Wszystko jest dla ciebie klarowne? – zapytał Lew.

– Tak. Trzeba to załatwić szybko i bez rozgłosu. Standard.

– Standard być może dla innych – mruknął Buchelt.

– Słucham?

– Wszystko, do czego się bierzesz, nabiera… dość głośnego wydźwięku.

– Nie wszystko – zaoponował Kordian. – A oprócz tego zazwyczaj to Chyłka…

– Nie chcę o niej słyszeć.

– Oczywiście – odparł czym prędzej Oryński i uniósł lekko dłonie. – Chciałem tylko powiedzieć, że może pan być pewny, iż rozwiążę sprawę po cichu.

– Świetnie.

Kordian milczał, czekając na wytyczne. Gdyby naprzeciw niego siedziała Joanna, usłyszałby już ich stanowczo zbyt wiele. Borsuk jednak się nie odzywał, sprawiając przygnębiające wrażenie.

Po chwili Oryński poczuł się nieswojo z powodu panującej ciszy. Buchelt odezwał się jednak dopiero, gdy aplikant powoli zaczął przeglądać Internet w poszukiwaniu nowych wieści.

– Nie dopuścimy do rozprawy w sądzie cywilnym – oznajmił Lew.

– Nie?

– Jeśli prokuratura się pospieszy, wszystko zostanie załatwione w postępowaniu karnym i nasz klient nie będzie musiał się niczym martwić. Sprawa stanie się formalnością.

Kordian potrzebował chwili, by zastanowić się nad zależnością wyroków karnych i cywilnych. Patron jednak nie dał mu szansy. Najwyraźniej już podjął ostateczną decyzję.

– Ile zajmie przeprowadzenie technikom badania DNA? – zapytał. – To znaczy… mam na myśli formalną drogę, nie twoje nieoficjalne ustalenia.

– Trzy dni.

– W takim razie przez ten czas pan Bukano nie może złożyć wniosku o wypłatę polisy.

– Sądzę, że nawet o tym nie pomyśli.

– Nie?

– Oczywiście, że nie. Inaczej sprawiałby jednoznaczne wrażenie, że jest winny. I że zabił swoją rodzinę, by szybko spieniężyć ubezpieczenie.

7
ul. Domaniewska, Mokotów

Chyłka uznała, że musi natychmiast złożyć wniosek o wypłatę polisy. Wiedziała, że jeśli będzie się ociągać, mogą wystąpić problemy w postępowaniu cywilnym. Wszystko zależało od tego, jakie dowody miała prokuratura i jak prędko zamierzała zacząć działać.

Opuściła siedzibę Salusa zadowolona. Nikt nie robił problemów, formalna procedura została wszczęta. Teraz nikt nie mógł już zamieść sprawy pod dywan. Ostatecznie niewiele to zmieniało, firma będzie bowiem walczyć do ostatniej kropli krwi, ale przynajmniej odbędzie się to na oczach opinii publicznej.

Pierwsze, co zrobią, to prześlą automatyczną odmowę uznania roszczenia. Tak to działało w tej i innych ubezpieczalniach – pracownicy rzadko czytali złożone pisma, słali je od razu do działu, który zajmował się ich odrzucaniem. Nie miało znaczenia, czy świadczenie w istocie powinno być wypłacone, czy rzeczywiście było bezzasadne. Chodziło o odsiew najmniej zdeterminowanych klientów. Ci, którzy zdecydowali się napisać odwołanie, często z automatu otrzymywali żądaną należność. Pozostali nie wiedzieli, że poszłoby tak łatwo, gdyby tylko ruszyli palcem.

Joanna rozejrzała się, niepewna, gdzie zaparkowała iks piątkę. W końcu przypomniała sobie, że zostawiła ją na prywatnym parkingu przy Postępu. Kosztował dwadzieścia złotych, ale w okolicy brakowało alternatywy. Domaniewska była zastawiona samochodami tych, którzy urzędowali tutaj od piątej czy czwartej rano. Pozostali systematycznie zasilali kabzy domorosłych potentatów branży parkingowej, którzy wyrośli tu jak grzyby po deszczu, gdy tylko w sąsiedztwie pojawiły się siedziby wielkich firm.

Chyłka wyprostowała się i ruszyła niespiesznie w stronę parkingu. Jednostajny szum miasta działał na nią uspokajająco. W takich miejscach jak to czuła się jak ryba w wodzie. Okolicę nazywano

Mordorem, ale było w tym coś pieszczotliwego. Zresztą tabuny dobrze wykształconych ludzi ciągnęły tu jak ćmy do światła. Nie robiliby tego, gdyby rzeczywiście nienawidzili korporacyjnego życia.

Joanna minęła przeszklone biurowce, pod którymi ciągnęła się wystawa luksusowych samochodów, po czym weszła na Postępu. Zasiadłszy w iks piątce, poczuła rozrzewnienie. Drzwi do tamtego świata zamknęły się za nią z hukiem. Nawet jeśli zdoła wybronić tego Cygana, nie znajdzie pracy w żadnej wielkiej kancelarii.

Wcisnęła przycisk start, a potem wyjechała z parkingu. O trzynastej nie było z tym żadnego problemu, jednak około osiemnastej nawiązanie do krainy J.R.R. Tolkiena zaczynało nabierać sensu. Wyjazd z Mordoru zabierał dobrą godzinę, mimo że do przejechania było raptem kilkaset metrów.

Teraz jednak bmw pomknęło swobodnie w kierunku Alei Niepodległości. Na światłach za kościołem Joanna wprowadziła właściwy adres do nawigacji, a potem wyjechała na dwupasmówkę.

Zerknęła na zegarek. Z aspirantem Szczerbińskim była umówiona na pięć minut temu, ale jeśli się pospieszy, zmieści się jeszcze w kulturalnym kwadransie. Mieli spotkać się w Green Caffè Nero na placu Konstytucji, niedaleko komendy.

Szczerbiński – w policyjnych kręgach zwany Szczerbatym – był pierwszym funkcjonariuszem, który dzięki Chyłce i aplikacji Endomondo trafił na trop pewnego mafiosa. Później wprawdzie sprawa nieco się skomplikowała i policja odkryła, że donosy były grubymi nićmi szyte, ale aspirant najwyraźniej zdążył już jej odpuścić.

Nie spodziewała się, że pójdzie tak łatwo, jednak zgodził się na spotkanie, gdy tylko je zaproponowała. Nie pytał nawet, o co chodzi. Przemknęło jej przez myśl, że może liczy na kolejny donos.

Zaparkowała na chodniku naprzeciw kawiarni. Nie było to miejsce parkingowe, ale uznała, że nadaje się w sam raz. Zresztą nie stała tu jako jedyna. Wyszła z samochodu, przejrzała się w oknie, a potem ruszyła do Green Caffè Nero.

Szczerbiński uniósł dłoń, dostrzegając prawniczkę. Siedział tuż przy oknie, zamówił sobie kawę i kanapkę, która wyglądem i zapachem działała na Chyłkę drażniąco.

– Co to jest? – zapytała.

Aspirant wyglądał na nieco zmieszanego.

– Dzień dobry – powiedział.

– Czołem – odparła, wskazując na danie. – Co to?

– Kanapka z łososiem i avocado.

Joanna długo milczała.

– Coś nie tak? – zapytał Szczerbaty.

– Nie – odpowiedziała, zajmując miejsce przy stoliku. Rozejrzała się niepewnie, czując, że jest na obcym, wrogim terenie. – Pełno tu hipsterów.

Szczerbiński również powiódł wzrokiem wokół. Nikt nie złowił jego spojrzenia. Najwyraźniej umundurowany policjant pozostawał dla bywalców niewidzialny.

Aspirant odchrząknął i napił się kawy.

– Ile to już minęło od sprawy Langera? – odezwał się.

– Półtora roku? Dwa lata? Nie wiem, nie śledzę upływu czasu tak skrupulatnie.

– Wydaje mi się, że…

– I nie przyszłam tu na wspominki.

– Rozumiem – odparł, odstawiając kawę i zawijając kanapkę w papier. – W takim razie co dla mnie pani ma?

– Przejdźmy na ty, aspirancie.

– Awansowali mnie na aspiranta sztabowego.

Joanna pokiwała głową z uznaniem, ułożyła ręce jak do klaskania, a potem spojrzała na niego spode łba.

– Nie robi to na mnie specjalnego wrażenia, aspirancie sztabowy – powiedziała. – I to nie ja przychodzę z czymś do ciebie, a ty do mnie.

Nie wyglądał na zadowolonego. Musiał szybko zrozumieć, że zjawienie się tutaj mogło okazać się potencjalnym błędem. Rozpakował na powrót kanapkę i ugryzł kawałek. Chyłka poczuła nieprzyjemny zapach łososia. Przywołał wspomnienia, które chciała upchnąć głęboko w odmętach pamięci.

– Robert Horwat – powiedziała. – A właściwie Bukano.

– Hm? – mruknął z pełnymi ustami policjant.

– Zostanie zatrzymany za dwa, może trzy dni, jeśli prokuratura będzie utrzymywać swoje zwyczajowe tempo.

– Przykro mi, ale nie wiem, o czym mówisz.

Joanna westchnęła i powiodła wzrokiem po lokalu. Złowiwszy wzrok baristy, uniosła rękę, by go przywołać. Ten zrobił bezradną minę i rozłożył ręce.

– Nie mają tu kelnerów? – burknęła.

– Musisz podejść.

Po chwili wróciła z espresso special. Piętnaście gramów czarnej jak smoła kawy.

– Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, ale nie mam całego dnia – oświadczył Szczerbaty, podciągając rękaw kurtki mundurowej. – Możemy przejść do rzeczy?

Zauważyła, że zjadł już kanapkę i powoli dopijał swoją kawę.

– Jasne – odparła. – Chodzi o te dwa trupy przy torowisku na Ursusie.

– Przy Prażmowskiej?

– A były w ostatnim czasie jakieś inne?

Aspirant wyprężył klatkę piersiową.

– Co w związku z nimi? – zapytał.

– Bronię faceta, który jest głównym podejrzanym.

– Przecież to miało miejsce dopiero wczoraj i nikt jeszcze nie…

– Daruj sobie.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Joanna pociągnęła niewielki łyk kawy. Od razu zrobiło jej się lepiej i odniosła złudne wrażenie, jakby wypity dziś rano alkohol nagle wyparował. Zmrużyła oczy i przyjrzała się Szczerbińskiemu. Z pewnością czuć od niej było tequilą, jakkolwiek policjant najwyraźniej albo miał problemy z węchem, albo postanowił ten fakt zignorować.

– Doskonale wiesz, o kim mowa – dodała Chyłka.

– Nie zajmuje się tą sprawą.

– Ale jest na tyle głośna, że o niczym innym nie rozmawiacie w komendzie.

– Posłuchaj… – zaczął, rozglądając się niepewnie. – Pracuję w Komendzie Rejonowej dla Śródmieścia. Nie mamy dostępu do akt tej sprawy, a nawet gdyby…

– Nie potrzebuję akt.

Spojrzał na nią bykiem i odstawił pustą filiżankę.

– Potrzebuję informacji – dopowiedziała. – A ty masz wobec mnie dług.

– Jaki niby dług? Tamten cynk o Siwowłosym sprawił, że wszyscy nagle zaczęliśmy balansować na krawędzi.

– Bzdura. Ostatecznie ujęliście groźnego przestępcę.

– Nie – zaoponował. – Daliśmy się ograć, realizując wasze marketingowe cele. Przez to nie mieliśmy odpowiedniego materiału dowodowego, nie mogliśmy zbudować odpowiedniej sprawy i…

– Dobra, dobra. Pamiętam te zdarzenia – ucięła. – I w takim razie dlaczego w ogóle się tu zjawiłeś?

Szczerbaty wstał, podnosząc filiżankę i talerz po kanapce.

– Bo to, co zrobiłaś w sprawie Szlezyngierów, kazało mi sądzić, że jesteś najporządniejszym prawnikiem, jakiego znam.

Joanna skrzyżowała ręce na piersi i odgięła się na krześle.

– Czuję się obrażana.

– Mówię poważnie – zastrzegł aspirant. – Zastanów się nad karierą w wymiarze ścigania. Jako adwokat jesteś spalona.

Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, policjant się oddalił. Machnął do niej jeszcze na pożegnanie, a potem znikł za drzwiami. Chyłka zaklęła w duchu i napiła się espresso. Nagle przestało tak dobrze smakować.

Czego ona się spodziewała? Że Szczerbiński ot tak przekaże jej wszystkie informacje? Jeszcze kilka miesięcy temu być może udałoby jej się wydusić z niego to, czego chciała. Teraz jednak jej siła przebicia była znacznie mniejsza. W dodatku tak po prostu pozwoliła mu odejść. Rzadko kiedy ostatnie zdanie nie należało do niej.

Gorzko uświadomiła sobie, że jest w gorszej formie niż po wypadku na Mazurach. Westchnęła, a potem dopiła kawę jednym łykiem. Zostawiła filiżankę na stoliku, po czym opuściła kawiarnię. Na zewnątrz sięgnęła do torebki i wyjęła paczkę marlboro. Zapaliła i szybko zakręciło jej się w głowie.

Stała przed Green Caffè Nero, wbijając wzrok w iks piątkę. Miała pustkę w głowie i obawiała się, że szybko się to nie zmieni. Potrzebowała pomysłu, dojścia do akt sprawy i do samych zwłok…

lub choćby protokołu z oględzin i sekcji. Musiała wiedzieć, co dokładnie się wydarzyło.

Podeszła do samochodu i wrzuciła torebkę na siedzenie pasażera. Potem wyjęła z niej telefon i wybrała numer jedynego człowieka, który mógł jej pomóc. Nie miała pewności, czy Harry McVay odbierze, ale jeśli ktokolwiek z kancelarii miał to zrobić, to wyłącznie on.

Brytyjczyk kazał jej czekać tylko przez trzy sygnały.

– Jeśli to nie pomyłka, jestem skołowany – powitał ją.

– Ostatnio wszystko jest pomyłką – odparła Chyłka. – Szczególnie u was.

– Masz na myśli zapewne to, że pozwoliliśmy ci odejść?

– Nie tyle pozwoliliście, co nie zostawiliście mi innego wyjścia.

– Być może – przyznał.

Nie wiedziała, jak McVay zapatrywał się na całą tę sprawę. Nie rozmawiała z nim od momentu, gdy opuściła kancelarię. Jednak fakt, że się z nią nie skontaktował, świadczył wymownie na korzyść tezy, że zaakceptował ten stan rzeczy.

– Nie walczyłeś o swoją najlepszą prawniczkę, co? – zapytała.

– Dzwonisz po kilku miesiącach, by mnie o to pytać? – odparł.

– Nie.

– To dobrze. Bo powiedziałbym ci teraz to samo, co wtedy.

– Mianowicie?

Niespecjalnie ją to interesowało, ale zdawała sobie sprawę, że jeśli chce coś ugrać, musi przygotować odpowiedni grunt. Z dwóch imiennych partnerów to Harry był tym, który miał minimum empatii.

– Broniłbym cię, gdybyś przyszła do mnie wcześniej z tą sprawą – oznajmił. – Załatwiłaś to jednak sama jak cholerny Clint Eastwood, więc sama musisz radzić sobie z konsekwencjami.

– Poradziłam sobie z nimi zaraz po opuszczeniu Skylight.

– Ach tak.

Zamilkła, bo jakakolwiek odpowiedź kazałaby mu sądzić, że to wierutna bzdura. Musiała uciąć temat.

– Ale nie po to dzwonię – zaznaczyła. – Potrzebuję twojej pomocy w sprawie, którą prowadzę.

McVay zamilkł. Cisza przeciągnęła się na tyle długo, że prawniczka zaczęła zastanawiać się, czy aby nie przerwało połączenia.

– Jesteś tam? – spytała.

– Tak – odparł Harry. – Ale musiałem przetrawić to, co powiedziałaś. Chyba pierwszy raz usłyszałem, jak o coś prosisz.

– Gówno prawda.

– Tak? – zapytał z powątpiewaniem. – A to nie od ciebie słyszałem kiedyś, że „prosi to się świnia na wiosnę”?

– Z całą pewnością nie.

– A mnie jednak wydaje się, że…

– Pomożesz mi czy nie? – ucięła.

Oparła się o otwarte drzwi bmw i powiodła wzrokiem wokół. Zauważywszy w oddali samochód straży miejskiej, poczuła falę gorąca. Czym prędzej wsiadła do wozu i zapuściła silnik.

– To zależy, czego oczekujesz – powiedział McVay.

Chyłka wycofała, nawróciła, a potem sprawnie włączyła się do ruchu. Zazwyczaj nie miała nic przeciwko dyskutowaniu ze strażnikami, ale niekoniecznie chciała to robić, gdy nadal czuć od niej było alkohol.

– Chodzi o przysługę – powiedziała. – Potrzebuję dojścia do ZMS-u.

– Do czego?

– Zakładu Medycyny Sądowej.

– Zamierzasz zmienić profesję?

– Mówię poważnie – odparła, wbijając kierunkowskaz i zjeżdżając w Marszałkowską. – Muszę pogadać z kimś od sekcji.

– Z kim konkretnie? I w jakim celu?

Ten moment był kluczowy. Jeśli Harry McVay był obecnie w Polsce, istniało pewne prawdopodobieństwo, że wie o ostatnich wydarzeniach. Niewielkie, bowiem Brytyjczyk większość czasu spędzał nie w Warszawie, a w Krakowie. W dodatku podział na dwa obozy w firmie sprawiał, że imienni partnerzy najczęściej nie informowali się wzajemnie o swoich sprawach – chyba że zachodziła absolutna konieczność.

Lew Buchelt był w obozie Żelaznego, toteż Chyłka spodziewała się, że jeden ani drugi nie pochwalił się McVayowi, iż Salus jest

ubezpieczycielem ofiar z Ursusa.

– Chodzi o tę sprawę z wczoraj – odezwała się Joanna.

– Zabójstwo przy torowisku?

– Najwyraźniej oglądasz coś poza BBC, to się chwali – zauważyła prawniczka. – Będę bronić głównego podejrzanego.

– A kto nim jest?

– Mąż.

– Winny?

– Wszystko wskazuje na to, że tak – odparła. – Szczególnie to, że jest Cyganem.

– Taaak – odparł przeciągle McVay. – Widziałem, jak przepychał się przez kordon policji. Nie robi najlepszego wrażenia.

– Jesteś uprzedzony, Harry?

– Absolutnie nie – zaprzeczył. – U nas żyje trzysta tysięcy Romów, część nadal jeździ w karawanach. A wiesz, kiedy pojawiły się największe fale imigracji w ostatnim czasie?

– Nie.

– W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku, kiedy centralna Europa odrzucała komunizm. Potem w dwa tysiące czwartym, kiedy kraje regionu przystąpiły do Unii. To powinno dać ci do myślenia.

– Mniejsza z tym – powiedziała Joanna, robiąc nawrotkę przez torowisko na Wilczej. – Masz kogoś znajomego w tej katedrze? Czy nie?

– To zależy, kto poprzechodził na emeryturę. Moje warszawskie kontakty są nieco… przykurzone.

– Daj znać, jak coś ustalisz – odparła Chyłka, a potem się rozłączyła.

Odłożyła telefon do schowka, uznając, że dobrze zrobiła. Nie było sensu dłużej ciągnąć tej rozmowy, słyszała w głosie McVaya, że już się zgodził. Jeśli jakimś cudem nie zorientuje się, że działa na niekorzyść własnej kancelarii, być może uda mu się spełnić jej prośbę.

Przyspieszyła i pomknęła Marszałkowską na południe. Przy metrze Politechnika skręciła w prawo i wjechała w aleję Armii Ludowej. Ruch był już wzmożony, ale trzy pasy umożliwiały jej lawirowanie między

samochodami. Podgłośniła Iron Maiden i dała gaz do dechy, wypatrując z uwagą patroli policyjnych.

Po piętnastu minutach, których większość straciła w korku na Wawelskiej, zajechała pod gmaszysko Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. Wyszła z iks piątki z telefonem w ręku. Miała nadzieję, że McVay do tej pory zadzwoni, zazwyczaj załatwiał wszystkie sprawy w okamgnieniu.

Tym razem jednak najwyraźniej tak nie było. Chyłka włączyła sieć LTE i szybko znalazła najbliższe miejsce, gdzie mogła zaopatrzyć się w coś do picia. W delikatesach po drugiej stronie parku Malickiego kupiła buteleczkę absoluta. Tequili nie mieli.

Wypiła trochę, szwendając się po parku. W końcu usiadła przy stawie, wypaliła kilka papierosów, a potem nagle rozbrzmiał refren z *Afraid To Shoot Strangers*. Chwyciła za komórkę, przekonana, że dzwoni Harry. Pomyliła się.

Nie miała zapisanego numeru, ale dobrze znała pierwsze cyfry. Kancelaria Żelazny & McVay. Nabrała tchu. Miała tylko nadzieję, że to nie Zordon.

8
Gabinet Oryńskiego, XXI piętro Skylight

Wymagało to działania pod wpływem impulsu. Chwila zastanowienia skutecznie pogrzebałaby to, co miał zamiar zrobić Kordian. Kiedy tylko otrzymał z Salusa informację o tym, kim jest pełnomocnik składający pismo w imieniu Bukano, chwycił za telefon.

Wybrał numer Chyłki, ale nie przycisnął zielonej słuchawki.

Nigdy nie był dobry, jeśli chodzi o działanie pod wpływem impulsu. Odłożył telefon na miejsce, a potem podniósł się i wyszedł na korytarz. Panował tu zwyczajowy rwetes. Pracownicy przekrzykiwali się, przepychali i udawali, że nie są dla siebie istotami ludzkimi, a jedynie przeszkodami na drodze do celu.

Było w tym chaosie coś symptomatycznego. Coś, co stanowiło kwintesencję pracy w Żelaznym & McVayu.

Oryński uniknął zderzenia z kurierem, po czym skierował się do biura patrona. Zapukał, a potem odczekał, aż ten otworzy mu drzwi i wpuści go do środka.

– Jakieś wieści, kawalerze?

– Nie za dobre.

Borsuk spojrzał na niego po borsuczemu.

– Spocznij – powiedział, wskazując jeden z dwóch foteli przy oknie.

Lew Buchelt był jednym z niewielu prawników w kancelarii, którzy spotykali się z klientami w swoim gabinecie. Reszta ochoczo korzystała z sal konferencyjnych, biura zastrzegając dla siebie. *Home away from home*. W tym przypadku określenie było na miejscu, bowiem niektórzy spędzali tu więcej czasu niż w domu.

Na końcu korytarza oprócz toalet była także łazienka, która nieustannie cierpiała na tę samą przypadłość – nadmiar ręczników. Poupychane wszędzie, dawały pojęcie o tym, jak wielu prawników nie wraca na noc do siebie.

– Wyglądasz, jakby wydarzyła się tragedia – zauważył Lew.

Kordian zajął miejsce przy stoliku i rozpiął guzik marynarki.

– Złożono wniosek o wypłatę polisy – powiedział.

– Już?

– Salus wydał automatyczną odmowę. Jeszcze nie dotarła do klienta.

– To rzeczywiście niedobrze – mruknął Buchelt, siadając obok.

– To nie wszystko.

Stary adwokat uniósł powoli brwi.

– Pismo złożyła pełnomocniczka Bukano. Nie chce pan wiedzieć, jak się nazywa.

Inna osoba pociągnęłaby Oryńskiego za język. Borsuk jednak cierpliwie czekał, aż aplikant przekaże mu wszystkie informacje.

– Joanna Chyłka – powiedział Kordian.

– Słucham?

Naraz Buchelt zaczął sprawiać wrażenie bardziej adekwatne do swojego imienia. W jego oczach pojawiła się agresja, przesunął się na koniec fotela, jakby był gotowy do ataku.

– Musiała wiedzieć, że reprezentujemy Salusa – ciągnął Oryński. – Inaczej nie wzięłaby jego sprawy.

– Oczywiście, że wiedziała. Zna wszystkich największych klientów.

– Więc szuka zemsty.

Adwokat pokiwał głową, marszcząc czoło.

– To przedstawia pewien problem – zauważył mrukliwie i wrócił do poprzedniej pozycji, rozsiadając się wygodniej.

– Obawia się jej pan?

– W pewnym sensie.

Kordian cierpliwie czekał, aż patron wyjaśni.

– Obawiam się jej nieprzewidywalności – dodał w końcu Lew. – Z łatwością wyrządza sobie szkody, ale przy okazji może także wyrządzić je naszemu klientowi.

– Sprawa jest raczej oczywista.

– Owszem, lecz… – urwał i nie dokończył. Nie musiał. Oryński doskonale zdawał sobie sprawę z tego, ile „oczywistych” z punktu widzenia drugiej strony spraw udało się Chyłce wygrać. Była mistrzynią sądowej sofistyki i zdarzało się, że wywodziła w pole sędziów zarówno pierwszej, jak i drugiej instancji.

Ale teraz wypadła z obiegu. Od miesięcy nie była na sali sądowej i nie zanosiło się na to, by prędko miała tam wrócić. Kormak twierdził, że udziela porad prawnych w centrum handlowym, co w jej sytuacji należało uznać za sukces. Alternatywą było już chyba tylko bezpłatne edukowanie drobnych przestępców na internetowych forach prawniczych.

– Nie unikniemy więc postępowania cywilnego – zauważył Kordian.

– Niestety.

– I trzeba się z nią rozmówić. Wybadać, co planuje.

– Owszem – przyznał Buchelt i spojrzał znacząco na podopiecznego. – I to zadanie będzie należało do ciebie.

– Ale…

– Nic nie osiągnie sprawą cywilną. Należy dowiedzieć się, dlaczego zamierza wstępować na tę drogę.

Oryński potwierdził powolnym ruchem głowy i ze zgrozą pomyślał o tym, że kopiuje gesty patrona. Przełknął ślinę, patrząc w kierunku telefonu stojącego na biurku.

– Problem polega na tym, że my… – zaczął niepewnie. – Nie rozstaliśmy się w najlepszych stosunkach.

– A więc to prawda, co mówili?

– Kto mówił? I co?

– O waszej rzekomej relacji, kawalerze.

– Nie wiem, co mówiono, ale zapewniam, że nie było w tym nic niestosownego.

Może nie licząc jego podchodów. I pewnego wieczoru na molo na Mazurach. I może jeszcze tej nocy, gdy grali w bilard w białostockim hotelu na kilka dni przed ogłoszeniem wyroku w sprawie Szlezyngierów. Tak, ten ostatni element z pewnością nie był niestosowny. Ani trochę.

– Z ręką na sercu? – zapytał Lew.

– Oczywiście.

Kordian nie zawahał się przed kłamstwem. W miejscu, gdzie było ono na porządku dziennym, nie wypadało nawet myśleć o mówieniu prawdy.

– Rozumiem – odparł Buchelt. – Ale w takim razie w czym tkwi problem?

– Zbliżyliśmy się – przyznał Oryński. – Nie było w tym nic zdrożnego, ale pojawiła się więź. Przyjaźń.

– Trudno mi sobie wyobrazić, by Joanna z kimkolwiek ją nawiązała.

– A jednak tak się stało – odparł aplikant. – I kiedy wszystko zawaliło się jak domek z kart, nasze stosunki stały się… kłopotliwe. Sam pan rozumie.

– Być może.

– W każdym razie lepiej będzie, jeśli to pan nawiąże z nią kontakt.

Borsuk mruknął coś, przymykając oczy. Kordian przez moment obawiał się, że adwokat zapada w niekontrolowaną drzemkę, ale ten po chwili skinął do siebie głową i podniósł się z fotela. Zasiadł za szerokim biurkiem, wybrał numer, po czym włączył głośnik w telefonie.

Z każdym kolejnym sygnałem Oryński czuł, jak serce podchodzi mu do gardła.

Chyłka w końcu odebrała.

– Mam mało czasu – odezwała się. – Więc ktokolwiek zamierza truć mi dupę, lepiej, żeby się streszczał.

Głos miała taki jak zawsze. Nic nie wskazywało na to, by była w gorszej formie. Może Kormak przesadzał, a nieobecność na sali sądowej przez te wszystkie miesiące sprawiła, że Joanna wygłodniała? Jeśli tak, rzeczywiście mogli mieć problem.

– Lew Buchelt z tej strony – wymamrotał Borsuk.

– Ożeż…

– Słucham?

– Gorzej być nie mogło – powiedziała Chyłka. – Przepadła szansa na to, żeby szybko zakończyć tę rozmowę. Ale błagam cię, ponura kreaturo, postaraj się streszczać.

– Wolałbym, żebyś powstrzymała się od…

– No, mów. O co chodzi? Inne żółwie wygnały cię z terrarium?

– Słucham?

– Ślimaki złożyły na ciebie skargę na bezczynność?

Buchelt przesunął kilka kartek na biurku.

– W dodatku milczysz – dodała Joanna i westchnęła prosto do słuchawki. – Do roboty! Czas oznajmić rozmówczyni, w jakim ludzko pojętym celu ją niepokoisz.

– Zamierzałem to zrobić, jednak…

– Chodzi o Bukano?

Lew spojrzał na Kordiana, a ten skinął głową.

– Tak, o Roberta Horwata, który…

– Oni używają swoich imion. Te urzędowe są im narzucone.

– Rozumiem, jednak to nie…

– Nieistotne? Dla nich wręcz przeciwnie. Ale rozumiem, że dla ciebie liczy się tylko to, jak wmanewrować go w wyjątkowo ohydną sprawę?

– My…

– Jesteście bez duszy – perorowała dalej Chyłka. – Z tego zresztą powodu od was odeszłam.

– O ile mnie pamięć nie myli, zrobiłaś to dlatego, że byłaś skończona.

– Zwał, jak zwał – odparła i odchrząknęła. – Mów, czego chcesz?

Obserwując bacznie Buchelta, Kordian mógłby przysiąc, że na jego czole zaraz pojawią się krople potu. Borsuk sprawiał wrażenie głęboko zaniepokojonego, choć początek tej rozmowy był ni mniej, ni więcej jak standardowy. Przynajmniej jeśli po drugiej stronie znajdowała się Chyłka.

– Helou? – spytała śpiewnie Joanna.

– Chciałem cię przestrzec – wydusił w końcu Lew. – Wzięłaś sprawę, która cię przerośnie.

– Nieraz to słyszałam. Na razie żadnej się nie udało.

– A mimo to…

– No, może było kilka, które… powiedzmy, że spełniły moje oczekiwania. W tym pieprzony Langer. Czasem mi go brakuje, jak tak się nad tym zastanowię.

– Posłuchaj…

– Cały czas słucham, tylko ty masz problemy z przekuwaniem myśli na słowa – odparła szybko niczym pistolet maszynowy. – Masz gdzieś tam jakiegoś pomocnika pod ręką? Kogokolwiek, kto mógłby kontaktować się ze stroną przeciwną w twoim imieniu? Bo mam wrażenie, że zanim się dogadamy, ja już będę się zastanawiała nad poleceniami testamentowymi dla moich wnuków. A zapewniam cię, że mam sporo pomysłów.

– Ja…

– Ty, ty. Dawaj kogoś kompetentnego do telefonu.

Oryński słuchał tego z rosnącym niepokojem. Po pierwsze dlatego, że patron najwyraźniej wyszedł z wprawy, jeśli chodziło o przedsądowe przepychanki. Tym bardziej będzie miał problem, gdy dojdzie do rozprawy. Kordian właściwie nie powinien się dziwić, wszak Buchelt od lat przesiadywał w biurze i obsługiwał tylko wybranych klientów. Tych największych. Tych, wobec których nikt nie wytaczał pozwów, bo było to równoznaczne samobójstwu.

Drugi powód obaw Oryńskiego był jednak poważniejszy. Joanna najwyraźniej nie miała bladego pojęcia o tym, że trafił pod skrzydła Borsuka. I niewiele dzieliło ją od tego, by uzyskać tę wiedzę z autopsji.

– Po co ci ta sprawa? – burknął Lew.

– Bo chcę wam dołożyć.

– To infantylne, nawet jak na ciebie.

– Naprawdę? Komplementuj dalej.

Buchelt spojrzał bezradnie na swojego podopiecznego, a ten rozłożył ręce. Przyjął wyraz twarzy, który w jego mniemaniu powinien wystarczyć, by patron ani myślał o przekazaniu mu słuchawki.

– Nie da się z tobą dogadać, prawda? – zapytał Lew.

– Obiegowa wieść głosi, że jestem jak Charon.

– Słucham?

– Jak nie dasz obola, nic nie załatwisz – wyjaśniła. – A w twoim przypadku zapłatą za przewiezienie przez Styks będzie przedsądowa ugoda. Idziesz na to, mruku?

– Chyba raczysz…

– W takim razie nie mamy o czym gadać.

– Owszem, mamy – zaoponował nieco bardziej stanowczo Lew. – Bowiem kluczowe dla ciebie jest, by…

– Czego chcesz?

– Uzyskać odpowiedź na proste pytanie – odparł, nie dając zbić się z pantałyku. – Dlaczego wytoczyłaś sprawę cywilną? Przecież wiesz, że wszystko rozstrzygnie się w karnej.

Joanna milczała. Prawnicy z kancelarii Żelazny & McVay wymienili się spojrzeniami.

– Jesteś tam? – zapytał Buchelt.

– Nie.

– Dajże spokój!

– Wybacz, udzielił mi się twój melancholijny nastrój – oznajmiła Chyłka, a Oryński bez trudu wyobraził sobie, jak szeroko się uśmiecha. Słyszał to w jej głosie. – A sprawa cywilna jest jak najbardziej na miejscu, bo mojemu klientowi nie postawiono żadnych zarzutów. Formalnie nie jest nawet podejrzanym w sprawie. Jeśli więc traktujesz poważnie artykuł czterdziesty drugi ustęp trzeci Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej, skończ pierdolić.

Przy tak postawionej sprawie Lew zamilkł. Kordian wprawdzie nie znał Konstytucji na pamięć, ale mógł z dużą dozą prawdopodobieństwa przypuszczać, że chodzi o domniemanie niewinności.

– Ma prawo do wypłaty polisy po zmarłych bliskich – dodała Joanna i przez moment się nie odzywała. – Taka sytuacja – dodała.

Oryński podniósł się z fotela i podszedł do starego adwokata. Borsuk wyglądał, jakby miał zamiar wydrążyć tunel w ziemi i się tam zakopać.

Aplikant nabrał tchu. Nie chciał uderzać z zaskoczenia, ujawniając swoją obecność, ale patron najwyraźniej potrzebował wsparcia. Zanim jednak Kordian zdążył przyjść mu z odsieczą, Chyłka dodała:

– Nic na niego nie mają. Nie licząc karnacji i spuścizny kulturowej.

Zaskoczyła go. Nigdy nie spodziewał się, że akurat ona wystąpi w obronie jakiejkolwiek mniejszości. Szczególnie romskiej. Oryński nie raz i nie dwa podczas posiedzeń w Hard Rock Cafe lub u niej w apartamencie nasłuchał się różnych uwag na temat tego, co powinno się zrobić z Cyganami. A tymczasem teraz broniła jednego.

I nie miała pojęcia o dowodach DNA. Nie wiedziała, że prokuratura za kilka dni ze stuprocentową pewnością stwierdzi, że Robert Horwat najpierw zgwałcił, a potem zamordował swoją żonę i córkę.

9
Park Malickiego, Ochota

Joanna pożegnała rozmówcę i się rozłączyła. Nie miała siły słuchać dłużej dukania Lwa Buchelta, zresztą niczego by się od niego nie dowiedziała. Jego milczenie na końcu kazało jej jednak sądzić, że wie znacznie więcej niż ona.

Prokuratura musiała mieć coś na Bukano. I kancelaria Żelazny & McVay o tym wiedziała.

Wniosek mógł być tylko jeden i sprowadzał się do sześciu liter. Kormak.

Przez moment Chyłka zastanawiała się nad umówieniem się z chudzielcem, ale ostatecznie uznała taką ewentualność za ostatnią deskę ratunku. Nie chciała stawiać go w sytuacji, w której musiałby wybierać między lojalnością wobec niej a kancelarii. Zresztą wciąż czekała, aż odezwie się McVay.

Brytyjczyk zadzwonił, gdy zrobiła kółko po parku.

– *Good news, Jo* – powiedział.

– Załatwiłeś mi wizytę w trupiarni?

– Tak – odparł bez emocji. – Twoim przewodnikiem po tych urokliwych włościach będzie sam profesor Skibski.

– Ojej, naprawdę?

Harry cmoknął i na chwilę zamilkł.

– Nie masz pojęcia, kim on jest, prawda? – spytał.

– Najbledszego – przyznała. – Ale przypuszczam, że to dobry specjalista. Nieznany mi zapewne z tego względu, że nie przyjmuje ochłapów i nie pracuje jako biegły.

– Mhm.

– Kiedy mogę się z nim zobaczyć?

– Czeka na ciebie już teraz.

– To się dobrze składa, bo jestem pod budynkiem.

– Jesteś na Oczki?

Joanna rozejrzała się. Od ulicy Oczki dzieliło ja całkiem sporo, ale przecież…

– Jestem pod WUM-em – powiedziała.

– W takim razie radziłbym ci się pospieszyć.

Potrząsnęła głową, uświadamiając sobie, że popełniła błąd. Oczywiście, prosektorium znajdowało się w zupełnie innym miejscu. Zaklęła w duchu, zrzucając wszystko na karb wypitego alkoholu. Ruszyła w kierunku iks piątki.

– Chyłka?

– Pomyliłam adresy.

– Kiedyś musi być ten pierwszy raz – odparł McVay. – Zygmunt zawiódł?

– Pamiętasz, jak nazywa się moja nawigacja? Powiedziałabym, że to urocze, gdybym była słodką idiotką – odrzekła. – A teraz wybacz, ale wsiadam do auta. Do usłyszenia.

– Do…

Rozłączyła się i położyła telefon obok gałki skrzyni biegów. Czym prędzej wyjechała na ulicę i popędziła w kierunku centrum. Zakład mieścił się rzut kamieniem od Dworca Centralnego – i robił diametralnie inne wrażenie niż kompleks uniwersyteckich budynków przy Żwirki i Wigury.

Ponure gmaszysko idealnie konweniowało ze swoim przeznaczeniem. Siermiężna, zapuszczona fasada sprawiała niepokojące wrażenie. Trudno było znaleźć miejsce, gdzie farba nie odchodziłaby od kolumn czy elewacji. Chyłka spojrzała na stary, stylizowany na rzymską modłę napis „ZAKŁAD MEDYCYNY SĄDOWEJ” i poczuła nieprzyjemne ciarki.

Brakowało tylko Dantego, który powiedziałby: „porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy wchodzicie”.

Joanna poprawiła poły żakietu i weszła przez otwarte na zewnątrz, masywne wrota. W środku panowały niepokojący chłód i przejmująca cisza. Naraz Chyłka poczuła dławiący, trupi zapach, w którym jednocześnie było coś słodkawego. Ślina szybko zgęstniała jej w gardle.

Była tu już kiedyś, wiedziała, czego się spodziewać. Zresztą nieraz widywała zwłoki, nie była zupełnym żółtodziobem. Może nie miała

tyle doświadczenia, co koleżanki ze studiów, które wybrały karierę prokuratorską, ale śmierć nie była jej obca.

Wiedziała też, dokąd iść. Skierowała się na lewo, w kierunku białych drzwi, za którymi mieściła się sala sekcyjna.

Mimowolnie starała się brać krótkie, płytkie oddechy. Zapukała do drzwi, a potem musiała odczekać chwilę, nim się uchyliły. W progu stanął podstarzały mężczyzna. Otaksował prawniczkę wzrokiem, ale oprócz tego żaden mięsień na jego twarzy nawet nie drgnął.

– Gdzie fartuch i rękawiczki? – zapytał.

Joanna podniosła ręce i spojrzała na nie bezradnie.

– Nie znoszę lateksu – oznajmiła.

– Pani Chyłka?

– Wystarczy Chyłka – odparła pod nosem. – Przez „panią" czuję się, jakbym miała zaraz zaczynać poszukiwania męża, imienia dla dziecka, żłobka i potencjalnego przedszkola.

Rozmówca długo patrzył jej w oczy. Sprawiał wrażenie, jakby za jego plecami znajdował się inny świat. Jego własny świat, do którego nie miał zamiaru wpuszczać byle kogo. Oceniał Joannę, jakby musiał być pewien, że jest godna tego, by złożyć tam wizytę.

– Profesor Skibski – przedstawił się.

– Dziwne imię – oceniła.

– Słucham?

– Nieważne – odparła, rezygnując ze skomentowania faktu, że bufon przedstawił się tytułem naukowym. Zrobiła krok w jego kierunku, a on ustąpił jej miejsca. Najwyraźniej bóg podziemi podjął decyzję, by przepuścić ją przez Styks, pomyślała. Zaraz potem uznała, że stanowczo zbyt często nachodzą ją porównania do świata umarłych. Może było w tym coś znamiennego.

– Proszę założyć choć rękawiczki – powiedział, wskazując na bok.

Joanna przekroczyła próg i poczuła intensywny zapach zgnilizny i zepsucia. Niewielu śmiertelnikom spoza określonych kręgów dane było go czuć. Studenci medycyny i prawa zazwyczaj mieli do czynienia ze zwłokami, które ktoś wcześniej odpowiednio przygotował. Opuszczali zakłady medycyny sądowej z zapachem formaliny w nozdrzach i właśnie z nim kojarzyli całe przeżycie.

Tutaj było inaczej. Tutaj trafiały ofiary. Na tym etapie nie przygotowywano ich do pochówku ani tym bardziej nie wystawiano na widok osób trzecich. Tutaj chodziło o to, by zbadać dokładnie co zaszło.

Chyłka poczuła, że wypity alkohol podchodzi jej do gardła. Odrzucający smak przetrawionej wódki współgrał ze słodko-zjełczałym smrodem sali sekcyjnej.

Mimo to prawniczka skierowała wzrok na ciało. Dostrzegła zielonkawą narośl na skórze, tuż przy pachwinie, i wzdrygnęła się. Odwróciła spojrzenie, ale nie miała dokąd nim uciec. Podłoga sprawiała wrażenie zardzewiałej, rodem z horroru klasy B. Białe płytki na ścianach pokrywał żółtawy nalot, a kamienne stoły sekcyjne i przymocowane do nich białe umywalki same w sobie sprawiały, że miękły nogi.

Chyłka przypomniała sobie aferę sprzed kilku lat, kiedy to TOK FM dotarło do bulwersujących faktów związanych z tym miejscem. Słuchacze nazwali go „Zakładem Bezczeszczenia Zmarłych", opisywali, jak ich bliscy leżą porozrzucani po podłogach, robili zdjęcia ciał w kontenerach…

Niewiele było rzeczy, których widoku Joanna chciałaby zapomnieć. Tamte z pewnością się do nich zaliczały.

– To starsza denatka – odezwał się Skibski, wskazując na zwłoki, od których prawniczka oderwała wzrok.

Wróciła do nich spojrzeniem. Do ciała przyczepiona była niebieskawa plakietka identyfikacyjna.

– Trudno rozpoznać – dodał profesor, jakby sama nie mogła zauważyć zmasakrowanej twarzy. – Założy pani te rękawiczki?

Bezwiednie sięgnęła po parę. Naciągnęła lateks na ręce, a potem nabrała tchu przez usta.

– Dziękuję – powiedział Skibski, podchodząc do ciała. Wskazał zmiażdżoną twarz. – Okropna sprawa.

Chyłka skinęła głową, również zbliżając się o krok. Wiedziała, że musi wziąć się w garść. Nie takie rzeczy już widywała, nie będzie źle.

Spojrzała na rozkwaszone oblicze, które ledwo przypominało człowieka. Znów poczuła, jak wódka jej się cofa.

– Uważam, że nikt nie powinien oglądać takich rzeczy – dodał profesor. – Ale skoro Harry prosi, musi to być istotne.

– Tak.

Na nic więcej nie mogła się wysilić. Cholerny alkohol. Nigdy nie miała takich problemów, a podczas studiów jako ostatnia opuszczała prosektorium.

– Jakkolwiek ta przysługa będzie go kosztować – zastrzegł Skibski.

– To już ustalicie między sobą – odparła pod nosem Joanna. – A teraz chciałabym się dowiedzieć czegoś o tych ofiarach.

Niepewnie spojrzała w bok. Dziewczynka leżała dwa stoły dalej, zwłoki były w podobnym stanie. Profesor westchnął, wskazując na wgniecenie w czaszce Patrycji Horwat.

– Bez wątpienia narzędziem zbrodni był nieostry przedmiot – powiedział. – Proszę zwrócić uwagę na krawędzie pęknięć.

Chyłka tylko na moment spojrzała we wskazane miejsce.

– Przypuszczam, że obuch miał kształt kolisty. Być może w grę wchodzi młotek z beczkowatą powierzchnią uderzeniową.

– Hm?

– Wie pani… – Oderwał wzrok od zmarłej. – Kształtem zbliżony do takich z dużym gumowym obuchem. Choć tutaj, rzecz jasna, guma nie mogła zostać zastosowana.

– W porządku – odparła Chyłka. – Ale bardziej od narzędzia zbrodni interesują mnie ślady.

Skibski wypuścił ze świstem powietrze.

– Szkoda – powiedział.

Najwyraźniej nie był do końca normalny, ale Joanna zachowała to przemyślenie dla siebie. Jak rzadko kiedy, nie miała ochoty na utarczki. Liczyła, że załatwi tę sprawę jak najszybciej i wyjdzie na zewnątrz na papierosa.

– Więc? – ponagliła rozmówcę.

– Ślady są… powiedziałbym, bardzo liche.

– To znaczy?

– Poza samymi obrażeniami nie znaleźliśmy niczego, co wskazywałoby na udział osób trzecich. Żadnych obcych wydzielin, żadnych plam po substancjach chemicznych czy biologicznych.

Daktyloskopijnie niczego nie udało się ustalić, podobnie pod względem osmologicznym…

Kiedy urwał, Chyłka spojrzała niepewnie na dziecko Horwatów. Ciemne włosy dziewczynki były pozlepiane krwią i mózgowiem.

– Posoka pochodzi z ciał ofiar – dodał profesor, jakby odczytywał jej myśli. – Pobrano wymazy z pochwy, ale zabójca użył prezerwatywy. Staramy się ustalić, jakiej.

– Rozumiem – ucięła prawniczka. – W takim razie co udało się ustalić?

Skibski dotknął delikatnie dłoni denatki, jakby bał się, że ją tym urazi. Było w tym geście coś alarmującego. Dłoń była w znacznie lepszym stanie niż pozostałe części ciała. Profesor odgiął zesztywniały palec wskazujący.

– Odnaleźliśmy ślady biologiczne pod paznokciem. To ulubione miejsce, w którym się ukrywają.

Pozwolił sobie na niewyraźny uśmiech. Sprawiał kasandryczne wrażenie.

– Było też kilka włosów z cebulkami. Szczęśliwie. Bez nich nie sposób przeprowadzić badań poliformizmu jądrowego DNA.

– Są już wyniki?

Wydął usta i pokręcił głową.

– Są pewne wstępne ustalenia, ale pewność zyskamy za kilka dni.

– Co to za ustalenia?

– Wszystko wskazuje na męża. Dość jednoznacznie.

Joanna spojrzała na matkę i córkę. Jeśli zabójca rzeczywiście używał młotka z dużym obuchem, musiał zadać kilkadziesiąt ciosów. Wgłębienia widoczne były w klatkach piersiowych, kości w wielu miejscach połamano. Ich białe końcówki sprawiały, że miejscami zwłoki przypominały makabryczną aranżację psychopatycznego artysty. Najbardziej uszkodzone były jednak twarze. Sprawca musiał uderzać ofiary, aż przestały przypominać ludzi.

Czy Bukano byłby w stanie się tego dopuścić? Chyłce nie chciało się w to uwierzyć. Siedziała naprzeciw tego człowieka, patrzyła mu w oczy, rozmawiała z nim, analizowała jego zachowanie… i nic nie wskazywało na to, by był takim zwyrodnialcem.

– Jest pan pewien? – zapytała.

– Oczywiście istnieje hipotetyczna możliwość, że ostateczne badania doprowadzą do odmiennych wyników, ale powiedzmy sobie szczerze, większe prawdopodobieństwo przyświeca tym wszystkim, którzy liczą na wygraną w lotto.

Chyłka spojrzała w kierunku drzwi.

– A jednak ślady mogą pochodzić sprzed jakiegoś czasu – zauważyła. – Może żona zadrapała męża, a zabójca zachował najwyższą…

– Nie – wpadł jej w słowo Skibski. – Proszę mi wierzyć, znam się na tym.

– Żeby panu wierzyć, musiałabym usłyszeć coś, co mnie przekona.

Obszedł stół sekcyjny, oparł się na nim jedną ręką, a potem spojrzał na prawniczkę z ukosa.

– Ślady znajdowały się głęboko pod paznokciem – wyjaśnił. – To nie było przypadkowe zadrapanie. I zanim wspomni pani o ostrym stosunku, muszę uprzedzić, że to również nie pasuje do tego, co znaleźliśmy.

– Więc jest pan pewien, że to mąż zabił?

– Absolutnie pewien.

Chwilę później Joanna opuściła zakład. Wyszedłszy na Oczki, wyciągnęła papierosa, odpaliła go, a potem wypiła resztkę absoluta. Cisnęła butelkę do kosza przy chodniku i skierowała się do samochodu.

Przez moment zastanawiała się nad konfrontacją z klientem. Wolała wiedzieć, na czym stoi przed rozpoczęciem procesu. Jeśli rzeczywiście zabił Patrycję i ich córkę, kolejne dowody w końcu zaczną się mnożyć. Zawsze tak było. A ona musiała zawczasu mieć przygotowaną kontrę.

Nie miało dla niej żadnego znaczenia, czy broni człowieka winnego, czy niewinnego. Adwokaci, którzy mieli problemy z sumieniem, stanowili znikomy odsetek przedstawicieli profesji.

Chyłka ostatecznie zrezygnowała ze spotkania z Bukano. Pojechała do domu, po drodze kupując butelkę tequili. Nie było jej marki, więc wzięła pierwszą z brzegu. Z przyzwyczajenia nie spojrzała na cenę, przez co musiała ukryć zdziwienie przy kasie. Będzie trzeba zmienić nawyki, pomyślała.

Wróciła do domu, zrobiła sobie drinka, a potem usiadła na kanapie i włączyła TVN. Ostatnio nawet Wojewódzki nie poprawiał jej humoru. Wyglądał, jakby jechał na oparach. Podobnie jak ona.

Po którejś tequili sunrise odpłynęła. Obudziła się dopiero rano, na kanapie.

Przeciągnęła się, zrzuciła żakiet, a potem ruszyła do łazienki. Prysznic nie postawił jej na nogi, ale drink już tak. Efekt osłabł nieco przy papierosie, trudno jednak było sobie odmówić porannej dawki nikotyny.

Po porządnym śniadaniu narzuciła na siebie świeże ciuchy i ułożyła włosy tak, by opadały jej na policzki. Od rosnącej zażyłości z tequilą cera wyraźnie jej się pogorszyła, ale nie było to nic, czego nie można zamaskować. Włosy dodatkowo pomogą.

Wyszła z mieszkania i wpadła prosto na jedną z ostatnich osób, które chciała widzieć.

Kormak wchodził właśnie po schodach i wyszczerzył się na jej widok.

– Co za spotkanie – powiedział. – Ja wchodzę, ty wychodzisz. Przypadek? Nie sądzę.

Joanna obrzuciła go litościwym spojrzeniem.

– Zejdź mi z drogi, Kormaczysko – odparła, mijając go na schodach.

Ruszył za nią.

– Dokąd się wybierasz? – zapytał.

– Do roboty. Czego nie można powiedzieć o tobie, bo ty właściwie nigdy nie pracujesz.

– Toż to zniesławienie.

– Zniesławienie poniża w opinii publicznej.

– W takim razie pomówienie.

– Nie, Kormaczysko, to po prostu ogólnie znany fakt – powiedziała, przyspieszając. Chudzielec dotrzymywał jej kroku. Obróciła się i spojrzała na niego z powątpiewaniem. – A ty dokąd?

– Ja? Idę z tobą na parking. Do samochodu nie wsiadam, bo czuć od ciebie gorzałą.

Chyłka pociągnęła nosem.

– A od ciebie kilkoma godzinami spędzonymi przy RuneScape.

– Już w to nie gram.

Joanna uśmiechnęła się pod nosem, otwierając drzwi do garażu. Przemknęło jej przez myśl, że może sprzedać miejsce parkingowe. Zarobi na tym może dziesięć tysięcy, jeśli dobrze pójdzie. Wystarczy na spłatę części zadłużenia.

– Chciałem pogadać – odezwał się Kormak, gdy szli w kierunku auta.

– Nie chcę słuchać o tym, dlaczego *Droga* jest lepsza od *Końca dzieciństwa* Clarke'a. Wystarczyło mi tych kilka okazji, kiedy na ten temat mędziłeś.

– Nie o tym – odparł pod nosem. – Chodzi o twojego klienta.

– Och, naprawdę?

– Wiem, że rozmawiałaś z Borsukiem.

– Z Borsukiem?

– Zordon tak go nazywa.

– Inwencji nie można mu odmówić – odparła, mając nadzieję, że na tym zakończy się temat jej byłego aplikanta. – A klient jak klient. Nie widzę powodu, żeby o nim dyskutować.

– Jest winny.

Chyłka otworzyła drzwi bmw i obróciła się do szczypiora.

– A ty awansowałeś na sędziego, że wydajesz takie opinie?

– To czysta statystyka. Analitycy FBI dowiedli, że siedemdziesiąt jeden procent zamordowanych kobiet było żonami sprawców.

Joanna oparła się jedną ręką o drzwi samochodu, a drugą o biodro.

– Posłuchaj, Kormaczysko – zaczęła. – Załóżmy, że kiedyś będziesz miał żonę.

– Mhm.

– Załóżmy też, że nigdy nie podniesiesz na nią ręki, ale obok ciebie będzie mieszkał facet, który swoją tłucze codziennie.

– Wiem, do czego…

– Statystycznie rzecz biorąc, będziecie bić swoje żony co drugi dzień – dokończyła.

– Mimo wszystko, Bukano to zrobił.

– Skąd ta pewność?

– Powiedzmy, że z tego samego źródła, któremu zawsze ufałaś.

Przytrzymała przez chwilę jego wzrok, a potem wsiadła do samochodu. Zapuściła silnik i otworzyła okno.

– Mam swoją robotę, wy swoją – powiedziała. – Nie wchodźcie mi w paradę.

Zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, wdusiła pedał gazu. Iks piątka zamruczała przyjemnie, a Joanna szybko sięgnęła po pilota od bramy. Wyjechała na ulicę, krzywiąc się przed promieniami słońca. Sięgnęła po duże przeciwsłoneczne okulary od Raybana. Założyła je i skwitowała w duchu, że czas na konfrontację z zabójcą.

10
Restauracja Downtown, InterContinental

Kordian był zaskoczony, kiedy patron poinformował go, że to właśnie z nim chce się widzieć przedstawiciel Salusa. Młody prawnik spodziewał się z tego tytułu pewnych problemów, ale co by nie mówić o Buchelcie, trudno było mu zarzucić zawiść. Oznajmił aplikantowi beznamiętnym głosem, że jest proszony na obiad do InterContinentalu, a potem podał mu godzinę.

Oryński siedział teraz przy stoliku niedaleko okna, czekając na człowieka, z którym miał się spotkać. Z restauracji rozpościerał się widok na centrum Warszawy, z górującym nad placem Defilad Pałacem Kultury. Wszystko było tu ekskluzywne, a ludzie spotykający się w takich miejscach musieli czuć się jak panowie świata. Spoglądali z góry na tłumy zmierzające do Złotych Tarasów, obserwowali turystów wylewających się z autobusów na parkingu pod Pałacem, w końcu odprowadzali wzrokiem wyładowane po brzegi autobusy MZA. W dodatku wystrój wnętrz stwarzał poczucie niekwestionowanego luksusu.

Można było zapomnieć, że Warszawa w niejednym rankingu ekonomicznym zajmuje miejsce niższe od miast Ameryki Południowej. Niemal w każdym prześcigają ją natomiast słowacka Bratysława, czeska Praga, brudne greckie Ateny czy Sankt Petersburg. W Mercerze była nawet za Ameryką Środkową, ale sytuację ratował pewien ranking ONZ. W nim polska stolica ulokowała się dość wysoko, bo na piętnastym miejscu na świecie. Pech chciał, że zestawienie dotyczyło miast, w których najłatwiej stracić życie.

Mimo to Oryński czuł się, jakby stał na szczycie świata. Odsunął myśli o rankingach i skupił się na menu wydrukowanym na porządnym kredowym papierze. Nie zauważył przez to, że ukradkiem podszedł do niego kelner.

– Dzień dobry panu – powiedział mężczyzna starszy o dobre dziesięć lat.

– Dzień dobry – odparł Kordian, rozglądając się.

Kelner również powiódł wzrokiem wokół i dopiero po chwili zreflektował się, czego szuka klient.

– Pański towarzysz prosił przekazać, że niestety spóźni się z powodów od niego niezależnych.

– Rozumiem.

– Dodał również, by zamówił pan coś dla siebie.

– Mhm.

– Jeśli mogę polecić… – zaczął mężczyzna i pochylił się nad menu. – Stali klienci wyjątkowo cenią sobie naszą wołowinę amerykańską U.S. Longhorn. Równie dużym zainteresowaniem cieszy się francuska Charoluxe.

– Ach, tak?

– Do tego polecam czerwone wino Próximo Marques De Riscal, hiszpańskie, czteroletnie. Nie będzie pan żałował.

– Rozumiem, rozumiem… – odparł Kordian, przeglądając menu. Nie było w nim zbyt wielu pozycji. – A łososia macie?

– Naturalnie. Serwujemy świeże ryby, homary oraz ostrygi.

– Więc może tego łososia poproszę.

– Oczywiście – odparł mężczyzna i wyprężył pierś. – Jest to wędzony na zimno łosoś bałtycki z purée z pieczonych papryk i emulsją chrzanową.

– Brzmi świetnie.

– Wino białe, ma się rozumieć?

– Ma się rozumieć.

– Czy Chablis Louis Jadot będzie odpowiednie?

– W sam raz – odparł Oryński, starając się nie zdradzić emocji w głosie. Nazwa zapadła mu w pamięć, bo kiedy przeglądał menu, zobaczył, że lampka tego trunku kosztuje pięćdziesiąt sześć złotych.

Było to jednak nic w porównaniu z irlandzką wołowiną, za którą trzeba by zapłacić sto siedemdziesiąt pięć złotych.

– Podać butelkę?

Kordian odchrząknął.

– Nie, nie, wystarczy kieliszek.

– Wybornie.

Kelner zamknął menu i zabrał je ze sobą. Młody prawnik miał nadzieję, że zaproszenie od Salusa wiązało się z pokryciem rachunku. Wprawdzie jako junior associate zarabiał całkiem przyzwoicie, ale z pewnością nie tyle, by wydawać pięć dych na kieliszek wina, które z całą pewnością będzie kwaśne.

Po chwili przekonał się, że był w błędzie. Chablis okazało się całkiem niezłe. Łosoś wyglądał natomiast, jakby pochodził z krainy liliputów. Dopiero po chwili Kordian uzmysłowił sobie, że danie to jest przystawką. Trudno, zje coś więcej, kiedy zjawi się rozmówca.

Oryński zastanawiał się, kim jest człowiek, z którym ma się spotkać. Z pewnością to nikt wysoko postawiony – tacy rozmawiali wyłącznie z Lwem Bucheltem. Z drugiej strony, może w Salusie także uznano, że stary adwokat niebawem przejdzie na emeryturę i warto nawiązać dobre relacje z młodym pokoleniem?

Po sprawie z Chyłką i Szlezyngierem Kordian miał świetną opinię w środowisku biznesowym. Pokazał się jako prawnik, który przedłożył dobro klienta nad względy moralności. Stanął w obronie wiążącej ich umowy i pokazał, że *business is business*. Nie ma w nim miejsca na ludzkie odruchy.

Spuścił wzrok na talerz z niewielkim kawałkiem ryby. Prawda była taka, że przez pierwsze tygodnie czuł się podle. Nie dość, że nie stanął murem za Chyłką, to jeszcze znalazł się po tej stronie barykady, po której nigdy nie chciał być. Tej niewłaściwej. Tej, gdzie liczyły się kasa, reputacja i klienci.

Napił się wina i oblizał usta. Można było narzekać na rozmiar dania, ale smak zwalał z nóg. Z wołowiną pewnie byłoby podobnie. Joanna czułaby się tutaj jak w raju.

Westchnął, podnosząc wzrok. Zobaczył mężczyznę w garniturze, który właśnie wchodził do restauracji. Kelner natychmiast do niego podszedł i zasłonił Oryńskiemu nowo przybyłego.

Kordian wygładził krawat i poprawił poły marynarki. To mógł być początek pięknej, długoletniej znajomości. Jednej z tych, które ustawiają człowieka na całe życie. Salus najwyraźniej planował pozostać z Żelaznym & McVayem na dłużej, a on będzie tym, który przypieczętuje tę sprawę.

Kelner odwrócił się i ruszył w kierunku Kordiana. Aplikant podniósł się, ale kiedy jego wzrok padł na mężczyznę, zamarł.

Przez moment nie rozumiał, co się dzieje. Potem mimowolnie opadł z powrotem na krzesło. Czuł, jak krew odpływa mu z twarzy.

Pracownik Downtown podprowadził gościa do stolika, przyjął zamówienie, a potem się oddalił. Udawał, że nie odnotował napiętej atmosfery i reakcji młodego prawnika.

Oryński nie mógł się poruszyć. Patrzył na przedstawiciela Salusa, ale nie rozumiał.

– Minęło trochę czasu – odezwał się Piotr Langer.

Kordian obserwował, jak przybysz siada po drugiej stronie stolika, ale mógłby przysiąc, że to się nie dzieje naprawdę. Mężczyzna naprzeciw musiał wychynąć z jakiegoś koszmaru, z pewnością nie…

– Dziwi cię moja obecność – dodał z lekkim uśmiechem Piotr.

Aplikant miał problem z przełknięciem śliny. Wbijał nierozumiejący wzrok w Langera. Ten zaś podniósł jego kieliszek, powąchał, skrzywił się i odstawił go z powrotem.

– Chablis Louis Jadot – powiedział. – Szczyny.

Był oszczędny w słowach, jak podczas ich wcześniejszych spotkań. Wtedy jednak wisiało nad nim widmo mordercy. Teraz był po prostu biznesmenem. Człowiekiem sukcesu w drogim garniturze, który wyglądał jak pieprzony Jamie Dornan. I to bynajmniej nie w serialu „Upadek”.

– Jak… jakim cudem…

Piotr rozpiął marynarkę.

– Poczekam, aż ochłoniesz – oznajmił spokojnie. – Potem ci wszystko wytłumaczę.

– Ale…

– Uspokój się, Kordian. Jesteśmy w gronie starych znajomych.

Gdyby to zależało od Oryńskiego, ci „starzy znajomi” do końca życia nie kontaktowaliby się ze sobą. Po prawdzie jednak trudno było na to liczyć. W Warszawie mieszkały dwa miliony ludzi, ale grono tych, którzy znajdowali się na gospodarczo-prawniczych szczytach, nie było wielkie.

Kordian wziął się w garść. Powinien być na to gotowy. Może nie dzisiaj, nie tutaj, nie w takiej sytuacji, ale nie powinien spodziewać

się, że zdoła unikać Piotra do końca życia. W końcu musieli na siebie trafić.

– Reprezentujesz Salusa? – zapytał niepewnie. – Jesteś członkiem zarządu?

– Nie.

– Rady nadzorczej?

– Nie.

Lapidarne odpowiedzi sprawiły, że Oryński poczuł znajomy chłód. Chyłka powiedziała mu kiedyś, że gdy Langer patrzył jej w oczy i odzywał się swoim szorstkim głosem, miała wrażenie, jakby ktoś drapał postrzępionymi paznokciami po jej duszy. Dopóty, dopóki Piotr nie patrzył mu w oczy, Kordian mógł uznawać to za przesadę. Kiedy jednak ten jego wzrok wwiercał się prosto w niego, doskonale rozumiał, co miała na myśli dawna patronka.

– Jestem wspólnikiem – wyjaśnił Langer.

Pojawiła się iskierka nadziei. Może to spotkanie było farsą? Wspólnik nie mógł reprezentować spółki akcyjnej. Obecność Piotra mogła być jedynie wynikiem chęci podjęcia gry. Zobaczył nazwisko Kordiana na jakimś dokumencie, zadzwonił do Borsuka, umówił spotkanie i tyle.

– Więc nie masz umocowania – odezwał się prawnik.

– Mylisz się.

– Nie sądzę. W artykule dwieście piątym Kodeksu spółek handlowych jest wyraźnie zaznaczone, że…

– Jestem wspólnikiem i prokurentem – odparł Langer.

Cisza przeciągnęła się aż do momentu, kiedy kelner postawił przed nim szklankę burbona Woodford. Ciecz była tak oleista, że na sam widok Kordiana odrzuciło.

Piotr spojrzał obojętnie na prawie pusty kieliszek z białym winem.

– Nie masz zbyt dobrego gustu – odezwał się.

– To do ryby.

– Właśnie o tym mówię – odpowiedział Piotr, a potem pociągnął niewielki łyk whiskey.

Znów zamilkli. Przełyk Oryńskiego wracał powoli do swojego normalnego stanu. Przynajmniej na tyle, że sam mógł się napić.

Odstawiwszy kieliszek, odsunął go, jakby stanowił atrybut jego słabości.

Chyłka zrugałaby go, widząc taką ciamajdowatość. Znów upomniał się w duchu, że pora wziąć się w garść. Nie był już tym nowicjuszem, który wszedł do aresztu śledczego i niemal dostał zawału na widok Langera. Był teraz junior associate w kancelarii Żelazny & McVay. To zobowiązywało.

– Posłuchaj… – zaczął.

– Nie przyszedłem tu, by słuchać – uciął Piotr.

To tyle, jeśli chodziło o butność.

– Tym razem to ja będę mówił, Kordian – dodał Langer. – Ty dokładnie tego wysłuchasz, a potem postąpisz tak, jak życzy sobie tego twój klient. Rozumiesz?

Jako Kordian Oryński miał ochotę odpowiedzieć coś niewybrednego. Jako pracownik firmy skinął głową.

Piotr trwał w bezruchu, patrząc na niego.

– Wiem, kto broni tego Roma – powiedział.

– Domyślam się.

– I nie podoba mi się to.

Aplikant uniósł brwi. Spodziewał się raczej, że Piotr będzie zadowolony. Była to dla niego okazja, by zabawić się kosztem Chyłki. Mógł kierować sprawą zza kulis, nie martwiąc się o to, że prawnicy z kancelarii Żelazny & McVay ujawnią jego udział.

– Obawiasz się jej? – zapytał Kordian.

Langer sprawiał wrażenie, jakby to pytanie go ubodło.

– Nie – powiedział.

– Nie? Tylko tyle?

– Czego więcej potrzebujesz?

– Choćby tego, żebyś…

– Nie mam zamiaru niczego ci tłumaczyć, Kordian – uciął Piotr. – Po raz kolejny twoja gaża jest opłacana z moich pieniędzy. To obliguje cię do wykonywania moich poleceń.

– Niezupełnie.

Langer zamilkł i Oryński zdawał sobie sprawę, że będzie trwać w milczeniu, aż aplikant nie podejmie wątku.

– To tak nie działa – odezwał się w końcu Kordian. – Sami decydujemy, co jest najlepsze dla klienta.

– Nie w tym wypadku.

– Obawiam się, że…

– Chcę, by znikła – wpadł mu w słowo Piotr.

Gdyby ktokolwiek inny wyraził takie życzenie, Oryński z pewnością nie poczułby się zaniepokojony. W ustach Langera stanowiło to jednak zapowiedź tragedii. Groźbę, która mogła szybko zostać spełniona.

Przez moment Kordian miał wrażenie, że rozmówca się roześmieje, poklepie go po plecach i powie, że to przecież wszystko żarty. Że cieszy się z szansy na konfrontację z Chyłką. Że to dla niego sprawa ambicjonalna i mają zrobić wszystko, by ją zmiażdżyć.

Tymczasem Piotr wbijał w niego martwy wzrok.

– Dlaczego? – zapytał Oryński.

Langer westchnął. Nie musiał nic mówić, by chłopak wiedział, że także w tej sprawie nie ma zamiaru się przed nim tłumaczyć. Piotr wypił burbona, ale nie odłożył szklanki. Zaczął obracać ją w ręce, nie odrywając jednak oczu od rozmówcy.

– To niewykonalne – powiedział Kordian.

– Mylisz się.

– Nie możemy ot tak zmienić pełnomocnika drugiej strony.

– Możemy.

Oryński błagalnie uniósł wzrok.

– Nie – powiedział. – Przynajmniej nie legalnie. A wierz mi, że to jedyna możliwość w tak medialnej sprawie.

– Gorzymowi to nie przeszkadzało.

Aplikant wzdrygnął się na samą myśl o tym człowieku. Nie spędzał mu wprawdzie snu z powiek, ale w ciągu ostatniego półtora roku kilkakrotnie wracał mimowolnie myślami do tamtych traumatycznych przeżyć.

– To była inna sprawa – powiedział Kordian.

– Nie wydaje mi się.

– W porządku – odparł prawnik. – Mniejsza więc ze sprawą. Wtedy miałeś do czynienia z inną Chyłką.

– Była w formie – przyznał. – Tym lepiej dla nas.

– Nie rozumiesz.

Ta uwaga podziałała na niego jak płachta na byka. Piotr na moment stracił całe swoje opanowanie, a w jego oczach mignęła iskra szaleństwa. Kordian dobrze ją pamiętał. I nie miał zamiaru zapominać o tym, jaki człowiek w istocie siedzi naprzeciw niego.

– Teraz Joanna nie ma nic do stracenia – dodał Oryński. – Jest gotowa zrobić największy gnój, jeśli tylko wywęszy, że coś jest nie *lege artis*. Wiesz, dlaczego?

Langer trwał w bezruchu.

– Bo nie zależy jej na sprawie. Nie zależy jej na tym Cyganie ani nawet na wygranej. Jedyne, co chce osiągnąć, to poniżenie kancelarii Żelazny & McVay. Chce pokazać, że bez niej jesteśmy gorsi.

Aplikant nie wiedział, na ile jego argumenty poskutkują. Po chwili milczenia przekonał się jednak, że Piotr przyjął jego tok rozumowania. Biznesmen odłożył szklankę na stół i podniósł się.

– Załatw więc to tak, by miała coś do stracenia.

– Słucham?

– Nie będę się powtarzać, Kordian.

– Mówiłem ci, że to tak nie działa.

Nic nie odpowiedział. Obrócił się, a potem ruszył do wyjścia. Uregulował rachunek u kelnera, dając mu pokaźny napiwek. Oryńskiego zaś zostawił z przekonaniem, że ta sprawa będzie brudniejsza, niż aplikant dotychczas sądził.

11
Lasek Brzozowy, Ursynów

Nazwy niektórych ulic na Ursynowie były dla Chyłki frapujące. Na przykład tej, przy której mieszkał Bukano. Lasek Brzozowy brzmiał niewinnie, ale stały tutaj wysokie peerelowskie bloki, których elewacja od wielu lat wołała o pomstę do nieba. Wokół nawet niewprawne oko zauważało ślady świadczące o tym, iż wkroczyło się na teren zwolenników Legii Warszawa. Liczne bohomazy na blokach, murkach, kioskach ruchu i płytach chodnikowych sugerowały, by nie pokazywać się tu z szalikiem Polonii. Lub właściwie w ogóle się nie pokazywać, bez względu na to, do jakich barw klubowych czuło się przywiązanie.

Joanna zaparkowała iks piątkę pod warzywniakiem kawałek dalej. Miała nadzieję, że nikt nie zauważy, jak wychodzi z samochodu, i tutejsi wezmą bmw za pojazd należący do jakiegoś mafiosa. Była to jedyna szansa, by auto przetrwało.

Prawniczka zamknęła drzwi, spojrzała na czarny samochód, a potem ruszyła w kierunku jedenastopiętrowego bloku. Na domofonie wybrała jedyne zamazane nazwisko.

– Tak? – rozległ się chrypliwy głos.

– To ja.

Bukano potrzebował chwili, by zrozumieć, kim jest niespodziewany gość.

– Co pani tu robi?

– Czekam na klatce, aż mnie pan wpuści.

– Ale…

– Otwieraj pan, bo zacznę dzwonić po sąsiadach.

Rozległ się brzęczyk zamka. Chyłka chwyciła za klamkę i pociągnęła drzwi. Do jej nozdrzy natychmiast dotarł charakterystyczny osiedlowy zapach. Zsyp wymieszany z wonią

palonej marihuany. Pachniało tak pewnie na większości klatek w okolicy.

Ruszyła do windy, ale potem zmieniła zdanie i wybrała schody. O dziwo było tutaj względnie czysto. Nie licząc pojedynczych petów, nie dostrzegła żadnych butelek, rzygowin, krwi, zwłok czy innych rzeczy, których można było spodziewać się na Ursynowie.

Zadzwoniła do drzwi Horwata. Nie musiała długo czekać.

– Mogła pani uprzedzić mnie telefonem – powiedział, uchylając drzwi.

Popchnęła je i weszła do środka. Od razu rzuciło jej się w oczy, że Bukano jest sam. Zzuł buty pośrodku przedpokoju, w kuchni piętrzyły się stosy niemytych talerzy, a w domu unosił się zapach papierosów. Nie, właściwie było to niedomówienie. Panowała tu nikotynowa stęchlizna.

– Nie umie pan okna otworzyć?

– Słucham?

Sprawnie ściągnęła szpilki i przeszła przez niewielki salon. Otworzyła drzwi balkonowe na oścież i machnęła ręką.

– Nie mam nic przeciwko, gdy ktoś jara jak najęty, ale hash-komory to nie moje ulubione miejsca.

– Co pani tu robi? – powtórzył Cygan.

Chyłka zignorowała pytanie, uznając, że jest wystarczająco głupie, by je przemilczeć. Rozejrzała się. Mieszkanie było małe, składało się z salonu i dwóch niewielkich pokojów. Przeszła przez korytarz i otworzyła drzwi do kolejnego z nich.

– Niech pani…

Pomieszczenie bez wątpienia należało do nastolatki. Na ścianie wisiał plakat czegoś, co nazywało się „The Originals”, a obok Chyłka dostrzegła angielską wokalistkę z Florence and the Machine. Nie najgorzej.

– Proszę stąd wyjść – rzucił oschle Robert i zamknął drzwi.

Gnieździli się tutaj jak sardynki w puszce, ale najwyraźniej Patrycji niespecjalnie to przeszkadzało. W przeciwnym wypadku poprosiłaby rodziców o zastrzyk gotówki i raz dwa wynajęła coś na mieście. Warunek zapewne byłby taki, żeby zostawiła Roma.

– Lubi pani tak ludzi nachodzić?

– Tylko jeśli są mordercami.

– Że co proszę?

Wróciła do salonu, zlokalizowała barek, a potem przeszukała zawartość. Bukano nie miał nic przesadnie dobrego, ale trudno było spodziewać się rarytasów. Joanna ze zgrozą pomyślała, że niebawem podobnie będzie u niej w mieszkaniu. Wyjęła butelkę wyborowej, po czym zrobiła sobie drinka.

Horwat w końcu odpuścił. Usiadł na kanapie i zapalił, wyglądając za okno. Chyłka raz po raz na niego zerkała. Miał podkrążone i przekrwione oczy, a gdy podnosił papierosa do ust, ręka mu drżała.

Prawniczka pociągnęła drinka, a potem zawahała się. W końcu zrobiła jednego dla gospodarza i wróciła z nim do salonu. Usiadła na wysłużonym fotelu, który sprawiał wrażenie, jakby został upolowany na promocji w osiedlowym śmietniku.

– Nie zżyma się pan – zauważyła.

– Słucham?

– Nazwałam pana mordercą.

Spojrzał na nią jak na wariatkę.

– Oglądała pani ostatnio programy informacyjne? – zapytał. – Mam to gdzieś.

– Zrozumiałe – odparła. – Szczególnie że jest pan winny.

Zamiast odpowiadać, napił się. Spojrzał na drinka ze zdziwieniem, jakby nie wiedział, że ma w lodówce zimny sok grejpfrutowy.

– Mam nadzieję, że w sądzie będzie miał pan lepsze argumenty.

Odłożył napój i zgasił papierosa w szklanej popielniczce.

– Jest pani pewna, że to zrobiłem? – zapytał z autentycznym zaciekawieniem.

– Tak.

– Dlaczego?

– Dowody jednoznacznie przemawiają przeciwko panu.

– Ach tak?

– I niestety nie mam w sobie odpowiednio dużo lekkomyślności, by łudzić się, że to jakiś wielki, nieprawdopodobny błąd.

Pokiwał głową w zadumie. Potem znów się napił.

– Jak to jest? – zapytał.

– Co? – odburknęła Joanna.

– Bronić kogoś, kogo uważa się za winnego tak straszliwej zbrodni? – wyjaśnił. – Nie czuje pani choćby niepokoju?

– Nie.

– Przychodzi pani tutaj, jak gdyby nigdy nic, robi drinka, siada ze mną w salonie i rozmawia, jakby wszystko było w porządku…

– Bo jest – odparła. – Nasza relacja nie ma nic wspólnego z pańską winą.

– Dzięki takim stwierdzeniom może pani w nocy spać?

Joanna westchnęła i odgięła głowę. Nie miała ochoty na pseudofilozoficzne dysputy z człowiekiem, który nie miał pojęcia o niej i jej robocie. Owszem, od czasu do czasu rozmawiała na ten temat z innymi prawniczymi wiarusami, ale tylko po to, by wyrzucić z siebie taki czy inny ciężar danego przestępstwa. Ględzenie z człowiekiem nieobeznanym w temacie zaś do niczego nie prowadziło.

– A z pana co, cygański myśliciel? – odburknęła. – Daj pan sobie spokój ze mną i zajmij się sobą.

– Nie myśliciel, ale…

– Tak, tak, żona intelektualistka zobowiązywała – weszła mu w słowo Chyłka. – Widzę, że uformowała sobie pana, jak jej się podobało. Pewnie zna pan Salingera, czytał z bólem Gombro, chodził z nią na spektakle do… co tu macie na Ursynowie?

– Kontrapunkt.

– O właśnie. Byłam tam kiedyś na Mrożku. Nie zmroził mnie.

Bukano skinął głową z obojętnością.

– Ale dla pana to musiała być prawdziwa męka, co? – drążyła. – Między wami nie było uskoku, a raczej ogromna, głęboka wyrwa. Pochodziliście z dwóch różnych światów i ktoś musiał się do kogoś nagiąć. A ona była silniejsza, tak?

Robert Horwat zaczął rozmasowywać kark, wciąż patrząc za okno.

– W dodatku miał pan trudne życie w okolicy. Zdarzało się, że kibole napadali, co?

– Nie. Kibole nie.

– Nie? To przedziwne. Cygan mieszkający z Polką, w dodatku taki, co chodzi do teatru. Śmiech na sali.

– Nikogo brzuchy z rozbawienia nie bolały.

– No, nie wątpię. Ale pana z pewnością gęba bolała od cięgów, które…

– Może już pani skończyć? – zapytał. – Nie mam siły na te sprawdziany.

– Sprawdziany?

– Testuje mnie pani. Chce przekonać się, czy wyprowadzi mnie z równowagi. I może w normalnych okolicznościach by się pani udało, ale teraz… po prostu nie mam siły. Brakuje mi ich nawet do tego, by się zdenerwować.

– Oaza spokoju.

Nie odpowiedział.

– Ale tacy są najgorsi – dodała. – Tacy w pewnym momencie pękają i mordują rodziny.

Oderwał wzrok od okna, przesunął go powoli po pokoju, a potem zawiesił na oczach Joanny.

– Niech pani wyjdzie – powiedział.

– Za chwilę. Najpierw chcę się dowiedzieć, co się wydarzyło.

– Już mówiłem…

– Co się wydarzyło naprawdę – podkreśliła. – Mogę pana z tego wyciągnąć, ale muszę mieć wszystkie informacje. W tej chwili jestem jak Murzyn w ciemni. Nie widzę nawet samej siebie.

Bukano nie docenił tej uwagi. Nadal spojrzeniem wskazywał jej drzwi.

– Nie muszę chyba przypominać, że obowiązuje mnie tajemnica – dodała Chyłka.

– Nie musi pani.

– Więc, do kurwy nędzy, czas na prawdę.

Osuszyła drinka jednym łykiem i z impetem odstawiła szklankę na niewielki stolik. Wyciągnęła z torebki paczkę papierosów, zapaliła jednego i założyła nogę na nogę.

– No już – powiedziała. – Naćpał się pan? Miał stan pomroczny jasny?

– Że co proszę?

Nie, nie wyglądał na takiego, który nagle stracił kontrolę z powodu jakichś używek lub zaburzeń. Właściwie w ogóle nie wyglądał jak ktoś, kto zgwałcił żonę i córkę, a potem bestialsko je zabił. Jeśli

udałoby jej się obalić dowód z DNA, mogłoby to mieć znaczenie w sądzie. Trudno było jednak liczyć na to, że uda się to osiągnąć.

– Konkrety, panie Bukano, konkrety.

– Wszystko już opowiedziałem.

Chyłka westchnęła i uznała, że w ten sposób do niczego nie dojdzie. Nadszedł czas, by wytoczyć ciężkie działa.

– Byłam w zakładzie medycyny sądowej.

Robert Horwat uniósł brwi.

– Widziałam je – dodała Joanna. – I nie spodziewałam się, że jest pan zdolny do takich rzeczy.

– Nigdy nie podniósłbym na nie ręki.

– Dowody mówią co innego.

– Jakie dowody?

– Mają materiał genetyczny. Pański.

– Więc znajdą także ten należący do tego, kto…

– Nie – ucięła Chyłka. – Jest tam tylko pański.

– To niemożliwe.

– A jednak. W dodatku żona ma pański naskórek pod paznokciami.

– Co takiego?

– Albo próbowała z panem walczyć, albo ostro bawiliście się w łóżku na dzień dobry.

Spodziewała się, że nagle przypomni sobie o tym, co stanowiło drugą ewentualność, ale Bukano pobladł i otworzył usta. Popatrzył na nią tępym wzrokiem.

– Nie rozumiem – odezwał się.

– Czego? Powodu, dla którego pan je zabił? Nikt tego nie rozumie.

– Nigdy bym ich nie skrzywdził! – krzyknął, podrywając się na równe nogi. – Nie rozumie pani? Kochałem je, zostawiłem dla nich wszystko!

Nie był to najgorszy argument. Byłby nawet całkiem sensowny, gdyby przymknąć oko na dowód z DNA.

– I nie ma możliwości, żeby Patrycja miała pod paznokciami… – urwał, rozglądając się. – To po prostu niemożliwe.

– Więc nie uprawialiście ostrego seksu tuż przed jej śmiercią?

– Nie… widzi pani, w jakiej klitce żyjemy. Żyliśmy.

– Nie szkodzi – odparła. – Będzie pan utrzymywał w sądzie, że doszło między wami do pewnych… zabaw.

– Nie zrobię tego.

– To jak wytłumaczy pan ten naskórek?

– Nijak – powiedział, uspokajając się nieco. – Bo nie mógł się tam znaleźć.

– Ktoś go powpychał pęsetą na miejscu zdarzenia?

– Niech pani będzie poważna…

– Staram się – odparła i zrobiła pauzę, zaciągając się papierosem. – Ale nie ułatwia mi pan tego. Co mam podnieść przed sądem? Że nie wie pan, skąd wzięła się skóra? Jak to w ogóle brzmi?

Jak brednie winnego człowieka lub deklaracje naprawdę niewinnego, odpowiedziała sobie sama w myśli. Ale czy to absolutnie niemożliwa wersja? Nie byłby to pierwszy raz, gdy ktoś wrobił kogoś w zabójstwo. Tylko czy istniała fizyczna możliwość, by zrobić to w tym przypadku?

– Badanie DNA nigdy nie może być błędne? – odezwał się Bukano, wyrywając ją z przemyśleń.

Joanna nie miała zamiaru wdawać się w statystyczne rozważania. Chciała załatwić ten temat jak najszybciej i przejść do powodu swojej wizyty.

– Nie istnieje dowód w stu procentach pewny – odezwała się. – Ale bądźmy poważni.

– I to samo w sobie wystarczy, by mnie skazać?

– W połączeniu z argumentami, których użyłam, tak.

– Jakimi argumentami?

– O różnych światach, nieustannym nękaniu, problemach, życiu na małej przestrzeni, niespełnionych ambicjach, odrzuceniu przez krąg rodziny i znajomych i tak dalej. Poskładają to wszystko i zrobią z tego przekonujący obraz człowieka, który w pewnym momencie mógłby pęknąć.

Bukano znów zaczął nerwowo masować kark.

– I ta teoria nie będzie od czapy, wie pan.

– Wiem.

– Więc jest pan gotów porozmawiać?

– Cały czas jestem na to gotów…

Wykonała ruch ręką, by zachęcić go do mówienia, ale Robert milczał. Kiedy podniósł wzrok i skierował go na Chyłkę, prawniczka zobaczyła w jego oczach ból.

– Nigdy bym ich nie skrzywdził – powiedział. – Prędzej sam odebrałbym sobie życie.

Musiała uznać swoją porażkę. Próbowała jeszcze przez kilka chwil, ale klient nie zmienił śpiewki. Ostatecznie opuszczała jego mieszkanie z poczuciem straconego czasu. Momentami mimo woli była gotowa dopuścić możliwość, że jest niewinny. Im dłużej jednak o tym myślała, tym bardziej taka ewentualność wydawała jej się absurdalna.

Nie, czas spojrzeć prawdzie w oczy. Bukano zrobił to, ale był wyjątkowo dobrym łgarzem. I chyba nie powinna się dziwić, biorąc pod uwagę, że Romowie traktowali kłamanie niemal jak sztukę. Przynajmniej jeśli chodziło o kontakty z obcymi. Joanna wyczytała w Internecie, że siebie nawzajem nigdy nie okłamują – jest to traktowane jako poważna zniewaga. Natomiast okantowanie *gadzia* jest uznawane za powód do dumy.

Chyłka wróciła do mieszkania na Argentyńskiej, po drodze kupując dwie butelki taniej tequili w Tesco. Kiedy przeciągała swoją kartę przez czytnik, pomyślała, że niebawem będzie musiała przerzucić środki z konta oszczędnościowego na bieżące. Żarty powoli się kończyły, szczególnie biorąc pod uwagę jej liche perspektywy.

Obrona Bukano nie mogła jej się do niczego przydać. Nie odbuduje za jej sprawą reputacji w świecie prawniczym, nie zarobi też żadnych znaczących pieniędzy. Gdyby w cudowny sposób dowód z DNA znikł, być może przynajmniej w tej drugiej kwestii mogłaby na coś liczyć. Polisa była pokaźna, a jej procent także niemały. Odkułaby się nieco.

Ale trudno było na to liczyć.

Wróciwszy do domu, zaczęła przeglądać sieć, poszukując informacji na temat cygańskich zwyczajów, gdy chodziło o wykluczenie członka społeczności. Nie było tego wiele, przynajmniej nie przekazów z pierwszej ręki. Autorami wszystkich artykułów, na które trafiła, byli ludzie z zewnątrz.

Musiała odwiedzić koczowisko, w którym wychowywał się Bukano. Nie było innego wyjścia. Nie znajdzie tam niczego, co mogłoby go

oczyścić z zarzutów, ale kilka zakazanych mord wezwanych na świadków z pewnością zrobi dobre wrażenie. Może nawet uda jej się ułożyć jakąś zgrabną teorię spiskową.

Zanim jednak zdążyła wybrać numer Roma, odezwały się gitary Iron Maiden. Chyłka spojrzała na wyświetlacz. Nieznany numer.

Odebrała, niepewna, czyj głos usłyszy po drugiej stronie. Kiedyś byłoby to nie do pomyślenia. Zawsze wiedziała, czego się spodziewać, i nikt nie potrafił jej zaskoczyć.

– Co jest? – zapytała.

– Mnie też miło cię słyszeć.

Przytępiony alkoholem umysł potrzebował chwili, by dopasować głos do osoby.

– Szczerbaty? – zapytała.

– Tak mówią do mnie koledzy z komendy, ale niech ci będzie.

– Po co do mnie dzwonisz?

– Dobre pytanie. Chyba też powinienem je sobie zadać.

– Teraz trochę na to za późno. Ale możesz odpowiedzieć.

– Chcę się spotkać.

– W jakim celu?

– Mam coś dla ciebie.

Czyżby? Joanna sięgnęła po nieotwieraną paczkę marlboro i ściągnęła celofan. Jeśli Szczerbiński naprawdę na coś trafił i dobrowolnie chciał się tym podzielić, byłaby to pierwsza taka sytuacja w całej historii relacji policji z adwokaturą.

– Gówno prawda – wymamrotała, odpalając papierosa.

– Jak chcesz.

Joanna zaśmiała się cicho.

– W tak tandetny sposób nie da się mnie podejść – oznajmiła. – A ty albo chcesz się umówić na *coitus*, albo ktoś kazał ci spacyfikować Chyłkę, zanim zabierze się do roboty. W jednym i drugim przypadku jesteś na przegranej pozycji, Szczerbaty.

Usłyszała, jak wypuszcza powietrze prosto do słuchawki.

– Nie trafiłaś – powiedział. – Pojawiły się nowe okoliczności.

– Jakie?

– Dowiesz się, ale nie przez telefon.

– Ach, pewnie. Przecież wszyscy jesteśmy na podsłuchu, a ty masz dla mnie ściśle tajne informacje wykradzione prosto z…

– Za godzinę w Laurze, w Józefowie. Wiesz, gdzie to jest?

– Nie.

– Na Polnej. Wbijesz sobie w nawigację. Znajdziesz.

Chyłka miała ochotę się roześmiać. Ilekroć policjanci brali się za konspirację, sprawiali wrażenie słoni w składzie porcelany. Najzwyczajniej w świecie nie byli do tego stworzeni. Zamiast wybrać ruchliwe miejsce, gdzie nikt nie zainteresowałby się spotkaniem dwójki ludzi, aspirant zdecydował się na lokal pod Warszawą, gdzie w środku tygodnia trudno było liczyć na tłumy.

– Nie wychodzi ci ta tajemniczość, Szczerbiński.

– Będę tam na ciebie czekać.

– Okej – odparła lekkim tonem.

Przez moment miała wrażenie, że policjant dopyta, czy ma zamiar się zjawić. Ten jednak wymruczał zdawkowe pożegnanie, a potem się rozłączył. Joanna rzuciła telefon na kanapę i dolała sobie tequili.

Czuła, że powoli zbliża się do PNR. *Point of no return*. Punktu bez powrotu. Termin znany był każdemu, ale pochodził z nomenklatury lotniczej i oznaczał miejsce, po minięciu którego samolot nie ma już odpowiedniego zapasu paliwa, by powrócić na lotnisko, z którego wystartował.

Joanna czuła, że niebawem zabraknie jej zdrowego rozsądku, by w ogóle rozważać powrót do stanu trzeźwości. Dopiła tequilę, a potem zwlekła się z kanapy. Jeśli miała spotkać się ze Szczerbatym, należało doprowadzić się do porządku. Nawet nie przez wzgląd na samego policjanta, a raczej tych, których potencjalnie może minąć w drodze do Józefowa.

Stanęła przed lustrem i spojrzała na siebie mętnym wzrokiem. Zakołysała się lekko i poczuła, jak pijacki uśmiech występuje jej na twarz. Pokręciła głową.

– Nie jest dobrze – oceniła z zadowoleniem.

Zmyła makijaż, sama nie wiedząc dlaczego. Potem przyrządziła sobie kolejnego drinka i wróciła do łazienki. Nałożyła emulsję rozświetlającą Olay, a następnie zaaplikowała podkład od Chanel – prawdopodobnie jedyną rzecz, która w jej codziennym asortymencie

miała witaminy. Podobno E, F i B5, ale Chyłka niespecjalnie w to wierzyła. Na koniec sięgnęła po najlepszego przyjaciela każdej pijaczki – korektor.

Kiedy ta myśl nadeszła, spojrzała na siebie z powątpiewaniem. Przeniosła wzrok na drinka, znów na siebie i przez moment trwała w bezruchu. Potem prychnęła i jednym łykiem wychyliła szklankę.

Wróciła do salonu, otworzyła laptopa i uruchomiła jeden ze starszych odcinków Wojewódzkiego na TVN Player. Podniosła telefon.

– Szczerbaty – powiedziała, gdy aspirant odebrał. – Dzisiaj nie dam rady.

– Co takiego?

– Jutro się spotkamy. Cześć – dodała na koniec.

Potem poszła po nową butelkę.

12
Mieszkanie Oryńskiego, ul. Emilii Plater

Czwarta pięćdziesiąt nie była najlepszą godziną, by wstawać z łóżka. Kordian ani myślał jednak o tym, by budzić się później. Już po pierwszych tygodniach pracy w Skylight zrobił mały rekonesans i dowiedział się, o której wypada przychodzić do pracy.

Godziny były normowane, od ósmej do szesnastej, ale działało to tylko w teorii. W praktyce każdy junior associate stawiał się na posterunku bladym świtem z kubkiem kawy w dłoni. Im wyżej w hierarchii służbowej, tym dłużej można było pospać, ale na tym etapie Oryński był przygotowany na to, by pogodzić się z ciągłym deficytem snu.

Zazwyczaj wychodził o osiemnastej, nieco wcześniej, niż przewidywał dobry zwyczaj. Od czasu do czasu zostawał do dwudziestej, czasem do dwudziestej pierwszej. Byli jednak tacy, którzy harowali tak dzień w dzień.

Trudno było spodziewać się czegokolwiek innego, podejmując pracę w dużej kancelarii. Zresztą prawnicy to nie jedyne osoby, które działały w taki sposób. Lekarze po studiach równie szybko zapominali, co to sen, i zaczynali kojarzyć to pojęcie raczej z drzemkami w niewielkich szpitalnych klitkach. Kordian myślał czasem o tym, że przydałoby się takie miejsce na dwudziestym pierwszym piętrze Skylight. Wielu zapewne byłoby wniebowziętych.

On nie musiał aż tak gryźć ziemi. Po sprawie Langera i Szlezyngierów miał przyzwoitą pozycję w firmie i cieszył się niejakim szacunkiem. W końcu osobiście znał Harry'ego McVaya, który pomagał mu podczas drugiego z głośnych procesów. W dodatku rozpoznawał go Artur Żelazny, co było pewnym ewenementem. Dla drugiego z imiennych partnerów szare prawnicze masy stanowiły jedynie anonimowe tło codziennej egzystencji.

Oryński zjadł na śniadanie owsiankę, przygotował sobie autorską mieszankę owocowo-orzechową do pracy, a potem wyprasował koszulę. Wieczorami nigdy nie miał na to czasu, a w weekendy… cóż, chciałby powiedzieć, że był zajęty odbijaniem sobie tygodniowej harówki, ale tak naprawdę trochę się uczył, a trochę załatwiał zaległe sprawy. Aplikacja w końcu sama się nie zrobi.

Za wynajem mieszkania przy Emilii Plater płacił niepoważne pieniądze, ale plus był taki, że w drodze do Skylight nie zdążyłby nawet wypalić papierosa. Gdyby palił. Po odejściu Chyłki kopcił jeszcze przez kilka miesięcy, ale jakiś czas temu rzucił. O ile pamiętał, piąty czy szósty raz w życiu. Nie miał wielkich nadziei co do powodzenia misji, ale właściwie nic nie stało na przeszkodzie, by spróbować.

Poranek był chłodny i Kordian ściągnął poły marynarki. Mgła unosiła się jeszcze nad Warszawą, Oryński jednak zobaczy jej pełny rozmiar dopiero z okna swojego gabinetu. Śródmieście obudziło się już do życia, rozganiając opary nocy.

Młody prawnik wjechał na dwudzieste pierwsze piętro i przeszedł przez umiarkowanie zatłoczony korytarz. Za kilka godzin będzie to najbardziej ruchliwe miejsce w okolicy, ale o tej porze można było jeszcze przedostać się do biura bez trudu.

Wszedł do pokoju socjalnego, wyjął swój kubek ze Starbucksa i zrobił sobie kawy. Potem skierował się do swojego gabinetu. Zaczął od przejrzenia pozwu, nad którym pracował od kilku dni. Wypadek komunikacyjny, brak ofiar śmiertelnych, nieskomplikowana sprawa. W dodatku klient spędził cztery dni w szpitalu, co kwalifikowało go do rekompensaty finansowej.

Kordian doszlifował pismo, raz po raz zerkając na zegarek. Chudzielec przywodzący na myśl młodego Eltona Johna przychodził później niż reszta. Wrota Jaskini McCarthyńskiej otwierały się dopiero o ósmej, chyba że akurat wypadał dzień, kiedy Kormak spał w biurze. Trudno było powiedzieć, dlaczego to robi, skoro dużą część dnia spędzał na czynnościach niezwiązanych z pracą. Człowiek ten stanowił pewną zagadkę.

Aplikant poczekał do ósmej, a potem poszedł do gabinetu przyjaciela. Wszedł do środka bez pukania i zastał szczypiora, gdy

ten siadał z kubkiem kawy przy biurku.

– Nie – powitał go Kormak.

– Co „nie”? Nawet się nie odezwałem.

– Ale wiem, że czegoś ode mnie chcesz.

– Niezupełnie.

Chudzielec podwinął lewy rękaw i obrócił zegarek do prawnika.

– Inaczej nie byłoby cię tutaj o tej porze – oznajmił. – Chyba że w końcu zaakceptowałeś swoją orientację i przyznałeś przed sobą, że się za mną wybitnie stęskniłeś.

– Co?

– Nieważne – odparł Kormak, siadając za biurkiem. – O co chodzi?

Kordian zajął miejsce po drugiej stronie i obrócił do siebie książkę Cormaca McCarthy’ego o tytule *Ciemność*. Nie znał jej i wydawało mu się, że widzi ją w Jaskini po raz pierwszy.

– Mroczny syf – ocenił szczypior. – Kazirodztwo, ogólny debilizm ludzkości, egzystencjalna beznadzieja. Tak pokrótce mogę ci opisać treść.

– Dzięki.

– Więc dowiem się, o co chodzi?

Oryński odsunął książkę.

– Mamy problem.

– Bo nie zalegalizowali związków tej samej płci? Wybacz, ale ja…

– Daj spokój – uciął Kordian. – Mamy cholernie poważny problem.

– Jaki?

– Piotr Langer jest prokurentem Salusa.

– Wiem.

Oryński poczuł, jak unosi brwi. Mechanicznie się wyprostował.

– Wiesz? Jak to wiesz?

Kormak wzruszył ramionami i sięgnął po McCarthy’ego.

– Od kiedy? – drążył młody prawnik. – Dlaczego nic nie mówiłeś?

– Spokojnie. Dowiedziałem się wczoraj wieczorem, byłeś już po spotkaniu z Langerem.

– Ale… skąd o tym wiesz?

Chudzielec powtórzył gest. Kordian uznał, że nie powinien się dziwić. Nie był to pierwszy raz, kiedy okazywało się, że Kormak wie więcej niż szeregowi pracownicy Żelaznego & McVaya.

– Chcesz coś z tym zrobić? – bąknął szczypior.

– Niby co?

– Nie wiem. Możemy go zastraszyć, zaszantażować, porwać go albo podłożyć mu trochę gandalfa białego i zadzwonić na policję. Możemy też zakopać go gdzieś na północ od Warszawy. Są tam dobre grunty pod takie rzeczy.

– Mhm.

– Nie wyglądasz na zainteresowanego.

Oryński westchnął i sięgnął po kawę Kormaka. Ten jednak w porę zabrał kubek.

– Nic nie mogę zrobić – oznajmił aplikant. – Ale gdyby chodziło tylko o jego obecność, nie byłoby problemu.

– A o co chodzi?

– Langer chce, żebym…

– Wszystko, co zaczyna się od „Langer chce”, brzmi jak preludium apokalipsy.

– Dasz mi skończyć?

– Tak. Chciałem tylko zaznaczyć tę myśl. Wydała mi się dobra.

– Była okej – przyznał Kordian. – A Langer chce, żebym udupił Chyłkę.

Kormak zawiesił wzrok na rozmówcy i przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby dostał obuchem. W końcu pokręcił głową.

– Co to konkretnie ma znaczyć? – zapytał.

– Że mam ją zniszczyć.

– To już moment, w którym mogę się roześmiać?

– Piotr chce, żeby odsunąć ją od sprawy. Najlepiej w taki sposób, żeby już do niej nie wróciła.

– Ty masz zniszczyć Chyłkę?

Kordian spuścił wzrok. Rzeczywiście, brzmiało to jak niezbyt dobry żart starego kabareciarza, który śmieszył kilkanaście lat temu, a w pewnym momencie przegapił powstanie YouTube’a i wejście stand-upu do Polski.

– Powodzenia – powiedział Kormak. – Będziesz jak Dolcan Ząbki w meczu przeciwko Barcelonie albo Realowi.

– Nie wiedziałem, że interesujesz się piłką.

– Nie interesuję się. Zasłyszałem gdzieś.

– Mhm – odparł pod nosem Oryński. – I nie powiedziałem, że mam zamiar cokolwiek robić w tej sprawie.

– Nie, nie powiedziałeś.

– Ale?

– Nie wspomniałem o żadnym „ale”.

– Tyle że wisi w powietrzu.

– No dobra – przyznał Kormak i zaczerpnął tchu. Położył dłonie na biurku i rozsiadł się niczym Don Vito Corleone. – Jest ale. Ale sprowadza się do tego, że robisz to, co każe kancelaria. A kancelaria zrobi to, co każe klient. Klient natomiast…

– Dobra, dobra.

– Ostatecznie zatańczysz tak, jak Langer ci zagra. Nawet jeśli będzie to marsz żałobny.

W tym wypadku należało uznać, że rzeczywiście tak będzie. W głowie rozbrzmiał mu cicho *Marcia funebre* z Sonaty b-moll. Przypuszczał, że nie był jedynym prawnikiem, który przeżywał takie rzeczy przed konfrontacją z Joanną.

Dopiero teraz na dobrą sprawę uświadomił sobie, że naprawdę czeka go walka z dawną patronką. Bez względu na to, co będzie działo się w postępowaniu przed sądem karnym, sprawa cywilna była już w toku. W końcu dwoje prawników stanie naprzeciw siebie na sali sądowej i Kordian nie mógł się łudzić, że Chyłka zastosuje taryfę ulgową. Z pewnością wytoczy najcięższe działa i zrobi wszystko, by wygrać.

On musiał przyjąć tę samą taktykę.

Spojrzał na Kormaka, a ten odchrząknął.

– Nie przyszedłeś tu przegadać tę sprawę, co? – zapytał chudzielec.

– Nie.

– Więc naprawdę mam szukać na nią brudów?

– Tak.

– Wiesz, że…

– Wiem, że nigdy nie grzebałeś w jej przeszłości – uciął Oryński. – Ani ty, ani nikt inny. Ale sam fakt, że tak zaciekle strzegła dostępu do swojego życia, każe sądzić, że możemy znaleźć coś przydatnego.

Przez moment obaj milczeli, nie patrząc na siebie.

– Jesteś pewien, że chcemy to zrobić? – upewnił się Kormak. – Może nie być odwrotu.

– Jestem pewny – odparł aplikant. – Ona zrobiłaby dokładnie to samo.

Podniósł się i ruszył w kierunku drzwi. Zatrzymał się przed progiem i obejrzał przez ramię.

– Znajdź mi coś – powiedział.

– W porządku.

Chudzielec silił się na lekki ton, ale bezskutecznie. Kordian zmrużył oczy i przyjrzał mu się. Było oczywiste, że nie chce działać przeciwko starej znajomej, ale prawnik dostrzegł coś jeszcze. Przez moment się zastanawiał.

– Już coś masz – zauważył.

– Absolutnie nie.

– Nie opowiadaj bzdur – odparł Oryński, wracając na poprzednie miejsce.

– Nie opowiadam. Wiesz dobrze, że podczas naszej znajomości Chyłka nie zająknęła się słowem na temat swojego życia przed tym, jak…

– Skończ pierdolić, Kormaczysko.

Szczypior zrobił wdech i mimowolnie przytrzymał powietrze w płucach. Potem wypuścił je ze świstem i zgarbił się. Poprawił niewielkie okulary, jakby szukał dobrego ułożenia, po czym ściągnął je i położył na biurku.

– Sporo pije – oznajmił.

– To akurat nic nowego.

– Nie… tym razem to naprawdę sporo.

– Czyli ile?

– Nie wiem, ale ilekroć ją odwiedzałem, była w stanie nieważko…

– Widywałeś się z nią?

Kordian poczuł się dziwnie. Był przekonany, że embargo, które nałożyła Joanna, rozciągało się na wszystkich pracowników kancelarii. Tymczasem znalazł się jeden, który miał specjalne względy. Aplikant poczuł ukłucie zazdrości, ale też zawodu. Szybko odsunął od siebie te myśli. W tej sprawie nie było miejsca na emocje.

– No? – zapytał Oryński. – Bywałeś u niej?

– Kilka razy.

– I?

– Co „i”?

– Rozmawialiście?

– Przestań zadawać imbecylne pytania – mruknął Kormak. – Oczywiście, że rozmawialiśmy.

– O czym?

– O tym, o czym konwersuje dwoje normalnych ludzi. Powinieneś kiedyś spróbować.

Kordian zmierzył go wzrokiem.

– Nie mam nastroju do żartów – powiedział.

– Widzę.

Prawnik zawahał się. Korciło go, by wypytać o szczegóły tych spotkań, a w szczególności dowiedzieć się, czy poruszali jego temat. Nie miało to jednak znaczenia dla sprawy. Poza tym Kormak zapewne powiedziałby mu, gdyby Joanna o nim wspomniała.

– Co z tym piciem? – zapytał.

– Chodzi nawalona jak messerschmitt.

– Cały czas?

Szczypior powoli skinął głową, jakby zdradzał najpilniej strzeżone szyfry, pozwalające zdobyć władzę nad światem.

– Od rana do wieczora – powiedział. – Ilekroć u niej byłem, opróżniała już którąś butelkę. A niedawno złożyłem jej wizytę rankiem… i była już mocno wstawiona.

Oryński poczuł, że zaschło mu w gardle. Sięgnął po kawę i napił się, nie zważając na pełen dezaprobaty wzrok przyjaciela.

– Jest źle, Zordon – ocenił Kormak. – Nawet bardzo źle.

– Źle dla niej, dobrze dla nas.

Chudzielec zmarszczył czoło.

– Udam, że tego nie słyszałem – powiedział.

– Udawaj, co chcesz. Ja nie mam zamiaru twierdzić, że to nieprzydatna informacja, kiedy klient wymaga od nas właśnie czegoś takiego.

– Czegoś takiego? Co konkretnie chcesz zrobić z tą wiedzą?

Dobre pytanie, uznał w duchu Kordian. Trwał przez moment w bezruchu, wbijając pusty wzrok w książkę McCarthy'ego. Jeszcze przed momentem jej tytuł przywodził na myśl nową produkcję J.J. Abramsa w świecie *Star Treka*. Teraz był adekwatny raczej do kierunku, w którym zmierzało jego życie.

Podniósł się bez słowa.

– Hm? – mruknął Kormak. – Co planujesz?

– Jeszcze nie jestem pewien – odparł aplikant na odchodnym, a potem wyszedł na korytarz.

13
ul. Argentyńska, Saska Kępa

Chyłka otworzyła oczy zaskoczona. Właściwie nie było powodu, dla którego miałaby się czemukolwiek dziwić, a mimo to codziennie to uczucie się powtarzało. Może podświadomie zdumiewało ją, że w ogóle się budziła? A może zastanawiało ją to, że nie bolała jej głowa i nie czuła kaca? Nie, w tej ostatniej kwestii dawno miała wszystko przepracowane. Jeśli wypiła odpowiednio wiele przed snem, ranek był w porządku. Po dwóch, trzech godzinach zaczęłyby się problemy, ale klin załatwiał sprawę.

Wypiła poranną dawkę i włączyła NSI. W wiadomościach mówiono o wypadku na krajowej ósemce, a potem zajęto się makabrycznym zabójstwem sprzed kilku dni. Wypowiadał się prokurator prowadzący śledztwo.

Joanna ściągnęła brwi. Pierwszy raz widziała tego oskarżyciela, choć wydawało jej się, że zna każdego warszawskiego prokuratora. Najwyraźniej nowy narybek. I całkiem udany, musiała przyznać.

Mężczyzna patrzył prosto w kamerę, sprawiał wrażenie pewnego siebie, ale nie na tyle, by popaść w arogancję. Przywodził jej na myśl Harveya Spectera ze „Suits", mimo że znajdował się po drugiej stronie prawniczej barykady i był blondynem. Jak na oskarżyciela publicznego ubierał się całkiem nieźle. Miał nawet poszetkę dobraną kolorystycznie do krawata.

– *Chapeau bas* – mruknęła do niego Chyłka, unosząc tequilę.

Pociągnęła kilka łyków i uznała, że poranna dawka klina jest wystarczająca. Spojrzała na podpis na dole ekranu. Prokurator Mateusz Zakierski.

Joanna machinalnie sięgnęła w kierunku telefonu. Naraz jednak zmitygowała się, że nie pracuje już w Żelaznym & McVayu. Nie korzysta z dobrodziejstwa posiadania w odwodzie kogoś takiego jak Kormak. Chudzielec szybko zebrałby wszystkie informacje, jakie były

do zebrania na temat prokuratora, a potem ułożyłby to w zgrabny raport.

Trudno, będzie musiała radzić sobie sama. Kiedyś nie wyobrażała sobie pracy z kimkolwiek, teraz wystarczyło wrócić do tamtych czasów. Wzdrygnęła się na myśl o tym. Była wówczas zupełnie inną osobą.

Skupiła wzrok na prokuratorze.

– Jak państwo doskonale wiedzą, ustaliliśmy kilka istotnych okoliczności w sprawie – powiedział Mateusz Zakierski.

Najwyraźniej uciął sobie krótką pogawędkę z dziennikarzami przed wejściem na antenę i jak zawsze okazało się, że wiedzą więcej, niż powinni.

– Zebraliśmy materiał dowodowy, który pozwolił na zatrzymanie tego ranka podejrzanego – dodał oskarżyciel.

Chyłka zamrugała kilkakrotnie oczami. Przesłyszała się? Była jeszcze wstawiona? I to aż do tego stopnia, by mieć halucynacje? Pasek w NSI nagle zmienił kolor z żółtego na czerwony. Pojawiła się na nim informacja, że zatrzymano osobę podejrzaną o zamordowanie kobiety i jej dziecka na warszawskim Ursusie.

– Na tę chwilę mogę powiedzieć jedynie, że zatrzymany, Robert H., jest mieszkańcem Warszawy. Ze względu na dobro śledztwa nie mogę przekazać państwu żadnych innych informacji.

Joanna poczuła, że robi jej się niedobrze.

– Czy zatrzymany przebywa w areszcie? – zapytał jeden z dziennikarzy tylko po to, by rozkręcić nieco prokuratora.

– Tak. Został zastosowany środek zapobiegawczy w postaci tymczasowego zatrzymania.

Satysfakcja w głosie Zakierskiego niemal sprawiła Chyłce fizyczny ból. Zatrzymali Bukano? Bez telefonu do niej, bez jakiejkolwiek informacji? Spojrzała na komórkę i przekonała się, że miga dioda nieodebranego połączenia.

Zaklęła pod nosem i sprawdziła rejestr. Dzwoniono do niej kilkanaście razy, zanim w końcu dano spokój. Chyłka natychmiast zerwała się z kanapy, ale szybko tego pożałowała. Zakręciło jej się w głowie i musiała przytrzymać się oparcia.

– Kurwa mać… – wymamrotała.

W tym stanie nie było mowy o złożeniu wizyty w areszcie śledczym. Wciąż klnąc, spojrzała na ekran telewizora. Mateusz Zakierski rozwodził się nad tym, że w przypadku Roberta H. poręczenie majątkowe nie wchodzi w grę. Zatrzymany pozostanie w areszcie.

– O jakich dowodach mówimy? – zapytała reporterka z NSI.

– Niestety nie mogę tego zdradzić.

– Ale są solidne?

Oskarżyciel robił wszystko, by się nie uśmiechnąć.

– Inaczej nie zatrzymywalibyśmy podejrzanego.

– Czy to mąż ofiary?

– Nie mogę tego zdradzić.

– Czy nazwisko tego człowieka zostanie ujawnione? – dodał ktoś z TVN24.

– Być może.

Joanna obserwowała gesty i mimikę prokuratora. Czuł, że ma władzę. Nie formalną, raczej charyzmatyczną. Dawkował informacje i czerpał z tego powodu przyjemność.

– Od czego to zależy? – spytał inny dziennikarz.

– Od tego, czy mieści się to w interesie społecznym. Jeśli tak, prokuratura lub sąd mogą podjąć decyzję o ujawnieniu tożsamości.

– W tym przypadku chyba tak jest.

– To się okaże – odparł Zakierski i powiódł wzrokiem po zebranych. – Jeśli nie ma więcej pytań, na dzisiaj dziękuję. Jutro postaramy się przybliżyć państwu szczegóły sprawy.

Zanim zalali go pytaniami, obrócił się i oddalił. Kamery odprowadzały go przez chwilę, a potem na antenie pokazał się materiał z zatrzymania. Najwyraźniej ktoś dał zawczasu cynk NSI, bo nie było to nagranie policyjne.

Chyłka doskonale pamiętała jedenastopiętrowy blok i kiosk obok. Twarz Bukano była zamazana, kilku policjantów prowadziło go w kierunku samochodu. Nagranie nie było długie i zaraz włączono obraz ze studia. Kilku komentatorów miało wypowiadać się na temat przestępczości rodzinnej i statystyk, które nie świadczyły na korzyść klienta Joanny.

Spodziewała się, że postawią mu zarzuty… ale dzisiaj? Ile czasu minęło, od kiedy zaczęli badanie DNA? O ilu dniach mówił ten… profesor z zakładu medycyny sądowej? Chyłka stała przed telewizorem, nie mogąc poskładać wszystkiego w logiczną całość.

W dodatku ktoś do niej dzwonił. Wczoraj, tuż przed tym, jak na dobre zaczęła pić. Szczerbaty, ten aspirant. Tak, z pewnością on.

Znów poczuła, jak wzbierają w niej nudności. Odchrząknęła i sięgnęła po paczkę papierosów. Palenie rzadko kiedy było dobrym pomysłem, ale w tym przypadku mogło pretendować do miana tragedii.

Mimo to zapaliła marlboro i podniosła telefon. Wybrała numer Szczerbińskiego.

Bez zaskoczenia przekonała się, że policjant nie odbiera. Po tym, jak potraktowała go wczoraj, być może nie powinna się dziwić. Miał dla niej jakieś informacje, tymczasem ona po prostu go spławiła. Wtedy wydawało jej się, że ma znacznie lepsze rzeczy do roboty.

Zaczęła już tracić nadzieję, że Szczerbiński odbierze, kiedy w końcu sygnał zmienił się w cichy szum.

– Halo? – zapytała.

– Teraz do mnie dzwonisz? – odparł Szczerbaty.

– Posłuchaj…

– Dziś nie mam na to czasu. Przykro mi.

Zanim zdążyła zaoponować, rozłączył się. Joanna cisnęła komórkę na kanapę, uświadamiając sobie, że spotkanie stało się bezcelowe. Z jakiejś przyczyny Szczerbiński miał zamiar poinformować ją wczoraj o dzisiejszym zatrzymaniu. Powinna się z nim spotkać, do cholery. Może zdołałaby zapobiec temu bagnu…

Rozmasowała skronie, przeczuwając nadchodzący ból głowy. Zgasiła papierosa i poszła pod prysznic. Wszystko po kolei, najpierw musiała doprowadzić się do stanu względnej używalności.

Obmycie się zimną wodą niewiele pomogło. Wycisnęła sobie pełną szklankę soku z cytryny, ale to również okazało się niewystarczające. W końcu sięgnęła po tequilę, uznając, że i tak gorzej już być nie może.

Jej klient znalazł się za kratkami. Chyłka złoży zażalenie, ale na niewiele się to zda. Wprawdzie Bukano znajdował się w grupie

podwyższonego ryzyka – był jednocześnie Cyganem, gwałcicielem i dzieciobójcą – ale Joanna nie sądziła, by jakikolwiek sąd zdecydował, że w areszcie grozi mu niebezpieczeństwo tak duże, iż trzeba go wypuścić.

Rozejrzała się niepewnie po mieszkaniu. Na fotelu leżał pognieciony żakiet, spódnica wylądowała na podłodze. Joanna przeszła do sypialni i przekonała się, że większa część jej garderoby była w podobnym stanie. Właściwie została jej tylko jedna czysta bluzka – ta, którą prała ręcznie jakiś czas temu, gdy w środku nocy alkohol cofnął się jej do gardła. Nie zdążyła do toalety i wszystko wylądowało na podłodze. Prawie wszystko.

Włożyła czystą bluzkę.

Najpierw widzenie, potem zażalenie, a później… później pomyśli, co dalej.

Ubrała się, wzięła torebkę i klucze, po czym ruszyła na korytarz. Ledwo zamknęła drzwi do mieszkania, a rozległ się znajomy głos:

– Nie wyglądasz najlepiej.

Przez chwilę nie była pewna, czy naprawdę go słyszy. Wbiła wzrok w drzwi i wmówiła sobie, że za jej plecami nikogo nie ma. Wyimaginowała sobie jego obecność. Nie mógł tutaj być. Nie teraz i nie po tylu latach.

– Magda dzwoniła – powiedział.

Joanna obróciła się powoli, z trudem przełykając ślinę. Spojrzała na ojca i mimowolnie pokręciła głową.

– Magdalena – wydusiła.

– Słucham?

– Po tych wszystkich latach mógłbyś… mógłbyś uszanować to, jak chce, żeby się do niej zwracać.

Ojciec sprawiał wrażenie, jakby nie dosłyszał. Zmrużył oczy, a zmarszczki wokół jego oczu stały się jeszcze wyraźniejsze. Kiedy Chyłka widziała go ostatnim razem, wyglądał na kilkanaście lat młodszego.

Oboje milczeli, patrząc na siebie. Na palcach jednej ręki mogła policzyć sytuacje w dorosłym życiu, kiedy trwała w niewygodnej dla siebie ciszy.

– Wychodzisz? – odezwał się w końcu ojciec.

– Jak widać.

– Mogę…

– Nie.

Skinął głową i cofnął się o krok. Jego zachowanie przywodziło na myśl zastraszonego uczniaka, który obawia się, że jednym niefortunnym słowem może sprowadzić na siebie łomot ze strony starszych kolegów.

Joanna zrobiła krok w kierunku schodów, nadal nie wiedząc, co powiedzieć. Oznajmić mu, by się odsunął? Zaproponować spotkanie później? Zastrzec, że nie ma zamiaru go widzieć?

Ostatnim razem rozmawiali pięć lat temu. I nie była to miła rozmowa.

– Muszę iść – odezwała się Chyłka i minęła go.

Było to najlepsze, na co wpadła.

– Czuć od ciebie alkohol – zauważył ojciec.

Nie odpowiedziała. Kto jak kto, ale on nie miał prawa formułować takich zarzutów. Bez względu na to, czy obecnie pił, czy zaliczał odwyk. Zresztą picie w jego wypadku było tylko kroplą w morzu przewinień.

Joanna zeszła do garażu i wsiadła do iks piątki. Nie była roztrzęsiona – by doprowadzić ją do takiego stanu, los musiałby zrzucić na nią jeszcze kilka takich niespodzianek – ale z pewnością czuła niepokój.

Jeśli jej siostra zadzwoniła do ojca, musiała uznać, że Chyłka dotknęła dna i nie odbiła się od niego. To oznaczało, że prawniczce nie uda się uniknąć długich i nikomu niepotrzebnych dyskusji z Magdaleną.

Wyjechała z garażu i bez problemu włączyła się do ruchu na Argentyńskiej. Dopiero po chwili zreflektowała się, że skręciła w złą stronę. Areszt śledczy był w przeciwnym kierunku.

Wbiła kierunkowskaz i zrobiła szybką nawrotkę. Musiała przyznać, że po porannej tequili udawało jej się wpasować w miejski ciąg samochodów z jeszcze większą łatwością. Jadąc w stronę Białołęki, trawiła świadomość tego, że ojciec pojawił się w Warszawie. Będą problemy, nie miała co do tego wątpliwości. Ilekroć ten człowiek wracał do siebie, pozostawiał za sobą spaloną ziemię.

W takich momentach Joannę cieszyło to, że nie ma rodziny. Nie ma osób, którym ojciec mógłby zatruć życie. Z Magdaleną było inaczej i Chyłka z trudem mogła uwierzyć, że siostra sięgnęła po taką pomoc.

Kilkaset metrów przed białołęckim aresztem nadal nie mogła zebrać myśli po niespodziewanej wizycie. Westchnęła. Ewidentnie nad jej klatką schodową wisiało jakieś fatum. Najpierw napastował ją tam Kormak, teraz widmo z przeszłości.

Omiotła wzrokiem okolicę, szukając wolnego miejsca parkingowego. Poniewczasie zauważyła policyjny radiowóz i funkcjonariusza, który złowił jej spojrzenie. Wszystko, co działo się później, widziała jak w zwolnionym tempie.

Umundurowany mężczyzna uniósł lizak, a potem wskazał jej, by zjechała na pobocze. Instynktownie wykonała polecenie, nie mając czasu zastanowić się nad implikacjami tego, co się dzieje. Zatrzymała się przy chodniku i dotarło do niej, że nawet bez alkomatu policjant bez trudu ustali, że jest nawalona. Dmuchanie będzie tylko formalnością.

Położyła ręce na kierownicy i uchyliła okno. Robiła to wszystko mechanicznie, nieraz zatrzymywano ją za przekraczanie prędkości i łamanie innych przepisów. Nigdy jednak nie wpadła, gdy chodziło o alkohol.

Zerknęła w lusterko i zobaczyła, że funkcjonariusz z ciekawością ogląda iks piątkę. Nie spieszyło mu się.

Poczuła, jak oblewa ją fala gorąca. Ostatnim razem czuła się tak przed swoją pierwszą rozprawą w sądzie okręgowym, wiele lat temu.

Gorączkowo zastanawiała się nad tym, jak się z tego wywinąć. Nadchodziła katastrofa i trudno było zebrać myśli. Konsekwencje bombardowały jej umysł jedna po drugiej.

Spojrzała na telefon leżący obok skrzyni biegów. Może krótka rozmowa ze Szczerbińskim by pomogła? Aspirant najwyraźniej darzył ją niejaką sympatią, skoro wczoraj miał zamiar zrobić coś, co stało w sprzeczności z jego obowiązkami.

Nie, z pewnością nie znał nikogo w drogówce. Potrzebowała innego ratunku.

Zanim zdążyła się nad tym zastanowić, policjant podszedł do drzwi od strony kierowcy. Podał stopień służbowy i przedstawił się, ale Joanna z trudem rejestrowała jego słowa. Dotarło do niej, że straci prawo jazdy, a bmw zostanie odholowane na policyjny parking. Niestety będzie to tylko kropla w morzu wszystkich problemów, których sobie narobiła.

Jeśli stężenie alkoholu w wydychanym powietrzu przekroczy pewien pułap, zakaz prowadzenia pojazdów będzie jej najmniejszym zmartwieniem. Groziły jej za to konsekwencje prawne, a prokuratura chętnie postawi jej zarzuty. Sześć miesięcy pozbawienia wolności w zawieszeniu na kilka lat to minimum, co zdołają osiągnąć.

– Słyszy mnie pani? – zapytał funkcjonariusz, marszcząc czoło.

Położył dłoń na kaburze pistoletu i zrobił krok w tył.

– Proszę wysiąść z samochodu – polecił.

Chyłka spojrzała przed siebie. Gdyby dobrze depnęła, zostawiłaby za sobą radiowóz. Zanim mundurowy wróciłby do auta, ona byłaby już po drugiej stronie aresztu śledczego. Stamtąd popędziłaby w kierunku Legionowa, być może udałoby się zgubić pościg.

– Proszę pani?

Nie wiedziała, ile ma promili. Z pewnością sporo, skoro rzeczywiście rozważała ucieczkę.

Spojrzała w tylne lusterko. Drugi ze stróżów prawa wpatrywał się w tablice iks piątki.

– Pani mecenas? – zapytał ten stojący przy aucie.

– Tak… – powiedziała. – Już wychodzę.

Wyłączyła silnik i zaklęła w duchu. Otworzyła drzwi, po czym chwiejnie wyszła na zewnątrz. Policjant od razu poczuł alkohol. Oczy zabłysły mu, jakby wygrał los na loterii.

Chyłka dopiero po chwili zorientowała się, że odniósł się do niej prawniczym zwrotem grzecznościowym. Wiedział, kim jest. Czekali na nią.

14
Skylight, ul. Złota

– Załatwione – powiedział Kormak.

Oryński chodził po Jaskini McCarthyńskiej z rękoma założonymi za plecami, jakby oczekiwał wieści z porodówki. Kiedy chudzielec się odezwał, Kordian stanął przy biurku.

– Zatrzymali ją? – spytał.

– Tak.

Sporo czasu poświęcił na to, by przekonać samego siebie, że to jedyne rozwiązanie. Udało mu się nawet wmówić sobie, że dzięki temu Joanna uniknie poważniejszych konsekwencji, które od pewnego czasu zbierały się nad nią jak ciemne chmury.

– Jesteś zadowolony? – zapytał Kormak, odkładając telefon.

Aplikant opadł ciężko na krzesło przed biurkiem.

– To musiało zostać zrobione – powiedział.

Szczypior prychnął i pokręcił głową.

– Myślisz, że jak użyjesz formy bezosobowej, poczujesz się mniej winny? – zapytał.

– Nie.

– To dobrze. Przyjmij to na klatę. Zdradziłeś Chyłkę w najgorszy możliwy sposób i choćbyś zorganizował jej kiedyś prywatny koncert Ironsów, nie wybaczy ci.

– Wiem.

Chudzielec zmierzwił sobie włosy. Sprawiał wrażenie wykończonego, choć na dobrą sprawę niewiele zrobił. Żaden z nich nie musiał specjalnie się wysilać. Wystarczyło poinformować kogo trzeba, że prawniczka z pewnością niebawem pojedzie na widzenie ze swoim klientem i będzie w stanie wskazującym.

Kormak i Oryński przez chwilę trwali w milczeniu.

– Co teraz? – odezwał się w końcu szczypior.

– Postawią jej zarzuty z artykułu sto siedemdziesiątego ósmego a.

– Ile jej za to grozi?

– To zależy, ile ma promili. Ale generalnie grzywna, ograniczenie wolności albo pozbawienie wolności do dwóch lat.

– Będzie rozprawa?

– Jeśli Chyłka się zgodzi z zarzutami, a prokurator uzna, że cel postępowania zostanie osiągnięty bez rozprawy, to nie.

– To realne?

– Myślę, że tak.

– Nie będzie walczyła?

Kordian rozpiął marynarkę i usiadł wygodniej.

– Nie ma żadnych argumentów – powiedział. – Jak się z tego wybroni? Powie, że zjadła kilo jabłek i omyłkowo połknęła trochę płynu do ust?

– Nie wiem.

– Jeśli prokuratura nie przegnie z zarzutami, załatwią to szybko.

– Nie ma żadnej możliwości, żeby… no wiesz, zastosować tę swoją sofistykę?

– Nie – odparł Oryński. – Chyłka zna wszystkie kombinacje i wie, że żadna z nich nie zdziałała cudów w sądzie. Za prowadzenie pod wpływem skazywano nawet tych, którzy udowodnili, że mieli wyłączony silnik czy byli ciągnięci na lince holowniczej. To samo dotyczy tych, którzy w porę zjechali z drogi publicznej. Sądy orzekały, że nie ma to żadnego znaczenia. Skazywano zresztą nawet, jeśli nie przeprowadzono badania alkomatem.

– Jak to?

– Sąd dokonywał ustaleń na podstawie zeznań świadków.

– Więc nie ma żadnej opcji?

– Żadnej. Jedyny wyjątek to pchanie zepsutego samochodu. To możesz robić nawet nawalony w sztorc.

Kormak pokiwał głową, wyraźnie zawiedziony. Zrobił, co mu kazano, ale trudno było spodziewać się, że się z tym pogodzi. Znów zamilkł, wbijając wzrok w ścianę.

– Co jeszcze? – zapytał.

Kordian uniósł brwi.

– Co jeszcze jej grozi? – wyjaśnił szczypior. – Pozbawienie prawa wykonywania zawodu?

Oryński nabrał tchu. Nie był to łatwy temat.

– Wszystko zależy od niej.

– A konkretnie?

– Od tego, ile wypiła – odparł cicho Kordian. – Nie wlewaliśmy w nią alkoholu. Nie kazaliśmy jej wsiadać do auta. Nie mówiliśmy, żeby…

– Nie, Zordon – potwierdził Kormak. – My tylko donieśliśmy na nią jak najgorsze gnidy.

Aplikant skrzywił się i założył rękę za oparcie krzesła. Przyjaciel miał rację, a on zmagał się z podobnymi przemyśleniami, od kiedy podjął decyzję. Ostatecznie nie miał jednak wyjścia. Mógł tylko liczyć na to, że tego dnia Joanna wypije niewiele. Wszystko zależało od niej.

– Daj spokój – powiedział wreszcie. – Wykonujemy tylko naszą robotę.

– Ta…

– Ona zrobiłaby to samo.

– Z pewnością.

– Nie wiesz, do czego jest zdolna, żeby wygrać sprawę? – zapytał Oryński. – Nie pamiętasz już, ilu ludzi zniszczyła?

Sam był zdziwiony, że przeszło mu to przez gardło. Jeszcze pół roku temu prędzej oberżnąłby sobie język, niż powiedział coś takiego, nawet jeśli tylko w towarzystwie Kormaka.

Ale podjął decyzję. Nie dzisiaj, nie wczoraj. Zrobił to, kiedy Chyłka zdecydowała się na to, by sprzeniewierzyć się jednej z najważniejszych zasad swojego zawodu. Zrobił to, gdy postanowił opowiedzieć się po stronie kancelarii i klienta, nie jej. W końcu zrobił to, kiedy podjął decyzję, że kariera jest ważniejsza od moralności.

Był przygotowany, by postąpić tak, a nie inaczej. Każdy adept prawa wiedział, na co się pisze.

– Więc zawaliliśmy jej życie? – odezwał się Kormak.

– Nie.

Chudzielec spojrzał na Kordiana z powątpiewaniem.

– Po pierwsze, jeśli dojdzie do poważnych konsekwencji, sama je na siebie sprowadziła – powiedział Oryński. – Po drugie, żadna okręgowa rada adwokacka nie skreśli jej z listy za sam fakt skazania.

Chyłka ma jeszcze kilka przysług do wykorzystania w palestrze, poradzi sobie.

– O ile nie wypiła za dużo.

Kordian pokiwał głową. Sam miał ochotę pójść do Hard Rock Cafe na duże piwo. Nieraz zdarzało się, że Joanna właśnie w tym celu go tam zabierała. Nigdy jednak nie powiedziałby, że ma problem. I ona z pewnością też nie.

A może była tego świadoma i miała to gdzieś? Tak, to zdecydowanie bardziej pasowało do Chyłki.

– Langer będzie zadowolony – powiedział ni stąd, ni zowąd Kormak.

Nie było dobrej odpowiedzi na taki komentarz.

– A ty będziesz wspinać się po szczeblach kariery jak szalony – dodał.

– Dasz spokój?

– Dopiero, kiedy zdasz sobie sprawę z tego, co zrobiłeś.

– Zrobiliśmy – dopowiedział Oryński, po czym uznał, że nie ma sensu dyskutować teraz z Kormakiem. – A tymczasem wracaj do roboty – uciął, jakby był jego przełożonym.

W pewnym sensie może i był, ale szczypior popatrzył na niego, jakby miał zamiar wyrzucić go z biura. Kordian wstał i podszedł do drzwi.

– Jak coś będzie wiadomo, daj mi znać – rzucił na odchodnym.

– Oczywiście.

Młody prawnik wyszedł na korytarz i odetchnął. Wprawdzie poziom kancelaryjnej entropii przekraczał tu wszelkie dopuszczalne normy, ale szum działał na niego uspokajająco. Był wdzięczny wszystkim rozgorączkowanym prawnikom za to, że nie słyszy swoich myśli. Obawiał się jednak, że długo nie będzie w stanie ich zagłuszać.

Spojrzał na zegarek. Miał piętnaście minut do umówionego spotkania.

Uznał, że nie będzie wracał do cichego gabinetu. Poszedł do biura patrona i zastał go, gdy ten właśnie zbierał się do wyjścia.

– Gotowy, kawalerze? – zapytał Lew Buchelt.

– Tak.

– Sprawa z Joanną załatwiona?

– To się okaże.

– Ale rozumiem, że sprawiedliwości stała się zadość?

– Zatrzymali ją – odpowiedział wymijająco Kordian.

– Wybornie – ocenił Lew i na moment zawiesił głos. – Uważam, że prowadzenie w stanie nietrzeźwości jest jedną z najohydniejszych rzeczy, jakie można zrobić.

– To prawda.

Oryński mógł przypomnieć sobie mnóstwo momentów, kiedy Chyłka miała sposobność zasiąść po pijaku za kółkiem. Za każdym razem jednak albo dawała mu prowadzić, albo znajdowała kogoś, kto mógł ją podwieźć. Raz skończyło się to tragicznie. Być może dlatego zrezygnowała z pomocy innych.

– Chodźmy – polecił Buchelt, ruszając do wyjścia.

Stary adwokat zamknął gabinet, po czym jeszcze nacisnął klamkę by sprawdzić, czy aby na pewno. Skierowali się do windy i wjechali piętro wyżej, po czym udali się do Pure Sky Club, restauracji, gdzie mieli spotkać się z nieoczekiwanym gościem.

Buchelt nalegał na rozmowę w jego gabinecie, ale mężczyzna pozostał nieugięty. Twierdził, że nie chciał być widziany w firmie przez innych prawników.

Kordian wszedł do restauracji i potoczył wzrokiem wokół. Luksus jak w InterContinentalu, może nawet większy. Istotniejszym atutem tego miejsca było jednak to, że nie spotka tutaj Piotra Langera.

– Jest już nasz rozmówca – zauważył Buchelt i wskazał wzrokiem blondyna w nieźle skrojonym garniturze.

Prawnicy od Żelaznego & McVaya podeszli do niego, po czym trzech mężczyzn wymieniło się zdawkowymi uśmiechami i mocnymi uściskami dłoni.

Mateusz Zakierski uniósł kartę dań i spojrzał na nią, jakby trzymał w ręce śmierdzące gnijące jajko.

– Jak przeglądam to menu, stwierdzam, że za dużo zarabiacie.

Obrońcy usiedli przy stole.

– Wszystko zależy od wyników – odparował Buchelt. – Jeśli adwokat dużo wygrywa, również dużo zarabia.

– Więc ostatecznie wszystko zależy od nas – zauważył Mateusz.

– Słucham?

– A konkretnie od tego, na kogo traficie.

Obrońcy spojrzeli po sobie i nie podjęli tematu. Kordian przypuszczał, że gdyby zjawił się tu z dawną patronką, już rozpętałaby się prawdziwa burza. Lew jednak zbył tę uwagę milczeniem, a potem zamówił sobie coś, co w karcie dań określano jako „Moelleux z ciemnej czekolady". Oryński wziął to samo.

– Zanim zaczniemy, mam dla panów ciekawą informację – odezwał się Zakierski. – Obrończyni Cygana została zatrzymana pod aresztem śledczym. Prowadziła pod wpływem alkoholu.

– Co takiego? – zapytał Buchelt.

Kordian starał się zrobić zdziwioną minę, ale jednocześnie uważał, by nie wypadło to zbyt teatralnie.

– Jak to?

– Policjanci dostali zgłoszenie, że osoba w czarnym bmw X5 wygląda na pijaną. Zatrzymali ją i okazało się, że to Joanna Chyłka.

– Ale… – zaczął Oryński i pokręcił głową. – Ona nigdy nie prowadzi pod wpływem.

– Raczej nie prowadziła. Czas przeszły – poprawił go Mateusz. – I więcej już nie poprowadzi. Czas przyszły.

Prokurator odłożył menu na bok.

– Proszę się nie krępować – odezwał się Buchelt. – To spotkanie jest na nasz koszt.

Zakierski zmrużył podejrzliwie oczy, po czym sięgnął z powrotem po kartę dań i wybrał sobie obiad za ponad siedemdziesiąt złotych. Biorąc pod uwagę tutejsze ceny, mógł zaszaleć znacznie bardziej.

Kordian czekał, by zadać nurtujące go pytanie, ale nie chciał się z tym spieszyć. Kiedy kelner przyjął zamówienie i się oddalił, prawnik uznał, że najwyższa pora. Zaraz przejdą do sedna i temat Chyłki umrze śmiercią naturalną.

– Ile miała promili? – zapytał.

– Nie wiem – odparł Mateusz. – Proszę pytać policji.

Oryński skupił na nim wzrok. Sprawiał wrażenie, jakby rzeczywiście nie miał pojęcia o tym, że to kancelaria Żelazny & McVay zadbała o zatrzymanie dawnej pracownicy.

Prokurator wyprostował się i rozejrzał, dając znak, że czeka, aż stary adwokat podejmie właściwy temat. Mateusz Zakierski miał

jasny, równo przystrzyżony zarost, grzywkę postawioną do góry i garnitur, który pasował raczej do młodych headhunterów niż do prokuratury. Po prawdzie brakowało mu tylko ciemnych okularów, by wyglądać jak gwiazda Hollywood.

Buchelt również taksował go wzrokiem, wciąż milcząc.

– O ile mnie pamięć nie myli, to panowie wyszli z propozycją tego spotkania – odezwał się Mateusz.

– Owszem – mruknął Borsuk.

– Więc…

– Więc zjedzmy spokojnie, nie mamy powodu, by się spieszyć.

Zakierski podciągnął rękaw białej koszuli i spojrzał na zegarek. Kordian rozpoznał go od razu. Jeden z tissotów, które łączyły elegancję i sportowy charakter. Posiadacz wysyłał jasny sygnał – jestem nowoczesnym dżentelmenem. Oryński musiał przyznać, że zegarek w tym przypadku konweniował z całokształtem.

– Mam trochę do zrobienia – powiedział prokurator. – A przy jedzeniu nie lubię rozmawiać o ważnych sprawach.

Lew westchnął, jakby codziennie musiał zmagać się z pośpiechem.

– Zatem do rzeczy – powiedział z rezygnacją w głosie i skinął na Kordiana.

Oryński był na to przygotowany. Kilka godzin wcześniej dostał zadanie, by ułożyć odpowiednie przemówienie na tę okazję.

– Jak pan wie, stoimy po tej samej stronie barykady – zaczął.

– Tylko poniekąd.

Do stolika podszedł kelner z dwoma deserami i postawił je przed pracownikami od Żelaznego & McVaya.

– Wszystkim nam zależy na sprawiedliwości – kontynuował Kordian. – To rzadka sytuacja, biorąc pod uwagę, że normalnie…

– Darujmy sobie może te wstępy, bo zaraz przyjdzie moja uczta.

„Zaraz” było dużym niedopowiedzeniem. Jak w każdym dobrym lokalu, tak i tutaj trzeba było odczekać swoje. Prokurator jednak raz po raz spoglądał nerwowo w stronę kuchni. Najwyraźniej nie zamierzał spędzić tu wiele czasu.

– Dążymy do porozumienia – zaznaczył Buchelt. – Proszę to uszanować.

Zakierski skinął głową i uśmiechnął się zdawkowo. Grymas znikł po ułamku sekundy.

– Przygotowujemy się do procesu – ciągnął Kordian. – Reprezentujemy Salusa i…

– Wszystko to wiem.

– Więc wie pan także, że zbieramy materiał dowodowy, który pozwoli uznać, że nasz klient jest zwolniony z obowiązku wypłaty polisy.

– Oczywiście.

– Ten materiał dowodowy jest zbieżny z tym, co państwo starają się wykazać.

– Aha.

Oryński zaczął odnosić wrażenie, że Zakierski pojawił się tutaj tylko z czystej ciekawości. Względnie po to, by zasmakować kawałka łososia, który kosztował tyle, co kilka kilogramów w rybnym.

Aplikant spojrzał na patrona, ale ten sprawiał wrażenie spokojnego. Albo mu ufał, albo zdawał sobie sprawę, że ostatecznie obydwie strony musiały się dogadać, bowiem miały sobie coś nawzajem do zaoferowania.

Kordian odsunął deser i uznał, że najwyższa pora wziąć się do roboty.

– Z pewnością słyszał pan o sprawach, które prowadziła Chyłka – zaczął.

– Pewnie.

– Więc wie pan, że łatwo nie będzie.

– Raczej nie byłoby.

Oryński uśmiechnął się pod nosem.

– Joanna tak łatwo nie odpuszcza – zapewnił. – To zatrzymanie nie znaczy, że zostawi klienta. Wynajmie innego adwokata i będzie…

– Ona być może go nie zostawi – wpadł mu w słowo Mateusz. – Ale Cygan zapewne poszuka sobie innego obrońcy. Ja czym prędzej zrobiłbym tak na jego miejscu.

– Może próbować.

Zakierski wzruszył ramionami.

– Wszystko zależy od niego – powiedział, kiedy kelner stawiał przed nim wyszukane danie. – Chyłka może go terroryzować, grozić

mu i twierdzić, że tylko ona jest w stanie wyciągnąć go z tego bagna, ale ostatecznie ważniejsze od jej słów będą fakty.

Kordian chciał się odezwać, ale prokurator zrobił tylko krótką pauzę, by nabrać tchu.

– A fakty są takie, że ona pogrąża go jeszcze bardziej – dodał Zakierski. – Jest toksyczna.

– Tak czy owak…

– Nie rozmawiajmy już o niej – uciął oskarżyciel. – Chyba że właśnie po to chcieliście się spotkać? By mnie ostrzec? – Popatrzył po prawnikach i westchnął. – Hm?

– Bynajmniej – zabrał głos Borsuk.

Blondyn przez chwilę czekał na ciąg dalszy, a potem zorientował się, że to wszystko, co miał do powiedzenia stary adwokat. Skupił całą uwagę na swoim daniu.

– Jak pan sobie chce – odezwał się Oryński. – Ale zapewniam, że prędzej czy później zadzwoni pan pod ten numer, szukając pomocy – dodał, wyciągając wizytówkę. Położył ją obok talerza, ale Zakierski nawet na nią nie spojrzał.

Lew Buchelt spojrzał znacząco na podopiecznego i powoli skinął głową. Najwyraźniej jego cierpliwość się skończyła.

– Ale nie po to chcieliśmy się z panem spotkać – podjął Kordian.

Przeżuwając kawałek mięsa, Mateusz podniósł wzrok.

– Więc po co?

– Mamy pewne informacje, które uzna pan za ciekawe.

– Ta?

– Dotyczą Bukano i… cóż, jego środowiska.

– A konkretniej? – bąknął Zakierski. – Kończę to jedzenie i znikam, więc sugeruję się pospieszyć.

Kordian miał wszystko przygotowane. Uśpił czujność rozmówcy, dał mu do zrozumienia, że mimo wybryku Chyłki nie będzie miał łatwo, a teraz należało wytoczyć ciężkie działa. Dzięki ustaleniom Kormaka udało im się dotrzeć do faktów, które były znaczące nie tylko dla nich, ale także dla prokuratury. A może w szczególności dla niej.

– Zanim przejdziemy do konkretów… – wtrącił mrukliwie Lew. – Upewnijmy się tylko, że wszyscy wiemy, na czym stoimy.

– Mhm.

– Panu zależy na skazaniu. Nam również.

– Świetnie, świetnie. Więc?

– Chcielibyśmy również, by stało się to jak najszybciej.

– Nie wątpię.

– Kluczowe jest dla nas, by proces cywilny nie zdążył na dobre…

– Tak, tak – przerwał mu Mateusz. – Wiem doskonale, czego oczekujecie. A teraz proszę, o co chodzi?

Buchelt z niezadowoleniem pokręcił głową, a potem przeniósł wzrok na aplikanta, oddając mu pałeczkę.

– Zrobiliśmy mały research – oświadczył Kordian. – Właściwie powinienem chyba nazywać to śledztwem, bo takie określenie stosujecie. A zakres czynności u nas i u was był taki sam. Różnica polega na tym, że my do czegoś dotarliśmy.

Zakierski nie sprawiał wrażenia przekonanego. Jadł spokojnie, ale widać było, że gdyby mógł, zabrałby wszystko na wynos.

– Dzień przed śmiercią Patrycji Horwat i jej córki Bukano kontaktował się z pewnym człowiekiem ze swojego dawnego koczowiska.

Prokurator powoli podniósł wzrok. Przestał przeżuwać.

– Udało nam się ustalić konkretnie z kim – dodał Oryński. – I być może nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że…

– Od lat nie utrzymywał z nikim kontaktu – dopowiedział Zakierski i odłożył sztućce. – Był *persona non grata* w romskiej społeczności.

– To niedopowiedzenie – ocenił Kordian, po czym nałożył sobie trochę *moelleux*. – I tym bardziej zastanawiające jest to, że nagle, dzień przed przestępstwem, nawiązuje ponowny kontakt z dawnym przyjacielem.

– Z kim konkretnie?

– Dowie się pan tego, jeśli…

– To informacja istotna dla śledztwa – zastrzegł prokurator. – W tym momencie żarty się kończą, panowie.

Borsuk pokiwał głową z uznaniem, jakby właśnie na to czekał.

– Wezwie nas pan na świadków na rozprawie, wszystko powiemy – zapewnił go Oryński z lekkim uśmiechem.

– Otóż to – potwierdził patron.

Zakierski przyglądał im się przez chwilę. Nagle zupełnie stracił apetyt. Odsunął talerz i skrzyżował ręce na piersi.

– Potrzebuję tej informacji teraz – powiedział.

– W to nie wątpimy – odparł Kordian.

– Więc czego oczekujecie w zamian? – zapytał prokurator, patrząc to na jednego, to na drugiego. – Wasze postępowanie cywilne i tak zostanie zawieszone z przyczyn prejudycjalnych. Artykuł sto siedemdziesiąty siódmy paragraf pierwszy punkt czwarty kpc. Ujawnienie czynu, który w drodze karnej mógłby wywrzeć wpływ na postępowanie cywilne.

– Brawo. Zna pan numer przepisu – mruknął Oryński.

– Znam też realia. Dostaniecie to, czy dacie mi coś w zamian, czy nie.

– Owszem – włączył się Lew.

Wszyscy trzej zamilkli. Kelner łypnął na nich z oddali i dostrzegł, że jeden z klientów odsunął od siebie talerz. Ruszył w ich kierunku, ale Buchelt powstrzymał go ruchem ręki.

– Nikt nie mówi, że oczekujemy czegoś w zamian – odezwał się Kordian. – Jak sam pan mówi, zależy nam na szybkim skazaniu.

– Innymi słowy chcą panowie, bym wystawił wam czek *in blanco*?

– Mniej więcej.

Prokurator pokręcił głową.

– Nie obiecuję przysług, kiedy nie wiem, o co zostanę w przyszłości poproszony.

– Nie oczekujemy obietnicy.

– Więc czego?

Obaj wzruszyli ramionami. Po prawdzie Kordian miał nadzieję, że rozmowa pójdzie w trochę innym kierunku, a Mateusz Zakierski okaże się człowiekiem, z którym można współpracować. Wystarczyło im w zupełności zapewnienie, że kiedyś im się odwdzięczy. Tymczasem usłyszeli właściwie coś zupełnie przeciwnego.

Dla sedna sprawy nie miało to żadnego znaczenia. I tak przekażą mu wszystkie uzyskane informacje. W ich najlepszym interesie było, by prokuratura jak najszybciej wygrała starcie z Chyłką. O ile Joanna rzeczywiście nie pozwoli odsunąć się od sprawy.

– Czuję, że będę musiał wezwać panów do… – zaczął prokurator, ale urwał, gdy Kordian stanowczo pokręcił głową.

Nic nie mówiąc, sięgnął do stojącej na podłodze torby. Wyjął niewielką teczkę, po czym podał ją rozmówcy. Zakierski szybko ją otworzył.

– Kto to jest? – zapytał.

– Koro.

– Ktoś z rodziny?

– Nie. Rodzina skreśliła Bukano. Dla nich zwyczajnie nie istnieje.

– Znajomy?

– Dobry znajomy z czasów… cóż, można by powiedzieć, że szkolnych, gdyby nie to, że Romowie nie mają wiele wspólnego ze szkołą.

Oskarżyciel skupił wzrok na zdjęciu Cygana. Miał nieco ciemniejszą karnację od Bukano, kruczoczarne włosy i wzrok, który kazał sądzić, że niewiele trzeba, by go poirytować.

– Gdzie się spotkali?

– Niedaleko kamienicy, w której mieszka Koro.

– To znaczy?

– Wszystko jest w tym pliku – zapewnił Oryński. – Ale chodzi o pewne miejsce na Pradze Południe. Tam zresztą w dużej mierze mieszkają Cyganie określający się jako Polska Roma.

Zakierski pokiwał głową. Jeszcze przez moment przeglądał zawartość pliku, a potem zamknął teczkę i wstał od stołu.

– Częstujcie się, panowie – powiedział, wskazując talerz. – O ile dobrze zrozumiałem, mnie w domu czeka znacznie lepsza uczta – dodał, unosząc teczkę.

– Z pewnością – odparł aplikant.

Oskarżyciel ruszył w stronę wyjścia, ale zatrzymał się w pół kroku.

– Jest tam coś dobrego? – zapytał, mrużąc oczy.

– Sam fakt, że Bukano spotkał się z innym Romem, nie wystarcza?

– W tych okolicznościach powinien – zauważył Buchelt.

Prokurator Zakierski popatrzył na nich, na materiały, a potem uśmiechnął się kącikiem ust i oddalił. Kordian odprowadził go wzrokiem i pomyślał, że wszystkie elementy układanki są na miejscu.

Problem stanowiło tylko to, że zaprojektował ją Piotr Langer. I to napawało Oryńskiego pewnym niepokojem.

15
Sala widzeń, Areszt Śledczy Warszawa-Białołęka

Joanna nie pamiętała, kiedy ostatnio tyle się nakląła. Od miejsca, gdzie ją zatrzymano, do gmachu aresztu przy Ciupagi miała raptem kilkaset metrów, ale na każdy krok przypadało co najmniej kilka wycedzonych przekleństw.

Moment, gdy dmuchała w alkomat, zapamięta z pewnością jako jedno z najgorszych przeżyć. Popełniła ten sam błąd, co każdy inny nietrzeźwy człowiek. Wypuściła powietrze zbyt wolno i zbyt słabo, przez co musiała powtórzyć przeklęty proces dwukrotnie.

Potem ze zgrozą obserwowała wynik badania. W jednym decymetrze wydychanego powietrza miała dokładnie zero przecinek dwadzieścia cztery miligramy alkoholu. Oznaczało to, że znajduje się w stanie, który ustawa określała jako „po spożyciu alkoholu". Gdyby przekroczyła poziom zero przecinek dwudziestu pięciu miligramów, podpadłaby już pod „stan nietrzeźwości". I mogłaby pożegnać się z życiem, jakie dotychczas znała.

Uśmiech losu sprawił jednak, że jej przewinienie kwalifikowało się jeszcze jako wykroczenie, a nie przestępstwo. Przypuszczała, że dostanie pięć tysięcy złotych grzywny, ale nic poza tym. Nie będzie mowy o ograniczaniu czy tym bardziej pozbawianiu jej wolności.

Teraz siedziała przy stoliku numer trzy, czekając na Bukano. Miała wrażenie, że cudem uniknęła prawdziwej tragedii. I nie wyszła z tego całkowicie obronną ręką – w takiej sytuacji obligatoryjnie orzekano zakaz prowadzenia pojazdów na okres od pół roku do trzech lat. Dodatkowo wzbogaci się o dziesięć punktów karnych.

Istotne było jednak to, że nie będzie figurowała w rejestrze skazanych. By tak się stało, za wykroczenie musiałaby zostać

zasądzona kara aresztu. Chyłka była pewna, że uda jej się tego uniknąć.

Powiodła wzrokiem po sali, ale nigdzie nie dostrzegła Bukano. Pojawił się dopiero po chwili, choć doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że każda minuta tego spotkania może okazać się na wagę złota.

– Miała pani być wcześniej – zauważył.

– Musiałam przełożyć.

– Jakieś kłopoty?

– Najpierw ojciec, potem policja.

– Nie brzmi to dobrze.

– W porównaniu do gówna, w którym się pan znalazł, to nic.

Popatrzył na nią z zaciekawieniem, Chyłka zaś przyglądała się jego ogólnemu stanowi. Nie wyglądał najgorzej. Spodziewała się, że trochę oberwie od współwięźniów, ale najwyraźniej władze aresztu na razie trzymały go z dala od tych, którzy nie pałali sympatią do Romów, gwałcicieli i dzieciobójców.

– W celi wszystko okej? – zapytała.

– Na tyle, na ile może być.

– Ile jest osób?

– Jedna oprócz mnie.

– A prycz?

– Cztery.

– Więc prędzej czy później będzie pan miał towarzystwo. Jak chce pan pożyć jeszcze trochę, niech się pan dogada z obecnym współwięźniem.

– Staram się – odparł i omiótł wzrokiem pusty stół. – Nie ma pani dla mnie niczego?

– Nie możemy przekazywać pieniędzy.

– Miałem na myśli coś do jedzenia – wyjaśnił, obracając się. – Klawisz mówił, że można przynosić nam produkty spożywcze, o ile tutaj je zjemy.

– Nie zdążyłam kupić. Następnym razem.

Pokiwał głową. Joanna nie dziwiła się jego rozczarowaniu. Nie trzeba było siedzieć tutaj długo, by docenić czekoladę lub puszkę pepsi przyniesione z zewnątrz.

– Mamy jakiś nowy kłopot? – zapytał Bukano.

– Słucham?

– Wspomniała pani o policji…

– Nie – zapewniła go krótko. – A z dwojga złego większym problemem jest mój ojciec.

– Rozumiem.

– Nic pan nie rozumie – odparła. – Ale dzięki temu jest pan zdrowszy na umyśle. Tego samego nie mogę powiedzieć o sobie.

Poprawił się na krześle i odchrząknął. Jednak miał poczucie, że każda chwila jest cenna. Chyłka uznała, że najwyższa pora przejść do rzeczy.

– Musimy ustalić strategię – odezwała się.

Była zadowolona ze swojego stanowczego tonu. Mimo że otarła się o niemałe niebezpieczeństwo, zachowywała zimną krew. Biorąc pod uwagę jej ostatnie wyczyny, należało uznać to za dobry prognostyk.

– Proszę bardzo – powiedział Bukano. – Ja podpiszę się pod wszystkim, co pani zasugeruje.

– Doprawdy?

– Oczywiście.

– Jeszcze niedawno nie był pan tak chętny, żeby złożyć swój los w moje ręce. Co się zmieniło?

– Nic.

Joanna potrzebowała tylko chwili, by znaleźć odpowiedź na to pytanie.

– Siedzi pan z gościem, który o mnie słyszał.

Robert Horwat potwierdził ruchem głowy.

– Co panu mówił?

– Że jest pani żyletą.

– Słusznie – odrzekła Chyłka. – I niech pan o tym pamięta, kiedy przesłuchujący pana prokurator zacznie mówić o jeździe pod wpływem alkoholu.

– Dlaczego miałby…

– Bo zatrzymano mnie przed chwilą, a jestem lekko wstawiona.

Patrzył na nią nierozumiejącym wzrokiem. Dopiero po chwili uzmysłowił sobie, że z jego punktu widzenia nie jest to zbyt istotne. Joanna podziękowała w duchu współwięźniowi, choć dobra renoma

za kratkami nie była dla niej wielkim zaskoczeniem. Dzięki kilku zwyrodnialcom zasłynęła jako prawniczka, która potrafi zdziałać cuda. Może palestra już nie postrzegała jej jako osoby, z którą trzeba się liczyć, ale kryminaliści wciąż o niej pamiętali.

– Piła pani?

– Uchylam się od odpowiedzi na to pytanie – odparła Joanna. – A pan będzie robił dokładnie to samo podczas procesu, jasne?

– Jasne.

– Żadnych odpowiedzi, żadnych wypowiedzi, żadnych mrugnięć.

– Mam nie mrugać?

– Jeśli się panu uda. Mam złe wspomnienia.

Był nieco skołowany, ale starał się nie dać tego po sobie poznać. Wcześniej sądził, że trafił na przypadkową prawniczkę z centrum handlowego. Teraz wiedział, że los się do niego uśmiechnął. Jeśli ktokolwiek miał go wybronić w tak beznadziejnej sprawie, to właśnie ona.

– Postępowanie cywilne zostało wszczęte, ale właściwie od razu je zawiesili – poinformowała go. – To oznacza, że wyrok w sprawie karnej będzie rzutował na polisę.

– Otrzymam ją, kiedy mnie uniewinnią?

– Niekoniecznie. Ale wszystko po kolei.

– Oczywiście – odparł i wbił wzrok w jej oczy.

Chyłka zobaczyła to, czego widzieć nie lubiła. Nadzieję, oczekiwanie i gotowość do powierzenia jej swojego życia. Miała takich spojrzeń serdecznie dosyć.

– Zanim zacznę układać strategię, muszę wiedzieć to, o co pana wcześniej pytałam.

– To znaczy?

– Zrobił pan to?

– Nie – odparł bez wahania. – Kochałem je całym sercem. Wciąż kocham.

– Świetnie – burknęła. – Ma pan jakiś dowód na to?

Pokręcił głową.

– Proszę mi wierzyć, że myślę o tym, od kiedy tu trafiłem…

– Żadnego alibi na tamtą noc i poranek?

– Żadnego – potwierdził.

– Gdzie pan wtedy był?

Zawahał się, a w umyśle Chyłki zapaliła się czerwona lampka. Oczywiście, nie mógł być w domu, bo widziałby, że córka i żona znikły. Nie mógł też być w pracy, bo miałby alibi.

Joanna poczuła się, jakby do tej pory miała zamroczony umysł. Opary alkoholu zdawały się znikać, a logika brała górę. Gdzie ten facet w ogóle pracował? Była pewna, że go o to pytała, ale teraz nie mogła sobie przypomnieć.

Wyjęła telefon i włączyła aplikacje z notatkami.

– Proszę dać mi namiar na swojego pracodawcę.

– To nic nie da – odparł.

– Dlaczego nie?

– Bo nie byłem tego dnia w pracy.

– Gdzie pan był?

Jak przez mgłę przypomniała sobie, że pracował jako robotnik gdzieś na Ursynowie. Chyba przy budowie jednego z nowych osiedli na Kabatach. Więcej nie zdołała wyłowić z pamięci.

– Cóż… zależy o jakim przedziale czasowym mówimy.

– Zacznijmy od wieczoru dzień przed tym, jak odnaleziono ciała.

Wzdrygnął się, a Chyłka upomniała się w myśli, że powinna być bardziej delikatna. Nie ciała, do cholery, tylko „pańską córkę i żonę". Bukano popatrzył na nią jednak bez wyrzutu.

– Wieczorem byłem na piwie.

– Gdzie?

– U kolegi, przy Lokajskiego 28.

– O której wrócił pan do domu?

– Przecież już o tym rozmawialiśmy.

– Proszę mi wszystko powtórzyć.

Joanna nie przypominała sobie, by omawiali te sprawy, ale zasadniczo musiało tak być. Stanowiło to podstawę i od tego zapewne zaczęła, podobnie jak śledczy.

– Sprawdza pani, czy nie kłamałem?

– Słucham?

– Mam powtórzyć, żeby mogła pani ustalić, czy przedstawiam tę samą wersję zdarzeń?

– Nie – odbąknęła. – I niech pan mówi.

Skinął niepewnie głową, patrząc na strażnika. Ten wodził wzrokiem po pozostałych osadzonych, szukając zachowań świadczących o tym, że któryś z nich łamie zasady.

– Wróciłem około drugiej.

– Pijany?

– Tak, ale nie na tyle, by urwał mi się film.

– Żona i córka były w domu?

– Nie wiem.

– Jak to nie wie pan?

Robert wydawał się nieco skołowany. Z pewnością już jej to tłumaczył, tylko kiedy? Podczas wizyty, którą mu złożyła? Nie, tamto spotkanie pamiętała dość dobrze. Może więc wcześniej? Może dzwoniła do niego, by zebrać wszystkie informacje?

– Mamy z Patrycją taką zasadę, że… – urwał i spuścił wzrok. – Mieliśmy taką zasadę, że jeśli wracam pijany do domu, śpię na kanapie w salonie.

– Więc tak pan zrobił.

– Tak.

– Widział je pan rano?

– Nie. Miałem wolne, więc spałem do późna.

– Rozumiem – odparła dla porządku Joanna. – Więc skąd wziął się pan w Arkadii kilka godzin później?

– Pojechałem na zakupy.

– Akurat tam? Ma pan pod nosem Galerię Ursynów.

– Miałem później odebrać córkę z przychodni przy Felińskiego, ale było jeszcze trochę czasu, więc… Wszystko, co działo się później, doskonale pani pamięta.

Chyłka wypytała go o powód wizyty u lekarza. Nic szczególnego, rutynowe badania związane z tym, że dziewczyna była nieco blada, często bolała ją głowa i szybko traciła siły. Bukano mówił o tym, jakby ustalenie powodu tych dolegliwości nadal miało znaczenie.

– Więc nie posiada pan żadnego alibi.

– Niestety nie.

– Żaden sąsiad pana nie widział?

Pokręcił głową.

– I nie zauważył pan niczego dziwnego po powrocie do domu w nocy?

– Nie. Umyłem zęby i poszedłem spać. Zamknąłem pokój i obudziłem się dopiero rano, kiedy nikogo już nie było.

– Dzwonił pan do żony?

– Nie – przyznał z zażenowaniem. – Nie była zadowolona z tego spotkania. I z tego, że nie wróciłem wcześniej.

Joanna spojrzała na swoje elektroniczne notatki, a potem przystąpiła do odhaczania kolejnych standardowych punktów. Ustaliła, że Patrycja Horwat pojechała do pracy komunikacją miejską, a jej córka wedle wszelkiego prawdopodobieństwa w ten sam sposób dostała się do szkoły. Wielką niewiadomą było to, co stało się później.

– Jak córka miała dojechać do lekarza? – zapytała Chyłka.

– Nie wiem – odparł Bukano. – To nastolatka, nie pilnujemy jej już tak, żeby… rozumie pani.

– Żona nie miała jej podwieźć?

– Przypuszczam, że nie. Samochód stał pod blokiem, ja nim pojechałem.

– A jednak w pewnym momencie musiały się spotkać. Przynajmniej tak sugerowałaby logika.

Skoro zginęły razem, dodała w duchu Joanna.

– No tak – przyznał Robert. – Ale niestety nie wiem nic więcej. Kolejna informacja, jaką dostałem, to… – urwał i widziała, że w ostatniej chwili zdołał powstrzymać się przed schowaniem twarzy w dłoniach. Gdyby pozwolił sobie na taki gest, z pewnością więźniowie szybko pokazaliby mu, co o tym sądzą.

Chyłka wyłączyła wyświetlacz i schowała smartfona do torebki.

– Okej – powiedziała. – Będę pracować z tym, co mam.

– Dziękuję.

– Jest coś jeszcze, co chce pan dodać?

Pokręcił głową i przełknął ślinę. Prawniczka nie mogła nie zauważyć, że przyszło mu to z pewnym trudem. Emocje wyraźnie w nim wzbierały, kiedy zaczął wszystko sobie przypominać. Parszywa sprawa. Nie pożegnał się ani z jedną, ani z drugą, w dodatku

ostatnia rozmowa z żoną z pewnością nie należała do najprzyjemniejszych.

– To wszystko – zapewnił ją.

– Jest pan pewien?

– Tak, przecież…

– Jeśli cokolwiek pan zatai, z moich starań wyjdzie jedno wielkie gówno – zastrzegła. – Prokuratura w końcu wszystko odkopie, rozumie pan? A ja nie mam narzędzi, by samej kopać tak głęboko, jak oni.

– Rozumiem.

– Więc?

Widziała w jego oczach, że to nie wszystko. Zbyt długo zajmowała się obroną takich ludzi, by tego nie dostrzec.

– Naprawdę powiedziałem wszystko.

Zaklęła w duchu. Zanim jednak zabrała się do urabiania go tak, by wyjawił jej najmniejszy szczegół sprawy, czas widzeń dobiegł końca. Rom podniósł się, unikając jej wzroku.

– Proszę następnym razem przynieść mi coś z zewnątrz – poprosił.

– W porządku. O ile pan przyniesie mi prawdę.

Odprowadziła go wzrokiem, a potem rozruszała kark. Wyjęła telefon i spojrzała na swoje notatki. Nie napełniały jej nadzieją. Sprawdzi kumpla Bukano, sprawdzi koczowisko, w którym się wychował, sprawdzi lekarza, u którego była córka… ale co dalej?

Policja z pewnością ustaliła, co tego dnia robiła Patrycja. Z kim się widziała, z kim się kontaktowała i w końcu z kim mogła mieć jakikolwiek zatarg. Chyłka nie miała dostępu do tych informacji, przynajmniej jeszcze nie teraz.

Wyszła z aresztu śledczego i machinalnie rozejrzała się za iks piątką. Potem zaklęła w duchu.

16
XXI piętro Skylight, ul. Złota

– Jak to wykroczenie? – zapytał z niedowierzaniem Kormak.

Oryński siedział za biurkiem, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć. Chudzielec wpadł do jego gabinetu jak burza, gotów obrzucać go stekiem inwektyw i w najlepsze rozprawiać o tym, że zrobił się z niego najohydniejszy karierowicz, jakiego zna.

– Nie przekroczyła poziomu kwalifikującego to jako przestępstwo – wyjaśnił Kordian.

– Czyli co?

– Czyli jest spalona w środowisku adwokackim jeszcze bardziej, ale nie grozi jej odpowiedzialność z Kodeksu karnego. Takie przewinienie reguluje ustawa o przeciwdziałaniu alkoholizmowi, z tego co pamiętam.

Kormak klasnął i zacisnął usta.

– Idealnie – ocenił. – O to chodziło.

Oryński nie mógł powstrzymać uśmiechu. Wprawdzie klient spodziewał się czego innego, ale Kordian musiał przyznać, że kamień spadł mu z serca. Joanna będzie miała z tego tytułu problemy, ale z pewnością mniejsze, niż wszyscy przypuszczali.

– Co teraz? – zapytał szczypior, zajmując miejsce po drugiej stronie biurka.

– Czekamy.

– Na co?

– Na to, aż Chyłka i Zakierski skończą kopać się przed sądem karnym. Jeśli wszystko pójdzie po naszej myśli, sprawa zostanie załatwiona z urzędu. Jeśli nie, będziemy kombinować.

– Więc Cygan nie ma zamiaru jej zwolnić?

– Najwyraźniej nie. Spotkali się, rozmawiali dość długo i sprawiał wrażenie zadowolonego.

– Skąd o tym wiesz?

– Nie ty jeden masz…

– Nie pierdol – upomniał go Kormak. – Langer wam to przekazał?

Kordian powoli skinął głową. Kilkanaście minut temu otrzymał mail od Piotra. Poczuł się nieswojo, nawet kontaktując się z nim elektronicznie.

– To śmierdzi – powiedział chudzielec.

– Przesadzasz.

– Nie, nie przesadzam. Langer interesuje się tą sprawą stanowczo za bardzo.

– To fakt – przyznał Oryński. – Co nie znaczy, że coś w niej nie gra.

– Więc skąd to osobiste zainteresowanie? Przypuszczam, że wspólnik i prokurent Salusa ma znacznie lepsze rzeczy do roboty.

Kordian oparł dłonie na stole i rozsunął je. Zrobił to, powtarzając mimowolnie ruch wykonywany przez Artura Żelaznego. Przyjmował pozycję władzy.

– Posłuchaj – zaczął. – Langer to… wyjątkowa sprawa.

– No, z tym polemizować nie można.

– Ma kasy jak lodu, osiągnął w życiu wszystko, co było do osiągnięcia, i prawdopodobnie szuka sobie czegoś absorbującego.

– Niech gra na giełdzie.

– Już to robi. I przypuszczam, że mu się znudziło.

– Więc niech gra w Minecrafta.

Kordian złożył dłonie w piramidkę. Przyjaciel spojrzał na jego ręce i skrzywił się.

– Co ty odstawiasz? – zapytał. – Już tak cię pokrzywiło, że uważasz się za partnera w firmie?

– Nie, do tego jeszcze daleka droga.

– Oby jak najdłuższa, bo widzę, że wspinanie się po szczeblach kariery nie bardzo ci służy.

– Wyczuwam zazdrość.

– Goń się, Zordon – odparł Kormak i podniósł się.

Aplikant spodziewał się, że szczypior szybko opuści jego gabinet, ale ten podszedł do okna. Wyjrzał na plac Defilad i powiódł wzrokiem za autobusem odjeżdżającym z parkingu pod Pałacem Kultury.

– Jak myślisz, dlaczego je zabił? – odezwał się nagle.

Oryński obrócił się do niego i przez moment milczał. Potem otworzył szufladę i wyciągnął elektronicznego papierosa. Zaciągnął się i wypuścił dym w kierunku okna.

Zastanawiał się nad motywem, ale robił to tylko z czystej ciekawości. Pod względem interesów kancelarii nie miało to żadnego znaczenia. Bukano był jedynym kandydatem na zabójcę i nic nie mogło tego zmienić. Fakt, że pozornie nie miał powodu, by mordować córkę i żonę, nie mógł świadczyć o jego niewinności.

– Nie wiem – odparł w końcu Kordian.

– I nie martwi cię to?

– Dlaczego miałoby? Nie jestem prokuratorem, nie ja mam doprowadzić do skazania tego człowieka.

Kormak wpatrywał się w coś za oknem i sprawiał wrażenie, jakby nie usłyszał odpowiedzi.

– W dodatku ten gwałt… – podjął.

– Nie zastanawiaj się nad tym – powiedział Oryński. – Nie ma powodu, żeby się dręczyć.

– A jednak sprawdziłem tego gościa, Zordon – odparł szczypior i obrócił się do niego. Przysiadł na parapecie i założył nogę na nogę. – Bukano nie wygląda mi na psychopatę, za jakiego go wszyscy mają.

– Skąd ta pewność?

– Zrobiłem research. Porządny.

Kordian znów zaciągnął się e-papierosem. Nie smakował najgorzej, ale nie dawał żadnej satysfakcji. Trudno było powiedzieć dlaczego. Być może w paleniu chodziło o świadomość, że w jakiś sposób samemu się sobie szkodzi. Tutaj tego brakowało.

– A wiesz, że jeśli ja tak mówię, to znaczy, że naprawdę był porządny – zastrzegł Kormak.

– Jeśli twoja ostatnia wypłata o czymkolwiek świadczy, to tak.

– I kto tu jest zazdrosny?

Oryński odłożył urządzenie do szuflady i zasunął ją.

– Bukano nie pasuje na psychopatę – uparł się szczypior. – Być może dałby po mordzie przypadkowemu człowiekowi, gdyby ten krzywo na niego spojrzał, ale nie wyciąłby takiego numeru żonie i córce.

– Wielu jest takich, o których można było tak mówić dopóty, dopóki…

– Oj tam – uciął Kormak. – Mówię ci przecież, że go sprawdziłem. Przypominasz sobie, żebym kiedykolwiek się pomylił?

Kordian zmrużył oczy, podniósł prawą dłoń, a potem zaczął wyliczać na kolejnych palcach.

– No dobra – przyznał chudzielec. – Zdarzyło mi się kilkakrotnie. Ale to były niejednoznaczne sprawy. Tutaj mam wszystko, czego potrzebuję.

Młody prawnik spojrzał na przyjaciela z powątpiewaniem.

– I co według ciebie zaszło?

– Nie mam bladego pojęcia.

– To rzeczywiście konstruktywne.

Kormak obejrzał się przez ramię i obrzucił wzrokiem grupę ludzi przechodzących na drugą stronę Emilii Plater.

– Załóżmy na moment, że to nie Cygan je zabił – zaproponował.

– Okej.

– W takim układzie sprawa robi się trochę skomplikowana, bo obydwie znajdowały się w innych miejscach na niedługo przed śmiercią.

– Skąd wiesz?

– Sprawdziłem. Ile razy mam ci powtarzać, że zrobiłem research?

– Nieważne – odparł pod nosem Kordian. – Gdzie były?

– Młoda poszła do szkoły, do…

– Jak ona się nazywa? – przerwał aplikant. – To znaczy nazywała? Jakoś nie uśmiecha mi się cały czas mówić o niej per dziewczyna, ofiara czy jak tam jeszcze…

– Aisza – powiedział Kormak. – Przez es zet.

Oryński uniósł brwi.

– Poważnie?

– Tak. Byłoby przez es ha, gdyby w Polsce można było nadawać imiona pisane tak, jak występują w innym języku. Ale nie można i dziewczyna dostała takie. Znajomi Patrycji Horwat twierdzili, że jej rodzice byli wyjątkowo zawiedzeni tym, jak nazwano ich wnuczkę.

– Rozmawiałeś ze znajo… – Kordian tym razem urwał w porę i machnął ręką.

Szczypior przeciągnął się, a potem przeniósł się na krzesło przed biurkiem. Powiódł wzrokiem po blacie, jakby szukał jakiejś książki. Oryński w biurze miał jednak wyłącznie kodeksy.

– Babka Bukano miała tak na imię – wyjaśnił Kormak. – Chcieli w ten sposób nawiązać do spuścizny kulturowej, którą Rom musiał zostawić za sobą. Z tego, co udało mi się ustalić, wynika, że Patrycja starała się kultywować romskie zwyczaje na tyle, na ile mogła. I znów, ku rozżaleniu swoich rodziców.

– Rozmawiałeś z nimi?

– Oho, wyczuwam zainteresowanie w głosie – bąknął szczypior. – Czyżbyś angażował się w moje małe śledztwo?

– Nie.

– To dobrze, bo przed chwilą twierdziłeś, że nie ma żadnego znaczenia.

– Dla sprawy nie ma.

Kormak uśmiechnął się szeroko.

– W porządku – powiedział. – Więc wszyscy znajomi zgodnie twierdzą, że tych dwoje naprawdę do siebie pasowało. I nie ma powodu, by w to nie wierzyć, skoro wypięli się na swoje rodziny i swoją przyszłość, żeby żyć razem w klitce na Ursynowie.

– Mhm.

– Bukano w dodatku był jednym z tych ojców, którzy potrafią całą wypłatę przeznaczyć na zaktualizowanie garderoby córki.

– Zgrabnie ujęte.

– Dzięki – odparł chudzielec i odchrząknął. – Żaden ze znajomych nigdy nie zauważył, by Robert Horwat choćby raz krzywo spojrzał na młodą.

– To nie ekskulpuje go od podejrzeń.

Kormak zamilkł, trwając w bezruchu.

– Błagam – powiedział po chwili. – Nie używaj przy mnie takich określeń.

– To z prawa cywilnego i…

– Tym bardziej nie chcę tego słyszeć – wszedł mu w słowo Kormak. – I może go nie odciąża, ale sprawia, że trzeba podać jego winę w wątpliwość. Jakim cudem taki facet miałby je zgwałcić, co?

Kordian wydął usta, a potem obrócił się na fotelu kilkakrotnie. Obaj na kilka chwil pogrążyli się w rozmyślaniach. Prawnik musiał przyznać, że sprawa jest zastanawiająca, ale w ostatecznym rozrachunku nadal nie miało to wielkiego znaczenia. Ich rolą było jedynie to, by Salus nie musiał wypłacać polisy.

– Jaka jest więc alternatywa? – spytał w końcu Oryński.

– Ktoś porwał jedną i drugą, a potem zabił.

– Po co?

Szczypior wzruszył ramionami i poprawił okulary.

– I gdzie miałby to zrobić? – dodał Kordian.

– Zapewne niedaleko miejsca, gdzie odnaleziono zwłoki. W takim stanie raczej nie mógł transportować ich z Bielan czy innej dzielnicy.

Oryński zmarszczył czoło i znów sięgnął po e-papierosa. Z zaskoczeniem uświadomił sobie, że żałuje bycia po drugiej stronie. Wolałby iść ramię w ramię z Chyłką i bronić Bukano. Nawet jeśli Cygan był winny, sprawdzanie wszystkich teorii razem z Joanną byłoby czymś znacznie bardziej porywającym od czekania, aż sprawa Salusa załatwi się sama.

Aplikant zaciągnął się kilkakrotnie i upomniał w duchu, że nie powinien snuć takich rozważań. Jak by nie było, chodziło tutaj o przedwcześnie zakończone życie dwóch kobiet. Kobiet, które przed śmiercią przeszły prawdziwą gehennę.

– O czym myślisz? – zapytał Kormak.

– O tym, co robi teraz Chyłka – odparł Oryński i zauważył, że lampka papierosa mruga na czerwono z powodu przeciągnięcia.

17
ul. Ornecka, Białołęka

Joanna przeszła kawałek w kierunku niewielkiego lasu, sprawiającego nieco ponure wrażenie. Ciągnął się wzdłuż wschodniego muru aresztu śledczego i właściwie nie było powodu, by ktokolwiek tędy chodził. Prawniczka musiała jednak rozprostować nogi.

Po kilkuset metrach dotarła do tylnego wejścia na teren aresztu. Samochody zostawiali tutaj funkcjonariusze służby więziennej, robiąc sobie prywatny parking. Mur naprzeciwko sprawiał wrażenie, jakby powstał kilkadziesiąt lat temu i od tamtej pory był pozostawiony samemu sobie. Podobnie sprawa miała się z warsztatem samochodowym kawałek dalej.

Joanna zastanawiała się, po kogo zadzwonić. Z zasady nie jeździła komunikacją miejską ani taksówkami, ale być może ostatecznie tylko to jej zostanie. Kormak odpadał, nie miał bowiem prawda jazdy. Z Magdaleną nie miała zamiaru się widzieć – przynajmniej dopóki siostra nie wyjaśni jej, dlaczego sprowadziła tutaj ojca.

Oprócz tych dwojga zostawał…

Właściwie nikt. Chyłka uświadomiła sobie, że krąg bliskich jej osób znacznie skurczył się po opuszczeniu kancelarii Żelazny & McVay. Zaraz potem jednak zmitygowała się, że podczas pracy tam był równie wąski.

Przejrzała książkę adresową i w końcu wybrała numer Szczerbińskiego. Jeśli aspirant był gotów nagiąć zasady, by jej pomóc, być może równie chętnie posłuży jej jako szofer. Poza tym miała z nim rachunki do wyrównania. Ostatnim razem ją spławił, a tego Chyłka łatwo nie wybaczała.

– Tak? – rozległ się głos w słuchawce.

– Potrzebuję przysługi – powiedziała Joanna.

– Kolejnej?

– Tym razem to kwestia logistyczna. Jestem pod aresztem na Białołęce i potrzebuję dostać się na Pragę.

– Z Ołówkowej odjeżdża autobus linii sto siedemdziesiąt sześć do…

– Nie telepię się komunikacją publiczną.

– W takim razie zostaje taksówka.

– Mam podobne odczucia.

– Uber?

– Nigdy nie korzystałam.

– Najwyższy czas zacząć, skoro dzwonisz do mnie po tego typu przysługi.

Zanim zdążyła powiedzieć, że to jedyna i niepowtarzalna okazja, by zamienił z nią kilka niezobowiązujących słów, Szczerbiński się rozłączył. Joanna spojrzała skonsternowana na telefon i przez moment trwała w bezruchu.

Bezczelny krawężnik.

Włączyła sieć komórkową, a potem ściągnęła aplikację Ubera. Szybko wprowadziła odpowiednie dane, wybrała jedną z tańszych opcji i wyszła z powrotem przed front aresztu.

Po kilkunastu minutach zjawił się kierowca. Prowadził mniej więcej jak Zordon, ale Chyłka nie odezwała się słowem na ten temat. Właściwie przez całą drogę na Pragę Południe milczała, układając w głowie to, co miała zamiar zrobić.

Zatrzymali się na Grochowskiej, a potem Joanna zdawkowo pożegnała kierowcę i wyszła z samochodu. Rozejrzała się. Nie wiedziała, gdzie dokładnie mieści się koczowisko, ale z pewnością gdzieś w tym rejonie. Cyganie byli najaktywniejsi właśnie na Grochowskiej, względnie na placu Szembeka. Kiedyś kręciło się ich sporo pod stadionem, ale te czasy dawno minęły.

Chyłka chodziła po okolicy, wypatrując Romów. Zdążyła wypalić kilka papierosów, nim dostrzegła dwóch, którzy zmierzali w stronę jednego z podwórek.

– Hej! – krzyknęła. – Ciawo!

Jeden z nich zatrzymał się, szturchnął drugiego, a potem obaj ruszyli w jej kierunku. Mieli góra dwadzieścia parę lat. Sprawiali na Chyłce takie samo wrażenie, jak każdy inny Cygan – skłonni do bitki, plucia, kradzieży i obrażania.

Zgasiła papierosa pod szpilką, a potem założyła ręce na piersi.

– Potrzebuję konsultacji – powiedziała.

Romowie spojrzeli po sobie zdziwieni.

– Że co? – zapytał jeden z nich.

– Szukam koczowiska – wyjaśniła.

– Jakiego, kurwa, koczowiska?

– Jakiegoś w okolicy. Potrzebuję znaleźć rodzinę gościa, którego bronię.

– Bronisz?

– Jestem adwokatem.

Jeden cofnął się o krok, drugi wyglądał, jakby miał zamiar ją zaatakować. Chyłka pożałowała, że nie zabrała ze sobą niczego, czym mogłaby przemówić im do rozsądku. Najlepszy byłby kij bejsbolowy, choć nie pogardziłaby też taserem. Wszystko inne wydawało jej się półśrodkami.

– Jak on się nazywa? – zapytał ten bardziej agresywny.

Joanna rozejrzała się. W pobliżu przechodziło kilka osób, ale nikt nie zwracał uwagi na trójkę ludzi stojących przy jednej z kamienic. Trudno było liczyć na to, że sytuacja się zmieni, jeśli dojdzie do przepychanki.

– Bukano – powiedziała.

Było to na tyle popularne imię, że niewiele powiedziało rozmówcy.

– Znacie go?

– To zależy. Jest tu kilku, którzy się tak nazywają.

Chyłka nie miała pojęcia, jak dodatkowo charakteryzują się Romowie. Z pewnością nie poprzez urzędowe imię i nazwisko. Nie były specjalnie lubiane, stanowiły element zewnętrznego, obcego świata.

– Robert Horwat – powiedziała mimo to.

Cyganie spojrzeli po sobie. Spokojniejszy z nich wzruszył ramionami.

– Nigdy o nim nie słyszeliśmy – powiedział.

– A nawet gdyby, czego chcesz od jego rodziny? – dodał ten drugi.

– Czegokolwiek.

– Hę?

– Potrzebuję czegoś, dzięki czemu będę mogła go wybronić.

Spokojniejszy zrobił krok w jej stronę, przyglądając się nieufnie. Z dwojga złego wolała takie spojrzenie.

– Co mu grozi? – zapytał.

– Dożywocie.

– Za co?

– Zabójstwo dwóch osób ze szczególnym okrucieństwem.

– Nie gadaj.

Joanna skinęła głową z obojętnością.

– Znana sprawa?

– Dosyć – powiedziała. – Słyszeliście o tych ofiarach odnalezionych przy torowisku na Ursusie?

Żaden z nich nie słyszał. Nic dziwnego, mieli głęboko gdzieś, co działo się w najbliższej okolicy, co dopiero mówić o innej dzielnicy. Joanna przez moment zastanawiała się nad tym, ile może im powiedzieć. Wyłożenie wszystkich kart na stół być może spowodowałoby, że skojarzyliby sprawę wyklętego Bukano, ale jednocześnie mogła przeholować. Żaden *gadź* nie powinien tak wnikać w ich sprawy.

– Robert Horwat mieszkał w koczowisku gdzieś niedaleko.

Ten bardziej agresywny syknął pod nosem coś po cygańsku.

– Spokojnie, Dynało – powiedział ten drugi. – Dowiemy się, co *mindź* ma na myśli.

– Szukam… – zaczęła Joanna.

– Nigdzie tutaj nie ma koczowiska – uciął Spokojny.

– I chyba cię popierdoliło, jeśli go szukasz – dodał Dynało.

Chyłka zacisnęła usta, starając się zatrzymać przekleństwa, które cisnęły jej się na język. Nie wiedziała, co oznacza „mindź”, ale przypuszczała, że nie było to określenie damy.

– W takim razie powiedzcie mi, gdzie…

– Gówno ci powiemy.

– Tak pomagacie swoim?

– Nie jesteś od nas.

– Ale Bukano jest. I bez waszej pomocy będzie…

Dynało zbliżył się do niej na odległość kilkunastu centymetrów i wskazał jej kierunek, z którego przyszła.

– Wypierdalaj stąd! – krzyknął jej prosto w twarz.

Joanna mimowolnie cofnęła się o pół kroku. Niewiele brakowało, a zamachnęłaby się przy tym i wycięła Cyganowi. Znów wiele kosztowało ją powściągnięcie emocji i przypuszczała, że trzeciego razu już nie zdzierży.

– Już, kurwo jebana!

– Spokój, Dynało!

Zbliżył się jeszcze, wciąż z wyciągniętą dłonią.

– *Has mro kar*! – krzyknął.

Chyłka znała tę obelgę. Romowie z jakiejś przyczyny w tej kwestii niezwykle cenili sobie sugerowanie rozmówcy, by ten zjadł dolne partie ich ciała. Dotyczyło to zarówno kobiet, jak i mężczyzn.

Zaklęła w duchu i odwróciła się. Wiedziała, że teraz zacznie się prawdziwa kanonada.

Nie pomyliła się. Kiedy szła w stronę miejsca, gdzie wysadził ją kierowca z Ubera, usłyszała cały stek przekleństw. Trudno było wyłapać poszczególne słowa, bo Dynało rozkręcił się na tyle, że nie nadążał z zaczerpywaniem powietrza.

– *Wybujede*!

Zaraz potem rozległy się kolejne krzyki po cygańsku. Joanna spodziewała się, że tak będzie. Żaden Rom nie przepuści okazji, by nawtykać *gadziom*, a podniesione głosy zazwyczaj oznaczają, że pojawiła się ku temu sposobność.

Przyspieszyła kroku, chcąc znaleźć się w nieco spokojniejszej części Pragi. Dynało i jego kumpel szli za nią tylko przez chwilę. Potem jeden z nich splunął w jej kierunku.

W końcu prawniczka opuściła strefę zagrożenia i odetchnęła z ulgą. Nic z tego nie będzie, przynajmniej nie w taki sposób. Liczyła na to, że jest tu jedno miejsce, w którym gromadzą się Romowie, ale najwyraźniej przez te lata, które minęły od wyprowadzki jej klienta, rozeszli się po okolicy.

Wyciągnęła paczkę papierosów, ale zamarła, dostrzegając sklep spożywczy po prawej stronie. Miała wrażenie, że zupełnie zaschło jej nie tylko w ustach, ale też w przełyku. W dodatku lekko ćmiło ją w skroniach.

Alkohol powoli z niej schodził. Przełknęła ślinę i ruszyła w kierunku sklepu. Nawet się nie zastanawiała, nie było nad czym. Nie prowadzi,

nie spotyka się z klientem, nie czeka jej rozmowa z nikim istotnym. Umysł wprawdzie lekko się zamroczy, ale teraz i tak nie potrzebowała być przesadnie czujna.

Weszła do sklepu i potoczyła wzrokiem po alkoholach. Wszystkie były ciepłe, co stanowiło pewien mankament.

– Nie ma pani niczego zimnego? – zapytała ekspedientkę.

Kobieta żywcem wyjęta z warzywniaka przełomu wieków wskazała na lodówkę. Prawniczka podeszła do niej i z ulgą dostrzegła wewnątrz kilka piw. Wzięła dwa.

– Dorzuci mi pani do tego małego absoluta.

– Nie mamy.

– To smirnoffa.

– Też nie ma – odburknęła kobiecina. – Jest to, co widać.

Chyłka wyszła ze sklepu z dwoma lechami i buteleczką wyborowej. Pierwsze piwo otworzyła od razu i szybko opróżniła pół. Potem zapaliła marlboro i szybko poczuła się lepiej.

Po drugiej stronie ulicy dostrzegła staruszkę w oknie. Uniosła do niej lecha i uśmiechnęła się.

– Tak nie wolno, dziecko – powiedziała kobieta.

Chyłka podeszła do okna.

– Nie dość, że miejsce publiczne, to jeszcze taka dama… – powiedziała cicho staruszka, omiatając wzrokiem żakiet i spódnicę prawniczki.

– Czasem nie ma wyjścia.

Babinka skrzywiła się. Najwyraźniej była odmiennego zdania.

– Poza tym pogoniły mnie brudasy – dodała Joanna i wzięła kolejny duży łyk.

– Kto?

– Cyganiuchy.

– Ach… strasznie ich tu dużo ostatnio – poskarżyła się kobieta. – Kiedyś nie było problemu, byli tylko polscy. Żyliśmy ze sobą całkiem dobrze, choć może dzisiaj nikt już o tym nie pamięta. Potem zjechali się z Czechosłowacji, Węgier, innych krajów… to oni są problemem, drogie dziecko.

– Z pewnością.

– Nie obchodzi ich, w jakim są państwie. Tych naszych obchodziło.

Chyłka się rozejrzała. Nigdzie nie dostrzegła Dynało ani tego drugiego. Po innych Romach także nie było śladu. Dopiła piwo.

– Słyszała pani kiedyś, żeby wyrzucili jednego ze swoich na bruk? – zapytała Joanna.

– Nie. Oni tak nie postępują.

– Mhm…

– Ale na co ci to wiedzieć?

– Bronię jednego z nich. Jego rodzina mieszkała tu od dawna. Ożenił się z Polką i musiał się wynieść.

Kobiecina zmarszczyła nos, kaszlnęła, a potem pokiwała głową.

– Ciszej – powiedziała.

Chyłka zbliżyła się o krok i uniosła brwi.

– Mów szeptem, kiedy mówisz o miłości – dodała z uśmiechem staruszka.

Joanna zaklęła w duchu. Liczyła na coś więcej.

– To Szekspir – oznajmiła babinka. – Ale o tych dwojgu nie słyszałam. Jak się nazywał ten chłopak?

– Bukano.

– Wielu tak ma na imię. Dość popularne.

– Wie pani, gdzie mogę porozmawiać z kimś, kto będzie się orientował w sprawach tutejszej społeczności?

Tym razem uważała, żeby nie wspomnieć o koczowisku. Najwyraźniej termin ten został już porzucony, a współcześni Romowie osiedlali się w takich samych miejscach jak Polacy.

– Jest taka kamienica kawałek dalej, gdzie mieszkali kiedyś prawie sami Cyganie – powiedziała kobieta, wskazując kierunek. – Ale to było dawno… nie wiem, jak jest teraz. Rzadko wychodzę.

Chyłka zapamiętała numer klatki, a potem spojrzała przed siebie. Jej cel niestety znajdował się kawałek za miejscem, z którego została pogoniona. Zaczerpnęła tchu, dopiła butelkę piwa, a tę zamkniętą podała kobiecie.

– Na przechowanie – oznajmiła. – I jakbym nie wróciła za godzinę, niech pani dzwoni na policję.

– Co też ty mówisz, dziecko…

Joanna nie słyszała dalszej części wypowiedzi. Żwawym krokiem ruszyła przed siebie, obróciwszy w dłoni pustą butelkę.

18
Hard Rock Cafe, ul. Złota

Jeszcze niedawno Oryński byłby gotów przysiąc, że z własnej woli nie pojawi się w tym miejscu. Nie mieli tutaj niczego, co by go przyciągało. Jedzenie nie było w jego guście, muzyka również odbiegała od jego upodobań, a w dodatku Hard Rock Cafe kojarzyło mu się jednoznacznie z Chyłką.

Od pewnego czasu w porze lunchu zjeżdżał jednak na dół Skylight, a potem przechodził kawałek w kierunku Złotych Tarasów i siadał przy jednym z małych, okrągłych stolików. Tego dnia, położywszy smartfona na stole, wszedł na stronę „Gazety Prawnej" i przeglądał wiadomości, pogryzając wegetariańskiego sandwicha.

– Powiedziano mi, że cię tu zastanę – rozległ się znany mu głos.

Kordian przestał przeżuwać i podniósł wzrok.

– Przyznam, że się tego nie spodziewałem – dodał Piotr Langer, siadając obok. – To miejsce nie bardzo do ciebie pasuje.

Aplikant odłożył kanapkę na talerz, a potem wyłączył wyświetlacz.

– Czego chcesz? – zapytał.

– Wiesz doskonale, czego chciałem. I nie załatwiłeś tego.

Oryński przełknął ostatni kęs.

– Miała zostać odsunięta, tymczasem wygląda na to, że dopiero zaczyna drążyć.

– To nie moja wina.

Langer uniósł brwi.

– Będziesz się tak tłumaczył? – zapytał. – To mierne. Nawet jak na ciebie.

– Nie popełniła przestępstwa.

– Nie obchodzi mnie to. Miała zniknąć.

Kordian rozejrzał się po sali. Nikt nie zwracał na nich uwagi, byli po prostu dwoma facetami, którzy spotkali się w porze lunchu, by pogadać. Ale nie mogło to być dalsze od prawdy. Po drugiej stronie

stanowczo zbyt małego stolika siedział psychopata i zwyrodnialec. W dodatku zamieszany w zorganizowaną przestępczość.

Oryński do dziś nie był pewien, jak daleko sięgają macki Langera. Jeśli jednak sprawa z Siwowłosym miała o czymkolwiek świadczyć, to właśnie o tym, że Piotr znajdował się na samej górze łańcucha pokarmowego.

– Zrobiłem, co mogłem – powiedział Kordian. – I znacznie więcej, niż powinienem.

– Powtórzę: nie interesuje mnie to.

– Więc co cię interesuje?

– To, by Chyłka znikła.

Langer niespodziewanie sięgnął po telefon aplikanta. Odblokował ekran i upewniwszy się, że młody prawnik nie włączył dyktafonu, odłożył komórkę na stół. Oryński uznał, że najlepiej będzie, jeśli tego nie skomentuje.

– Joanna nie zniknie – odezwał się Kordian. – Choćbyś postawił się w poprzek, doprowadzi tę sprawę do końca. Ale nie przejmowałbym się tym.

– Nie?

– Oczywiście, że nie. W takiej sytuacji nawet prawnicza cudotwórczyni nie…

– Posłuchaj – wpadł mu w słowo Piotr. – Jest jeden prawnik w Warszawie, do którego zawsze zwracał się mój ojciec. Tym prawnikiem jest właśnie Chyłka. Wiesz, dlaczego to robił?

– Bo była najlepsza.

– Nie, są lepsi od niej. Ona jednak była najgroźniejsza.

Zasadniczo nie dało się z tym polemizować.

– Była gotowa wysadzić fundamenty budynku, byleby strącić ptaka siedzącego na gzymsie, rozumiesz?

– W pełni.

– Jest destrukcyjna. A my chcemy uniknąć destrukcji.

Oryński podrapał się po głowie. Popatrzył Langerowi prosto w oczy i starał się nie odwrócić wzroku. Zastanawiające było to, że Piotrowi tak bardzo zależało na sprawie. Z pewnością miał wiele innych interesów w Warszawie, mniej lub bardziej legalnych. Dlaczego Salus był tak istotny?

Nurtowało go to pytanie, ale nie sądził, by mądrze było je zadawać.

– Teraz nic już nie zrobimy – powiedział Kordian. – Bukano jej nie zwolnił, ona nie ma zamiaru odpuścić, a prawnie nic nie stoi na przeszkodzie, by nadal reprezentowała swojego klienta.

Langer pokręcił głową.

– Zawiodłeś mnie, Kordian.

– Nie powiem, żeby jakoś specjalnie mnie to martwiło.

– A powinno – odparł chłodno Piotr.

Aplikant zaczerpnął głęboko tchu i podniósł kanapkę. Uznał, że najwyższa pora wziąć się w garść. Nic mu tutaj nie groziło, a sam Langer nie był Gorzymem. Nie powtórzy się sytuacja z Izabelina, po której trafił do szpitala.

– Ciebie natomiast nie powinna martwić Joanna – powiedział, po czym odgryzł kawałek i kontynuował z pełnymi ustami. – Działa na pół gwizdka i to tylko wtedy, kiedy nie jest totalnie pijana.

Langer patrzył z obrzydzeniem, jak Kordian przełyka pierwszy kęs sandwicha. Jeśli wcześniejszy wzrok zwyrodnialca był niepokojący, to ten mógł już pretendować do miana przerażającego. Aplikant szybko pożałował, że zdecydował się na nonszalancką gadaninę z pełnymi ustami.

Zanim jednak zdążył odłożyć kanapkę, rozmówca wstał.

– Będziemy w kontakcie – zapewnił go.

– To znaczy będziesz mnie tak nachodzić?

– Nie przeceniaj się. Byłem w okolicy.

Piotr zasunął krzesło i spojrzał na niego z góry.

– O co ci chodzi, co? – zapytał Kordian.

– Wiesz tyle, ile masz wiedzieć. Postaraj się.

– O co konkretnie?

– Mam to powtarzać kolejny raz? Spraw, żeby Cygan zmienił obrońcę.

– A ja kolejny raz muszę…

Langer błyskawicznie uniósł rękę, a potem z impetem opuścił zaciśniętą pięść na stolik. Rozległ się huk, kilka osób zwróciło wzrok w ich kierunku. Piotr rozejrzał się, uśmiechnął, a potem poklepał młodego prawnika po barku.

– Zawiedź mnie, a zadbam o to, żeby Żelazny poważnie zastanowił się nad twoją przyszłością w firmie.

– Co?

Langer nie odpowiedział. Obrócił się, a potem ruszył w kierunku wyjścia. Aplikant odprowadzał go wzrokiem, myśląc o tym, że sprawa robi się coraz bardziej mętna. Sytuację dodatkowo komplikował fakt, że Piotr wspomniał o imiennym partnerze. Kiedyś wraz z Joanną spekulowali, że Artur wie o nim więcej niż pozostali, być może zresztą wiedział od samego początku. Był blisko z Langerem seniorem, nieraz z pomocą Chyłki wyciągał go z prawdziwych tarapatów. Kordianowi przeszło przez myśl, że Żelazny mógł zapewniać obsługę prawną nie tylko tych legalnych interesów Langerów.

Dojadł kanapkę niemal nieświadomie.

Jeśli nawet szef był zamieszany w działalność przestępczą, nie powinno go to interesować. Z jego punktu widzenia niczego to nie zmieniało.

Liczyło się zaś to, dlaczego Piotrowi tak bardzo zależało na odsunięciu Chyłki. Odpowiedź mogła być prosta – zdawał sobie sprawę, że kiedy tylko Joanna wyniucha jego udział, uderzy ze zdwojoną mocą. Miała z nim rachunki do wyrównania, zresztą sama odgrażała się, że przyjdzie dzień, kiedy go zniszczy.

To by tłumaczyło zaangażowanie Piotra w sprawę Salusa… ale tylko częściowo.

Po lunchu Oryński wrócił do kancelarii i zatrzymał się przy stanowisku Anki z Recepcji. Dziewczyna posłała mu swój standardowy uśmiech, informujący rozmówcę, że będzie uprzejma tylko wtedy, jeśli nie zabierze jej więcej czasu, niż sama go dla niego przewidziała.

– Ktoś na ciebie czeka w drugiej konferencyjnej – oznajmiła.

– Kto?

Wzruszyła ramionami i przeniosła wzrok na monitor przed sobą. Czas przeznaczony na przekazanie mu tej informacji właśnie dobiegł końca. Kordian uśmiechnął się i skierował w kierunku salki, w której znajdował się eliptyczny stół i kilkanaście krzeseł.

Mijając wejście do pomieszczenia, gdzie tłoczyli się stażyści i praktykanci, z rozrzewnieniem pomyślał o swoich pierwszych dniach w firmie. Nie był to wymarzony początek kariery, ale miło wspominało się tamte czasy.

Niepokojące było tylko to, że wszystko zaczęło się od Piotra Langera. Oryński miał nadzieję, że wszystko na nim się nie skończy.

Wszedł do sali konferencyjnej i zobaczył stojącego przed oknem wysokiego mężczyznę. Był obrócony tyłem, ręce trzymał w kieszeniach. Miał na sobie garnitur, ale z pewnością nie żaden najnowszy krzyk mody.

– Dzień dobry – odezwał się Oryński. – Powiedziano mi, że czeka pan na mnie.

Gość obrócił się powoli. Przypominał Mela Gibsona, choć w wersji nieco bardziej zmęczonej życiem.

– Dzień dobry – odparł. – Filip Obertał.

Kordian starał się skojarzyć nazwisko, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Było charakterystyczne, brzmiało śląsko, z pewnością by je zapamiętał. Podszedł do mężczyzny i podał mu rękę na powitanie.

– Nie kojarzy pan? – odezwał się Filip.

– Niestety nie. Powinienem?

– To zależy…

Zawiesił głos, jakby chciał rozpocząć dłuższy wywód, ale nie miał zamiaru robić tego na stojąco. Oryński potoczył wzrokiem po pustych krzesłach, a potem zatoczył ręką krąg.

– Proszę się rozgościć – powiedział. – Podać coś do picia?

Nie każdemu składałby taką propozycję, ale ten człowiek wyglądał na grubą rybę. Uścisk miał pewny, wzrok stalowy, sylwetkę wyprostowaną, a garnitur drogi, mimo że niewpisujący się w najnowszą modę.

Kordian nie miał pojęcia, kim jest ten facet ani dlaczego do niego przyszedł, ale należało zastosować jedną z podstawowych zasad kancelaryjnych: domniemanie intratności.

– Może kawę poproszę – powiedział Obertał. – Czarną, jeśli można.

– Robi się – odparł Oryński.

Po chwili wrócił z dwiema czarnymi jak smoła kawami. Postawił filiżankę przed gościem, a potem usiadł naprzeciw niego.

– Więc co pana sprowadza? – zaczął.

– Joanna Chyłka.

– Słucham?

Wszystkiego się spodziewał, tylko nie tego, że wróciwszy z Hard Rock Cafe, znów będzie rozmawiał na jej temat. Naszło go przemyślenie, że dopóki proces karny się nie zakończy, być może powinien zawiesić domniemanie intratności.

– Nie wygląda pan na zadowolonego – zauważył Filip.

Kordian nie mógł znaleźć odpowiedzi. Napił się kawy i spojrzał na gościa ponaglająco. Niewiele brakowało, by go wyprosił. Jeśli to sługus Langera, nie miał zamiaru się certolić. Jeśli ktoś z prokuratury, kto zbiera na nią brudy, również nie miał zamiaru okazywać uprzejmości.

Piotr mógł grozić mu do woli. Zrobił wszystko, co było do zrobienia w granicach moralności. Nie zamierzał więcej występować przeciwko Chyłce.

Przynajmniej tak sobie wmawiał.

– Czego pan chce? – zapytał.

– Jedynie porozmawiać.

– I kim pan jest?

– Jej ojcem.

– Że co proszę? – wypalił Oryński, niemal krztusząc się kawą. Zakaszlał kilkakrotnie i odsunął filiżankę. Filip Obertał patrzył na niego obojętnie. Dopiero teraz dostrzegł w jego oczach coś znajomego.

– Rozumiem, że o mnie nie wspominała.

– N-nie… I jak…

– Nosimy inne nazwisko – powiedział. – Joanna wróciła do panieńskiego matki.

Kordian miał dosyć. Do szczęścia brakowało mu tylko tego, by z pretensjami zgłosił się do niego ojciec Chyłki. Zawiesił na nim wzrok, zbierając myśli.

– Co pan tu robi? – zapytał. – I dlaczego poprosił pan o widzenie ze mną?

– Nie prosiłem.

Przez moment milczeli.

– Powiedziałem tylko, że chciałbym się z panem zobaczyć.

– To niewielka różnica.

– A jednak znacząca.

Oryński uśmiechnął się pod nosem. Rozmówca napił się kawy, skrzywił, a potem odstawił filiżankę.

– Już widzę, po kim Joanna odziedziczyła pewne cechy – zauważył młody prawnik.

– Wątpię, by uznała to za komplement.

– Doprawdy? A mnie wydawało się, że wszystko bierze za komplement.

Filip najwyraźniej nie był w nastroju do żartów. Obrócił spodek, wlepiając wzrok w chłopaka. Przyglądał mu się, jakby oceniał, czy w ogóle warto z nim rozmawiać. Było coś w oczach tego człowieka, co kazało sądzić, że… nie przepada za ludźmi.

– Jak pan do mnie dotarł?

– Przez Magdalenę – powiedział. – To ona mnie tutaj ściągnęła.

– Ściągnęła? Skąd?

– Z Katowic.

– Pochodzicie stamtąd?

Obertał przekrzywił głowę na bok, jakby nie dowierzał, że usłyszał to pytanie.

– Nie wie pan o niej wiele, prawda? – zapytał.

– Trudno powiedzieć. Byliśmy na stopie *need to know*.

– Byliście? – powtórzył Filip z zawodem. – To znaczy, że już nie utrzymujecie kontaktów?

Aplikant odchrząknął. Tak postawić sprawę, to jak powiedzieć, że w Hiroszimie i Nagasaki miał miejsce pewien incydent albo że w Czarnobylu i Fukushimie doszło do jakiegoś wycieku.

– Można to tak nazwać – odparł oględnie Kordian.

– Magdalena mówiła, że jesteście blisko, sądziłem, że… – urwał i pokręcił głową. – W zasadzie nie powinienem się spodziewać czegokolwiek innego.

Podniósł się i zapiął oba guziki marynarki. Oryński też wstał.

– Cóż… – podjął Filip. – W takim razie nie sądzę, by mógł mi pan pomóc.

– Pomóc? W czym?

Kordian spodziewał się, że mężczyzna ruszy w stronę drzwi, uznając, że rzeczywiście nie ma tu nic do roboty. Tymczasem jednak nie zrobił nawet kroku w kierunku wyjścia.

– Moja córka zadzwoniła do mnie, bo twierdzi, że Joanna znajduje się na równi pochyłej.

– Trudno się z tym nie zgodzić.

– Poprosiła, żebym przyjechał.

– Aha.

– I uważa, że będę mógł pomóc Joannie.

Oryński znacząco uniósł brwi z nadzieją, że Obertał nieco przyspieszy. Ten zamilkł jednak na chwilę, pociągnął poły marynarki w dół, a potem uniósł lekko podróbek.

– Nie mamy dobrych relacji – oświadczył.

– Domyśliłem się.

– Ale miałem nadzieję, że któryś z przyjaciół Joanny będzie mógł mi pomóc.

– Z pewnością nie ja.

Filip pokiwał głową. Popatrzył na kawę, jakby to ona zawiniła całej sytuacji, ale ostatecznie uraczył się jeszcze łykiem.

– W takim razie potencjalny zasób został wyczerpany – powiedział, oblizując usta.

– Słucham?

– Magdalena twierdzi, że oprócz pana Joanna nie ma nikogo.

Kordian chciał zaprzeczyć, ale na dobrą sprawę wystarczyło chwilę się zastanowić, by uznać, że siostra Chyłki ma rację. Jeśli nie liczyć Kormaka, rzecz jasna.

– Istnieje pewna szansa – odezwał się Oryński. – Ale używa pan tylnego wejścia, kiedy powinien pan stanąć przed głównym i czekać, aż otworzą.

Filip włożył ręce do kieszeni.

– Próbowałem bezpośrednio – zastrzegł. – Nie chciała ze mną rozmawiać.

– Dlaczego nie?

– Przez wzgląd na przeszłość.

– A konkretnie?

– Proszę ją zapytać, kiedy już… jeśli wrócicie do dawnych relacji.

Kordian przypuszczał, że i wtedy nie udałoby mu się wyciągnąć wiele od Chyłki. Nigdy nie wspominała o ojcu, a na dobrą sprawę nigdy także nie wspominała o kimkolwiek ze swojej przeszłości. Tylko cudem dowiedział się, że w ogóle ma siostrę.

– Proszę odwiedzić specjalistę do spraw pozyskiwania informacji – odezwał się Oryński. – Czwarte drzwi po prawej.

– Dobrze się znają?

– Powiedzmy, że to jej sojusznik – odparł aplikant. – Pewnie ostatni na polu bitwy.

– Rozumiem.

Nie podziękowawszy, Filip Obertał wyszedł na korytarz. Kordian miał mnóstwo pytań, które chciałby mu zadać, ale przypuszczał, że mężczyzna okaże się równie chętny do mówienia o dawnych czasach, co jego córka.

Młody prawnik westchnął i opadł na krzesło. Nie chciał wracać do biura, zamierzał choć przez chwilę posiedzieć tu i pogrążyć się w cudownym, bezmyślnym zastoju. Choć na moment odsunąć od siebie myśli o Chyłce, Salusie, Langerze i Cyganie, który koniec końców mógł okazać się największą bestią, jaką od lat widziała stolica.

Nie było mu to dane.

– Kawalerze? – rozległ się głos z korytarza.

Oryński poderwał się na równe nogi i obrócił w stronę drzwi. Buchelt spojrzał na niego spode łba, stojąc w progu.

– Wszystko w porządku?

– Jak najbardziej.

– Rozmawiałeś z prokurentem?

Kordian potrząsnął głową.

– Ja… – zaczął. – Ale skąd pan wie?

– Dzwoniono do mnie z Salusa. Jeden z członków zarządu chciał się upewnić, czy doszło do spotkania.

– Tak, doszło.

– I wysłuchałeś wszystkiego?

– Oczywiście.

– Bardzo zależy im na tym, żebyśmy wykonali ich zamierzenia co do joty.

– Rozumiem – burknął Kordian.

– Więc zakasaj rękawy i do roboty, kawalerze.

Oryński opuszczał salę konferencyjną z poprawnym uśmiechem przylepionym do twarzy. Jednak kiedy tylko zamknął za sobą drzwi gabinetu, mina mu zrzedła. Naprawdę miał szukać brudów na Chyłkę. Naprawdę miał zrobić wszystko, żeby odsunąć ją od sprawy.

Potarł skronie dwoma rękami. Potem uznał, że rzeczywiście pora wziąć się do roboty, jeśli ma zamiar zostać kiedyś associate, potem senior associate, a ostatecznie partnerem. Kariera sama się nie zbuduje, a Kordian nie miał zamiaru strzelać sobie w stopę na samym jej początku.

Wyciągnął elektronicznego papierosa, a potem zaczął się zastanawiać. Nagłe pojawienie się ojca Chyłki mogło być mu na rękę.

19
Praga Południe, Warszawa

Chyłka zwolniła nieco kroku, nie chcąc stwarzać alarmującego wrażenia. Butelka w jej ręce wprawdzie wysyłała jasny sygnał, ale wyłącznie dla tych, którzy się nią zainteresują. Najlepiej zaś byłoby, gdyby przeszła obok kilku zapuszczonych kamienic niezauważona.

Na wszelki wypadek wyjęła telefon i wybrała numer Szczerbińskiego. Odebrał od razu.

– Jestem na Pradze i idę w kierunku Cyganów – powiedziała.

Aspirant zapomniał języka w gębie.

– Słyszysz, Szczerbaty?

– Słyszę. Nie wiem tylko, co mi do tego.

– Mogę zginąć, więc chciałam zawczasu poinformować organy ścigania.

– Okej…

– Jakby co, przyjedź na Grochowską i idź po śladach krwi. W końcu mnie znajdziesz.

Znów przez moment milczał i Chyłka skorzystała z okazji, by uważnie się rozejrzeć. Na razie nikt nie zwracał na nią uwagi, ale przypuszczała, że prędzej czy później to się zmieni. Gdyby była inaczej ubrana, być może przemknęłaby przez kilka przecznic. W drogim żakiecie i spódnicy nie wieszczyła sobie jednak sukcesów.

– Co ty odstawiasz? – zapytał Szczerbiński.

– Testuję nowe metody na odmeldowanie się z tego świata.

– Naprawdę jesteś na Grochowskiej?

– Tak. Szukam rodziny mojego klienta.

– W jakim celu?

– Uważam, że jest niewinny.

Aspirant zaśmiał się cicho. Joanna przypuszczała, że pokręcił przy tym głową. Słyszał takie rzeczy od prawników przy każdej sprawie,

ale zapewne rzadko się zdarzało, by obrońca formułował podobne sądy, kiedy dowód DNA przemawiał na niekorzyść oskarżonego.

– Badania nie kłamią – powiedział policjant.

– To beznadziejnie głupie stwierdzenie.

– Ale prawdziwe.

– Nie macie żadnych świadków – zauważyła Joanna. – Żadnego motywu, żadnego wytłumaczenia, żadnego…

– Mamy jego materiał biologiczny na miejscu zdarzenia. I o czym my w ogóle rozmawiamy?

– Nie wiem. Spotkajmy się.

– Co takiego?

– Dzisiaj o dwudziestej w Saskiej Gębie.

– Ale…

Rozłączyła się, zanim zaczął biadolić. Jedna sprawa załatwiona, uznała w duchu Chyłka. Teraz należało tylko dotrwać do umówionej godziny. Z pewnością nie na trzeźwo. Sięgnęła do żakietu i wyjęła małpkę wódki. Napiła się i schowała ją z powrotem.

Młoda Cyganka wyszła z jednej z kamienic. Obrzuciła spojrzeniem okolicę i zdawała się nie dostrzegać prawniczki. Joanna wyciągnęła paczkę papierosów. Jeśli alkohol i nikotyna jej nie pomogą, nic tego nie dokona.

W końcu dotarła do kamienicy, którą wskazała jej babinka. Wyrzuciła niedopałek przed wejściem, po czym popchnęła lekko drzwi. Odchodziła z nich farba, a za nimi panował półmrok. Na korytarzu śmierdziało wilgocią, ale było dość czysto, nie licząc paru wypalonych papierosów i butelki piwa.

Joanna rozejrzała się, zadając sobie pytanie, co zamierza zrobić dalej. Według staruszki kiedyś cała ta kamienica była zamieszkana przez Romów, ale nie miała pojęcia, czy nadal tak jest. To tutaj mieli gromadzić się ci, którzy orientowali się najlepiej w sprawach społeczności.

Prawniczka popatrzyła po drzwiach mieszkań. Żadne nie miały plakietki informującej o gospodarzach. Westchnęła i wyciągnęła kolejnego marlboro. W paczce został jeszcze tylko jeden, ale stanowiło to jej najmniejsze zmartwienie.

Nabrała tchu, a potem schowała pustą butelkę za plecami i zapukała do pierwszego z mieszkań. Innego wyjścia nie było.

Nikt jej nie odpowiedział, więc załomotała do drzwi naprzeciwko. Odczekała chwilę i już chciała sprawdzić kolejne, gdy z mieszkania wychynął stary, gruby Rom. Popatrzył na Chyłkę, skrzywił się, a potem z hukiem zamknął drzwi.

Skierowała się do następnych.

Na piętrze, przy szóstej czy siódmej próbie, w końcu jej otworzono. Mężczyzna miał koło pięćdziesiątki, choć gdyby oceniać go jedynie po stanie wyłysienia, należałoby dać mu co najmniej piętnaście lat więcej. Dobrych osiemdziesiąt kilogramów przy niedużym wzroście także robiło swoje.

– Co to ma znaczyć? – zapytał na powitanie.

– Bronię Roberta Horwata… to znaczy Bukano – powiedziała czym prędzej Joanna, obawiając się, że i tym razem drzwi szybko zamkną się jej tuż przed nosem. – Szukam osób, które go znają.

Cygan przyglądał jej się z niedowierzaniem.

– Oszalałaś? – zapytał.

– Nie. Bukano potrzebuje pomocy.

Rozmówca zmrużył oczy, a potem rozejrzał się ukradkiem.

– Bukano to *magerdo*.

– Hm?

– Jest skalany – wyjaśnił wyłysiały Rom. – Daliśmy mu szansę, wiele lat temu, by poszedł do Szero Roma i poznał warunki oczyszczenia. Nie skorzystał z tego prawa.

Chyłka uśmiechnęła się. Trafiła w dziesiątkę – nie dość, że mężczyzna od razu skojarzył, o kogo chodzi, to jeszcze najwyraźniej miał niejakie pojęcie o całej sprawie.

– Teraz to nieistotne – powiedziała Joanna. – Albo ktoś mu pomoże, albo spędzi resztę życia w więzieniu.

Grubas pociągnął nosem i nie odezwał się. Chyłka spojrzała mu przez ramię do środka. Panował tam wyjątkowy rozgardiasz, a brud zapewne można byłoby usuwać łopatami. Mimo że Cyganie tak wystrzegali się wszystkiego, co nieczyste, własny syf nie stanowił dla nich problemu. Prawniczce trudno było to zrozumieć, ale jeszcze bardziej dziwiła ją rezerwa wobec pobratymca w potrzebie.

– Znałeś go? – zapytała.

– Tak. To mój bratanek.

Joanna ściągnęła brwi. Już miała zamiar wystrzelić ze standardową formułką mającą na celu wzbudzić w rozmówcy wyrzuty sumienia, ale w porę się powstrzymała.

– I tak obojętnie o tym mówisz? – zapytała.

– Bukano złamał *romanipen* – odparł Cygan, jakby to miało wszystko wyjaśniać. – Ale ty tego nie zrozumiesz, *gadzio*.

– Nie, nie zrozumiem.

– U nas wystarczy obrazić kogoś w towarzystwie, a do końca życia będzie się miało problem. U was takich rzeczy nie ma.

– Niemniej… – zaczęła Chyłka, ale urwała, słysząc podniesione głosy.

Rom rozejrzał się i lekko przymknął drzwi.

– Zabieraj się stąd, już!

– Nie mam zamiaru.

Grubas wywrócił oczami i szczelina między framugą z drzwiami zmniejszyła się jeszcze bardziej. Joanna poczuła niepokój. Okrzyki z innych mieszkań zdawały się wzmagać.

– Nie słyszysz? – zapytał Rom.

– Słyszę, ale niczego nie rozumiem.

– Informują się, że przyszłaś.

– Ale…

– Zaraz narobisz sobie problemów. Uciekaj stąd!

– Nie pójdę, dopóki…

– Zapytaj o Koro – wszedł jej w słowo grubas. – Grochowska 127. Przy kebabie.

Zanim prawniczka zdążyła mu podziękować, mężczyzna zatrzasnął przed nią drzwi. Machinalnie cofnęła się o krok, a potem szybko odwróciła w kierunku wyjścia. Od ulicy dzieliło ją kilkanaście metrów, ale przy wciąż narastających okrzykach ta odległość zdawała się rosnąć z każdą sekundą.

Ruszyła szybko przez korytarz. Miała nadzieję, że Romowie nie zdążą się skrzyknąć.

Szybko przekonała się, że jej oczekiwania były płonne. Drzwi jednego z mieszkań otworzyły się, a młoda Cyganka wypadła

z niego, jakby w środku się paliło. Miała dwadzieścia, może dwadzieścia pięć lat, była wysportowana i z całą pewnością gotowa do bitki. Podciągnęła rękawy i popatrzyła na Joannę jak na zwierzynę.

Prawniczka zatrzymała się przed nią. Dziewczyna skrzyżowała ręce na piersi.

– To ty tyle huku narobiłaś, suko? – zapytała.

– Zejdź mi z drogi.

– Nie będziesz mi mówiła, co mam robić, kurwo jebana!

Jeśli doświadczenia Chyłki mogły mieć jakikolwiek walor edukacyjny, to należało przyznać, że „kurwa jebana" stanowiła ulubione określenie Romów na osoby spoza ich kręgu kulturowego.

– Stul pysk – odparła Joanna i ruszyła przed siebie.

– Będziesz, pizdo, błagała, żebym cię…

Romka nie miała okazji dokończyć, bowiem Chyłka nie zamierzała się z nią certolić. Popchnęła ją na ścianę, a potem czym prędzej wyminęła. Zanim dziewczyna zrozumiała, co się stało, oglądała już oddalające się plecy prawniczki.

– Hej, kurwa! – pisnęła Cyganka, a potem zaczęła wznosić paniczne okrzyki w swoim języku.

Joanna usłyszała, jak dziewczyna odcharkuje, a potem poczuła, że oberwała śliną w plecy. Nie zwolniła kroku. Była świadoma, że chwila dłużej spędzona w tym miejscu mogła skończyć się tragicznie.

– *Has mro mindź*! – krzyknęła Romka.

Chyłka wyszła na zewnątrz i od razu skręciła w stronę mieszkania babinki, u której zostawiła na przechowanie piwo. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że serce wali jej jak młotem. Zaschło jej też w ustach.

Obejrzała się przez ramię i zobaczyła grupę Cyganów wychodzących z klatki.

– Kurwa mać… – mruknęła, a potem natychmiast skręciła w niewielką uliczkę odchodzącą od Grochowskiej. Nikt o zdrowych zmysłach nie zapuszczał się w takie miejsca, ale teraz nie miała wyjścia. Romowie nie zdążyli jej zauważyć, inaczej dawno podniósłby się pisk i wszyscy jak jeden mąż popędziliby w jej stronę.

Gdyby nie szpilki, zapewne zaczęłaby biec. Przyspieszyła jeszcze bardziej, balansując już na granicy prawdopodobieństwa, że wyciągnie się tutaj jak długa.

Okrążyła budynek i wyszła na Grochowską od drugiej strony. Rozejrzała się i stwierdziwszy, że w zasięgu wzroku nie ma Romów, udała się w kierunku kebaba.

Z pewnością nie spodziewali się, że zostanie w okolicy. Założyli, że będzie szła w kierunku Pragi Północ, mając nadzieję, że dotrze do przystanku, zanim Cyganie dotrą do niej. I pomyśleć, że robiła to wszystko, by pomóc jednemu z nich. Miała tylko nadzieję, że spotkanie z Koro się opłaci.

Dotarła do klatki wskazanej przez grubego łysola i powiodła wzrokiem po elewacji. Uznała, że Hollywood naprawdę powinno zainteresować się Polską i takimi miejscami. Byłyby wprost wymarzone, jeśli George Romero, John Carpenter, James Wan czy Guillermo del Toro chcieliby nakręcić nowy horror.

Balkony sprawiały wrażenie, jakby miały zawalić się pod swoim ciężarem. O farbie na elewacji trudno było mówić – wyglądała raczej jak naleciałość po nuklearnej zimie. Tuż nad chodnikiem rozciągnięto metalową siatkę, na wypadek gdyby coś odpadło od budynku. Joanna uznała, że to sensowne rozwiązanie.

Futryny w oknach były popękane, a szyby gdzieniegdzie pobite. Od budynku ział chłód, który zdawał się przenikać każdego, kto go mijał. Mieszkańcy Pragi być może się na to uodpornili, ale przypadkowy przechodzień nie mógł minąć tego miejsca obojętnie.

Inna sprawa, że przypadkowych przechodniów po prostu tu nie było.

Chyłka poszukała wzrokiem drzwi wejściowych, ale bez skutku. Obok był punkt STS, gdzie mieszkańcy systematycznie zostawiali niewielkie sumki, a kawałek dalej kebab. Wcześniej studio tatuażu. Żadnego wejścia.

Obeszła budynek i przeszła przez bramę na podwórko. Jeśli od frontu to miejsce wyglądało źle, z tej perspektywy musiało natchnąć niejednego samobójcę.

Skierowała się do otwartych drzwi i weszła na klatkę. Ignorując smród i brud, zastukała do pierwszych lepszych drzwi. Otworzył jej

poczciwy staruszek, którego nie spodziewała się zastać w takim miejscu.

Zmrużył oczy i sarknął.

– Dzień dobry – powiedziała. – Szukam pewnego Cygana. Nazywa się…

– Mieszkanie numer trzy – wycharczał przyjaźnie dziad.

– Dziękuję.

Zastukała w odpowiednie drzwi, a potem przez chwilę czekała. Gdy nadal nie usłyszała żadnego odzewu, wyjęła z żakietu buteleczkę i ją opróżniła. Jeśli chciała zostać na Pradze Południe, musiała lepiej się zaopatrzyć. Trzeźwość nie była tutaj w cenie.

W końcu drzwi się otworzyły i Joanna zobaczyła Roma w wieku Bukano. Nosił czerwoną, przekrzywioną bejsbolówkę, koszulkę z napisem, którego nie mogła rozszyfrować, i spodnie, które nadawały się w porywach do prac wykończeniowych w mieszkaniu.

Ze środka doszedł ją zapach farby i wszystko stało się jasne. Chyłka nie wiedziała tylko, dlaczego mężczyzna patrzy na nią z przestrachem.

– Rozmawiałem już z kimś od was – powiedział.

– Słucham?

– Z prokuratorem Zakierskim.

Jackpot, bingo, strzał w dziesiątkę.

– W takim razie współczuję – odparła Joanna. – Wpuści mnie pan?

Zdziwiło go tak bezpośrednie pytanie. Przekrzywił czapkę i otworzył usta, ale prawniczka nie miała zamiaru pozwolić, by ją zbył.

– To było pytanie, ale nie przyjmuję odpowiedzi odmownej – wyjaśniła. – Porozmawiam z panem, czy tego pan chce, czy nie.

– Ale…

– I będzie pan odpowiadał na moje pytania tak wyczerpująco, jak potrafi, w przeciwnym wypadku zrobię panu takie *porajmos*, że zapamięta je pan do końca życia.

– Że co proszę?

– *Porajmos*. Pożeranie. Tak nazywacie eksterminację Romów podczas drugiej wojny światowej, prawda? Żydzi mają całopalenie, wy macie pożeranie. Holocaust i *porajmos*.

– Pani chyba sobie żartuje…

– Nie, mówię całkiem poważnie. Niewielu ludzi to interesuje, bo kto i dlaczego miałby przejmować się pogromem Romów, kiedy tyle innych nacji cierpiało, ale…

– My tak tego nie nazywamy – odparł skołowany Koro.

– A więc jak?

Niewiele ją to interesowało, ale była zadowolona, że nawiązała kontakt. Była już jedną nogą za progiem, wystarczyło tylko trochę spuścić z tonu.

– *Samudaripen* – powiedział Cygan.

– I co to znaczy?

– Całkowita zagłada.

– Całkiem trafne – oceniła Joanna. – To mogę wejść?

Zrobił krok w tył, ale wciąż trzymał drzwi, drugą ręką blokując przejście.

– Kim pani jest?

– Bronię Bukano. I przejdźmy na ty, tak chyba u was wypada. Przed chwilą rozmawiałam z grubasem kawałek dalej i od razu walił bezpośrednio.

– W porządku, ale… jak to broni go pani?

Chyłka uniosła brwi i westchnęła. Najwyraźniej nie trafił jej się orzeł wśród orłów.

– Jestem jego adwokatem. Obrończynią. Moim zadaniem jest sprawić, żeby nie zgnił w więzieniu. Wyklarować to jeszcze bardziej?

– Nie, po prostu… – Koro urwał, machnął ręką, a potem wycofał się do środka i zaprosił prawniczkę. – Jestem zdziwiony.

– Dlaczego? – zapytała, omiatając wzrokiem wnętrze. Rom najwyraźniej robił wszystko, by wewnątrz jego mieszkanie stanowiło antytezę zewnętrznego wyglądu kamienicy. I musiała przyznać, że szło mu całkiem przyzwoicie.

– Myślałem, że Bukano dostanie obrońcę z urzędu, a pani… a ty nie wyglądasz na takiego prawnika.

– Pozory mylą. Obecnie jestem na dnie, więc pasuję.

Nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Masz coś do picia? – zapytała.

– Piwo.

Popatrzyła na niego badawczo.

– Sprecyzuj. Piwo czy siki, które tankuje się przy robocie, bo i tak nie czuć smaku?

– Mam żubra.

Joanna szybko wyłowiła z pamięci to, co interesowało ją w tej chwili najbardziej. Zawartość alkoholu: sześć procent. Nie było najgorzej.

– Częstuj – powiedziała.

Po chwili wrócił z dwoma zmrożonymi puszkami. Chyłka ściągnęła palcem szron, a potem pociągnęła kilka łyków. Od razu zrobiło jej się lepiej i mogła zebrać myśli. Wiedziała, że trafiła na prawdziwą żyłę złota. I pomyśleć, że wystarczyło poszwendać się po Pradze Południe i zaryzykować życiem i zdrowiem.

– Klapniemy gdzieś, czy będziemy tak stali? – zapytała, tocząc wzrokiem po folii rozłożonej na podłodze.

– Tak, tak… zapraszam.

Koro poprowadził ją do salonu. Meble poustawiano bez ładu i składu, z pewnością tylko na czas remontu. Gospodarz ściągnął osłonę z fotela, a sam przysiadł na komodzie stojącej na środku pokoju.

– Co robił tutaj prokurator? – zapytała Joanna, zajmując miejsce na fotelu.

– Rozpytywał o Bukano – odparł lakonicznie Rom. – Ale on przedstawił jakiś dowód tożsamości, ty nie.

– Mhm – odparła Chyłka i znów się napiła.

– Skąd mam mieć pewność, że go bronisz?

– Bo tak powiedziałam.

– To nie wystarczy.

– Musi – oznajmiła tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Poza tym takie kłamstwo to narażanie się na odpowiedzialność karną. Myślisz, że ktoś ryzykowałby tak tylko po to, żeby cię najść i pytać o twojego kumpla?

– Nie. Aż taki ważny nie jest. Tym bardziej ja.

– A jednak tu jestem, więc skończ pierdolić i współpracuj, bo Bukano jest o krok od dożywocia.

Przechyliła żubra, obserwując jego reakcję. Z pewnością był przejęty losem jej klienta, musieli być blisko. Fakt, że mężczyzna mieszkał tutaj, a nie z innymi Romami, mógł świadczyć, że także w jego przypadku doszło do skalania.

– Długo się znacie? – zapytała Joanna.

– Od młodego.

Wreszcie jakiś trop. Wreszcie coś, co mogło zaowocować argumentami na rzecz jej Cygana.

Wzdrygnęła się na to określenie.

– W takim razie może się na coś przydasz.

– Jak?

– Zacznijmy od tego, co robiła tutaj prokuratorska imitacja Harveya.

– Kogo?

– Nieistotne – odparła Joanna i odstawiła piwo. – Mów, czego chciał Zakierski?

Rom potarł nerwowo czoło. Zbyt nerwowo, by Chyłka tego nie dostrzegła. Coś było na rzeczy, ale nie miała zamiaru naciskać. Rom sprawiał wrażenie, jakby sam był gotów gadać.

– Wypytywał mnie o Bukano – odezwał się Koro. – O to, czy utrzymywaliśmy kontakty po tym, jak został wykluczony.

– I co powiedziałeś?

– Że nie.

– To prawda?

– Mniej więcej – odparł Cygan, a Joanna mimowolnie się uśmiechnęła. – Bo nie utrzymywaliśmy do pewnego czasu.

– To znaczy?

– Był u mnie w przeddzień tej tragedii.

Chyłka miała ochotę wystrzelić z całą kanonadą pytań, ale ugryzła się w język. Zamiast tego, zajęła się dalszym opróżnianiem puszki.

– Wpadliśmy na siebie jakiś czas temu w warsztacie samochodowym. Prowadzi go znajomy i… no cóż, obaj wiemy, że to jedyny mechanik w Warszawie, który by nas nie naciął.

– Kiedy to było?

– Dwa, może trzy tygodnie temu.

– Strzeliliście po browarku, powspominaliście stare czasy?

– Nie. Udawałem, że go nie widzę. Jest nieczysty.

Powiedział to, jakby rzeczywiście był jednym z tych zatwardziałych wyznawców *romanipen*.

– Okej – odparła Chyłka. – Co było dalej?

– Podszedł do mnie, chciał porozmawiać, ale powiedziałem mu, że nie mamy sobie nic do powiedzenia. Potem odszedłem.

– Więc jak doszło do tego spotkania dzień przed zabójstwem?

– Przyszedł do mnie.

– Ot tak?

– Zjawił się równie niespodziewanie jak ty.

– I czego chciał?

– Napić się, porozmawiać. Był w złym stanie.

Nie brzmiało to najlepiej. Jeśli Koro powtórzył to samo prokuratorowi, ten dostał całkiem zgrabny argument, na którym mógł zacząć budować motywy podejrzanego. Znów został odrzucony przez społeczność, coś go dręczyło, próbował nawiązać kontakt, poniósł fiasko, rozładował narastającą od lat frustrację na żonie i córce.

– Wpuściłeś go do domu?

– Tak.

– Dlaczego?

– Bo powiedział, że to sprawa życia i śmierci.

Joanna powiodła wzrokiem po pomieszczeniu. Zbyt długo zajmowała się prawem karnym, by nie dostrzegać rzeczy, które mogły potencjalnie mieć ze sobą związek. Czasem nachodziła ją myśl, że byłaby dobrym śledczym. Potrafiła połączyć jedno z drugim. Nawet jeśli między dwoma punktami w istocie nie było żadnej nici.

W tym przypadku wydawało jej się jednak, że jest.

– Kiedy zacząłeś remont?

– Słucham?

– Pytam, kiedy zacząłeś to całe malowanie.

– W sumie… dokładnie nie pamiętam.

– Przed czy po jego wizycie?

Koro otworzył usta, ale się nie odzywał. Chyłka spojrzała na szereg środków czystości wystawionych niczym na sklepowej ekspozycji.

Nikt nie gromadził tylu preparatów w trakcie remontu. Po skończeniu pracy, może, ale na pewno nie na tym etapie.

– Jakie to ma znaczenie? – zapytał Cygan.

– Duże, bo jeśli odpowiedź mnie nie zadowoli, wzywam policję.

– Jaką policję?! Nie waż się nawet…

– Prokurator cię o to nie pytał?

– Nie.

Oczywiście, nie interesowało go to. Jeśli Koro miał cokolwiek na sumieniu, to z pewnością nie działało to na niekorzyść Roberta Horwata. Wręcz przeciwnie, mogło podać w wątpliwość, że to on odebrał ofiarom życie.

Do tego mieszkania należało wprowadzić korowód techników kryminalistycznych, zabezpieczyć to, co jeszcze zostało do zabezpieczenia, a potem zamknąć tego faceta za utrudnianie śledztwa. Chyłka nie miała wątpliwości, że dokładnie to robi.

– Więc Bukano powiedział, że to sprawa życia i śmierci – podjęła temat Joanna. – Co dalej?

– Rozmawialiśmy chwilę w progu, potem wpuściłem go do środka.

Prawniczka skończyła piwo i gospodarz natychmiast się ożywił.

– Potrzebujesz jeszcze jedno? – zapytał, wstając.

– Potrzebuję jeszcze dziesięć. Ale po kolei – odparła, wskazując wzrokiem kuchnię.

Po chwilę wrócił z zimną puszką rompera. Chyłka spojrzała na piwo z rezerwą, ale ostatecznie uznała, że nie będzie narzekać. Nie wypadało, kiedy ktoś dawał alkohol za darmo.

– O czym chciał z tobą rozmawiać? – spytała.

– Twierdził, że nie układa mu się w życiu.

– To akurat żadna niespodzianka. Co konkretnie się nie układało?

Koro wrócił na poprzednie miejsce i przysiadł na meblu. Zaczerpnął tchu, sam pociągnął dopiero drugi łyk żubra, po czym odstawił go na blat.

– Bukano kłócił się z żoną… coraz częściej, coraz agresywniej. Wyciągała brudy z przeszłości, robiła mu coraz więcej pretensji, wrzeszczeli na siebie, jakby się nienawidzili… przynajmniej tak mi mówił.

– Aha.

– Przez to miał coraz gorsze kontakty z córką – dodał Koro. – Mówił, że ostatnio nie chciała z nim nawet rozmawiać.

– I to wszystko powiedział ci ot tak?

– Nie ot tak – odparł Rom i spojrzał w kierunku kanapy. – Siedzieliśmy tu kilka dobrych godzin, zalewając się coraz bardziej.

Joanna rozejrzała się. Ciekawiło ją, czy po całym tym remoncie pozostaną tutaj jakiekolwiek ślady obecności jej klienta. Pewnie nie. Gospodarz najwyraźniej zaczął malowanie ścian właśnie od tego pokoju. Podłoga zapewne też została odświeżona.

– Ale gdzie ta sprawa życia lub śmierci? – odezwała się Chyłka.

– Co?

– Mówiłeś, że z tym do ciebie przyszedł.

– Chodziło raczej o całokształt… ale w ten dzień, kiedy tu przyszedł, doszło do jednej z największych kłótni z żoną.

– Tak?

– Poszło o polisę na życie.

Joanna zapomniała o piwie. Wbijała wzrok w Cygana i czekała, aż przejdzie do rzeczy.

– Jego żona chciała, by ją rozwiązali – wyjaśnił Koro. – Upierała się przy tym, jakby od tego zależało ich życie. Bukano się nie zgodził, twierdził, że potrzebują takiego zabezpieczenia dla Aiszy.

– Zapamiętałeś, jak nazywa się ich córka?

– Tak. Cały czas o niej mówił.

– Mimo że byłeś pijany.

Twarz Roma stężała. Nagle zrozumiał, dlaczego prawniczka tak wnikliwie przygląda się zarówno jemu, jak i mieszkaniu. Odstawił puszkę i zbliżył się o krok.

– Co to ma znaczyć? Chcesz mnie w coś…

– Nie – odparła Chyłka, również wstając. – Nie chcę cię w nic władować, Koro. Ale mam wrażenie, że sam to zrobiłeś.

Zanim zdążył odpowiedzieć, zabrała rompera i wyszła na korytarz.

20
Gabinet Oryńskiego, XXI piętro Skylight

Dochodziła dziewiętnasta, ale dziś wypadał jeden z tych dni, kiedy nie miało to najmniejszego znaczenia. Kordian musiał przejrzeć jeszcze kilka umów z obszarów prawa, które niespecjalnie go interesowały. Od osób na stanowisku junior associate wymagano jednak, by zajmowały się szerokim spektrum spraw. Specjalizacja w kancelarii Żelazny & McVay następowała dopiero szczebel wyżej. Do tego czasu Oryński musiał pracować z prawnikami, którzy zajmowali się różnymi gałęziami prawa – i każdy był przekonany, że ta, na której sam siedzi, jest najważniejsza. Przypominało mu to czasy studenckie.

Przejrzał umowę spedycji na dość duże zamówienie. Miała kompleksowy charakter, właściwie przekraczała tradycyjną konstrukcję ustawową. Spedytor zobowiązywał się także do przewozu towaru, przez co nabywał zarówno prawa, jak i obowiązki przewoźnika.

W normalnych okolicznościach Kordian ziewałby i przeciągał się od dobrych kilkudziesięciu minut. Ta sytuacja jednak do normalnych nie należała. Wciąż wracał myślami do tego, czego wymagała od niego kancelaria. Do tego, czego wymagał Salus. I Piotr Langer.

Oryński wiedział, że nie ma wyjścia. Wiedział także, że nawet jeśli postanowi wytoczyć ciężkie działa, trudno będzie wycelować je w Chyłkę. Nie było wielu prawników, którzy tak dobrze strzegli dostępu do swojej przeszłości, jak ona. Trudno było spodziewać się, że uda się dotrzeć do czegoś, co pozwoliłoby odsunąć Joannę od sprawy.

Odsunąć. Ledwo Kordian pomyślał o tym słowie, a zaśmiał się pod nosem. Zgrabny eufemizm, który zastosował Langer. W istocie chodziło w najlepszym przypadku o szantaż. W najgorszym o groźby karalne.

Oryński naniósł kilka poprawek na umowę spedycji, a potem odłożył ją na bok. Oparł łokcie na biurku i skrzyżował dłonie pod brodą. Siedział tak chwilę w bezruchu, po czym spojrzał na telefon.

Skończyły mu się półśrodki. Musiał brać się do roboty.

Sięgnął po smartfona, a potem wystukał na wyświetlaczu krótką wiadomość. Starał się nad tym nie zastanawiać, wiedząc, że tak będzie najlepiej.

„Musimy się spotkać", brzmiał jego SMS do Chyłki. Nie czytając go, od razu nacisnął „wyślij". Potem odłożył telefon i próbował skupić się na blankietowej umowie na czas próbny, która zapewne zostanie w przyszłości wykorzystana przez któregoś z klientów, by obchodzić obostrzenia z Kodeksu pracy.

Nie mógł wgryźć się w tekst, mimo że jeden z associates zaznaczył mu fragmenty, na które miał zwrócić największą uwagę. Lubił prawo pracy, stanowiło przyjemną przepychankę między tym, co wolno pracodawcy, a czego nie wolno pracownikowi. Niektórzy uważali, że cały kodeks powinien wylądować w koszu, bo pracodawcy wolno wszystko, a pracownikowi nic, ale Oryński uważał, że odebrałoby to frajdę całym zastępom prawników.

Po półgodzinie rozległo się charakterystyczne pyknięcie zwiastujące nadejście wiadomości. Popatrzył na telefon i zobaczył wiadomość od Chyłki. Rozwinął obszar powiadomień i wyświetlił treść SMS-a.

„Okej".

Tylko tyle, ale czego więcej się spodziewał? Biorąc pod uwagę okoliczności, musiał uznać, że to całkiem sporo. Poprawił poły marynarki i krawat, a potem zaczerpnął tchu. Kliknął w pole tekstowe i dopiero wtedy uświadomił sobie, że zachowuje się jak kretyn. Uśmiechnął się do siebie.

Spojrzał na zegarek. Wpół do ósmej.

„Hard Rock o 20?" – napisał.

Tym razem nie musiał długo czekać na odpowiedź.

„Jestem już umówiona".

Uniósł brwi. Z tego, co wiedział, Kormak również planował zostać dzisiaj do późnych godzin, na dobrą sprawę może nawet będzie spał w swojej jaskini. Z ojcem Joanna z pewnością się nie spotykała, a jeśli to Magdalena ściągnęła go do Warszawy, z nią też nie miała

zamiaru się widzieć. Kto zostawał? Właściwie nikt. Wprawdzie Chyłka strzegła dostępu do swojego życia, ale Oryński znał ją na tyle, by wiedzieć, że na tym wyczerpuje się pula osób, z którymi chciałaby spędzać czas. I które chciałyby spędzać go z nią.

„Kupiłaś sobie psa?" – odpisał.

Przypuszczał, że skorzysta z okazji i zadrwi sobie z niego, robiąc jakąś uszczypliwą uwagę o tym, że swojego kundla zostawiła w Skylight. Zapyta też, skąd to pytanie, a on odpisze, że to jedyny potencjalny towarzysz, z którym mogłaby być umówiona.

Zabębnił palcami o biurko. Plan był beznadziejny, ale od czegoś musiał zacząć. Wbił wzrok w komórkę i czekał. Odpowiedź nie nadchodziła i koło dwudziestej należało uznać, że już nie nadejdzie.

Kordian westchnął, schował smartfona do kieszeni i wyszedł z biura. Udał się prosto do Jaskini McCarthyńskiej. Kormak zgodnie z zapowiedzią był jeszcze na posterunku, podobnie jak większość pracowników kancelarii. W norzeoborze tłoczyło się ich najwięcej. Przez korytarz można było przejść, ale wymagało to pewnych zdolności ekwilibrystycznych.

Oryński zapukał do drzwi chudzielca, a potem wszedł do środka, nie czekając na zaproszenie.

– Wciąż się kotłuje ten nasz prawniczy tygiel – powiedział.

Szczypior uniósł wzrok znad monitora.

– Hę? – bąknął.

– Mówię, że…

– Słyszałem, co mówisz, Zordon. Nie wiem tylko, po co te metafory.

W jego tonie nie było zwyczajowej gotowości do przekomarzania się. Przeciwnie, Kormak brzmiał, jakby miał pretensje, że aplikant go nachodzi.

– Potrzebujesz czegoś? – zapytał.

Kordian powiódł wzrokiem po biurku. Reakcja byłaby usprawiedliwiona, gdyby akurat przeszkodził chudzielcowi w czytaniu McCarthy'ego. Tymczasem żadnej książki w zasięgu wzroku nie było.

– Chciałem tylko zapytać o postępy.

– W sprawie szpiegowania Chyłki?

Oryński potwierdził ruchem głowy. Nagle zapragnął opuścić gabinet przyjaciela i wrócić do swojego, mimo że czekała tam na niego jeszcze góra roboty.

– Nie posunąłem się do przodu – oznajmił Kormak.

– Nic a nic?

– Niestety.

– To nietypowe w przypadku człowieka, który zazwyczaj ma wszystko gotowe na wczoraj.

– Widocznie zadanie okazało się skomplikowane.

– Z pewnością.

– Sugerujesz, że z premedytacją przeciągam sprawę?

– Gdzieżby.

Kormak wbijał w niego wzrok, ale nie było w nim już ponaglenia, by Oryński powiedział, co miał do powiedzenia, a potem jak najszybciej zniknął. Nie, teraz w oczach przyjaciela Kordian dostrzegł wyzwanie.

– A jednak – odezwał się chudzielec. – Sądzisz, że lecę w kulki.

– Nie określiłbym tak tego. Chyba że cofnęliby mnie do przedszkola. – Uśmiechnął się, mając nadzieję, że to nieco rozładuje sytuację, ale Kormak trwał z kamiennym wyrazem twarzy. – Słuchaj… – zaczął aplikant.

– Nie mam zamiaru – przerwał mu szczypior. – Ale ty możesz mnie posłuchać, bo najwyraźniej czegoś nie rozumiesz.

– Tak? – odparł Oryński, wsuwając ręce do kieszeni. – Czego?

– Tego, że muszę robić to, co mi się każe.

– Jak każdy.

– Nie, nie jak każdy – powiedział Kormak i zamknął laptopa. – Jeśli ty odszedłbyś z kancelarii… ty lub jakikolwiek inny prawnik, nie mielibyście żadnego problemu ze znalezieniem pracy.

– Bzdura.

Chudzielec pokręcił głową.

– Znalazłbyś robotę – powtórzył. – Może nie w renomowanej firmie, ale jakaś mała kancelaria przygarnęłaby cię z otwartymi ramionami. Nie zarabiałbyś tyle, co tu, ale wystarczyłoby ci na utrzymanie.

– Nie wiem, do czego…

– Jeśli mnie by wywalili, to na zbity pysk – uciął Kormak. – Nie mam wykształcenia kierunkowego, jestem po pieprzonym kulturoznawstwie, rozumiesz? Albo będę pracować u Żelaznego i McVaya, albo nigdzie. Dla mnie to nie kwestia ambicji, a egzystencji.

– W porządku, ale…

– Robię to, bo muszę – powiedział, patrząc na zamkniętą klapę komputera. – A ty robisz to, bo chcesz więcej zarabiać. Chcesz wspinać się po szczeblach kariery. Chcesz patrzeć na innych z góry i być grubą rybą, jeżdżącą drogim bmw, mieszkającą w prestiżowym penthousie, w którym za trzy pokoje lekką ręką zapłacisz półtora miliona.

– Skończyłeś?

– Nie, ty skończyłeś.

Uwaga zawisła w powietrzu jak smród. Resztę Oryński mógł sobie dopowiedzieć. Miał ochotę obrócić się i wyjść, ale honor podpowiadał, że tak zostawić tego nie można. Nigdy nie czuł się urażony, kiedy ktoś zarzucał mu bycie karierowiczem – z takimi opiniami spotykał się każdy prawnik pracujący dla kancelarii wielkości Żelaznego & McVaya. W ustach szczypiora brzmiało to jednak jak prawdziwa obelga.

– Chyba mnie z kimś pomyliłeś, stary – odezwał się Kordian. – Mnie nie chodzi o kasę.

– Chciałeś powiedzieć, że nie tylko o nią.

– Chciałem powiedzieć dokładnie to, co powiedziałem.

– Świetnie. Okłamuj się dalej, ale rób to w innym miejscu – odparł Kormak i wskazał mu wzrokiem drzwi.

Honor honorem, ale Oryński uznał, że ma dosyć kopania się z koniem. Obrócił się i opuścił biuro chudzielca. Starając się okiełznać nerwy, wrócił do swojego gabinetu, pochylił się nad umowami i zaczął je przeglądać.

Co jakiś czas sprawdzał komórkę, ale Chyłka najwyraźniej nie miała zamiaru się odzywać. Prędzej czy później będzie jednak musiała umówić się na spotkanie. Szczególnie jeśli chciała zawczasu zapobiec potencjalnej tragedii, która nad nią wisiała.

Jak tylko dowie się, że Kormak szuka na nią haków, będzie świadoma potencjalnych konsekwencji. Trudno było spodziewać się, że dobrowolnie spasuje, ale może choć spuści z tonu i pójdzie na jakiś układ.

Gdyby udało się odpowiednio rozegrać to z prokuraturą, być może zeszliby do kary dwudziestu pięciu lat pozbawienia wolności. Warunkiem byłaby rezygnacja Joanny ze sprawy i przekazanie jej jakiemuś obrońcy z urzędu.

Tak, to z pewnością byłoby wykonalne. Tym bardziej, że Mateusz Zakierski szukał łatwego zwycięstwa. Był na początku swojej drogi zawodowej i w tej chwili liczyły się dla niego wyłącznie statystyki.

Być może powinni podać sobie ręce.

„Nie, ty skończyłeś" – rozbrzmiało Kordianowi w głowie. Może rzeczywiście skończył. Skończył się okłamywać, skończył myśleć, że zdoła ocalić świat, ratując jednego niewinnego człowieka. Należało stawić czoło prawdzie – harował przez długie lata, by dostać się do kancelarii takiej jak ta. Nie był najlepszy na roku, mimo że imprezował mniej niż przeciętny student prawa i więcej czasu spędzał w bibliotece. Przygotowywał się jednak długo i mozolnie do procesu rekrutacyjnego w Żelaznym & McVayu, a potem wypruwał sobie żyły przez długie miesiące w norzeoborze, by znaleźć się tu, gdzie był teraz.

Nie po to robił to wszystko, by kierować się osobistymi sympatiami w pracy. Dostał robotę i zamierzał ją wykonać.

Uderzył otwartą dłonią w blat biurka, a potem podniósł telefon. Wybrał numer Chyłki i dzwonił tak długo, aż w końcu odebrała.

– Czego chcesz? – rozległ się głos w słuchawce.

Stanowczy, ale w jakiś sposób uwodzący, jak zawsze. W pierwszej chwili Kordian zupełnie stracił rezon i pomyślał, że wystarczyło, by ją usłyszał, a cała jego konstrukcja zawaliła się jak domek z kart.

– Musimy się spotkać – powiedział.

– Wiem, pisałeś w SMS-ie.

– Jestem jeszcze w Skylight i…

– Nie mam teraz czasu.

Oryński usłyszał w tle gwar, który mógł pochodzić tylko z restauracji.

– Jutro – dodała Joanna.
– Gdzie?
– W Parku Skaryszewskim. Przy Stawie na Kosku.
– Gdzie konkretnie?
– Znajdziesz mnie. Będę tam o dwunastej.

Zanim zdążył powiedzieć, że w południe musi być w pracy, Joanna się rozłączyła. Rodziło to pewien problem, bo będzie miał jedynie kilka godzin, by przekonać Zakierskiego, że warto dogadać się jeszcze przed rozpoczęciem procesu.

Oryński odgiął się na krześle i założył ręce za głowę. Musiał przyznać, że przekonanie prokuratora może okazać się jego najmniejszym zmartwieniem. Nazajutrz czekała go konfrontacja z Chyłką. A doskonale wiedział, jak groźnym przeciwnikiem potrafi być.

21
ul. Argentyńska, Saska Kępa

Joanna obudziła się potwornie wstawiona. Sięgnęła po komórkę, ale trafiła tylko na swój stanik. Jakimś cudem wylądował na szafce nocnej. Jęknęła i podniosła się. Od razu zakręciło jej się w głowie tak, że spojrzawszy na zegarek, nie potrafiła odczytać godziny. Obraz jakby uciekał jej sprzed oczu.

Kołdra opadła, a ona uświadomiła sobie, że ma na sobie tylko majtki. Kaszlnęła, czując, że zeszłej nocy wtłoczyła w płuca tyle nikotyny, ile górnik pyłu przez całe życie. Zwlekła się z łóżka i po chwili dostrzegła, że na drugiej szafce nocnej leży zapisana kartka papieru.

Sięgnęła po nią i zaczęła sobie niejasno przypominać to, co zaszło w nocy.

Zaczęło się od spotkania w „Saskiej Gębie". Trudno powiedzieć, żeby była to niewinna kolacja. Zarówno ona, jak i Szczerbiński zdawali sobie sprawę z kierunku, w którym zmierza wieczór.

Przeczytała wiadomość od aspiranta.

„Nie wiem, jakie masz zasady regulujące spanie z kimś, ale ja trzymam się tej mówiącej, że trzeba wiedzieć, jak ta osoba ma na imię".

Chyłka wyjrzała przez okno i zawiesiła wzrok gdzieś w oddali. Myślała intensywnie.

Nie, nie miała pojęcia, jak ma na imię Szczerbiński.

„Jeśli też wyznajesz takie zasady, przypuszczam, że możesz mieć problem" – dopisał, a potem posadził koślawą emotikonę. Joanna uśmiechnęła się półgębkiem, a potem doczytała do końca. Pisał, że musiał wyjść do pracy z samego rana, ale ma nadzieję, że dzisiaj się zobaczą. Dodał też postscriptum, w którym chwalił artystyczny wystrój wnętrz w jej mieszkaniu, a szczególnie eksponat na szafce nocnej.

Chyłka sprzątnęła stanik i poszła do łazienki. Zatoczyła się przed progiem i zaklęła pod nosem. Musiała przed sobą przyznać, że czuła się nie najgorzej. Znaczyć mogło to tylko jedno – była jeszcze naprawdę pijana. Dawno nie obudziła się w takim stanie.

Rozwiązań nie było wiele. A biorąc pod uwagę, że za dwie godziny miała pojawić się w Parku Skaryszewskim, pozostawał jej tylko jeden ratunek. Pochyliła się nad ubikacją, a potem włożyła dwa palce do gardła.

Wymiotowała aż do momentu, gdy wyrzuciła z siebie cały alkohol. Potem umyła zęby i poszła pod prysznic.

Pół godziny później była w stanie pozwalającym na zjedzenie śniadania i wypicie porannej tequili. Tego ostatniego nie planowała, ale ostatecznie uznała, że przyda się na rozluźnienie.

Ubrała się, przejrzała w lustrze i uznała, że wygląda całkiem nieźle. Najlepszy przyjaciel z firmy Olay z pewnością miał tu swoje zasługi. Joanna przez moment zastanawiała się, czy nie zadzwonić do Szczerbińskiego, stwierdziła jednak, że z konsekwencjami minionej nocy zmierzy się później.

Popełniła błąd. Zapewne dlatego, że wyjątkowo szybko przekroczyła punkt bez powrotu. Nie powinna angażować się w jakąkolwiek relację z policjantem, mogło to prowadzić wyłącznie do problemów. Co innego Witold, Wiktor… w każdym razie facet przypadkowo poznany w VooDoo Club, co innego Szczerbiński, którego znała.

Klnąc pod nosem, przeszła do salonu. Z oddali zobaczyła, że ma nieodebrane połączenie na komórce. Nie zdążyła sprawdzić, kto dzwonił, bo rozległ się dzwonek do drzwi.

Joanna spojrzała na zegarek. Jedenasta.

Podeszła do drzwi i wyjrzała przez wizjer. Obawiała się, że zobaczy ojca – i nie pomyliła się.

Filip Obertał ponownie przycisnął dzwonek, a potem spojrzał wprost na nią.

– Wiem, że jesteś w domu – powiedział. – Dzwoniłem do ciebie przed chwilą i słyszałem dźwięk gitar z wewnątrz.

Uświadomiła sobie, że drzwi są otwarte. Nacisnęła klamkę i wpuściła ojca do środka. Nie odezwała się słowem.

Filip wszedł do mieszkania, a Joanna podeszła do telefonu. Sprawdziła połączenie, mając nadzieję, że oprócz nieodebranego od ojca jest tam jeszcze wiadomość od Oryńskiego, który chciałby przełożyć spotkanie. Niestety, niczego od niego nie było.

– Czuć tu gorzelnią – odezwał się Filip.

– Naprawdę od tego chcesz zacząć rozmowę?

Ojciec kilkakrotnie pociągnął nosem. Stał tuż za progiem, jakby nie zamierzał wchodzić dalej.

– Po prostu trudno to zignorować – powiedział.

– Kultywuję tradycje rodzinne.

Nie odpowiedział. I prawidłowo, uznała Chyłka, inaczej tylko by ją rozsierdził.

– Choć powinnam jeszcze dodać zapach opiatów, żeby wszystko było jak należy, prawda?

Zdawała sobie sprawę, że sama go prowokuje, ale było to niezależne od niej. Nawet gdyby miała mniejszy temperament, i tak zachowywałaby się w taki sposób. Siła przyzwyczajenia. Od wielu lat ich kontakty ograniczały się do wymiany zarzutów.

Ojciec skierował wzrok w stronę łazienki.

– Czuć też rzygowinami – powiedział.

– No. Mówię, brakuje tylko opiatów.

Zbliżył się do niej.

– Znowu to robisz? – zapytał.

– Co?

– Zaczynasz sama siebie niszczyć?

Kto jak kto, ale on nie miał żadnego prawa, by tak formułować pytania. Właściwie w ogóle stracił prawo do interesowania się jej życiem.

– Nie rób tego – dodał.

Chyłka zacisnęła usta.

– Wynoś się.

– Posłuchaj, Joanno…

– Wynoś się stąd. Natychmiast.

Nawet na niego nie popatrzyła. Nie musiała, by miał świadomość, że zaraz puszczą jej nerwy. Nieraz doświadczał jej wybuchów i od jakiegoś czasu wiedział, kiedy powinien się wycofać, by ich uniknąć.

– Przyszedłem tutaj, żeby…

– Nie obchodzi mnie to. Wyjdź z mojego mieszkania, już!

Podeszła do drzwi, otworzyła je, a potem wskazała mu drogę.

– Chciałem…

– Won!

Spuścił wzrok, mruknął coś niezrozumiałego, a potem wyszedł na korytarz. Joanna trzasnęła drzwiami i odetchnęła. Od czasu do czasu siostra starała się ją przekonać, że ojciec jest teraz innym człowiekiem. Dla Joanny nie miało to jednak żadnego znaczenia. Pewnych rzeczy po prostu się nie wybacza. Czy Hitlera by oszczędzono, gdyby nie zabił się w tamtym bunkrze i dzień po podpisaniu kapitulacji stał się dobrym człowiekiem? Nie, podobnie jak nie powinno się wybaczać ojcom, którzy z życia swoich córek zrobili holocaust.

Joanna wzdrygnęła się na tę myśl. Nie miała zamiaru wracać do tamtych czasów. Magdalena wiedziała raptem o połowie rzeczy, których dopuścił się ten człowiek. I Chyłka nigdy nie miała zamiaru mówić jej o pozostałych.

Ubrała się i wyszła z mieszkania. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zamówić kierowcy z Ubera. Uznała, że to nie najgorsze rozwiązanie, biorąc pod uwagę jej awersję do taksówek i autobusów.

W końcu jednak zrezygnowała z tej możliwości i uznała, że spacer dobrze jej zrobi. Z Argentyńskiej do Parku Skaryszewskiego miała niewiele ponad dwa kilometry. Za pół godziny będzie na miejscu, lekko spóźniona, ale nic nie szkodzi. Zordon poczeka.

Wypaliła po drodze trzy papierosy. Kiedy dotarła na miejsce, miała już w skrzynce SMS-a informującego, że Kordian jest na miejscu. Przysiadł na jednej z ławek przy stawie, od strony alei Zielenieckiej.

Chyłka podeszła od drugiej strony, wybrała sobie miejsce, a potem napisała mu, żeby przyszedł.

Widziała go już z oddali. Pierwszy raz od kilku miesięcy. Nadal szedł nieco niepewnym krokiem, ale było w nim coś, czego wcześniej nie dostrzegała. Być może większa determinacja. Marynarkę miał znacznie lepiej skrojoną i mocno taliowaną. Czarny krawat i biała koszula pasowały w sam raz do niebieskiego garnituru.

Wyglądał na człowieka sukcesu, ale niczego innego się nie spodziewała. Kiedy zostawiała go w kancelarii Żelazny & McVay, była świadoma tego, że przedłożył karierę nad moralność.

A może nie? Może nie chodziło o karierę, a o zasady etyki adwokackiej, które na tym etapie nadal były dla niego istotne? Ona przymknęła na nie oko. Uznała, że ogólnie pojmowana przyzwoitość jest ważniejsza. I skończyła dokładnie tak, jak kończył ten, kto uwierzył w taką mrzonkę.

Kordian podszedł do ławki. Spojrzeli na siebie, a potem usiadł obok. Rozpiął guzik marynarki i wbił wzrok przed siebie. Nie odzywali się przez kilka chwil. Joanna przypuszczała, że cisza jest dla niego niewygodna. Dla niej nie. Była przyzwyczajona do tego, że ludzie odnosili się do niej z rezerwą, a nawet bali odezwać.

– Jesteś blada – zauważył.

Chyłka spojrzała na niego z powątpiewaniem.

– Naprawdę? Nie widzieliśmy się tyle miesięcy, a ty chcesz od tego zacząć?

– Tak mi się nasunęło…

– A mnie się nasuwa, że to spotkanie skończy się, zanim na dobre się zacznie.

– Już się zaczęło.

Joanna wstała.

– Właśnie o tym mówię – powiedziała.

– Poczekaj…

– Spokojnie, Zordon – przerwała mu w porę i wyciągnęła paczkę marlboro z kieszeni jeansów. – Mój obecny ubiór nie jest tak pojemny, jak prawniczy uniform.

Aplikant mimowolnie otaksował ją wzrokiem. Chyłka z powrotem usiadła i zapaliła.

– Dziwnie cię widzieć tak ubraną.

– A ciebie dziwnie widzieć w ogóle – odparła. – Czego chcesz?

Wypuściła dym w przeciwnym kierunku i założyła nogę na nogę.

– Twój ojciec u mnie był.

– Co takiego?

– Nawet nie wiedziałem, że masz ojca – powiedział Oryński. – Myślałem, że jesteś wynikiem działania sił nieczystych, które…

– Przestań się denerwować.
– Słucham?
– Jak się denerwujesz, mówisz głupie żarty. Daj sobie spokój.
– Nie denerwuję się, tylko…
– Czego chciał mój ojciec?
Kordian nabrał tchu, po czym spojrzał tęsknie na papierosa, którego trzymała między palcami. Założył rękę za oparcie ławki i uniósł wzrok na korony drzew po drugiej stronie stawu.
– Był przekonany, że jestem kimś bliskim – odezwał się.
– Nic dziwnego. Zawsze miał lekko poprzestawiane w głowie.
– I twierdził, że źle z tobą. Ale do ustalenia tego nie potrzebowałem jego opinii.
– Domyślam się.
Obrócił się do niej i ściągnął brwi.
– Co masz na myśli? – zapytał.
– Że szpiegujesz mnie nieustannie.
– W żadnym wypadku.
– Może nie bezpośrednio, ale wypytujesz Kormaka o wszystko, co chudzielec jest skłonny ci przekazać. I nie zaprzeczaj, bo zgaszę tego papierosa na twojej nikotynowo wygłodniałej, zakłamanej twarzy.
Oryński otworzył usta, ale się nie odezwał.
– Prawidłowo – pochwaliła go Chyłka. – I co powiedziałeś mojemu ojcu?
– Żeby poszedł do Jaskini McCarthyńskiej, bo ja nie jestem w stanie mu pomóc.
– „Nie mogę mu pomóc”.
– Co? Co za różnica?
– Taka, że tak jest poprawniej.
Kordian założył drugą rękę za oparcie.
– I będziesz grał luzaka? – zapytała.
– Nie. Po prostu sobie siedzę.
– Udajesz zrelaksowanego, a cały czas się kręcisz. Denerwujesz się.
Przechylił głowę na bok, jakby nie dowierzał.
– Nie wiem, czy poszedł do Kormaka – ciągnął. – Ale jeśli tak, to szczypior z pewnością będzie się z tobą kontaktował.

– Robi to tak czy owak – odparła. – Uczepił się jak rzep psiego ogona. Tak jak ty, tylko ciebie udało mi się pozbyć.

– Odcinając sobie ogon, jeśli już trzymamy się tej metafory.

– Goń się, Zordon.

Uśmiechnął się półgębkiem, a potem sięgnął za pazuchę marynarki. Wyjął elektronicznego papierosa i pociągnął kilkakrotnie. Poczekał, aż Chyłka dopali marlboro, a potem schował go z powrotem do kieszeni. Milczeli jeszcze przez moment.

– Dowiem się w końcu, czego ode mnie chcesz? – zapytała.

– Masz problem.

– Użyj liczby mnogiej, to nie miniesz się z prawdą. Co to ma do rzeczy?

– Chciałem dać ci szansę, żeby…

– Ty mi dajesz szansę? – zapytała i zaśmiała się pod nosem. – Chyba sobie, kurwa, jaja robisz.

– Nie – powiedział, jakby go to nie uraziło. – Udało mi się dogadać z Zakierskim.

Joanna musiała przetrawić tę pozornie niezbyt znaczącą informację. Kiedy to zrobiła, nawet w zamroczonym alkoholem umyśle zapaliła się lampka ostrzegawcza. Wszelkie rozmowy prokuratury z kancelarią Żelazny & McVay były co najmniej podejrzane. Wprawdzie nikt nie bronił im się kontaktować – i poniekąd było to zrozumiałe, skoro firma reprezentowała Salusa – ale Chyłka dobrze wiedziała, jak to wygląda. Deklaracja, którą właśnie usłyszała od Zordona, stanowiła ostrzeżenie.

– Tak? – bąknęła. – I jak się z nim dogadałeś?

– Dwadzieścia pięć lat, jeśli zmieni obrońcę.

– Co takiego?

– Słyszałaś. Taki jest jedyny warunek. I dla twojego klienta to niemal jak wygrana w lotto.

– Co ty pieprzysz, Zordon?

– Przekazuję tylko to, co…

– Dlaczego Zakierski miałby się na to zgadzać?

Prawnik wzruszył ramionami i znów sięgnął po e-papierosa. Zbyt mało czasu minęło, od kiedy go schował, by ten gest Joanna mogła uznać za nieznaczący.

– W co wyście się władowali? – zapytała.

– W nic. Bronimy Salusa, dobrze o tym wiesz.

– Tak. Ale zdaję sobie sprawę, że jest jeszcze więcej rzeczy, których nie wiem.

– Przesadzasz.

Chyłka prychnęła, patrząc na mijającą ich kobietę z dzieckiem. Widok przywodził na myśl Angelikę Szlezyngier i jej córkę. Tak to już było w tej robocie, że skojarzenia w prywatnym życiu budowały się na kanwie zawodowego. Zresztą może granica między jednym a drugim właściwie nie istniała. Po zakończeniu tej sprawy Joanna pomyśli o Bukano za każdym razem, gdy zobaczy Cygana. A przy okazji będzie przypominać jej się cały ten syf, w który się władowała.

– To nie ma żadnego sensu – powiedziała. – I dobrze o tym wiesz. Zakierski może spokojnie grać na dożywocie.

– Cieszę się, że tak to widzisz.

– Nie strzelaj mi tu formułkami ze szkolenia w umiejętnościach miękkich.

Nie odezwał się, za co zapisała na jego koncie niewielki plus. Byłoby ponad jej siły, gdyby upierał się, że tego nie robił.

– To co najmniej podejrzane. I ty też to widzisz.

– Nie.

– W dodatku nie podszkoliłeś się w kłamstwie.

Kordian mruknął coś pod nosem, a potem zaciągnął się elektronicznym papierosem. Joanna spojrzała na urządzenie z odrazą. Próbowała korzystać z tego rzekomego dobrodziejstwa jeszcze przed pamiętnym wyjazdem na Mazury, ale po tamtych trudach pozostała jedynie trauma. Postanowiła, że nigdy więcej nie będzie sięgać po takie półśrodki. Współgrało to zresztą z jej ogólnym światopoglądem.

Zerwał się wiatr i Chyłka potarła ramiona. Oryński zmienił pozycję i skrzyżował ręce na piersi. Między nimi było tyle wolnego miejsca, że spokojnie wcisnęłyby się dwie chude osoby.

– Nie jest tak, jak myślisz – odezwał się.

– Hm?

– Fakt, że Zakierski chce cię odsunąć, nie jest podejrzany.

– O nie, wcale. Ani trochę.

Kordian popatrzył na nią, jakby miał złą informację do przekazania. Pochylił nieco głowę i odchrząknął.

– Dojdziesz do takiego samego wniosku, jak tylko weźmiesz pod uwagę okoliczności.

– Ta? A jakie to okoliczności?

– Takie, że ten facet stoi u progu wielkiej kariery i szuka sposobu, by stać się grubą rybą już na samym początku.

– I to ma wszystko tłumaczyć?

– Tak – odparł Oryński.

Widziała, że nie chce kontynuować i liczy na to, że Chyłka sama dojdzie do tego, o co się rozchodzi. Po prawdzie jednak Joanna nie bardzo wiedziała, gdzie skierować myśli.

– Zakierskiemu nie zależy na tym, by wygrać z upadłą prawniczką.

– Co takiego?

– Może to niezbyt fortunne określenie, ale…

– Twierdzisz, że chce mnie odsunąć, żeby dostać godniejszego przeciwnika?

Miała ochotę wstać, strzelić go po pysku, a potem odejść wolnym krokiem w kierunku Saskiej Kępy. Ze wszystkich prawników, akurat Zordon nie powinien formułować takich osądów. Nie po tym, czego go nauczyła. Nie po tym, co mu pokazała. Właściwie wprowadziła jego karierę na odpowiednie tory – gdyby nie ona, trafiłby od razu pod skrzydła kogoś pokroju Buchelta i został miałkim kauzyperdą, który wprawdzie zarabia dużo, ale nie zapisze się w historii warszawskiej palestry.

Chciała powiedzieć mu to wszystko, ale nie odezwała się.

– Wybacz tę szczerość – powiedział za to Kordian.

– Jedyne, co muszę ci wybaczać, to przebrzydłą zdradliwość – odparła, podnosząc się. – A teraz ty mi wybacz, ale mam dosyć.

– Chyłka… – zaczął i również wstał.

Prawniczka ruszyła w stronę drugiego ze stawów. Nie miała zamiaru rzucać nawet słowa pożegnania. Wiedziała, że jeśli ta rozmowa potrwa jeszcze chwilę, eksploduje. Powie więcej, niż zamierza, a potem będzie żałować, widząc minę zbitego psa. Znała Zordona zbyt dobrze, by łudzić się, że będzie inaczej. I zbyt dobrze znała również siebie.

– Poczekaj chwilę…

Obejrzała się przez ramię.

– Odejdź, Zordon. Póki jeszcze możesz to zrobić o własnych siłach.

Wciąż za nią szedł, przyspieszając nieco kroku.

– Z tej sprawy nie będzie nic dobrego – powiedział. – A Bukano dostanie dożywocie. Nie myślisz chyba, że zdołasz cokolwiek ugrać?

– Ugram tyle, ile się da.

Zatrzymał się i zaklął cicho.

– To będzie twoja ostatnia sprawa – krzyknął za nią. – Naprawdę chcesz, żeby była przegrana?

Joanna go zignorowała. Przeszła przez park, nie oglądając się za siebie. Wmawiała sobie, że Zordon nie ma racji. To nie jest przegrana sprawa, a już z pewnością nie jej ostatnia. Nawet jeśli Bukano zostanie skazany, wciąż będzie mogła…

Nie, nie było sensu się okłamywać. Jej kariera się skończyła. Rezultat nadchodzącego sądowego boju nie mógł tego zmienić.

22
ul. Argentyńska, Saska Kępa

Chyłka usiadła z laptopem na tarasie. Właściwie nie była pewna, czy można było go tak nazwać. Kiedy agent nieruchomości nagabywał ją na mieszkanie, twierdził, że to „ogród dachowy". Joannie trudno było się z tym zgodzić, ale ostatecznie taras również nie bardzo pasował. Zwał jak zwał, stwierdziła wtedy i lekką ręką nabyła apartament o wartości dwóch podwarszawskich domów.

Teraz z miesiąca na miesiąc kredyt zdawał się coraz bardziej problematyczny.

Ale nie tak problematyczny, jak sprawa Bukano. Chyłka wywołała wpis Salusa w KRS-ie. Powinna zrobić to dawno, bowiem stanowiło to preludium do głębszego poznania firmy. Tymczasem jednak tequila zrobiła swoje i prawniczka zajęła się wszystkim innym, tylko nie ubezpieczycielem, który tuż po śmierci Patrycji i Aiszy odmówił wypłaty odszkodowania.

Coś było na rzeczy. Należało to sprawdzić, zanim weźmie się za Zakierskiego. Powiązania były aż nadto widoczne – a światło na nie rzucił Zordon, ujawniając, że są w stałym kontakcie z prokuratorem. Pewnie zaprosili go do restauracji na najwyższym piętrze Skylight, chcieli zrobić na nim wrażenie tamtejszymi cenami. Przypuszczała, że się nie udało – Mateusz Zakierski nie wyglądał na człowieka, na którym menu mogłoby zrobić wrażenie.

Chyłka zapaliła papierosa, wpisała nazwę towarzystwa ubezpieczeniowego na stronie ministerstwa sprawiedliwości, a potem kliknęła w szczegóły. Podstawowy dostęp do KRS-u nie oferował zbyt wielu informacji, ale zawsze to jakiś początek.

Kiedy przewinęła na dół strony i zobaczyła, kto jest upoważniony do składania oświadczeń woli w imieniu Salusa, zupełnie zdębiała.

Nie, to musiał być błąd.

Przechyliła pustą szklankę, nie odnotowując, że zabrakło tequili. Trwała przez moment w bezruchu, a papieros powoli wypalał się między jej palcami. W końcu potrząsnęła głową. Odświeżyła stronę, jakby mogło to spowodować, że w tabelce pojawi się coś innego. System poprosił o ponowne wpisanie kodu. Pomyliła się, a potem zaklęła w duchu i zaciągnęła się głęboko marlboro.

Wstała i poszła do kuchni. Napełniwszy szklankę samą tequilą, sięgnęła po telefon i wybrała numer Zordona.

Odebrał po trzecim sygnale.

– Czułem, że się…

– Zamknij się – powiedziała. – Ty nikczemna, podła, zakłamana, szubrawa gnido.

– Ale…

– Słowem się nie zająknąłeś, że ten sukinsyn jest prokurentem!

– Bo…

– To nie żadna pierdolona tajemnica! – krzyknęła.

Nie odpowiedział, a ona zamilkła. Nie było sensu drzeć się do słuchawki. Owszem, powinien powiedzieć jej o Langerze, pod względem prawnym nic nie stało temu na przeszkodzie. Ale Oryński musiał doskonale zdawać sobie z tego sprawę.

– Jesteś tam? – zapytał.

– Tak.

– Posłuchaj, Chyłka, ja naprawdę…

Rozłączyła się, żałując, że w ogóle wybrała jego numer. Pieprzony Zordon i pieprzone emocje. Miała ich w nadmiarze, od kiedy spotkali się w Parku Skaryszewskim. Nie sądziła, że poczuje cokolwiek, ale kiedy tylko go zobaczyła, coś w niej drgnęło.

Pociągnęła duży łyk i przemknęło jej przez głowę, że niebawem zbliży się do punktu bez powrotu. Tyle że właściwie nie było to niepokojące. Stanowiło raczej normę. Widmo PNR wisiało nad nią, od kiedy tylko wróciła do mieszkania i odkręciła butelkę.

Dolała jeszcze trochę, by nie chodzić w tę i we w tę, a potem wróciła do ogródka dachowego. Usiadła przed laptopem i bezmyślnie wbiła wzrok w monitor.

Słyszała, że Ironsi odgrywają refren z *Afraid To Shoot Strangers*, ale nie miała zamiaru podchodzić do telefonu. Kordian będzie

utrzymywał, że przecież musiała wiedzieć, kto reprezentuje Salusa. Ona na niego nawrzeszczy, wytykając mu, że pracuje na rzecz wyjątkowego zwyrodnialca, który prowadzi mafijne interesy.

Zaciągnęła się tak mocno, że poczuła ciepło przy opuszkach palców.

Oryński doskonale zdawał sobie z tego wszystkiego sprawę. W dodatku z całą pewnością był świadomy, że obecność Langera to nie przypadek. Ten człowiek nie pojawiał się bez powodu. Jeśli był akcjonariuszem Salusa, a w dodatku prokurentem, musiał mieć w tym interes znacznie większy niż tylko ekonomiczny.

Chyłka pokręciła głową. Jedna linijka wpisu w Krajowym Rejestrze Sądowym wystarczyła, by zyskała pewność, że w całej sprawie jest drugie dno.

Minęło wiele czasu od sprawy Piotra. I wystarczająco dużo, od kiedy odeszła z kancelarii. Zemsta jest daniem, które najlepiej smakuje na zimno. A tym przypadku dawno zdążyło wystygnąć.

Joanna z impetem zdusiła papierosa w popielniczce. Telefon znów zadzwonił.

Przez moment się zastanawiała, ale ostatecznie uznała, że nie będzie nawet sprawdzać, kto próbuje się z nią skontaktować. Jeśli to rzeczywiście Zordon, mógł tarabanić do woli. Jeśli ktoś inny, zadzwoni jeszcze raz, jeśli mu zależy.

Po chwili usłyszała dźwięk przychodzącej wiadomości. Zaklęła i poszła po komórkę. Włączyła wyświetlacz i zobaczyła, że ma dwa nieodebrane połączenia. Oba od tego samego, nieznanego numeru.

SMS był krótki, ale treściwy. „Mam informacje w sprawie Cygana”.

Chyłka przez moment wpatrywała się bezmyślnie w tekst na ekranie. Potem potrząsnęła głową i wybrała numer. Każdy sygnał zdawał się przeciągać w nieskończoność. W końcu po drugiej stronie rozległo się ciche kliknięcie i w słuchawce zaległa cisza.

– Halo? – zapytała Joanna.

Odpowiedział jej mechaniczny, beznamiętny głos, niewątpliwie należący do standardowego syntetyzatora mowy.

Rozdział 2

1
Pacific Office Building, ul. Domaniewska

Kordian powiódł wzrokiem po przeszklonej fasadzie siedziby Salusa. Mimo że budynek sam w sobie sprawiał raczej skromne wrażenie, jako element otoczenia stanowił świadectwo biznesowego charakteru Mokotowa. Otaczały go liczne podobne biurowce, wszystkie wzniesione tak szybko, że nie chciało się w to wierzyć – i wszystkie na nowoczesną, przeszkloną modłę.

Założenie architektoniczne było proste – im więcej okien, tym większe poczucie wolnej przestrzeni. Niezliczeni korporacyjni pracownicy byli zamykani w niewielkich klitkach, architekt jednak zrobił wszystko, by natychmiast o tym zapomnieli.

Oryński cieszył się, że pracuje w centrum. Wprawdzie Pałac Kultury i Nauki stanowił wątpliwą ozdobę okolicy, ale wokół placu Defilad nadal było trochę prawdziwej przestrzeni, nie tej wyimaginowanej.

– Kawalerze? – odezwał się Lew Buchelt.

Kordian oderwał wzrok od biurowca i popatrzył na patrona.

– Zamyśliłem się – powiedział.

– Nad czym?

– Nad Mordorem – odparł aplikant i rozłożył ręce.

Stary adwokat zmarszczył czoło, uwydatniając zmarszczki na nosie.

– Dlaczego tak nazywacie to miejsce?

– Nie czytał pan Tolkiena?

– Nie. Nie gustuję w tych dzisiejszych wampirach.

Oryński w porę ugryzł się w język. Zbył uwagę milczeniem, ale kosztowało go to sporo wysiłku. Na pobliskim skrzyżowaniu robił się już korek do świateł, najwyraźniej nadciągała kolejna poranna fala adeptów biznesu, prawa i wszystkiego, co w dalekiej przyszłości obiecywało godne zarobki. Aplikant rozejrzał się i uznał, że kolejni kierowcy nie mają czego tu szukać, wszystkie parkingi zdawały się wypchane po brzegi. Po chodnikach pospiesznie przemykali poubierani jak na wybieg młodzi ludzie ze słuchawkami w uszach i kubkami latte w rękach. Kordianowi przemknęło przez myśl, że Chyłka czułaby się tu jak ryba w wodzie… o ile oczywiście przymknęłaby oko na coraz bardziej hipsterski charakter Domaniewskiej.

Od spotkania w Parku Skaryszewskim minęło sporo czasu. Oryński był przekonany, że nie będzie już wracał myślami do prawniczki, jednak łapał się na tym coraz częściej. Zastanawiał się, jaki plan uknuła, co zamierzała zrobić w sprawie Langera i czy rzeczywiście wierzyła w to, że może odnieść sukces.

Raz czy dwa miał zamiar zadzwonić, ale ostatecznie rezygnował. Nie był przecież masochistą.

– Jesteś gotowy? – zapytał Lew.

– Oczywiście.

– Pamiętasz wszystko?

– Tak jest, panie mecenasie.

– Nie potrzebujesz powtórki?

– Nie.

Oryński odniósł wrażenie, że patron stresuje się bardziej niż on. Mieli spotkać się z członkami zarządu Salusa – ludźmi, którzy od dwóch lat prowadzili firmę i robili to na tyle dobrze, że niedawno otrzymali wotum zaufania na walnym zgromadzeniu akcjonariuszy. Byli jednymi z najlepszych przedsiębiorców w Warszawie, nikt w to nie wątpił.

Spotkanie z nimi należało traktować jako wyróżnienie, zwłaszcza gdy sami je proponowali. Tak było w tym przypadku i Kordian sądził, że podyktowane jest to chęcią poznania młodego prawnika, który prędzej czy później może zastąpić Buchelta.

Lew był wyraźnie stremowany. Jeśli w kancelaryjnych plotkach tkwiło ziarno prawdy, to należało przyjąć, że ludzie z Salusa należą do… delikatnych klientów. Niewiele było trzeba, by zwrócili się do innej firmy, a Buchelt musiał zdawać sobie sprawę, że od tego, jak wypadnie Kordian, zależy ewentualna kontynuacja współpracy.

– Zatem chodźmy – odezwał się adwokat i odchrząknął kilkakrotnie.

Ruszyli do budynku, a potem wjechali na jedno z wyższych pięter. Powitały ich dwie miłe recepcjonistki, które bardziej nadawałyby się na konkurs bikini niż do pracy biurowej. Oryński uśmiechnął się do nich serdecznie.

– Proszę poczekać w sali konferencyjnej numer jeden – odezwała się jedna z nich, wskazując kierunek.

Prawnicy z kancelarii Żelazny & McVay zasiedli przy szerokim stole i spojrzeli po sobie. Byli o czasie i spodziewali się, że choć jeden z członków zarządu będzie już na nich czekał. Najwyraźniej jednak nikomu się tutaj nie spieszyło.

– Tam, gdzie pieniądze płyną wartkim strumieniem, czas płynie wolniej – odezwał się Buchelt, rozpinając marynarkę.

– Tak głosi stare ludowe porzekadło.

– Słucham?

Kordian zbył temat machnięciem ręki, a potem podniósł się i podszedł do okna… czy też do przeszklonej ściany, wypadałoby powiedzieć. Potoczył wzrokiem po Domaniewskiej. Ulica powoli się wyludniała, wszyscy zamykali się w biurach na kilka kolejnych godzin. Potem zrobią sobie przerwę na lunch, a następnie powtórzą dobrowolne ograniczanie własnej wolności.

Oryński nie mógł nie pomyśleć o tym, że w każdy inny dzień tygodnia ktoś może stać na tarasie widokowym Pałacu Kultury, patrzeć na Skylight po drugiej stronie ulicy i myśleć to samo o nim.

Ale on przynajmniej…

Nie, niczym nie różnił się od tych wszystkich, którzy wypruwali sobie żyły w Mordorze. Podobnie jak oni był gotów siedzieć w pracy nawet do dwudziestej pierwszej, mając w świadomości wszystkie te potencjalne profity, które dzięki temu osiągnie.

Życie od urlopu do urlopu. Tym to było. Tyle że kiedy już przychodził czas dwutygodniowego wytchnienia, nikt w kancelarii Żelazny & McVay nie miał siły, by lecieć na Dominikanę. Zazwyczaj wybierało się kilkudniowy pobyt w Kazimierzu, byleby tylko popić trochę w nowym otoczeniu. Co bardziej zdeterminowani lecieli do Barcelony na tydzień. I równie dobrze mogliby to zrobić, pracując dziennie o kilka godzin mniej.

Oryński urwał rozważania, gdy szklane drzwi się otworzyły i do sali weszło dwóch mężczyzn i kobieta. Wszyscy byli w podobnym wieku, musieli mieć na karku już dobre pół wieku. A na koncie bieżącym w banku zapewne pół miliona. O oszczędnościowym Kordian wolał nie myśleć.

Przywitali się z prawnikami i usiedli po drugiej stronie stołu. Żadne z nich nawet zdawkowo się nie uśmiechnęło.

– Dziękujemy za zaproszenie – odezwał się Lew. – Wiemy, jak cenny jest państwa czas.

Kordian miał ochotę się skrzywić, słysząc taką spolegliwość. W porę się jednak powściągnął i zamiast tego przybrał poprawny uśmiech.

Na moment zaległa cisza.

– I oczywiście mamy dla państwa pełny raport w sprawie Roberta Horwata – dodał Buchelt.

Wszystko zostało ustalone wcześniej, więc nie musiał nawet spojrzeć na Oryńskiego, by ten natychmiast sięgnął do torby. Wyjął z niej trzy cienkie, czarne teczki, a potem położył je na stole. Członkowie zarządu przysunęli je do siebie i otworzyli.

Aplikant dał im moment na zapoznanie się z materiałami i skorzystał z okazji, by się im przyjrzeć. Kobieta nie miała ani jednej zmarszczki, a jej włosy były jedwabiste jak u nastolatki. Jeden z mężczyzn chyba usilnie pracował na to, by stać się klonem Donalda Trumpa. Drugi miał grubo ciosane rysy twarzy, kwadratową szczękę, wyraźne cienie pod oczami i mocne spojrzenie. Przywodził na myśl kryminalistę.

– Sprawa idzie w dobrym kierunku? – zapytała kobieta.

Oryński otrzymał sygnał, by przedstawić klientom wszelkie ustalenia.

– Tak – zapewnił. – Proces rozpocznie się lada dzień i prokuratura jest przekonana, że otrzyma wyrok skazujący. Kwestią otwartą pozostaje wymiar kary, który waha się od dwudziestu pięciu lat pozbawienia wolności do…

– Nie mamy całego dnia – odezwał się Kryminalista.

– Daj mu skończyć – upomniał go Trump.

Obaj podnieśli wzrok znad wydruków. Pierwszy z mężczyzn nie miał zamiaru tak łatwo odpuścić, więc Kordian uznał, że najroztropniej będzie chwilę odczekać.

– Wymiar kary nie ma dla nas znaczenia – oświadczył Kryminalista. – Liczy się tylko to, by ten człowiek został skazany.

Oryński przygryzł górną wargę, ale szybko się zmitygował i przestał to robić. Ci ludzie byli wyczuleni na takie rzeczy – podobnie jak on był wyczulony na wszelkie przejawy tego, że w sprawie chodzi o coś osobistego.

Sposób, w jaki mówił jeden z mężczyzn, kazał sądzić, że tak jest.

– Sądziłem, że nie zależy państwu na samym skazaniu, a niewypłaceniu polisy – odezwał się.

Buchelt kaszlnął nerwowo, zasłaniając ręką usta.

– Jedno wiąże się z drugim – odparła kobieta.

– Ale masz rację, chłopcze, właśnie o to chodzi – dodał Trump.

Kryminalista uniósł bezradnie wzrok.

– Nie tylko o to – powiedział. – Liczy się też to, jak cała sprawa będzie wyglądać. Jeśli ten człowiek zostanie bez cienia wątpliwości uznany za przestępcę, zostaniemy zwolnieni z obowiązku wypłaty nie tylko prawnie, ale także moralnie.

Pozostałych dwoje westchnęło jak na sygnał.

– Mniejsza ze względami moralnymi – odezwał się Trump i spojrzał na Kordiana. – A teraz proszę, przedstaw nam resztę rzeczy, o których chciałeś powiedzieć.

Oryński powiódł po nich wzrokiem, zastanawiając się, czy dobrze odczytał ich reakcje. Robili wszystko, by sprawiać spokojne, niemal obojętne wrażenie. Tymczasem na pierwszy rzut oka widać było, że buzują w nich emocje.

– Oczywiście – powiedział urzędowo Kordian. – Prokurator zapewnił mnie, że nie pojawił się żaden nowy materiał dowodowy

ani świadek w sprawie. Dzięki temu możemy być pewni, że proces długo nie potrwa, a już na pierwszej rozprawie będziemy wiedzieć wszystko, czego potrzebujemy. Nie ma wielu biegłych, których należałoby przesłuchać, ani żadnych osób, które mogłyby poświadczyć na okoliczność zabójstwa. Cały materiał dowodowy sprowadza się do badań DNA i zeznań pewnego Cygana, który potwierdzi, że między Horwatem a jego żoną doszło do kłótni.

– Koro – podsunął Kryminalista.

– Owszem – przyznał aplikant i skorzystał z okazji, by zaczerpnąć tchu. – Sprawa jest więc nad wyraz prosta, jakkolwiek nie należy spodziewać się, że cała procedura będzie trwała tak krótko, jak proces. By sąd cywilny uznał postanowienia sądu karnego w sprawie wypłaty polisy, wyrok musi się uprawomocnić. Jesteśmy przekonani, że Joanna Chyłka będzie się odwoływać, a niestety trudno powiedzieć, ile czasu sprawa zajmie w apelacji.

Recytował to bezmyślnie. Nie mógł opędzić się od konkluzji, że coś jest tu bardzo w nie porządku.

– Co z tą prawniczką? – zapytał Trump. – Miała zostać odsunięta.

– Niestety nie udało się tego osiągnąć – włączył się Lew.

– Zależało nam na tym – zauważyła kobieta.

Oryński wciąż nie rozumiał dlaczego. Nagle dotarło do niego, że jeden z członków zarządu znał imię Roma, który miał zeznawać na okoliczność kłótni małżeńskich. Było to cokolwiek dziwne, bo w mediach o tym nie wspominano. Z drugiej strony tym ludziom płacono niemałe pieniądze, by trzymali rękę na pulsie.

Oryński miał wrażenie, że nad tą sprawą zbierają się ciemne chmury. Położył dłonie na stole i splótł palce.

– Joanna Chyłka nie stanowi problemu – powiedział.

Członkowie zarządu popatrzyli na siebie, jakby nie byli przekonani.

– Słyszeliśmy co innego – odezwał się Trump. – Miała wyjątkowo dobrą renomę. Przez jakiś czas mówiono nawet, że nie przegrała nigdy żadnej sprawy. Fenomen.

– Fenomen, który się skończył – wtrącił Lew Buchelt.

Reszta zamilkła, czekając, aż adwokat pociągnie temat, ale ten najwyraźniej powiedział wszystko, co miał do przekazania.

– Jest na równi pochyłej – dodał Kordian. – Cudem będzie, jeśli uda jej się wygłosić składną mowę końcową.

– Bierze coś? – zapytała kobieta.

– Z tego, co wiem, nie.

– Pije – wyjaśnił Buchelt. – Choć w tym przypadku to chyba niedopowiedzenie. Prawda, kawalerze?

Oryńskiemu zrobiło się co najmniej głupio, mimo to pokiwał głową.

– Tak – powiedział. – Znajduje się w takim stanie, który właściwie wyklucza rzetelną obronę klienta.

– A mimo to mówiono nam, że należy ją odsunąć – zauważył Kryminalista.

Kordian nie miał wątpliwości co do osoby, która na to naciskała. Nadal jednak nie rozumiał motywacji Langera. Podobnie podejrzane były te przyświecające Zakierskiemu, który gotów był zejść do pułapu dwudziestu pięciu lat pozbawienia wolności, byleby Chyłka przekazała sprawę komuś innemu.

Nikt już jej się nie obawiał. Przestała budzić postrach, gdy opuściła mury Skylight, a potem tylko utwierdzała warszawski świat prawniczy w tym, że najlepsze lata ma już za sobą. Langer i Zakierski powinni zacierać ręce, a mimo to było zupełnie odwrotnie.

W pomieszczeniu zapadła niezręczna cisza. W końcu Lew chrząknął.

– Proszę nam zaufać – odezwał się. – Ta osoba nie stanowi żadnego problemu.

– Cóż… – zaczęła kobieta. – Ostatecznie to na waszych barkach spoczywa odpowiedzialność.

– Otóż to – potwierdził adwokat.

– I to wy odpowiecie, jeśli coś pójdzie nie tak.

– Zapewniam, że wszystko idzie w jak najlepszym kierunku.

Po tym zapewnieniu członkowie zarządu uznali spotkanie za zakończone. Zaoferowali jeszcze prawnikom wypicie kawy w lobby, a potem przeprosili i oznajmili, że czas ich, niestety, nagli.

Kordian nie słuchał tych standardowych formułek. Nie słyszał także, że Buchelt chętnie przystał na propozycję wypicia kawy. Poszedł za nim, wodząc wzrokiem po korytarzu. Poczucie, że coś jest

nie w porządku, nie dawało mu spokoju. Nie mógł jednak poskładać wszystkich rozrzuconych elementów w logiczną całość.

Usiedli w szerokich fotelach, a recepcjonistka podała im kawę. Lew podziękował, Oryński skinął tylko głową, patrząc pustym wzrokiem w głąb korytarza.

– Coś nie tak? – odezwał się Buchelt.

– Sam nie wiem…

– Słucham?

Chłopak uświadomił sobie, że było to pytanie retoryczne, na które istniała tylko jedna dobra odpowiedź. Napił się kawy i oblizał usta. Całkiem niezła, jak na korporacyjną lurę z automatu. Przy gabinetach mieli pewnie dobre, drogie ekspresy, ale tutaj wystarczała kawa w plastikowych kubkach.

– Zastanawiam się tylko… – zaczął Kordian.

– Nad czym?

Przede wszystkim nad tym, czy mógł swobodnie porozmawiać z patronem. Jeśli jego zachowanie mogło świadczyć na korzyść jakiejś odpowiedzi, to nie. Z drugiej strony Borsuk zawsze sprawiał takie samo wrażenie.

– Dlaczego Piotrowi Langerowi tak zależy na odsunięciu Chyłki? – zapytał aplikant.

– A skąd pewność, że to właśnie jemu zależy?

Oryński popatrzył na rozmówcę z powątpiewaniem. Ten jednak wyglądał, jakby rzeczywiście chciał się dowiedzieć.

– To on jest inicjatorem – zapewnił go Kordian.

– Nie widzę powodu, dla którego tak miałoby być. Joanna broniła go z powodzeniem. Nie mają żadnej zadry z przeszłości.

Lew nie miał bladego pojęcia o sprawie, podobnie jak wszyscy inni pracownicy kancelarii Żelazny & McVay. Jedynymi wyjątkami byli imienni partnerzy i Kormak. Oryński pociągnął łyk letniego napoju.

– Mniejsza z tym – powiedział.

Przez chwilę się nie odzywali. Kordian pił szybko, by mieć już tę rozmowę z głowy.

– Więc to jego udział cię trapi? – zapytał po chwili patron.

– Tak.

– Dlaczego?

– Bo Langer nie robi niczego ot tak.

– Co masz na myśli?

– To, że zawsze ma jakiś ukryty motyw.

Aplikant opróżnił swój kubek, ale gdy spojrzał przed siebie, przekonał się, że Buchelt ledwo zamoczył usta. Tempo picia miał najwyraźniej takie, jak tempo wszystkiego innego.

– Zdaje się, że dobrze go znasz – zauważył.

– Zbyt dobrze – odparł.

Borsuk mruknął pod nosem coś niezrozumiałego, ale zanim Oryński zdążył poprosić, by patron powtórzył, uświadomił sobie, że to kolejne chrząknięcie. Trudno było powiedzieć, czy wynikało z przeziębienia, czy dezaprobaty.

– Nie rozumiem – burknął Lew.

A jednak z tej drugiej przyczyny, uznał Kordian.

– Piotr Langer to szanowany biznesmen.

– Z pewnością.

– Sam fakt, że osobiście angażuje się w sprawę, świadczy tylko o tym, że nie jest jednym z tych biernych akcjonariuszy wyłącznie liczących zyski.

Langer i bierność to jak antonimy, pomyślał Oryński, ale pozostawił to przemyślenie dla siebie.

– Kontynuuje zresztą najlepsze tradycje ojca – perorował dalej Buchelt.

– Chwała mu za to.

– Drwisz sobie, kawalerze?

Kordian pochylił się i odstawił pusty kubek na stół. Spojrzał Lwu głęboko w oczy i przysunął się trochę.

– Tylko dlatego, że naprawdę zdążyłem dobrze go poznać, panie mecenasie – powiedział.

– I co takiego sądzisz, że odkryłeś?

– Osobę bezlitosną.

Było to niedopowiedzenie, ale biorąc pod uwagę, że Salus był jednym z najważniejszych klientów kancelarii, i tak było to więcej, niż powinien powiedzieć. Nie wiedział, czy w tej sprawie zawiązał się jakiś spisek. Nie miał też pewności, czy ktokolwiek z pracowników Żelaznego & McVaya jest w coś zamieszany. I w końcu nie mógł być

pewien, z kim tak naprawdę rozmawia – partnerem z firmy czy chłopcem na posyłki Salusa.

Może obiecali mu wysoki pakiet emerytalny? Tylko za co?

Kordian wbijał wzrok w oczy rozmówcy, ale te jak zawsze niczego nie zdradzały.

– Wydaje mi się, że przesadzasz – orzekł w końcu Buchelt.

– Oby tak było – odparł Oryński, a potem skierował spojrzenie na drugi kubek. – Wypił pan?

– Nie, ale dokończę po drodze – odparł adwokat i podniósł się ociężale z fotela.

Kiedy wyszli na zewnątrz, Kordian zaczął zastanawiać się, jak rozgonić opary niewiedzy, w których zdawał się tonąć. W końcu uznał, że najlepiej byłoby ustalić, ile wiedzą członkowie zarządu. Jeśli byli świadomi, że Langer prowadzi działalność przestępczą, należało uznać, że sami są zamieszani.

Kto jak kto, ale ci ludzie nie sprawiali wrażenia takich, przed którymi dałoby się cokolwiek ukryć.

– Wracaj do kancelarii – odezwał się Borsuk. – Ja mam jeszcze sprawę do załatwienia.

Nie czekając, aż Oryński odpowie, patron skierował się ku parkingowi. Kordian odprowadził go wzrokiem i nagle zrozumiał, dlaczego Piotr i reszta chcieli odsunięcia Chyłki. Ukrywali coś, a ona była jedną z nielicznych osób, które potrafiły wywęszyć nawet najmniejszy przekręt.

2
ul. Argentyńska, Saska Kępa

Przygotowania do procesu szły pełną parą. Chyłka urządziła w swoim mieszkaniu prowizoryczne centrum dowodzenia, mając wrażenie, jakby cofnęła się do czasów, kiedy mogła liczyć tylko na siebie. W Skylight zawsze miała okazję, by wysłużyć się praktykantami czy stażystami z noryobory, choć właściwie nie robiła tego tak często, jak inni prawnicy.

Nie żeby chciała oszczędzać nowicjuszy. Po prostu im nie ufała.

Tak czy owak, była przyzwyczajona do samodzielnego zbierania materiałów i robienia researchu. Wprawdzie lepiej pracowało się w gabinecie na dwudziestym pierwszym piętrze, ale podłoga w apartamencie też była w porządku.

Joanna rozłożyła na niej kodeksy, wydruki uzasadnień, glosy i kartki z własnoręcznie rozrysowanymi schematami. Udało jej się znaleźć też kilka numerów „Prokuratury i Prawa", w których omawiano interesujące ją kwestie. Wyglądało to imponująco, ale prawdę powiedziawszy, nie prowadziło do żadnych konstruktywnych wniosków.

Sprawa była beznadziejna.

Kiedy rozległ się dzwonek do drzwi, Chyłka akurat przeglądała orzeczenie Sądu Najwyższego z czternastego stycznia dziewięćdziesiątego ósmego roku o sygnaturze akt I CKN 412/97. Wgryzła się w tekst tak bardzo, że nie odnotowała, iż ktoś stara się dostać do mieszkania.

Ocknęła się dopiero, gdy pod jednym z czasopism zawibrował telefon, a Bruce Dickinson oznajmił, że boi się strzelać do nieznajomych. Odsunęła „Prokuraturę i Prawo" i przekonała się, że dzwoni Szczerbiński. Zaklęła pod nosem.

Otworzyła mu chwilę później. Aspirant na powitanie pociągnął nosem i skrzywił się.

– Naprawdę musisz zainwestować w odświeżacz – oznajmił.

– Tak? A czym czuć?

– Wymiotami.

– Kiepska sprawa – odparła i odwróciła się, po czym na powrót usiadła na podłodze. Rozejrzała się. Nie pamiętała już, gdzie co jest, co stanowiłoby pewien problem, gdyby liczyła na to, że jej praca doprowadzi do jakichkolwiek rezultatów. Wiedziała za to doskonale, gdzie stoi butelka.

– Znowu zaczęłaś dzień od rzygania?

Spojrzała na Szczerbińskiego z zaskoczeniem.

– No co? – zapytał. – Słyszałem, że do alkoholików trzeba bezpośrednio. Z grubej rury.

– Słusznie. Wtedy mamy to w dupie jeszcze bardziej.

– Nie zaprzeczysz?

– Hm? – mruknęła, odsuwając jedno z orzeczeń.

– Jesteś już w fazie akceptacji?

– O czym ty pieprzysz, Szczerbaty?

– O twojej chorobie alkoholowej.

– A, to – bąknęła. – Po prostu się nie przejmuję.

– Ciekawe podejście.

– Czy ja wiem? – zapytała, starając się wypatrzyć w stosach wydruków glosę do czytanego przed momentem wyroku. – Dlaczego miałabym się przejmować?

Nie znalazł odpowiedzi na tak postawione pytanie, zapewne antycypując wszelkie kontrargumenty, jakich mogła użyć. W ostatnim czasie widywali się raz, dwa w tygodniu. Za każdym razem w końcu poruszali ten temat, ale Szczerbiński był na tyle rozgarnięty, by go nie drążyć.

Pierwszego poranka, gdy zobaczył ją wymiotującą, nieco się zdziwił, ale ostatecznie przyjął to jako normę. Wytłumaczyła mu, że to konieczność, inaczej poziom alkoholu w jej organizmie przekroczyłby normy przewidziane w międzynarodowej konwencji o upijaniu się.

Odpowiadała jej taka relacja. Nie była zobowiązująca, nie miała w sobie miałkiej opiekuńczości i ckliwości. Zasadzała się na konkretach.

– Jak sprawa? – zapytał, patrząc na rozłożone materiały.

– Świetnie. Wykażę skrajną niekompetencję policji i prokuratury.

– Czyli do dupy?

– Mniej więcej, ale pocieszam się faktem, że nie muszę niczego wykazywać, bo to powszechna wiedza. Szczególnie w przypadku policjantów.

Aspirant pokiwał głową i usiadł obok. Poczęstował się tequilą bezpośrednio z butelki, a potem podał ją Joannie. Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

– Nie zachęca się alkoholików do picia – zauważyła.

– Zazwyczaj nie, ale ty jesteś w trochę innej sytuacji.

– Cieszę się, że to widzisz – odparła i napiła się, a potem sięgnęła po paczkę papierosów. – Nawalona działam równie skutecznie, jak na trzeźwo. Może nawet bardziej, bo jestem wtedy gotowa wejść nawet do cygańskich kamienic.

– Niekoniecznie to miałem na myśli.

– A mnie niekoniecznie obchodzi, co miałeś.

Doskonale jednak wiedziała, do czego zmierzał. Podczas krótkich rozmów na ten temat, Szczerbaty nieraz wyraził swoją opinię. Uważał, że może pić, dopóki nie krzywdzi tym nikogo innego. Nie miała dziecka, męża, rodziny ani przyjaciół. Nikt nie obrywał rykoszetem.

Niewiele obchodziły ją te przemyślenia. Jeśli jakiekolwiek słowa mogły ją zaniepokoić, to tylko te niewypowiedziane. Te, które odnosiły się do jej klienta. Tutaj rzeczywiście mogła zawalić – nawet małe potknięcie mogło sprawić, że Bukano zgnije w więzieniu.

Z drugiej strony i bez tego taki był najbardziej prawdopodobny rezultat.

– Więc masz coś czy nie? – zapytał Szczerbiński.

– Nie. A gdybym miała, i tak bym ci nie powiedziała.

– Dlaczego nie? Nie prowadzę przeciwko niemu sprawy, jestem w zupełnie innym…

– Jesteś psem, a psy trzymają razem.

– Aha.

– Chyba że któryś jest wyżej od innego, wówczas ten znajdujący się niżej…

– Dziękuję, ale spasuję, jeśli chodzi o wykład na temat policyjnych relacji – wpadł jej w słowo i zabrał butelkę. – Jak ty to wszystko ogarniasz?

– Co? Życie?

– Nie, tego akurat nie ogarniasz – odparł i zatoczył ręką krąg nad kilkoma wyrokami. – Miałem na myśli to.

– Tego też nie ogarniam.

Uśmiechnęli się do siebie. Chyłka musiała przyznać, że ostatnie tygodnie były dla niej nieco lżejsze dzięki temu facetowi. Nie był materiałem na męża, może nawet nie na kochanka. Ale trafił w dobry czas i oboje zamierzali z tego skorzystać.

Żałowała, że nie może powiedzieć mu wszystkiego. Gdyby poruszyła temat Langera i tego, co nie było publiczną wiedzą, naraziłaby się na konsekwencje idące znacznie dalej niż przy Szlezyngierze. Tam znalazła furtkę, ale w sprawie Piotra żadna nie istniała.

– Kiedy pierwsza rozprawa? – zapytał Szczerbaty.

– Jutro.

– Co? – wypalił. – Poważnie?

– Jeśli wokanda nie kłamie, to tak, jak najbardziej poważnie.

– I zamierzasz… dalej opróżniać tę butelkę?

– Oczywiście.

– I jesteś pewna, że to dobry pomysł?

– A czy tankowanie samochodu przed podróżą do takich przypadkiem nie należy?

– To raczej beznadziejna analogia.

– Moim zdaniem trafiona – odparła. – Zresztą nie mam czasu na dyskusje. Albo idziesz do łóżka, albo do domu.

Uśmiechnął się, wziął ją za rękę, a potem poprowadził do sypialni.

Pół godziny później znów została sama. Stała pod prysznicem, zmywając z siebie jego zapach. Nosił dobre perfumy, chyba któreś Hugo Bossa, ale oprócz tego dobrze do niego pasowały. Nie było nic gorszego u faceta niż źle dobrany zapach.

Wróciła do salonu i usiadła na podłodze ze swoim nieodłącznym towarzyszem. Sięgnęła po najnowszy komentarz do Kodeksu

karnego, przejrzała kilka stron, a potem zagłębiła się w lekturze jednego z orzeczeń.

Kiedy się obudziła, głowę miała na Waltosiu. Musiała przyznać, że ze wszystkich możliwości, była to najlepsza poduszka. Joanna przeciągnęła się, zerknęła na zegarek, po czym uznała, że najwyższa pora przenieść się do łóżka.

Było jej niedobrze, ale nie miała zamiaru wymiotować. Jeśli będzie musiała, zrobi to rano.

Żołądek był jednak innego zdania. Ledwo się położyła, a świat zawirował jej przed oczami i fala nudności szarpnęła ciałem. Zerwała się szybko i popędziła do łazienki. Zwróciła wszystko, co wypiła i zjadła przez kilka ostatnich godzin, a potem poszła spać.

Obudziwszy się następnego dnia, miała do siebie pretensje tylko o to, że nie umyła zębów. Jeśli jej stan po przebudzeniu mógł w jakikolwiek sposób świadczyć o tym, czy będzie to udany dzień, należało spodziewać się globalnego kataklizmu.

Nie zamierzała pić dużo z rana, bo na sali sądowej będzie na świeczniku przez kilka godzin. Nie planowała jednak zupełnej abstynencji. Tym bardziej, że po nocnych wymiotach wyzerowała stan konta. Odkręciła butelkę i zrobiła sobie drinka z sokiem z grenadyny. Piła go bezwiednie, tak samo jak robiła kolejne sztachnięcia papierosem. Przejrzała notatki z ostatnich dni, po czym uznała, że najwyższa pora wezwać Ubera.

Chwilę później czarny mercedes czekał na nią pod osiedlem. Wybrała tego dnia droższą opcję, wychodząc z założenia, że dobrze nastroi ją to przed walką. Poza tym przed sądem z pewnością będą kamery polujące na podjeżdżającą obrończynię.

Weszła do auta i powitała kierowcę uśmiechem. Miała dzisiaj dobry nastrój.

– Wcześnie zaczynamy? – zapytał mężczyzna, odwzajemniając uśmiech.

Przechyliła się między siedzeniami i spojrzała na zegarek.

– Ósma to wczesna pora na początek roboty? Nie sądzę.

– Miałem na myśli… – Urwał i postukał otwartą dłonią w kark.

– A, chlanie – odparła lekkim tonem. – Przeciwnie, zaczęłam dziś nieco później. Miałam trochę spraw do ogarnięcia.

Kierowca puścił do niej oko w lusterku. Postanowiła to zignorować, by niepotrzebnie nie wkurzać się przed procesem.

– Jakaś uroczystość? – zapytał, patrząc na jej ubiór.

– Rozprawa sądowa.

Zaśmiał się pod nosem, jakby zażartowała.

– Coś nie tak? – zapytała. – Najpierw coś do oka wpadło, teraz do gardła?

Otworzył usta i przez moment się zastanawiał. Potem wbił wzrok przed siebie.

– Mówi pani poważnie?

– A pan pyta poważnie?

Rozejrzał się, jakby miał zamiar zatrzymać się na poboczu i oznajmić, że to koniec kursu.

– Jest pani adwokatką?

Joanna pokręciła głową i rozsiadła się wygodniej na tylnym siedzeniu.

– A czy premier jest polityczką? – zapytała. – Niech pan mówi jak człowiek, a nie jak jakiś sfeminizowany innowator językowy.

– Słucham?

Chyłka westchnęła.

– Dokładamy do tego jeszcze problemy ze słuchem? – spytała. – Dzięki Bogu, że wybrał pan robotę za kółkiem. Z takimi ułomnościami trudno byłoby znaleźć inną.

Zajechali pod budynek sądu okręgowego dość szybko. Zapewne nie bez znaczenia był fakt, że kierowca skupił się wyłącznie na prowadzeniu, nie odzywając się już słowem do pasażerki.

– Dzięki – powiedziała na odchodnym. – Za podwózkę i bojowe nastawienie mnie przed rozprawą.

– Powodzenia – odparł mężczyzna.

Prawniczka przypuszczała, że czym prędzej odjedzie, ale ten opuścił szybę i spojrzał na nią, jakby miał jeszcze coś do powiedzenia.

– Napiwków nie daję – powiedziała. – Są źródłem dyskryminacji.

– Co takiego?

– Raz dam komuś w knajpie, potem pójdę do McDonalda i będzie mi ciążyła świadomość, że kobiecie za ladą też muszę zostawić.

W końcu tu i tu się najadłam, prawda? Może nawet ta z McDonalda była milsza i bardziej zasłużyła.

Kierowca potrząsnął głową.

– Chciałem tylko powiedzieć, żeby kupiła pani sobie aromat waniliowy.

Chyłka spojrzała na niego, a potem na budynek sądu. Najwyraźniej Uber dostał dofinansowanie z Unii Europejskiej, by zatrudniać osoby niepełnosprawne umysłowo.

– Zabije zapach alkoholu – dodał mężczyzna. – Sprawdzona metoda.

– Aromat?

– Będzie w każdym sklepie spożywczym. A jak chce pani mieć pewność, proszę kupić małą paczkę kawy w ziarnach i przeżuć kilka. Po tym nikt w sądzie nie poczuje wczorajszej gorzały.

– Dzisiejszej.

Kierowca uśmiechnął się, gdy Chyłka wręczyła mu niewielki napiwek. Potem odjechał, a Joanna zaczęła się zastanawiać, czy zdąży do sklepu. Naraz przypomniała sobie, że niemalże naprzeciwko sądu znajdzie to, czego szuka. Delikatesy Społem Wola. Sklep na rogu alei Solidarności i Jana Pawła II wyglądał dokładnie tak, jak brzmiał, ale nie miało to żadnego znaczenia. Kupiła aromat i po chwili uznała, że jest gotowa do boju.

Podchodząc do gmachu sądu, już z oddali zauważyła kłębiących się reporterów. Na nagranie wchodzącego do budynku Bukano nie mogli liczyć, z pewnością został już przetransportowany do środka. Ale kilka kamer czyhało – i Chyłka przypuszczała, że to ona jest celem.

Miała nadzieję, że metoda kierowcy Ubera zadziała.

Podeszła do reporterów i skinęła jednemu z nich, byleby tylko nie sprawiać wrażenia, że ich unika.

– Pani mecenas! – odezwała się dziennikarka z NSI, a cała reszta natychmiast obróciła się w jej stronę. – Pani mecenas, czego możemy się spodziewać? Jak pani klient…

– Spodziewajmy się najgorszego, liczmy na najlepsze – wpadła jej w słowo Joanna, nie zwalniając kroku. – I nie gdybajmy przed procesem, bo jest to w złym guście. Sędziowie są niezawiśli i niezależni i wszelkie nasze rozważania byłyby nie na miejscu.

Kilku dziennikarzy popatrzyło na nią z zaciekawieniem. Przemknęło jej przez myśl, że może jednak wypiła za dużo i wanilia nie zdołała zamaskować smrodu alkoholu. A może dziwnie się zachowywała? Wydawało jej się, że nie, ale nie mogła być pewna.

Wyminęła ekipę z Radia ZET i TVN24, a potem ruszyła do wejścia.

– Czy uważa pani, że Robert H. byłby traktowany tak samo, gdyby nie był Romem? – zapytał jakiś mężczyzna, podstawiając jej pod nos dyktafon.

– Tak.

– Myśli pani, że…

– W tej chwili myślę tylko o argumentach przemawiających za niewinnością mojego klienta – ucięła i weszła do budynku.

Reporterzy poszli za nią, ale po przekroczeniu progu nieco się uspokoili. Wewnątrz panował gwar, który Chyłce zawsze kojarzył się z czasami szkolnymi. Harmider na przerwach był zbliżony do tego, który panował w sądach, gdy rozpatrywano co głośniejszą sprawę.

Lubiła przebywać w takim otoczeniu. Było w tym zresztą coś odzwierciedlającego ludzką naturę – dzieci doskonale odnajdują się w gronie przekrzykujących się jednostek. Żadnemu z nich nie przeszkadza, że korytarze szkolne podczas przerw pulsują niepoważnym poziomem decybeli. Przeciwnie, dzieciaki czują się wtedy jak ryby w wodzie.

Joanna także czuła, że jest dokładnie tam, gdzie chce być. Z żalem pomyślała o czekającej ją przyszłości, ale miała świadomość, że jest zbyt późno, by cokolwiek zmienić. Chyba że wyjedzie, zrobi podyplomówkę w Wielkiej Brytanii i zacznie tam praktykować.

Wzdrygnęła się na samą myśl o precedensach i o tym, jak konserwatywne zwyczaje panują na anglosaskich salach sądowych. Przyjemnie się o tym czytało, ale praktyka zapewne była daleka od tego, w czym Chyłka czuła się najlepiej.

Prawniczka poszła do łazienki, by dopiąć sprawy powierzchowności na ostatni guzik. Poprawiła nieco makijaż, kilkakrotnie chuchnęła sobie na próbę w dłoń, a potem ułożyła lepiej zielony żabot i sprawdziła, czy toga dobrze leży.

Wszystko było w jak najlepszym porządku. Teraz pozostało jej tylko wygrać sprawę.

Przeszła przez korytarz w stronę sali obrad i znieruchomiała, widząc, kto siedzi na ławce przy ścianie. Nie musiał podnosić głowy, by go poznała. Sama mowa ciała dużo mówiła – szeroko rozstawione nogi, łokcie oparte na kolanach. Zajmował dużo przestrzeni, bo sądził, że to on tutaj rządzi.

Podeszła bliżej i spojrzała na niego z góry. Powoli uniósł wzrok, taksując ją od stóp do głów. Poczuła, jakby jego spojrzenie oblepiało ją brudem.

– Co za spotkanie – powiedział Piotr Langer, uśmiechając się półgębkiem.

– Co ty tu robisz?

– Przyszedłem sprawdzić, jak głośny będzie twój upadek.

Rozejrzała się, a potem pochyliła.

– Wynoś się stąd – powiedziała cicho.

– Nie mam takiego zamiaru.

– Posłuchaj…

– Zanim zaczniesz mi grozisz, zastanów się dwa razy – uciął. – Nie masz niczego, co mogłabyś użyć przeciwko mnie. Gdyby było inaczej, zrobiłabyś to półtora roku temu.

Wyprostowała się, patrząc mu prosto w oczy.

– Wypierdalaj stąd, Langer.

Jego uśmiech stał się jeszcze szerszy.

– To rozumiem – odparł z uznaniem. – Krótki, czytelny przekaz.

– Nie chcę cię tu widzieć, rozumiesz?

– Przykro mi, ale jako prokurent…

– Jako prokurent masz wywalać.

Wstał, włożył ręce do kieszeni i przekrzywił głowę na lewo. Nie miał najmniejszego zamiaru przepuszczać tego spektaklu. Nie musiał tutaj być, dowiedziałby się wszystkiego z relacji medialnej chwilę po zakończeniu procesu. Wiedziała, że zjawił się tu przez wzgląd na nią.

Patrzyła w oczy bestii i starała się nie myśleć o tym, co zrobił.

– Wydaje ci się, że to ty rozdajesz tutaj karty? – zapytała.

Wzruszył ramionami i nie odpowiedział.

– Najwyraźniej – dodała. – A to tylko utwierdza mnie w przekonaniu, że masz z tą sprawą więcej wspólnego niż ktokolwiek inny.

Wydął usta i rozejrzał się. Potem zamrugał nerwowo, teatralnie, tylko po to, by przypomnieć jej, jak ograł ją w sprawie, którą prowadziła.

– Dojdę do prawdy – zapewniła go.

– Trzymam kciuki.

– Potem spiszę wszystko, zapakuję w ogromną paczkę z kokardą i złożę przed budynkiem prokuratury. Ledwo zdążą otworzyć prezent, a już będziesz przygotowywał się do gnicia na Białołęce, tam, gdzie twoje miejsce.

– Kusząca wizja – odparł.

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo sprawa została wywołana. Z nadzieją, że Langer nie ruszył za nią, Chyłka weszła do środka za protokolantką. Zajęła miejsce obrońcy i skinęła do Bukano, którego na salę wprowadzali funkcjonariusze.

– *No pasarán* – mruknęła do siebie na tyle cicho, by nikt nie usłyszał.

Zakuty w kajdanki Cygan nie robił najlepszego wrażenia, szczególnie że na jego obliczu odcisnęły się długie tygodnie spędzone w areszcie śledczym. Popatrzył na prawniczkę, uśmiechnął się lekko, po czym zajął miejsce obok.

Joanna obejrzała się przez ramię. Piotr ustawił się pod ścianą i skrzyżował ręce na piersi. Udawał, że nie widzi jej wzroku.

– Jesteśmy gotowi? – odezwał się szeptem Bukano.

– Tak.

– Jest coś, o czym powinienem wiedzieć?

Telefon, który otrzymała, z pewnością się do tego kwalifikował, ale Chyłka nie miała zamiaru dzielić się tą informacją z klientem.

– Nie – zapewniła go.

– Prokurator nie będzie miał żadnych niespodzianek?

– Absolutnie – zaprzeczyła. – Jesteśmy przygotowani na największe gówno, jakie zdoła na nas zrzucić.

Pokiwał głową z uznaniem i znów wysilił się na zdawkowy uśmiech. Musiała mu oddać, że stanął na wysokości zadania. Broniła wielu twardych kryminalistów, którzy po takim czasie w areszcie wydobywczym sami potrafili wydobyć z siebie jedynie ciche pomruki.

Na ich tle Robert wypadał dobrze. Nie świetnie, ale dostatecznie dobrze, by zrobić pozytywne wrażenie na składzie orzekającym.

O losie Cygana miało zdecydować dwoje sędziów zawodowych i trójka ławników. Joanna zwyczajowo pominęła tych ostatnich, uznając, że to jedynie paprotki na sali sądowej. Co do dwojga sędziów, miała mieszane uczucia. Mężczyznę znano z tego, że nie certolił się z najniższym wymiarem kary – jeśli już uznawał kogoś za winnego, zazwyczaj był gotowy dołożyć mu z grubej rury. O kobiecie trudno było cokolwiek powiedzieć, Chyłka nie miała z nią do czynienia, a kiedy chciała zasięgnąć języka, przekonała się, że koledzy po fachu musieli wyprowadzić jej numer telefonu na czarną listę.

Naraz rozległa się komenda, by wstać, i wszyscy jak jeden mąż podnieśli się ze swoich miejsc. Joanna zdusiła ziewnięcie. Doskonale wiedziała, co teraz nastąpi – sędzia przewodniczący oceni sytuację na sali, rozstrzygnie sprawę kamer, a dopiero potem zabiorą się do pozostałych formalności.

Niektórzy adwokaci na tym etapie czuli już szybsze bicie serca, ale dla Chyłki stanowiło to tylko konieczne preludium, które należy przeczekać, zanim przyjdzie do konkretów. Była jedna rozprawa, podczas której czuła się niepewnie, ale sprawę zaginięcia Angeliki Szlezyngier zdołała zepchnąć głęboko w odmęty pamięci.

Kiedy sędzia uporał się z dziennikarzami, a ci solennie zapewnili, że nie będą robić niczego, co mogłoby godzić w powagę instytucji sądu, zaczęło się sprawdzanie obecności. W niektórych sprawach istniało ryzyko, że na tym etapie rozprawa zostanie odroczona – jeśli nie stawili się ci, których obecność była obowiązkowa, cały proces się przeciągał. W przypadku Bukano jednak nie było takiego niebezpieczeństwa. Osób wezwanych do złożenia zeznań było jak na lekarstwo.

– Proszę teraz świadków o opuszczenie sali obrad – powiedział urzędowym tonem sędzia, skończywszy sprawdzanie listy obecności.

Po tym, jak zamknęły się drzwi za ostatnim z nich, przewodniczący oddał głos prokuratorowi. Mateusz Zakierski stanął wyprostowany jak struna, wygładzając ręką togę. Jednostajnym tonem zaczął odczytywać akt oskarżenia.

Nie było w nim niczego, co mogłoby zaskoczyć Joannę i jej klienta. Ze względu na wyjątkowe okrucieństwo czynu, oskarżyciel domagał się najwyższego wymiaru kary.

Chyłka skrzywiła się, słysząc to. Jeżeli nie uda jej się czegoś ugrać i Rom dostanie dożywocie, trudno będzie to sobie wybaczyć. Miała okazję, by od ręki załatwić mu dwadzieścia pięć lat.

– Dziękuję – powiedział sędzia, gdy Zakierski z powrotem usiadł na swoim miejscu. – Czy oskarżony przyznaje się do zarzucanych mu czynów?

Cygan się podniósł. Skupiły się na nim spojrzenia wszystkich zebranych. Joanna nie miała wątpliwości, że dla większości z nich sprawa jest oczywista. Robert Horwat miał motyw. Miał sposobność. Zostawił jedyne ślady, jakie znaleziono na miejscu zbrodni. Nie było żadnych świadków.

– Nie – powiedział Rom.

– Czy oskarżony chce złożyć wyjaśnienia?

– Tak – odparł Bukano.

Zajął miejsce na mównicy, a potem zaczął recytować wszystko to, co Chyłka kazała mu mówić. Przyznał od razu, że tego dnia doszło do kłótni między nim a żoną, ale przysiągł, że nigdy nie podniósłby na nią ręki.

Zastanawiała się, czy poruszać tę kwestię. Ostatecznie uznała, że Zakierski w toku przesłuchania i tak o tym wspomni, więc lepiej było od tego zacząć i dać składowi orzekającemu czas, by ta informacja przykurzyła się w pamięci innymi faktami.

Bukano zakończył, mówiąc, że kochał je i nigdy nie pozwoliłby ich nikomu skrzywdzić. Brzmiał nie najgorzej, choć efekt z pewnością byłby lepszy, gdyby mówca miał nieco jaśniejszy kolor skóry. Chyłka dostrzegała uważne, wręcz podejrzliwie spojrzenia trójki ławników.

Nie sprawiali wrażenia ludzi, którym chętnie powierzyłaby swój los. W trakcie jej kariery trafiali się różni. W sądzie, w którym się znajdowała, przyjmowano na trzyletnią kadencję około dwustu trzydziestu ławników. W większości byli to ludzie, którzy chcieli dorobić do emerytury lub niewielkiej pensji.

Ci, którzy byli dobrze sytuowani, mieli dobrze płatną pracę, nie chcieli tracić czasu na takie rzeczy… tym bardziej pieniędzy. Za jeden

dzień pracy ławnicy otrzymywali bowiem niecałe dwa procent uposażenia sędziego, co dawało siedemdziesiąt złotych. Jeśli ktoś na etacie mógł liczyć na więcej, nie upatrywał w tym zajęciu intratnej okazji. Szczególnie jeśli szef potrącał potem coś z pensji.

Wymogi dla ławników także nie były wysokie. Wystarczyło mieć czystą kartotekę, ukończone trzydzieści lat i średnie wykształcenie. Z trójki ludzi siedzących za ławą sędziowską przynajmniej jeden wyglądał na takiego, który ten ostatni wymóg spełnił rzutem na taśmę. To on łypał na Bukano, jakby miał pretensje, że Cygan w ogóle się broni.

Pozostałych dwoje także nie sprawiało wrażenia neutralnych. Przewodniczący i jego zastępczyni postarali się bardziej, ale Chyłka doskonale wiedziała, że oni również są uprzedzeni. Każdy na ich miejscu byłby, gdyby od lat obcował z daną społecznością tylko, kiedy jej członkowie dopuszczali się jakichś przestępstw. A Cyganie na salach sądowych zazwyczaj pojawiali się w takim właśnie charakterze.

O ile w ogóle się pojawiali. Zasady ich wewnętrznego kodeksu zabraniały kontaktów z zawodami prawniczymi, które były uznawane za nieczyste. Sądzić miał Szero Rom i nikt inny. Niejednokrotnie powodowało to problemy prawne i Chyłkę zawsze dziwiło, że ludzie piszą się na nie z własnej woli. Zrzucała to na karb bezmyślności, ale musiała przyznać, że w ostatnim czasie zweryfikowała nieco podejście.

Cygański kodeks, *romanipen*, był dla Romów czymś więcej niż tylko zbiorem nakazów i zakazów. Tradycyjny naród łączyło wspólne terytorium, wspólna religia czy wspólny język – u Cyganów te elementy nie występowały. Ich spoiwem było *romanipen*.

Joanna wzdrygnęła się na myśl o tym, że stała się niejaką specjalistką w dziedzinie romskości. Jeszcze kilka miesięcy temu sama obdarzyłaby się za to niewybrednym epitetem.

Odwróciła się i potoczyła wzrokiem po sali. Zgodnie ze wszelkimi prawidłami cygańskiego świata, nie było tutaj ani jednego pobratymca oskarżonego – nie licząc Koro.

Chyłka wezwała go na świadka, niepewna jednak tego, czego powinna się spodziewać. Nie został wezwany przez oskarżyciela, co

kazało sądzić, że jego zeznanie okaże się korzystne dla Bukano, ale w ostatecznym rozrachunku mogło być różnie.

Prokuratorzy mieli tę przewagę nad obrońcami, że w postępowaniu przygotowawczym mogli przesłuchać świadka. Adwokat nie miał formalnej drogi, by to zrobić, w dodatku niektórzy uważali, że rozmowy ze świadkiem przed procesem są nie na miejscu, nie mówiąc już o przygotowaniu ich do składania zeznań.

Joannie wydawało się, że wyciągnęła z Koro wszystko, co było do wyciągnięcia, ale Zakierski mógł przycisnąć go na mównicy bardziej i wydobyć coś, czego się nie spodziewała. Cóż, ryzyko było wkalkulowane w robotę.

Jako pierwszy na salę sądową został poproszony właśnie Koro. Rozglądał się niepewnie, jakby szukał zagrożenia.

– Poproszę pana na środek – odezwał się sędzia.

Rom skinął głową i zajął miejsce na mównicy. Unikał wzroku oskarżonego.

– Staje Roman D., w stosunku do oskarżonego znajomy – powiedział przewodniczący, a protokolantka z szybkością karabinu maszynowego zapisywała jego słowa. – Czy wiadomo panu, w jakiej sprawie jest pan świadkiem?

– Tak.

Cisza. Zazwyczaj w tej chwili osoba na mównicy tłumaczyła, jaki jest powód stawiennictwa. Joanna zaznaczyła, że to samo powinien zrobić Koro, ale najwyraźniej był zbyt przejęty, by o tym pamiętać. Dopiero kiedy zobaczył pytający wzrok sędziego, odchrząknął i nabrał tchu.

– Robert H. był u mnie w wieczór poprzedzający zabójstwo – wyrecytował.

Słowo w słowo tak, jak mu poleciła Chyłka. Gdyby ktoś założył jej podsłuch podczas rozmowy z Koro, a potem skonfrontował nagranie z początkiem zeznania, Okręgowa Izba Adwokacka pewnie dałaby jej naganę. Jej zdaniem nie było jednak nic zdrożnego w tym, by dobrze przygotować świadka.

– Mówił mi o tym, że pokłócił się z żoną, wypiliśmy trochę, porozmawialiśmy. Kłótnia dotyczyła rozwiązania polisy. Patrycja H. naciskała, by to zrobili, a on odmawiał, twierdząc, że to

zabezpieczenie bytu ich córki. Kłócili się już od dawna, jak mówił. Coraz częściej i coraz gorzej, a przez to popsuły się także jego relacje z Aiszą.

Chyłka zauważyła krople potu na czole Koro. Otarł je rękawem i przestąpił z nogi na nogę. Denerwował się, ale nie było w tym nic podejrzanego. Stał pierwszy raz na mównicy, a to dla większości osób stresujące przeżycie. Nie dość, że skupiało się na sobie wzrok wszystkich zebranych w sali, to jeszcze miało się świadomość, że sędzia łowi każde słowo, a protokolantka zapisuje je w stenogramie.

Sędziowie wysłuchali, co Koro miał do powiedzenia, a potem przewodniczący oznajmił, że zostanie odczytane zeznanie świadka z postępowania przygotowawczego. Joanna znów musiała stłumić ziewnięcie. Wszyscy znali treść rozmowy Roma z prokuratorem. Właściwie znajdowało się tam wystarczająco dużo informacji, by zrezygnować z powoływania go na świadka.

– Czy podtrzymuje pan złożone wcześniej zeznania? – zapytał przewodniczący.

– Tak.

Chyłka zaklęła w duchu. Cygan cały czas zapominał o tym, by każdą swoją odpowiedź kończyć wyrażeniem „wysoki sądzie”. Starała się wbić mu to do głowy, ale najwyraźniej w stresującej sytuacji wychowanie wzięło górę.

– Dziękuję – powiedział sędzia i popatrzył na Zakierskiego. – Panie prokuratorze?

Oskarżyciel podniósł się i założył ręce za plecami. Stał wyprostowany jak struna, pławiąc się w świadomości tego, że wszyscy na niego patrzą. Stanowił dokładne przeciwieństwo Roma.

– Jak często widywał się pan z oskarżonym? – zapytał.

– Od kilku lat bardzo rzadko.

– Wcześniej byliście przyjaciółmi?

– Tak.

– Jak bliskimi?

– Znaliśmy się od dziecka.

– I nagle przestaliście się widywać? Dlaczego?

Koro opisał pokrótce ideę skalania i fakt, że Bukano został wykluczony ze społeczności. Dwoje sędziów zawodowych zdawało

się słuchać z zaciekawieniem, ławnicy sprawiali wrażenie, jakby ich największym marzeniem było przywrócenie obozów koncentracyjnych dla osób narodowości romskiej.

Była w ich reakcjach także pewna pobłażliwość. Sądzili, że są bardziej rozwinięci, bardziej cywilizowani. Fakt, że można było wykluczyć kogoś z rodziny tylko dlatego, że ożenił się z osobą spoza społeczności, uznali za śmieszny.

– Więc nie mógł pan się z nim kontaktować? Ponieważ był skalany?

– Tak.

– Czy on próbował nawiązywać kontakt przez te lata?

– Nie. Wiedział doskonale, że to źle się skończy.

Zakierski zmrużył oczy, a potem zmienił pozycję rąk. Teraz przywodził na myśl jeden z posągów przedstawiających antycznych myślicieli. Potarł brodę tak teatralnie, że Joanna miała ochotę prychnąć.

– A jednak w przeddzień śmierci Patrycji i Aiszy H. przyszedł do pana.

– Tak było.

– Można więc mniemać, że chodziło o bardzo ważną sprawę?

– Jak mówiłem, pokłócili się.

– Ale przypuszczam, że kłócili się także kilkadziesiąt razy przez te lata…

– Tak twierdził.

– Więc musiała być to wyjątkowo burzliwa kłótnia.

Koro pokiwał głową.

– Proszę świadka o udzielanie odpowiedzi – odezwał się sędzia.

– Tak, kłótnia była wyjątkowo burzliwa – powiedział Cygan. – Od tego zacząłem zeznanie.

Nikt się nie odezwał, ale dwoje sędziów wymieniło znaczące spojrzenia. Świadek nie wykroczył wprawdzie poza ramy właściwego zachowania, ale dał sygnał, że może się tak zdarzyć.

– Dziękuję, nie mam więcej pytań – oznajmił Zakierski i usiadł.

Przewodniczący popatrzył na Joannę. Zauważyła w jego spojrzeniu pewną ciekawość i przeszło jej przez myśl, że wieść o niepokornej prawniczce z kancelarii Żelazny & McVay zapewne rozeszła się także

wśród sędziów. A jeśli tak, to musiała zyskać u nich kilka punktów. Przynajmniej u tych mniej pryncypialnych.

– Pani mecenas – powiedział przewodniczący.

Chyłka podniosła się, poprawiła togę, a potem przyjrzała się Romowi na mównicy. Milczała, doskonale wiedząc, że czasem bronią największego kalibru jest cisza. Kilka osób z publiczności odkaszlnęło, sędzia poprawiła łańcuch. Joanna kątem oka kontrolowała, co robi przewodniczący. Gdy tylko lekko drgnął, przygotowując się do ponaglenia obrończyni, nabrała tchu.

– Kiedy zaczął pan remont mieszkania? – zapytała.

– Remont?

Nie przygotowywała go na to. Cała sztuczka polegała na tym, by przekonać go, iż nie będzie o to pytać. By to osiągnąć, konieczne było wyłożenie mu każdego innego pytania, które zada, i poinstruowanie go, jak powinien odpowiedzieć.

– Zrobił pan generalny remont mieszkania, prawda?

– T-tak, ale…

– Kiedy pan zaczął?

Cygan rozejrzał się i znów otarł pot z czoła.

– Kilka tygodni temu.

– A konkretnie? – dopytała.

– Nie pamiętam dokładnego dnia.

– Nie ma problemu – odparła lekkim tonem. – Zaraz to ustalimy. Czy kiedy mój klient odwiedzał pana, już pan remontował?

Koro spojrzał na Bukano. Nie było sensu kłamać, wszystko i tak wyjdzie podczas przesłuchania oskarżonego.

– Nie – powiedział.

– A więc może dzień po wizycie Roberta?

– Może.

– Nie ma pan pewności?

– Ja… nie pamiętam tak dokładnie.

– Oczywiście, że nie – powiedziała, patrząc na sędziów. – W końcu nikt nie zapisuje sobie dokładnej daty, kiedy rozpoczyna remont. Tak się jednak składa, że odwiedziłam pana niedługo potem i postęp robót wskazywał, że zaczął pan jakiś czas wcześniej. Skoro nie

remontował pan, kiedy mój klient był w pańskim mieszkaniu, należy przyjąć, że zaczął pan dzień później.

– Naprawdę nie wiem.

Chyłka rozłożyła lekko ręce.

– Ludzka pamięć jest zawodna – powiedziała. – Na szczęście są sposoby, by ją odświeżyć.

– Ale…

– Starając się ustalić, kiedy pan zaczął, pojechałam do oddalonej o niecały kilometr Castoramy przy Grochowskiej. Był pan tam kiedyś?

Koro przełknął ślinę na tyle głośno, że usłyszała to z ławy obrońców.

– Jedna z pracownic twierdzi, że tak – ciągnęła prawniczka coraz bardziej stanowczym tonem. – Zapamiętała pana, bo rzadko się zdarza, by Romowie robili tak duże zakupy.

Świadek znów przesunął rękawem po czole.

– Wie pan, dlaczego tak jest?

– Nie.

– Bo wasza tradycja nie nakazuje dbać o domy. Własny brud nie jest brudem, poza tym sama koncepcja posiadania mieszkania jest nieco sprzeczna z koczowniczym trybem życia, prawda?

– Może…

– Więc kobieta nie miała trudności z przypomnieniem sobie, o kogo chodzi – dodała Joanna. – Z tego, co zapamiętała, wynika, że kupił pan… A może sam pan powie?

Nie miał wyjścia. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że jeśli tego nie zrobi, prędzej czy później wyręczy go pracownica, o której mówiła Chyłka. Kiedy zaczął wymieniać środki czystości i inne artykuły, brzmiało to jak lista zakupów człowieka, który chce zatuszować ślady na miejscu przestępstwa.

3
Sąd Okręgowy w Warszawie, al. Solidarności

Sędzia zwolnił świadka i Joanna z satysfakcją odprowadziła go wzrokiem. Teraz to w nim ławnicy upatrywali cech, które kazały im widzieć przyjmowane przez nich stereotypy. Prawniczka nie miała pojęcia, czy w ukrytej sugestii, jaka wyłoniła się z zeznań, tkwi ziarno prawdy – nie miało to jednak żadnego znaczenia. Liczyło się to, że pojawił się potencjalny alternatywny sprawca.

Jednego asa wyciągnęła już z rękawa. Został jej jeszcze drugi. Grunt miała przygotowany, a reszta zależała od tego, jak to rozegra. Obejrzała się przez ramię na Langera, który zdawał się niewzruszony.

Kolejnym świadkiem obrony była około trzydziestoletnia kobieta. Spotkanie z nią nie należało do najłatwiejszych i Chyłka musiała użyć całej swojej siły perswazji, by wyciągnąć z niej to, co ją interesowało.

– Staje Maria T. – powiedział sędzia. – W stosunku do oskarżonego obca.

Po pouczeniu, zweryfikowaniu danych i zapewnieniu, że kobieta wie, w jakiej sprawie ją wezwano, sędzia skierował wzrok na prokuratora. Ten podziękował, rezygnując z zadawania pytań.

Ten moment był dla Joanny kluczowy. Maria T. powiedziała tylko tyle, że znalazła się na miejscu zdarzenia tamtego pechowego poranka. To ona jako pierwsza widziała ciała, ale zamiast zaalarmować służby, uciekła w popłochu. Była przerażona, nie myślała racjonalnie, a teraz żałuje, że nie zareagowała inaczej.

Joanna poleciła jej, by mówiła o swoich odczuciach jak najdłużej – i Maria zrobiła dokładnie tak, jak powinna. Prokurator nie drążył, zgodnie z przypuszczeniami Chyłki.

– Pani mecenas? – zapytał przewodniczący.

Adwokat podniosła się nieco zbyt szybko i zakręciło jej się w głowie. Momentalnie pomyślała o tym, że minęło już stosunkowo za dużo czasu od ostatniego drinka. Przydałoby się doładować akumulatory, zanim wyprowadzi ostateczne uderzenie. Na przerwę się jednak nie zanosiło.

Naraz pomyślała, że im dłużej będzie to trwało, tym większa szansa, że da się zaskoczyć kacowi. Do tej pory skutecznie go unikała, serwując sobie klin za klinem. Jeśli to wszystko zwali się na nią jak lawina, będzie problem.

Trudno. Trzeba to po prostu załatwić jak najszybciej, a potem nawalić się jak najbardziej.

– Mówiła pani o swoim przerażeniu – zaczęła Joanna. – Z czego ono wynikało?

– Widziałam… widziałam, jak bardzo zmasakrowane są te ciała.

– I dlatego pani uciekła?

– Tak.

– Przed czym pani uciekała?

Maria rozejrzała się bezradnie, jakby pytanie było tak retoryczne, że nie powinno paść.

– Jak to przed czym? – zapytała. – Obawiałam się, że on może gdzieś jeszcze być…

– Więc przypuszczała pani, że do zbrodni doszło niedawno?

– Tak.

– Dlaczego?

Kobieta znów potoczyła wzrokiem po zebranych. Zatrzymała go dłużej na przewodniczącym, ale ten nie miał zamiaru przerywać prawniczce. Od kiedy rozprawy nabrały bardziej kontradyktoryjnego charakteru i adwokat z prokuratorem ścierali się w bezpośredniej walce, sędziowie mniej ingerowali w cały proces. Chyłce się to podobało. Dawało okazję, by mocniej przywalić przeciwnikowi.

Prokuratorzy narzekali, że mają więcej roboty, bo nie dość, że musieli pracować w terenie, to jeszcze dołożono im kompetencji – a więc i pracy – na sali sądowej. Joanna uważała jednak, że powinni się cieszyć. Dzięki temu mogli prowadzić sprawę od początku do końca. I od lipca dwa tysiące piętnastego mogli w końcu mówić, że naprawdę wysyłali ludzi za kratki.

– Powtórzę pytanie – powiedziała adwokat. – Dlaczego uważała pani, że do zabójstwa doszło niedawno?

– Ja… nie wiem.

– Co na to wskazywało? Czy któraś z ofiar jeszcze żyła?

– Nie, na pewno nie…

– Więc skąd ta wiedza? I skąd ta obawa?

Maria nie odpowiadała. Nagle jej zachowanie zaczęło przypominać reakcje poprzedniego świadka. Całe jej rozluźnienie znikło i kobieta zaczęła nerwowo wyrywać skórki przy paznokciu lewej dłoni.

– Domyślam się, że był to uzasadniony lęk? – zapytała Chyłka.

– Przecież sobie tego nie wymyśliłam… Zauważyłam dwa ciała i…

– I zazwyczaj ludzie w takiej sytuacji nie uciekają. Przeciwnie, podchodzą zaciekawieni, bo taka jest nasza natura. Uciekamy dopiero, gdy widzimy niebezpieczeństwo. Czy pani je widziała?

Maria w końcu uległa. Spuściła wzrok i zacisnęła ręce w pięści. Ci, którzy znajdowali się bliżej, mogli dostrzec, że się zatrzęsła.

– Co pani widziała? – zapytała Joanna.

Prokurator poruszył się nerwowo. Dla Chyłki taki widok był jak największa nagroda, na którą mogła liczyć. Popatrzyła na Zakierskiego i przekonała się, że nerwowo przygryzł wargę. Sędziowie patrzyli na świadka z zaciekawieniem, a Bukano otworzył usta, nie rozumiejąc, co się dzieje.

– Ja… – zaczęła Maria. – Ja… powinnam zadzwonić, powinnam zrobić to od razu, ale…

Kiedy urwała, Joanna uznała, że pauza dobrze jej zrobi. Nie dopytywała. Pozwoliła, by w umysłach ławników i sędziów zakiełkowało jeszcze większe zaciekawienie.

Chyłka uniosła lekko głowę i wyprostowała się. Kobieta najwyraźniej nie miała zamiaru kontynuować.

– Mam jeszcze jedno pytanie, które wiąże się z tym, czego nie chce pani powiedzieć – odezwała się, krzyżując ręce na piersi. – Skąd pani wie, że zabójcą był mężczyzna?

Maria T. wytrzymała jeszcze tylko chwilę. Potem ukryła twarz w dłoniach.

– Przepraszam – wydukała. – Boże… przepraszam.

Chyłka czekała.

– Widziałam go… widziałam, jak zadaje ostatni cios, a potem się oddala.

Na sali zapanowało poruszenie. Dla prawniczki narastający szum był jak miód na serce. Upajała się nim niemal tak, jak porządnym drinkiem z tequili i soku z grenadyny. Wisienką na torcie był wzrok Zakierskiego, który wyrażał więcej niż słowa. Prokurator łypał na nią nienawistnie z ewidentną pretensją, która przekuje się później na pismo do Naczelnej Rady Adwokackiej.

Zakierski niewątpliwie będzie argumentował, że został oszukany, a Chyłka zataiła powód wezwania kobiety na świadka. Joanna była jednak na to przygotowana i zamierzała wykazać, że sama nie wiedziała o treści zeznań, jakie uda się uzyskać.

– Wysoki sądzie… – zaczął niepewnie prokurator.

Przewodniczący natychmiast uniósł rękę i spojrzał na niego karcąco. Zeznania świadka traktowano jak świętość. Jakiekolwiek ingerowanie, przerywanie czy wpływanie na ich treść było nie do pomyślenia. Niektórzy sędziowie traktowali to bardziej kategorycznie, inni mniej. Im trafił się przedstawiciel tej pierwszej grupy.

– Czy życzy pani sobie przerwę? – zapytał przewodniczący.

Maria pokręciła głową i otarła łzy. Chyłka uśmiechnęła się w duchu, dostrzegając je. Stanowiły najcenniejszy widok, na jaki mógł liczyć adwokat.

Kiedy sędzia na nią spojrzał, wiedziała, że otrzymała sygnał, by kontynuować. Skinęła do niego głową.

– Co dokładnie pani widziała? – zapytała Joanna.

Kobieta przełknęła stężoną ślinę, przymykając oczy i pochylając głowę. Nieznacznie nią pokręciła, jakby starała się wyprzeć wspomnienia z umysłu. Chyłka uznała, że wygląda to całkiem nieźle – głównie dlatego, że nie było udawane.

Po telefonie, jaki otrzymała kilka tygodni przed rozprawą, nie była dobrej myśli. Syntetyczny głos poinformował ją, że jest świadek, który widział sprawcę. Zanim jednak zdążyła o cokolwiek zapytać, anonim podał jej imię i nazwisko, a potem się rozłączył. Początkowo wyglądało to Joannie na kpinę Kormaka, ale kiedy zaczęła szukać wskazanej osoby, zrozumiała, że dostała autentyczny cynk.

Od kogo? W jakim celu? Nie znalazła odpowiedzi na te pytania. Kiedy jednak spotkała się z Marią, od razu wiedziała, że trafiła na żyłę złota. Kobieta nie miała żadnego ukrytego motywu, nie była zamieszana w żaden spisek mający na celu ośmieszenie upadającej adwokat. Maria należała po prostu do osób, które znalazły się w złym miejscu o złym czasie.

– Proszę świadka? – upomniał ją sędzia.

Maria spuściła wzrok.

– Byłam na porannym biegu… – zaczęła kobieta i pociągnęła nosem. – Zazwyczaj robię pętlę przez park Hassów, potem obok Hasanki i do torów. Biegnę wzdłuż nich i kiedy ścieżka się kończy, skręcam z powrotem na Orląt Lwowskich…

– Ofiary zginęły na Prażmowskiej – podsunęła Chyłka.

– Tak, po drugiej stronie torów.

– Proszę opowiedzieć dokładnie, co pani widziała.

Maria zawiesiła wzrok na przeciwległej ścianie.

– Byłam na trzecim czy czwartym kilometrze, kiedy ich zobaczyłam – wymamrotała, nagle blednąc. – Kobieta leżała już na ziemi, cała we krwi. Mężczyzna leżał na dziecku…

Urwała, a temperatura w pomieszczeniu zdawała się spaść o kilka stopni. Zaległa grobowa cisza. Żadnemu członkowi składu orzekającego nie przyszło na myśl, by ponaglać świadka.

– Właśnie… właśnie kończył – powiedziała. – Dziewczyna jeszcze żyła. Pod… podniósł się, naciągnął spodnie i… i zaczął ją okładać…

Nie zdołała wydusić z siebie ani jednego zdania więcej. Ukryła twarz w dłoniach i zaniosła się płaczem. Joanna trwała w bezruchu, zastanawiając się, ile będzie musiała wypić, żeby zapomnieć o dzisiejszym dniu. Wprawdzie wszystko już słyszała, ale w zaciszu jej mieszkania brzmiało to znacznie mniej dramatycznie. Może dlatego, że tutaj pracowała wyobraźnia kilkudziesięciu ludzi. Wszyscy nagle zobaczyli makabryczną scenę, mimo że kobieta nie potrafiła plastycznie jej zarysować. A może właśnie dlatego.

Chyłka odczekała chwilę.

– Jak wyglądał ten mężczyzna? – zapytała.

Maria otarła policzki i łapczywie wzięła haust powietrza. Zmarszczyła czoło, biorąc się w garść. Wiedziała, że najgorsze ma za

sobą, teraz pozostało jej tylko powtórzyć to, co wcześniej mówiła Chyłce na temat zabójcy.

– Nie widziałam jego twarzy – odezwała się kobieta. – Miał maskę.

– Może ją pani opisać?

Kątem oka Joanna zauważyła, jak Zakierski przysuwa się bliżej stołu. Nie miała wątpliwości, że zaraz po rozprawie skieruje się do siedziby prokuratury i zbierze tam wyjątkowe cięgi. Podczas gdy przedstawiciel strony przeciwnej zdołał dotrzeć do okoliczności istotnych dla prowadzonego śledztwa, on nie miał nic. Szczęśliwie nikt nie wiedział, że Chyłka otrzymała prezent od anonimowego dobroczyńcy.

– Mogę… oczywiście, mogę ją opisać. Widzę ją, ilekroć kładę się spać.

– Jak wyglądała?

– Przypominała twarz manekina… ale była cała czarna, pozbawiona nosa. Nie miała nawet małego wybrzuszenia w miejscu, gdzie powinien być. I była matowa, nie odbijało się od niej słońce – wyrecytowała Maria.

Jeśli Zakierski miał do tej pory wątpliwości, na ile świadek został przygotowany, teraz otrzymał jednoznaczną wskazówkę. Kobieta nie wyławiała z pamięci informacji, o które prosiła prawniczka – raczej odklepywała wcześniej zapamiętane punkty.

– Skąd więc pewność, że to nie mój klient? – zapytała Joanna.

– Bo pani klient ma bujne, ciemne włosy, a tamten człowiek był łysy.

– Mógł mieć stosowną perukę – odparła stanowczo Chyłka. – W końcu widziała ich pani z oddali, prawda? Ile metrów dzieliło panią od Prażmowskiej?

– Nie wiem… czterdzieści, może pięćdziesiąt.

– Więc mógł nie być łysy, a jedynie ukryć włosy.

– Mógł – przyznała.

Joanna spojrzała na Bukano, który nie bardzo rozumiał, co się dzieje. Zamknął już wprawdzie usta, ale jego skołowany wyraz twarzy mówił sam za siebie. Prawniczka odczuła zadowolenie – reakcja Roma była autentyczna i każdy członek składu orzekającego

widział to jak na dłoni. Jeśli nawet będą podejrzewać ją o ustawienie tego przesłuchania, to Bukano pozostanie poza strefą rażenia.

– Więc zapytam jeszcze raz: jest pani pewna, że to nie był mój klient?

– Tak.

– Dlaczego?

– Bo zanim… zanim naciągnął spodnie, widziałam jego nogi.

– I?

– Miał białą, wręcz bladą skórę.

Joanna obróciła się i posłała swojemu klientowi uśmiech. Z tego, co wiedziała, był to pierwszy raz, kiedy bycie Cyganem uratowało kogoś w sądzie.

4
Skylight, Śródmieście

Kordian przeszedł przez korytarz, zajrzał do pomieszczenia socjalnego, do gabinetu patrona, nawet do męskiej toalety. Nigdzie nie udało mu się znaleźć Buchelta, a telefonu nie raczył odebrać.

W końcu Oryński stanął przy recepcji i przeczesał ręką włosy. Zniszczył fryzurę, którą skrupulatnie układał przed wyjściem z mieszkania, ale niespecjalnie się tym przejmował. Tego dnia miał wiele innych zmartwień.

– Zgubiłeś talon? – odezwała się Anka z Recepcji.

Podrapał się po głowie i popatrzył na nią nierozumiejącym wzrokiem.

– Co takiego?

– Nic – odparła. – Pomóc ci w czymś?

– Szukam Borsuka.

– Kogo?

Potrząsnął głową, dopiero teraz uświadamiając sobie, że jedynymi osobami, które wtajemniczył w nową nomenklaturę, byli Kormak i… i on sam.

– Lwa – poprawił się.

– Nie będzie zadowolony, jak usłyszy, że tak o nim mówisz.

– Nie usłyszy, jeśli mu nie powiesz.

– Znaczy, że mam na ciebie haka?

– To raczej haczyk, wyjątkowo niewielki – odparł Kordian i przechylił się nad ladą. – Widziałaś go?

– Tak. Wyszedł kilkanaście minut temu z kimś z Salusa.

– Skąd wiesz, że z Salusa?

– Bo kiedy tędy przechodzili, mówił coś o sprawie tego Cygana. Przeprowadziłam rozumowanie dedukcyjne.

– Marnujesz się w tej recepcji.

– Mnie to mów… – mruknęła Anka.

– Wiesz, gdzie poszli?

– Nie mam pojęcia. Lew rzucił mi na odchodnym, że gdyby ktoś go potrzebował, wróci popołudniu. Trochę problematyczna sprawa, bo miał dzisiaj umówione spotkanie, ale…

Kordian przesuwał palcem po telefonie.

– Słuchasz mnie?

Skinął głową, uśmiechnął się, a potem odwrócił i ruszył w stronę windy. Przyłożył telefon do ucha i czekał, aż rozmówca odbierze. Do Buchelta nie było sensu dzwonić. Czasem miał wrażenie, że jednym z ulubionych zajęć patrona jest ignorowanie połączeń przychodzących i czerpanie satysfakcji z tego, że nie oddzwania.

Kordian doskonale jednak wiedział, do kogo się odezwać.

– Siedziba Salusa na Domaniewskiej – oznajmił Langer po odebraniu połączenia.

– Jesteście już na miejscu?

– Nie, dopiero jedziemy. Pospiesz się.

Oryński wdusił przycisk windy i rozejrzał się nerwowo, jakby na dwudziestym pierwszym piętrze mógł znaleźć kogoś, kto mu pomoże. Jak niby miał się pospieszyć? Nawet jeśli znalazłby się na dole w ułamku sekundy, minie sporo czasu, zanim pojawi się taksówka, autobus czy tramwaj.

Zaklął w duchu i uznał, że najwyższa pora zainwestować w samochód. Jak tylko wygra tę sprawę, zaszaleje. Pójdzie do salonu BMW… nie, może nie BMW, ale choćby Volkswagena, weźmie niewielki kredyt o minimalnym oprocentowaniu, a potem skończą się ciągłe problemy z dojazdami.

Winda w końcu przyjechała i aplikant wpadł do środka.

– Gdzie jesteście? – zapytał szybko, przekonany, że zaraz straci zasięg.

– Wyjeżdżam z Emilii Plater. Twój patron pewnie dopiero opuszcza parking.

– Poczekaj na mnie.

Fakt, że prowadził tak niezobowiązującą rozmowę z Piotrem Langerem, napawał go pewnym niepokojem. Był to ostatni człowiek, z którym chciałby być w komitywie.

– Halo? – zapytał, ale w słuchawce słyszał jedynie cichy szum.

Zjechał na dół i wypadł zdyszany ze Skylight. Rozejrzał się za samochodem patrona, ale nigdzie go nie dostrzegł. Trudno, trzeba będzie się nagimnastykować i liczyć na to, że uda mu się zdążyć chociaż na końcówkę spotkania.

Zaraz potem wypatrzył jednak czerwonego forda mustanga, który nadjeżdżał od strony Ronda ONZ. Kierowca mrugnął długimi, a ksenony rozświetliły się, jakby rzucały wiązkę lasera.

Langer włączył światła awaryjne i zatrzymał się przy chodniku. Nikt nie zatrąbił. Na takie samochody po prostu nie wypadało, choćby kierowca za nim gotował się ze złości.

Oryński szybko wsiadł do forda i usiadł na niezbyt wygodnym siedzeniu pasażera. Jak dla niego w aucie było stanowczo za mało miejsca, a sufit wisiał za nisko. Z zewnątrz prezentowało się jednak jak prawdziwy drapieżnik.

– Uspokój się – odezwał się Piotr.

Kordian spojrzał na niego z konsternacją. Owszem, denerwował się nieco, ale Langer był ostatnią osobą, która powinna go uspokajać. Naraz jednak zrozumiał, że w mniemaniu kierowcy młody prawnik jest zaaferowany nowym mustangiem.

– To tylko samochód – powiedział Piotr.

– Moim zdaniem…

– Choć trzeba przyznać, że model szóstej generacji robi wrażenie, prawda? – zapytał Langer, a potem wbił jedynkę, cofnął lewą nogę, a prawą niemal kopnął pedał gazu. Ford zamruczał… nie, zaryczał, a potem wystrzelił do przodu. – Kosztował mnie sto czterdzieści osiem tysięcy.

Oryński musiał przyznać, że biorąc pod uwagę okoliczności, to niewiele.

– Jak widzisz, nic wielkiego.

– Mhm.

– Ciebie też byłoby stać. Może z małym kredytem – ciągnął Langer. – Ile rocznie zarabiasz?

Kordian nie musiał prowadzić skomplikowanych rachunków. Wiedział doskonale, że w tym roku zarobi niewiele ponad dziewięćdziesiąt pięć tysięcy brutto. Do tego nie musiał martwić się

o opiekę zdrowotną czy kort na hipotetyczną partyjkę squasha – a wszystko za sprawą karty medycznej i sportowej.

– No, ile?

– Jeśli bierzemy pod uwagę tylko legalne źródła, to o niebo więcej od ciebie.

– Nie sądzę – odparł z uśmiechem Langer.

Kordian wątpił, by była to prawda. Nawet jeśli jako akcjonariusz Salusa zarabiał kokosy, to trudno było mówić o legalnej działalności. Piotr z pewnością zadbał o to, by swoje przychody odpowiednio zwiększyć, bez względu na to, co dyktowały przepisy prawa.

– W każdym razie stać cię – dodał Langer. – A mustanga polecam. To wersja EcoBoost 2.3, trzysta siedemnaście koni mechanicznych. Niby nie jakieś luksusowe auto, ale sam widzisz, że sprawdza się wyśmienicie.

W całym tym pędzie aplikant dopiero teraz na dobre uzmysłowił sobie, że po raz pierwszy od przepychanki w celi aresztu śledczego jest sam na sam z Piotrem. Spojrzał na niego niepewnie.

– Nie masz się czego obawiać – odezwał się Langer.

Kordian z niepokojem pomyślał o tym, że bestia zdaje się czytać mu w myślach.

– Gdybym chciał ci coś zrobić, nie pozwoliłbym, żeby ktokolwiek widział, jak podjeżdżam pod Skylight.

Prawnik nie odpowiedział. Nie było sensu zaprzeczać ani tym bardziej wdawać się w niezobowiązującą wymianę zdań. Nie z Langerem.

– Ale doskonale zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

– Mhm.

– Umiesz tylko pomrukiwać?

Kordian zapiął pas i westchnął. Jego oddech zabrzmiał nierówno, ale miał nadzieję, że tylko on to słyszał.

– Dlaczego jedziemy do Salusa? – zapytał aplikant.

– Zarząd wie już o sprawie.

Oryński pokiwał głową. Takie wieści nie tyle rozchodzą się lotem błyskawicy, ile raczej zaginają czasoprzestrzeń.

– Wytłumaczycie, jak do tego doszło – dodał Piotr.

– Nie mamy jeszcze wszystkich informacji. Rozprawa niedawno się zakończyła.

– I odroczono kolejną.

– Tak słyszałem – potwierdził prawnik. – Nie byłem w sądzie, jak wiesz.

– Ale wysłaliście tam kogoś.

– Tak. Ale to wszystko przekaz z drugiej ręki.

Langer nie odpowiedział i milczał aż do momentu, gdy dotarli na miejsce. Dojazd na Domaniewską o tej porze nie był utrudniony i czerwony ford mustang zaparkował pod biurowcem dwadzieścia minut po tym, jak ruszył spod Skylight.

Dwóch mężczyzn wyszło na zewnątrz i skierowało się do głównego wejścia.

– Lepiej, żebyście ich ugłaskali – odezwał się w końcu Piotr.

Oryński zastanawiał się, jakie relacje wiążą Langera z tymi ludźmi. Formalnie był prokurentem, ale całe jego życie właściwie koncentrowało się w sferze nieformalnej. Działał jako ich podwładny? A może oni pracowali dla niego? W przypadku tego człowieka niczego nie można było stwierdzić na pewno.

W holu czekał na nich Lew Buchelt. Poprawiał nerwowo koszulę, która wymsknęła mu się zza paska. Kordian dostrzegł na niej plamy potu, kiedy odchylił połę marynarki. Borsuk zacisnął pasek bardziej, a potem podniósł wzrok i dostrzegł podopiecznego.

– Rozmawiałem właśnie z praktykantem, który obserwował proces – powiedział, rezygnując z powitania.

– Do mnie już dzwonił – odparł Oryński.

– Świetnie. Zatem chodźmy, nie każmy im czekać.

Wjechali windą na jedno z wyższych pięter. Raz po raz Kordian spoglądał na Langera badawczo. Ten zdawał się zupełnie nieprzejęty sytuacją, ale ostatecznie trudno było stwierdzić, czy towarzyszą mu jakieś emocje. Lepszego aktora trzeba by szukać w Hollywood, polska kinematografia nie dysponowała takim kalibrem.

Weszli do sali konferencyjnej, w której panowała pełna napięcia cisza. Oryński powiódł wzrokiem po zebranych. Donald Trump wyglądał, jakby właśnie stracił miliardy na giełdzie. Kryminalista

sprawiał wrażenie lekko zaniepokojonego, a kobieta nerwowo bębniła palcami o blat stołu.

Prawnicy usiedli naprzeciw członków zarządu, Piotr zatrzymał się przy drzwiach. Zamknął je, a potem oparł się o ścianę i skrzyżował ręce na piersi. Przyglądał się sytuacji z umiarkowanym zainteresowaniem.

– Jak to się stało? – zapytał Kryminalista.

Kordian przypuszczał, że to patron będzie chciał poprowadzić spotkanie, ale Buchelt milczał. Może liczył na to, że Oryński będzie mięsem armatnim? Tak czy inaczej, aplikant nie miał wyjścia. Ktoś musiał się odezwać jako pierwszy i przyjąć na siebie odpowiedzialność.

– Pojawił się nowy świadek – powiedział Kordian.

– Jakim cudem?

– Jeszcze to sprawdzamy.

Trump zmierzwił włosy. Wprawdzie nie miał grzywki przypominającej zdechłego szopa pracza, ale na tym polu niewiele ustępował amerykańskiemu multimiliarderowi.

– Co ten świadek zeznał? – zapytała kobieta. – I kto to jest?

– Kobieta, która widziała zdarzenie na własne oczy.

– Rzekomo – wtrącił Lew.

Aplikant skinął głową.

– Według niej był to mężczyzna noszący czarną maskę bez nosa – wyjaśnił Kordian. – Twierdzi, że przypominała twarz manekina.

– I to sprawiło, że odroczono dalsze obrady? – zapytała kobieta.

– Nie. Kobieta zeznała także, że sprawca był biały.

Trump pokręcił głową, Kryminalista zaklął pod nosem. Spojrzeli na siebie, jakby obaj chcieli wzajemnie powiedzieć „a nie mówiłem?”.

– Kim jest ta kobieta? – zapytał ten drugi.

– Maria T., tylko tyle wiemy.

– Na razie – dodał Buchelt.

– Więc lepiej, żebyście szybko dowiedzieli się więcej – poradził Kryminalista. – Jaki ma interes w składaniu takich zeznań, z kim się kontaktowała i… i skąd, do cholery, się wzięła.

Członkowie zarządu patrzyli na prawników wyczekująco.

– Prokurator powinien być na to gotowy – zauważyła kobieta.

– Owszem – przyznał Oryński. – Ale Chyłka najwyraźniej zatrzymała dla siebie fakt, że jest naoczny świadek. I to wyjątkowo komplikuje sytuację.

– Przecież są dowody z DNA…

– Ale w konfrontacji z tym zeznaniem można je obalić. Wystarczy zgrabna teoria o tym, jak naskórek dostał się pod paznokcie jednej z ofiar.

Aplikant spojrzał na stojącego kilka metrów dalej Langera. Ten wodził wzrokiem po pokoju i nadal trudno było powiedzieć, czy obserwuje swoich podopiecznych, czy szefów.

– Wszystko przez tę prawniczkę – zauważył Trump. – Mieliście ją odsunąć, nie zrobiliście tego i teraz my poniesiemy konsekwencje.

Oryński oderwał wzrok od Piotra i wyprostował się. Najwyższy czas przestać przejmować się tym psychopatą i jego rolą w tej układance. Jeśli nawet coś kombinował, doświadczenie kazało Kordianowi sądzić, że i tak tego nie odkryje. Postanowił, że rzeczy, na które nie ma wpływu, musi odsunąć na drugi plan. Przynajmniej dopóty, dopóki nie upora się z palącym problemem.

– Proszę się o to nie martwić – odezwał się. – Nawet jeśli Zakierski sobie nie poradzi, do wypłacenia polisy jeszcze długa droga. Nie jesteście państwo narażeni na żadne niebezpieczeństwo.

Ale do czego właściwie się ono sprowadzało? Czy milion złotych był w ogóle wart zachodu?

Dla takiej firmy jak Salus była to tylko kropla w morzu wszystkich rozchodów. Może nawet wypłata w tak głośnej sprawie podziałałaby niczym wieść o kumulacji w lotto – przyciągnęłaby kolejnych chętnych.

Siedząc w sali konferencyjnej i patrząc na przedstawicieli zarządu, Kordian po raz pierwszy uzmysłowił sobie, że podświadomie odpycha od siebie takie myśli. Nigdy nie miał zamiaru babrać się w nielegalnych gospodarczych brudach. Wszystko wskazywało jednak na to, że mimowolnie w nie wdepnął.

Fakt, że Salus zgadzał się na reprezentację jedynie przez Lwa Buchelta, dodatkowo kazał sądzić, że coś jest na rzeczy. Jeśli Borsuk pomagał im w bezprawnych działaniach, wszystkim zamieszanym

musiało zależeć na tym, by obsługa prawna firmy była jak najdalej od Żelaznego i McVaya.

Oryński nabrał tchu. Obecność Langera w zasadzie stawiała kropkę nad i, potwierdzała jego obawy. Mimo to było już za późno, by się wycofać.

– No dobrze… – podjął Kryminalista, kładąc dłonie na oparciach krzesła. – Jak pewne jest skazanie?

– Trudno powiedzieć – odparł Kordian. – Wszystko zależy od argumentów obrony i oskarżenia. Na tym etapie materiał dowodowy jest sprzeczny, ale korzyść ze wszelkich wątpliwości czerpie oczywiście Chyłka.

– Co, jeśli zapadnie wyrok uniewinniający? – zapytała kobieta.

– Z naszego punktu widzenia sprawa się przedłuży, ale nie dojdzie automatycznie do rozstrzygnięcia w sprawie cywilnej. Mamy jeszcze inne możliwości, by odmówić wypłaty polisy.

Rozmówczyni wciąż zdawała się wystukiwać paznokciami jakiś rytm.

– Ale medialnie będzie to dla nas cios – orzekła. – Dziennikarze zeżrą nas żywcem za to, że odmawiamy roszczenia poszkodowanemu wdowcowi, który został uniewinniony.

– Niestety – przyznał Oryński. – Ale zapewniam, że będziemy robić, co…

– W porządku – wpadł mu w słowo Trump. – Wystarczy tych zapewnień, czas na konkretne efekty.

Obaj prawnicy skinęli głowami.

– Na początek trzeba ustalić, skąd mecenas wzięła tego świadka.

Tego Kordian nie mógł im obiecać. Kiedy jednak szukał właściwej odpowiedzi, głos zabrał patron.

– Zrobimy to – zapewnił.

– Po drugie, potrzebne nam informacje na temat samej kobiety.

– Oczywiście.

– I po trzecie, niech Zakierski…

– Z Zakierskim porozmawiamy sami – odezwał się w końcu Langer.

Wszyscy zamilkli, ale poza Kordianem nikt nie spojrzał na stojącego przy drzwiach prokurenta. Zaległa pełna napięcia cisza

i Oryński zrozumiał, że Piotr odgrywa tu znacznie ważniejszą rolę, niż wynikało to z wpisu w Krajowym Rejestrze Sądowym.

– W takim razie to wszystko – powiedział Kryminalista.

Pracownicy Żelaznego & McVaya wstali, skłonili się, a potem ruszyli w stronę korytarza. Langer otworzył im drzwi, posłał aplikantowi zdawkowy uśmiech, a potem bez słowa je zamknął.

Prawnicy odetchnęli. W milczeniu skierowali się do windy, chcąc jak najszybciej opuścić siedzibę Salusa. Wyszli na zewnątrz, po czym Buchelt poprowadził podopiecznego do zaparkowanego nieopodal mercedesa.

– Upiorna sprawa – odezwał się Lew, zajmując miejsce kierowcy.

– Dla Bukano z pewnością.

– Słucham?

– Wygląda na to, że tego nie zrobił, panie mecenasie.

– Cóż ty opowiadasz…

– DNA da się wytłumaczyć. Białego koloru skóry nie.

– Oczywiście, że się da.

– W jaki sposób?

Buchelt wycofał na Domaniewską i niepewnie włączył się do ruchu. Gdyby jechała za nim Chyłka, zapewne już kilkakrotnie przywaliłaby w kierownicę, licząc, że trafi w miejsce, gdzie znajdował się klakson.

Patron mruknął coś niezrozumiałego pod nosem. Oryński nie mógł się dziwić – wszystkie koncepcje, które podawałyby w wątpliwość zeznanie Marii T., były bezdennie głupie. Owszem, morderca mógł spodziewać się, że ktoś go zauważy, i ubrać coś jasnego pod ubranie. Owszem, światło poranka mogło sprawić, że kobieta źle dostrzegła kolor skóry. Ale jedno i drugie wyjaśnienie było naciągane i trudno spodziewać się, by jakikolwiek sąd dał im wiarę.

Kordian musiał przed sobą przyznać, że dawna patronka broni niewinnego człowieka. To ona stoi po właściwej stronie barykady. Ponownie.

Mercedes przeciął torowisko tramwajowe i skręcił w Woronicza. Lew nieco przyspieszył, ale nadal nie ryzykował ewentualnym mandatem.

– Zajmiesz się ustaleniem, jak Joanna odnalazła tego świadka – odezwał się.

– Nie wiem, czy to w ogóle możliwe.

– Postarasz się, kawalerze.

– Naturalnie – odparł Oryński. – Ale moje ostatnie spotkanie z Chyłką nie należało do najprzyjemniejszych.

Buchelt przez moment prowadził w milczeniu.

– Ta praca nie należy do najprzyjemniejszych – zauważył.

– Może i nie.

– Ja w każdym razie zajmę się ustaleniem, kim jest Maria T.

– To roztropne?

Patron spojrzał na niego z ukosa.

– Co masz na myśli? – burknął.

– Że to raczej pole działania prokuratury. Nie wiem, czy powinniśmy…

– Oczywiście, że powinniśmy – uciął szybko, jakby bał się, że rozmowa o etyce adwokackiej może okazać się dla niego niebezpieczna. – Sprawa cywilna, którą prowadzimy, zależy od tej sprawy karnej.

Kordian zastanawiał się, czy jest sens wchodzić w dalsze dywagacje. Trudno było liczyć na to, że uda mu się wyciągnąć cokolwiek z Borsuka. Jeśli był zamieszany w jakąkolwiek działalność przestępczą, będzie robił to, co umie najlepiej – milczał.

Mimo to Oryński postanowił spróbować.

– To nie usprawiedliwia naszego zaangażowania – powiedział.

– Jesteś w błędzie.

– Nie sądzę – odparł Kordian. – Rzeczy, które robimy, być może nie wypełniają znamion przestępstwa przeciwko wymiarowi sprawiedliwości, ale z pewnością znajdują się w etycznie szarej płaszczyźnie.

Lew obrócił się do niego na dłużej i młody prawnik zaczął się obawiać, że kierowca nie poświęca odpowiedniej uwagi drodze. W końcu Buchelt zwrócił wzrok przed siebie. Zatrzymał się na czerwonym świetle przed skrzyżowaniem z aleją Niepodległości.

– Niepokoi mnie kierunek, w którym zmierzasz – oznajmił.

– Zauważam tylko rzecz zupełnie oczywistą.

– Nie. Jest w tym zarzut pod moim adresem.

Oryński nie odpowiadał, licząc na to, że milczenie będzie wystarczająco wymowne. Kiedy światło zmieniło się na zielone i adwokat ruszył, Kordian zaczął zastanawiać się nad tym, czy dobrze robi, drążąc temat. Jeśli przesadzi, w najlepszym przypadku może zostać odsunięty od sprawy. W najgorszym może dojść do spotkania z kimś pokroju Gorzyma.

– Po prostu dziwi mnie, że tak się angażujemy – powiedział.

– A ja wytłumaczyłem ci, że nie ma powodu, byś się czemukolwiek dziwił.

– Nie?

Lew sprawiał wrażenie poirytowanego. Zacisnął usta i nerwowo zmienił bieg.

– A fakt, że Salus jest gotów na tyle zachodu tylko dlatego, żeby nie wypłacić Bukano pieniędzy? – kontynuował Kordian.

– To duża kwota.

– Nie na tyle duża, by to się opłacało.

– Oczywiście, że się opłaca. Koszty sądowe stanowią śmiesznie mały ułamek kwoty, o której mówimy.

– Dla Salusa to tyle, co nic.

Patron popatrzył na niego bykiem. Cienie pod oczami stały się jeszcze wyraźniejsze – trudno było nie zauważyć, że stary adwokat nie zażywa tyle snu, ile powinien. Może dręczyły go wyrzuty sumienia? Nie, Oryński uznał, że nie ma co gdybać. Być może zapuszczał się za daleko ze swoimi teoriami. Chyłka zawsze powtarzała mu, że szuka spisku nawet tam, gdzie dwoje ludzi rozmawia przyciszonym tonem.

Inna sprawa, że zazwyczaj nikt nie robił tak bez powodu. A podejrzenia Kordiana nieraz okazywały się uzasadnione.

– Zresztą to decyzja klienta – dodał Lew.

Robił się coraz bardziej rozmowny, co tylko zaniepokoiło Oryńskiego.

– Ale powinniśmy doradzić mu, żeby…

– Doradziłem, by nie wypłacać tej polisy.

– Dlaczego?

– Bo w mojej ocenie nie było ku temu podstaw. Prawo jest prawem.

– Mam wrażenie, że nie o prawo tutaj chodzi.

– A więc o co?

– Nie wiem. I może nie powinienem próbować się dowiedzieć.

Na twarzy Borsuka powoli wykwitł pobłażliwy uśmiech.

– Jestem zafascynowany inwencją i fantazją młodych ludzi – oświadczył, po czym westchnął przeciągle. – Zastanawiam się, czy ja również taką miałem w twoim wieku.

– Z pewnością, panie mecenasie. I przypuszczam, że będąc w moim wieku, podzielałby pan moje wątpliwości.

Uśmiech znikł szybciej, niż się pojawił.

– Nie podobają mi się twoje aluzje – powiedział Buchelt. – Toleruję różne zachowania, ale nie formułowanie wobec mnie bezpodstawnych zarzutów.

– Nie miałem zamiaru…

– Wystarczy, kawalerze.

Dojechali do Skylight w milczeniu. Oryński musiał przyznać, że rozmowa nie poszła najlepiej, ale właściwie czego miał się spodziewać? Przynajmniej potwierdził, że coś jest na rzeczy. W przeciwnym wypadku Lew z pewnością zareagowałby z większym oburzeniem.

Dokopanie się do tego, co robi Langer wespół z Salusem, zabierze mu znacznie więcej czasu i energii.

Wysiedli z samochodu na parkingu pod Pałacem Kultury. Oryński zamknął drzwi i popatrzył na patrona, który robił wszystko, by uniknąć jego spojrzenia.

– Może przesadzam – powiedział.

– W istocie tak jest, młody człowieku. Ale nie mam pretensji.

Aplikant skinął głową.

– Zastanawia mnie jednak jeszcze jedna rzecz.

– Jakaż to?

– Czy ten świadek z kapelusza mógł poświadczyć nieprawdę.

Było to absurdalne. Nikt w takiej sytuacji nie ryzykowałby trzyletnią odsiadką w więzieniu za składanie fałszywych zeznań. Rocznie w Polsce policja wszczynała blisko milion postępowań, a świadkowie kłamali raptem w trzech tysiącach przypadków. Dawało to prawdopodobieństwo rzędu trzech dziesiątych procenta.

Lew jednak zdawał się usatysfakcjonowany kierunkiem, w którym zmierza rozmowa. Może nawet liczył na to, że właśnie taka konkluzja pojawi się w głowie Oryńskiego.

– Zawsze istnieje taka możliwość – przyznał.

5
Wał Miedzeszyński, Saska Kępa

Chyba po raz pierwszy w życiu Chyłka uśmiechnęła się, zajmując miejsce na siedzeniu pasażera. Nie wynikało to z tego, że sprawiało jej to przyjemność – chodziło raczej o to, że nic nie mogło w tej chwili popsuć jej humoru.

Postanowienie o tymczasowym aresztowaniu Bukano zostało uchylone, a ona zamówiła Ubera, by odebrać klienta z Białołęki. Teraz jechali w stronę jej mieszkania, bowiem uparła się, że muszą to opić.

– Pan się zatrzyma przy Almie na Zwycięzców – poleciła kierowcy.

– Spożywczy jest też…

– Nie interesuje mnie spożywczy. Robię zakupy tylko tam.

– Ale to sklep eko. Naprawdę dobre miejsce.

– Eko?

– Tak.

Joanna powoli skierowała na niego wzrok, a potem włączyła w smartfonie program, przez który zamawiała transport.

– Da się w tej aplikacji zaznaczyć, że nie chcę z panem więcej jeździć?

– Słucham?

– To zwykłe pytanie. Od zwykłej, zadowolonej z życia kobiety.

– Ale ja…

– Spokojnie – ucięła. – Jak mam dobry dzień, lubię sobie pożartować. A dzisiaj mam wyjątkowo dobry. Za panem siedzi człowiek, któremu jeszcze niedawno groziło dożywocie za morderstwo ze szczególnym okrucieństwem. To znaczy nadal mu grozi, ale wyciągnęłam go z aresztu.

Kierowca głośno przełknął ślinę i spojrzał w lusterko wsteczne. Cygan wbijał wzrok w jakiś punkt za oknem, nie zwracając uwagi na to, co działo się z przodu. Chyłka spodziewała się, że będzie nieco

bardziej komunikatywny, biorąc pod uwagę, w którą stronę szła sprawa, ale Rom najwyraźniej wolał pogrążać się w swoich smętnych rozważaniach.

Samochód zatrzymał się przed Almą, a prawniczka podziękowała kierowcy, mówiąc, że dojdą na Argentyńską na piechotę. Mężczyzna przyjął to z ulgą, a potem czym prędzej odjechał.

– Bukano – upomniała klienta.

Rom stał przed sklepem z rękoma w kieszeniach, przywodząc na myśl jednego z tych, którzy uporczywie proszą przechodniów o kilka złotych.

– Tak? – zapytał i potrząsnął głową.

– Rozchmurz się. Życie jest piękne.

Popatrzył na nią jak na wariatkę.

– I będzie jeszcze piękniejsze, bo zaraz kupimy sobie po butelce dobrej tequili na łebka. Takiej z sombrero na zakrętce.

Czekała na to od dawna, ale i tak ze zdziwieniem przyjęła to, jak wiele radości może dać tak prozaiczna rzecz. Niemal tanecznym krokiem weszła do sklepu, a potem od razu skierowała się do stoiska z alkoholami.

Wybieranie odpowiedniej marki było samo w sobie czystą przyjemnością. Bukano wprawdzie stał z boku i nie wykazywał żadnego zainteresowania asortymentem, ale ona czuła, że jest w swoim żywiole. Mogłaby bez końca toczyć wzrokiem po kolorowych etykietach.

Weszli do jej mieszkania, taszcząc ze sobą kilka butelek. Joanna natychmiast zrobiła sobie drinka i usiadła na kanapie. Pociągnęła łyk i poczuła, że jest w niebie. Nic nie mogło zepsuć tego dnia.

Robert usiadł obok z butelką w ręce.

– Szklanki są w kuchni – odezwała się.

Pokręcił głową, a potem otworzył tequilę i pociągnął z gwinta.

– Chyba żartujesz – powiedziała.

Odłożył butelkę i otarł usta.

– Nie piję tego dla smaku – oświadczył.

– To trzeba było wziąć najtańszą wódkę.

– Nie ja wybierałem, prawda?

Musiała przyznać mu rację. Była tak rozanielona, że nie słuchała tego, co mówił. Włożyła do jego wózka to, co sama uznała za słuszne, a potem zajęła się swoimi sprawami.

– Coś ci zrobili w tym areszcie, że taki markotny jesteś?

– Ty chyba sobie żartujesz…

Nie pamiętała, kiedy dokładnie przeszli na ty, ale zazwyczaj działo się tak po pierwszej rozprawie, jeśli prawnik jawił się klientowi jako jego najlepszy przyjaciel, najodważniejszy obrońca i najgodniejszy zaufania wspólnik. W tym przypadku nie mogło być inaczej. Szczególnie biorąc pod uwagę triumf.

Stuknęła szklanką o butelkę i uniosła tequilę ponad głowę.

– Za syntetyzator mowy – powiedziała i opróżniła połowę trunku.

– Co takiego?

– Jakiś czas przed rozprawą dostałam anonimowy cynk – wyjaśniła, sięgając po paczkę marlboro. – A konkretnie namiar na tę Marię.

– Od kogo?

– Słowo „anonimowy” nic ci nie mówi? – zapytała z papierosem w ustach.

Rom wyciągnął rękę, a Joanna chętnie go poczęstowała. W dzień taki jak ten obdzieliłaby nawet wszystkich żuli spod Biedronki. Chwilę trwało, nim wyłuszczyła Bukano wszystko, co zrobiła od momentu otrzymania telefonu. Namierzenie kobiety nie należało do przesadnie skomplikowanych zadań, natomiast znacznie trudniej było dowiedzieć się czegokolwiek o dzwoniącym.

– Numer nie był zastrzeżony – powiedziała. – Ale to jednorazówka na kartę.

Robert Horwat zdawał się nie do końca ogarniać umysłem fakt, że ktoś anonimowo pomagał w jego procesie. Podobnie mętnie musiał odbierać wszystkie ustalenia, do jakich dzięki temu udało się dotrzeć.

Człowiek w czarnej masce zamordował i zgwałcił jego żonę i córkę. Do tej pory był to niesprecyzowany, niedookreślony sprawca, ale teraz każdy mógł naszkicować go sobie w wyobraźni.

– Można by to sprawdzić – odezwał się. – To znaczy… dotrzeć do sklepu, w którym kupiono tę kartę.

– Można by – potwierdziła Chyłka. – Gdyby tylko mieć ku temu narzędzia.

– Nie masz ich?

– Nie.

– A jednak ustaliłaś więcej od prokuratora…

– Bo anonim mi pomógł – odparła Joanna, po czym głęboko się zaciągnęła. – Ale spaliłam za sobą wszystkie mosty. Nie mam już dojścia do ludzi, którzy mogliby namierzyć dla nas tę osobę.

Było tylko dwoje ludzi, do których mosty jeszcze nie trzęsły się w posadach. Jednak Szczerbiński musiałby puścić w ruch policyjną maszynę i wkroczyć na drogę formalną, a Kormak powiadomić przełożonych. Chudzielec wprawdzie gotów byłby pomóc, ale sprawdzić coś w Internecie to jedno, a namierzyć obywatela, który kupił pre-paida, to zupełnie co innego. Zajęłoby mu to trochę czasu, musiałby odpowiedzieć na kilka niewygodnych pytań, a ostatecznie sprawa nie ukryłaby się przed Żelaznym ani McVayem.

Chyłka poczuła niepokój, myśląc o Brytyjczyku. Był to kolejny most, który podzielił niedawny los Łazienkowskiego. Po tym, jak orżnęła Harry'ego McVaya, imienny partner z byłej kancelarii nie odezwał się do niej słowem. To różniło go od Żelaznego – Artur natychmiast wykonałby telefon i zrugał ją z góry na dół. Harry był pragmatykiem. Wolał milczeć, wiedząc, że w ten sposób powie więcej niż podczas wielogodzinnego kazania.

Bukano popatrzył na butelkę, napił się, a potem podał ją prawniczce. Dolała sobie trochę do drinka.

– PNR, uważaj, bowiem nadchodzę – zapowiedziała.

– Co takiego?

– Nieważne, to rozumieją tylko wtajemniczeni.

– Czyli kto?

– Ja.

Zaległo milczenie. W końcu Robert podniósł się i poszedł do kuchni po szklankę. Joanna uznała to za znak świadczący o tym, że wraca do siebie. A może wypatrywała go zbyt szybko? W końcu klient dopiero opuścił białołęcki areszt śledczy. Nie mógł mieć tam łatwo.

Usiadł na fotelu, a Chyłka włączyła telewizor. Zmieniła stację na NSI, gdzie właśnie emitowano materiał związany ze sprawą.

Reporterka nazwała decyzję sądu przełomową i podkreśliła, że „makabra z Ursusa", jak media nazywały sprawę, ukazała się w nowym świetle.

Na podstawie ogólnodostępnych zeznań Marii T. sporządzono także portret zabójcy.

Oboje wbili w niego wzrok. Czarna maska była chłodna, beznamiętna, nie wyrażała absolutnie niczego. Dla lepszego efektu redakcyjny grafik dodał kaptur, który ukrywał pozostałą część głowy. Sporządzanie takiego portretu było bezcelowe, chyba że wziąć pod uwagę zalety marketingowe.

Bestia nagle stała się człowiekiem bez twarzy. Pod maską mógł kryć się każdy – sąsiad, przechodzień, listonosz… Joannie było to na rękę. Im większa obawa społeczna, tym większe ogólne przekonanie, że prawdziwy morderca nie został ujęty. To wywrze nacisk na organy ścigania i może dzięki temu Bukano będzie miał nieco większe szanse na sali sądowej.

– Uważasz, że to wystarczy? – odezwał się.

– Hm?

– Żeby mnie uniewinnić?

– Nie.

Czekał, aż coś doda, wyjaśni, że sprawy nie można na tym etapie rozpatrywać tylko w czerni i bieli, ale Chyłka milczała. Napiła się, zastanawiając nad tym, jaki powinien być ich kolejny krok.

– Więc mam się liczyć z powrotem za kratki?

– Nie.

Wpatrywała się bezmyślnie w maskę zabójcy. Czy mogła wyglądać tak, jak pokazywała to NSI? Zapewne tak, nie było wiele miejsca na inwencję twórczą grafika. Otwory na oczy, otwór na usta i wszystko.

– Więc co mam o tym wszystkim myśleć? – zapytał Bukano.

Spojrzała na niego i musiała przyznać, że jak na Cygana, jest wyjątkowo cierpliwy. Aż trudno było uwierzyć, że notorycznie kłócił się z żoną.

– Myśl, że masz świetną prawniczkę, która wyciągała z opresji ludzi znajdujących się w znacznie gorszej sytuacji niż ty.

– Naprawdę?

– Nie, ale dobrze to brzmi, prawda?

– Chcesz powiedzieć, że jestem twoim najbardziej beznadziejnym przypadkiem?

– Tak.

Zaległo ciężkie milczenie. Joanna wypiła jeszcze trochę, po czym odstawiła szklankę.

– Żartuję, Bukano – powiedziała. – Choć przyznam, że zanim pojawiła się Maria, mogłeś pretendować do takiego miana.

Spuścił głowę i Chyłce przemknęła myśl, że może powinna trochę mu odpuścić.

– Więc jakie mamy szanse? – zapytał.

– Zazwyczaj nie spekuluję na ten temat z klientem – odparła. – Ale niech ci będzie, że zrobię wyjątek. Szanse są dobre, a będą jeszcze lepsze, jak zaczniemy trochę pracować publicznie.

– Co masz na myśli?

Podniosła się i poszła po aparat fotograficzny.

– Co robisz? – zapytał Bukano.

– Siedź tam i nie ruszaj się.

Wróciła po chwili z canonem EOS 600D. Była to przyzwoita, kilkuletnia lustrzanka, która robiła świetne zdjęcia i kręciła wcale nie najgorsze filmy. W tym przypadku Joanna zamierzała skorzystać z tego drugiego dobrodziejstwa.

Ustawiła aparat na szafce obok, spojrzała w wizjer i skrzywiła się. Kadr niespecjalnie pasował. Rozejrzała się i dostrzegła książkę niejakiego Roberta Galbraitha, którą od pewnego czasu miała zamiar przeczytać. Użyła jej jako podstawki i uznała, że jeśli w roli lektury sprawdzi się równie dobrze, jak w tej, czeka ją ciekawa przygoda.

Sprawdziła jeszcze raz kadr i przełączyła aparat na tryb nagrywania. Bateria była naładowana, powinno wystarczyć na kilka prób. Prawniczka wątpiła, by za pierwszym razem się udało.

– Co ty robisz?

– Virala.

– Nie rozumiem…

– Będziesz pierwszym Cyganem w Polsce, którego społeczeństwo będzie chciało bronić.

Patrzył na nią jak na wariatkę, a kiedy sama usłyszała swoje słowa, uznała, że całkiem zasadnie.

– Będziesz mówił to, co ci zaraz przekażę. Potem wrzucimy nagranie na YouTube'a, zalinkujemy na Wykopie, a potem prześlę je do kilku znajomych dziennikarzy. W tej grupie zawodowej jest jeszcze parę osób, które odbierają telefony ode mnie.

– Zalinkujemy… na Wykopie?

– Mhm – potwierdziła. – I nie patrz tak na mnie, wiem, co robię. Mam znajomego, który orientuje się w tym wszystkim na tyle dobrze, że ja też coś podchwyciłam.

– Nie jestem przekonany do tego pomysłu…

– Więc napij się jeszcze trochę – odparła i spojrzała na niego w sposób nieznoszący sprzeciwu.

Dwa razy nie musiała mu powtarzać. Kiedy opróżnił szklankę, był gotowy, by zapamiętać kilka punktów wystąpienia, które mu wyłożyła. Chyłka miała nadzieję, że tyle wystarczy, by uruchomić internautów.

Na prawicowców nie miała co liczyć, sama jeszcze kilka tygodni temu albo zignorowałaby taki materiał, albo kliknęła „Lubię to!", chcąc wyrazić swój stosunek do tego, co spotkało Cygana. Wśród lewicowców powinno być lepiej, mieli nadmierne pokłady empatii, które aż prosiły się o to, by spożytkować je na poszkodowanego Roma.

– Dobra – powiedziała, ustawiwszy wszystko. – Jedziemy z tym koksem.

Robert Horwat odchrząknął, poprawił się i spojrzał w obiektyw. Joanna włączyła nagrywanie. Kiedy przez kilka chwil nie mógł wydusić z siebie słowa, Chyłka ponagliła go ruchem ręki.

– Od czego mam zacząć? – zapytał skrępowany.

– Od tego, co się stało.

Nabrał tchu i zaczął opowiadać wszystko chronologicznie. Początkowo szło mu opornie, ale kiedy wypity alkohol w końcu zrobił swoje, Bukano zaczął terkotać jak katarynka. Mówiąc o córce i żonie miał łzy w oczach, szczególnie gdy wspominał o tym, że ostatnia rozmowa z Patrycją była kłótnią.

Po kilkunastu minutach Joanna zrobiła przerwę. Nie chciała, by przekaz był zbyt długi – przeciętny internauta oczekiwał, że *content* będzie treściwy i poznanie go nie zajmie zbyt wiele czasu,

przynajmniej tak twierdził Kormak. Przytaczał kiedyś Chyłce badania udowadniające, że odwiedzający daną stronę spędza na niej raptem piętnaście sekund. Jeśli wziąć pod uwagę, że większość tego czasu sprowadza się do przewijania w dół, a nie czytania, trzeba było cudów, by przykuć uwagę odbiorcy.

Prawniczka wiedziała, że potrzebuje mocnego początku.

– Dobra – odezwała się i napiła tequili. – Powiedz teraz, że to wszystko by cię nie spotkało, gdyby nie to, że jesteś Romem.

Spojrzał na nią niepewnie.

– Potem dasz do zrozumienia, że państwo nękało cię, kiedy ty byłeś w żałobie po tej stracie. Wtrącili cię do aresztu wydobywczego i przeszedłeś tam prawdziwe piekło.

– Naprawdę mam to…

– Tak – ucięła. – A im bardziej przesadzisz, tym lepiej. Z tego fragmentu o więzieniu wytnę smakowitsze kawałki i zlepię je w kilkunastosekundową zapowiedź na początku filmiku.

Mruknął coś pod nosem i pokręcił głową.

– Robiłaś to już kiedyś? – zapytał.

– Nie, ale nasłuchałam się sporo od pewnego chudzielca w okularach.

– Więc jesteś pewna, że właśnie tak chcemy do tego podejść?

– Tak. Zagramy na dyskryminację, to cudowny obuch.

Robert zdawał się nieprzekonany, ale wykonał jej polecenie, powtarzając dokładnie te słowa, które dla niego przygotowała. Potem zmontowała wszystko w iMovie, korzystając z pomocy jakiegoś chłopaka, który na YouTubie tłumaczył wszystko jak krowie na rowie. Ostateczny efekt pozostawiał nieco do życzenia pod względem montażu, ale program właściwie sam wygładził to, co dało się wygładzić. Samo meritum Joanna uznała za udane.

– Co teraz? – zapytał Bukano.

Obróciła do niego laptopa i pokazała mu wgrane nagranie. Miało jedną odsłonę.

– Teraz wyślę linka do wszystkich tych lewicowych dziennikarzy, których przez ostatnie lata chciałam udusić – zapowiedziała.

– I to wystarczy?

– Jesteś poszkodowany, Bukano. Państwo skrzywdziło cię tylko dlatego, że twój kolor skóry odbiega od tego, który ma większość obywateli. To wielka niesprawiedliwość.

– Usłyszałem w twoim głosie nutę kpiny?

– Możliwe. Ale to tylko wynik mojego ogólnego podejścia do życia – odparła Chyłka, uśmiechnęła się, a potem zaczęła rozsyłać filmik.

Miała nadzieję, że szybko trafi do Piotra Langera. W trakcie tyrady na temat dyskryminacji Romów w Polsce Bukano napomknął także o tym, że firma Salus od pierwszych chwil po śmierci córki i żony zadeklarowała, że nie wypłaci polisy.

Joanna rzuciła Langerowi wyzwanie. I czekała, aż na nie odpowie.

6
Gabinet Oryńskiego, Skylight

Kordian pojawił się w pracy na długo przed godziną szczytu. Zrobiłby to nawet, gdyby sytuacja nie była kryzysowa – a właśnie na taką się dzisiaj zanosiło. Jeszcze w domu, przy śniadaniu składającym się z owsianki i kawałków owoców przejrzał prawnicze portale informacyjne i natknął się na niepokojący artykuł.

Nie miał jeszcze wielu odsłon, ale nie ulegało wątpliwości, że niebawem ta sytuacja się zmieni. W artykule zagnieżdżone było nagranie, które z pewnością zainteresuje nie tylko jurystów śledzących „makabrę z Ursusa", ale także gros innych ludzi.

„Kolor skóry najpierw go pogrążył. Teraz go uratuje?" – brzmiał nagłówek. Zaraz po nim następowała krótka charakterystyka sprawy dla tych wszystkich, którzy nie śledzili jej na bieżąco.

Kordian nie musiał czytać artykułu, filmik za to obejrzał z uwagą. Kiedy skończył, wiedział już, że ten dzień nie będzie należał do udanych. Umościwszy się za biurkiem w Skylight, włączył nagranie jeszcze raz. Lepiej było dobrze się z nim zaznajomić, zanim Buchelt zacznie go wypytywać o wszystko, co z nim związane.

Bukano zaczął od opisywania, jak współwięźniowie dali mu w kość na Białołęce, a władze aresztu udawały, że wszystko jest w jak najlepszym porządku.

Potem mówił o tym, że zabójca wciąż jest na wolności, ponieważ organy ścigania przez długie tygodnie skupiały się wyłącznie na tym, by znaleźć obciążające go dowody. Ostatecznie skwitował, że gdyby nie jego kolor skóry, być może sprawiedliwość do tej pory by zatriumfowała. O to mu bowiem chodziło. Nie miał pretensji do państwa, zdawał sobie sprawę z trudności, jakie mogą go spotkać, kiedy żenił się z Polką. Nigdy nie spodziewał się równego traktowania, wiedział, że to mrzonka.

Już w szkole podstawowej traktowano go jak człowieka drugiej kategorii. Mówi się, że dzieci nie zauważają odmienności, nie zwracają uwagi na kolor skóry, ale to nieprawda. Wytykano go palcami, twierdzono, że jest niedorozwinięty, pochodzi z szemranej rodziny i źle mówi po polsku.

– Siedmioletnie dzieci same tego nie wymyślały – mówił Bukano w nagraniu. – Skądś wyniosły takie przekonania, które lotem błyskawicy rozeszły się po klasie.

Oryński wyjął elektronicznego papierosa i zaciągnął się.

– Wytrzymałem osiem lat – ciągnął Bukano. – Na początku mówiłem nauczycielom, kiedy coś było nie tak, potem przestałem. Jeśli dochodziło do jakichś sporów, rację zawsze miał Polak. I tak zostało do dzisiaj.

Kordian musiał przyznać, że Robert Horwat sprawia wrażenie poszkodowanego. Mówił bez pretensji, ze spokojem, jakby przez te wszystkie lata tak się przyzwyczaił do dyskryminacji, że jej symptomy nie miały już dla niego żadnego znaczenia.

Niedobrze. Sąd wprawdzie nie rozpatrywał sprawy pod tym kątem, ale było przecież trzech ławników, którzy łatwo uginali się pod presją społeczną, mimo że sami zapewne twierdzili inaczej.

– Choć nie popełniłem w całym moim życiu żadnego przestępstwa, od urodzenia traktowano mnie jako przestępcę – ciągnął Bukano. – Wrzucano mnie do jednego worka z tymi, którzy kradną, biją i oszukują. A nie wszyscy są tacy, zdecydowana większość z nas chce po prostu spokojnie żyć. I chętnie widzielibyśmy tych kryminalistów za kratkami. Nie różnimy się w tym względzie od innych obywateli Polski, którym zależy na spokoju.

Kordian spojrzał na telefon. Jeszcze milczał, ale niebawem się to zmieni.

– Nigdy nie pobierałem zasiłku, pracowałem legalnie, od kiedy tylko mogłem. A Romowi nie jest łatwo znaleźć pracę. Nawet jeśli mamy odpowiednie wykształcenie, często słyszymy już na wstępie, że „Cyganów nie przyjmujemy". Robiłem jednak, co mogłem. Bieliłem płoty, pracowałem przy remontach dróg, w końcu zatrudniłem się w ogrodnictwie, a ostatnio na budowie osiedla na Ursynowie. Mimo to jestem przyzwyczajony do tego, że patrzy się na

mnie jak na pijawkę. To dla mnie norma, a odstępstwem jest, kiedy ktoś okazuje życzliwość. Wszystko zaczęło się, kiedy poszedłem do szkoły. Musiałem walczyć, by psycholog nie wydał mi zaświadczenia o upośledzeniu, bo to starał się zrobić na prośbę nauczycieli. Utrzymywali, że podobnie jak większość moich pobratymców muszę zostać przeniesiony do szkoły specjalnej, bo nie radzę sobie tak dobrze, jak inne dzieci. Miałem problemy językowe, kulturowe, w końcu naukowe… i nikt nie dał mi szansy, musiałem sam ją wyrwać losowi. Dokładnie tak jak teraz.

Oryński zatrzymał filmik. Dobrze pamiętał, co jest dalej, i uznał, że nie musi po raz drugi tego oglądać. Otworzył kancelaryjną skrzynkę, przejrzał kilka wiadomości, a potem sprawdził, czy portale informacyjne dotarły już do nagrania.

Pojawiało się tu i ówdzie, ale bez większego odzewu. Pora była jeszcze jednak wczesna i nie łudził się, że taka sytuacja długo się utrzyma. Ludzie interesowali się makabrycznym zabójstwem i gwałtem, szczególnie od kiedy pojawiła się postać w czarnej masce. Chętnie przekonają się, kim jest człowiek, który do tej pory był głównym podejrzanym.

Kordian nie spostrzegł się, nim wybiła ósma. Jego telefon wciąż milczał, ale w końcu rozległo się pukanie do drzwi. Nie pozostawiało wątpliwości, że zaczyna się wyjątkowo paskudny dzień. Przypuszczał, że sam patron pofatygował się do jego gabinetu.

– Proszę – powiedział, podnosząc wzrok znad laptopa.

Szybko przekonał się, jak bardzo się pomylił. Artur Żelazny uchylił drzwi i wszedł do środka. Młody prawnik natychmiast się podniósł i przez moment sam miał wrażenie, że machinalnie zasalutuje. Ograniczył się jednak do stanięcia niemal na baczność.

– Siadaj, chłopcze – odezwał się imienny partner.

Oryński czym prędzej tak zrobił.

– Obejrzałem właśnie wyjątkowo niepokojącą rzecz.

– Nagranie Bukano.

– Nie, nagranie Chyłki – odparł Żelazny, rozglądając się po pomieszczeniu, które w porównaniu do jego gabinetu było jedynie niewielką klitką. – Ten Cygan jest tylko marionetką, to wszystko jej słowa.

– Nie wiem, czy…

– Potrzeba tutaj jakiegoś fotela – zauważył Artur, poprawiając spinki do mankietów. W końcu odsunął sobie krzesło i usiadł przed biurkiem. – Choć z drugiej strony na stanowisku junior associate może nie jest potrzebny.

Kordian pokiwał głową.

– Rozumiem, że nie ma możliwości, żeby tej sprawie ukręcić łeb? – zapytał Żelazny.

– Niestety nie.

– To niedobrze. To bardzo niedobrze.

– Nie powinno zmienić to nastawienia sądu co do…

– Nie interesuje mnie sprawa karna – wpadł mu w słowo Artur. – Liczy się to, jaka będzie presja opinii publicznej przed naszą rozprawą. I nie widzę tego najlepiej.

Oryński spojrzał na zatrzymane nagranie. Musiał zgodzić się z szefem.

– Chyłka robi nam smród – dodał Żelazny. – Wiedzieliśmy, że tak będzie, ale to, co się teraz dzieje, sprawia, że kończy mi się cierpliwość. Najpierw świadek z kapelusza, teraz ten film. To się musi skończyć.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– I co zamierzasz zrobić?

Kordian spojrzał na przełożonego z zaciekawieniem. Przypuszczał, że w pierwszej kolejności Artur skieruje się do Lwa Buchelta, tymczasem najwyraźniej wybrał jego. Czyżby rzeczywiście nadchodził czas borsuczej emerytury? A może chodziło o to, że Oryński był w stanie więcej zdziałać w sprawie Joanny?

– Nie mam jeszcze konkretnego planu – odezwał się aplikant.

Znał Żelaznego na tyle, by wiedzieć, że kluczenie w tym temacie nie przyniosłoby niczego dobrego. Obaj imienni partnerzy doceniali szczerość – choć mówienie prawdy przychodziło pracownikom znacznie łatwiej w obecności Harry’ego McVaya.

– Wymyśl coś – polecił Artur. – A na razie przyjmij standardową technikę: strona przeciwna wykorzystuje kolor skóry swojego klienta, by zakłamywać rzeczywistość.

– Nie wiem, czy to roztropne.

– Doprawdy?

Oryński pokiwał głową z przekonaniem.

– W takim razie co uważasz za roztropne?

– Wypłacenie polisy.

– Słucham?

Kordian oparł ręce o blat i pochylił się w stronę szefa.

– Uważam, że to w tej chwili jedyna opcja, która pozwala Salusowi uniknąć marketingowego blamażu – oznajmił. – W dodatku jeśli pójdziemy na ugodę, być może uda się zmniejszyć wysokość roszczenia.

Artur Żelazny milczał na tyle długo, że Oryński zaczął myśleć, iż popełnił *faux pas*. Może ugadywanie się z Joanną stanowiło absolutnie niedopuszczalne rozwiązanie? Przełożony nie wydawał się małostkowy, ale Kordian musiał przyznać, że tak dobrze go nie znał. Znacznie bliżej był z Brytyjczykiem.

– To nie wchodzi w grę – orzekł w końcu Artur i podniósł się.

– Dlaczego?

– Bo takie jest życzenie klienta.

– Jako jego reprezentanci powinniśmy doradzić mu…

– Nie.

– Proszę pozwolić mi choć spróbować. Przedstawię wszystkie za i…

– Powiedziałem: nie.

Oryński przyjął odmowę, potwierdzając ruchem głowy. Przez moment patrzyli na siebie i mimo że imienny partner wstał, najwyraźniej nie miał jeszcze zamiaru opuszczać biura. Sprawiał wrażenie, jakby chciał poruszyć jeszcze jakiś temat.

Kiedy milczenie znów zaczęło niepokojąco się przeciągać, Kordian odchrząknął.

– Panie mecenasie… – zaczął. – Zastanawia mnie udział Piotra Langera w całej sprawie.

– Mhm.

– W dodatku wydaje się wykraczać poza swoją pozycję w Salusie.

– Nie ma co gdybać – uciął Żelazny, a potem odwrócił się i otworzył drzwi. – Znajdź sposób na Chyłkę – dodał na odchodnym, po czym wyszedł na korytarz.

Temat najwyraźniej stanowił tabu. Artur doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co Kormakowi udało się odkryć w sprawie Sadysty z Mokotowa. Harry McVay również był tego świadomy. Obaj musieli wiedzieć, że najroztropniej dla firmy jest trzymać się z dala od ludzi takich jak Langer.

A mimo to przełożony nie chciał nawet o tym rozmawiać.

Kordian znów dobył e-papierosa, ale zamiast pociągnąć, obracał go tylko między placami. Wbijał niewidzący wzrok w monitor, zastanawiając się. Bukano był niewinny, a jego córka i żona nie zostały przypadkowymi ofiarami.

Ale w takim razie dlaczego zginęły? I dlaczego zabójca odebrał im życie w tak bestialski sposób? Jeśli chciał wysłać komuś wiadomość, ukarać kogoś lub zaznaczyć swoją obecność, mógł to zrobić dobitniej, zaoszczędzając sobie ryzyka.

Oryński rozmasował skronie. Rozwiązanie zagadki śmierci Patrycji i Aiszy mogło nie mieć związku z Salusem. Nawet jeśli śledczym uda się odkryć wszystkie karty trzymane przez mordercę, być może nie będzie to miało żadnego wpływu na sprawę, która nie dawała spokoju Kordianowi.

Potrząsnął głową. Należało zająć się swoją działką, nie wchodząc w paradę organom ścigania. Niech proces karny toczy się swoim torem, kancelaria Żelazny & McVay musiała zająć się walką na swoim froncie.

Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić, pomyślał Kordian. Przetoczył elektronicznego papierosa od małego palca do wskazującego, a potem go odłożył. Podniósł komórkę i wyświetlił listę kontaktów. Gdyby zastanowił się nad tym, co zamierza zrobić, zapewne szybko by zrezygnował. Wolał więc się nie zastanawiać.

Joanna odebrała po drugim sygnale.

– Już wysuszyli ci głowę? – zapytała.

Oryński przełożył telefon do drugiej ręki.

– Tak – powiedział.

– Buchelt czy Stary?

– Stary.

– Kazał ci mnie spacyfikować?

– Tak.

– I co mu powiedziałeś?

– Skłamałem, że to niemożliwe.

Biorąc wszystko pod uwagę, musiał uznać, że rozmowa nie szła najgorzej. Joanna doskonale zdawała sobie sprawę ze wszystkiego, co zrobił. Nie łudził się nawet, że jego udział w odebraniu jej prawa jazdy pozostanie niezauważony.

– Ten filmik was pogrążył – powiedziała.

– Zobaczymy podczas rozprawy w cywilnym. O ile do niej dojdzie.

– Dojdzie, Zordon, dojdzie – zapewniła go. – I zapamiętasz ją na długo.

Nabrał tchu, ale nie zdążył odpowiedzieć.

– Co więcej, doskonale zdajesz sobie z tego sprawę – ciągnęła. – I dzwonisz, bo chcesz wybadać, czy bylibyśmy gotowi pójść na ugodę.

– W żadnym…

– Przypuszczam, że tym samym urządzasz sobie samowolkę, bo Salus jest zbyt zdeterminowany, by na to pozwolić.

Kordian zaklął w duchu.

– Mogłabym z tobą negocjować, przyjąć ofertę, a potem zadzwonić do Salusa i powiedzieć, jak bardzo jesteśmy zadowoleni z tych ustaleń. Zniszczyłabym ci karierę ot tak. Wiesz o tym?

Przełknął ślinę. Zrozumiał, że ten telefon był błędem. Jeszcze kilka tygodni temu mogliby rozmawiać jak skłóceni starzy znajomi, teraz jednak byli dla siebie niczym najgorsi wrogowie. Gdy ta myśl nadeszła, Oryński poczuł, jakby zbierały się nad nim chmury.

– Ale nie zrobię tego – powiedziała. – Bo nie jestem świnią.

Mógłby polemizować. Nieraz wycinała ludziom różne numery. Nie odezwał się jednak słowem.

– Milczący się zrobiłeś – zauważyła. – A to zapewne dlatego, że wspominasz swoje skurwysyńskie posunięcie z policją.

– Nie moja wina, że piłaś.

– Zamknij się, Zordon.

– Poza tym…

– Nie słyszałeś? – ucięła ostro. – Kazałam ci się zamknąć.

– Posłuchaj…

– A zrobiłam to po to, żebyś to ty mógł posłuchać – dopowiedziała. – Nie żywię urazy. Robiłeś, co musiałeś. Nie jestem też zaskoczona, bo spodziewałam się po tobie najbardziej perfidnych rzeczy. Pensja uderzyła do głowy, co?

– Niezupełnie, bo…

– Jedyne, co mnie zaskoczyło, to Langer – powiedziała i westchnęła. – W tej chwili mam o tobie wyjątkowo niskie mniemanie, Zordon, ale w życiu nie spodziewałam się, że wejdziesz do łóżka z tym człowiekiem.

Przez chwilę oboje milczeli. W tej ciszy wymienili prawdopodobniej więcej wiadomości niż za pomocą słów. Oryński wrócił myślami do swojej pierwszej sprawy, Chyłka z pewnością też myślała o jego początkach w firmie. Nie musieli nic mówić, oboje pochylali się nad przeszłością i utraconą przyszłością, jakby stali nad grobem.

– Cóż… – podjęła Joanna. – Miło się rozmawiało, a teraz wracam do klienta. Mamy wywiad w NSI.

– Co takiego?

– Oglądaj na żywo o szesnastej.

Nie zdążył odpowiedzieć, bo prawniczka się rozłączyła. Kordian spojrzał na telefon i odłożył go na biurko. Rozpoczynał się medialny cyrk, który szybko wymknie się spod kontroli. Viral w Internecie to jedno, ale wywiad w ogólnokrajowej telewizji to zupełnie co innego. Inny zasięg, inny target. Dla adwokata znacznie bardziej pożądany.

Przez kolejne godziny Oryński starał się skupić na co istotniejszych orzeczeniach w sprawie ubezpieczeń i polis na życie. Przeglądał wyroki, ale za każdym razem zdołał przeczytać góra kilka stron, zanim zaczynał odpływać myślami.

Najpierw w kierunku Joanny, a potem w stronę Bukano, jego rodziny i mordercy. Kordian chętnie porzuciłby dalsze babranie się w wyrokach cywilnych i skupił na tym, jak wybronić Roma. Zazdrościł Chyłce sposobności, by rzeczywiście dokonać czegoś moralnie właściwego.

Schował elektronicznego papierosa do kieszeni marynarki i westchnął. Sam wybrał tę drogę, nie było sensu się nad tym rozczulać. Jeśli chciał bronić tych dyskryminowanych, trzeba było iść

do Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka, nie do kancelarii Żelazny & McVay, która była maszynką do robienia pieniędzy.

Tuż przed szesnastą Kordian zamknął laptopa i poszedł do jednej z sal konferencyjnych. Na miejscu zastał Buchelta i Kormaka, stojących przed włączonym telewizorem.

– NSI? – upewnił się Lew.

– Tak – odparł chudzielec.

Zajęli miejsca przy niewielkim stole. Pomieszczenie przeznaczono na spotkania z mniej zamożnymi klientami, więc siłą rzeczy korzystano z niego raczej rzadko. Było to także jedyne miejsce w firmie, gdzie znajdował się telewizor.

Kormak podniósł pilota i podgłośnił. Nie był to może *prime time*, ale program miał duży zasięg i szerokie grono zwolenników. Dziennikarka, która go prowadziła, uchodziła za rzetelną i niemal bezstronną.

Powitała dwoje gości, a potem wyemitowała filmik, który do tej pory zdążył sprawdzić w Internecie każdy z widzów. Potem przystąpiła do dzieła. Na pierwszy ogień poszło pytanie o to, kto mógł chcieć śmierci córki i żony Bukano.

Rom zdawał się zbyt roztrzęsiony, by odpowiedzieć, więc inicjatywę szybko przejęła Chyłka. Zwróciła uwagę na to, że jej klient jest skonfliktowany z całym środowiskiem cygańskim, a jeden z jego dawnych przyjaciół zachowywał się, jakby umyślnie zacierał ślady w swoim mieszkaniu.

– Niestety nie mogę powiedzieć więcej – oznajmiła Joanna, przechylając głowę na bok. – Toczy się postępowanie w sprawie.

„W sprawie” było zgrabnym określeniem, bo sugerowało, że chodzi o tę sprawę. Tymczasem w rzeczywistości oznaczało to jedynie tyle, że trwa procedura *in rem*, a nie *in personam*, czyli przeciwko konkretnej osobie. Było to pewne nagięcie faktów, ale na potrzeby wywiadu telewizyjnego uzasadnione. Samorząd adwokacki z pewnością nie pomyśli nawet o tym, by Chyłkę ukarać, tymczasem prawniczce udało się zasiać ziarno wątpliwości.

Joanna pilnowała kierunku, w którym zmierzał wywiad. Rozmawiali głównie o niechęci innych Romów wobec Bukano i pojawiła się jasna

sugestia, że mogło mieć to coś wspólnego ze śmiercią Patrycji i Aiszy.

Potem Bukano przeszedł do opisywania trudnej przeszłości. Z całego wywiadu wyłaniał się obraz osoby skrzywdzonej przez los, pogrążonej w żałobie i niesłusznie uciskanej przez aparat państwowy.

Kropką nad i były krótkie wspomnienia Roberta z czasów, gdy zaczynał spotykać się z Patrycją. Nie raz i nie dwa nie wpuszczono go do restauracji, mimo że miał na sobie strój niemalże galowy. Kilkanaście razy musieli wracać do domu na piechotę, taksówkarze odmawiali bowiem przewozu Cygana. Takich przeszkód na swojej drodze młoda para miała bez liku – zarówno ze strony Polaków, jak i Romów.

Po zakończeniu programu trudno było wciąż uważać, że Bukano mógłby zabić swoją żonę.

Kordian bezwiednie wyjął e-papierosa. Pomyślał, że przydałby mu się prawdziwy, a kiedy poczuł na sobie ciężkie spojrzenie patrona, uznał, że nikotyna raczej nie wystarczy, by ukoić zszargane nerwy.

– Dowiedziałeś się czegoś? – zapytał Buchelt.

– Niestety nie, panie mecenasie.

Borsuk powoli obrócił się do Kormaka.

– A ty?

– Wiem, że Maria T. została dziś przesłuchana w prokuraturze – odparł szczypior.

– Znamy treść tych zeznań?

– Nie.

– Zakierski się wzbrania przed przekazaniem?

– Nie mam z nim kontaktu – odparł obojętnie Kormak, po czym spojrzał w kierunku drzwi. – Mogę już iść?

– Naturalnie.

Kordian odprowadził go wzrokiem, a potem przeniósł go na telewizor. Rozpoczynał się program informacyjny, w którym powtarzano wszystko to, co przed momentem wyemitowano w paśmie wywiadów. Dźwięk na szczęście był wyłączony.

– Spotkasz się z Mateuszem Zakierskim, kawalerze – polecił Lew. – Dowiesz się, jakie postępy poczynił w sprawie.

– Nie wiem, czy będzie skłonny rozmawiać.

– Będzie. Zadbamy o to.

Liczba mnoga użyta w takiej rozmowie zawsze budziła niepokój. Oryński nie musiał być zwolennikiem teorii spiskowych, by poczuć się nieswojo. Na usta cisnęło mu się pytanie, kto konkretnie kryje się pod pojęciem „my", ale ugryzł się w język.

Jakiś czas później zadzwonił do Zakierskiego, by umówić się na spotkanie. Był wieczór, jeszcze pora pracy adwokata, ale dawno po godzinach dla prokuratora. Mimo to Mateusz odebrał służbowy telefon.

Zanim Kordian zdążył zaproponować mu termin spotkania, wiedział już, że będzie to bezcelowe.

– Wycofujemy zarzuty – oznajmił na powitanie Zakierski.

– Co takiego?

– Materiał dowodowy przemawia na korzyść tezy, że Robert Horwat nie był sprawcą.

Oryński nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć.

– Ale mój klient…

– Nie interesuje mnie już twój klient – uciął prokurator.

– Macie przecież dowód z DNA.

– Który sam w sobie świadczy tylko o tym, że kobieta go zadrapała.

– Posłuchaj…

– Słuchałem wystarczająco długo – odparł stanowczo Zakierski. – Przekaż ludziom z Salusa, że jesteście zdani na siebie.

Nie czekając na odpowiedź, rozłączył się. Kordian trwał w bezruchu z telefonem w ręce, zastanawiając się, co począć. W końcu wybrał najbezpieczniejszą ewentualność – poinformował patrona o tym, że na prokuraturę nie mają co liczyć.

– Wycofali już zarzuty? – zapytał Buchelt.

– Nie, chyba dopiero zamierzają.

– Świetnie.

– Świetnie?

– Zadbamy, by to zatrzymać.

Oryński nie sądził, by było to możliwe. Nazajutrz przekonał się jednak, że kogokolwiek patron miał na myśli, używając liczby

mnogiej, najwyraźniej potrafił dokonywać rzeczy niemożliwych.

7
ul. Argentyńska, Saska Kępa

Obudziwszy się bez bólu głowy, Chyłka była pewna dwóch rzeczy. Po pierwsze, alkohol jeszcze działał. Po drugie, tego dnia prokuratura wycofa zarzuty wobec jej klienta.

Pierwszą kwestię szybko zweryfikowała. Ledwo podniosła się z łóżka, świat zawirował jej przed oczami. Zaśmiała się do siebie i spojrzała na pościel w poszukiwaniu niespodziewanego towarzysza. Nie pamiętała wszystkiego, co działo się zeszłej nocy, więc nie mogła być pewna, czy spała sama.

Po tym, jak z Bukano osuszyli butelkę tequili, wyszli świętować na miasto. Jeśli wcześniejsze kontakty ze Szczerbińskim mogły o czymkolwiek świadczyć, to istniało pewne prawdopodobieństwo, że po niego zadzwoniła. Pijacki umysł pewnie uznałby to za ostatecznie przypieczętowanie zwycięstwa – oto oskarżony i stróż prawa imprezowaliby razem w najlepsze.

Po aspirancie jednak nie było śladu. Joanna weszła do salonu i rozejrzała się. Dostrzegła kilka pustych butelek po piwie, co oznaczało, że wraz z Bukano kończyli świętowanie na Argentyńskiej.

Tyle było jasne. To, co działo się wcześniej, schowało się gdzieś w mroku alkoholowej amnezji. Chyłka uśmiechnęła się do siebie, zataczając w kierunku komody. Uświadomiła sobie, że musiała skończyć pić stosunkowo niedawno.

Spojrzawszy na zegarek, przekonała się, że jest dopiero dziewiąta. Jej wersja właśnie się uprawdopodobniła.

Obróciła się z trudem i przeszła do łazienki. Pochyliła się nad ubikacją, a potem mechanicznie włożyła dwa palce do gardła. Nie bardzo wiedziała, ile zwróciła ani jak długo to trwało. Z każdym kolejnym haftem czuła się coraz gorzej, ale była świadoma, że tak musi być. Potem położy się na chwilę, przyśnie, a kiedy się obudzi, będzie jak nowo narodzona.

Kiedy wróciła do sypialni, zobaczyła, że dioda na telefonie mruga. Właściwie nie musiała dzisiaj z nikim rozmawiać. Wszystko załatwiła wczoraj podczas wywiadu. Na jakiś czas miała luz i mogła spokojnie się upijać.

Sprawa karna pójdzie teraz zupełnie innym torem, a ona nie będzie miała z nią nic wspólnego. Wystarczyło tylko, by Zakierski zawczasu zdecydował się nie kompromitować i wycofał akt oskarżenia.

Postępowanie zostanie zakończone szybko i po cichu. Przed piętnastym lipca dwa tysiące piętnastego sytuacja byłaby bardziej skomplikowana – wycofanie aktu nie było dla sądu wiążące, stanowiło jedynie przesłankę, by umorzyć postępowanie. Teraz jednak było inaczej. Jeśli prokurator decydował się na takie posunięcie po pierwszej rozprawie, wystarczyło, by oskarżony się zgodził, a cały proces się kończył.

Dodatkową zaletą dla Chyłki było to, że nikt nie mógł ponownie oskarżyć Bukano o popełnienie tego samego czynu. Zastanawiała się jednak, czy Rom powinien zgodzić się na taki układ.

Jeśliby tego nie zrobił, z pewnością mógłby liczyć na wyrok uniewinniający, który wiązałby sąd cywilny w sprawie przeciwko Salusowi. Z czysto pragmatycznego punktu widzenia byłoby to wskazane, ale niestety wywołałoby pewien negatywny oddźwięk w mediach. Bukano zostałby pokazany jako osoba, która wbrew oskarżycielowi ciągnie proces, rozdrapuje własne rany i w końcu spowalnia pracę prokuratury, która w tym czasie powinna zajmować się ściganiem prawdziwego mordercy.

Nie, to nie wchodziło w grę.

Joanna spojrzała na telefon, przypuszczając, że to właśnie Zakierski próbuje się z nią skontaktować. Niemądrze byłoby teraz rozmawiać, przemknęło jej przez myśl. Z drugiej strony, co złego mogłoby się stać?

Miała już wszystko poukładane. Bez znaczenia było to, czy ma kaca, jest nawalona lub trzeźwa. Sięgnęła po paczkę papierosów, a potem po smartfona. Na wyświetlaczu nie widniał jednak numer prokuratora. Dzwonił ojciec – i to dwie godziny temu.

Naraz z głośnika telefonu ryknęły gitary i Joanna zobaczyła numer Kordiana. Nie zastanawiając się, odebrała.

Chwilę później paliła w milczeniu, myśląc o tym, co mówił – i o tym, czego nie powiedział.

Co się z nim stało? Kiedy przyszedł do Żelaznego & McVaya, wydawał się jednym z tych, którzy mają zdrowy ogląd na świat. Nie był beznadziejnym przypadkiem idealisty, który chciał ratować wszystkich wokół, ale nie był też karierowiczem. Znajdował się gdzieś pośrodku. Tymczasem teraz gotów był iść ramię w ramię z największymi gnidami, byleby nie stracić szansy na awans.

Joanna położyła się na łóżku, zwieszając nogi. Wbiła wzrok w sufit, pociągnęła jeszcze kilka razy papierosa, a potem z wpół przymkniętymi powiekami zgasiła go w popielniczce. Odpłynęła w błogą nieświadomość.

Trwała dość długo, a przerwał ją ten, kto najlepiej radził sobie z zatruwaniem jej życia. Pech chciał, że telefon miała pod ręką, więc od razu po niego sięgnęła.

– Tak? – zapytała zaspana.

– Próbowałem się do ciebie dodzwonić wczoraj w nocy, dziś rano i…

– I się nie udało – przerwała ojcu. – Czego chcesz?

– Spotkać się. Porozmawiać.

– O czym?

– O przyszłości – odparł niepewnie. – O Magdalenie, o tobie, o nas wszystkich.

Stara gadka, pomyślała Joanna. Słyszała dokładnie to samo przez pół dzieciństwa – przez drugie pół Filip był zbyt nawalony lub naćpany, by cokolwiek mówić. I były to momenty, które wspominała najlepiej.

– Jesteś tam? – zapytał.

– Tak.

– Nie proszę o wiele.

– My też nie prosiłyśmy o wiele – odpowiedziała nieco głośniej, niż zamierzała.

Popatrzyła w stronę salonu, obawiając się, że Bukano usłyszy rozmowę. Nie żeby mógł z tak lapidarnych odpowiedzi cokolwiek wywnioskować, ale strzeżenie swojej prywatności było dla niej czymś tak naturalnym, że myślała o tym mimowolnie.

Przez lata nie dopuszczała do swojej przeszłości nikogo, więc tym bardziej nie miała zamiaru pozwolić, by wgląd w nią uzyskał przypadkowy klient.

– Nie mogę teraz rozmawiać – oznajmiła.

– Daj mi chwilę, Joanno. Naprawdę nie musisz…

– Nie teraz.

– Jestem niedaleko. Mogę…

– Pojaw się w pobliżu mnie, a nigdy więcej nie odbiorę do ciebie telefonu, rozumiesz?

Odpowiedziało jej milczenie. Chyłka wiedziała, że będzie trwało tylko chwilę. Ich rozmowy zazwyczaj kończyły się tylko w jeden sposób.

– Rozumiem – powiedział w końcu.

Rozłączyła się, zanim zdążył się pożegnać. Potem cisnęła telefon na bok i położyła się z powrotem. Mimo późnej pory miała nadzieję, że pośpi jeszcze trochę. Nic nie stało temu na przeszkodzie, nie miała dziś żadnych obowiązków. Jeden dzień może zmarnować na spanie.

Sen jednak nie nadchodził, co zapewne miało coś wspólnego z nagłym spadkiem poziomu alkoholu we krwi. Joanna westchnęła i podniosła się poirytowana. Zrezygnowała z odpoczynku.

Szybko oporządziła się w łazience i weszła do salonu. Powiodła po nim wzrokiem i przekonała się, że Bukano musiał nieco uprzątnąć nocny bajzel. A może wcześniej tylko wydawało jej się, że panuje tu taki bezład?

Wzruszyła ramionami i skontrolowała pozostałe butelki. Wszystkie były opróżnione, więc zabrała kilka do kuchni, by nie mieć pustego przebiegu, a potem sięgnęła po swój zapas. Nie miała już dobrej tequili z sombrero. Teraz zostały jej tylko najzwyklejsze… najtańsze trunki. Po zmieszaniu z grenadyną nie czuć było jednak wielkiej różnicy. Szczęśliwie jej spożycia nie musiała ograniczać, nawet jeśli fundusze topniały – pięćset mililitrów kosztowało raptem piętnaście złotych, a nie potrzeba było tego wiele.

– Bukano! – krzyknęła. – Przestań się chować po kątach i chodź na drinka.

Nie odpowiedział. Chyłka zatrzasnęła szafkę, włożyła papierosa do ust i zabrawszy ze sobą szklankę, przeszła przez salon, kierując się do pokoju gościnnego. Nie fatygowała się, by zapukać.

W pomieszczeniu jednak nie został ślad po jej gościu. Łóżko było zaścielone i właściwie nie dało się stwierdzić, czy Rom tutaj nocował. Podrapała się po głowie i zamknęła drzwi. Miała wyrwę w pamięci. Może Bukano wezwał taksówkę i wrócił do siebie? Cóż, tym lepiej.

Weszła do pokoju dziennego, ułożyła się na kanapie i poczuła się cudownie. Żadnych obowiązków, żadnej sprawy ciążącej na umyśle, żadnej świadomości nadchodzących konfrontacji sądowych… Życie było takie, jak być powinno. Przynajmniej jeśli przymknęła oko na to, że nie ma wielkich perspektyw zawodowych. Ale tym zajmie się po sprawie cywilnej z Salusem.

Przeciągnęła się i dopiła drinka. Przez kilka chwil zmieniała kanały, nie odnajdując niczego ciekawego. Potem zatrzymała się na NSI. Trwał program o sytuacji politycznej na świecie i gadające głowy analizowały kolejną potencjalną falę uchodźców z Afryki.

Joanna oglądała bezmyślnie. Zastanawiała się nad tym, po jaką książkę dziś sięgnąć. Ma sporo czasu, zacznie czytać późnym popołudniem i nie ruszy się z fotela do wieczora. Musi tylko odpowiednio się…

Przerwała rozmyślania, widząc skrót najważniejszych wiadomości przewijających się na pasku informacyjnym.

„Prokuratura nie wycofała zarzutów wobec Roberta H.”, brzmiała lapidarna informacja. Joanna powiodła za nią wzrokiem, a kiedy znikła, zastąpiona przez wieść o wypadku na autostradzie A1, potrząsnęła głową.

Popędziła do sypialni po telefon. Szybko wybrała numer jedynej osoby, która mogła wiedzieć, co się dzieje – i jednocześnie być gotowa udzielić jej jakichkolwiek odpowiedzi.

– Co to, kurwa, ma być, Zordon? – zapytała, gdy odebrał.

– Masz na myśli…

– Mów!

– Uspokój się. Nie jestem prokuratorem i nie wiem, co…

– Wiesz doskonale, co się stało – przerwała mu. – Co macie na Zakierskiego?

– Daj spokój…

– Nie, nie wy – poprawiła się, machinalnie odpalając papierosa. – Salus… to znaczy Langer. To on wszystkim steruje, prawda?

– Nie wiem, kto czym steruje – odparł nieco ostrzej Oryński. – Ale ty na pewno nie kierujesz swoim zachowaniem.

Strzepnęła popiół do zlewozmywaka.

– Co to ma niby znaczyć? – syknęła.

– Że jesteś pijana.

– Nic ci do tego. Mam dzień wolny.

– W sądzie też miałaś?

– Goń się, Zordon.

– Nie, tym razem ty się goń – odparł, unosząc się. – Staczasz się coraz niżej, a najgorsze jest to, że robisz to z uśmiechem. Nie wiesz nawet, co…

Rozłączyła się, klnąc pod nosem. Zanim Oryński zdążył pomyśleć o tym, by do niej oddzwonić, wybrała kolejny numer. Skoro u Kordiana nie było szansy na uzyskanie odpowiedzi, być może jej znajomości w policji okażą się nieco bardziej pomocne.

Szczerbiński odebrał i powitał ją wesoło. Zbyt wesoło.

– Już ci mnie brakuje? – spytał.

W takiej sytuacji najroztropniej byłoby rozpocząć od pytania, czy widzieli się wczoraj, ale nie to interesowało ją najbardziej.

– Dlaczego nie wycofano zarzutów? – odezwała się.

– Co? O czym ty mówisz?

– O moim kliencie. Nie graj głupa.

– Nie gram – odparł poważnym tonem. – Zakierski nie spasował?

– Nie oglądasz wiadomości?

– Jestem w pracy cały dzień – wyjaśnił. – I nie powiem, żeby po wczorajszym łatwo przychodziło mi…

– Prokuratura nie wycofała zarzutów.

– Jesteś pewna?

Joanna przewróciła oczami, jakby rozmówca mógł to zobaczyć.

– Halo – upomniał ją aspirant.

– Tak, jestem pewna, do cholery.

Cisza, która jej odpowiedziała, była niepokojąca. Jeśli Szczerbaty zdziwił się, oznaczało to, że nie uroiła sobie osobliwości tej sytuacji

w alkoholowym odurzeniu. Coś podejrzanego w istocie było na rzeczy.

Policjant odchrząknął.

– Może uznano, że nie warto zamykać sobie furtki? – podsunął.

– Jakiej furtki?

– Jeśli wycofaliby akt oskarżenia, nie mogliby po raz drugi go sformułować, prawda?

– Prawda. Ale alternatywą jest ośmieszenie się.

– Może nie…

– Jak to nie? – ofuknęła go. – Świadek widział kogoś białego. Bukano jest brudasem.

– Słucham?

Joanna zaklęła pod nosem. Przyzwyczajenie nie stanowiło drugiej natury człowieka, tylko pieprzone przekleństwo, pomyślała.

– Wiesz, o co chodzi – bąknęła.

– Wiem, ale gdybym to nagrywał i wysłał później do „Faktu", zarobiłbym na studia mojego dziecka.

– Masz dziecko?

– Nie wiedziałaś?

Potoczyła wzrokiem po pomieszczeniu, mając wrażenie, jakby ściany i sufit się przysuwały. Zaczęła chodzić w jedną i drugą stronę.

– Nie wiem nawet, jak masz na imię – powiedziała.

– Poważnie?

– Mhm.

– W takim razie jest już chyba za późno, żebyś się dowiedziała.

– Zerknę na stronę internetową, jak będzie trzeba.

– Komenda podaje tam dane tylko najwyższych stopniem oficerów. Niestety jeszcze się nie łapię.

– Nieważne – odparła i machnęła ręką. – Dowiedz się, co się stało. Kto ma na niego haka i jakiego.

Zaśmiał się pod nosem.

– Chyba sobie żartujesz…

– Nie – zapewniła. – Ta intryga jest bardziej zagmatwana, niż do tej pory sądziłam. I jeśli masz trochę oleju w głowie, też powinieneś to widzieć.

Starał się zbyć temat jeszcze tylko przez chwilę. Potem przyjął w końcu do wiadomości, że coś niepokojącego rzeczywiście ma miejsce. Trudno było powiedzieć, jaki związek mają cygańska rodzina, Salus, Żelazny & McVay, prokuratura i Piotr Langer, ale Joanna była pewna, że prędzej czy później uda jej się go odkryć.

– Zrobię wszystko, żeby wywlec ich brudy na światło dzienne – powiedziała.

– Brzmisz jak prokurator.

– Może minęłam się z powołaniem.

– Może – przyznał.

8
ul. Złota, Śródmieście

Kordian wracał do domu już po zmroku. Jeszcze jakiś czas temu czuł przy tym pewien dyskomfort, bo mimo że kawalerka na Emilii Plater była oddalona o rzut kamieniem, pamiętał doskonale sytuację z Gorzymem. Sukinsyn podjechał do niego, ogłuszył go, a potem władował do samochodu. Wszystko, co działo się później, stanowiło niewyraźne wspomnienie, właściwie nawet nienależące do niego. Było jak film, który oglądało się zbyt dawno temu, by pamiętać tytuł.

Oryński przypuszczał, że obawa będzie towarzyszyć mu dłużej, ustąpiła jednak już po kilku miesiącach. Wiele było miejsc w Warszawie, gdzie ryzykowało się życiem po zmroku, ale Śródmieście do nich nie należało.

Mimo to podskoczył, gdy usłyszał, jak samochód zatrzymuje się tuż za nim. Obejrzał się przez ramię, wstrzymując oddech. Naraz oblała go fala gorąca, w ustach zaschło, a serce zdawało się ominąć kilka uderzeń.

Siedział tego dnia w kancelarii długo, stanowczo zbyt długo. Jakiś czas temu rzucił wszystko inne, by przygotować się do sprawy Salus v. Bukano, a dziś musiał nadrabiać zaległości.

Kordian stał jak słup soli, obrócony, psychicznie gotowy do natychmiastowej ucieczki, ale fizycznie sparaliżowany. Patrzył na samochód i nie rozumiał. Dopiero po chwili dotarło do niego, że czerwony ford mustang nie stanowi zagrożenia.

Drzwi od strony pasażera się otworzyły.

– Wsiadaj – rozległo się chłodne polecenie.

Była to ostatnia rzecz, jaką zamierzał zrobić. Zatrzasnął z impetem drzwi, a potem obszedł samochód. Nachylił się nad otwartym oknem od strony kierowcy.

– Nie ma mowy – powiedział.

– Wsiadaj, Kordian, to nie była prośba.

Aplikant uniósł brwi.

– Wreszcie gadasz jak osoba, którą naprawdę jesteś – powiedział.

– Tak? A kim jestem?

– Mafiosem, gangsterem czy jak się tam sami wolicie nazywać.

– W żadnym wypadku – zaoponował Piotr. – Jestem właścicielem firmy deweloperskiej oraz akcjonariuszem kilku spółek.

Kordian prychnął, rozglądając się. Przy wzmożonym ruchu tylko kwestią czasu było, zanim kierowcy jadący Złotą zaczną irytować się na mustanga blokującego jeden z pasów.

– To tak, jakby powiedzieć o sędzim Trybunału Konstytucyjnego, że jest absolwentem prawa – odparł Oryński.

– Mniejsza o tytuły. Wchodź do samochodu.

– Powiedziałem ci już, że…

– Naprawdę chcesz problemów?

Langer zadał pytanie z takim spokojem, że należało uznać, iż nie jest retoryczne. Kordian znów się rozejrzał, a potem zaklął pod nosem.

– Już – polecił Piotr.

– Możemy porozmawiać gdziekolwiek – zaoponował Oryński.

Do tej pory kierowca patrzył przed siebie, a jeśli odrywał wzrok od ulicy, to tylko po to, by zerknąć we wsteczne lusterko. Teraz obrócił powoli głowę do prawnika i spojrzał na niego tak, jak tylko Langer potrafił. Kordian czuł, jak zwęża mu się przełyk.

– Albo wsiądziesz, albo będzie to nasza ostatnia rozmowa.

Oryński przypuszczał, że nie wyszedłby na tym dobrze. Zaklął w duchu, po czym obszedł samochód i usiadł na miejscu pasażera. Piotr bez słowa ruszył przed siebie. Skręcił w Aleje Jerozolimskie, a potem pognał nimi aż do Pruszkowa. Przez całą drogę nie zamienili ani słowa.

W Pruszkowie Langer zjechał dopiero na Bohaterów Warszawy. Zaparkował przy stawie w Parku Potulickich. W słoneczny dzień panowała tu przyjemna, rodzinna atmosfera. Miejsce przywodziło na myśl beztroskie lata pogodnego dzieciństwa, ale teraz Kordian mógł myśleć jedynie o upiorach z przeszłości.

Nie odzywał się, wiedząc, że nie wyciągnie niczego od Langera. Niepokój Oryńskiego sprawiał mu przyjemność i z pewnością nie

miał zamiaru zmieniać tego stanu rzeczy.

– Wysiadaj – oznajmił, wyciągając kluczyk.

Kordian wyszedł z samochodu i wszedł za Piotrem do parku. Przeszli kawałek, mijając staw, a potem dostrzegli mężczyznę siedzącego na ławce. Było na tyle ciemno, że Oryński nie mógł wypatrzeć jego twarzy, dopóki nie znaleźli się tuż przed nim.

Zakierski się nie podniósł, nie podał żadnemu z nich ręki ani nie kiwnął choćby głową.

– Akt oskarżenia został – oznajmił, wbijając wzrok w owiany mrokiem staw.

– Gratuluję – odparł Langer, siadając obok. – Słuszna decyzja.

Kordian również zajął miejsce na ławce. Z trudem przepchnął ślinę przez wysuszone gardło. Oddałby królestwo za puszkę pepsi, a najlepiej piwa.

Spojrzał ukradkiem na prokuratora. Uznał, że przyjazd tutaj być może nie okaże się błędem. Jeśli chciał w końcu się czegoś dowiedzieć, tańczenie tak, jak Langer zagrał, było absolutnie konieczne. Poza tym obawy obawami, realnie jednak nic mu nie groziło. Teraz grali w jednej drużynie.

Uspokoił się nieco.

– Co będzie dalej? – zapytał cicho Piotr.

– Jeśli Chyłka nie spuści z tonu, sąd udupi sprawę – odparł prokurator.

– Nie zdołasz nic zrobić?

– Nie. Mówiłem już, że nie mam żadnych atutów.

– Znajdziemy ci jakiś.

– Jeśli tak, to lepiej, żeby był dobry.

W końcu na siebie popatrzyli. Kordian musiał przyznać, że nie był to wzrok dwóch chętnie współpracujących ze sobą ludzi. Przywodził na myśl raczej twardą, męską przyjaźń z konieczności.

– Co on tu robi? – zapytał Mateusz.

– Będzie ci pomagał.

– Nie ma takiej możliwości – odparł stanowczo młody oskarżyciel. – I tak balansujemy na granicy wykrycia, a ty przyprowadzasz mi tutaj gościa z Żelaznego & McVaya?

– To zaufany człowiek – odparł z uśmiechem Piotr i poklepał Oryńskiego po plecach. – Zna wiele moich sekretów i nie zająknął się o nich słowem.

Niestety trudno było z tym polemizować, choć dyskrecja Kordiana nie wynikała z dobrych chęci, a z przepisów ustawy regulującej zasady rządzące wykonywaniem zawodu adwokata.

– Im mniej osób wie, tym lepiej – zaoponował Zakierski.

– Spokojnie. Oryński jest z nami.

Ręka Piotra nadal spoczywała na plecach aplikanta, przez co ten poczuł się nieswojo.

– A gdyby postanowił się od nas odwrócić, doskonale zna kaliber konsekwencji, które by mu groziły.

Prokurator spojrzał na obrońcę.

– Prawda? – dopytał Langer.

– Darujmy to sobie – odparł Kordian, starając się, by głos mu nie zadrżał.

Miał już pewne obycie w takich sytuacjach. Najpierw Gorzym, później przemytnicy pod granicą białoruską. Myślał, że tamte zdarzenia pomogą zachować zimną krew, ale przychodziło mu to wciąż z takim samym trudem.

– Gdyby wszystko się zawaliło, to potencjalny świadek – powiedział Zakierski.

– W żadnym wypadku. Jestem jego klientem i wiąże go tajemnica adwokacka.

Kordian westchnął i tym razem nie zdołał ukryć napięcia. Był to nierówny, zbyt głośny i ewidentnie nerwowy oddech.

– Dajmy temu spokój – powiedział. – O co tu chodzi?

– Dowiesz się wszystkiego w swoim czasie – odparł Langer. – Na razie wystarczy ci wiedzieć tyle, że będziecie współdziałać.

Aplikant spojrzał na prokuratora, ale ten nadal udawał, że go nie widzi.

– W jaki sposób? – zapytał Kordian.

Piotr podniósł się i stanął przed nimi jak nauczyciel, który ma ocenić uczniów. Spojrzał na nich z góry, rozstawił szerzej nogi, a potem skrzyżował ręce na piersi. Przestał przypominać belfra. Teraz przywodził na myśl raczej kryminalistę, którym w istocie był.

– Są dwie płaszczyzny waszej współpracy – oznajmił. – Jedna to zduszenie zarazy, jaką jest Chyłka.

Oryński spuścił wzrok.

– Będziesz miał z tym problem, Kordian?

– Nie rozumiem po prostu, dlaczego traktujesz to tak osobiście.

– Nie ma w tym nic osobistego.

– Więc o co chodzi? Zostawmy ją w spokoju, bo inaczej…

– Dowiesz się w swoim czasie – uciął. – Druga płaszczyzna to proces. I tutaj wam pomożemy.

– Jak?

– Tego też się dowiecie później.

Zakierski nadal nie spojrzał choćby przelotnie na prawnika od Żelaznego i McVaya. Kordianowi przemknęło przez myśl, że prokurator nie przyszedł tutaj dlatego, że musiał. Nikt nie zmuszał go do działania ramię w ramię z Langerem.

Był młody, ambitny i najpewniej liczył na szybki awans. Może miał aspiracje sięgające prokuratury generalnej? Oryński nie byłby specjalnie zdziwiony. Zakierski sprawiał wrażenie, jakby już teraz czuł się lepszy od wszystkich innych oskarżycieli.

Karierowicz w drodze na szczyt, podsumował. W dodatku taki, który jest w stanie współpracować z najgorszymi gnidami, byleby szybko pokonać pierwsze szczeble.

Kordian miał nadzieję, że kiedy ta sprawa się skończy, nikt nie będzie miał podobnych przemyśleń co do niego. W tej chwili jednak musiał przyznać, że sam widzi siebie w podobnym świetle.

– Znajdziecie tego świadka, o to chodzi? – odezwał się w końcu Zakierski.

– Nie musicie tego wiedzieć.

Prokurator pokręcił głową.

– To grząski grunt – zaoponował.

– Nie twierdzę, że na niego wejdziemy.

– Nie musisz, do kurwy nędzy – odparł Mateusz i również wstał z ławki. – Nie jestem idiotą, wiem, co się dzieje. I ostrzegam cię, że jak tylko zobaczę…

– Że co? Że ktoś może wpaść na nasz trop? – zapytał Langer i zaśmiał się. – Nie masz bladego pojęcia, jak daleko to sięga. Jesteś

kryty. Wszyscy jesteśmy.

Oryński wyjął elektronicznego papierosa. Niewiele mógł w tej sytuacji pomóc, ale lepiej dostarczyć sobie dawki nikotyny, niż siedzieć jak kołek.

– Już nie takie rzeczy robiliśmy – dodał Piotr. – Prawda, Kordian?

Prawnik skinął głową. Sprawa, w której brali udział, podawała w wątpliwość kompetencje organów ścigania. Langer wyszedł z niej bez choćby draśnięcia, choć jego życie w zasadzie powinno się skończyć.

– A więc ustalone – orzekł Piotr. – Będę się jeszcze odzywać w sprawie szczegołów.

Prokurator odwrócił się i bez słowa ruszył w kierunku stawu.

– Poczekaj – zatrzymał go Langer. – Nie dogadaliście się jeszcze, w jaki sposób będziecie się kontaktować.

Kordian wstał.

– Nie potrzebuję pomocy – odparł Zakierski. – A już na pewno nie od niego.

– Potrzebujesz. Masz przeciwko sobie prawniczkę, która wypruje sobie żyły i wykrwawi się na śmierć przed budynkiem sądu, zanim odpuści. W dodatku nie działa sama.

Oskarżyciel zatrzymał się. Ta ostatnia uwaga sprawiła, że nie miał innego wyjścia. Powoli obrócił się do dwóch mężczyzn.

– Kto jej pomaga? – zapytał ostro.

– Jeszcze tego nie ustaliliśmy.

– Jak skomplikowane może to być? – zapytał Zakierski. – Ktoś wysłał jej maila, SMS-a czy inną wiadomość o tym świadku, wystarczy tylko…

– Niczego takiego nie znaleźliśmy.

To zapewnienie podziałało na Kordiana jak obuch. Zakręciło mu się w głowie, zaszumiało w uszach i świat nagle jakby zaszedł mgłą. Ze słów Langera wynikało, że mają dostęp do komputera lub telefonu Joanny.

Właściwie trudno było się dziwić. To mafia, upomniał się w duchu Oryński.

– Potrzebujemy tego nazwiska – podkreślił Zakierski.

– Doskonale o tym wiem.

– Więc to trzecia płaszczyzna. Twoja, Langer.

Piotr zbliżył się powoli do prokuratora. Kordian został nieco z tyłu i nie usłyszał, co Langer szepnął. Oskarżyciel trwał przez moment w bezruchu, ale widać było, że nie szuka konfrontacji, a raczej sposobu, by wycofać się, zachowując twarz.

Piotr powiedział coś jeszcze i w końcu Zakierski pokiwał głową.

– Zostawcie to nam – odezwał się głośniej Langer. – Wy zajmijcie się Chyłką i procesem.

– Nie możesz sam się nią zająć? – zapytał Mateusz.

– Nie. Konieczne jest, żebym się do niej nie zbliżał.

– Dlaczego, do cholery?

Była to jedna z rzeczy, o której mieli dowiedzieć się w swoim czasie. Piotr nie musiał tego powtarzać po raz trzeci.

Po chwili Zakierski znikł w mroku.

– Chodź – rzucił Langer. – Odwiozę cię na Emilii Plater.

Oryński wolałby zamówić taksówkę, ale nie protestował. W drodze powrotnej zamienili dokładnie tyle samo słów, co jadąc do Pruszkowa. Kordian miał aż nadto czasu, by uświadomić sobie, że władował się w sprawę, która może przekreślić wszystko, na co dotychczas pracował. Nie pod względem zawodowym – jeśli Langer nie stracił swojej skuteczności, proces Cygana będzie dla młodego prawnika trampoliną. Ale pod względem moralnym niczego dobrego nie mógł się spodziewać.

Wrócił do domu i z ulgą zamknął za sobą drzwi. Oparł się o nie i stał tak przez kilka chwil z zamkniętymi oczami. Nie miał pojęcia, jak się z tego wyplątać. I przypuszczał, że jest już na to za późno.

9
al. Stanów Zjednoczonych, Saska Kępa

Chyłka stała przed Top Marketem, paląc marlboro z dopiero co zakupionej paczki. Wodziła wzrokiem za samochodami przejeżdżającymi trzypasmówką w kierunku ronda Wiatraczna. Ich szum działał na nią uspokajająco, podobnie jak wszelkie inne dźwięki miejskiego zgiełku. Była zwierzęciem metropolitalnym, nigdy tego nie ukrywała. To w takim otoczeniu czuła się najlepiej, szczególnie gdy znajdowała się w jego centrum.

Przeklęła w myśli Oryńskiego i Langera, przez których straciła prawo jazdy. Wiedziała, że szybko go nie odzyska. Wprawdzie mogła poruszać się bez dokumentu – i wcześniej planowała, że tak właśnie zrobi – ale ryzyko okazało się zbyt duże. Jeśli chciała myśleć o tym, by po sprawie Bukano poprowadzić jeszcze kiedyś kolejną, nie mogła sobie na to pozwolić.

Z siatką wyładowaną alkoholem i różnymi rodzajami mięsa skierowała się z powrotem na Argentyńską. Traktowała Top Market jako sklepik osiedlowy – i tym właściwie był – dzięki czemu zasada niekupowania w innych supermarketach niż Alma nie znalazła zastosowania.

Joanna wniosła zakupy do mieszkania, większość umieściła w lodówce, a potem spróbowała jeszcze raz zadzwonić do klienta. Rom jednak wciąż nie odpowiadał. Joanna uznała, że nie ma innego wyjścia – musi złożyć wizytę na Ursynowie.

Ubrała się, ale tuż przed drzwiami odezwała się jej komórka. Spojrzała na wyświetlacz z nadzieją, ta okazała się jednak płonna. Dzwonił jej szef z prawniczego butiku. Odrzuciła połączenie, doskonale bowiem wiedziała, co chciał powiedzieć. Obserwując proces w telewizji, musiał dojść do wniosku, że jego pracownica radzi sobie całkiem nieźle. Z pewnością chętnie przedłuży umowę, o ile oczywiście Chyłka odniesie ostateczny triumf.

Zamówiła Ubera i pojechała na ulicę noszącą jedną z najbardziej nieadekwatnych nazw w stolicy. Wysiadłszy z samochodu, popatrzyła na napis „Lasek Brzozowy” na jednym z niezliczonych bloków i pokręciła głową.

Przez kilkadziesiąt sekund trzymała wciśnięty domofon, ale Bukano nie podniósł słuchawki. Spróbowała zadzwonić do niego jeszcze raz, ale i gdy ta próba okazała się bezowocna, skorzystała z okazji i weszła na klatkę razem z kobietą wracającą ze spaceru z psem.

Wjechała na piętro, gdzie mieściło się mieszkanie klienta, i zaczęła dobijać się do drzwi, najpierw kulturalnie piłując dzwonek, potem pukając z nieco mniejszą kurtuazją. Po chwili otworzyły się drzwi obok.

– Jezus Maria – powiedziała pulchna kobieta w staromodnym fartuchu. – Czego pani tak tłucze?

– Nie tłukę, tylko pukam. Mogę dopiero pokazać, jak wygląda tłuczenie w moim wykonaniu.

Lokatorka bloku popatrzyła na nią z niedowierzaniem.

– Zaraz po policję będę dzwonić – ostrzegła.

– Jestem adwokatem.

– I co z tego? Jak się pani nie uspokoi, może być pani nawet prezydentową, i tak zadzwonię.

Joanna powiodła wzrokiem po korytarzu. Kilka metrów dalej otworzyły się kolejne drzwi i wychynął z nich młody chłopak. Spojrzał nieprzychylnie na grubaskę, a potem na dłużej zawiesił wzrok na Chyłce.

Prawniczka uznała, że najlepiej będzie, jeśli trochę spuści z tonu. Znajdowała się na wrogim terytorium, pełnym kiboli, chuliganów, dresów i innych zadymiarzy. Nie miała ochoty na powtórkę wrażeń z Pragi Południe.

– Pani broni tego człowieka? – zapytała lokatorka, wskazując na zamknięte drzwi do mieszkania Bukano. – Czy tak?

– Rękami i nogami – zapewniła Joanna. – I robię też aktualnie wszystko, by go znaleźć.

– Tutaj go nie było.

– Skąd pani wie?

– Bo słychać wszystko przez ściany – odparła. – Nawet jak ktoś u nich spuszczał wodę, to słyszałam. Od kilku tygodni nic nie słychać.

Chyłka mimowolnie uniosła brwi.

– Jest pani pewna?

– No tak… przecież usłyszałabym, prawda?

Prawniczka spojrzała w kierunku faceta, który wyłonił się z mieszkania, ale ten zdążył już zniknąć. Najwyraźniej nie miał zamiaru rozmawiać z kobietą broniącą sąsiada-Cygana.

– Mógł przyjść w nocy lub nad ranem – powiedziała Joanna. – I może jeszcze śpi.

– No to chybaby się zbudził od tego walenia?

– Może – przyznała Chyłka.

– Ja tam wstałam skoro świt i nic nie słyszałam.

Joanna przez moment patrzyła na zamknięte drzwi, czując rosnący niepokój. Niepodobne do żadnego klienta było, by znikać w momencie, gdy wszystko wreszcie zaczynało się układać. Próbowali ucieczki raczej w odwrotnej sytuacji.

A kiedy Bukano znikł, sprawy były jeszcze w jak najlepszym porządku i wszystko wskazywało na to, że odniosą druzgocące zwycięstwo. Zresztą nadal tak było. Sąd nie będzie deliberował nad tą sprawą długo – zeznania świadka jednoznacznie odciążały jej klienta. Sprawa była oczywista jak to, że w Hard Rock Cafe grają dobrą muzykę.

– Telefonowała pani do niego? – zapytała staruszka.

– Tak, nie odbiera komórki.

– A do domu pani próbowała?

Chyłka popatrzyła na nią ze zdziwieniem. Nie po raz pierwszy złapała się na tym, że właściwie zapomniała o istnieniu linii naziemnych.

– Wejdzie pani – poleciła lokatorka. – Zaraz numer do nich znajdę.

Joanna popatrzyła na drzwi, potem na kobietę, a ostatecznie skinęła głową i weszła do środka. W mieszkaniu czuć było kiszonymi ogórkami, ubocznymi efektami procesu spalania w układzie pokarmowym oraz rosołem.

– Mam to tu gdzieś… – wymamrotała kobieta, obracając się do komody stojącej w przedpokoju. Wysunęła jedną z szuflad, a potem zaczęła przetrząsać jej zawartość. W końcu wyjęła stary notes. – No, jest.

Po przekartkowaniu kilku stron wreszcie znalazła właściwy numer. Chyłka z ulgą wprowadziła go do smartfona i wybrała.

Lokatorka miała rację, ściany były wyjątkowo cienkie. Wyraźnie słyszała, jak telefon dzwoni w mieszkaniu obok. Nikt go jednak nie podnosił.

– Może nie żyje? – podsunęła kobieta. – Jak jego rodzina?

– Może.

– Że co proszę?

– Sama to pani zaproponowała – odparła pod nosem Joanna, po czym odstawiła komórkę od ucha. Słuchała jeszcze przez chwilę metalicznego dźwięku zza ściany, a potem rozłączyła się i schowała urządzenie do torebki.

– Ale ja nie miałam tego naprawdę na myśli… no, wie pani.

– Wiem.

Chyłka jednak dopuszczała taką możliwość. Instynktownie czuła, że wsadzili kij w mrowisko, choć nie przypuszczała, by mieszkały w nim jadowite mrówki. Bukano powinien być bezpieczny, przynajmniej dopóty, dopóki jego sprawa pozostawała na świeczniku. Potem różni ludzie mogli szukać zemsty, ale teraz? Nie, to absurd, uznała. Rom zabalował jeszcze ostrzej niż ona i stąd cały problem.

– Dziękuję – bąknęła do lokatorki i wyszła z mieszkania.

Na klatce śmierdziało zsypem, ale i tak była to miła odmiana. Joanna obróciła się i posłała kobiecie poprawny uśmiech.

– Mam prośbę – powiedziała. – Zadzwoni pani do mnie, jak tylko usłyszy, że Cygan wrócił?

– Czemu nie – odparła grubaska.

– To moja wizytówka… – Chyłka machinalnie sięgnęła do wewnętrznej kieszeni żakietu.

Dopiero po chwili zmitygowała się, że nie dysponuje już wizytówkami. Stoisko w Arkadii miało swoją estymę, ale nie na tyle wielką, by chwalić się nią w takiej formie.

– Może poda mi pani po prostu numer – zaproponowała kobieta.

Joanna podyktowała jej ciąg cyfr, a lokatorka zapisała go w swoim kajeciku. Zapewniła, że odezwie się, jak tylko usłyszy, że Bukano wrócił do mieszkania. W jej oczach widać było poczucie wiekopomnej misji, więc Chyłka przypuszczała, że nowa znajoma wywiąże się z obowiązku.

Opuściła blok i zapaliła przed wejściem. Rozglądała się z nadzieją, że akurat trafi na moment, gdy Robert będzie wracał z suto zakrapianej imprezy. Kiedy jednak doszła do filtra, wciąż nigdzie go nie dostrzegała.

Nie zastanawiając się długo, wyciągnęła buteleczkę i wypiła trochę wódki. Po papierosie smakowała wprost wybornie, ale jeszcze lepiej sprawdziłaby się w jego towarzystwie. Chyłka zapaliła kolejnego marlboro.

Dlaczego w ogóle chciała się widzieć z klientem? Przez moment nie mogła sobie przypomnieć. Zmarszczyła czoło i uśmiechnęła się. Co za bzdura, pomyślała.

Po chwili uzmysłowiła sobie, że Bukano nie wie o niewycofaniu aktu oskarżenia. O tym chciała go poinformować. Cóż, dowie się prędzej czy później, choćby podczas wezwania na kolejną rozprawę. Joanna przypuszczała, że nie będą musieli czekać nader długo.

Wypaliła do końca, a potem wezwała kierowcę.

Ruch był wzmożony, w dodatku doszło do jakiegoś wypadku na Stegnach i z powrotem na Argentyńskiej znalazła się dopiero godzinę później. Weszła do domu i odłożyła wódkę do szafki. Wystarczy na jeden dzień. Czas wziąć się za tequilę.

Kiedy kilka godzin później rozległ się dzwonek do drzwi, ruszyła w ich kierunku chwiejnym krokiem. Zatoczyła się do ściany, oparła o nią i zaśmiała. Towarzyszyło jej cudowne uczucie beztroski i powzięła mocne postanowienie, że będzie zaczynała pić nieco wcześniej, by szybciej je osiągnąć.

Otworzyła drzwi i w pierwszej chwili nie mogła dojść, kto stoi w progu. Potem zmrużyła oczy i poznała znajomego policjanta.

– Szerbaty… – wymamrotała.

Aspirant otaksował ją niepewnie i wszedł do środka. Musiał przytrzymać ją, kiedy zamykała za nim drzwi. Mówił coś, ale

rozumiała go z trudem. Nie miał kategorycznego tonu głosu, był raczej pobłażliwy.

– Jeseś w porządku… – pochwaliła go.

Poprowadził ją do salonu i pomógł trafić na fotel. Chyłka opadła na niego niekontrolowanie i zarzuciło ją w bok. Przechyliła się przez podłokietnik i zanim się zorientowała, żołądek podszedł jej do gardła. Zwymiotowała na podłogę.

Wisiała tak przechylona tylko przez kilka sekund, ale wydawało jej się, że trwa to wieczność. Kiedy Szczerbiński ją podniósł, zaśmiewała się w najlepsze.

– Ale jesem… nawalona… – zdołała powiedzieć.

Policjant wsunął ręce między nią a siedzisko, a potem ją podniósł. Było to ostatnie, co pamiętała.

10
Skylight, Śródmieście

Promienie słońca leniwie przelewały się przez duże okno w biurze i odbijały się od laptopa Kordiana. Odepchnął się od biurka i podjechał na krześle do okna. Zasłonił je, po czym wrócił do komputera. Wszystko to wykonywał bezwiednie, dzień w dzień. Ale dziś było to jeszcze bardziej mechaniczne, umysł zaprzątały mu bowiem wyjątkowo niepokojące myśli.

Przejrzał korespondencję drugi raz, a potem siedział przez moment bez ruchu. W końcu mimowolnie przeczesał włosy, czując, że pasta przylepiła mu się do dłoni.

Nie przejmując się tym nadto, wyszedł z biura i poszedł prosto do patrona.

Wszedł bez pytania, w ostatniej chwili powstrzymując się przed trzaśnięciem drzwiami.

– Myślałem, że znasz zasady savoir-vivre'u, kawalerze.

Kordian stanął przed biurkiem.

– Kobieta wycofuje zeznania – powiedział.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– Jak to możliwe?

– Najwyraźniej uzmysłowiła sobie, że się pomyliła.

– To jakaś bzdura – zaoponował Oryński. – W sądzie twierdziła, że nie ma wątpliwości co do koloru skóry sprawcy.

– Doprawdy? Byłeś tam?

– Nie musiałem.

Mierzyli się przez chwilę wzrokiem i Kordian uświadomił sobie, że przeszarżował. W takiej sytuacji najmądrzej było po prostu przyjąć do wiadomości, że Maria T. nie zamierza trzymać się swojej wersji. Zamiast tego wpadł jednak do gabinetu Buchelta, jakby to patron był odpowiedzialny za wszystkie podejrzane rzeczy, które się wydarzyły. Oryński zrzucił to na karb współpracy z Chyłką – to ona

przyzwyczaiła go do tego, że mógł przyjść do przełożonego ze wszystkim. Nawet z pretensjami.

– Nie rozumiem, czego ode mnie oczekujesz – odezwał się mrukliwie Lew.

– Ja również nie.

– Słucham?

– Przepraszam, że przeszkodziłem – odparł chłodno Kordian i wyszedł na korytarz.

Buchelt nie był odpowiednią osobą, z którą powinien porozmawiać. Przez kilkanaście lat pozostawał psem łańcuchowym Salusa, nie mogło być co do tego wątpliwości. I cokolwiek kombinowali ci ludzie, Lew również czerpał z tego korzyści. Nie zrobi niczego, by podciąć gałąź, na której siedzi.

Kordian wpadł do Jaskini McCarthyńskiej i tym razem trzasnął drzwiami.

– Co jest, kurwa… – powiedział Kormak, niemal podskakując.

Oryński spojrzał na książkę, którą trzymał w rękach. *Naciągacze* autorstwa Jima Thompsona. Osobliwy widok, ale najwyraźniej wszystko w końcu musiało się zmienić. Szczypior odłożył powieść na bok, jakby lekko zażenowany.

– Coś się stało? – zapytał.

– Tak.

– To mów, a nie patrzysz jak szpak w telewizor.

– Co to za książka?

– Nieważne. Sprawdzam tylko, co piszą inni – odburknął chudzielec. – O co chodzi?

– Maria T. zmieniła zeznania.

– Formalnie rzecz biorąc, jeszcze tego nie zrobiła – odparł Kormak.

Oryński zbliżył się do biurka, oparł o nie i pochylił nad przyjacielem. Spojrzał mu prosto w oczy na tyle poważnie, na ile pozwalała ich relacja. W przypadku dwóch facetów, którzy mówili sobie o wszystkim, wszystko obracali w żart, razem pili, a niegdyś także wciągali amfetaminę, raczej trudno o powagę, ale Kordian był przekonany, że udało mu się ją zachować.

– Wiedziałeś o tym – oznajmił.

– Mhm…

– Więc może powiesz mi, co tu się dzieje, do cholery?

Wyprostował się, a potem usiadł na krześle naprzeciwko.

– Wiem tyle, co ty – odparł chudzielec.

– A ja wiem, że to typowa gównoprawda.

Kormak uśmiechnął się półgębkiem.

– To cytat z Chyłki – powiedział.

– Może i tak – przyznał Oryński. – Co powinno dać ci do zrozumienia, że żarty się skończyły.

– Daje mi to wyłącznie do zrozumienia, że ci jej brakuje.

Szczypior rzucił tę uwagę lekkim tonem, ale obaj doskonale zdawali sobie sprawę, że to spostrzeżenie dużego kalibru. Mimo to – a może właśnie dlatego – zbyli temat milczeniem. Oryński odchrząknął, a Kormak spojrzał na niezbyt zachęcającą okładkę książki Thompsona.

– Po co tu przyszedłeś, co? – zapytał.

– Po odpowiedzi.

– I liczysz, że ot tak wszystko ci powiem?

– Już nie takie rzeczy od ciebie słyszałem, Kormaczysko. Nie wiąże cię tajemnica adwokacka.

– Co nie znaczy, że…

– Ufasz mi – uciął Kordian. – I jeśli mi czegoś nie mówisz, to tylko dlatego, że się boczysz.

Kormak uniósł brwi.

– Wiesz, jak gejowsko to zabrzmiało? – zapytał.

– Wiem.

Chudzielec skrzywił się i podniósł książkę. Obrócił ją w ręce, po czym odsunął szufladę i wcisnął ją do środka.

– Nic ciekawego – orzekł. – McCarthy’emu do pięt nie dorasta.

Kordian oparł się na biurku.

– Mów, co się dzieje – polecił.

– Generalnie wszystko to, co działo się wcześniej. Walą w przeciwnika wszelkimi możliwymi sposobami.

– Kto?

– Langer i jego ludzie.

– Co rozumiesz pod pojęciem „jego ludzi”? Zarząd Salusa?

– Między innymi. Nie wiem dokładnie, nie przyglądałem się tej firmie zbyt wnikliwie.

Oryński uświadomił sobie, że gdyby ich relacje były takie jak zawsze, dawno dowiedziałby się od Kormaka znacznie więcej niż na własną rękę. Popatrzył na przyjaciela, a potem ponaglił go ruchem dłoni.

– Nie wiem, co robią – powiedział szczypior. – Z pewnością nic legalnego, ale dobrze to ukrywają. Zresztą nawet gdybym do tego dotarł, byłbyś jedną z ostatnich osób, którym…

– Mam tego dosyć, Kormak.

– Czego?

Aplikant rozłożył ręce.

– Tego wszystkiego – wyjaśnił. – Gdzieś trzeba wytyczyć granicę i ja robię to w momencie, kiedy wchodzimy na pole przestępstw przeciwko wymiarowi sprawiedliwości.

– Taki jesteś pryncypialny? – prychnął przyjaciel. – Wystarczy zastraszyć świadka i już, Zordon nagle uznaje, że to urąga etyce zawodowej?

– A więc ktoś ją zastraszył?

– Nie wiem.

Kordian długo na niego patrzył. Zastanawiał się, jak zdecydowaną deklarację może złożyć. Czy ludzie Langera rzeczywiście przekroczyli granicę, za którą sam nie chciał postawić kroku? Biorąc pod uwagę wszystko, co działo się od początku tej sprawy, powinien zastanowić się dwa razy. Było wiele okazji, by powiedzieć stop i nie iść dalej.

– Zordon?

– Myślę.

– Nad czym?

– Nad tym, czy jestem gotów zmienić front.

Kormak uniósł brwi i zamrugał kilkakrotnie, jakby coś wpadło mu do oka.

– Czyżbym dostrzegał jakiś powidok dawnego Kordiana? – zapytał, kręcąc głową z niedowierzaniem. – No, no. Chyba obcięli ci pensję albo zabrali karnet sportowy, co?

– Nie zgrywaj się.

– Nie zgrywam. Staram się tylko wybadać, czy mówisz poważnie.

– Chyba tak.

– Chyba? – zapytał Kormak i zaśmiał się pod nosem. – Takie rzeczy albo się wie, albo nie.

– Zatrzymaj swoje złote myśli dla siebie, Paulo Coelho, i daj się zastanowić.

– Nie masz nad czym – odparł stanowczo przyjaciel. – Albo decydujesz się dalej być sukinsynem, albo zrobimy coś, żebyśmy w przyszłości mogli stanąć przed lustrem i spojrzeć sobie w oczy.

Właściwie trudno było z tym polemizować, choć pensja associate z pewnością mogłaby to zrobić. A nawet jeśli nie ona sama w sobie, to obietnica dwukrotnie wyższych zarobków dałaby już radę.

Oryński zaczął bezwiednie skubać dolną wargę. Kormak miał rację, nie było się nad czym zastanawiać. To wszystko i tak zaszło za daleko.

– Jakie mamy opcje? – zapytał.

– W ramach prawa czy poza nimi?

– Obojętne – odparł Kordian. – Bylebyśmy zostawili sobie szansę, że nie wylecimy z roboty.

– Ty możesz wylecieć, ja nie.

– Skończ z tą śpiewką. Przyjęliby cię do każdej innej kancelarii, z Żelaznym i McVayem w CV.

– Wątpię. I wolałbym tego nie sprawdzać.

Oryński machnął ręką.

– Mniejsza z tym – powiedział. – Mów, co wiesz, a potem pomyślimy.

Kormak przysunął sobie laptopa, kilkakrotnie przesunął palcem po gładziku, a potem obrócił sprzęt w kierunku gościa.

– To cały obecny zarząd Salusa – powiedział, po czym wychylił się i nacisnął strzałkę w bok. Zdjęcie się zmieniło. – A to członkowie z poprzedniej kadencji.

Kordian zerknął pobieżnie na twarze. Żadna się nie powtórzyła.

– Zmiany zaczęły się, od kiedy pewna firma kupiła kontrolny pakiet akcji – oznajmił chudzielec. – Żadne wielkie przedsiębiorstwo, nic, co mogłoby zaniepokoić organy państwowe. Nie było mowy o koncentracji, wrogim przejęciu, nic z tych rzeczy. Wszystko cacy.

– Firma, jak mniemam, Langera.

– Oczywiście – przyznał Kormak. – Stało się to niedługo po tym, jak zginął jego ojciec.

Wypadek samochodowy, przypomniał sobie Oryński. Początkowo wyglądało to podejrzanie, ale służby nie znalazły niczego, co sugerowałoby, że doszło do zabójstwa. Auto działało bez zarzutu, osoby trzecie nie brały udziału w zdarzeniu, a sekcja wykazała, że Langer senior nie był ani pijany, ani odurzony.

Mimo to ostatecznie padł na Piotra cień podejrzeń. Po śmierci ojca odziedziczył biznesowe imperium, które wykraczało dalece poza sferę deweloperską. Jeśli dodać do tego działalność przestępczą, którą prowadził prawdopodobnie na własny rachunek, bez współpracy z ojcem, można było uznać, że jest jednym z najbogatszych mieszkańców Warszawy. A z pewnością jednym z najgroźniejszych.

– Więc w zasadzie przejął Salusa na własność? – zapytał Oryński.

– Nie na własność, ale z pewnością sprawił, że to jego ludzie mają najwięcej do gadania.

– Dlaczego? Po co mu ubezpieczalnia?

– Nie mam pojęcia.

– Więc nie wiesz przesadnie wiele.

– Wiem, że skurwiel coś kombinuje. I wiem, że prędzej czy później do tego dotrę.

Kordian zabębnił palcami o blat biurka.

– Ale co ma z tym wspólnego Bukano?

– Na moje oko niewiele.

– Więc czemu tak naciskają, żeby jak najszybciej zakończyć tę sprawę?

– Przypuszczalnie nie chodzi o niego ani o polisę.

– Więc o żonę?

Kormak wzruszył ramionami.

– Można tylko gdybać – powiedział. – Nie mamy żadnych konkretów, równie dobrze mogło chodzić o córkę, a matka zginęła tylko dlatego, by to zatuszować.

– To już grubymi nićmi szyte – odparł pod nosem Oryński, choć na tym etapie właściwie wszystko mogło się takie wydawać. I mordercy z pewnością właśnie o to chodziło.

Aplikant podniósł się, zrzucił marynarkę i zawiesił ją na oparciu krzesła.

– Co robisz? – zapytał Kormak.

– Przygotowuję się do roboty.

– I na czym ma ona polegać?

– Jeszcze nie wiem, ale lepiej zakasać rękawy – odparł z nadzieją, że choć część spraw niebawem się wyklaruje. Choćby na tyle, by wiedział, jaki kierunek należy obrać. – Dobra… – podjął, wlepiając wzrok w ekran laptopa. – Załóżmy, że Bukano jest czysty jak łza.

– Nie licząc koloru skóry.

Oryński uniósł brwi.

– Poważnie? – zapytał. – Będziesz robił rasistowskie żarty drugiego sortu?

– Jesteśmy sami – odparł chudzielec, wzruszając ramionami. – Nikt nas nie słyszy, to mogę. Każdy tak robi.

– Nie każdy.

– Bzdura. Nawet ci broniący praw mniejszości w domowym zaciszu robią sobie z tego jaja.

– Ta? A skąd o tym wiesz?

– Ja wiem wiele rzeczy – odparł enigmatycznie Kormak. – Ale przejdźmy do rzeczy, bo widziałem, że coś ci zakiełkowało we łbie.

Było to pewne nadużycie, Kordian bowiem dopiero zaczynał układać wszystkie figury na szachownicy, co tu mówić o wyciąganiu wniosków. Miał wrażenie, że upłynie jeszcze sporo wody w Wiśle, zanim okaże się, co i dlaczego naprawdę robi Piotr Langer.

– Więc Bukano jest czysty – powtórzył Oryński w zamyśleniu. – Pytanie zasadnicze brzmi: czy ktoś chciał go wrobić?

– Na to wygląda.

– Ale nie ma żadnych jednoznacznych dowodów, nie licząc tego śladu DNA pod paznokciami. Nikt go tam raczej nie umieścił.

– Czemu nie? – zaoponował Kormak. – To możliwe.

– Ale mało prawdopodobne.

– Niekoniecznie – odparł szczypior i przysunął do siebie laptopa. – Nie wiemy, co działo się z Patrycją i Aiszą, zanim trafiły na Prażmowską. Zabójca mógł je gdzieś przetrzymywać i odpowiednio

przygotować. Dopiero potem przewiózł je na Ursus, zgwałcił i zamordował.

– Nie.

– Dlaczego niby nie?

– Bo wtedy zgwałciłby je dużo wcześniej.

– Może podniecało go, że to publiczne miejsce? Że każdy może zobaczyć?

– Wydaje mi się, że jest zbyt ostrożny, by coś takiego z góry zaplanować. Maska i brak śladów o tym świadczą. Gdyby mógł, zaspokoiłby się seksualnie wcześniej.

Kormak wydął usta, a potem skinął głową.

– Możesz mieć rację, Watsonie – powiedział.

Oryński się skrzywił.

– Jeśli chcesz się trzymać tej analogii, to ja jestem Sherlockiem, a ty Watsonem. I w dodatku nie tym granym przez Jude'a Law, tylko Martina Freemana.

– To i lepiej. Wolę jego, przez wzgląd na *Fargo*.

– Mniejsza z nimi. – Kordian wbił wzrok w róg pokoju. – Zakładamy więc, że Bukano nie został wrobiony. Morderca być może nawet nie wiedział o naskórku pod paznokciem Patrycji.

– W takim razie skąd się tam wziął?

– Kłócili się, może machnęła ręką, może chciała go zatrzymać, kiedy wychodził… możliwości jest wiele.

– Okej. Co dalej?

Dobre pytanie, skwitował w duchu Kordian. Zakładając, że to nie Bukano był celem, należało uznać, że czymś zawiniła któraś z kobiet, a może obie. Tylko co mogłyby zrobić, by wywołać tak brutalny odzew?

Oryński podzielił się tym pytaniem z przyjacielem, ale jego mina jednoznacznie świadczyła o tym, że ma tyle samo koncepcji, co Kordian. Zero.

– Może to Cyganie? – podsunął od niechcenia szczypior.

– Którzy nagle wyblakli?

– Teraz ty jesteś rasistą.

– Chcę tylko powiedzieć, że Maria T. widziała białego człowieka.

– Skoro nie Cyganie, to… – Kormak rozłożył ręce, krzywiąc się przy tym, jakby zagadkowość tej sprawy sprawiała mu fizyczny ból.

Żaden z nich nie dokończył. Logika ani dotychczasowe ustalenia nie podpowiadały niczego sensownego. W takiej sytuacji Kordian musiał przyznać, że brakuje im co najmniej kilku kluczowych elementów.

Kormak podrapał się po głowie.

– Nie zazdroszczę śledczym – oznajmił. – Muszą robić takie rzeczy dzień w dzień.

– Tyle że oni mają do dyspozycji materiał dowodowy.

– My w sumie też – zaoponował chudzielec. – Może nie bezpośrednio, ale wiemy wszystko z drugiej ręki.

Miał rację. Szczególnie że Oryński mógł w każdej chwili skorzystać z pomocy Zakierskiego. Problem jednak polegał na tym, że prokurator nie miał żadnych konkretów. Błądził we mgle, dokładnie tak samo, jak oni.

Może z jednym wyjątkiem. On miał wziąć na celownik konkretną osobę, mimo że wiedział, iż jest niewinna.

– Wszystko sprowadza się do Langera – odezwał się Kordian.

– Wiem.

– Musimy tylko odkryć, w jaki sposób.

– I co wtedy? – mruknął Kormak. – Ciebie wiąże tajemnica adwokacka, mnie fakt, że zostanę wywalony na zbity pysk, jeśli zacznę się brać za klientów. A Piotr to istotny klient, nie muszę ci chyba o tym mówić?

– Nie musisz.

Langerowie od lat zasilali kabzę kancelarii Żelazny & McVay. Senior płacił niemałe pieniądze za typową obsługę prawną, ale jeszcze większe za zajmowanie się sprawami mniej typowymi. Miał wyjątkowe zamiłowanie do dziewczyn przekraczających polską granicę w mazurskich lasach i przez lata pojawiło się trochę spraw, w których trzeba było zawrzeć ugodę, zanim rzecz trafiła na wokandę.

Z tego, co wiedział Oryński, teraz kancelaria dostawała od młodego Langera jeszcze więcej zleceń. Nie przypominały jednak tych, które wiązały się z problemami ojca. Kiedyś podpytał o to

McVaya i Brytyjczyk zapewnił go, że wszystko, co wiązało się z Piotrem, było *lege artis*. Sam zresztą sprawdzał każdą zawartą z nim umowę.

Trudno było podawać to w wątpliwość. Kto jak kto, ale Harry był osobą godną zaufania. Jeśli któryś z dwóch imiennych partnerów mógł zajmować się podejrzanymi sprawami, to jedynie Artur Żelazny.

– O czym myślisz? – zapytał Kormak.

– O tym, jak daleko to sięga.

– Pewnie niedaleko. Wyobraźnia zawsze wyolbrzymia.

– Może – odparł pod nosem Oryński i podniósł się, chwytając za marynarkę.

– Dokąd idziesz?

– Znam kogoś, kto może nam pomóc.

Szczypior nie pytał, kogo ma na myśli. Kordian opuścił Jaskinię McCarthyńską, zjechał na dół windą, a potem poszedł po kawę do Costa Coffee. Wziął mrożoną caramel macchiato i oddał się smakowym doznaniom, idąc w kierunku Dworca Centralnego.

Stamtąd złapał dziewiątkę i przejechał na rondo Waszyngtona. Wychodził z autobusu, myśląc o tym, że naprawdę powinien zainwestować we własny środek transportu. Rozejrzał się, po czym ruszył w kierunku placu Przymierza. Od Argentyńskiej dzielił go kilkunastominutowy marsz.

11
ul. Argentyńska, Saska Kępa

– Ożeż… ja pierdolę… – wymamrotała Chyłka, z trudem unosząc powieki. Miała wrażenie, jakby w nocy dopadło ją zapalenie spojówek. Cierpiała kiedyś na to zdradliwe cholerstwo – przed snem wszystko wydawało się w porządku, ale po przebudzeniu oczy były sklejone ropą i z trudem się je otwierało. Teraz było jeszcze gorzej.

W ustach czuła kwaśny posmak, żołądek sprawiał wrażenie, jakby został poddany procedurze dekontaminacyjnej. Skrzywiła się, podnosząc się na łóżku. Zakręciło jej się w głowie i momentalnie zrobiło niedobrze. Rzuciła się na bok, by nie zwymiotować na pościel, i zobaczyła miskę stojącą przy łóżku.

Zakryła usta i przez moment trwała w bezruchu. Udało jej się powstrzymać falę nudności.

Powoli opuściła nogi. Wstała chwiejnie i skierowała się do łazienki. Przypuszczała, że moment, gdy spojrzy w lustro, będzie bolesnym ciosem dla poczucia własnej wartości. Starała się tego uniknąć, gdy myła zęby, ale ciekawość w końcu zwyciężyła.

Bez zdziwienia przekonała się, że oczy ma wpół zamknięte, przekrwione i zapuchnięte. Cera była ziemista, miejscami zaczerwieniona. Włosy w zupełnym nieładzie, każdy kosmyk żył własnym życiem. Usta podrażnione, zaczerwienione.

Wyszorowała zęby, ale nie mogła pozbyć się ohydnego smaku zjełczałego alkoholu i wymiotów. Opierając się o ścianę, weszła do salonu.

– *Rise and shine* – powitał ją Szczerbiński, wstając z fotela.

– Siedź – burknęła. – Nie jestem komendantem, żebyś salutował.

– Nie? – spytał z uśmiechem. – A trochę go przypominasz.

– Wal się…

Oparła się o kuchenny blat i przez chwilę zbierała siły.

– Zrobić ci kawy? – zaproponował Szczerbaty.

– Tylko jeśli chcesz, żebym zamieszkała w kiblu.

– To może herbaty?

– Okej – odparła cicho. – Byle gorzkiej… czarnej… earl grey może być.

Aspirant wszedł do kuchni i zabrał się do roboty. Joanna patrzyła na niego z pijackim zdziwieniem, które występowało zawsze, gdy człowiek z przemożnym kacem obserwował szybko poruszającą się istotę nienękaną taką przypadłością.

– Uspokój się – mruknęła i usiadła przy stole.

– Co?

– Czemu robisz wszystko tak szybko?

Uśmiechnął się pod nosem i nie odpowiedział. Po chwili postawił przed nią herbatę. Chyłka spojrzała na nią z konsternacją, przekonana, że dopiero co o nią poprosiła. Kolejny alkoholowy rykoszet – zagięcie czasoprzestrzeni.

Napiła się, biorąc niewielki łyk. Zgodnie z tym, czego się obawiała, herbata zdawała się mieć posmak tequili. Teraz wszystko będzie tak smakowało przez dobrych dziesięć godzin.

– I jak? – zapytał Szczerbiński, siadając obok.

– Źle.

– Jak bardzo?

– Tak, jak widać na załączonym obrazku. A jeśli masz jakieś wątpliwości, ta herbata zaraz wróci tą samą drogą, którą trafiła do mojego żołądka…

Pokiwał głową ze zrozumieniem. Nadal jednak uśmiechał się półgębkiem.

– Pieprzyliśmy się? – spytała Chyłka.

– Nie. Próbowaliśmy, ale odpłynęłaś.

– W jakimś strategicznym momencie?

– Na samym początku – odparł zawiedziony. – Ledwo rozpiąłem ci spódnicę, a nagle zwiotczałaś jak śnięta ryba.

– Niezbyt seksowne porównanie.

– Bo była to niezbyt seksowna sytuacja – ocenił.

Joanna spojrzała na jego uniesione kąciki ust.

– Sprawia ci to satysfakcję, Szczerbaty?

– Tak.

– Więc mogę z dużą dozą pewności powiedzieć, że to twoja ostatnia wizyta na Argentyńskiej. Chyba że przyjdziesz na kebab kawałek dalej.

Rozłożył ręce.

– Co mam zrobić? Lubię bezbronne kobiety.

– Nie jestem bezbronna. Przeciwnie.

– Pewnie, pewnie.

Objęła kubek dłońmi i obróciła się do niego.

– I co to w ogóle za beznadziejny tekst?

– Żaden tekst. Jestem policjantem, lubię bezbronne kobiety, bo wtedy mam sposobność, żeby pomóc.

Załamała ręce.

– Jesteś beznadziejny.

– Wiem.

– Więc przydaj się lepiej na coś i zadzwoń do swoich kumpli, zapytaj o Bukano.

Widziała, że zaskoczyła go tą prośbą. Spodziewał się pewnie, że praca to ostatnia rzecz, o jakiej będzie teraz myślała. Dla Joanny było to jednak zupełnie naturalne. Nie pamiętała, kiedy w jej życiu istniało coś ważniejszego od pracy.

– W porządku? – zapytała. – Dowiesz się czegoś?

– Spróbuję – odparł i poszedł po telefon.

Chyłka powiodła wzrokiem za swoją komórką. Nigdzie jej nie namierzyła, więc pociągnęła jeszcze łyk herbaty, a potem z trudem się podniosła. Ostatecznie znalazła urządzenie na stoliku nocnym. Brak nieodebranych połączeń, brak SMS-ów. Bukano nie wrócił na noc do domu.

Poczuła niepokój, ale trudno było stwierdzić, czy wynika z realnej obawy, czy alkoholowego otępienia. Po ostrym piciu zawsze miała wrażenie, że dzieje się coś niepokojącego. W takiej sytuacji pomocny byłby klin, ale nie miała warunków, by go wbić. Na tequilę nie chciała patrzeć, a piwa w lodówce nie było.

Ale…

Zastanowiła się przez chwilę. Tak! Ma jeszcze resztówkę wódki w żakiecie! Czym prędzej poszła do przedpokoju, poniewczasie uświadamiając sobie, że powinna nieco zwolnić. Musiała zatrzymać

się na dłużej przy wieszaku, by wróciło poczucie równowagi. Potem wydobyła piersiówkę.

Chwilę później siedziała uśmiechnięta przy stole, na którym postawiła drinka w dużej szklanicy. Pływało w niej jedenaście kostek lodu, wódka, listki mięty i limonka.

– Już? – zapytał z powątpiewaniem Szczerbiński, wchodząc do kuchni.

– Poczęstowałabym cię, ale mam mało.

– Zawsze możesz pójść do sklepu – zauważył. – Choć musisz znaleźć taki, gdzie nie mają tabliczki „osobom nietrzeźwym alkoholu nie sprzedajemy".

Spiorunowała go wzrokiem. Zrobiło jej się nieco lepiej, gdy organizm otrzymał poranny zastrzyk świeżego, nieprzetrawionego alkoholu. Pozostałe składniki orzeźwiającego drinka też zrobiły swoje.

– Siadaj na dupie – poleciła. – I mów, dowiedziałeś się czegoś?

Usiadł naprzeciwko.

– Nie ma śladu po twoim kliencie.

– Jak to?

– Szukają go od wczoraj i można już chyba powiedzieć, że ma problemy. Wprawdzie cofnięto postanowienie o zastosowaniu środka zapobiegawczego w postaci…

– Wiem, wiem, powinien być na miejscu. Gotów na każde skinienie sądu i organów ścigania.

Szczerbaty pokiwał głową i sięgnął po drinka. Ledwo jednak jego ręka zbliżyła się do szklanki, Chyłka ją odsunęła. Nie przypuszczała, by chciał się napić o tej porze, zaraz pewnie zaczynał służbę. Miał zamiar zabrać jej to, co stanowiło teraz jej najcenniejszą własność.

– Wygląda na to, że twój Cygan zbiegł – powiedział aspirant, jakby nie zauważył uniku.

– Nie miałby powodów.

– A jednak nie ma po nim śladu.

– To nie znaczy, że zbiegł.

– Co sugerujesz?

– Dokładnie to, o czym myślisz.

Aspirant spojrzał pytająco na kubek z herbatą. Joanna skinęła łaskawie głową, więc podsunął go sobie i napił się.

– Czuć alkohol na brzegu – powiedział. – Ile ty jesteś w stanie przyjąć?

– Tyle, ile trzeba.

Nie kontynuował tematu i była mu za to wdzięczna. Zresztą nie tylko za to. Dziewięciu na dziesięciu facetów zaczęłoby nie od dzwonienia po znajomych, by dowiedzieć się czegoś w sprawie klienta, ale od kazania na temat tego, że idąc dalej tą drogą, Chyłka trafi w końcu w ślepy zaułek.

Z drugiej strony mógł to być wynik tego, że niespecjalnie mu zależało. Może traktował tę relację dokładnie tak samo, jak ona. Niezobowiązująco, nieperspektywicznie, doraźnie. Seks i niewiele ponad to.

Zordon z pewnością by psioczył, nie miała co do tego wątpliwości.

– Musicie go znaleźć – odezwała się.

– Zapewniam cię, że będziemy próbować. I to z pewnością na polecenie sądu – odparł i pociągnął łyk zimnej earl grey. – Kiedy następna rozprawa?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiesz?

– Nie dokładnie – odpowiedziała. – Dni mi się trochę zlały w jedno… ale jakoś niedługo.

Niejasno uświadomiła sobie, że jej myśli są jak chorągiewka na wietrze. Raz myślała o jednym, zaraz o drugim. Tymczasem powinna skupić się na zniknięciu Bukano. Nie uciekł, była co do tego pewna. Nawet gdyby sprawa w sądzie przybrała nieoczekiwany obrót, nie ulotniłby się. Walczyłby do końca, by poznać prawdę o śmierci żony i córki.

– Od czego mamy zacząć? – odezwał się Szczerbiński.

– Hę?

Pomyślała, że znowu coś jej umknęło.

– Gdzie go szukać? – zapytał.

Zauważyła, że jego policyjny notes leżał otwarty na stole. Kiedy po niego sięgnął? Skąd go w ogóle wziął? Napiła się drinka i postarała zebrać myśli.

– Trzeba popytać wśród Romów – orzekła.

– Mówiłaś, że nie utrzymywali z nim kontaktów.

– Niby nie… ale kto ich tam wie? Spotykał się z Koro.

– Koro?

– Ten od remontu mieszkania.

– Wybacz, ale nie śledziłem tak dokładnie sprawy.

– Wybaczam – odparła, a potem podała mu adres. Przez kilka chwil zastanawiała się nad innymi miejscami, w których wypadałoby poszukać Roberta Horwata. Nic jednak nie przychodziło jej na myśl.

– A praca? – zapytał policjant.

– A… no tak. Sprawdź firmę, która buduje… buduje to nowe osiedle na Ursynowie…

Czekał na nazwę, ale Joanna nie mogła sobie przypomnieć.

– Miecz-bud… Wecz-bud… cholera, nie pamiętam.

– Więc przypomnij sobie. Trzeba tam popytać.

Pokiwała głową, po czym wsparła się o stół i podniosła. Musiała przyznać, że z każdą minutą – a może każdym łykiem mojito – wracała do siebie. Może było to złudne wrażenie, ale nie miało teraz najmniejszego znaczenia. Ważne, że czuła, jakby wracała na właściwe tory.

Przeszła do salonu i przysiadła na podłodze przy aktach. Zaczęła je przeszukiwać.

– Walcz-bud – powiedziała.

Szczerbiński nie odpowiedział, gdyż rozległ się dzwonek do drzwi. Krótki, nienachalny, jakby niepewny. Chyłka doskonale wiedziała, kogo się spodziewać. Ojciec wrócił, by podjąć kolejną beznadziejną próbę naprawienia relacji. Może i by mu się udało, gdyby jakiekolwiek istniały. Przez lata uległy jednak tak poważnej korozji, że nie było już czego naprawiać.

– Otworzysz? – zapytała z uśmiechem.

Widok obcego faceta zrobi swoje, pomyślała.

– Ja?

– Zrób to dla mnie – poprosiła.

Kiedy Szczerbiński otwierał drzwi, ona stała już w przedpokoju, oparta o ścianę. Skrzyżowała ręce na piersi i zastanawiała się, jak będzie to wyglądać z perspektywy Filipa. Zapewne jednoznacznie.

Miała na sobie tylko nie do końca zapiętą białą koszulę, w której spała, i majtki.

Uśmiechnęła się, ale mina jej zrzedła, kiedy zobaczyła w progu Zordona.

Młody prawnik otworzył usta, ale się nie odezwał. Sprawiał wrażenie, jakby miał upuścić swój czarny neseser. Spojrzał na Joannę i jego wzrok machinalnie przebiegł po jej udach. Potem wbił spojrzenie w policjanta.

W oczach Kordiana pojawił się błysk zrozumienia.

– Aspirant Szczerbiński? – zapytał z niedowierzaniem.

– Eee… – odparł Szczerbaty, obracając się przez ramię. – A ty to…

– Kordian Oryński.

Policjant wyciągnął rękę z niepewnym uśmiechem.

– Poznaliśmy się już – odparł prawnik. – Pod rezydencją Siwowłosego.

– Ach! To ty robiłeś zdjęcia?

– Nie, to był Kormak. Zresztą… – Oryński urwał i podrapał się po głowie. – Może przyjdę, jak…

Chyłka zastanawiała się przez moment, czy nie zbyć napięcia krótką uwagą i nie zaprosić go do środka. Zamiast tego trwała jednak w bezruchu, nonszalancko oparta o ścianę. Nie miała zamiaru wyciągać do niego pomocnej dłoni.

– Nie, nie – uratował go Szczerbiński. – Już wychodziłem.

– Aha.

Jeśli miała powiedzieć, by wszedł, teraz była na to pora. Mimo to Kordian nadal stał przed progiem, niepewny, czy zrobić krok do środka.

– Wiem już wszystko, co mnie interesuje – dodał aspirant, potrząsając notesem.

Joanna i Kordian dopiero teraz zauważyli, że policjant trzyma go w ręce.

– Chyba że jest coś jeszcze… – zaczął policjant i znów się obrócił.

– Nie – odparła.

– W takim razie zbieram się.

Nadal trwali w bezruchu. W końcu Szczerbiński odchrząknął, schował notes i rzeczywiście zaczął się zbierać. Pożegnał Chyłkę

zdawkowym uśmiechem, uścisnął rękę Oryńskiemu, a potem go wyminął.

Kordian wszedł powoli do mieszkania.

– Nie powiedziałam, że możesz wejść.

– Domniemałem.

– Źle domniemałeś.

– Więc mam wyjść?

– Na razie nie. Poczekaj tu – odparła, po czym przeszła do kuchni.

Omiotła wzrokiem pomieszczenie. Nie wyglądało najgorzej, ale było połączone z salonem, w którym miała rozłożone wszystkie swoje materiały.

– Jeśli to niewłaściwa pora… – zaczął Kordian.

– Czekaj cierpliwie, Zordon.

– Ale…

– Mam tu pełno rzeczy, których wróg nie powinien widzieć – oznajmiła. – Muszę pochować te najbardziej newralgiczne.

– O czym ty mówisz?

– Urządziłam centrum dowodzenia w salonie – wyjaśniła, obracając kilka kartek. – Mam tu akta sprawy porozkładane na podłodze.

Niespodziewany gość na chwilę zamilkł.

– Nie przychodzę jako nieprzyjaciel – oznajmił w końcu.

– Bzdury opowiadasz – oceniła. – Jesteś teraz jednym z moich zaprzysięgłych wrogów. Obok ciebie jest Daniel Kosmowski, ten złamany kutas, który uskutecznia prawniczą nowomowę, pamiętasz…

– Pamiętam – burknął Oryński z korytarza.

– Kto tam jeszcze… – mamrotała Chyłka, porządkując materiały. – Karol Rejchert, prokurator od sprawy Langera… no i oczywiście sam Piotr.

Wyprostowała się, potoczyła wzrokiem po zadrukowanych stronach, a potem z zadowoleniem skinęła do siebie głową. Świat lekko zawirował jej przed oczami.

– Właź – poleciła.

Kordian powoli wszedł do środka, taszcząc czarną skórzaną torbę. Joanna wskazała mu miejsce przy stole w kuchni. Postawił neseser obok, a potem odsunął sobie krzesło.

– Napijesz się czegoś? – zapytała.

– Może reflektowałbym na…

– To idź do sklepu, jest niedaleko. Top Market przy alei Stanów Zjednoczonych.

– Rozumiem.

Usiadła naprzeciw niego i ustawiła krzesło bokiem do stołu. Założyła nogę na nogę, a potem jedną rękę położyła na blacie. Spojrzała na niego z ukosa.

– Czego chcesz, Judaszu?

– Co takiego?

– Judaszu, faryzeuszu, zdrajco, kolaborancie, konfidencie i żmijo, ty cholerny wiarołomco i bazyliszku…

– Dasz spokój?

– Tylko jeśli się wygadam.

– To proszę – burknął.

Zastanawiała się przez chwilę. Właściwie wyrzuciła już z siebie wszystko, co miała mu do powiedzenia. Przynajmniej biorąc pod uwagę stan, w którym się znajdowała. A był to stan błogi. Drink zrobił już swoje i zmienił uciążliwego kaca w dobry fundament pod kolejne dawki alkoholu. Joanna była zrelaksowana, ale gdyby Oryński trafił na inny moment, powściągnięcie się nie przyszłoby tak łatwo.

– Jesteś parszywym karierowiczem – powiedziała mimo to. – Zaprzedańcem i oportunistą.

– Oportunistą?

– Coś nie pasuje?

– No, chyba to słowo…

– To nie od oporu, cielaku, tylko od *opportunity*. Oznacza kogoś, kto… właściwie jest tobą. Rozumiesz?

– Mniejsza z tym – odparł i otworzył teczkę. Wyjął z niej tablet, przesunął po nim palcem, a potem podał Joannie.

– Co to?

– Zdjęcia przedstawiające zarząd Salusa. Kormak je wygrzebał.

– I na cholerę mi to potrzebne? – spytała, ale wzięła urządzenie.

– Bo dzięki temu zobaczysz, że po tym, jak Langer zyskał pakiet kontrolny akcji, zaczął systematycznie wymieniać skład organów.

Chyłka przez moment przyglądała się tym ludziom. Sprawiali dość neutralne wrażenie, zarówno jedni, jak i drudzy.

– Langer oczywiście nie widnieje w dokumentach, jeśli nie liczyć prokury – dodał Kordian. – To jednak jego firma nabyła pakiety akcji, a potem zabrano się do wymiany rady nadzorczej. Powołano pięć osób, które nie mają nic wspólnego z żadnymi podejrzanymi sprawami, a następnie rada zaczęła wymieniać członków zarządu.

Joanna zmarszczyła czoło.

– W jakim celu? – zapytała.

– Nie wiem.

Z wolna podniosła na niego wzrok.

– Zdaję sobie sprawę, że nie wiesz, Zordon. Inaczej byś do mnie nie przyszedł. Pytam o to, w jakim celu mi to pokazujesz?

– To chyba oczywiste.

– Judasz nie chce już srebrników? – zapytała, oddając mu tablet. – Zamierzasz odwrócić się od koryta, z którego jesteś karmiony?

– Zamierzałem, ale jak tak cię słucham…

– Daj spokój – ucięła. – Nie mam siły na słowne przepychanki. Dziś rano źle się czułam.

Aplikant mimowolnie powiódł wzrokiem wokół, jakby szukał dowodów na to, że Szczerbiński spędził tutaj noc. Potem wbił spojrzenie w Chyłkę.

– Źle wyglądasz – ocenił.

– Ty też – odparła. – Ale u ciebie to norma, u mnie odstępstwo od niej.

– Mam na myśli ten pijacki *image*. Nie przesadzasz?

– Błagam cię, Zordon, bez pouczeń. Nie pasujesz na kogoś, kto mógłby ich udzielać.

– Mówię poważnie.

– Ja też.

Oryński znów się rozejrzał. Tym razem jednak niczego nie wypatrywał. Szukał odpowiednich słów i odpowiedniego sposobu, by je wypowiedzieć. Chyłka spiorunowała go wzrokiem z nadzieją, że to każe mu się dwa razy zastanowić, nim zacznie prawić jej kazania.

– Potrzebujesz pomocy – orzekł w końcu.

– Co takiego?

– Co gorsza, sama doskonale zdajesz sobie z tego sprawę – ciągnął. – I nie przejmujesz się tym. Ani trochę.

Joanna mruknęła pod nosem. Gdyby nie to, że ciekawił ją powód, dla którego Zordon pojawił się w jej mieszkaniu, dawno skończyłaby tę rozmowę. Należało podejść jednak do niej pragmatycznie.

– Może nawet sprawia ci to przyjemność – dodał.

– Co?

– Niszczenie się – wyjaśnił, jakby rzeczywiście miał prawo ją oceniać. Z trudem ugryzła się w język. – Jesteś na kursie kolizyjnym z własnym życiem i…

– Litości, Zordon. Skąd te truizmy?

– Mówię tylko, że podświadomie się karzesz.

– Słuchałeś ostatnio jakichś motywacyjnych bzdur, co?

– Nie.

Popatrzył na nią z powagą i przemknęło jej przez głowę, że może nie powinna się denerwować. Owszem, Zordon był irytujący, gdy próbował komukolwiek matkować, ale przyświecały mu dobre intencje. Jeśli istniała jakaś osoba, której rzeczywiście na niej zależało, to był nią on.

– Mów, po co przylazłeś – powiedziała. – A jak nie, to wywalaj stąd w podskokach.

– Już ci mówiłem.

– Ale ja czekam na konkrety, a nie twoje zwyczajowe pieprzenie.

Kordian odsunął z piskiem krzesło. Podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz, po czym wyjął z kieszeni marynarki elektronicznego papierosa. Zaciągnął się głęboko.

– Nadal palisz ten syf? – odezwała się.

Zerknął na nią kątem oka.

– I mówi to osoba paląca marlboro?

– Kiedyś już ci chyba tłumaczyłam różnicę między tymi papierosami a jakimikolwiek innymi.

– Tak, tak.

Milczeli przez dłuższą chwilę. Oryński uchylił okno, po czym obrócił się i przysiadł na parapecie. Skrzyżował przed sobą nogi i popatrzył bez wyrazu na Joannę. Wiedziała, że zrezygnował z dalszych prób pouczania jej, jak ma żyć. Zapisała mu to na plus, ale uważała, że

i tak zrobił to zbyt późno. Powinien od początku zdawać sobie sprawę, że to nie jego interes.

– Mamy z Kormakiem tego dosyć – oświadczył.

– Czego?

– Współpracy z Langerem.

– Nie współpracujecie z nim, z tego, co wiem. Jest waszym klientem.

– Nie wiem, jak daleko to sięga – przyznał, rozgarniając poły marynarki i wkładając ręce do kiszeni. Oparł się o okno. – Przypuszczamy, że Lew Buchelt jest zamieszany bezpośrednio w jakieś machinacje Salusa, ale trudno powiedzieć, od jak dawna i w jakim zakresie.

Chyłka przez moment się zastanawiała.

– Tyle że rada nadzorcza i zarząd się zmieniły – zauważyła. – To właściwie inna firma.

– Widocznie Langer zostawił Buchelta tam, gdzie chciał go mieć. To potwierdza naszą tezę, że ma coś za uszami.

– Mhm – zgodziła się cicho Chyłka. – Zawsze wiedziałam, że ten niemrawiec kombinuje coś na boku.

Aplikant skinął głową, a potem odchylił ją do tyłu. Przeczesał wzrokiem sufit i ostatecznie utkwił spojrzenie gdzieś ponad sobą.

– Jest jeszcze jedna rzecz, o której muszę ci powiedzieć – odezwał się.

– Jedna? Co najmniej.

– Nie wiem tylko, czy mogę ci ufać.

– Że co proszę? – żachnęła się. – Ty przebrzydły…

– Chyłka…

– Ty nie wiesz, czy możesz mi ufać? – zapytała, podnosząc się. Oparła się o stół i popatrzyła na niego bykiem. – Z nas dwojga to ja mam powody, żeby mieć wątpliwości co do charakteru drugiej strony.

– Nic nie zrobiłem.

– Właśnie, Zordon, nic nie zrobiłeś.

– Czego się spodziewałaś?

– Czegokolwiek. Jakiegoś drgnięcia sumienia, które rzekomo masz.

– Sama mówiłaś, żebym nic nie robił.

Powiodła wzrokiem za paczką marlboro lub butelką tequili. Jednego ani drugiego nie odnalazła.

– Wystarczy tego – powiedziała. – Nie będziemy do tego wracać, bo na stopie osobistej nie mam zamiaru mieć z tobą nic wspólnego.

Przełknął ślinę i wyjął ręce z kieszeni. Miała nadzieję, że nie będzie pytał, czy ze Szczerbińskim chce mieć. Byłoby to tak żenujące, że jej pokłady tolerancji natychmiast by stopniały. I tak zniosła wiele przez ostatnich kilkanaście minut.

– A na zawodowej? – zapytał.

– Na zawodowej wszystko zależy od tego, co masz mi do powiedzenia.

Zastanawiał się długo, chodząc po kuchni. W tym czasie Chyłka zdążyła zrobić sobie drinka, tym razem z prawdziwego zdarzenia, bez zieleniny.

Usiedli z powrotem przy stole, naprzeciwko siebie.

– Zakierski jest na usługach Langera – oznajmił Kordian.

Joanna spokojnie pociągnęła łyk i odstawiła szklankę.

– Jesteś pewien?

– Sam byłem obecny podczas ich spotkania.

– I ot tak mówisz mi o tym?

– Nie ot tak – odparł, spuszczając wzrok. – Kosztowało mnie to trochę namyślunku.

– Nie ma takiego słowa, Zordon.

– Nieważne. – Machnął ręką. – W każdym razie coś tu jest bardziej nie w porządku, niż można by sądzić po samych podejrzeniach wobec Salusa. Jeśli ktoś miesza w prokuraturze, to…

– To nie mamy z tym do kogo pójść.

Zauważyła, że drgnęły mu kąciki ust. Cielak, prawdziwy cielak, skwitowała w duchu. Ucieszył się, słysząc liczbę mnogą.

– Jak to nie? – zapytał. – ABW chętnie zainteresuje się sprawą.

– Może.

– O ile mielibyśmy dowody, tak?

Potarła skronie. Sprawa robiła się zbyt skomplikowana, by otumaniony alkoholem umysł był w stanie ogarnąć jej rozmiary.

– Tak – potwierdziła. – Poza tym nie powinieneś mi o tym mówić. Tajemnica adwokacka.

– Nie donoszę na Langera, tylko na Zakierskiego… a właściwie w ogóle nie donoszę, bo jak ostatnim razem sprawdzałem, nie byłaś organem państwowym.

Popatrzyła na tequilę sunrise. Najmądrzej byłoby odstawić ją choć na kilka godzin, wypocić się na fitnessie, zjeść coś, a potem postarać się zebrać myśli. Względnie przespać choćby kilka godzin, by lepiej się układały.

– Pieprzyć to – powiedziała, a potem opróżniła pół szklanki.

– Co?

– Nie do ciebie – odparła. – I powiedz mi lepiej, dlaczego Langer miałby współpracować z Zakierskim?

Kordian wzruszył ramionami.

– Jedyny logiczny powód to wsadzenie Bukano – zauważył bez przekonania.

– Ale nie o niego w całej tej sprawie chodzi.

– Ano nie.

– Więc?

Powtórzył bezradny gest, zaczerpnął tchu, a potem zaczął opowiadać. Po chwili Chyłka wiedziała tyle, ile on – zakładając, że nie zataił przed nią niczego. Uznała jednak, że nie. Jeśli wraz z Kormakiem podjęli decyzję, to z pewnością nie sięgali po półśrodki.

Joanna milczała przez jakiś czas po tym, jak Kordian wszystko jej wyłożył. Dolała sobie alkoholu, ale tylko trochę. Potem zapaliła.

– I co o tym sądzisz? – odezwał się w końcu.

Nie wiedziała. Wszystko to stanowiło rozbitą mozaikę, której nie sposób było z powrotem poskładać. W dodatku zniknięcie Bukano wszystko komplikowało.

– Chyłka?

Spojrzała na wpół wypalonego papierosa, po czym zgniotła go w popielniczce. Uznała, że czas najwyższy zasięgnąć wiedzy u źródła.

– Jedziemy na Grochowską – powiedziała. – Ty prowadzisz.

12
Plac Szembeka, Praga Południe

Kordian minął stację benzynową BP i skręcił w prawo. Chwilę później zaparkował iks piątkę na jednym z podwórek, czując, jakby popełniał zbrodnię na tym samochodzie.

– Jesteś pewna, że chcesz ją tu zostawić? – zapytał.

– Nic jej nie będzie.

– No nie wiem. Spodziewam się powtórki z osiedla Langera na Mokotowie.

– Proszę cię, nie przypominaj mi o tym.

– Albo z Mazur.

– Zordon – zaapelowała. – Mów tak dalej, to okoliczni Romowie będą twoim najmniejszym problemem.

– Romowie?

Wyszła z samochodu i delikatnie zamknęła drzwi od strony pasażera. Oryński szybko zrobił to samo, po czym dwa razy się upewnił, czy zaryglował centralny zamek.

– Coś nie tak? – zapytała.

– Zazwyczaj mówisz o nich per Cyganie, brudasy, ciawy…

– *Ciawo* to po prostu chłopak.

Kordian uniósł brwi.

– Stałaś się specjalistką od romskiego?

– Nie, po prostu jestem precyzyjna. I dlatego nie romski, tylko język romani.

Oryński uznał, że alkohol nie wpływa na Chyłkę wyłącznie negatywnie. Poprzestawiał jej coś w głowie, nie mogło być co do tego wątpliwości. Najwyraźniej istniały pozytywne skutki uboczne.

– Więc to już nie ciabaty, brudasy, moresy, dziabuchy i… jak jeszcze na nich mówiłaś?

– Szoszony.

– Nigdy nie wiedziałem, skąd to bierzesz – odparł Kordian i oparł się o dach.

– Ja też nie.

Oryński powiódł wzrokiem wokół. Zaniedbane praskie kamienice sprawiały wrażenie, jakby stały tutaj od czasów drugiej wojny światowej. Po prawdzie trudno było sobie wyobrazić, by w tak zapyziałych budynkach na co dzień mieszkali ludzie.

– Do której z tych mordowni idziemy? – zapytał.

– Do tej. – Chyłka wskazała jedną z klatek, a potem ruszyła w jej kierunku. – Mieszka tu Koro. I to jedna z lepszych dzielnic, bądź poważny.

– Jestem – burknął, idąc za prawniczką.

Nie planował ruszać z nią w teren. Pierwotnie zakładał, że przekaże wszystko, co ma do przekazania, a potem pozwoli jej działać. Istniało niebezpieczeństwo, że ktoś od Langera ma na nią oko, a jeśli tak, to samo wyjście na ulicę w jej towarzystwie mogło przysporzyć mu niemałych problemów.

A jednak zgodził się bez wahania, by zawieźć ją tutaj. Trochę zwątpił, widząc, w jakiej okolicy się znaleźli, ale było już zbyt późno, by się wycofać.

Joanna obróciła się i ponagliła go ruchem ręki.

– Trzymaj tempo, Zordon. Jak zostaniesz za daleko z tyłu, ktoś cię napadnie i tyle będzie.

– Trzymam – powiedział pod nosem.

Weszli na piętro, a potem zatrzymali się na środku korytarza. Chyłka z powagą uniosła dłoń, jakby uczestniczyli w akcji mającej na celu usunięcie najgroźniejszego terrorysty na liście FBI.

– Czekaj – poleciła.

– Na co?

– Na to, aż sobie przypomnę, które to drzwi.

– Żartujesz sobie ze mnie?

– Nie – odparła, drapiąc się po karku. – Kiedy ostatnio tu byłam, mój stan był lekko wskazujący.

– Nadal jest.

– I dlatego potrzebuję chwili.

W końcu przypomniała sobie, o które drzwi chodzi. Kiedy zaczęła łomotać w nie bez ogródek, Oryński miał nadzieję, że nie pomyliła mieszkań. Rozglądał się nerwowo i czuł, jak serce niebezpiecznie mu przyspiesza.

Oczami wyobraźni zobaczył scenkę z Maszkowic, niewielkiej wsi gdzieś na Nowosądecczyźnie. Liczna grupa Cyganów najpierw starła się tam z jakimiś robotnikami, a potem napadła na orszak weselny. Tłum ludzi wylewających się z koczowiska napawał grozą nawet osoby o mocnych nerwach.

– Chyłka…

– No? – zapytała Joanna, waląc w drzwi kolejny raz.

– Pamiętasz tych Romów z Maszkowic?

– Pewnie, że pamiętam. Banda chuja.

– Ile dostali?

Przestała tarabanić i spojrzała na aplikanta.

– A bo ja wiem? – zapytała. – Postawiono im zarzut rozboju i uszkodzenia ciała, potem się sprawą nie interesowałam. A co? Wydaje ci się, że zaraz zleci się tutaj podobna szarańcza?

– Mam pewne obawy.

Obróciła się do niego i z powagą skinęła głową.

– Całkiem zasadne – przyznała. – Jak byłam tu ostatnio, sukinsyny też mnie goniły. Uciekłam im tylko dzięki mojemu wrodzonemu, dobrze rozwiniętemu instynktowi przeżycia, którego ci brakuje.

– Słucham?

– Na twoim miejscu też bym się martwiła – dodała, a zaraz potem rozległ się dźwięk otwieranego zamka.

Rom uchylił drzwi i popatrzył badawczo na dwójkę gości. Chyłka nie dała mu szansy, by zapytał, co tutaj robią. Ruszyła do przodu i popchnąwszy drzwi, weszła do środka. Kordian uśmiechnął się pod nosem. Zapomniał już, jak to jest mieć patrona nieco bardziej zdecydowanego niż Borsuk.

– Co to ma być, do kurwy nędzy… – powiedział gospodarz.

– Cicho, Koro.

– Władowałaś mi się do domu!

– I władуje się tutaj cały zastęp policji, o ile znów nie pokażesz mi, że lubisz ze mną współpracować.

– Nie ma mowy – odpowiedział, stając w korytarzu z rozłożonymi rękoma. – Ostatnio kosztowało mnie to… kurwa mać, sama wiesz, bo sama mi ten gnój w sądzie zgotowałaś!

Wzruszyła ramionami.

– Nie da się zaprzeczyć – przyznała. – Ale zrobię ci jeszcze gorszy, jak zaraz nie spuścisz z tonu.

Koro spojrzał na Oryńskiego i nagle wzrok Cygana stężał. Na Joannę patrzył z pretensją, ale bez agresji, natomiast kiedy tylko zerknął na Kordiana, ten poczuł, jakby rzucono mu dość wymowne ostrzeżenie. Jeszcze krok, a dostanie po mordzie.

– Co to za pajac? – odezwał się Rom.

– Zordon.

– Co?

– Mniejsza z nim. Jest moim szoferem.

– Przyprowadziłaś go tu jako obstawę?

Chyłka zaśmiała się, kręcąc głową.

– Pewnie – odparła. – Tylko tak niepozornie wygląda. Jak sama nazwa wskazuje, w rzeczywistości może przywołać kilku gości ubranych w kolorowe spandeksy, którzy doszczętnie przemodelują ci dupę.

– Co takiego?

– Współpracuj, a nie przekonasz się o tym, ile mogą.

Koro wyglądał na skołowanego, Oryńskiego zaś nurtowała wiedza Chyłki na temat „Power Rangers". On sam ledwo załapał się na schyłek popularności serialu na Polsacie, ona w tym czasie musiała już studiować, a może nawet zaczynać aplikację. Jedynym wytłumaczeniem było to, że oglądała produkcję z jakimś dzieciakiem, ale z tego, co wiedział, nie istniał nikt w odpowiednim wieku. Z drugiej strony materia ta była dla niego nadal niezgłębiona. Dopiero niedawno dowiedział się, że jej ojciec żyje. O matce nie miał bladego pojęcia. Joanna miała siostrę, ale na tym cała wiedza Oryńskiego się kończyła.

Odsunął te myśli. Jeśli wszystko w sprawie Bukano zacznie się układać, z pewnością będzie miał niejedną okazję, by o to zapytać. Nie łączyła ich już relacja patrona i aplikanta, mogli pozwolić sobie na znacznie więcej.

Uśmiechnął się na tę konkluzję. Mrzonki, zwykłe mrzonki.

– Czego ode mnie chcecie? – zapytał Koro, kładąc dłonie na przeciwległych ścianach korytarza.

– Informacji – odparła Joanna. – Szukamy twojego kumpla, ale bezskutecznie.

– Tu go na pewno nie znajdziecie.

– Nie? Więc nie powinieneś mieć nic przeciwko, żebyśmy rzucili okiem.

– Zwariowałaś? – prychnął Rom. – Według Bukano jestem jednym z podejrzanych. I to dzięki tobie.

Chyłka cmoknęła, kręcąc głową.

– Nie – powiedziała. – Niestety nie mogę sobie przypisać zasług.

– Obróciłaś w sądzie wszystko przeciwko mnie!

– Ale nie ja zapierdzielałam tu z pędzlem jak poparzona i nie malowałam wszystkiego zaraz po zabójstwie Patrycji i Aiszy, prawda?

Koro skrzywił się, przywodząc Kordianowi na myśl drapieżnika, który gotów jest rzucić się na swoją ofiarę i rozszarpać ją na kawałki. Była to niepokojąca obserwacja, tym bardziej że wszyscy pozostali Cyganie w okolicy z pewnością byliby nastawieni do nich znacznie agresywniej.

Oryński obrócił się i spojrzał w stronę korytarza, nasłuchując. Ktoś musiał słyszeć odgłosy walenia do drzwi. Mógł zaalarmować innych.

– Gdzie on jest? – spytała Chyłka.

– Nie wiem.

Westchnęła, obracając się tyłem do ściany. Przylgnęła do niej, a potem wyciągnęła paczkę papierosów i zaproponowała jednego Cyganowi.

– Nie, dziękuję – odbąknął.

– Będziesz dziękować, jak wyciągnę do ciebie rękę w sądzie.

– Co?

– Po tym, jak wezwę cię na świadka i będziesz pod przysięgą zeznawał na okoliczność tego, czy naprawdę nie wiesz, gdzie jest mój klient.

– Ale…

– Mów teraz albo poć się później na mównicy. Wybieraj.

– Poczekaj… – zaapelował Koro. – Ja naprawdę nie wiem, dlaczego znikł ani gdzie jest.

– To co wiesz?

Popatrzył na nią z pretensją, przełknął ślinę, a potem opuścił ręce wzdłuż tułowia. Zaczerpnął powietrza nosem, starając się uspokoić.

– Wiem, gdzie możesz poszukać odpowiedzi – powiedział.

– Gdzie?

– Pod Wrocławiem.

– A co tam jest?

– Koczowisko, w którym żyją jego rodzice.

Prawnicy spojrzeli po sobie.

– Przecież pochodzi z Warszawy – zaoponowała Joanna. – Byłam w kamienicy, gdzie się wychowywał.

– Tak, ale po tym, jak się skalał, jego rodzice wyjechali. Nie chcieli mieć z tym miejscem nic wspólnego.

Chyłka pokiwała głową.

– Dawaj adres – powiedziała.

– To nie takie proste…

– W jakim sensie? – żachnęła się. – Bierzesz kartkę, długopis, zapisujesz i wręczasz mi. Wiem, że większość z was jest analfabetami, ale bez przesady. Tyle nawet Zordon potrafi zrobić. – Obróciła się. – Nie, Zordon?

Kordian uniósł brwi i milczał. Rom spojrzał na niego ze współczuciem, a może tylko tak mu się wydawało.

– Poczekajcie tutaj – powiedział Koro, ostrożnie się wycofując, jakby w głębi mieszkania ukrywał zwłoki, narkotyki czy inne rzeczy, o których istnieniu nie chciał informować dwójki prawników.

Wrócił po chwili z pożółkłą kartką i wręczył ją Joannie.

– Co to ma być? – zapytała.

– Adres. Zostawili mi go przed wyjazdem.

– Dlaczego akurat tobie?

– Bo byłem dla nich jak rodzina. Trzymaliśmy się z Bukano razem od dziecka.

Joanna spojrzała na krótką notatkę, po czym przekazała ją Kordianowi. Nie było na niej numeru telefonu, maila czy nawet

nazwy ulicy, przy której można by szukać rodziców Roberta Horwata. Tylko napis „Brochów”.

– Co to znaczy? – zapytał Oryński, potrząsając kartką.

– Nie wiem, nie znam Wrocławia. Brzmi jak dzielnica.

Chyłka zrobiła krok w jego stronę, zanim zatrzymał ją, wyciągając otwartą dłoń.

– Nie kontaktowałeś się z nimi, od kiedy wyjechali? – zapytała.

– Nie miałem okazji.

– I nie przyjeżdżali do Warszawy?

– Nie. Nie mają tutaj czego szukać. Chcieli wyjechać jak najdalej, a Wrocław…

– To polska stolica Romów – dopowiedziała Joanna. – Mieszka ich tam około tysiąca pięciuset, co czyni go miastem z najliczniejszą społecznością cygańską.

Chyłka odwróciła się do Kordiana, patrzyła na niego przez moment, a następnie wskazała drzwi. Bez słowa opuścili mieszkanie Koro i ruszyli w stronę iks piątki. Oryński wolał nie myśleć o tym, jaki widok mogą zastać.

Bmw było jednak w nienaruszonym stanie.

– Dzięki Bogu… – mruknął.

– Co? Myślałeś, że ktoś podniesie rękę na iks piątkę?

– To lekkie niedopowiedzenie, ale…

– Takich aut nie ruszają.

– Nie?

– Widać przecież, że należy do jakiegoś gangstera – odparła Joanna, jakby była to jedna z najbardziej oczywistych rzeczy pod słońcem. – Ciemna karoseria, agresywny model, przyciemniane szyby z tyłu… to wszystko sprawia, że inne samochody wokół wydają się smakowitszym kąskiem. Poza tym drogie bmw trudno opchnąć, znacznie lepiej buchnąć jakąś toyotę. Mniej problemów.

Oryński otworzył drzwi od strony kierowcy i spojrzał na Chyłkę.

– No, wchodź – poleciła. – Jak cię ktoś zobaczy, cała ta gangsterska fasada rozbije się w drobny mak.

– Dzięki – odparł, wchodząc do środka.

Joanna umościła się na siedzeniu pasażera i natychmiast sięgnęła po butelkę. Upiła niewielki łyk, zapewne tylko po to, by lepiej poczuć

się na miejscu, na którym nie powinna się znajdować. Z rozrzewnieniem popatrzyła na kierownicę i kokpit.

– Sam mógłbyś zainwestować w jakąś toyotę – dodała. – Najlepiej yariskę.

– Pomyślę – odburknął. – Ale teraz powiedz mi…

– Teraz nie muszę ci niczego mówić. Zygmunt poprowadzi nas prosto do Wrocławia – oświadczyła, uruchamiając nawigację. – Chyba że masz coś lepszego do roboty?

Kordian wyjechał z podwórka bez słowa i kiedy znaleźli się na Grochowskiej, wyjął telefon. Wybrał numer Anki z Recepcji, która w kancelarii Żelazny & McVay zwyczajowo pełniła funkcje organizacyjne w sprawie zwolnień lekarskich. Oznajmił, że dzisiaj nie pojawi się w pracy, bo dopadło go wyjątkowo upierdliwe przeziębienie. Zapewnił, że Kormak dostarczy L4.

13
Węzeł Dąbrowa, droga ekspresowa S8

Chyłka spojrzała na zegarek i dokonała szybkich obliczeń. Podróż zajęła im już cztery godziny z niewielkim okładem, ale do Wrocławia było niedaleko. Sama wykręciłaby tę trasę w trzy i pół, nie spiesząc się przy tym specjalnie.

Spojrzała na Zordona. Podobnie jak jej, pod oczami zebrały mu się ciemne worki, a przymknięte powieki kazały sądzić, że ostatnimi czasy również się nie wysypia. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę tempo, jakie narzuca się młodszym prawnikom w kancelarii. On nie spał, bo popychał karierę do przodu, ona nie spała, bo pogrążała swoją coraz bardziej.

Poniewczasie uświadomiła sobie, że nawigacja informowała o zjeździe.

– Miałeś tu skręcić, krępaku – powiedziała.

– Co?

– Nie widziałeś, co Zygmunt pokazuje?

– Cholera – odparł pod nosem. – Mówiłem, żeby nie wyłączać głosu.

– Irytuje mnie jego tembr. Nie jesteśmy w zażyłych stosunkach.

– To teraz będziesz miała objazd.

– Trudno. Zaraz nas pokieruje z powrotem.

Trasa jednak uległa przesunięciu. Wjechali do miasta przez węzeł Wrocław Północ, potem przejechali przez Psie Pole i wbili się w popołudniowe korki w centrum. Szczęśliwie większość samochodów jechała w przeciwnym kierunku – ci wracający do miejskich sypialni byli tymi, którym należało współczuć.

– Nie jest źle – ocenił Oryński. – Jak na miasto, które nie ma metra.

– Prawda? – zapytała. – Wygląda jak Białołęka podczas sezonu urlopowego.

Zatrzymali się za tramwajem. Ciąg samochodów był niemały, ale mogli przynajmniej dostrzec, że kończy się przed światłami.

– Jakby jeszcze ruszali szybciej na zielonym, w ogóle byłoby przejezdnie – zauważyła.

– I jakby trochę lepiej jeździli.

Spojrzała na niego z konsternacją.

– No wiesz, Zordon? – odezwała się. – Byłam przekonana, że będziesz się tu czuł jak ryba w wodzie.

– Daj spokój.

– Właściwie mógłbyś się tutaj przeprowadzić. Pasowałbyś jak ulał.

Nie odezwał się, ale Chyłka sama musiała przyznać, że w tej drwinie jest nieco uznania. Wrocław wyglądał naprawdę nieźle – i trudno było utrzymywać, że jest tak dlatego, iż nie został doszczętnie zniszczony w czterdziestym czwartym. Od lat miał włodarzy, którzy wprawdzie popełniali błędy, ale popychali wszystko do przodu. I teraz widać było efekty.

Przejechali przez Nadodrze i dotarli na Krzyki po drugiej stronie miasta w pół godziny. W Warszawie pokonanie podobnej trasy w tak krótkim czasie byłoby niemożliwe. W dodatku po drodze zapewne trafiłby się zamknięty most.

Zaparkowali na Brochowie późnym popołudniem. Wyszli z samochodu, przeciągnęli się, a potem Chyłka zapaliła, rozglądając się.

– Wygląda trochę inaczej niż centrum – mruknął Kordian.

Rzeczywiście, osiedle robiło diametralnie inne wrażenie. Przywodziło na myśl dolnośląskie wioski, które trasa S8 omijała, ale które Joanna dobrze znała ze służbowych podróży. Tam czas się zatrzymał. Przy żłobionych koleinami drogach stały zaniedbane, choć okazałe budynki – poniemieckie dworki zajęte przez Polaków po drugiej wojnie światowej. Od początku ich nie remontowano, bo nikt nie sądził, że zostanie w nich na długo. Czas jednak pokazał, że nowa granica była tą ostateczną. W efekcie powstało wiele szkarad, których nikt nie odnawiał od kilkudziesięciu lat.

Tutaj było podobnie. Chyłka wypatrzyła trochę nowych, jednopiętrowych domów, ale w większości stały tu stare, podniszczone rezydencje. Okiennice butwiały, czerwone dachy się

rozpadały, a dawną okazałość fasad można było zobaczyć tylko oczami wyobraźni. W oddali jawiły się jednak dźwigi i żurawie – zwiastun tego, że niebawem w okolicy powstaną zamknięte osiedla, a miasto rozszerzy swoje macki.

– Dokąd teraz? – zapytał Oryński.

Joanna oderwała wzrok od budynku z odpadającą elewacją.

– Wypadałoby rozpytać o to, gdzie tu trzymają Cyganów.

– O! Wreszcie wraca ta rasistka, do której się przyzwyczaiłem.

– Zacznij lepiej zaczepiać ludzi, Zordon.

– Mówisz poważnie?

– A jakże – odparła. – Ja tymczasem poszukam sklepu, bo skończyło mi się paliwo.

Nietrudno było znaleźć spożywczak. W ogólnej szarzyźnie zielony baner dostrzegła z oddali. Joanna kupiła sobie butelkę wyborowej i banana. Choć niespecjalnie przepadała za tą wódką, wielkiego wyboru nie miała. Albo to, albo żytnia.

Kiedy wróciła do iks piątki, Kordian stał oparty o bagażnik i palił e-papierosa. Joanna obrała banana i zaczęła zajadać.

– I jak? – spytała z pełnymi ustami.

– Podpytałem – oznajmił, jakby udało mu się co najmniej zapracować na nagrodę Nobla. – I okazuje się, że na Brochowie rzeczywiście jest sporo Romów.

Chyłka potoczyła wzrokiem wokół.

– Jakoś ich nie widzę – oznajmiła. – Jeśli się chowają, to Wrocław ma u mnie dodatkowe punkty.

– Jedna z mieszkanek twierdzi, że żyją w tych podniszczonych budynkach. Po kilka rodzin w jednym. Oprócz tego są bloki, gdzie mieszkają i cygańskie, i polskie rodziny, mniej więcej po równo.

– Aha.

– Jeśli chodzi o Horwatów, nie ma pojęcia, nie zna, nie kojarzy. Ale dodała, że sporo Romów mieszka przy Żeromskiego i… – Kordian urwał, a potem wyjął komórkę i sprawdził notatki. – Przy Kamieńskiego.

– Daleko to?

– Mniej więcej tam, skąd przyjechaliśmy.

– Więc nie Brochów.

– Stanowczo nie.

Joanna rozejrzała się. Nie uśmiechało jej się chodzenie od drzwi do drzwi, ale ostatecznie wszystko mogło sprowadzić się właśnie do tego. Westchnęła, odpalając kolejnego papierosa. Miała marlboro, miała wódkę, tyle dobrze.

– Zaopatrzyłaś się w paliwo? – bąknął Oryński.

– Niezupełnie. Zatankowałam dziewięćdziesiątkę piątkę, a miałam ochotę na dziewięćdziesiątkę ósemkę.

– To ma dla ciebie jakieś znaczenie? – zapytał z powątpiewaniem. – Sądziłem, że marka się nie liczy, a procenty.

– Nie piję bezrefleksyjnie, Zordon. Poza tym lubię się delektować.

– Wódką?

– Tak. Od najmłodszych lat doceniałam jej smak, rzadko pijałam drinki. Odmieniło mi się dopiero po latach.

– Rozumiem.

Ton jego głosu kazał jednak sądzić, że bynajmniej nie rozumiał. Chyłka milczała, wychodząc z założenia, że ciągnięcie tego tematu nie doprowadzi do niczego dobrego. On znów zacznie prawić kazania, ona go obrazi i tak w kółko.

– Dobra – orzekła. – Zaczynamy łażenie po sąsiadach.

– Nie ma innej możliwości?

– A co ci nie pasuje? Jehowi chodzą cały dzień i nie narzekają.

– Ale nie nękają Cyganów.

– Może i nie – odparła i zmarszczyła czoło. – Chociaż kto ich tam wie, oni chcą nawracać każdego.

Prawnicy podzielili okolicę na dwie strefy, a potem rozpoczęli poszukiwania. Joanna sądziła, że nie zajmie im to zbyt wiele czasu. Społeczności romskie trzymały się blisko i zapewne niejedna rodzina będzie wiedziała, gdzie szukać Horwatów.

Po półgodzinie jednak zwątpiła. Okazało się, że najwięcej Cyganów mieszka właśnie na Brochowie, ale są tutaj dwie grupy – Romowie Górscy i Polska Roma. Różnią się oni między sobą na tyle, że właściwie nie utrzymują ze sobą kontaktów. Czasem nawet trudno im się dogadać, nie przez dawne animozje, a różnice w języku.

Joanna wiedziała, że Bukano pochodził z grupy Polska Roma, więc trop wydawał się wcale nie najgorszy. Problem polegał na tym, że

nikt o Horwatach nie słyszał.

Po półtorej godziny miała serdecznie dosyć. Zrobiła chwilowy odpoczynek, przysiadając na ławce. Napiła się, zapaliła i zaczęła zastanawiać nad tym, czy kiedykolwiek trafi na trop klienta. Wyjęła komórkę i jeszcze raz spróbowała do niego zadzwonić. Od razu włączyła się poczta.

Wybrała numer kobieciny mieszkającej obok niego, ale ta poinformowała prawniczkę, że mieszkanie Roma nadal stoi puste. Joanna rozłączyła się, ale nie zdążyła schować telefonu, gdyż ten zawibrował jej w ręce. Głośne gitarowe riffy Iron Maiden sprawiły, że kilku przechodniów się na nią obejrzało.

– No? – zapytała.

– Nie ma ich tutaj – powiedział Kordian. – Spotkajmy się w punkcie zbornym.

– Co?

– Popytałem.

– Ja też popytałam, Zordon – mruknęła. – Ale jeśli się czegoś dowiedziałeś, to nie trzymaj mnie dłużej w niepewności, bo cała drżę.

– Jeden gość twierdzi, że owszem, Horwatowie przyjechali tutaj z Warszawy.

Chyłka podniosła się, zabierając butelkę.

– I? – zapytała, ruszając w kierunku miejsca, gdzie zaparkowali bmw. – Co się z nimi stało?

– Liczyli na to, że znajdą tutaj jakieś lokum, ale nic z tego nie wyszło. Próbowali między innymi u mojego rozmówcy. Twierdzi, że dałby im pokój, gdyby tylko jakiś miał.

– Ale nie miał.

– Nie – potwierdził Oryński. – I nikt z Polskiej Romy nie mógł ich przygarnąć. Jedyne wolne miejsce mieli Romowie Górscy, ale…

– To tak, jakby kibic Lecha chciał przenocować u kibica Legii, wiem – ucięła. – Mów dalej.

– Gość mówi, że nie stać ich było nawet na wynajem mieszkania.

– Więc co zrobili? Wrócili do Warszawy?

– Nie. Na północy miasta jest koczowisko. Tam zamieszkali.

– Koczowisko z prawdziwego zdarzenia?

– Tak.

– Super. Masz adres?

– Tylko ulicę. Kamieńskiego.

– Jedziemy tam – postanowiła Chyłka, a potem przyspieszyła kroku. Czuła, że wreszcie uda jej się uzyskać jakieś odpowiedzi.

14
Skylight, Śródmieście

Lew Buchelt chodził po pokoju z rękoma założonymi za plecami. Na palcach jednej ręki mógł policzyć sytuacje w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat, gdy brał L4. Nawet kiedy zmogła go grypa, przychodził do pracy. Zamykał się w swoim gabinecie, by nie rozsiewać zarazków, a potem pracował na tyle, na ile pozwalał jego stan. Zazwyczaj spowalniało go to nieco, ale przynajmniej miał świadomość, że nie zaniechał swoich obowiązków.

Kawaler Oryński najwyraźniej miał jednak odmienną piramidę wartości. Pozwolił sobie na wolne, w dodatku w takim newralgicznym momencie! Wespół z prokuratorem miał zrobić wszystko, by neurotyczna prawniczka wreszcie dała im spokój.

Buchelt nie znosił Joanny Chyłki, od kiedy McVay wprowadził ją do firmy. Nie wieszczył jej wielkich sukcesów i spodziewał się, że prędzej czy później wyleci z hukiem. Ostatecznie tak się stało, w dodatku z tego, co wiedział, stoczyła się na samo dno. Na szczęście nie pociągnęła za sobą firmy, ale przecież mogło być różnie… Lew żałował, że imienni partnerzy nie słuchali go od początku.

Zatrzymał się w końcu przed oknem. W ręce trzymał druk zwolnienia lekarskiego, który dostarczono mu jakiś czas temu. Przez moment się zastanawiał, a potem obrócił i wyszedł na korytarz. Skierował się do miejsca, które niechętnie odwiedzał. W gabinecie chudego młodzieńca w okularach zawsze unosił się niepokojący zapach, a poza tym ledwo było gdzie usiąść. A jednak prawnicy często go odwiedzali. Niedawno dowiedział się, że Kormak jest w stanie dowiedzieć się rzeczy, o których inni nie mają pojęcia.

Buchelt zapukał i czekał. Każda sekunda stanowiła dla niego ujmę.

– Proszę! – krzyknął chłopak.

Lew wszedł do środka. Zmierzyli się wzrokiem i Kormak odchrząknął. Podniósł się lekko, lecz niewystarczająco, by Buchelt poczuł, że okazano mu należny szacunek.

– Dzień dobry, panie mecenasie – odezwał się chudzielec.

– Potrzebuję pomocy.

– Oczywiście, proszę siadać. O jaką pomoc chodzi?

– Mam wrażenie, że mój podopieczny symuluje.

– Symuluje?

– Dostarczył dzisiaj L4, które budzi moją wątpliwość – wyjaśnił Buchelt, po czym położył kartkę na biurku.

Młodzieniec nawet na nią nie spojrzał. Z jakiegoś powodu pobladł nieco.

– Doprawdy? – zapytał.

– Niestety tak. Mam do niego zaufanie, ale… cóż, ograniczone, jak do każdego.

– Rozumiem.

– Byłbym wdzięczny, gdyby mógł pan sprawdzić tego lekarza. Być może zadzwonić, by dopytać o szczegóły. To możliwe?

– Oczywiście, panie mecenasie.

– Będę zobowiązany – zapewnił Lew. – Słyszałem o panu same dobre rzeczy.

– Dziękuję.

Młodzieniec sprawiał wrażenie, jakby zawisło nad nim widmo czegoś niepokojącego. Buchelt miał już opuścić jego gabinet, kiedy dostrzegł kropelkę potu na czole Kormaka. Zmrużył oczy.

– Coś nie tak? – zapytał stary adwokat.

– Skądże. Czemu pan pyta?

– Poci się pan.

– Niestety tak już mam – odparł szczypior. – Różni ludzie cierpią na różne przypadłości, prawda?

Była w tym nuta pretensji, ale Lew ją zignorował.

– Niektórzy się jąkają, inni mają jakiś nerwowy tik, a mi robi się gorąco.

– Ale musi być chyba jakiś powód…

– Czasem wystarczy, że poznaję nową osobę.

– Ach tak?

– Szczególnie jeśli to ktoś… no wie pan.

– Nie, niestety nie wiem.

Chłopak otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Buchelt zauważył, że wargi ma lekko spierzchnięte. Ewidentnie się denerwował, każdy adwokat po latach pracy na sali sądowej był wyczulony na takie reakcje.

– Jest pan, jak by to powiedzieć, tutejszym celebrytą.

– Że co proszę?

– Młodzi prawnicy stawiają sobie pana za wzór do naśladowania, patrzą na pana niemalże z…

– Ale pan nie jest prawnikiem – uciął burkliwie Lew.

– Nie.

– Więc dlaczego pan się denerwuje?

Stary adwokat spojrzał na kartkę papieru, na chłopaka, a potem na drukarkę stojącą w rogu pomieszczenia. Przez moment zastanawiał się nad tym, czy ten „człowiek od wszystkiego" nie ma czegoś wspólnego ze zwolnieniem.

Buchelt wprawdzie nie śledził bacznie kancelaryjnych relacji międzyludzkich, ale zdawał sobie sprawę, że jego podopieczny utrzymuje dobre kontakty z tym chudzielcem.

Kormak z trudem przełknął ślinę.

– Czekam na rezultaty pańskiego dochodzenia – powiedział Buchelt, po czym skierował się na korytarz.

– Poinformuję pana, jak tylko do czegoś dotrę – zapewnił Kormak, zanim adwokat zamknął drzwi.

Lew wrócił do gabinetu i natychmiast podniósł telefon. Wybrał jeden z nielicznych numerów, które znał na pamięć. Gdyby miał więcej czasu, by się nad tym zastanowić, być może uznałby to za niepokojące. Działał jednak szybko, przynajmniej jak na siebie.

– Coś nie tak? – rozległ się głos w słuchawce.

Piotr Langer nie należał do ludzi, którzy dbali o konwenanse. W pewnym sensie jednak pytanie zamiast powitania było uzasadnione, Buchelt bowiem dzwonił do niego wyłącznie, gdy coś szło źle.

– Kordian wziął wolne – oznajmił Lew.

– I dlaczego ma mnie to interesować?

– Ponieważ odnoszę wrażenie, że przedstawił sfałszowane zaświadczenie lekarskie.

Langer przez moment milczał. Adwokat wolał kontaktować się z nim telefonicznie niż twarzą w twarz. Piotr zawsze patrzył na rozmówcę, jakby był gotów zabić go bez mrugnięcia okiem.

– Dlaczego miałby to robić? – zapytał.

– Niestety nie wiem.

– Kombinuje coś?

Lew chrząknął. Wiedział, jakie są implikacje słów, które zamierzał wypowiedzieć. Zazwyczaj jednak intuicja go nie myliła.

– Być może – przyznał. – Trudno powiedzieć.

– Jak się ostatnio zachowywał?

– Zwyczajnie. Chodzi głównie o to zwolnienie. Kazałem je sprawdzić temu młodzieńcowi w okularach, ale…

– Jeśli Oryński robi coś na boku, Kormak mu pomaga – uciął Langer. – Sprawdź to na własną rękę.

Lew milczał. Nie powinien zostawiać tego zwolnienia u chłopaka.

– Jasne? – zapytał Piotr.

– Tak, oczywiście.

– Zrób to od razu i zadzwoń do mnie, jak będziesz coś wiedział.

Buchelt spojrzał na zamknięte drzwi. Kobieta w recepcji na pewno ma kopię L4. To do niej trafiała cała ta papierkowa robota, zanim skierowano ją do odpowiednich działów.

– Ja tymczasem sprawdzę, co robi Chyłka – dodał Piotr.

– Rozumiem.

Stary adwokat usłyszał dźwięk przerwanego połączenia. Odłożył słuchawkę, po czym opuścił biuro i skierował się do recepcji. Z trudem przebijał się przez gęstniejący tłum na dwudziestym pierwszym piętrze biurowca. Zapach tych wszystkich ludzi powinien być odrażający, ale dało się wyczuć jedynie dobre, drogie perfumy. Klimatyzacja działała bez zarzutu.

Dotarłszy do recepcji, posłał siedzącej za ladą kobiecie zdawkowy uśmiech.

Zgodnie z tym, co przypuszczał, miała kopię zwolnienia lekarskiego. Niewiele było trzeba, by sprawdzić jego wiarygodność. Buchelt zadzwonił do lekarza, którego pieczątka widniała na samym

dole, a potem przekonał się, że doktor nie ma pojęcia o tym, by Kordian Oryński miał problemy zdrowotne.

Buchelt wrócił do gabinetu i opadł ciężko na krzesło za biurkiem. Nie chciał skazywać podopiecznego na konsekwencje, które w tym wypadku mogły okazać się wyjątkowo dotkliwe. Wiedział jednak, że nie ma innego wyboru. Podniósł słuchawkę, wybrał numer, a potem przekazał Langerowi wieść.

– Chyłka także znikła – odpowiedział Piotr. – Działają razem. I razem zapłacą za to cenę.

15
ul. Kamieńskiego, Psie Pole

– Mogłabyś trochę zwolnić – zauważył Oryński.

– To ty prowadzisz. I jedziesz wystarczająco wolno – odparła Chyłka, rozglądając się. Ulica Kamieńskiego nie należała do najkrótszych, w dodatku nigdzie w zasięgu wzroku nie było znaków kierujących wrocławian do cygańskiego koczowiska.

– Doskonale wiesz, że nie to mam na myśli – sprostował Kordian.

– Więc tym bardziej powinieneś zamilknąć.

Na moment oderwał wzrok od budynków po lewej stronie i spojrzał na nią z ukosa.

– Jeszcze trochę, a nie będziesz w stanie rozmawiać z Horwatami.

– Czuję się wprost wyśmienicie. I lepiej z każdym łykiem.

Skrzywił się, czując alkoholowe wyziewy. Nie miał złudzeń – była patronka zdążyła już dzisiaj zmieszać kilka rodzajów trunków i wszystko to tworzyło wyjątkowo nieprzyjemny kolaż zapachów dla osoby, która akurat pechowo alkoholu nie przyjmowała. Gdyby mieli spotkać się z kimkolwiek innym, zrobiłby wszystko, by została w samochodzie, ale uznał, że w przypadku bezdomnych Romów nie ma takiej konieczności. Sami o tej porze zapewne byli już po kilku głębszych.

– Trzeba kogoś popytać – zauważyła. – Na tym Psim Polu nie widać żadnego koczowiska. – Zachichotała pod nosem.

Był to piąty czy szósty raz w ciągu ostatniej półgodziny, gdy użyła nazwy dzielnicy.

– Nie rozumiem, co tak ci się w tym podoba.

– W czym?

– W Psim Polu.

Znów zaśmiała pod nosem.

– Jak można tak nazwać dzielnicę? – zapytała.

– To kwestia historyczna.

– Taa?

– Krzywousty rozgromił tutaj Niemców, mimo że mieli przewagę liczebną. Było tyle trupów, że nikt nie pofatygował się, by pole uprzątnąć. Zleciały się psy z całej okolicy i stąd nazwa.

– No, no, Zordon – pochwaliła. – Ależ z ciebie jest jakiś ukryty specjalista od militarystyki historycznej.

– Miałem kiedyś znajomą z Wrocławia.

– I działały na nią takie ciekawostki? Nie mogła być zbyt piękna.

– Właściwie to…

– Zaparkuj tutaj – powiedziała, wskazując mu jedną z mniejszych uliczek prowadzących w stronę bloków.

Zabudowa okolicy była typowa dla obrzeży miasta. Po obu stronach Kamieńskiego ciągnęły się domy jednorodzinne, tu i ówdzie pojawiały się niewysokie osiedla, jak kępki krzaków w miejskim lesie. Miały po kilka pięter, żaden nie sięgał dziesiątej kondygnacji. Zieleni było sporo i Kordianowi nie chciało się wierzyć, że gdzieś tutaj rezydują Cyganie. Okolica różniła się nieco od tej z Pragi Południe.

Minął zakaz wjazdu, a potem postawił samochód na osiedlowym parkingu. Wyszli z iks piątki i powiedli wzrokiem dookoła. Joanna dostrzegła przechodzącego kawałek dalej mężczyznę, który kierował się do niewielkiego parku.

– Panie! – krzyknęła.

Wrocławianin zatrzymał się i popatrzył na nią jak na wariatkę. Gdyby nie to, że była elegancko ubrana, zapewne ruszyłby dalej. Zamiast tego jednak zbliżył się do dwójki prawników.

– Którędy do koczowiska? – zapytała Chyłka, zanim zdążył się odezwać.

– Do koczowiska?

– No wie pan, tego skrawka ziemi, który Cyganie sobie własnoręcznie zarekwirowali kosztem miejskich gruntów.

– Słucham?

Joanna rozłożyła ręce i spojrzała błagalnie na Oryńskiego.

– Ratunku, Zordon. Wrocław to naprawdę inna planeta.

Mężczyzna skrzywił się i rozejrzał niepewnie.

– Dobrze się pani czuje? – spytał. – Może mogę…

– Możesz pan powiedzieć, gdzie są Romowie.

Odchrząknął i najwyraźniej uznał, że nic tu po nim. Wskazał im kierunek, powiedział, że to tylko kawałek od szpitala, a potem skłonił się i ruszył z powrotem w stronę parku.

– Chodźmy – zaordynowała Joanna.

Minęli kilka bloków i po paru minutach dotarli na miejsce. Trudno było je przegapić – na mokrej po opadach ziemi stało kilkanaście baraków sprawiających wrażenie, jakby miały się zawalić. Drzwi i okna z pewnością zostały zniesione z wysypisk, a sama konstrukcja lichych budynków kazała sądzić, że przy większej wichurze rezydenci muszą odczuwać nagły wzrost poziomu adrenaliny.

Chyłka przeszła kilka metrów po błocie, zapadając się co chwila.

– Mogliby sobie z tych desek ułożyć jakiś chodnik – zauważyła, wskazując na stertę palet leżącą za jednym z baraków.

– Mogliby – potwierdził Kordian, patrząc ze zgrozą pod nogi.

Jego półbuty od Sweeney London kosztowały sześćset pięćdziesiąt złotych, ale po tej podróży ich wartość z pewnością spadnie co najmniej o… właściwie o sześćset pięćdziesiąt złotych, uznał.

Podniósł wzrok i popatrzył na budowlane samoróbki. Nic dziwnego, że nie tylko wrocławskie władze miejskie starały się wyeksmitować Romów z takich miejsc. Stanowiły zagrożenie dla życia i zdrowia tych ludzi, nie wspominając już o tym, że nie zapewniały namiastki godnego życia.

Jakiś czas temu Kordian słyszał o mieszkaniach komunalnych przydzielanych Cyganom. Były to niewielkie klitki, ale z pewnością lepsze niż to. Problem polegał na tym, że Romów obowiązywały takie same zasady, jak całą resztę bezdomnych – mężczyźni mieszkali z mężczyznami, kobiety z kobietami. Pomoc społeczna miała zapewniać możliwie godne życie, a nie tworzyć pary. Niestety w przypadku Romów oznaczało to, że przyjęcie pomocy nie wchodzi w grę – żaden z nich nie mógł zgodzić się na to, by rodzina została rozdzielona.

– Idziesz, Zordon?

– Idę, idę – odparł, strzepując trochę błota.

– To przyspiesz, bo mój instynkt mówi mi, że trafiliśmy jak dzik w sosnę.

Oryński pokręcił głową.

– Sama wymyślasz te porównania?

– Nie.

Nie zdążyła powiedzieć więcej, bo z jednego z baraków wyszedł podstarzały Rom. Otwarte drzwi przypominały nieco zdezelowane wejście do typowej toalety w czasach PRL-u. Był nawet ślad po niewielkim plastikowym zamku.

Cygan podciągnął rękawy i ruszył im na spotkanie. Kordian był mu wdzięczny za to, że na powitanie nie podniósł rabanu. Tłum jego pobratymców zapewne w okamgnieniu wyskoczyłby z samoróbek.

A może tutaj było inaczej? Może ci ludzie zdawali sobie sprawę, że ich byt zależy w dużej mierze od tego, jak się zachowują? Oryński nie słyszał, by we Wrocławiu dochodziło do jakichś burd z udziałem Romów, ale nie interesował się przesadnie sprawami Dolnego Śląska, mógł coś przegapić.

– Czego tu szukacie? – zapytał spokojnie Cygan. – Pomoc społeczna?

– Nigdy w życiu – odparła Chyłka. – Uważam, że cała ta instytucja to bzdura.

– Co?

– Nie należy dawać ryby, tylko wędkę. Wy chyba zresztą o to zabiegacie, prawda?

– Nie wiem, o czym pani mówi – odparł Rom i zatrzymał się przed nimi.

Włożył ręce do kieszeni, stanął w rozkroku, po czym spojrzał na nich wyzywająco. Wzrok i postawa jasno informowały, że jeszcze jeden krok bez wyjaśnienia powodu swojej obecności, a może to się źle skończyć.

Kordian dostrzegł, że kolejni mieszkańcy otwierają baraki. Same budynki przywodziły na myśl slumsy – i chyba tak trzeba było je traktować. Uginały się pod ciężarem dachów, składały się z przypadkowych, kolorowych elementów, a wokół walały się przedmioty wszelkiej maści. Od rozprutych toreb podróżnych, przez podziurawione opony, aż po torby wypchane śmieciami. W powietrzu unosił się zapach, który przypominał Kordianowi smród z przenośnych latryn.

– Szukacie problemów? – zapytał Cygan.

– Poniekąd – przyznała Joanna. – Szukamy Horwatów. Ojca i matki Bukano. Słyszałeś o nich?

– Nie.

– Zastanów się przez chwilę, chodzi o ważną rzecz.

– Odejdźcie stąd. Nie ma tu dla was miejsca.

– Nie mamy złych zamiarów, zapewniam cię – uparła się Chyłka. – Gdyby było inaczej, przyniosłabym ze sobą kałacha i zaczęła od opróżnienia magazynku.

Mężczyzna patrzył na nią, jakby postradała zmysły. I jeśli Oryński dobrze odczytał znaczenie tego wzroku, był to chyba pierwszy raz, kiedy zgodził się w jakiejkolwiek sprawie z Cyganem.

Minął Joannę i spojrzał Romowi w oczy.

– To ważna sprawa – powiedział. – Bronimy ich syna w procesie.

Mieszkaniec koczowiska zmarszczył nos. Adwokaci byli tu zapewne na wagę złota, bez względu na to, jak cygańska tradycja kazała postrzegać ten zawód. Tutejsi walczyli nieustannie z władzami miasta, a ich jedyny oręż stanowiły artykuły i paragrafy.

– W jakim procesie? – zapytał Rom.

– O zabójstwo – wyjaśniła Chyłka. – Rzecz w tym, że ktoś wrabia go w zabicie własnej rodziny. A teraz znikł.

– To ta sprawa z Warszawy?

Kordian potoczył wzrokiem po dachach. Nigdzie nie dostrzegł żadnych dyszy satelitarnych, ale nie znaczyło to, że ci ludzie nie mieli kontaktu ze światem.

– Tak – potwierdziła Joanna. – A teraz mów, gdzie mogę znaleźć jego rodziców.

Obrócił się przez ramię i posłał jednemu z pozostałych Cyganów krótkie spojrzenie. Trudno było powiedzieć, co miało oznaczać, ale skoro nikt nie ruszył w ich kierunku, Oryński uznał, że to jakaś forma wstrzymania reszty.

– Skąd mam wiedzieć, że nie kłamiesz?

Chyłka wyjęła legitymację adwokacką i podała ją mężczyźnie. Był to kawałek zalaminowanego plastiku, który odstraszał swoją brzydotą, ale spełniał założoną funkcję. Właściwie napisano na nim jedynie tyle, że Okręgowa Rada Adwokacka potwierdza, iż Joanna

Chyłka jest członkiem Izby Adwokackiej. Podano też numer wpisu, ale Kordian przypuszczał, że to niespecjalnie interesuje Cygana.

Oddał jej plakietkę i chrapliwie zaczerpnął tchu.

– No dobra – orzekł. – Powiedzmy, że jest w porządku.

Niedbałym ruchem ręki wskazał im jeden z baraków i sam ruszył w jego kierunku. Poszli za nim nieco niepewnie, choć grunt między prowizorycznymi budynkami był znacznie lepiej utwardzony niż przy wejściu.

Kiedy Romowie zorientowali się, że nie przyszedł nikt, kto miałby jakikolwiek związek z możliwą eksmisją, wrócili do swoich zajęć. Między barakami natychmiast pojawiły się biegające dzieci, a Cyganie przechodzili z jednego do drugiego budynku niczym błędni prawnicy na korytarzu kancelarii Żelazny & McVay.

Podniósł się harmider jak na targowisku, ale obcy przykuwali minimalne zainteresowanie. Raz po raz ktoś rzucał jakąś uwagę pod ich adresem, Oryński jednak nie był w stanie zrozumieć choćby słowa.

– Myślisz, że jesteśmy bezpieczni? – zapytał, gdy mijali kolejne baraki.

– Jasne.

– Ci, którzy zwracają na nas uwagę, nie wyglądają mi na przyjaźnie nastawionych.

– A ty byś był? Próbujemy ich stąd wywalić na zbity pysk.

– My?

– No wiesz, biali ludzie – odparła półszeptem Chyłka. – Ale nie bój nic, Zordon, mamy przewodnika i obstawę. To taki list żelazny, możemy przejść. A na końcu powiemy *hemos pasado*.

– To tu nijak nie pasuje – zaoponował Kordian. – Nie dość, że od końca sprawy dzielą nas lata świetlne, to jeszcze jesteśmy po przeciwnych stronach barykady.

– Do czasu.

– Z pewnością – odparł powątpiewająco.

– Łudzisz się jeszcze, że wszystko zostanie po staremu? – zapytała. – Jak tylko kancelaria zwęszy, że mi pomagałeś, dołączysz do mnie w prawniczym butiku w Arkadii.

Kilku Cyganów przebiegło obok z wyrazami twarzy każącymi sądzić, że pędzą na pomoc któremuś z pobratymców, który znalazł się w niebezpieczeństwie. Inny Rom łypnął na nich spode łba, mijając ich powoli. Potem splunął Oryńskiemu pod nogi.

– Naprawdę udzielałaś porad prawnych w centrum handlowym?

– Oczywiście. Co w tym dziwnego?

– Jakoś nie wyglądasz mi na osobę, która dobrze by się tam odnalazła.

– Jestem społecznikiem, Zordon, pomagałam ludziom za pięć dych.

– Dobrze, że nie za uśmiech.

– W szczególnych przypadkach byłabym nawet gotowa to zrobić.

– Chyba tylko, jeśli Bruce Dickinson by się do ciebie zgłosił.

– Wtedy rzuciłabym tę robotę i wyjechała z nim na niekończącą się trasę koncertową. *Up the Irons*!

Kordian pokręcił głową.

– Swoją drogą… nie powinnaś być teraz w butiku?

– Nie. Jeśli mamy sprawę sądową, jesteśmy zwolnieni z dyżurów. Szef liczy na krocie. – Zaśmiała się.

Przewodnik w końcu doprowadził ich do właściwego baraku. Bez pukania chwycił za klamkę i wszedł do środka. Wyrzucił z siebie ciąg niezrozumiałych słów, potem odpowiedział na kilka pytań, a ostatecznie dał znak, że prawnicy mogą wejść.

– Proszę bardzo – powiedział Rom. – Kosma i Aramis. To znaczy Horwatowie.

Kordian zawahał się, ale Joanna szybko przekroczyła próg. Nie miał innego wyjścia, jak zrobić to samo, choć przez głowę przemknęło mu, że w środku niekoniecznie muszą znajdować się właśnie ci ludzie. Dwójka prawników z pewnością mogła okazać się cenna dla co bardziej rzutkich przestępców.

16
Romskie koczowisko, ul. Kamieńskiego

Kosma i Aramis Horwatowie sprawiali wrażenie, jakby urwali się prosto z cygańskiego taboru. Chyłka przyglądała się ich różnobarwnym ciuchom, kolorowym ozdobom, kruczoczarnym włosom i święcącej biżuterii i stwierdziła w duchu, że brakuje im tylko tamburyna.

Barak był niewielki, ale dobrze zagospodarowany. Nie znalazła skrawka przestrzeni, który pozostałby niewykorzystany.

– *Łaćho dyves* – odezwała się Joanna.

– Coś im powiedziała? – burknął niepewnie Kordian.

– Przywitałam się – odparła prawniczka, patrząc na Horwatów. – Nie wiem tylko, czy nie przekręciłam.

Małżeństwo przez moment patrzyło na nią badawczo. Potem Kosma się uśmiechnęła, a Chyłka odetchnęła. Z językiem romani nigdy nic nie wiadomo. Nie ma słownika, z którego Polak mógłby skorzystać – musi zdać się na przekazy z drugiej ręki. A Cyganie dość skrupulatnie bronią dostępu do swojej homogenicznej kultury. Lubują się w celowym wprowadzaniu *gadźów* w błąd, by ci ośmieszyli się przed innymi Romami.

– Wyszło całkiem nieźle, dziecko – powiedziała bez obcego akcentu Kosma.

– Ludzi z ciebie nie będzie, ale możemy porozmawiać – dodał Aramis, wskazując na niewielką pryczę.

Prawnicy usiedli we wskazanym miejscu. Chyłka lustrowała gospodarzy i przekonała się, że kobieta ma łzy w oczach. Biorąc pod uwagę to, w jaki sposób mógł zapowiedzieć ich ten podstarzały Cygan, być może nie powinna się dziwić.

– Więc to wy bronicie Bukano? – zapytała Kosma.

Joanna skinęła głową, a potem zaczęła tłumaczyć jej wszystko to, co ostatecznie doprowadziło do wizyty we Wrocławiu. Cały wywód

zajął jej nie więcej niż dziesięć minut, a Horwatowie zdawali się spijać każde słowo z jej warg. Uświadomiła sobie, jak bardzo złaknieni byli informacji o synu.

Kiedy Chyłka skończyła, kobieta schowała twarz w dłoniach. Aramis otoczył ją ramieniem.

– Nigdy nie powinniśmy go tam zostawiać – powiedziała.

– Spokojnie. Znajdzie się, wszystko będzie dobrze…

Joanna puściła w myśli wiązankę przekleństw. Do tej pory miała nadzieję, że Bukano ostatecznie postanowił zatrzymać się właśnie tutaj.

– Jakie… jakie on ma szanse? – zapytała Kosma.

Nie chcieli wiedzieć, czy miał z tym coś wspólnego – może jako jedyni ludzie, którzy o tej sprawie usłyszeli.

– Przyzwoite – odparła Chyłka. – Bo tego nie zrobił.

– Wyciągniecie go z tego? – zapytał Aramis.

Joanna nie mogła nie zauważyć, że rozmówcy wysławiali się podobnie do mieszkańców starych praskich kamienic, którzy mieli skórę jaśniejszą o kilka tonów. Może nie mówili „klatkie” zamiast „klatkę” czy „minely” zamiast „minęli”, ale z pewnością podchwycili sporo nawyków, które nadal królowały w takich miejscach jak bazar na Szembeka.

– Adwokat nie może obiecywać sukcesu, nawet kiedy jest pewny wygranej – przyszedł jej w sukurs Zordon.

– Otóż to – potwierdziła. – Ale adwokat może powiedzieć, że szanse są.

– Dzięki Bogu… – szepnęła Kosma.

– Problem polega na tym, że nigdzie nie możemy go znaleźć.

Małżeństwo spojrzało po sobie.

– Jeśli sądzili państwo, że on jest tutaj, to… – Kosma urwała i pokręciła głową. – Nie widzieliśmy go od lat.

– Nie przyjeżdżał tutaj? – zapytał Kordian. – Nie odwiedzał państwa?

Aramis zaprzeczył ruchem głowy.

– Kontaktowaliśmy się wyłącznie telefonicznie – wyjaśnił. – Prosiliśmy, by nie przyjeżdżał. Jesteśmy wprawdzie wśród swoich,

ale… cóż, wystarczy, żeby ktoś dowiedział się o całej sprawie. Bukano nie wyszedłby stąd o własnych siłach.

– Byłoby aż tak źle? – zapytała prawniczka.

– Nawet sobie pani nie wyobraża – odparł Rom. – Wyklęcie ze społeczności to najgorsze, co może spotkać Cygana. Gdyby Bukano do nas przyjechał, nie tylko on miałby problemy. A my musielibyśmy wyrzucić wszystkie szklanki, z których pił, i… – Aramis machnął ręką.

– No tak – przyznała Chyłka, zawieszając wzrok na kolorowych ozdobach gęsto pokrywających ściany. Zastanawiała się, skąd Horwatowie je wzięli i czym w istocie są. Sprawiały wrażenie powycinanych fragmentów pudełek czy opakowań po zabawkach.

Kosma zauważyła, że prawniczka wodzi wzrokiem wokół, i skierowała spojrzenie na ścianę za sobą.

– Czasem przychodzą do nas dzieci – odezwała się. – Uczęszczałam w tajemnicy na studium pielęgniarskie, więc czasem pomagam. Chcemy, żeby dzieci dobrze się tu czuły.

– W tajemnicy? – zapytał Oryński.

– Tak. Inaczej byłabym skalana… pielęgniarka to jeden z nieczystych zawodów, bo ma kontakt z płynami ustrojowymi.

Chyłka zrozumiała, skąd u Bukano taka niefrasobliwość względem cygańskich zwyczajów i zasad.

– I tutejsi pozwalają pani pomagać dzieciom?

– Nie wiedzą, że brałam udział w tym studium. Myślą po prostu, że wiem, co trzeba dać na jakie dolegliwości. Poza tym dzieci mnie lubią, czują się tutaj dobrze.

– Rozumiem.

– A przynajmniej czuły się – dodała z goryczą. – Teraz wszyscy jesteśmy coraz bardziej zaniepokojeni.

– Chcą was eksmitować?

– Nie wiemy – włączył się Aramis. – Wcześniej było jeszcze jedno koczowisko, przy Paprotnej. Miasto zrównało je z ziemią, dosłownie. Przepadły dokumenty, rzeczy osobiste… a to, co dało się wynieść, władze wywiozły na wysypisko obok miejscowości Szczodre. Ludzie stamtąd przyszli tutaj, ale nie mieli jak zabrać swoich rzeczy. Okropna sprawa.

Kosma pokiwała głową.

– Ilu was tu jest? – zapytał Kordian.

– Osiemdziesiąt osób. Z całej Polski się pozjeżdżaliśmy. Są ludzie z Warszawy, są z Gdańska… nie było ich stać na mieszkania, usłyszeli o tym miejscu i zaczęli tu zjeżdżać. My byliśmy jednymi z pierwszych, wcześniej próbowaliśmy na Brochowie, potem mieszkaliśmy na Tarnogaju… ale stamtąd wyrzucili nas tak samo, jak próbują stąd.

– Toczy się już jakieś postępowanie?

– Tak, od dwa tysiące trzynastego – wyjaśniła Kosma. – Straszą nas, że przyjadą buldożery i wszystko zniszczą. A nas wyeksmitują, gdzie im się będzie podobało.

Chyłka przypuszczała, że nie będzie to miało nic wspólnego z eksmisją. W obecnym stanie prawnym o wiele łatwiej załatwić tę sprawę poprzez decyzję nadzoru budowlanego. Wystarczyło postanowienie o tym, że budynki zagrażają zdrowiu, życiu i bezpieczeństwu tych ludzi.

Było w tym trochę prawdy. Cyganie nie mieli dostępu do czystej wody, w niewielkich pomieszczeniach gnieździły się całe rodziny i… nikt nie posiadał prawa własności do postawionych budynków.

– Wiedzą państwo, jak to jest… – podjął Aramis. – Jak jeden bezdomny zrobi sobie miejsce pod mostem, to nikt go nie eksmituje. Jak zbierze się kilkuosobowa grupa na publicznej ziemi, to już jest problem. Jesteśmy karani za to, że trzymamy się razem.

– Zawsze tak było – potwierdziła Kosma.

– I teraz za to pokutujemy – dodał Rom. – Już nie tylko Polacy chcą, żebyśmy opuścili to miejsce. Nasi bracia z Brochowa także.

– Dlaczego? – zapytała Joanna.

– Bo uważają, że psujemy im opinię. Bo żebrzemy, nie pracujemy, nie płacimy podatków, konfliktujemy się z magistratem…

– To wszystko chyba prawda.

– Owszem – przyznał Aramis. – Co nie znaczy, że mamy wybór. To prawda, że utrzymujemy się z żebractwa, ale co innego możemy robić?

Żadne z prawników nie odpowiedziało, choć Chyłka mogłaby wpaść na kilka pomysłów.

– Jakiś czas temu pracowałem na Strachowicach… to znaczy na lotnisku. Przerzucałem bagaże, nic wielkiego. Ale kiedy pojawił się Polak na moje miejsce, od razu mnie zwolniono.

– Inni nie mają nawet takich perspektyw – włączyła się Kosma. – Często ledwo mówią po polsku, są niepiśmienni, mają wykształcenie niepełne podstawowe… samo wypełnienie formularzy stanowi dla nich problem. Nie mówiąc już o murze zbudowanym z dyskryminacji i uprzedzeń, przez który trudno się przebić.

– Polacy mówią: niech sprzątają ulice – dopowiedział Cygan. – Ale dla większości z nas to zajęcie prowadzące do skalania…

– Nikt nie rozumie, że dla większości z nas to nie wybór, a tradycja.

Joanna jeszcze jakiś czas temu zaliczała się do tej grupy. Teraz niechętnie przyznawała, że rozumie Romów, przynajmniej częściowo. Popatrzyła na Horwatów i przemknęło jej przez myśl, że jedna decyzja ich syna zupełnie zniszczyła im życie. Mieli w Warszawie lokum, żyli spokojnie w swojej społeczności, nikomu nie wadzili… tymczasem teraz czekali nerwowo, aż zjawią się buldożery.

Wyciągnęła butelkę i napiła się prosto z gwinta. Z uprzejmości nikt nie zwrócił na to uwagi, nawet Zordon. Pociągnęła jeszcze jeden łyk, a potem schowała wódkę.

– Dobra – powiedziała, po czym zatarła dłonie. – Bierzmy się do roboty.

Kosma niepewnie skinęła głową.

– Gdzie możemy szukać Bukano? – zapytała prawniczka.

– Z pewnością nie tutaj. Zadzwoniłby, gdyby był we Wrocławiu.

– Jest pani pewna?

– Absolutnie pewna – powiedziała z przekonaniem.

Chyłka nie miała powodu sądzić, że ci ludzie ukrywają syna. Należało uznać, że podróż była na nic… chyba że uda jej się wyciągnąć z Horwatów coś, co może okazać się przydatne w rozwiązaniu tej sprawy. Nie miała dokładnych informacji o tym, co działo się po skalaniu Bukano. Nie wiedziała, w jakich okolicznościach rozstał się ze społecznością, i w końcu nie miała pojęcia, ilu wrogów sobie narobił.

Może wśród nich powinna szukać powodu całej tej kabały? Cyganie łatwo nie zapominali, co do tego nie mogło być wątpliwości.

Podobnie jak co do tego, że przykładnie karali wszystkich, którzy sprzeniewierzyli się tradycji. W ich mniemaniu był to taki grzech, jak dla przeciętnego Polaka dzieciobójstwo.

– Chyłka? – odezwał się Kordian.

Popatrzyła na niego skonsternowana, dopiero po chwili uświadamiając sobie, że w baraku zaległa niewygodna cisza. Joanna obróciła kark po skosie w lewo i prawo, coś kilkakrotnie strzeliło.

– Z kim możemy pogadać? – zapytała.

– Tutaj nikt nic nie wie – odparł Aramis.

– A w Warszawie?

– Tam nikt nie będzie z wami rozmawiał.

– A mimo to chętnie bym spróbowała. Muszę tylko wiedzieć, do kogo się zgłosić.

Horwatowie sprawiali wrażenie, jakby powiedziała coś absolutnie bzdurnego.

– Ale… po co to pani? – zapytała Kosma. – Myśli pani, że ktoś z naszych to zrobił? I wrobił syna?

– Nie wiem, ale zamierzam się dowiedzieć.

– To nie do pomyślenia – zaoponował Rom. – Skalany jest wykluczony ze społeczności, ale nie mścimy się na nim. Coś takiego prowadziłoby do dalszych skalań.

– Poza tym poziom okrucieństwa… – Kobieta urwała i spuściła wzrok.

– Tego nie zrobił żaden Cygan.

– Rozumiem – odparła Joanna. – Niemniej muszę dogrzebać się do przeszłości Bukano.

Gospodyni wstała i zaczęła chodzić po niewielkim pomieszczeniu. W końcu odnalazła chusteczki i wysmarkała nos. Jej mąż patrzył badawczo na prawniczkę.

– Dużo pani ryzykuje – powiedział.

– I jestem gotowa zaryzykować jeszcze więcej.

Nie wyglądał na przekonanego.

– Ci ludzie są niebezpieczni – zauważył. – Szczególnie dla obcych.

– Zdążyłam się o tym przekonać – odparła, a potem opowiedziała o swojej pierwszej wizycie na Pradze Południe.

Widziała, że Zordon słucha tego z niedowierzaniem. Stopniowo stawał się coraz bardziej zaniepokojony, kilkakrotnie pokręcił głową, jakby mierziło go, że nie był tam z nią. A może tak jej się tylko wydawało? Trudno było stwierdzić.

– Pierwsze koty za płoty – powiedziała Chyłka. – Choć znacznie łatwiej byłoby mi z nimi rozmawiać, gdyby nie rzucali tych formułek w romani.

– To obsceniczne przekleństwa – oznajmił Aramis. – Wstyd mi, że…

– Wiem, co znaczą – przerwała mu. – I niespecjalnie mnie to rusza. Gdyby pan przez ileś lat bronił zwyrodnialców w sądach, też by pan zobojętniał. Ale zostawmy mnie i zajmijmy się państwa synem. Kto może coś wiedzieć?

Kosma obróciła się i spojrzała na męża zapłakanymi oczami.

– Wszyscy starsi Cyganie z placu Szembeka – powiedział Aramis. – To była głośna sprawa… ale, tak jak mówiłem, nie będą z państwem rozmawiać.

Kordian popatrzył na Joannę, jakby chciał jej powiedzieć, że przecież źródło potencjalnych wiadomości na temat Bukano mają przed sobą. Chyłka szczerze jednak wątpiła, by ci ludzie posiadali interesujące ją informacje. Od momentu skalania byli poza społecznością i jeśli któryś z Romów żywił więcej pretensji od pozostałych, z pewnością nie afiszował się z tym przed nimi.

Tymczasem ona szukała brudów, prawdziwych brudów. Kłótni, przy których polała się krew. Gróźb skierowanych pod adresem rodziny, wyzwisk, mordobicia…

Bukano nie opisywał jej konfliktów z pobratymcami. W ogóle nie mówił o tym, jak wyglądało samo skalanie ani z czym się wiązało. Zaznaczał jedynie, że mieli z Patrycją wyjątkowo trudno.

Chyłka sięgnęła do torebki i wyjęła notes. Uderzyła długopisem o udo, a potem podała oba przedmioty Aramisowi.

– Niech pan zapisze, z kim warto porozmawiać – poleciła. – I mam na myśli osoby, które będą miały najmniejszą chęć do rozmowy.

Zastanawiał się przez moment, a potem zanotował jedno imię i adres. Joanna odebrała od niego kartkę.

– Weszo? – zapytała.

– To jeden z tych, z którymi niemądrze rozmawiać.

Kosma skrzywiła się, jakby sądziła, że mąż właśnie wydał wyrok na dwójkę prawników.

– Spokojnie – powiedziała Chyłka. – Jestem mistrzynią pokojowego, koncyliacyjnego podejścia – zapewniła.

17
ul. Argentyńska, Saska Kępa

Kordian zaparkował w garażu na zamkniętym osiedlu, a potem z ulgą wyłączył silnik. Iks piątkę prowadziło się doskonale, ale wiązało się to z ciągłym poczuciem niepewności. Jeden niefortunny skręt kierownicy i muśnięcie opony o krawężnik mogło sprawić, że Cygan Weszo stałby się jego najmniejszym problemem.

– Najbliższy przystanek masz na skrzyżowaniu Saskiej i Stanów Zjednoczonych – oznajmiła Joanna, wychodząc z samochodu.

Aplikant również wysiadł, a potem położył kluczyki na wyciągniętej ręce Chyłki.

– Ewentualnie możesz popychać na Paryską. Zaraz za rondem Wolframa zobaczysz przystanek.

– Dzięki, ale o tej godzinie…

– Nocne nadal jeżdżą, Zordon. Poradzisz sobie.

– Praga Południe o tej porze jakoś mnie nie nastraja do takiego optymizmu.

– Spokojnie, to Saska Kępa. Włos ci tu z głowy nie spadnie.

– Zobaczymy.

– Nadal masz traumę po Gorzymie?

– Nie.

– To wywalaj stąd.

– Tak po prostu? – zapytał, wyciągając z bmw marynarkę.

– A co myślałeś? Że wejdziesz na górę, żebyśmy omówili wszystko po raz tysiąc pięćdziesiąty? Spędziłam z tobą cały dzień, mam cię serdecznie dosyć.

– Dzięki.

– Poza tym rano wstajesz do pracy, prawda?

– Prawda – przyznał. – Choć nie bardzo wiem, jak miałaby wyglądać.

– Normalnie – odparła lekkim tonem Chyłka i wyciągnęła paczkę papierosów. Zapaliła jednego z lubością, jakby miała kilkutygodniowy odwyk od nikotyny.

– Co to znaczy „normalnie”? – burknął. – Mam przymknąć oko na konflikt interesów, który dzisiaj się mocno zarysował?

– Wielki mi tam konflikt – odparła, wypuszczając dym.

– Przecież…

– Na razie nie ma sprawy cywilnej, nie jesteśmy po przeciwnych stronach barykady.

– Ale niebawem będziemy.

– Tylko jeśli mój klient okaże się niewinny. Jak go skażą, nie dojdzie do procesu cywilnego.

– No tak.

– Ale to takie gdybanie. Wiadomo, że wygram.

– I co potem?

– Potem zmierzymy się w sądzie, Zordon.

– Tylko że…

– To, co dziś robiliśmy, nie ma związku z wypłatą polisy. Ty będziesz walczył o to, by Salus oszwabił Bukano, ja o to, by zachowali się honorowo. Jasne? No, to świetnie. Idź na autobus.

Trwał przez moment w bezruchu, ale kiedy była patronka ruszyła w stronę klatki schodowej, uznał, że najwyższa pora się zbierać.

– Przy bramie jest przycisk, poradzisz sobie? – zapytała na odchodnym.

Oryński obejrzał się na bramę garażową, mruknął pod nosem potwierdzająco, po czym ruszył w stronę wyjścia. Nie usłyszał słów pożegnania, ale też się ich nie spodziewał.

Opuścił osiedle i skierował się na Paryską. Brzmiała lepiej, jeśli chodziło o potencjalne bezpieczeństwo nocą. W końcu doczekał się autobusu i dość szybko dostał się z powrotem do Śródmieścia.

Padł na łóżko wycieńczony. Spodziewał się, że zaśnie od razu, ale kiedy tylko zamknął oczy, zobaczył wrocławskie koczowisko i wszystkich tych Romów, którzy się w nim kłębili. Brud i smród zdawały im się nie przeszkadzać, choć pewnie było to złudne. Doskwierały im tak, jak każdemu innemu człowiekowi.

Kordian zasnął w końcu koło trzeciej. Trudno było liczyć na to, że zregeneruje się do momentu, gdy zadzwoni budzik, zawsze jednak lepiej zmrużyć oko.

Wstał połamany i poszedł pod prysznic z nadzieją, że zimna woda lejąca się z deszczownicy zakłamie rzeczywistość. Kiedy wyszedł, uznał, że poniekąd tak się stało. Czuł się bardziej rześko, choć o dobrej formie psychicznej czy fizycznie trudno było mówić.

Zjadł swoje tradycyjne śniadanie w postaci owsianki, a potem ubrał się i zjechał na Emilii Plater. Pod budynkiem Skylight był moment później. Przywitał się z kilkoma prawnikami z działu podatkowego, którzy palili na dole.

Wjechał windą na dwudzieste pierwsze piętro, ziewając po drodze trzy razy. Trudno było spodziewać się, że będzie to dobry dzień.

Jego obawy potwierdziły się, kiedy zobaczył minę Anki z Recepcji. W kancelarii o tej porze przebywało jedynie kilka osób, dzień jeszcze na dobre się nie zaczął. Kobieta jednak sprawiała wrażenie, jakby najgorsze już się stało.

– Co się dzieje? – zapytał, stawiając teczkę przed ladą.

– Kormaczysko…

– Co? – zapytał Oryński. – Co z nim?

– Gdzieś ty wczoraj był?

– Miałem…

– Wiem, że miałeś zwolnienie! – odparła Anka. – Sama przecież je od niego przyjęłam.

W jej oczach błyszczały łzy, ale nie rozumiał dlaczego. Nie chciał rozumieć.

– Szukaliśmy cię! – niemal krzyknęła.

Kordian mimowolnie się rozejrzał. Myśli nie chciały ułożyć się w logiczny ciąg i niewyspanie nie było największą przeszkodą.

– Jak… jak to mnie szukaliście? Ty i Kormak? Gdzie on jest?

– Byliśmy u ciebie w domu, cały dzień nie mogliśmy cię zastać.

Oblał go zimny pot. Oczywiście, kancelaria bez trudu mogła sprawdzić jego lewe zwolnienie. Nie musieli nawet dzwonić do lekarza, wystarczyło posłać Ankę lub któregoś z praktykantów do budynku obok.

Ale nie to zajmowało go teraz najbardziej.

Przechylił się przez ladę i wbił wzrok w oczy dziewczyny.

– Gdzie on, kurwa, jest? – zapytał.

Anka cofnęła się i uniosła brwi. Przez moment sprawiała wrażenie, jakby chciała go zganić, ale ostatecznie spuściła wzrok.

– Wczoraj przyszedł do niego Stary… – zaczęła. – Oznajmił, że dogadał się w końcu z McVayem w jego sprawie.

– W jego sprawie?

– Old Man od lat zabiegał…

– Wiem, wiem – uciął Oryński, uświadamiając sobie, co dziewczyna ma na myśli.

Harry od dawna próbował pozyskać Kormaka do filii kancelarii w Krakowie. Chudzielec stanowił kość niezgody między imiennymi partnerami, a walka o niego urosła do sprawy ambicjonalnej. Dziś trudno było stwierdzić, dlaczego tak się stało, ale powód się nie liczył. Liczyło się to, że McVay kusił Kormaka wszystkim, lecz ten za żadne skarby nie chciał opuścić Warszawy.

– Przeniósł go? – zapytał z niedowierzaniem Kordian.

– Tak. Wczoraj Kormaczysko spakowało swoje rzeczy i… – Anka urwała i oczy znów jej się zaszkliły.

Oryński odetchnął. Dziewczyna nie miała pojęcia, po jak grząskim gruncie stąpali. Rezultat wykrycia mógł być znacznie gorszy niż przenosiny do innego miasta.

Ale jeśli do nich doszło, oznaczało to, że Langer wyczuł pismo nosem. Kordian zaklął w duchu. To naprawdę nie będzie dobry dzień.

– Wynosi się na stałe? – zapytał.

– Tak…

Oryński spojrzał w kierunku gabinetu przyjaciela.

– Nie ma go – powiedziała Anka. – Wczoraj miał oczyścić biuro, a dzisiaj wieczorem wyjeżdża. To koniec, Zordon.

– Koniec?

Spojrzała na niego na tyle znacząco, że mógł odczytać znaczenie jej słów. Wątpił, by się spotykali – Kormak z pewnością natychmiast by się tym pochwalił. Najwyraźniej jednak Anka z Recepcji z jakiegoś powodu interesowała się chudzielcem. Niepojęte, ale nie takie rzeczy już się na świecie działy.

Zanim dobrze się nad tym zastanowił, początkowa ulga go opuściła i Kordian uświadomił sobie, że to właściwie także koniec ich znajomości. Od teraz będzie się sprowadzać do okazjonalnej wymiany linkami na Facebooku, kilku SMS-ów, może rozmowy przez Skype'a.

Potrząsnął głową.

– Stary już jest? – zapytał.

– Nie, przyjdzie pewnie normalnie.

– W porządku.

– Chcesz z nim pogadać? – zapytała, patrząc mu w oczy z nadzieją.

– Tak – odparł tylko, a potem posłał jej niewyraźny uśmiech i oddalił się w kierunku swojego gabinetu.

Owszem, miał zamiar rozmówić się z Arturem Żelaznym, ale nie na temat Kormaka. Znał szefa na tyle dobrze, by wiedzieć, że jeśli już podjął decyzję, to jest ona nieodwracalna. Niemniej sam fakt, że to Artur zainicjował cały proces, świadczył o tym, że utrzymuje kontakt z Langerem.

Oryński kilkakrotnie próbował dodzwonić się do przyjaciela, ale za każdym razem sygnał powtarzał się tak długo, że w końcu połączenie zostało zrywane. Kormak nie miał poczty głosowej – zawsze utrzymywał, że to niefortunna pozostałość po czasach, kiedy telefony miały długie, rozkładane anteny i gabaryty cegieł.

Czas dłużył się Kordianowi, gdy czekał na przełożonego. Zastanawiał się, jak podejść do tej rozmowy, od czego zacząć i w którą stronę ją poprowadzić. Potem przeszło mu przez myśl, że wobec takiego prawniczego wyjadacza nie ma co układać taktyki. I tak przejmie inicjatywę, a Oryński będzie musiał improwizować.

W końcu Żelazny pojawił się w budynku. Anka poinformowała o tym Kordiana krótką wiadomością wysłaną na kancelaryjny mail. Oryński poprawił krawat, pociągnął za poły marynarki, a potem udał się do biura szefa.

Zapukał i wszedł do środka, gdy Artur kładł neseser na biurku. Otworzył go i wyjął z niego kilka teczek.

– Kordian? – zapytał. – Jeśli masz zamiar witać mnie w pracy, powinieneś zabrać ze sobą kawę.

– Nie dlatego przyszedłem – odparł Oryński i zamknął drzwi.

Wiedział, że od tej pory Żelazny da świadectwo swojemu nazwisku. Dopóty, dopóki drzwi pozostawały otwarte, Artur jawił się jako stanowczy, ale ostatecznie przyjazny przełożony. Kiedy zostawało się z nim sam na sam, zmieniał się diametralnie.

Wyciągnąwszy z torby kilka rzeczy, zamknął ją i postawił obok biurka. Potem podszedł do własnego ekspresu przelewowego i uruchomił go.

– Więc co cię sprowadza? – zapytał, zrzucając marynarkę.

– Kormak.

– Naturalnie, naturalnie… przykra sprawa.

Oryński usiadł na krześle przed biurkiem. Poczuł się jak niepokorny żołnierz stawiający się na karne wezwanie. Tyle że przyjście tu było jego własnym pomysłem. Sam władował się w paszczę lwa.

– Nie proponuję ci kawy, bo widzę, że jesteś cały blady – powiedział Artur. – Krótko spałeś.

– Tak.

– W takim razie kawa nie pomoże, tylko pogorszy sprawę. Na moment cię pobudzi, a potem zaczną się problemy. Lepiej zjedz dobry lunch.

Zaparzył sobie małą czarną, po czym usiadł za biurkiem. Napił się, siorbiąc przy tym cicho, a następnie spiorunował aplikanta wzrokiem.

– Zastanów się porządnie, zanim coś powiesz.

– Zastanawiałem się cały ranek.

– Rozumiem – odparł Żelazny i odpiął spinki od mankietów. Złożył je z wraz z innymi na biurku, a potem zaczął podciągać rękawy.

Oryński wydął usta.

– To nie żaden wyzywający gest – zapewnił Artur. – Po prostu musi minąć chwila, zanim klimatyzacja w gabinecie zaskoczy.

– Zawsze może pan poprosić kogoś, by włączył ją wcześniej.

– Nie – odparł imienny partner, wskazując na kontroler na ścianie. – Niestety nie można tego zrobić zdalnie, trzeba tu wejść i ustawić. A ja nie mogę pozwolić, by ktokolwiek wchodził do biura.

– Zrozumiałe.

– Co masz na myśli?

– To, że może tutaj być wiele rzeczy, które…

– Jeszcze raz upomnę cię, żebyś ważył słowa, młodzieńcze.

Kordian ugryzł się w język. Musiał podjąć decyzję, czy zamierza robić wszystko, by wylecieć z roboty, czy by w niej pozostać. Popatrzył na Żelaznego, starając się stwierdzić, co planuje przełożony.

Nie podejmował tematu, więc Oryński uznał, że najlepiej będzie grać głupa. Najwyraźniej tego oczekiwał od niego Artur – i być może było to uniwersalne rozwiązanie wszelkich problemów z szefami w każdej firmie.

– Dlaczego Kormak został przeniesiony? – zapytał młody prawnik.

Żelazny skończył podwijać rękawy i odchylił się do tyłu. Ergonomiczne krzesło natychmiast odpowiednio się ułożyło.

– Ponieważ o to zawnioskował.

– A pan pozwolił mu ot tak odejść?

– Nie ot tak.

– A więc?

– Chyba nie muszę ci się tłumaczyć?

– Oczywiście, że nie. Choć to nieco podejrzane, że pracownik, którego uważało się za…

– Owszem, jest to podejrzane – odparł Artur. – I chętnie poznałbym powody, dla których otrzymałem to pismo.

Zacisnął usta, a potem odsunął pierwszą szufladę biurka. Wyjął z niej kartkę papieru i z impetem położył ją na blacie. Oryński spojrzał niepewnie na niego, a potem na dokument.

– Proszę, sam zobacz.

Aplikant podsunął sobie wydruk ręcznie podpisany przez chudzielca. Była to prośba o przeniesienie do krakowskiej filii ze skutkiem natychmiastowym. W uzasadnieniu Kormak podnosił, że cierpi na guza gałki ocznej, a jedyna dostępna terapia w Polsce przeprowadzana jest w Centrum Cyklotronowym Bronowice w Krakowie. Dalej było trochę medycznej paplaniny o tym, że to innowacyjne leczenie protonami, a sama klinika jest jedną z siedmiu w Europie, które wykonują takie zabiegi.

– Co to za kpina? – zapytał Kordian.

Artur wzruszył ramionami.

– On nie ma żadnego guza.

Żelazny przesunął po biurku jedną z teczek, które wcześniej wyjął. Oryński zawahał się, ale potem sięgnął do środka.

– Dokumentacja medyczna, prześwietlenia, czego dusza zapragnie – wyjaśnił Artur.

Aplikant zaczął przeglądać dokumenty. Wyglądały wiarygodnie, choć laik niewiele mógł stwierdzić na ich podstawie.

– Nie rozumiem…

– Ja również nie, młodzieńcze – odparł Żelazny i westchnął. – Szczerze mówiąc, miałem nadzieję, że ty rzucisz na to nieco światła.

Naraz Kordian uświadomił sobie, że się pomylił. Założył, że Artur i Langer współpracują, choć właściwie nie miał ku temu podstaw. Najwyraźniej Chyłka miała rację – wszędzie dopatrywał się spisków i konspiracji.

– Więc? – zapytał Żelazny.

– Niestety sam nie wiem, o co chodzi.

– Rozmawiałem z nim – odparł w zamyśleniu właściciel kancelarii, zawieszając wzrok gdzieś za Oryńskim. – Ale twierdzi, że nie ma w tym drugiego dna.

– Może nie ma.

– I pierwszy raz wspomina o tej chorobie?

Kordian wzruszył ramionami. Zaczynał sobie uświadamiać, że przyjście tutaj było błędem – i z każdą mijającą sekundą robiło mu się coraz bardziej gorąco. Kiedy spoczął na nim ciężki wzrok przełożonego, poczuł się jeszcze gorzej.

– W dodatku muszę rozważyć powód twojej wizyty – dodał Artur.

– Powód?

– Z jakiejś przyczyny wparowałeś tutaj, jakby twoje nazwisko widniało w nazwie firmy obok mojego i Harry’ego, prawda?

– Chciałem…

– Chciałeś robić mi wyrzuty, więc proszę.

Oryński gorączkowo zastanawiał się nad tym, jak wybrnąć z sytuacji. W końcu uznał, że najprostsze wyjście będzie najlepsze. I przy okazji wpisze się w taktykę robienia z siebie durnia przed szefem.

– Sądziłem, że dogadał się pan z McVayem – powiedział. – Że przehandlowaliście panowie Kormaka, bo…

– Przehandlowaliśmy? – wpadł mu w słowo Artur. – Mówisz o pracowniku kancelarii, a nie o jakimś prosiaku, do licha ciężkiego.

– Oczywiście. Przepraszam.

Żelazny przyjrzał się Kordianowi badawczo, po czym pokręcił głową z dezaprobatą.

– Spróbuj się czegoś dowiedzieć – powiedział szef i skierował wzrok na drzwi.

Aplikant z ulgą odebrał sygnał, by jak najszybciej opuścić biuro. Podniósł się, czym prędzej przeprosił, a potem wyszedł na korytarz.

Już kiedyś podejrzewał Żelaznego o konszachty z Langerem. Wtedy się pomylił i powinien mieć nauczkę. Zaklął w duchu, po czym zaczął przebijać się przez tłum na korytarzu. Po chwili dotarł do posterunku Anki z Recepcji.

– Potrzebuję adresu Kormaczyska – powiedział.

– Obecnego czy przyszłego?

– Przyszłego. Wyślę mu kartkę w ramach powitania w nowym domu.

– Co?

– Oczywiście, że obecnego – odparł przez zęby. – Mam zamiar zapytać go, kto i czym mu zagroził tak bardzo, że się stąd zwinął.

– Myślisz, że…

– Po prostu daj mi adres, dobra?

– Dobra – odparła nieco urażona, a potem wskazała w stronę gabinetu Oryńskiego. – Ale ktoś na ciebie czeka.

– Co takiego?

– Jakiś klient przyszedł. Powiedziałam, że jesteś na spotkaniu z imiennym partnerem i żeby poczekał w biurze.

– Żartujesz?

Nie rozumiała, skąd ta pretensja. I nie mógł jej się dziwić – Anka nie miała pojęcia o tym, kim naprawdę był Langer. A Kordian nie miał wątpliwości, że to właśnie prokurent Salusa pojawił się w kancelarii z samego rana.

Kiedy podała mu karteczkę z adresem, podziękował i się oddalił. Spojrzał na adres z zaciekawieniem. Nigdy nie był u Kormaka i nie słyszał, by ktokolwiek go odwiedzał. Nie żeby chudzielec rozgraniczał życie prywatne od zawodowego jak Chyłka – powód był bardziej

prozaiczny. Kormak rzadko wychodził z Jaskini McCarthyńskiej i na dobrą sprawę to ona stanowiła jego dom.

Kordian skierował się w głąb korporacyjnej otchłani, po drodze odpychając kuriera, który starał się dostać w okolice recepcji. Chłopak wpadł na praktykanta nadciągającego z naprzeciwka, ale żaden zdawał się tego nie odnotować.

– Sorry – wymamrotał Oryński, wymijając ich.

Największy ruch kończył się za wejściem do noryobory. Jego gabinet szczęśliwie znajdował się pokój dalej.

Kordian złapał za klamkę i nabrał tchu. Może jakiś cudem to nie Langer pojawił się w kancelarii? Może Kormak rzeczywiście musiał się przeprowadzić? Nie było powodu, by zakładać, że to wszystko działanie Piotra. Na dobrą sprawę mógł nawet nie wiedzieć, że…

Kiedy aplikant wszedł do środka, wszystkie jego nadzieje okazały się płonne. Langer siedział na jego miejscu i wbijał wzrok w ekran laptopa. Nie podniósł spojrzenia, gdy drzwi się otworzyły.

– Proszę – powiedział. – Wchodź, nie krępuj się.

Oryński przeklął w duchu Ankę z Recepcji. Naraz jednak zmitygował się, że trudno było wymagać od niej, by trzymała potencjalnego klienta na korytarzu, gdzie trwała codzienna apokalipsa.

Kordian podszedł do biurka i spojrzał z góry na Langera.

– To naprawdę konieczne? – zapytał.

– Co?

– Ten pokaz siły.

Piotr zaśmiał się pod nosem i zamknął klapę laptopa.

– Nie masz pojęcia, jak wygląda pokaz siły – powiedział, a potem kąciki ust nagle mu odpadły. – Siadaj.

– Wolę…

– Siadaj, Oryński, albo sam cię, kurwa, posadzę.

Kordian zacisnął usta i zajął miejsce przed biurkiem. Nawet jeśli nic nie groziło mu w Skylight, nie było sensu awanturować się z Langerem. Nie jeśli chciał się czegoś dowiedzieć.

– Co z Kormakiem? – zapytał.

– Nic wielkiego. Poprosiłem go, żeby zastanowił się nad wyjazdem.

– A ta bzdura z chorobą?

– Poprosiłem go też o wymyślenie dobrego powodu.

Oryński poczuł, jak narasta w nim gniew. W porę jednak go powściągnął, świadomy tego, że każdy wybuch nie tylko dostarczy Piotrowi satysfakcji, ale także ostatecznie doprowadzi do nieprzyjemnych konsekwencji.

– To nie było konieczne – powiedział Kordian najspokojniej, jak potrafił.

– Wzruszające.

– Co?

– To wasze przywiązanie do siebie.

Nie pociągnął tematu, ale jego uśmieszek mówił sam za siebie. Piotr powiódł wzrokiem po biurku, skrzywił się i zaczął odsuwać szuflady. Część była zamknięta na kluczyk, jako że znajdowały się w nich newralgiczne dokumenty. Resztę jednak Langer skrupulatnie przeszukał.

– Interesuje cię coś konkretnego? – wycedził Kordian.

– Tak. Szukam waszych listów miłosnych.

Oryński się nie odzywał.

– Ewentualnie akcesoriów, których używaliście w tej jego klitce.

Aplikant westchnął i zwiesił głowę. Oczywiście, demonstracja tego, kto tutaj rządzi, była obowiązkowym punktem programu. Bez tego Piotr nie czułby się spełniony, mimo że dla każdego rozgarniętego zawodnika w tej grze było jasne, iż to on ustala reguły.

– Przejdziesz do rzeczy? – zapytał prawnik.

Langer zatrzasnął ostatnią szufladę i spiorunował go spojrzeniem.

– Chętnie – odparł, wstając.

Stanął przy oknie, skrzyżował ręce i zaczął sprawiać wrażenie, jakby próbował wyciągnąć językiem coś spomiędzy zębów.

– Pojechałeś do Chyłki – powiedział niewyraźnie.

– Tak.

– Dlaczego?

– Nie twój interes.

– Nie mój? – Zaśmiał się. – Przeciwnie.

– To była sprawa osobista.

– Znaczy… Chcesz mi wmówić, że pojechałeś tam przypilnować jej nieco z alkoholem?

– Nie.

– To dobrze. Nie lubię tego uczucia, kiedy wydaje mi się, że rozmawiam z idiotami. Nie rób nigdy nic, żebym się tak poczuł, Kordian.

– Mhm.

– Więc pojechałeś do niej, bo zorientowałeś się, że… właściwie, że co?

Oryński poprawił się na krześle. Teraz przekonał się na własnej skórze, że po tej stronie biurka rzeczywiście było niewygodnie. A może tylko tak mu się wydawało, bo podświadomie chciał jak najszybciej wstać, obrócić się na pięcie i pójść w długą.

– Uświadomiłeś sobie, że praca dla mnie jest moralnie wątpliwa? – podsunął Piotr.

– Nie pracuję dla ciebie.

– Semantyka – odparł. – Ja opłacam kancelarię, kancelaria ciebie.

– A kto płaci tobie, hm?

Langer rozplótł ręce i rozłożył je.

– Mam liczne źródła dochodów.

– Oczywiście – odbąknął Kordian.

Piotr oparł się o parapet i ponaglająco skinął na aplikanta.

– No – powiedział. – Więc co sprawiło, że postanowiłeś polecieć do patronki po ratunek?

– Co? Powiem ci, co. Zatonięcie w gównie, które ty…

– W porządku – uciął Langer, unosząc dłoń. – Jeśli masz zamiar się zniżać do takiego poziomu, to postawię sprawę jasno. – Ruszył w kierunku wyjścia, ale zatrzymał się przy biurku, tuż obok Kordiana. Przysiadł na blacie i tym razem to on popatrzył na niego z góry. – Nie będziesz się z nią więcej kontaktować. W żadnej sprawie. Aż do procesu cywilnego.

– Nie sądzę, żeby…

– Albo zrobisz, jak mówię, albo wylecisz na zbity pysk.

Oryński znów zacisnął zęby. Najchętniej odparowałby, że Piotr nie ma absolutnie nic do gadania w kancelarii Żelazny & McVay, ale najpewniej nie byłaby to prawda. Nawet jeśli nie współdziałał z Arturem, jego macki sięgały daleko. Sam Lew Buchelt mógłby doprowadzić do zwolnienia.

– Jedno moje słowo wystarczy, żeby cała twoja kariera poszła w cholerę.

Aplikant drgnął, ale się nie odezwał.

– Nie dokończysz aplikacji, nie dostaniesz nigdzie roboty. Takie to proste.

– Przeceniasz swoje możliwości.

Langer roześmiał się głośno.

– Sprawdź mnie – powiedział. – Chętnie pokażę ci, jak bardzo się mylisz.

Wstał i podszedł do drzwi. Najwyraźniej uznał, że powiedział wystarczająco dużo. Oryński gorzko pomyślał o tym, że rozmówca zna go na tyle dobrze, by wiedzieć, że rzeczywiście nie musi mówić nic więcej.

– Jeden SMS, połączenie, mail, cokolwiek… – dodał. – Tyle wystarczy, żebyś skończył dużo gorzej niż twój kumpel. Jasne?

– Jasne.

Langer zatrzymał się przed drzwiami i obrócił.

– Szkoda byłoby tych wszystkich lat – powiedział. – Nie skop tego.

Oryński podniósł się i powoli przeszedł na swoje miejsce. Usiadł na fotelu, choć najchętniej wyrzuciłby go przez okno i zamówił nowy.

– Zrozumiałeś, Kordian?

– Tak.

– Jeśli ona się z tobą skontaktuje, w porządku, daj mi od razu znać. W końcu musicie się rozmówić, żeby wiedziała, że nie może liczyć na dalszą współpracę.

Aplikant się nie odezwał, co sprawiło gościowi wyraźną satysfakcję.

– Oho – powiedział Piotr. – Czyżbyś planował, że jednak postąpisz wbrew mnie?

– Jeszcze nie postanowiłem.

– Postanowiłeś już jakiś czas temu, w sprawie Szlezyngiera. Wybrałeś karierę i chwała ci za to.

Oryński spojrzał na drzwi.

– Wychodziłeś? – zapytał.

– Taki miałem zamiar – odparł Langer, nie ruszając się o krok. – Ale widzę, że nie do końca zrozumiałeś powagę sytuacji.

– Rozumiem ją doskonale.

– W takim razie zdajesz sobie sprawę, że jeśli zawalisz aplikację i wylecisz z kancelarii, staniesz się pośmiewiskiem? Nie muszę chyba dodawać, że nie będziesz mógł liczyć nawet na butik w Arkadii.

– Nie, nie musisz.

– I twój kumpel też będzie miał problemy.

– Tego też nie musisz mówić – odparł Kordian.

Nie skłamał. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, do czego zdolny jest Piotr. Niewielu było tak zwyrodniałych ludzi i gdyby nie to, że Langer nie miał żadnego interesu w zabijaniu rodziny Bukano, Oryński byłby przekonany, że to jego robota.

Piotr otworzył drzwi.

– Gdybyś miał jakieś pytania, dzwoń śmiało – dodał na odchodnym, a potem znikł na korytarzu.

Kordian wypuścił ze świstem powietrze. Sięgnął machinalnie po e-papierosa, ale było to mniej więcej tak celowe, jak strzelanie do czołgu z procy. Mimo to zaciągnął się i odgiął na krześle.

Kormak w Krakowie, Chyłka na samym dnie, Langer wiszący nad nim… wszystko się waliło i trudno było spodziewać się, że tendencja się odwróci. Miał wrażenie, że zanurza się w coraz większym bagnie i nie ma nikogo, kto mógłby wyciągnąć do niego pomocną dłoń.

18
Naam Thai, ul. Saska

Pozycje w menu były dla Chyłki niejaką enigmą i w końcu postanowiła poradzić się jednego z pracowników. Szczególnie interesowało ją „zielone curry z pędami bambusa” – a konkretnie to, czy ktokolwiek takie pierdoły zamawia.

Składając zamówienie, ostatecznie zrezygnowała z pytania. Wybrała coś, co figurowało w menu pod nazwą „PAD KA PROW”. Miało chili, można było wybrać do tego wołowinę, więc Joanna poczuła się usatysfakcjonowana.

Dla Zordona wybrała wersję z tofu. Potem sięgnęła po telefon.

– Jestem na Saskiej – powiedziała, gdy aplikant odebrał. – Przyjeżdżaj.

– Chyłka, posłuchaj…

– Knajpa jest tajska, mają tu od groma pędów bambusa, kiełków, ryżu jaśminowego i… sama nie wiem, czym to wszystko jest. Raj dla ciebie.

– Nie mogę.

– Co znaczy, że nie możesz? – ofuknęła go. – Weszo sam się przesłucha, do cholery?

– Wypadło mi coś.

– Najwyraźniej. Mózg.

– Daj spokój… to poważna sprawa.

– Poważniejsza będzie, jeśli natychmiast się tu nie stawisz, Zordon.

– Nie mogę, naprawdę.

Ton jego głosu kazał sądzić, że rzeczywiście tak jest.

– Boisz się jechać na Szembeka? – zapytała. – Nie martw się, była patronka cię ochroni. Ostatnio wystarczyło, że pomachałam im butelką, i się rozpierzchli. No, może nie dosłownie, ale…

– Muszę się skupić na sprawie Salusa – przerwał jej.

Rzadko to robił, ale kiedy już się na to decydował, zazwyczaj miał dobry powód. Milczała, a on nie dopytywał, czy jest jeszcze po drugiej stronie. Cisza się przeciągała. Do stolika podszedł kelner i położył na nim parujący wok z pad ka prow. Danie pachniało chili, czosnkiem i bazylią.

– Langer? – zapytała.

– Nie mogę o tym gadać.

– W porządku.

Znów zaległa cisza.

– Kormak przeniósł się do Krakowa – oznajmił Oryński.

– Co takiego? McVay w końcu… – urwała, kiedy uświadomiła sobie, co najpewniej było powodem wyprowadzki. Musiała oddać Piotrowi, że nie tracił czasu. Kiedy tylko zobaczył, że działają za jego plecami, zrobił porządek.

Prawniczka zaklęła w duchu.

– Jak to się stało? – zapytała. – Ma jakiegoś kreta w kancelarii? A może to on nią teraz rządzi, co?

– Powodzenia, Chyłka – powiedział tylko Kordian. – I widzimy się na sprawie cywilnej… o ile uda ci się do niej doprowadzić.

Trudno było nie usłyszeć nadziei w jego głosie. Rozłączył się, a ona położyła smartfona obok gorącej patelni. Przez moment wbijała wzrok w podejrzane danie.

Jeśli Langer rzeczywiście miał taką moc sprawczą wobec Zordona i Kormaka, należało uznać, że kancelaria Żelazny & McVay trzęsie się w posadach. Im większy wpływ Piotra na sprawy firmy, tym bardziej...

Joanna potarła nerwowo czoło, a potem zabrała się za tajskie danie. Jadła bezmyślnie, dopiero po chwili reflektując się, że smakuje całkiem nieźle.

Zaczęła zastanawiać się nad kolejnymi krokami. Wszystko po kolei – najpierw Weszo i Bukano, potem Langer. Nie miała zamiaru mu odpuścić, a on z pewnością zdawał sobie z tego sprawę. Starał się ją izolować, by nie dobrała mu się do skóry, ale Chyłka poprzysięgła sobie, że to tylko kwestia czasu.

Zjadła szybko, a potem wezwała Ubera. Pojechała na plac Szembeka wyposażona w małą butelkę absoluta. Tym razem nie

zabrała pustego szkła po piwie, wychodząc z założenia, że nie będzie wchodzić z nikim w konflikty.

Może to i lepiej, że nie było z nią Zordona. Sama z pewnością wywoła mniej agresji niż w obstawie mężczyzny, nawet jeśli z boku prawie nie było go widać.

Wysiadła z samochodu, zapłaciła kierowcy, a potem ruszyła w kierunku targu. Przypuszczała, że namierzy tam choćby kilku Cyganów, ale nie dostrzegła żadnego. Zaczepiła pomarszczonego dziadka, który sprzedawał warzywa, i zapytała go o Romów. Zareagował, jakby napluła mu w twarz.

Nie pomógł jej, ale chwilę później jeden z przechodniów skierował ją na podwórko, które każdy człowiek o zdrowych zmysłach powinien omijać.

– Czego pani tam szuka? – zapytał.

– Nieszczęścia.

Zaśmiał się i pokręcił głową.

– To zdecydowanie dobry kierunek. Ale nie polecam się tam zapuszczać, jeśli nie zna pani któregoś z nich. Naprawdę.

– Dzięki – odburknęła i ruszyła w stronę zaniedbanej kamienicy.

Obeszła budynek, starając się nie zwracać uwagi na kraty w oknach, odpadające elementy elewacji i popękane parapety. Praga Południe być może rozwijała się coraz bardziej, ale dotyczyło to rejonów, gdzie nocami padało światło latarni, a w dzień pojawiali się ludzie. Wciąż znajdowały się tutaj jednak takie miejsca, gdzie wchodzili wyłącznie ci, którzy mieli tendencje samobójcze.

Biorąc wszystko pod uwagę, Joanna musiała przyznać, że się kwalifikuje. Samo palenie półtorej paczki dziennie właściwie wystarczało, by mogła się tak określić, a ilość przyjmowanego alkoholu stawiała kropkę nad i. Nie żeby się tym przejmowała, co to to nie.

Weszła na podwórko z trzech stron ogrodzone niszczejącymi kamienicami. Pośrodku znajdowała się niewielka piaskownica, używana już chyba tylko jako miejsce do załatwiania się psów. Kawałek dalej stały kontenery na śmieci, z których wydobywał się ohydny smród zgnilizny. Wokół rosło trochę zaniedbanych krzewów przywodzących na myśl kadr ze starego horroru klasy B. Śmieci

większego kalibru upychano do pękających w szwach kontenerów, ale te mniejsze rzucano byle gdzie. Syf był wyjątkowy.

Chyłka stanęła przy piaskownicy i zapaliła. Przez moment rozglądała się, zastanawiając, w której klatce szukać lokalnego cygańskiego króla rządzącego tym majątkiem.

Szybko jednak przekonała się, że w tym miejscu to nie do przybysza należy inicjatywa. Z klatki po lewej wyłoniło się dwóch byczków, z kolejnej trzech następnych. Z ostatniego budynku wyszła kobieta, która zatrzymała się za progiem. Mężczyźni ruszyli w kierunku Chyłki.

Poczuła się osaczona, ale nadal nonszalancko paliła papierosa. Pozory to podstawa, powtarzała sobie w duchu.

Jeden z mężczyzn wysforował się i jako pierwszy zatrzymał przed nią. Przełknęła ślinę. Wielokrotnie miała do czynienia z najgorszymi mordercami, ale zazwyczaj odbywało się to na bezpiecznym terenie. W areszcie śledczym zawsze można było liczyć na służbę więzienną, tutaj zapewne nie zapuszczała się nawet policja.

– *Łaćho cywes…* czy tam *gywes*, *terne Roma* – odezwała się. – Muszę pogadać z waszym Cyganem Głową.

– *So*? – zapytał jeden z nich.

Patrzyli na nią bez wyrazu, jakby była zbłąkanym kotem, który przypałętał się na podwórko. Nie kipieli agresją, jak ci, którzy mieszkali kawałek dalej przy Grochowskiej. Chyłka chciałaby uznać to za uspokajający sygnał, ale z doświadczenia wiedziała, że im mniej emocji, tym groźniejsi ludzie.

– Muszę porozmawiać z waszym Szero Romem, jasne? – zapytała.

Odpowiedziało jej milczenie. Ten, który wykazywał najwięcej inicjatywy, zbliżył się o krok. Joanna poczuła stanowczo zbyt mocne i stanowczo zbyt tanie perfumy. Skrzywiła się i cofnęła w stronę piaskownicy, szybko tego żałując. Dała świadectwo słabości i z pewnością to dostrzegli.

– Czego chcesz? – zapytał Cygan.

– Bronię jednego z was.

– Bronisz?

– Jestem adwokatem – odparła niepewnie, powodując niewielkie poruszenie wśród zebranych. Zauważyła, że kolejni Romowie zaczęli

wyglądać ze swoich mieszkań. Okna otwierały się jedno za drugim.

– Oskarżasz? – zapytał drugi z mężczyzn.

– Nie, do cholery – odparła. – Robię w prawie karnym. Jestem obrońcą.

– Kogo więc bronisz?

– Bukano.

Nic im to nie powiedziało. Nic dziwnego, imię należało do zbyt powszechnych, by tylko za jego pomocą zidentyfikować osobę. Joannie było to jednak na rękę. Nie miała zamiaru ogłaszać wszem i wobec, że broni wyklętego członka społeczności.

– Gdzie znajdę tego waszego Szero Roma?

– A co ci do niego?

– Muszę dowiedzieć się czegoś o pewnych okolicznościach.

– Jakich? – zapytał ten, który się wysforował.

Jego kumple nie dali jej jednak szansy, by odpowiedziała.

– Wypierdalaj stąd – powiedział jeden z nich, mijając tego bardziej przyjaznego.

Kilku innych dodało coś od siebie w języku romani. Niewątpliwie sprowadzało się to do propozycji konsumpcji dolnych partii ciała. Zbliżyli się, niemal otaczając Chyłkę.

– Won stąd, *gadźo*!

– Spokojnie, chłopcy – powiedziała. – Jestem tutaj z szacunku do was.

Jeden z nich przechylił się nad dwoma innymi, odcharknął, a potem splunął jej na spódnicę. Joanna znieruchomiała.

– Spierdalaj! – krzyknął ktoś z okna.

Zaraz potem dołączyli się kolejni. Jeszcze jeden plunął na nią, inny zaczął wykonywać obsceniczne gesty i wskazywać przesmyk między kamienicami, który wydawał się teraz Joannie równie niedostępny, jak górska przełęcz na wysokości kilku tysięcy metrów.

Cyganie krzyczeli, pluli i wymachiwali przed nią rękoma. Chyłka trwała w niemal całkowitym bezruchu, jeśli nie liczyć drgawek, które raz po raz wstrząsały jej ciałem.

– Won, kurwo, won! – ryczała Romka gdzieś za jej plecami.

Kolejnych krzyków nie rozumiała. Zlały się w niezrozumiałą kakofonię romskich nawoływań, pełnych nienawiści, agresji, wręcz

obrzydzenia. Czuła, że kolejne osoby pluły w jej stronę. Nie wszyscy byli na tyle bezczelni, by celować w nią, ślina padała tuż obok.

Joanna wiedziała, że jeśli teraz popędzi w kierunku Grochowskiej, nie będzie miała tu czego szukać. Musiała wytrzymać. Przynajmniej na tyle długo, by Szero Rom zobaczył, że nie żartuje.

Czekała, starając się ignorować okrzyki. W końcu jednak miarka się przebrała. Jedna z Cyganek podniosła pustą puszkę po piwie i cisnęła nią w prawniczkę. Chyłka oberwała w biodro i obróciła się do Romki z zaciętym wyrazem twarzy.

Zanim zdążyła ruszyć w jej kierunku, nagle zapadła cisza. Krzyki przebrzmiały, a Romowie zamarli. Grupa stojąca przy jednej z klatek powoli się rozsunęła.

– To on? – zapytała przez zęby, wypatrując Cygana Głowy.

– *Ziakir* – odparł ktoś. – Czekaj.

Po chwili zobaczyła około sześćdziesięcioletniego mężczyznę, który szedł niespiesznie w jej kierunku. Reszta przez moment czekała w bezruchu, a potem zaczęła wracać do swoich spraw. Joanna pochyliła się i podniosła puszkę, którą oberwała. Powiodła wzrokiem za Romką, ale nigdzie jej nie wypatrzyła. Zgniotła puszkę i odrzuciła ją na bok.

– Ty jesteś Szero Rom? – zapytała, kiedy mężczyzna podszedł bliżej.

Miał znudzony wyraz twarzy, jakby codziennie ktoś taki jak ona przychodził na cygańskie podwórko i zabiegał o audiencję. Przyjrzał się prawniczce, a potem pokręcił głową z dezaprobatą.

– Król jest tylko jeden.

Bruce Dickinson, pomyślała Chyłka.

– Mieszka w Nowym Dworze Mazowieckim – oznajmił Cygan.

– A ty to kto?

– Wójt.

– Świetnie, wójcie – odparła lekkim tonem, choć nadal czuła, że serce wali jej jak młotem. – Potrzebuję zamienić z tobą parę zdań.

– Kim jesteś? – zapytał, ściągając brwi.

Niewątpliwie zaintrygowała go osoba, która przeczekała cygańską nawałnicę, byleby się z nim spotkać. Atak trwał może kilkadziesiąt

sekund, Joannie wydawało się jednak, że nie ma końca. Wójt z pewnością był tego świadomy.

Prawniczka przedstawiła mu się, a potem powtórzyła to, co powiedziała już młodszym Romom. Mężczyzna zastanawiał się przez moment, a następnie wskazał na piaskownicę. Podeszli do niej i przysiedli na murku. Pozostali Cyganie oddalili się i jeśli któryś w ogóle patrzył w ich kierunku, to jedynie ukradkiem.

– Nazywam się Weszo – odezwał się wójt.

– Wiem.

– Skąd?

– Skierowali mnie do ciebie rodzice Bukano.

Sprawiał wrażenie, jakby od początku doskonale wiedział, o kim mowa. Może śledził przekazy medialne? Poprawił zbyt dużą brązową marynarkę, a potem westchnął.

– Gdzie oni są? – zapytał.

– Mieszkają we wrocławskim koczowisku.

Zastanawiał się przez chwilę, tocząc wzrokiem pod podwórku.

– Przy Kamieńskiego, tak?

Joanna skinęła głową z uznaniem. Pozwoliła sobie na taki gest, człowiek ten bowiem nie wyglądał na takiego, który kieruje zorganizowaną grupą przestępczą. Może obiegowa opinia przesadzała? A może był po prostu niepozorny?

Nieco grubawy, w staromodnym garniturze, zbyt dużej koszuli i krawacie, który powinien trafić na śmietnik, nie sprawiał groźnego wrażenia. Jeśli jednak miał na podorędziu wszystkich Cyganów mieszkających w okolicznych kamienicach, z pewnością trzeba było się z nim liczyć.

– Obeznany pan – odezwała się.

– Śledzę, co się dzieje z naszymi ludźmi.

– Rozumiem.

– I wiem o sprawie Bukano, mimo że nie jest już jednym z nas.

– To się ceni.

Spojrzał na nią ze spokojem, ale też z pewną stanowczością.

– Przypuszczałem, że się zjawisz, *gadźo* – powiedział. – Czekałem na ciebie.

– Co takiego?

– Mam ci wiele do powiedzenia.

Joanna zupełnie zdębiała. Spodziewała się wszystkiego, tylko nie tego, że lokalna odmiana Szero Roma będzie gotowa z nią rozmawiać. Długo zastanawiała się nad tym, jak nakłonić go do współpracy – i ostatecznie wpadła na pomysł, który powinien przekonać każdego. Przypuszczała, że będzie musiała sięgnąć po ostatnie zaskórniaki, ale jeśli miało to pomóc w wygraniu sprawy, była gotowa to zrobić.

Tymczasem Weszo na nią czekał.

– Nie rozumiem – wypaliła.

– Nie szkodzi. Zrozumiesz, jak ci o wszystkim powiem.

– O wszystkim?

Pokiwał głową w zamyśleniu.

– Nie powinienem, ale zrobię to – powiedział. – Zbyt długo to trwa. Zbyt wielu ludzi dotyczy.

– Ale…

– Mamy z tego powodu same problemy – dopowiedział. – Jak nie policja, to prokuratura. Wystarczy tego.

Chyłka uniosła brwi. Najwyraźniej nie ona jedna grzebała w przeszłości Bukano. Właściwie powinna się tego spodziewać po tym, jak Zakierski odnalazł Koro. Drążył jeszcze głębiej, podobnie jak ona.

Potrząsnęła głową.

– Co ma mi pan do powiedzenia? – zapytała.

Rozejrzał się, a potem machnął ręką na grupę mężczyzn stojących najbliżej. Natychmiast się skłonili, po czym odsunęli się o kilkadziesiąt metrów. Dopiero wtedy Weszo nabrał tchu i popatrzył na Joannę w sposób, który jednoznacznie sugerował, że zamierza zrzucić ze swoich barków jakiś ciężar.

– One tu były – powiedział.

Joanna poczuła, jak ciarki przebiegły jej po plecach.

– Patrycja i Aisza?

– Tak – potwierdził spokojnie wójt. – Dziecko było białe, ale bez trudu zauważyłem romskie rysy twarzy. Nasze geny zawsze się przebiją.

– Czego chciały? Co tu robiły?

– Spokojnie, wszystkiego się dowiesz – zapewnił ją, a potem zaczerpnął tchu i zaczął mówić.

Kiedy skończył pół godziny później, Chyłka zapomniała o tym, że powinna się napić i zapalić papierosa. Siedziała na murku piaskownicy, wbijając wzrok w jedną z kamienic. Ujrzała tę sprawę w zupełnie innym świetle.

Rozdział 3

1
Sąd Okręgowy w Warszawie, al. Solidarności

Prasa bulwarowa nie próżnowała. Joanna siedziała na korytarzu sądowym, czekając na wywołanie sprawy, i z zaciekawieniem przeglądała najnowsze tytuły. Zdjęć Bukano paparazzi mieli na pęczki, widocznie szli za nimi po ostatniej rozprawie.

Fotografie w większości wylądowały na pierwszych stronach. Okraszono je chwytliwymi tytułami typu „ZABIŁ I UCIEKŁ", „GDZIE JEST MORDERCA?" czy „ZBRODNIARZ Z URSUSA ZBIEGŁ". Wszystkie tabloidy były zgodne – Bukano zgwałcił i zamordował swoją rodzinę, a potem nagle znikł. Dlaczego teraz? Nikt nie miał pojęcia, ale też nikt w to nie wnikał.

Prawniczka zamknęła gazetę i rozejrzała się. Na korytarzu byli przedstawiciele wszystkich większych mediów, Zakierski i świadkowie. Nigdzie nie dostrzegła Kordiana, Langera czy innych osób z drugiego obozu. Czekali, trzymając kciuki, by dziś sprawa przybrała inny obrót i by Robert Horwat stanął przed realną perspektywą spędzenia reszty życia w więzieniu.

O ile, oczywiście, ktoś go odnajdzie.

Chyłka miała nadzieję, że Weszo rzuci nieco światła na to, co dzieje się z jej klientem, ale cygański wójt nie miał pojęcia, gdzie go szukać. Nie utrzymywał z nim kontaktu, od kiedy go wyklął.

Drzwi do sali rozpraw się otworzyły, a potem w progu pojawiła się protokolantka. Wywołała sprawę, po czym zaprosiła do środka przedstawicieli stron i pozostałe osoby.

Joanna poprawiła togę i zajęła swoje miejsce. Spojrzała spode łba na siedzącego naprzeciw Zakierskiego. Trudno było wyczytać cokolwiek z jego twarzy. Z pewnością czuł, że ma sprawę w garści, ale nie zamierzał się z tym obnosić. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Korzystał z pomocy Langera, a to z pewnością oznaczało, że Maria T. skoryguje swoje zeznania. Joanna była na to gotowa, powołała zresztą biegłego okulistę, który poświadczy, że nie tak łatwo pomylić kolor skóry z tak niewielkiej odległości. Szczególnie jeśli ktoś ma tak dobry wzrok, jak świadek.

Chyłka już zacierała ręce na myśl o nadchodzącym starciu.

Sędzia przewodniczący powitał zgromadzonych, zapytał o wnioski dowodowe, po czym podyktował protokolantce kilka uwag. Uniósł wzrok na Chyłkę i trwał przez moment w bezruchu.

– Oskarżony mimo wezwania nie stawił się – powiedział. – Sąd po zważeniu wszystkich okoliczności postanowił prowadzić rozprawę bez jego udziału. Oskarżony złożył już wyjaśnienia i niecelowe wydaje się odraczanie terminu, kiedy jego obecność nie jest niezbędna.

Joanna niemal niezauważalnie skinęła głową. Mogłaby przeciągać sprawę, próbując usprawiedliwić Bukano, ale w tej sytuacji skutkowałoby to najpewniej wydaniem decyzji o zatrzymaniu i przymusowym doprowadzeniu Roma na rozprawę.

Tymczasem dla sędziów i ławników było jasne, że Robert Horwat najprawdopodobniej jest niewinny. Nie mieli pojęcia o tym, co na boku kombinował Zakierski. Nie przypuszczali, że Maria T. będzie próbowała odwołać swoje zeznania.

Gdyby było inaczej, służby już zapewne przewracałyby koczowiska do góry nogami, szukając Bukano.

– Poproszę świadków przed mównicę – powiedział pod nosem sędzia.

Kilka osób wstało i niespiesznie ustawiło się przed składem orzekającym.

– Zostali państwo wezwani na przesłuchanie w charakterze świadków – oznajmił przewodniczący. – Przypominam, że za

składanie fałszywych zeznań grozi kara pozbawienia wolności do lat trzech. Czy świadkowie zrozumieli?

– Tak – odparli gremialnie.

Sędzia przystąpił do sprawdzenia danych i odebrania oświadczenia o tym, że żadna z wezwanych osób nie była karana za składanie fałszywych zeznań. Chyłka przyglądała się kilku osobom, Zakierski robił to samo. Ona starała się robić dobre wrażenie, on groźne. Tak to zazwyczaj działało, a ludzie znajdujący się za mównicą najczęściej na tym etapie żałowali, że dali się wciągnąć w proces. Przesłuchania nie były niczym przyjemnym, a siermiężna sądowa atmosfera z pewnością nie pomagała.

– Na sali pozostaje Maria T. – oznajmił sędzia. – Pozostałych świadków proszę o wyjście na korytarz.

Po chwili kobieta została sama na mównicy. Przewodniczący skierował wzrok na Chyłkę, a potem na Zakierskiego.

– Panie prokuratorze – powiedział.

– Dziękuję – odparł oskarżyciel i zamknął pióro, po czym położył je przed sobą. – Pani Mario, została pani powtórnie wezwana, ponieważ zasygnalizowała pani, iż mogło dojść do pewnego rodzaju pomyłki.

– Tak – przyznała kobieta.

– Czy mogłaby pani rozwinąć? O jakiej pomyłce mowa?

Kobieta potoczyła wzrokiem po członkach składu orzekającego, jakby chciała przeprosić za wywołane zamieszanie. Joanna skrzyżowała ręce na piersi i westchnęła.

– Nie jestem do końca pewna tego, jaki kolor skóry widziałam…

Mateusz pokiwał głową ze zrozumieniem.

– A jednak wcześniej wydawała się pani przekonana. Skąd ta zmiana?

– Przyjrzałam się oskarżonemu.

– Tak?

– Nie ma tak ciemnej karnacji, jak sądziłam i… cóż, z dzisiejszej perspektywy trudno mi stwierdzić, czy osoba, którą widziałam, była Romem, czy nie.

Zakierski mruknął przeciągle, marszcząc brwi.

– Jak wiele pani widziała? – zapytał, podnosząc pióro.

– To znaczy?

– Jaką część ciała?
– Uda, podbrzusze…
– I jak długo pani na nie patrzyła?
– Krótko, bardzo krótko. Uciekłam stamtąd zaraz potem.
– W dodatku zdążyła pani jeszcze zobaczyć ofiary.
– Tak.
– Więc ile to spojrzenie mogło potrwać? Kilka sekund?
– Najwyżej.
– Dziękuję, wysoki sądzie, nie mam więcej pytań.

Zakierski zanotował coś na kartce, a przewodniczący spojrzał na swojego zastępcę. Potem skinął na Joannę.

– Pani mecenas – powiedział.

Chyłka wstała i uniosła wzrok, oddychając ciężko.

– Co skłoniło panią do zmiany zeznań? – zapytała.
– Nowe zdjęcia oskarżonego… miałam okazję mu się przyjrzeć.
– O tak, są teraz w powiększeniu na pierwszych stronach gazet.
– Właśnie… – przyznała Maria. – Nie miałam wcześniej okazji, by… sama pani rozumie.
– Nie, szczerze mówiąc, nie rozumiem – odparła Chyłka i z uśmiechem rozłożyła ręce. – Najpierw jest pani absolutnie pewna, a po czasie nagle zmienia zdanie. W dodatku miała pani wystarczająco dużo czasu, by przyjrzeć się mojemu klientowi.
– Co mam powiedzieć? – zapytała niepewnie. – Przepraszam, że tak to…
– Nie ma co przepraszać – ucięła Joanna. – Wystarczy powiedzieć prawdę.
– Pani mecenas – upomniał ją sędzia.

Chyłka skłoniła się i ponownie skrzyżowała ręce na piersi. Przez chwilę po prostu stała i patrzyła na świadka. Maria T. sprawiała wrażenie, jakby sala rozpraw była ostatnim miejscem, w którym chciała się obecnie znajdować.

– Nikt nie wpływał na pani…
– Pani mecenas! – upomniał ją ostro przewodniczący. – Świadek został pouczony o prawnych konsekwencjach składania fałszywych zeznań. To ostatni raz, kiedy czyni pani taką insynuację.
– Oczywiście.

– Ma pani do świadka jakieś pytania?

– Tylko jedno.

– Więc proszę je zadać i ograniczyć się do zakresu pani roli w rozprawie.

– Naturalnie – odparła ze spokojem Chyłka. – Więc mogę już pytać?

– Proszę.

Prawniczka wbiła spojrzenie w Marię.

– Która godzina? – zapytała.

Sędzia cmoknął pod nosem i uniósł lekko ręce. Spojrzał na protokolantkę i zaczął dyktować jej formułkę o tym, że przewodniczący uchyla pytanie. Szczęśliwie dla Joanny, przesłuchiwana kobieta zdążyła zerknąć na zegar wiszący na ścianie i odpowiedzieć.

– Dziękuję – powiedziała prawniczka.

Przewodniczący pokręcił głową z dezaprobatą.

– Proszę pani – zaczął. – Rozumiem, że w centrach handlowych obowiązują inne standardy, ale jesteśmy w gmachu sądu. Proszę szanować powagę tej instytucji.

Przytyk nie był przesadnie bolesny, ale Chyłka spuściła głowę, jakby ją to ubodło.

– Oczywiście – powiedziała.

– Ma pani jakieś pytania na okoliczność, w której świadek został wezwany?

– Nie – odparła Joanna i usiadła.

– Świadek jest wolny – oznajmił sędzia.

Chyłka mogła maglować ją dalej, ale niczego by nie ugrała, oprócz rozsierdzenia składu orzekającego. Wiedziała, że nieco przesadza, ale nie miało to wielkiego znaczenia. Na tym etapie liczyło się tylko to, by wzbudzić czujność w ławnikach.

Joanna przystąpiła do uderzenia dopiero, gdy na mównicy stanął biegły okulista. Po załatwieniu formalności jako pierwszy do przesłuchania zabrał się Zakierski. Prawniczka przypuszczała, że nie będzie starał się dyskredytować specjalisty – wybrała osobę, która przynajmniej na papierze wyglądała dość rzetelnie. Niełatwo było

przekonać lekarza, który miał znacznie lepsze – i lepiej płatne – rzeczy do roboty, ale ostatecznie udało jej się sprawić, że się zgodził.

– Wszyscy słyszeliśmy pytanie o godzinę – zaczął Zakierski. – Niewątpliwie było to posunięcie mające na celu potwierdzić, że wzrok świadka jest w porządku.

Okulista spojrzał na sędziego.

– Mam odpowiedzieć? – zapytał.

– Tak – potwierdził przewodniczący. – Dopóki nie uchylę pytania, proszę odpowiadać.

Doktor skinął głową i spojrzał w stronę zegara wiszącego na przeciwległej ścianie.

– Niewątpliwie tak było – przyznał, wzruszając ramionami.

– Czy na tej podstawie można cokolwiek ustalić?

– Nic konkretnego poza tym, że osoba nie ma wady refrakcyjnej wzroku. Przynajmniej jeśli chodzi o nadwzroczność.

Prokurator przyjął pytający wyraz twarzy.

– Potocznie zwaną dalekowzrocznością – dodał świadek.

– Rozumiem. Tylko że to nie żadne miarodajne badanie?

– Oczywiście, że nie.

– I trudno orzekać na jego podstawie?

Okulista pokiwał głową.

– Proszę o odpowiedź – upomniał go Zakierski, a potem skierował wzrok na sędziego.

Zanim jednak ten zdążył po raz kolejny poinstruować świadka, okulista nabrał tchu.

– Tak, trudno orzekać na takiej podstawie – powiedział lekarz. – Do osiągnięcia wymiernych rezultatów i diagnozy konieczna jest skiaskopia lub refraktometria.

Chyłka słuchała tego z niechęcią. Zakierski wyprzedził uderzenie, ale właściwie powinna to przewidzieć. Na jego miejscu postąpiłaby dokładnie tak samo, zawczasu zadając te pytania, które miała zamiar wysunąć strona przeciwna.

Joanna uznała, że zeszłej nocy przeholowała z piciem. Miała umysł stanowczo zbyt zamroczony, by stawiać się na tak istotnej rozprawie. Cóż, każdemu się kiedyś zdarza, ale mogła spojrzeć prawdzie w oczy,

zanim zaczęła przesłuchanie. Przy odrobinie szczęścia mogłaby doprowadzić do odroczenia rozprawy.

– Świadka od oskarżonego dzieliły trzydzieści trzy metry – oznajmił prokurator. – Jak dobrze można z takiej odległości widzieć?

Biegły skierował wzrok na zegar.

– Jeśli pani potrafiła odczytać, która jest godzina, z pewnością trudno sądzić, by miała problemy z dostrzeżeniem koloru skóry z takiej odległości.

– Rozumiem – przyznał Zakierski. – Ale weźmy pod uwagę, że tutaj świadek siedział, a tam… biegł.

– To oczywiście skomplikowałoby sprawę.

Doktor sprawiał wrażenie, jakby stał na mównicy za karę. Udzielał wprawdzie odpowiedzi, ale robił to niechętnie, patrząc z dezaprobatą to na oskarżyciela, to na przewodniczącego. Chyłka przypuszczała, że po rozprawie otrzyma od niego lakoniczną informację, by więcej nie wzywać go do sądu.

– Pozostaje także kwestia rozproszenia uwagi – zauważył Zakierski. – Czy Maria T. mogła podczas tych kilku sekund skupić się na samym kolorze skóry, skoro… cóż, widziała genitalia, a następnie zauważyła ofiary?

– Nie czuję się kompetentny, by odpowiadać na takie pytanie.

– Ale może pan chyba określić prawdopodobieństwo? Oszacować choćby?

– Nie, nie mogę.

Prokurator przez moment się nie odzywał. Pozwolił, by słowa biegłego osiadły w pamięci ławników i sędziów zawodowych. Przesłanie było jasne – wybiegi obrończyni były zbyt mętne, by wysnuć na ich podstawie jakąkolwiek rzetelną opinię.

– Dziękuję, nie mam więcej pytań – zakończył Zakierski.

Joanna podniosła się powoli. Gorączkowo przeszukiwała umysł, starając się odnaleźć kwestie, o jakie miała zapytać. W kilku z nich uprzedził ją Mateusz, ale przecież był to tylko wierzchołek góry lodowej.

Wbicie rano klina za pomocą zimnego piwa nie było tak dobrym pomysłem, jak jej się wydawało. Dopiero teraz alkohol zrobił swoje. Chyłka rozejrzała się i przełknęła ślinę.

Ta rozprawa miała wszystko zakończyć. Miała domknąć sprawę, tym samym umożliwiając Chyłce zajęcie się postępowaniem cywilnym. Joanna nie miała wątpliwości, że gdy tylko Bukano zostanie oczyszczony, pojawi się z powrotem w Warszawie. Sam się do niej zgłosi, w końcu takie pieniądze piechotą nie chodzą.

– Pani mecenas? – zapytał przewodniczący. – Coś nie tak?

Uzmysłowiła sobie, że pobladła. Szybko odchrząknęła, wyprostowała się i spojrzała na wezwanego przez siebie biegłego.

– Jak pan myśli, mogła się tak bardzo pomylić? – zapytała.

– Nie wiem.

– Ale słyszał pan już o czymś takim? W innym procesie może?

– Nie śledzę doniesień z sal sądowych.

– No tak… – przyznała. – Choć gdyby ktoś pomylił Murzyna z białym, pewnie byłoby o tym głośno.

Wzruszył ramionami, a przewodniczący spojrzał na nią ostrzegawczo. Upomniała się w duchu, że za daleko brnie. Te argumenty miała podnieść dopiero w mowie końcowej.

– Biorąc pod uwagę okoliczności, czy osoba o zdrowym wzroku mogłaby się pomylić? – zapytała.

– Okoliczności?

– Dobrą pogodę, dobrą widoczność i około trzydzieści metrów odległości.

Doktor poruszył się nerwowo na mównicy.

– Naprawdę trudno jednoznacznie stwierdzić.

Chyłka pokiwała głową w zamyśleniu.

– Weźmy jeszcze pod uwagę to, że obok były dwie inne osoby – zauważyła. – Obie o jasnym kolorze skóry. Czy w takiej sytuacji nie łatwiej byłoby zobaczyć romską karnację?

– Przypuszczam, że łatwiej.

– Otóż to – powiedziała Joanna.

– Pani mecenas…

Prawniczka uniosła ręce w przepraszającym geście, ale szybko je opuściła.

– Gdyby tego punktu odniesienia nie było…

– Pani mecenas – powtórzył przewodniczący. – Wszyscy rozumiemy, do czego zmierzały pani pytania. Nie trzeba wychodzić

poza swoją rolę, by nam to uświadomić.

– Oczywiście, wysoki sądzie.

Chyłka spojrzała na lekarza, a on uniósł brwi, jakby czekał na ciąg dalszy. Właściwie ona również czekała.

Chciała dodać coś jeszcze, zapytać biegłego o inną kwestię, ale nie potrafiła sobie przypomnieć o jaką. Spuściła wzrok na notatki. Większość sporządziła wcześniej, ale wczoraj w nocy kreśliła jeszcze kilka istotnych uwag. Z trudem jednak je rozczytywała.

Przesunęła kilka kartek i ściągnęła brwi.

– Jeszcze jakieś pytania, pani mecenas?

– Tak, wysoki sądzie.

– Więc słuchamy.

Podniosła wzrok i poczuła, że robi jej się gorąco. Do kurwy nędzy, o co miała go zapytać? Może to jednak wszystko? Udowodniła, że Maria T. raczej nie mogła się pomylić, mając przed oczami dwie białe osoby. Ale może zbyt słabo uwydatniła ten fakt? W zasadzie przemknęła tylko obok niego, nie położywszy nań większego nacisku.

Mniejsza z tym, teraz trzeba było improwizować. Gorączkowo zastanawiała się nad tym, co może jeszcze ugrać dzięki obecności tego człowieka na mównicy. W końcu uznała, że nie ma sensu dalej go przytrzymywać.

– To jednak by było na tyle, wysoki sądzie – odezwała się.

Sędzia popatrzył na nią jak na wariatkę. Pomyślała, że może całkiem słusznie.

– Świadek jest wolny – oznajmił. – A panią mecenas upraszam o doprowadzenie się do porządku.

– Słucham?

– Zarządzam piętnastominutową przerwę.

Joanna była zaskoczona. Co to miało znaczyć? Moment zawahania z pewnością nie usprawiedliwiał takiej bezczelności. Nigdy wcześniej nie słyszała, żeby jakikolwiek sędzia upomniał adwokata w ten sposób.

Przeklęła przewodniczącego w duchu, a potem wyszła z sali. Poszła do toalety, sprawnie mijając osoby czekające przed inną salą rozpraw. Jak zwykle miała wrażenie, że ulubionym zajęciem Polaków

jest sądzenie się. Rocznie w Polsce w pierwszej instancji rozpatrywano niemal sześć milionów spraw. Większość stanowiły bzdury, które kończyły się do trzech miesięcy od daty rejestracji sprawy, ale były też takie, które ciągnęły się po osiem lat.

Chyłka stanęła przed lustrem i pomyślała, że w tym przypadku tak nie będzie. Chlubiła się tym, że potrafiła szybko załatwić wszystko, czego się podjęła. No, ostatecznie może nie wszystko, ale zdecydowaną…

Urwała tok myśli, wbijając wzrok w swoje odbicie w lustrze. Dopiero teraz zrozumiała, dlaczego sędzia pozwolił sobie na taką uwagę. Wyglądała jak siedem nieszczęść. Skórę twarzy miała zaczerwienioną, oczy przekrwione i podkrążone, a włosy zupełnie nieułożone. Żabot był przekrzywiony i sprawiał wrażenie, jakby miał spaść.

Szybko zabrała się do poprawiania tego, co dało się naprędce skorygować. Nagle przemknęło jej przez głowę, że woń alkoholu musiała być wyczuwalna. Może nie dla osób siedzących na publiczności, ale dla składu sędziowskiego… prawdopodobnie.

Przełknęła ślinę, czując smak tequili. Mogła załatwić sobie naganę albo gorzej. Nie zagłębiała się w Kodeks Etyki Adwokackiej na tyle, by wiedzieć, co grozi za stawianie się po pijaku na sali rozpraw, ale pewnie nie były to przelewki.

W przeciwnym wypadku któryś z sędziów by zareagował, przerywając procedowanie. Nikt nie zająknął się słowem, istniała jednak jakaś prawnicza solidarność zawodowa. A może nie poczuli? Rozgryzła kilka ziaren kawy przed wyjściem z domu i musiała przyznać, że metoda rzeczywiście wydawała się dobra.

Nie, nic nie poczuli, wmówiła sobie.

Doprowadziła się do porządku, a potem ruszyła do wyjścia. Zatrzymała się jednak przed drzwiami.

– Kurwa mać… – mruknęła i sięgnęła po małpkę wódki. Pociągnęła łyk, potem jeszcze drugi, by umysł zaczął działać nieco sprawniej. Ostatecznie zrobiła też trzeci. Dopiero potem zakręciła buteleczkę i ją schowała.

Była przygotowana na to, że w przerwie sobie chlapnie. Przypuszczała wprawdzie, że ta zostanie zarządzona dopiero za

godzinę, ale… trzeba być elastycznym. Przepłukała usta aromatem waniliowym i uznała, że jest gotowa.

Wróciła na salę rozpraw, czując się znacznie lepiej. Żaden z członków składu orzekającego na nią nie spojrzał. Nikt nie skomentował słów przewodniczącego.

Posiedzenie zostało wznowione, a sędzia polecił protokolantce, by ta poprosiła na salę Jana Szylara. Świadkowi się nie spieszyło. Szedł między rządami siedzeń, jakby był najważniejszym zawodnikiem w tej rozgrywce.

Mężczyzna zajął swoje miejsce i skinął przewodniczącemu.

– Staje Jan Szylar – powiedział sędzia. – W stosunku do oskarżonego obcy, tak?

– Niezupełnie. Znaliśmy się.

– Ale nie jest pan rodziną.

– Nie, nie jestem.

– Lat sześćdziesiąt cztery, zawód…

– Jestem na emeryturze.

Sędzia westchnął.

– Czy wie pan, w jakiej sprawie został wezwany w charakterze świadka?

– Wiem. W sprawie zabójstwa Patrycji i Aiszy Horwat.

Przewodniczący składu zadał jeszcze kilka kontrolnych pytań, pouczył o konsekwencjach grożących za składanie fałszywych zeznań, a potem oddał głos prokuratorowi. Ten uśmiechnął się zdawkowo.

– Został pan wezwany jako tak zwany świadek moralności, czyli osoba, która ma poświadczyć co do charakteru oskarżonego, jego reputacji *et cetera*.

– Tak?

– Tak wynikałoby z samego wezwania i logiki.

– W takim razie ma pan rację.

– Więc proszę – powiedział Zakierski. – Co może nam pan powiedzieć o oskarżonym? Czy wdawał się w bójki? Zachowywał się agresywnie? Lubił kobiety? Pił alkohol? Proszę bardzo.

– Dziękuję – odparł chłodno Szylar. – Minęło sporo czasu, od kiedy Bukano opuścił naszą społeczność, więc nie wiem, na ile to będzie

pomocne.

– Proszę odpowiadać na pytania – upomniał go przewodniczący.

Świadek skinął głową.

– Kiedy mieszkał jeszcze u nas, bywało, że coś przeskrobał. Czasem ktoś zaczepił go na ulicy, a on nie był jednym z tych, którzy łatwo odpuszczali. Jak już zaszło się mu za skórę, trzeba było zmierzyć się z konsekwencjami.

– Jakieś przykłady? – zapytał prokurator.

Jan Szylar utkwił wzrok gdzieś po drugiej stronie sali.

– Nie jestem w stanie sobie przypomnieć konkretnych zdarzeń – oznajmił. – Ale były może cztery bójki, kilka mniejszych przepychanek, kłopoty z policją… wszystko, jak miał szesnaście, może osiemnaście lat.

– A jakieś scysje z kobietami?

– Z tego, co wiem, to był dla nich raczej zbyt uprzejmy, jeśli wie pan, co mam na myśli.

– Nie wiem.

– Omamił jedną, to zaraz brał się za drugą. Skończyło się dopiero, jak poznał tę Polkę.

– I wtedy został wygnany.

– Można tak powiedzieć – potwierdził świadek.

Chyłka ziewnęła ukradkiem, ale zrobiła to tak, by nie uszło to uwadze Zakierskiego. Potem słuchała obojętnie kolejnych suchych faktów, które niewiele wnosiły do sprawy. Szylar opowiadał o kłopotach z prawem niewielkiego kalibru, paru niefortunnych wypowiedziach na temat służb mundurowych czy w końcu o skonfliktowaniu się z całą romską rodziną.

Prokurator był zadowolony. Podziękował sędziemu, a ten oddał głos Chyłce. Prawniczka podniosła się powoli.

– Mogę zwracać się do ciebie „Weszo”? – zapytała.

– Oczywiście – odparł świadek. – Jan Szylar to moje urzędowe imię i nazwisko, formalnie musimy je mieć, choć sami posługujemy się imionami romskimi.

– Więc niech tak będzie – powiedziała i rozsunęła przed sobą kilka kartek.

Serce zabiło jej mocniej. Nie spierdol tego, powiedziała sobie w duchu.

– To prawda, że zawsze musisz mówić prawdę, Weszo? Nawet jeśli nie przymusza cię do tego polskie prawo?

– Prawda.

– To jedna z zasad Kodeksu Mageripena, tak?

– Zgadza się. Nazywa się *ćaćipen*.

– I na czym polega?

– Na tym, co powiedziałaś, czyli nakazie mówienia prawdy. Kłamstwo jest dla nas wystarczającym powodem, by gardzić człowiekiem. Traktujemy to bardzo poważnie, o czym przekonało się już kilku skalanych.

Nie dodał, że zasada ta nie obowiązuje w kontaktach z *gadziami*. W nich pojawiało się jej zupełne przeciwieństwo – okłamanie obcego było w dobrym guście. Im lepiej okantowało się *gadzia*, tym większe było uznanie ze strony innych Romów.

– Rozumiem – powiedziała. – Możesz w takim razie przedstawić nam, co robiłeś tego ranka, gdy zginęły Patrycja i Aisza?

– Wysoki sądzie… – zaoponował cicho Zakierski, przyjmując błagalny wyraz twarzy.

– Proszę zachować spokój, panie prokuratorze – upomniał go sędzia. – A panią mecenas proszę o pytania, które mają związek ze sprawą.

– To ma.

– W takim razie proszę doprecyzować dlaczego. A świadek odpowie.

Weszo nabrał tchu, a Joanna poczuła, jak oblewa ją fala gorąca. Mogła nie pić wódki przed tak krytycznym momentem.

2
Skylight, Śródmieście

Oryński otworzył drugi laptop i postawił go na biurku. Nie miał zamiaru oglądać procesu na żywo w salce konferencyjnej – i po prawdzie nie było takiej potrzeby. W witrynach NSI i TVN24 opisywano wszystko skrupulatnie, minuta po minucie. Prędkość i precyzja redaktorów kazały sądzić, że byliby arcymistrzami klawiatur, jeśli pracowaliby jako protokolanci w sądzie.

Na razie wszystko szło dla Chyłki nie najlepiej. Szczególnie niepokojące było to, jak zacięła się podczas przesłuchania biegłego i jak zachowywała się podczas zeznań Marii T. Powinna zapytać przede wszystkim o objawy daltonizmu, a raczej je wykluczyć. Potem pokazać kobiecie kilka plansz i wykazać, że wzrok ma sokoli. Zamiast tego skupiła się na zegarze i niespecjalnie znaczących pytaniach do biegłego.

Kordian powinien się cieszyć. Im więcej gruntu usunęło się Chyłce spod nóg, tym więcej budulca miał Salus. Przy odpowiednich proporcjach nie będzie mowy o procesie cywilnym, wszystko rozstrzygnie się podczas postępowania karnego.

Urwał przemyślenia, gdy rozbrzmiał jeden z numerów Willa Smitha. Spojrzał na telefon i zobaczył, że dzwoni Kormak. Nie stanowiło to wielkiego odstępstwa od codziennej normy. Chudzielec nie czuł się dobrze w Krakowie i kontaktował się właściwie co chwilę, chcąc poruszyć najmniejszą pierdołę. Oryński zbliżał się do granicy, za którą kończyła się jego cierpliwość.

– No – powiedział.

– Oglądasz to? – zapytał szczypior.

– Nie.

– Ale śledzisz, prawda?

– Prawda – przyznał Kordian i westchnął. – Aktualnie korzystam z dobrodziejstwa autoodświeżania na stronie NSI.

– Kompletna klapa – oznajmił Kormak. – Dostaje tam po dupie.

– I robi to na własne życzenie.

– Myślisz, że jest nawalona?

– Mhm – mruknął aplikant. – Nie muszę widzieć przekazu telewizyjnego, żeby to wiedzieć. Poza tym kilku fotoreporterów cyknęło zdjęcia. Na zbliżeniu widać, że ma szkliste i przekrwione oczy.

– Rzeczywiście – przyznał chudzielec. – Ale szykuje coś. Zrzuci bombę.

– Co ty pieprzysz?

– Nic nie pieprzę, tylko oglądam na żywo. Znam ją i widzę, że ma coś w zanadrzu i nie może się doczekać pierdolnięcia.

– E tam.

– W zasadzie pierdolnięcie to chyba niedomówienie – ciągnął Kormak. – Powinniśmy ukuć jakiś inny termin.

– Aha – odparł Kordian, wracając do akt sprawy, nad którą pracował.

– Chyłkołupnięcie – zaproponował szczypior. – Co ty na to?

– Wyśmienicie.

– Nie słuchasz mnie, prawda?

– Nic a nic.

– Mógłbyś poświęcić chwilę staremu…

– Chwilę? – wpadł mu w słowo Kordian. – Wydzwaniasz już piętnasty raz dzisiaj. Poświęciłem ci więcej niż chwilę, Kormaczysko.

– Nie szkodzi – odbąknął chudzielec. – Jestem tu samotny.

Oryński odstawił komórkę od ucha i spojrzał na nią z niedowierzaniem. Zastanawiał się przez moment, a potem się rozłączył. Odłożył telefon na bok i wrócił do studiowania materiałów. Raz po raz zerkał jednak na monitor.

Rozległ się dźwięk SMS-a.

„Świnia. Zraniłeś moje uczucia” – napisał Kormak.

Aplikant pokręcił głową z uśmiechem, po czym odświeżył witrynę NSI. Wprawdzie działo się to samoczynnie co jakiś czas, ale nie zaszkodziło wspomóc trochę automat… tak na wszelki wypadek.

Na salę wszedł nowy świadek, powołany przez obronę. Kordian go nie kojarzył. Mógł być bombą, o której mówił Kormak, ale równie

dobrze mógł też stanowić zasłonę dymną przed ostatecznym uderzeniem.

Oryński zastanawiał się przez chwilę nad tym, czy Chyłka w istocie może jeszcze obrócić wszystko na swoją korzyść. Jeśli przyjaciel rzeczywiście dostrzegł ten charakterystyczny błysk w oku, należało przyjąć, że tak. Ale w jaki sposób? Co takiego mógłby zeznać jakikolwiek świadek, by odeprzeć zarzuty postawione Bukano?

Kordian wbił pusty wzrok w akta przed sobą. W końcu je zamknął, dochodząc do wniosku, że i tak niewiele zrobi. Myśli wciąż zaprzątała mu sprawa Roma, nie było sensu oszukiwać się, że może być inaczej.

Znów odświeżył stronę. Według reportera Jan Szylar był przepytywany w charakterze świadka moralności. Oryńskiemu znacznie bardziej odpowiadał anglosaski termin, *character witness*, jako że nie zakładał zeznawania na korzyść oskarżonego.

Aplikant zaplótł ręce na karku i odgiął się. Miał dziś jeszcze sporo roboty przed sobą, szczególnie że nieustanne telefony Kormaka wciąż wytrącały go z trybu pracy. Mimo to wbił wzrok w relację NSI i czekał na nowe wieści.

Reporter skrupulatnie przekazywał każde słowo, ale w relacji uczestniczył także jakiś inny pracownik, zapewne prosto z siedziby stacji. Co rusz zamieszczał jakieś tweety jako komentarze na gorąco. Proces był głośny – nie co dzień zdarzało się, że sądzono kogoś w tak mętnej sprawie.

Najpierw brutalne, wręcz bestialskie przestępstwo i niemal pewne skazanie, potem świadek, który podawał wszystko w wątpliwość, a ostatecznie wycofanie zeznań i powrót do punktu wyjścia. Nic dziwnego, że społeczeństwo chciało się dowiedzieć, kto stoi za tym wszystkim.

Kordian skupił się na jednym z tweetów. Był nim internetowy mem przedstawiający Chyłkę. Ktoś zrobił stopklatkę, gdy żywo gestykulowała. Do uniesionej dłoni doklejono jej kieliszek i całość opatrzono podpisem „WÓDKA PITA Z UMIAREM – NIE SZKODZI NAWET W DUŻYCH ILOŚCIACH”.

Oryński zerknął na medialny protokół. Reporter zanotował wnikliwie, że obrończyni zaczyna mylić słowa i mówić nieco

bełkotliwie.

Zaraz potem pojawił się kolejny mem i również wylądował na Twitterze. „NIE ZAWSZE PIJĘ – ALE GDY JUŻ TO ROBIĘ, IDĘ DO SĄDU". Kordian przełknął ślinę i zobaczył tag #pijanaadwokat. Szybko wyszukał w mediach społecznościowych inne memy oznaczone w ten sposób i zdębiał. Najwyraźniej komuś już na początku rozprawy przeszło przez myśl, że prawniczka nie jest do końca trzeźwa. Charakterystyczny napis „ZGŁASZAM TO DO PROKURATURY" był chyba po raz pierwszy naprawdę na miejscu.

Oryński zaczął bezmyślnie przewijać stronę i przestał dopiero, kiedy znów rozśpiewał się Will Smith. Nie patrząc na wyświetlacz, sięgnął po komórkę.

– Kaplica – powiedział. – Zaraz pójdzie na nią lawina.

– Słucham? – rozległ się głos, który z całą pewnością nie należał do Kormaka.

Aplikant spojrzał na smartfona i przekonał się, że połączenie nawiązano z nieznanego numeru.

– Kto mówi? – zapytał.

– Filip Obertał. Ojciec Joanny.

Kordian nie odzywał się, świadomy tego, że gdyby tylko otworzył usta, wydobyłaby się z niego taka czy inna forma retardacji – najprawdopodobniej przeciągłe „yyy…" lub „eee…". Ugryzł się więc w język i czekał, aż umysł zaskoczy na odpowiednie tory.

– Jest pan tam?

– Tak – odparł Oryński z nadzieją, że Obertał wykaże nieco inicjatywy.

– Dzwonię, ponieważ… – urwał i westchnął. – Ogląda pan?

– Tak.

Nie było sensu tłumaczyć mu, że w istocie tego nie robi. Ostateczny efekt był taki sam, jak przy obserwowaniu transmisji na żywo.

– Ona jest pijana – powiedział z bólem w głosie Filip.

– Być może.

– Nie być może, a na pewno. Przecież widać to na pierwszy rzut oka.

Kordian odchrząknął. Kiedy zaczynał karierę prawniczą, wszyscy powtarzali mu, by trzymał się jak najdalej od prawa rodzinnego. Adwokaci parający się tą sferą prawą byli najtwardszymi skurczybykami, bowiem to właśnie przy sprawach rodzinnych prano największe brudy i robiono wszystko, by doszczętnie zniszczyć przeciwnika. Oryński obiecał sobie, że od wszelkich konfliktów tego typu będzie trzymał się z daleka. Los jednak najwyraźniej postanowił inaczej.

– Przecież ona zaraz się skompromituje – ciągnął Obertał. – Jest coraz gorzej…

– Nie jest tak źle – odparł cicho Kordian.

– Musiała wypić coś w przerwie, teraz do niej dochodzi.

Aplikant potarł nerwowo czoło, uświadamiając sobie, że błysk w oku, który dostrzegł Kormak, mógł nie odzwierciedlać pewności siebie.

Młody prawnik zastanawiał się przez moment. Nie powinien w ogóle rozmawiać z ojcem Chyłki. Najlepiej było odesłać go do… do kogoś, kto utrzymywał z nią jakiekolwiek relacje. I kto nie ryzykował karierą, prowadząc taką rozmowę.

Oryński nie musiał długo zastanawiać się nad ultimatum, które postawił mu Langer. Oczywiste było, że nie miał żadnego wyjścia. Gdyby postąpił inaczej i stanął po stronie Joanny, wylądowałby na bruku. Nie mogłoby być mowy nawet o tym, by znalazł pracę w butiku prawnym. Aplikacja pozostałaby nieukończona, a on musiałby szukać okazji na kasie w Tesco. W najlepszym wypadku.

Nabrał tchu i uznał, że trzeba szybko zakończyć tę konwersację. A najlepiej zrobić to, przyjmując możliwie jak najbardziej urzędowy ton głosu.

– Niestety nie wiem, czego pan ode mnie oczekuje – wyrecytował jedną z formułek, której uczyli specjaliści od relacji z uciążliwymi klientami.

– Pomocy.

– Nie mam z nią kontaktu, panie Obertał.

– Ten chłopak, z którym rozmawiałem jakiś czas temu, twierdził coś dokładnie przeciwnego.

Kordian zaklął w duchu. Filip musiał skontaktować się z chudzielcem w newralgicznym momencie. Może Kormak był rozsierdzony sprawą z lewym zwolnieniem i wycieczką do Wrocławia. Wystarczyło, że chlapnął coś o wyjeździe, a Obertał otrzymał potwierdzenie, że Oryński i Chyłka są blisko.

Odtrącony ojciec był jak wygłodniały ogar, który szukał choćby kawałka pożywienia. Teraz je wywęszył i nie miał zamiaru dawać za wygraną tak łatwo.

– Słyszy mnie pan?

– Słyszę – odparł Kordian. – Ale naprawdę nie wiem, jak mogę pomóc.

Przez moment w słuchawce panowała cisza.

– Niech pan na to spojrzy – odezwał się cicho Obertał. – Ona już sięgnęła dna…

Oryński nie odpowiadał. Zastanawiał się, czy powinien zaprzeczać.

– I nie odbije się od niego – dodał ojciec Joanny. – Przeciwnie, jest jej tam bardzo dobrze.

– Myślę, że nie ma co…

– Dramatyzować? – dopowiedział. – Niech pan mnie nie traktuje protekcjonalnie. Wiele zniosłem przez ostatnie lata i wiele wciąż jestem w stanie znieść. Ale nie to.

Aplikant odsunął szufladę i wyjął e-papierosa.

– Rozumiem – powiedział.

– Moja córka potrzebuje profesjonalnej pomocy.

– Wątpię, żeby się na nią zgodziła.

– Zgodzi się – uparł się Obertał. – Jak tylko zda sobie sprawę, że znajduje się dokładnie na tej samej drodze, co jej znienawidzony ojciec. Ja także zaczynałem od alkoholu.

Oryński uniósł brwi, zaciągając się.

– A na czym pan skończył?

– Niemalże na złotym strzale.

– Słucham?

– Dawałem sobie w żyłę.

– Heroina?

– Ostatecznie tak – przyznał. – I robiłem to, kiedy moja żona i córki potrzebowały mnie najbardziej.

Kordian poczuł się jak bohater epickiej powieści fantasy, który przebył długą drogę przez szereg niestworzonych krain i ostatecznie trafił do spowitych mgłą, gęsto zalesionych mokradeł. Zaraz za nimi znajdował się cel podróży. Widać było już słońce przebijające się przez korony drzew. Wkraczał do innego świata – świata, gdzie przeszłość Chyłki nie stanowiła już enigmy.

– Co się stało z pana żoną? – zapytał, zanim zdążył ugryźć się w język.

Postawił krok na grząskim gruncie i nie miał wątpliwości, że ten szybko zacznie go wciągać.

– Nie wytrzymała – odparł Filip.

– I?

– Miała romans z pewnym Niemcem, którego poznała podczas pracy w knajpie.

– Była kelnerką?

– Tak.

– A pan?

– Ja? Byłem… – zawiesił na chwilę głos. – Kiedy jeszcze byłem w stanie, pracowałem w branży spawalniczej. – Znów zrobił pauzę. – Wszystko zmieniło się, kiedy moja żona wyjechała ze swoim kochankiem do Dortmundu. Zacząłem brać jeszcze więcej. Właściwie co noc spraszałem znajomych, urządzaliśmy imprezy, a dzieci… Rozumie pan. To nie było dla nich dobre środowisko.

Nie dało się z tym polemizować.

– Ostatecznie znalazły się osoby, które mi pomogły – dodał. – A teraz potrzeba kogoś takiego mojej córce. Wydaje mi się, że pan może być tą osobą.

– Obawiam się, że nie.

– Dlaczego?

– To skomplikowane.

– Z pewnością jest jakiś sposób, który…

– Nie – uciął Oryński, wbijając wzrok w laptopa. – Przepraszam, muszę kończyć.

Rozłączył się i mechanicznie odłożył telefon na biurko. Potem z niedowierzaniem przewinął relację NSI.

3
Sąd Okręgowy w Warszawie, al. Solidarności

Chyłka wbijała pełen nadziei wzrok w Weszo. Liczyła na to, że sam powie jak najwięcej, a ona nie będzie musiała zbyt często się odzywać. Dopiero teraz zaczynała odczuwać efekty wypitej w toalecie wódki. Przeklęła się w duchu, obiecując sobie, że nigdy więcej nie będzie piła podczas rozpraw.

Jan Szylar również na nią patrzył. Czekał.

Co miała powiedzieć? Czego przed momentem chciał sędzia?

Przypomniała sobie. Miała doprecyzować pytanie, wykazać jego sensowność i związek ze sprawą. Nic prostszego, uznała. Miała wszystko dokładnie przygotowane, wystarczyło tylko…

Przesunęła kartkę po blacie i poczuła, że zaschło jej w ustach. Odchrząknęła i podniosła wzrok.

– Jak pan być może wie, specjalistom medycyny sądowej nie udało się określić dokładnego czasu, gdy ofiarom zadano pierwsze rany. Nie wiemy, czy wcześniej je porwano, związano lub okaleczono. Wiemy tylko tyle, ile powiedział nam świadek, pani Maria T.

Sędzia posłał jej ostrzegawcze spojrzenie. Weszo skinął niepewnie głową.

– Maria T. wyszła na bieg około jedenastej – dodała Joanna, unosząc przepraszająco dłoń w kierunku ławy sędziowskiej. – Co pan wtedy robił?

– Nie pamiętam.

Wydęła usta i uniosła wzrok.

– Rozumiem – powiedziała. – Mnie też trudno sobie przypomnieć, co robiłam o danej porze w dany dzień, jeśli nie miało miejsca nic wykraczającego ponad normę.

Cygan mruknął pod nosem potwierdzająco.

– Ale może pamięta pan, co robił wcześniej?

– Tak.

– Więc?

– Rozmawiałem z Patrycją i Aiszą.

Po sali przeszedł cichy szmer, który szybko zamienił się w głośne komentarze. Przewodniczący natychmiast nachylił się do mikrofonu.

– Proszę o spokój – powiedział stanowczo. – Nie chciałbym państwa wypraszać, ale zrobię to, jeśli nie potrafią państwo uszanować powagi sądu.

Rozmowy ucichły. Joanna posłała prokuratorowi pełen satysfakcji uśmiech.

– Pani mecenas, proszę kontynuować.

– Dziękuję – odparła Chyłka, zadowolona z efektu. – Jak to się stało, że rozmawiał pan z ofiarami w dzień ich śmierci? A właściwie w poranek… no, można mniemać, że był pan w ogóle ostatnią osobą, z którą rozmawiały.

– Może – przyznał.

– Jak do tego doszło?

Weszo poprawił poły staromodnej marynarki i dotknął pstrokatego krawata.

– Przyszły do mnie w sprawie Bukano.

– Do pana?

– Tak, do mojego mieszkania niedaleko placu Szembeka. Wiedziały, gdzie mnie szukać, może Bukano im powiedział.

– Czy kiedykolwiek wcześniej je pan spotkał?

– Nie, to był nasz pierwszy kontakt.

– I była dziesiąta rano?

– Nie, raczej wpół do – odparł Cygan i położył dłonie na blacie mównicy. – Patrycja zamierzała porozmawiać ze mną o możliwościach usunięcia skalania. Zabrała córkę, żebym zobaczył, że nasza krew płynęła w jej żyłach. I tak było, rzeczywiście tak było. Dziecko wyglądało na jedno z nas.

– Jak przebiegła rozmowa?

– Na początku nerwowo. Ona była nerwowa.

– Pan nie?

– Nie. Nie odzywałem się wiele, moi bracia mówili więcej.

– Co powiedziała panu Patrycja?

– Że tak dalej być nie może, że Bukano nie radzi sobie z tym odosobnieniem, że chce wrócić do społeczności. Podkreślała też, że dziecko powinno znać swoje tradycje.

– I co pan na to?

– Odpowiedziałem, że owszem, dziecko powinno je znać. I że przekazanie ich to obowiązek ojca.

– Nie była zadowolona?

– Nie. Znów zrobiło się nerwowo, ale żaden z nas nie zachowywał się wobec niej agresywnie. Jej maż wprawdzie jest skalany, a ona była *gadziem*, ale… to jednak kobieta, matka jednej z nas.

Chyłka pokiwała głową. Widziała, że Weszo przykuł uwagę wszystkich obecnych na sali. Panowała w niej teraz absolutna cisza, słychać było jedynie nieco przyspieszony oddech Cygana.

Joanna chciała kontynuować, ale na moment zamgliło jej się przed oczami. Nic nie szkodzi, skwitowała w duchu. Dłuższa pauza sprawi, że napięcie wzrośnie. Skład sędziowski będzie miał tym większy apetyt na szczegóły.

Obrończyni w końcu przypomniała sobie, jak miała dalej poprowadzić przesłuchanie.

– Bardzo naciskała? – odezwała się.

– Tak. Groziła, że jeśli nie zastanowimy się nad przywróceniem Bukano do społeczności, wezwie policję.

– Dlaczego miałoby to was martwić?

Pytanie było tak retoryczne, że Chyłka sama zaśmiała się w duchu. Reszta zgromadzonych trwała jednak niemal w nabożnej ciszy.

– Nie wiem – odparł Rom. – Widocznie sądziła, że robimy coś nielegalnego.

– Robiliście?

– Oczywiście, że nie, ale przecież stereotyp Cygana-złodzieja wystarczy, żeby grozić nam policją.

– No tak – przyznała Chyłka, patrząc po ławnikach. – Więc żaden z was nawet jej nie dotknął?

Weszo potwierdził ruchem głowy.

– Co było dalej?

– Rzuciła kilka obelżywych uwag na koniec, a potem złapała dziecko za rękę i wyprowadziła na zewnątrz. Jeden z moich synów ruszył za nią.

– Śledził ją?

– Nie. Chciał się upewnić, że opuści bezpiecznie podwórko. Różnie może być, jak ktoś zobaczy *gadzia* prowadzącego romskie dziecko.

– Rozumiem – odparła Joanna, tym razem przenosząc wzrok na sędziów zawodowych. Sprawiali wrażenie, jakby przyjmowali słowa cygańskiego wójta bezkrytycznie. Chyłka odtrąbiła niewielki sukces. Grunt był przygotowany, teraz należało przygotować się do wyprowadzenia ostatecznego uderzenia.

Serce załomotało jej w klatce piersiowej jak po długim, intensywnym wysiłku. Poczuła, jakby temperatura na sali sądowej podniosła się o kilka stopni. Było jej stanowczo za gorąco. Zreflektowała się, że krople potu wystąpiły jej na czoło. Otarła je, mając nadzieję, że nikt nie zwrócił na to uwagi.

– Pani mecenas? – zapytał sędzia.

Miała wrażenie, że od kiedy się odezwała, minęły może dwie sekundy. Najwyraźniej jednak miała zaburzone poczucie czasu.

– Tak, tak… – powiedziała, po czym spojrzała na świadka. – Więc co było dalej?

– Mój syn odprowadził ją do ulicy.

– Ile osób uczestniczyło w tym spotkaniu? – zapytała Chyłka. – To znaszy… ilu może potwierdzić, że nie doszło do niczego więcej i że kobieta z córką opuściły wasze podwórko?

– Kilkanaście osób.

– Szyscy to Cyganie, tak?

– Nie – odparł Weszo, marszcząc brwi.

Nie rozumiała dlaczego. Patrzył na nią z zaciekawieniem, ale była w jego spojrzeniu także jakaś pretensja. Joanna kaszlnęła, uświadamiając sobie, że lekko kręci jej się w głowie. Niejasno pomyślała, że to nie wieszczy niczego dobrego.

– To jacy… jacy inni świadkowie tam byli? – zapytała.

Starała się mówić wolno, wyraźnie i pewnie, ale czuła, że nie do końca jej to wychodzi. Nie chciała nawet patrzeć na

przewodniczącego, obawiając się, że ten spiorunuje ją oskarżycielskim spojrzeniem.

– Patrycja i Aisza poszły na targowisko… na Bazar Szembeka. Tam widziało je mnóstwo osób.

– Która to mogła być gadzi… godzina?

– Piętnaście przed dziesiątą? – zgadywał Rom. – Nasze spotkanie było… intensywne, ale krótkie.

Chyłka odczuła zadowolenie. Podawane przez niego szczegóły łatwo było zweryfikować – ona sama zrobiła to już jakiś czas temu. Miała pewność, że Weszo nie kłamie i sąd również szybko taką pewność zyska.

– Pana syn dugo je obserwował? – zapytała.

– Nie. Jak tylko zobaczył, że weszły między stragany, wrócił.

– Więc nie wie pan, co działo się później.

– Nie wiem – przyznał Cygan. – To znaczy… wszyscy wiemy, co się stało zaraz potem.

Wniosek nasuwał się tylko jeden i Joanna nie musiała go wplatać w swoje pytania, by sędziowie byli tego świadomi. Patrycja i Aisza zostały zabrane z tego straganu i przewiezione na Ursus. Ewentualnie z jakiejś przyczyny dostały się tam samodzielnie.

– Dziękuję, nie mam więcej pytań – powiedziała.

Kiedy Weszo schodził z mównicy, Zakierski posłał prawniczce zaniepokojone spojrzenie. Nie rozumiał, do czego zmierzała. Samo zeznanie w niczym nie pomagało jej klientowi. Owszem, *timing* spotkania z Romami był podejrzany, ale bez dowodów wciąż jawiło się to jako zwykły zbieg okoliczności.

– Wzywam kolejnego świadka – zapowiedział sędzia.

Joanna na moment się wyłączyła. Zbierała siły przed zadaniem ciosu, po którym oskarżenie powinno ostatecznie się wykrwawić. Na mównicy stanęła Katarzyna Gawinkowska, młoda dziewczyna z wykształceniem średnim, pochodząca z biednej, patologicznej rodziny. Chyłka dokładnie ją prześwietliła, bo to właśnie od niej wszystko zależało. Jej CV nie było zbyt bogate – zaczęła od pracy jako ochroniarz w jednej z sieci drogerii, a potem zatrudniła się w firmie wynajmowanej przez Arkadię.

Sędzia odczytał zeznania, jakie złożyła podczas postępowania przygotowawczego, a potem zapytał, czy je podtrzymuje. Katarzyna potwierdziła.

– Panie prokuratorze.

– Dziękuję – odparł Zakierski i pokręcił głową.

– Pani mecenas?

Joanna wypuściła ze świstem powietrze, czując wyraźną woń alkoholu. Jeśli sama go odnotowała, najpewniej był dość wyraźny. Zaklęła cicho pod nosem i spojrzała badawczo na skład sędziowski. Zdawali się nie wychwycić nuty wódki w powietrzu.

– Mam tylko kilka krótkich pytań – odezwała się Chyłka. – W postępowaniu przygotowawczym wyjaśniła pani, co zarejestrowały kamery w centrum handlowym, ale chciałabym potwierdzić pewne kwestie, a inne doprecyzować.

– Oczywiście – odparła dziewczyna, uśmiechając się zagadkowo.

Dziewczyna poczuła wódę. Ani chybi, zapach doskonale jej znany.

– Mój klient pojawił się w Arkadii o dziewiątej, tak?

– Zgadza się. Dokładnie trzynaście po dziewiątej.

Chyłka pokiwała głową z uznaniem.

– W tym czasie jego żona i córka jechały na Pragę Południe.

– Nie mogę…

– Nie, to nie było pytanie do pani – ucięła prawniczka. – Po prostu sama sobie przypominam pewne fakty.

Spojrzała ukradkiem na Zakierskiego. Pomyślała, że zaraz to jemu krople potu wystąpią na czoło i najpewniej będą lodowate. Uśmiechnęła się w duchu.

– Od tamtej pory śledziły go kamery?

– Nie cały czas.

– No tak… miałam na myśli, że pojawia się na nagraniach.

– Pojawia się – potwierdziła Katarzyna.

– Jak często?

– Średnio co kilkanaście minut.

– I do której go widać?

Śledczy przerabiali to wszystko podczas postępowania przygotowawczego, wszystkie wyliczenia zawarte były też w materiałach od prokuratury. Bukano nie zyskiwał dzięki temu alibi,

bo w najważniejszym przedziale czasu pozostawał poza zasięgiem monitoringu.

Dziewczyna zmrużyła oczy i kaszlnęła. Chyłka poznawała ten dźwięk – kaszel palacza.

– Do dziesiątej.

– Potem znika?

– Tak.

– Widać, jak opuszcza centrum handlowe?

– Nie, ale nie wszędzie są kamery. I nie wszystkie są włączone.

– Więc teoretycznie mógł wyjść z budynku, pojechać na Ursus, zamordować swoją żonę i dziecko, a następnie wrócić do Arkadii, licząc na to, że może uda mu się stworzyć dzięki temu alibi?

Chyłka starała się użyć tonu, który sam w sobie sugerował absurdalność takiej tezy. Nie wiedziała jednak, czy jej się udało.

– Teoretycznie tak – przyznała Gawinkowska.

– A w praktyce?

– W praktyce trzeba by zapytać Cyganów.

Joanna teatralnie zmarszczyła brwi i skrzyżowała ręce na piersi.

– Nie rozumiem – powiedziała. – Co ma pani na myśli?

– To, że zgromadzili się przed wejściem do Arkadii mniej więcej wtedy, kiedy doszło do zabójstwa.

Chyłka popatrzyła po sędziach, chcąc podkreślić ciężar tej wypowiedzi.

– Co tam robili? – spytała.

– Nie wiem. Nie pytałam, nie podchodziłam.

– Był wśród nich mój klient?

– Tego też nie wiem. Nie interesowałam się tą grupą na tyle, żeby zobaczyć twarze. Trzeba pytać ich.

– Na monitoringu nie widać pana Horwata?

– Nie. Grupa stoi daleko od kamery, większość zresztą ustawiła się tyłem do obiektywu – odparła Gawinkowska i westchnęła. – Mówię, trzeba pytać Cyganów.

Joanna rozplotła ręce i podrapała się po brodzie.

– Taaak… – zaczęła przeciągle. – Problem polega na tym, że oni nie zeznają. Ba, nawet nie chcą rozmawiać z adwokatami, ponieważ wychodzą z założenia, że to brudny zawód.

Dziewczyna na mównicy przyjęła obojętny wyraz twarzy.

– Nie sposób nawet ustalić, czy któryś z nich cokolwiek widział, bo nigdy się do tego nie przyznają.

– Pani mecenas… – odezwał się sędzia.

Chyłka odchrząknęła i wyprostowała się. Czuła, że ślina gęstnieje jej w gardle, ale zignorowała to.

– Przepraszam, wysoki sądzie – powiedziała. – Wiem, że odbiegam nieco od samego przesłuchania, ale okazuje się, że to absolutnie konieczne. I w takiej sytuacji, biorąc pod uwagę nowe okoliczności, wnoszę o zwolnienie świadka i ponowne przesłuchanie pana Szylara.

Sędzia na moment zawiesił na niej wzrok w milczeniu, po czym spojrzał na prokuratora. Ten gorączkowo poszukiwał drogi ratunku, wiedząc już, co się dzieje.

– To jedyna osoba, która może powiedzieć nam, czy mój klient znajdował się przed centrum handlowym w czasie, gdy nie widać go na nagraniach – dodała czym prędzej Joanna, nie dając Zakierskiemu szansy na ripostę. – Weszo wie o wszystkim, co dzieje się w społeczności, wysoki sądzie. I jeśli chcemy się czegokolwiek dowiedzieć, to jest naszą jedyną szansą. Żaden inny Rom nie zgodzi się zeznawać.

Przy tak postawionej sprawie nie trzeba było nawet zarządzać przerwy. Przewodniczący składu orzekającego szybko podjął decyzję, a już chwilę później Weszo ponownie zajął miejsce na mównicy.

Po załatwieniu formalności Chyłka zaczerpnęła tchu, czekając na ruch ze strony przeciwnika. W poprzednim stanie prawnym to sąd dopytywałby o szczegóły – od kiedy jednak zmieniono charakter procesu na kontradyktoryjny, leżało to w gestii prokuratora.

Zakierski świdrował wzrokiem Roma. Kontrolował mimikę, nie dawał po sobie poznać, że się denerwuje. Joanna nie miała jednak wątpliwości, że nerwy w nim buzują. Poprawił poły marynarki, a potem dotknął krawata, jakby był to jakiegoś rodzaju amulet.

– Gdzie był pan w czasie, kiedy doszło do zabójstwa? – zapytał Mateusz.

– Na placu Szembeka.

– Więc nie mógł pan widzieć, kto znajduje się w grupie Romów przed Arkadią.

– Nie, nie mogłem.

Zakierski spojrzał znacząco na członków składu orzekającego. Przesłanie miało być jasne – wszystkie informacje, jakie posiada ten świadek, pochodzą z drugiej ręki.

– Rozumiem… – odparł po chwili Zakierski. – W takim razie może orientuje się pan, skąd wzięła się tam ta grupa?

– Tak.

– Zechce się pan tym z nami podzielić?

Weszo rozejrzał się i skrzywił, jakby miał za moment zdradzić coś, co nie powinno opuszczać zamkniętej społeczności.

– Po wizycie Patrycji i Aiszy postanowiłem zrobić coś z tą sprawą.

– Ma pan na myśli…

– Sprawę Bukano. Skalanie.

– Chciał pan je zamazać?

– Nie – odparł cicho Weszo i zmarszczył czoło. – Nie wiedziałem wtedy, jak należy postąpić. Chciałem rozeznać się w sytuacji, rozmówić z Bukano, ustalić kilka rzeczy, zanim podejmę jakiekolwiek działania.

– I?

– Udało mi się ustalić, że znajduje się w Arkadii.

Zakierskiemu odpłynęła krew z twarzy. Wiedział już, że wszedł na pole minowe i jeden nieuważny krok mógł sprawić, że skończy z hukiem.

– Jak… jak pan to rzekomo ustalił?

– Kontaktując się z kilkoma osobami.

– Nie bardzo rozumiem.

– Jeden z barów szybkiej obsługi prowadzi romska rodzina. Poza tym… jesteśmy tam obecni.

Zakierski zaczął drążyć, a Weszo spokojnie lawirował. Chyłka doskonale wiedziała, do czego dąży – kto kiedykolwiek jadł coś na pierwszym piętrze Arkadii, widział nie tylko ptaki przemykające pod sklepieniem, ale też Cyganów kręcących się od czasu do czasu między stolikami.

– Ale skąd pan wiedział, gdzie rzekomo znajduje się oskarżony?

– Od jego żony.

– Słucham?

– Patrycja powiedziała mi, gdzie szukać Bukano, jeśli chciałbym z nim zamienić parę słów.

– A skąd ona to wiedziała?

– Twierdziła, że miał później odebrać córkę od lekarza na… na Felińskiego, o ile mnie pamięć nie myli.

Grunt usuwał się prokuratorowi spod nóg, ale miał jeszcze kilka dróg ratunku. Szok, który Joanna dostrzegła w jego oczach, kazał jej jednak sądzić, że niespecjalnie wie, jak wyjść z sytuacji obronną ręką.

– Ot tak panu to zdradziła? Nie obawiając się, że…

– Dałem jej gwarancję, że nic mu się nie stanie – wpadł mu w słowo Weszo, podnosząc głos. Szybko się zmitygował. – Takie zapewnienie z mojej strony to świętość.

– Z pewnością – odparł Zakierski z wyraźnym powątpiewaniem, a potem podziękował świadkowi.

Mógł zadać jeszcze parę pytań, ale być może zdał sobie sprawę, że odpowiedzi Jana Szylara będą stanowić gwóźdź do jego trumny. Kiedy Chyłka zabrała głos, wiedziała, że nie potrwa to już długo.

– Interesuje mnie jedno – zaczęła. – Ktoś z pańskich ludzi widział mojego klienta przed Arkadią?

– Tak.

– Ktoś z nim rozmawiał?

– Nie.

Joanna zmrużyła oczy.

– Dlaczego nie? – zapytała.

– Przypuszczam, że Bukano omija większe grupy Romów, gdy tylko jakieś dostrzeże. Wie, że niewiele byłoby trzeba, by doszło do tragedii.

– Więc…

– Moi ludzie, jak pani mówi, widzieli go, kiedy opuszczał Arkadię. Zobaczył ich, natychmiast skręcił i skierował się w stronę Słomińskiego.

– Kazał pan go śledzić?

– Śledzić? Nie, ale iść za nim… tak.

– Rozumiem – odparła Joanna i uśmiechnęła się półgębkiem. Wyprostowała się. – Więc widać mojego klienta wchodzącego do

Arkadii, kiedy jego żona i córka jeszcze żyją.

Weszo wzruszył ramionami.

– Widać – odpowiedziała sobie Chyłka i spojrzała przepraszająco na sędziego. – Potem pojawia się na nagraniach co kilkanaście minut, a kiedy z nich znika, pańscy ludzie go…

– Pani mecenas – zaapelował przewodniczący.

– Przepraszam. Chciałam tylko uwydatnić, że oskarżony nie mógł popełnić tej zbrodni, bo cały czas był w Arkadii. – Usiadła czym prędzej, mając nadzieję, że sędzia nie zdąży jej zrugać.

Potem nagle się podniosła, jakby o czymś sobie przypomniała.

– Dziękuję – powiedziała. – Nie mam więcej pytań.

4
Siedziba Salusa, ul. Domaniewska

Czas na pozory się skończył. Kordian wszedł do sali konferencyjnej, w której stał eliptyczny stół. Miejsce na końcu przewidziane było dla najważniejszej osoby w pomieszczeniu. Zajmował je Piotr Langer. Usadowił się wygodnie, oparł łokcie na blacie i skrzyżował palce pod brodą.

Patrzył na Buchelta i Oryńskiego jak na dwie potencjalne ofiary. Jeden z praktykantów zamknął za nimi drzwi i zaległa niepokojąca cisza. Kordian powiódł wzrokiem po pozostałych zebranych.

Donald Trump wyglądał najlepiej, właściwie neutralnie. Kryminalista i kobieta sprawiali wrażenie, jakby nastąpiła apokalipsa.

– Siadać – odezwał się Piotr.

Prawnicy zajęli miejsca naprzeciw trójki członków zarządu, a potem obrócili się w kierunku Langera.

– Jak to się stało? – zapytał.

Lew odchrząknął, ale Kordian już po wezwaniu na Domaniewską doszedł do wniosku, że wyręczy patrona.

– Nie wiedzieliśmy o tym spotkaniu na Szembeka – odezwał się. – Zresztą to nie leżało w naszej gestii. Zakierski powinien trzymać rękę na pulsie i dowiedzieć się, gdzie były ofiary, zanim trafiły na Ursus.

Piotr spiorunował go wzrokiem.

– Prosiłem, żebyście współdziałali.

Oryński wzruszył ramionami.

– Zakierski się do mnie nie odezwał. A ja…

– A ty wolałeś wozić się ze swoją byłą patronką do Wrocławia i szukać tropu, który mógłby nas pogrążyć. I najwyraźniej pogrążył.

– Ale…

– To tam dowiedzieliście się o tym świadku, prawda?

– To nie tak.

Langer mocno zacisnął usta, aż zbielały. Szybko się jednak opanował, popatrzył po zebranych, a potem kiwnął głową do aplikanta.

– Mów – powiedział. – Co tam znaleźliście?

– Rodziców Bukano – odparł Kordian bez namysłu. – To oni wskazali nam tego Cygana, ale tylko dlatego, że to wójt społeczności. Miał być dobrze poinformowany, to wszystko. Nie wiedzieli przecież, że widział się z…

– I był dobrze poinformowany – uciął Piotr i przeniósł wzrok na Lwa. – Co to dla nas oznacza?

Buchelt poruszył się nerwowo, z gracją i energicznością właściwą borsukowi.

– Nic dobrego – ocenił mrukliwie. – Jeśli słowa świadka zostaną potwierdzone…

– A zapewne tak będzie – dopowiedział Langer. – Inaczej Chyłka nie przywołałaby ich na sali sądowej.

– Owszem – przyznał Lew. – Zatem można mniemać, że zarzuty zostaną wycofane. Nawet jeśli ma pan jakąś władzę nad prokuratorem, to nic nie da. Sprawa wymknęła mu się spod kontroli.

– Co możemy zrobić? – zapytał Trump.

– Pod względem karnym nic. Robert Horwat zostanie uznany za niewinnego.

Piotr pokręcił głową, rozplatając dłonie. Odchylił się i przez moment wbijał wzrok w sufit.

– Nie powinienem ci ufać, Kordian.

Oryński poprawił się na krześle. Ton głosu Langera kazał sądzić, że to nie wyrzut względem siebie, a raczej zapowiedź dotkliwej kary.

– Popełniłem błąd – dodał Piotr. – Ale przy ogromie twoich przewinień i pomyłek, to i tak jedynie kropla w morzu.

Buchelt spojrzał na podopiecznego, jakby chciał w ten prozaiczny sposób dodać mu otuchy. Kordian nie zwracał na niego uwagi.

– Ale możesz jeszcze je naprawić – dodał Langer. – Przed wami proces cywilny.

– Tak – potwierdził czym prędzej Lew. – I wszystko wskazuje na to, że sąd nie będzie związany ustaleniami poczynionymi w toku…

– Uznano go za niewinnego – przerwał mu Kryminalista. – Jak miałby nie być związany?

Buchelt przeniósł wzrok na mężczyznę. Zastanawiał się o kilka sekund zbyt długo, by uszło to uwadze zgromadzonych. Kordian uznał, że musi przyjść mu w sukurs. Najwyraźniej nie tylko Chyłka ostatnio sobie nie radzi – patron sam prosił się o przedwczesną emeryturę.

Chłopakowi przemknęło przez głowę, że Joanna, nawet nie będąc w formie, wygrała sprawę. Byłby to może zwiastun czegoś dobrego, gdyby nie to, że utwierdzi ją to wyłącznie w przekonaniu, iż może postępować dokładnie tak jak dotychczas.

Oryński odsunął od siebie te myśli. Będzie jeszcze czas, by się nad tym zastanowić. I przypuszczał, że chcąc nie chcąc, będzie musiał zrobić to wspólnie z Filipem Obertałem.

– Jego niewinność nie zobowiązuje automatycznie Salusa do wypłaty polisy – zabrał głos Kordian. – Są inne warunki, które muszą zostać spełnione. I właśnie im będziemy się przyglądać podczas rozprawy cywilnej.

– Jaki macie plan? – włączyła się kobieta.

Aplikant spojrzał na Buchelta, a ten nabrał tchu.

– Jeszcze dziś zaczniemy rozmawiać o taktyce sądowej, zapewniam – powiedział. – Niech państwo pamiętają, że uczestniczyłem w konstruowaniu wzorca umownego. Znajdę w nim wytrychy, które pozwolą otworzyć drzwi do niewypłacenia polisy.

– Lepiej, żeby tak było – odezwał się Donald Trump. – Inaczej dojdzie do tragedii.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

Kordian chciał zapytać, o jakiej tragedii jest w istocie mowa, ale w porę ugryzł się w język. Poczuł na sobie ciężkie spojrzenie Langera, gdy ten w końcu przestał wpatrywać się w sufit.

– Tak nie może być, Kordian – oświadczył.

– To znaczy…

– Twój wyjazd, nieposłuszeństwo, działanie na naszą szkodę. To po prostu niedopuszczalne.

– Nigdy nie działałem na szkodę Salusa.

– Nie bezpośrednio – przyznał Piotr. – Ale najbardziej martwi mnie to, że nie wykonujesz poleceń.

Oryński poczuł, jak narasta w nim irytacja.

– Wykonuję polecenia mojego pracodawcy.

– Nie – zaoponował Langer. – Mylisz chlebodawcę z rozkazodawcą. Ten drugi powinien się dla ciebie liczyć, rozumiesz?

Buchelt spojrzał na niego z prośbą w oczach.

– Rozumiem – odparł pod nosem aplikant.

– W takim razie zrozum także to: od dzisiaj będziesz robił dokładnie to, co ci polecę. I tym razem miej świadomość, że to twoja ostatnia szansa. Jeden niefortunny krok, a znajdziesz się nad…

– Zrozumiałem – zapewnił Oryński.

Nie miał ochoty słuchać tego dłużej, niż było to absolutnie konieczne.

– Świetnie – odezwał się Piotr. – W takim razie z twojej strony to wszystko.

– Słucham?

Langer wskazał mu drzwi.

Kordian popatrzył na patrona, a gdy ten nie zareagował, podniósł się. Wyszedł na korytarz, zamknął za sobą drzwi i dopiero wtedy usłyszał, że pozostali kontynuują rozmowę. Trudno było wyłapać pojedyncze słowa, nie wspominając już o zdaniach i ich sensie.

– Pomóc w czymś? – zapytał chłopak, który ni stąd, ni zowąd pojawił się obok.

Oryński obrócił się do niego i rozpoznał praktykanta, który wcześniej wprowadził jego i Buchelta.

– Nie.

– Trafi pan do wyjścia?

– Jak najbardziej – odparł pod nosem Kordian i ruszył w stronę windy.

Zjechał na dół i wyszedł na Domaniewską. Zastanawiał się, czy jest sens czekać na patrona. Rozmowa sam na sam z przedstawicielami Salusa mogła potrwać tylko chwilę, ale równie dobrze Lew mógł spędzić tam godzinę.

Kordian rozejrzał się, a potem zamówił taksówkę. Podjechała dość szybko, jakby gdzieś w okolicy mieścił się postój tych, którzy czekali

na osoby uciekające z Mordoru. Nie pracowników, bo każdy dysponował własnym samochodem, ale ludzi, którzy mieli na tyle szczęścia, by znaleźć się tutaj wyłącznie przelotem.

– Dokąd? – zapytał taksówkarz, gdy Oryński wszedł do środka.

Aplikant już chciał odpowiedzieć, że na Złotą, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie.

– Panie, licznik…

– Do najbliższego komisu samochodowego poproszę.

Kierowca spojrzał na niego i uniósł brwi.

– W porządku, może być jakiś dalszy.

Taksówkarz mruknął coś pod nosem, a potem wbił kierunkowskaz i włączył się do ruchu. Przejechali kilkaset metrów i przecięli skrzyżowanie z Wołoską. Kordianowi przemknęło przez myśl, że niedaleko stąd jest Galeria Mokotów, a obok niej kojarzył jakiś komis. Nie zająknął się jednak o tym słowem.

Taksiarz w końcu zatrzymał się na Żwirki i Wigury. Skasował niewielką opłatę i odjechał bez słowa, uznając pewnie, że pasażer mógł przebyć ten niewielki kawałek na piechotę. Kordian omiótł wzrokiem komis. Wyglądał na całkiem porządny, przynajmniej jeśli liczba oferowanych modeli mogła o czymś świadczyć.

Zatrzymał się przy starym czerwonym oplu astrze i przyjrzał się mu.

– Dzień dobry – rozległ się głos zza pleców aplikanta. – Mogę w czymś pomóc?

Oryński obrócił się i zobaczył grubawego mężczyznę w średnim wieku. Miał zadatki na łysienie, jego zakola były tak wydatne, że niemal otaczały kępę włosów na środku głowy.

Kordian spojrzał na niego nieufnie. Od kiedy skończył czytać *Pod kopułą* Kinga, nie miał przesadnego zaufania do sprzedawców samochodów. Po *Christine* zaś odechciało mu się kupować je bezpośrednio od właścicieli.

– Nie trzeba – odparł.

Diler skinął głową, ale nie odsunął się o krok. Przez moment trwali w milczeniu, Oryński przyglądał się samochodowi, starając się zignorować natręta.

– Ta astra do pana nie pasuje.

– Nie?

– Bardziej do jakiejś kobiety.

Kordian spojrzał w dół, uświadamiając sobie, że drogi garnitur podziałał na tego człowieka jak światło na ćmę w wyjątkowo ciemną noc.

– Niech pana nie zwiedzie mój strój – powiedział wprost. – Nie mam dużo kasy.

Nie była to do końca prawda, ale kto powiedział, że prawnik nie może skłamać? Diler z pewnością już wycenił jego możliwości finansowe, a do niego należało, by tę szacunkową wartość jak najbardziej obniżyć.

– Nie ma problemu – zapewnił sprzedawca. – Znajdziemy coś na każdą kieszeń. Jaki mamy budżet?

– Mamy? To wspólnie kupujemy?

– Wie pan, co miałem na…

– Proszę powiedzieć, ile pan dołoży, a ja powiem, ile sam mogę wysupłać.

Diler uśmiechnął się poprawnie, choć w duchu pewnie wycedził kilka niewybrednych słów. Kordian potrząsnął głową. Nie było powodu, żeby szukać zaczepki z ludźmi, których względy ekonomiczne przymuszają do tego, by okazywali mu uprzejmość.

– Przepraszam – powiedział. – Ciężki dzień.

– Z Mordoru pan przyjechał?

– Tak – przyznał, zanim zdążył ugryźć się w język. – Ale nie pracuję tam.

Sprzedawca uniósł ręce z jeszcze szerszym uśmiechem.

– Spokojnie – odezwał się. – Praca na Domaniewskiej to żaden wyznacznik zasobności portfela. Niektórzy gryzą tam trawę za półdarmo. Zresztą i tak nie skasowałbym pana powyżej wartości samochodu.

– Jasne.

– Wygląda pan, jakby życie dało mu ostro po dupie. Nie wyciskam ostatniego grosza z takich ludzi.

Oryński nie miał wątpliwości, że to tylko czcze gadanie, ale nie miał zamiaru polemizować. Przyjechał tutaj po samochód i miał

zamiar opuścić to miejsce, siedząc za kółkiem. Ekspresowa sprawa, wszyscy będą zadowoleni.

Nie zastanawiał się nad tym zbytnio. Uznał jednak, że jeśli kiedykolwiek miał podjąć spontaniczną decyzję o zakupie auta, to właśnie w taki dzień jak dzisiaj. Dzień, w którym zapewnił wyjątkową kanalię o bezwzględnym posłuszeństwie. Dzień, w którym ostatecznie wybrał karierę, a nie… cokolwiek, co łączyło go z Chyłką.

– Może zaczniemy od koloru? – zapytał diler.

– Że co proszę? – żachnął się Kordian. – Czy ja wyglądam panu na kobietę?

Sprzedawca ponownie uniósł dłonie.

Zaległa niewygodna cisza. Oczywiście, kobiety wybierały środek lokomocji przede wszystkim przez wzgląd na jego estetykę, ale nie Oryński. Dla niego istotne były liczba koni, moment obrotowy, przebieg, pojemność, spalanie… i szereg innych rzeczy, które miały realne, a nie tylko kosmetyczne znacznie.

Mężczyźni wymienili się nic niemówiącymi spojrzeniami.

– Żółty – mruknął Oryński.

– Słucham?

– Niech mi pan pokaże jakiś z żółtą karoserią.

Diler prawie się udławił gumą, którą zapalczywie przeżuwał, jakby od tego zależało jego życie. Rozejrzał się, mrużąc oczy, a potem podrapał się po brodzie. W końcu skinął do siebie głową, jakby wpadł na pomysł, który zapewni mu w przyszłym roku nominację Królewskiej Szwedzkiej Akademii Nauk.

– Chyba będę miał coś w sam raz dla pana – zapewnił. – Chodźmy.

Minęli kilka samochodów średniej klasy, weszli w alejkę z tymi nieco starszymi, a ostatecznie dotarli do rzędu kilku aut, o których z pewnością można było powiedzieć, że się wyróżniają.

– Mam tu rarytasy, nie ukrywam.

– Widzę.

– Aixam, autobianchi, saturn…

– Pierwsze słyszę – odparł Oryński. – I pierwsze widzę. Gdzie coś dla mnie?

– Tutaj. – Zatrzymał się za SUV-em zasłaniającym Kordianowi samochód, który sprzedawca zamierzał mu opchnąć.

Oryński zerknął na pojazd. Pierwszą jego myślą było to, że rzeczywiście jest… żółty. Potem naszło go, że wygląda całkiem nieźle. Właściwie lepiej niż nieźle. Miał pięcioro drzwi, gabarytem przypominał trochę volkswagena polo, ale był stylizowany na wersję sportową.

– Co to jest? – zapytał prawnik.

– Daihatsu YRV 1.3 turbo GTti.

Brzmiało to tak sobie, ale samochód wyglądał naprawdę nieźle. Miał spoiler z tyłu, bez którego przypominałby nieco kompaktowy samochód rodzinny, ale Kordian nie zamierzał przecież go ściągać.

– Prosto z Niemiec – zapewnił diler. – Rok produkcji dwa tysiące dwa, na liczniku raptem sto dwadzieścia tysięcy. Jeździł nim niedzielny kierowca.

– Aha.

– Sto dwadzieścia dziewięć koni mechanicznych. Więcej niż potrzeba na tego typu auto.

Kordian obszedł żółte daihatsu.

– ABS, ESP, ASR. Ma wszystko, łącznie z uiszczonymi opłatami celno-skarbowymi.

Oryński zerknął na cenę. Dziesięć tysięcy, akurat tyle, ile wynosił jego dzienny limit na karcie. Pomyślał, że naprawdę może wyjechać stąd własnym samochodem.

– Spuszczę panu o stówę.

– Dwie.

– Niech będą dwie.

Kordian zaklął w duchu. Dał się złapać na haczyk, który to on powinien zarzucić. Teraz było już jednak zbyt późno, by próbować zbić cenę bardziej. Usiadł za kółkiem, podczas gdy diler wgramolił się na siedzenie pasażera.

Oryński pokręcił kierowcą i nieopatrznie włączył immobiliser.

– Niemiec płakał, jak sprzedawał – zapewnił z głupawym uśmieszkiem diler.

Kordiana niespecjalnie to rozbawiło. Rok, może dwa lata temu uniósłby kąciki ust. Teraz jednak obrócił się do sprzedawcy z grobową miną.

– Dobre to auto? Tylko bez ściem.

– Dobre. Jak by było złe, policja by go nie szukała.

Zaśmiał się, ale i tego żartu Oryński nie docenił. Sprzedawca odchrząknął, po czym zaczął zagłębiać się w szczegóły rzekomej historii daihatsu. Zajęło mu to kilkanaście minut. Kolejny kwadrans spędzili na jeździe próbnej, a następny na załatwianiu formalności. OC miało ważność jeszcze przez jakiś czas, samochodem można było jeździć. Kordian nie musiał nawet fatygować się do Urzędu Skarbowego, bo podatek uiszczał sprzedawca.

Niecałą godzinę po wejściu do komisu Oryński wyjeżdżał z niego własnym autem. Był zadowolony, choć samochód w pewien sposób stanowił materialne potwierdzenie decyzji, którą podjął. Mniejsza z tym, uznał. Za rok wespnie się na tyle wysoko w hierarchii kancelaryjnej, że zapomni o żółtym daihatsu.

Wjechał do Śródmieścia i dopiero wówczas zaczął zastanawiać się nad tym, gdzie zaparkuje. Do jego kawalerki nie było przypisanego miejsca parkingowego, więc zostawało mu wykupienie abonamentu pod Pałacem Kultury lub w Złotych Tarasach. Ta druga opcja z pewnością mniej nadszarpnie portfel.

Uśmiechnął się do siebie. Nie musiał martwić się o pieniądze, przynajmniej nie na tyle, by żałować na abonament parkingowy. Przyspieszył, sprawdzając, czy w określeniu „turbo GTti” tkwi ziarno prawdy. Daihatsu był całkiem zrywny i Oryński uznał, że zrobił dobry interes. Może to nie iks piątka, ale wszystko w swoim czasie.

Zatrzymał auto na parkingu w Złotych Tarasach, a potem przekonał się, że ma połączenie nieodebrane. Chyłka.

To stanowiło pewien problem. Zastanawiał się, jak najroztropniej do niego podejść. W końcu uznał, że oddzwoni, choć wiązało się to z obowiązkiem powiadomienia Langera.

Nacisnął na kontakt, ale nie wybrał przycisku nawiązania połączenia. Trwał przez moment w bezruchu, stojąc przy samochodzie. Potem zrezygnował. Skoro podjął decyzję, nieroztropnie było miotać się jak świnia po zagrodzie.

Zamknął nowy nabytek, po czym opuścił centrum handlowe i przeszedł kilkadziesiąt metrów do Skylight. W korytarzu na dwudziestym pierwszym piętrze panowała cisza. Nie sądził, by było to spowodowane rozprawą, zresztą minęło już trochę czasu.

Podszedł do Anki z Recepcji. Dziewczyna powoli podniosła wzrok, a potem brwi.

– Humor ci dopisuje? – zapytała ze zdziwieniem.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że lekko się uśmiecha. Trudno było o inną reakcję, kiedy właśnie kupiło się pierwszy samochód, w dodatku za swoje własne pieniądze, nie żaden kredyt czy rodzinną pożyczkę. Czuł się dobrze.

– A nie powinien? – zapytał.

– Sprawdź lepiej memo.

– Jakie memo?

– Rozsyłali godzinę temu.

– Ale…

– Idź do komputera i sprawdź, Kordian. Ja formalnie nie dostaję takich wiadomości, więc wiesz…

– Więc wiem.

Skierował się do swojego biura z obawą, że cały jego irracjonalnie dobry nastrój nagle zniknie, gdy tylko przeczyta okólnik puszczony do prawników kancelarii Żelazny & McVay.

Usiadł przy laptopie i niechętnie go otworzył. Kiedy wyświetliła się skrzynka odbiorcza, zauważył kilka mało istotnych wiadomości i jedną oznaczoną jako priorytet. Nabrał tchu.

Memo pochodziło od asystenta Artura Żelaznego, który wyręczał imiennego partnera w… cóż, niektórzy twierdzili, że nawet w podcieraniu się. Kordian sądził, że to przesada, jakkolwiek niewielka.

„Powód w toczącej się sprawie przeciwko Salus SA, Robert Horwat, pojawił się na krajowej siódemce w Raszynie” – zaczynała się wiadomość.

Aplikant sięgnął po e-papierosa i zaczął obracać go między palcami.

„Mężczyzna był półnagi, pobity, początkowo nie wiedział, gdzie się znajduje. Odnalazło go kilku robotników, którzy wracali do Nadarzyna z budowy w Warszawie. Zabrali go do samochodu, wezwali policję, po czym Roberta Horwata odwieziono do szpitala na obserwację. Jego stan określono jako stabilny, niezagrażający życiu.

Wypisano go kilka godzin później, gdy minął pierwszy szok. W asyście policji wrócił do swojego mieszkania na Ursynowie".

Kordian odłożył elektronicznego papierosa. Dzień, w którym kupił swój pierwszy samochód, jednak nie zapisze się w jego życiu jako jeden z tych, które miło się wspomina.

5
ul. Lasek Brzozowy, Ursynów

Chyłka siedziała naprzeciw swojego klienta, przypatrując się jego obrażeniom. Widywała mocniej obtłuczonych pechowców i należało uznać, że mogło być dużo gorzej. Wpadła do mieszkania Bukano jak tornado, po czym szybko upewniła się, że wszystko z nim w porządku. Kiedy zaczął mówić jej o tym, co się stało, uniosła rękę i oznajmiła, że nie będą rozmawiać w przedpokoju.

Najpierw kazała mu włączyć muzykę w pomieszczeniu przylegającym do ściany, za którą znajdowało się mieszkanie podsłuchującej wszystko kobieciny, a potem usiadła w salonie, czekając na Roma.

Ten w końcu przyszedł, uśmiechając się niemrawo, jakby nie był pewny, czy jest zadowolony, że żyje.

– Co się z tobą działo, do kurwy pierdolonej nędzy? – zaczęła z grubej rury.

– Zawsze tak…

– Odpowiadaj, nie komentuj.

Bukano usiadł na fotelu i napił się piwa. Jej też zaproponował, ale szybko zbyła tę sugestię, wyciągając małpkę wódki. Uznała, że to jeden z tych nielicznych momentów, kiedy piwo po prostu nie jest właściwe.

– Nie wiem, co się ze mną działo – przyznał nieco zakłopotany. – Wyszedłem wtedy od ciebie mocno wstawiony, ktoś podjechał do mnie kawałek za Argentyńską… wyszedł, rozmawialiśmy… ale trudno mi przypomnieć sobie szczegóły.

Joanna trwała w absolutnej ciszy. Wbijała wzrok w jego oczy, jakby dzięki temu mogła przewiercić się do jego umysłu i stwierdzić, czy mówi prawdę.

– Musieli czymś mnie szprycować przez ten czas.

– Czym?

– Nie wiem. Dawali mi do picia coś mętnego, może rozpuszczali tam… Bóg wie co.

– Bóg?

– Coś nie tak?

– Cyganie nie wierzą w Boga.

– Wręcz przeciwnie, głęboko wierzą – zaprzeczył.

– Na pewno nie w tego jedynego.

Bukano sprawiał wrażenie, jakby nie rozumiał.

– Miałem chyba mówić o tym, co mi się przydarzyło?

– Zmieniłam zdanie – odparła. – Potrzebuję materiału porównawczego, by wiedzieć, czy nie kłamiesz. Więc jak z tą wiarą?

Otworzył usta, ale przez moment nie mógł znaleźć właściwych słów.

– Wyznajemy zazwyczaj tę religię, która dominuje w danym kraju.

– Aha.

– Coś jeszcze cię interesuje?

– Nie, to bardzo pragmatyczne. Teraz możesz mówić o porwaniu.

– Więc zabrali mnie do samochodu i…

– Gdzie do samochodu? Na tyle siedzenie, do bagażnika, rozczapierzyli cię na masce?

– Na tylne siedzenie.

– Jaki to był samochód?

– Nie wiem. Ledwo pamiętam samo zajście i nie wiem nawet, czy naprawdę miało miejsce, czy sobie to wyobraziłem. – Trzęsącą się ręką sięgnął po piwo. – Przewieźli mnie gdzieś, ale wszystko wspominam jak przez mgłę. Potem było tylko gorzej.

– Ilu ich było?

– Trzech.

– Szybko odpowiadasz. Za szybko, Bukano.

– Co masz na myśli?

Popatrzyła na niego spode łba. Brzmiało to jak wcześniej przygotowana wersja, ale z drugiej strony Rom musiał układać ją w głowie nawet, jeśli była prawdziwa. Miał świadomość, że kiedy tylko wróci do świata żywych, będzie musiał odpowiadać na te same pytania przed kamerami.

– Sądzisz, że… – zaczął i urwał, ściągając brwi. – Właściwie co? Że sam się pobiłem i ukartowałem to? W jakim celu?

– Nie wiem.

– Kiedy mnie porwali, była jeszcze wersja z wycofaniem zarzutów.

– Jestem tego świadoma.

– Nie miałbym po co znikać – odparł przez zęby. – Robiłbym to na swoją niekorzyść.

Przyglądała mu się badawczo, ale nie potrafiła dojść do żadnych sensownych wniosków. Owszem, nie było logicznego powodu, dla którego miałby znikać. Ale wiele rzeczy w tej sprawie wymykało się logice.

– Jak uciekłeś?

– Nie uciekłem.

– Więc jak to się stało, że tu siedzisz i popijasz piwko?

Bukano zasłonił usta i kaszlnął kilkakrotnie.

– Trzymali mnie w jakiejś małej klitce, prawie zupełnie pozbawionej dostępu do światła. Jedyne, co wiedziałem, to czy jest dzień, czy noc. Pewnego ranka, zaraz po świcie, wywlekli mnie, zasłonili oczy, a potem władowali do samochodu. Następne, co pamiętam, to jak zatrzymuje się obok mnie jakiś transit i wysiada kilku chłopa. Próbowałem uciekać, ale nogi odmówiły mi posłuszeństwa… dalszą część historii znasz z mediów.

Joanna pokiwała głową w zadumie.

– Dlaczego mieliby cię trzymać w jakiejś klitce? – zapytała.

– A co to, przesłuchanie?

– Pytam tylko o rzeczy, które prędzej czy później i tak będziesz musiał wyjaśnić.

– Przed kim? Nie jestem o nic oskarżony.

– Ale będziesz, kiedy użyję tej historyjki w sądzie.

– Historyjki? – zapytał i prychnął. – W sądzie?

– Będziesz tak po mnie wszystko powtarzał?

– Chodzi mi tylko o to, że…

– Posłuchaj – ucięła, drapiąc się po czole. – Nie obchodzi mnie, czy zabiłeś swoją żonę i córkę. Nie obchodzi mnie, czy ktoś później przetrzymywał cię jak pieczarkę w grzybni. Interesuje mnie tylko to, co powiemy na sali sądowej. Rozumiesz?

Podniósł się i przeszedł w stronę balkonu. Stanął przed drzwiami i wyjrzał na zewnątrz. Chyłka nie mogła zrozumieć, dlaczego chce oglądać panoramę przed blokiem. Widać stąd było typowy Ursynów – dużo przestrzeni w oddali, mrowie budynków z płyty w okolicy i właściwe miasto gdzieś na horyzoncie.

– Bukano?

– Rozumiem – odparł. – Opowiem ci wszystko, co się działo, a ty zrób z tym, co uważasz za stosowne.

– W porządku – powiedziała z zadowoleniem. – To dokładnie taki układ, o jaki mi chodzi.

Kiedy opuszczała jego mieszkanie godzinę później, miała nieco więcej informacji, ale tak naprawdę nadal zero odpowiedzi. Trudno było spekulować, kto mógł go porwać, nie mówiąc już o powodzie, dla którego to zrobiono.

Jedyne sensowne wytłumaczenie mówiło, że chciano zrobić z Bukano oskarżonego, który z obawy przed sprawiedliwością zbiegł, a potem zainscenizował porwanie, gdy sytuacja się uspokoiła.

Joanna wypaliła papierosa pod sklepem osiedlowym, rozglądając się. Stwierdziła w duchu, że nie ma tu czego szukać. Od klienta dowiedziała się wszystkiego, co miał jej do powiedzenia, sąsiedzi na nic się już nie zdadzą, a ona powinna zacząć przygotowywać się do nadchodzącego procesu.

Oznaczało to zakopanie się w umowach adhezyjnych związanych z ubezpieczeniami, co nie nastrajało jej optymistycznie. W dodatku będzie musiała poznać ustawę o działalności ubezpieczeniowej lepiej niż własną matkę. Podobnie będzie z kilkoma innymi aktami prawnymi i orzeczeniami Sądu Najwyższego.

Wezwała Ubera i pojechała na Argentyńską. Czuła, że powoli wpada w prawniczy wir. Pierwsze mętne przepisy kołatały się gdzieś w myślach, pierwsze wnioski nieśmiało zaczynały się nasuwać. Do tej pory skupiała się na karnym wymiarze sprawy, nie myślała o samej polisie. Teraz jednak jej umysł z wolna przestawiał się na inne tory.

Czuła, że alkohol ją napędza. Kto powiedział, że nie można normalnie funkcjonować, pijąc umiarkowanie? Jeśli jej przypadek miał o czymkolwiek świadczyć, to…

Urwała przemyślenia, widząc ojca przed drzwiami do mieszkania.

– Co ty tu robisz? – zapytała.

Przestąpił z nogi na nogę, szukając jakiejkolwiek odpowiedzi, która by jej nie rozzłościła. W końcu wybrał milczenie, całkiem słusznie.

– Odsuń się – poleciła, a potem podeszła do drzwi.

– Znów czuć od ciebie alkoholem – zauważył, robiąc krok w tył.

– Bo piłam.

Odpowiedź go zaskoczyła. Cofnął się jeszcze trochę.

– Nie możesz tak żyć – powiedział z troską w głosie.

– Ty mi to mówisz?

– Tak, ja – odparł stanowczo i zbliżył się, gdy otworzyła drzwi. – I jeśli kogoś w tej kwestii powinnaś posłuchać, to właśnie mnie.

– Bo masz świetne, wieloletnie doświadczenie.

– Tak. Bolesne doświadczenie.

Chyłka przewróciła oczami.

– Filozof się z ciebie zrobił na stare lata – odezwała się. – Ale z cennymi radami trochę się spóźniłeś. Nie mam już szesnastu lat, a ty straciłeś moralne prawo, by pouczać kogokolwiek.

– Ja…

– Ty, ty, ty – przedrzeźniła go. – Nieważne, że się zmieniłeś. W życiu osobistym nie ma miejsca na resocjalizację. Rozumiesz, o czym mówię?

Weszła do środka i zatrzasnęła drzwi, choć miała ochotę jeszcze mu nawtykać. Zzuła szpilki i nie rozbierając się, poszła do kuchni. Nalała sobie tequili i nim zdążyła dopełnić grenadyną, szklanka sama powędrowała do ust. Dopiero po kilku łykach Chyłka uspokoiła się na tyle, by zrobić sobie drinka.

Przeszła do salonu, odsunęła nogą większość materiałów w sprawie karnej i rzuciła nową teczkę na podłogę. Była to umowa, którą Horwatowie podpisali z Salusem. Nie wykraczała poza zwyczajową normę i na pierwszy rzut oka nie istniały w niej żadne luki, z których firma mogłaby skorzystać.

Zanim takie pismo dawano do podpisania klientowi w placówce firmy, ślęczały nad nim zastępy prawników. Najpierw ustalano szkielet, który musiał współgrać z przepisami ustawowymi, a potem gmatwano wszystko tak, by było jak najbardziej mętne. Dopóki nie

wkraczało się na pole, którym mógłby interesować się rzecznik ubezpieczonych, wszystko pozostawało w jak najlepszym porządku.

Chyłka wzięła kilka kartek spiętych spinaczem i położyła się na kanapie. Włączyła telewizor, byleby coś rozbrzmiewało w tle, po czym zaczęła czytać prawniczą nowomowę.

Początek był standardem i mieścił się w tak zwanych o.w.u., ogólnych warunkach ubezpieczenia. Do tego dodano kilka postanowień, które nie musiały się znajdować w umowie, bo i tak regulowały je ustawy.

Joanna powoli czytała o rodzaju ubezpieczenia i jego przedmiocie, warunkach zmiany sumy ubezpieczenia i sumy gwarancyjnej, prawach i obowiązkach stron, zakresie odpowiedzialności…

W końcu zaczęła przysypiać. Jeśli kiedykolwiek potrzebowała potwierdzenia, że prawo karne było dla niej właściwą dziedziną, teraz je otrzymała. Cywilne potrafiło zanudzić ją dwa razy skuteczniej.

Nawet nie wiedziała, kiedy zasnęła. Kartki wysunęły się jej z ręki i spadły na podłogę.

Śniła jej się przeszłość wymieszana z teraźniejszością. Znów znajdowała się w starym mieszkaniu należącym do ojca. Filip siedział na kanapie, obok Magdalena rozmawiała z Zordonem, a wokół kręcili się nieznajomi ludzie. Chyłka pamiętała te twarze. Banda ćpunów, których ojciec zapraszał na imprezy trwające do bladego świtu.

Jeden z nich złapał jej siostrę za rękę i pociągnął w kierunku pokoju. Zordon zaoponował, odepchnął go, a potem odprowadził Magdalenę na bok. Ojciec był zajęty dawaniem sobie w żyłę.

Nagle wyciągnął strzykawkę w stronę Joanny i uśmiechnął się. Odwiązał gumkę ściskającą przegub ręki, po czym jego uśmiech jeszcze się poszerzył. Chyłka zobaczyła zniszczone heroiną resztki zębów, pożółkłe dziąsła i spękane usta.

Obudziła się i potrząsnęła głową. Sięgnęła po szklankę, ale uzmysłowiła sobie, że zostawiła ją na podłodze. Starała się odegnać sen, który przylgnął do niej jak smród. Napiła się i poszła do kuchni, by sobie dolać.

Z niepokojem przekonała się, że trzęsą jej się ręce. Zamknęła oczy i starała się skupić na sprawie. Umysł miała zamroczony, ale jeśli

skieruje myśli na odpowiednie tory, szybko to zmieni.

Co planował Salus? Nie mając na podorędziu zarzutu o spowodowanie śmierci, będą musieli szukać innego wybiegu, by nie wypłacić polisy. Wiedzieli, że będzie to wyglądało beznadziejnie w mediach – niewinny wdowiec pozbawiony ubezpieczenia.

Joanna wróciła do salonu i podniósłszy plik kartek, usiadła na podłodze. Rozłożyła przed sobą materiały.

Horwatowie skrupulatnie opłacali składki, w tej kwestii nie było mowy o żadnych uchybieniach. Od strony formalnej właściwie nikt nie mógł się do czegokolwiek przyczepić. A mimo to Chyłka wiedziała, że na dwudziestym pierwszym piętrze Skylight układany jest w tej chwili plan, który ma obalić umowę.

Przejrzała jeszcze raz wszystkie papiery. Nie znalazła w nich niczego, co Kordian mógłby wykorzystać w sądzie.

6
Kawalerka Kordiana, ul. Emilii Plater

– Całkiem… schludnie – ocenił Buchelt, wchodząc do mieszkania.

Oryński uśmiechnął się, zamknął za nim drzwi, a potem zaprosił go ruchem ręki do środka. Nie czuł się przesadnie komfortowo, przyjmując u siebie patrona, ale skoro ten zaproponował wizytę, nie wypadało odmówić. Tym bardziej, że aplikant domyślał się powodu.

– Proszę się rozgościć – powiedział Kordian, widząc, że adwokat stoi jak kołek w przedpokoju.

– Dziękuję.

Usiedli w kuchni przy stole, trwając w niezręcznej ciszy.

– Napije się pan czegoś? – zapytał Oryński.

– Nie, dziękuję, zaraz muszę wracać do siebie.

– Żona czeka?

– Nie mam żony.

Oczywiście, trudno było spodziewać się czegokolwiek innego. Kobiety co do zasady miały anielską cierpliwość do mężczyzn, ale styl bycia tego człowieka zmęczyłby nawet najbardziej wyrozumiałą niewiastę.

Lew nabrał tchu, a potem wypuścił powietrze, mrucząc przy tym.

– Zastanawiasz się zapewne, dlaczego zaproponowałem spotkanie tutaj – odezwał się. – W dodatku jeszcze po godzinach pracy.

Kordian nastawił sobie wodę na kawę, a potem skinął głową.

– Wolałem porozmawiać gdzieś, gdzie nikt nas nie usłyszy.

– Słucham?

– Mam pewne obawy.

Oryński wyłączył czajnik i usiadł przy stole. Było dla niego oczywiste, że Buchelt wie więcej, niż jest w stanie przyznać.

– Jakie obawy? – zapytał Kordian.

– Martwi mnie głównie twój los.

– Mój?

– Widzisz, kawalerze… współpracuję z Salusem od lat. Współpracowałem jeszcze przed tym, jak Piotr Langer skupił większość akcji wokół siebie.

– Tak, wiem. Reprezentował ich pan od początku istnienia kancelarii.

– Zgadza się – przyznał Lew z bólem w głosie. – Od tamtej pory aż do teraz wiąże mnie tajemnica adwokacka. I będzie wiązać do końca.

– Rozumiem.

Borsuk powoli pokręcił głową.

– Nie jestem przekonany, czy w istocie rozumiesz – odparł po chwili, znów robiąc wydech, który brzmiał jak pomruk. – Nie traktuję tej tajemnicy tylko jako nakazu prawnego, ale także jako nakaz moralny. Nie jestem taki jak twój poprzedni patron.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– Uważam, że tajemnica adwokacka to świętość. To podwaliny relacji, która pozwala na skutecznie wypełnianie konstytucyjnego prawa do obrony.

– Rozumiem – zapewnił go Kordian. Miał nadzieję, że stanowczy ton głosu wystarczy, by przełożony skończył to kazanie.

Lew powoli oblizał usta, przygotowując się, by kontynuować. Na moment spojrzał na aplikanta, ale potem uciekł wzrokiem.

– Wiem więcej, niż chciałbym wiedzieć.

Oryński najchętniej usypałby na stole ścieżkę gandalfa białego, a potem kazał patronowi ją wciągnąć. Speed z pewnością podziałałby korzystnie na tempo dochodzenia do meritum.

– O co chodzi, panie mecenasie? – zapytał w końcu Kordian.

– O ciebie.

Młody prawnik uniósł brwi.

– W jakim sensie?

– Możesz się jeszcze wycofać.

– Wycofać? Z czego?

– Z kancelarii.

– Że co proszę?

– To jedyny sposób, żebyś żył w zgodzie ze sobą.

– Obawiam się, że nie rozumiem.

Buchelt podniósł wzrok. Tym razem wytrzymał nieco dłużej, patrząc mu prosto w oczy. W końcu westchnął i machnął ręką.

– Kiedyś Salus był porządną firmą, działającą w pełni legalnie – podjął porzucony wcześniej temat. – Od kiedy jednak zjawili się Langerowie, wszystko zaczęło iść w złą stronę. Powinienem już wcześniej zobaczyć, jaki będzie finał… to było oczywiste od samego początku.

– Co konkretnie?

– Tego nie mogę zdradzić.

– Więc co pan może?

– To, że członkowie zarządu Salusa to do szpiku kości źli ludzie. A sam Piotr Langer…

– Doskonale wiem, jaki to człowiek.

Lew pokiwał głową w zamyśleniu.

– W takim razie powinieneś także wiedzieć, że firma jest zamieszana w działalność przestępczą.

– Mhm.

– I że sam zostaniesz w nią wciągnięty, ponieważ niedługo przechodzę na emeryturę, a oni postanowili, że zajmiesz moje miejsce.

Kordian z trudem przełknął ślinę.

– To po to pan z nimi został dłużej, po moim wyjściu?

– Tak. Chcieli wiedzieć, czy mogą na ciebie liczyć.

– I co pan odpowiedział?

– Że porozmawiam z tobą.

Oryński potarł brodę, wypuścił ze świstem powietrze i się podniósł. Znów włączył czajnik.

– Dlaczego zależy im na mnie?

– Przez Joannę Chyłkę.

Kordian skierował na rozmówcę pytający wzrok.

– Kiedy sprzeniewierzyła się swojemu ślubowaniu, pokazałeś, że traktujesz tajemnicę adwokacką równie poważnie jak ja. Poza tym wiąże cię już ona w sprawie Piotra Langera, choć nie wiem dokładnie, w jakim zakresie.

– W szerokim, można by powiedzieć.

Borsuk odchrząknął.

– Mniejsza o to – odparł. – W każdym razie znalazłeś się w bardzo niebezpiecznym położeniu. Możesz jeszcze się uratować, ale bądź świadomy, że taka sytuacja nie potrwa już długo.

– Ale… – zaczął Oryński i urwał.

Nie było żadnego „ale". Patron powiedział mu to, o czym sam myślał od pewnego czasu. Zdawał sobie sprawę z tego, co się dzieje, nawet jeśli nie znał szczegółów. Przemknęło mu przez głowę, że pozna je nader dobrze, jeśli zostanie na drodze, którą dotychczas podążał.

– Nawet jeśli… jeśli się zdecyduję odmówić, to nie mam zamiaru odchodzić z firmy – powiedział.

– Decyzja nie będzie należała do ciebie.

– A do kogo?

Buchelt potarł czoło, jakby niewiedza rozmówcy sprawiała mu fizyczny ból.

– Artur Żelazny będzie wściekły z powodu utraty klienta, a Piotr Langer równie rozsierdzony tym, że odmówiłeś. Obaj zrobią wszystko, byś pożegnał się z kancelarią.

– Będą działać razem?

Lew powoli uniósł brwi.

– Oni od początku działają razem, kawalerze.

– Słucham?

– Sądziłeś, że Artur nie wie, co się dzieje w jego firmie?

– Ja… – wydukał Oryński. – Ale…

– Harry McVay jest jedynym człowiekiem, któremu możesz ufać. Ma nieskazitelny charakter.

Kordian machinalnie pokiwał głową, zawieszając spojrzenie gdzieś przed sobą.

Woda się zaparzyła. Oryński odwrócił się i zalał zieloną herbatę.

– Jest pan pewien? – zapytał, obracając się przez ramię.

– Że Artur o wszystkim wie? Oczywiście.

– Ma pan jakieś dowody?

– Naturalnie, że nie! – odparł Buchelt, po raz pierwszy nie przywodząc na myśl Borsuka. Sam jakby zdziwił się swoją żywiołowością. Odchrząknął i położył dłonie na blacie. – To imienny

partner jednej z największych kancelarii w kraju, dba o swoje interesy. Tacy ludzie nigdy nie zostawiają dowodów.

– Więc skąd pan wie, że działają razem?

– Stąd, że spotykałem się z nimi nieraz.

– Słucham?

– Od kiedy wybroniliście Piotra Langera, miałem okazję uczestniczyć w takich spotkaniach. Byli na nim także obecni członkowie zarządu Salusa.

– Ale… to brzmi jak zorganizowana grupa przestępcza.

Lew zgromił go wzrokiem, po czym się podniósł.

– Nie nadinterpretuj moich słów.

– Nie robię tego – odparł stanowczo Kordian. – Sam pan tak to przedstawia.

– W żadnym wypadku.

Nie czekając na odpowiedź, ruszył w kierunku wyjścia.

– To wszystko, co powinieneś wiedzieć – powiedział na odchodnym. – Powinno ci to wystarczyć do podjęcia decyzji.

– Z pewnością, ale…

– Do zobaczenia jurto, kawalerze.

Patron opuścił mieszkanie Oryńskiego z prędkością, która nie licowała z jego pseudonimem. Kordian stał w kuchni z kubkiem herbaty i nie mógł przesądzić, czy wszystko, co usłyszał, naprawdę było wynikiem otwarcia się patrona, a nie rezultatem ukrytego szaleństwa.

Usiadł przy stole. Zastanowił się przez moment, a potem sięgnął do kieszeni marynarki po telefon. Wybrał numer Kormaka i musiał czekać tylko krótką chwilę, nim szczypior odebrał.

– Ile wiesz o kontaktach Żelaznego z Langerem? – zapytał wprost aplikant.

– Ile wiem? – powtórzył Kormak.

– Właśnie o to zapytałem. A ty nie odpowiadasz, co sugeruje mi, że…

– Czekaj, czekaj – uciął chudzielec. – Zanim zaczniesz mi cokolwiek imputować, może pozwól coś powiedzieć.

– Proszę bardzo.

– Nic nie wiem. Bo nie ma żadnych kontaktów.

– Ale…

– Chociaż w twoim umyśle pewnie są, panie Widzę Wszędzie Teorie Spiskowe.

– Posłuchaj…

– Pogadamy później, nie mam teraz czasu.

Kormak rozłączył się, zanim Oryński zdążył zaoponować. Spojrzał na wyświetlacz telefonu, na którym widniało zdjęcie szczypiora. Dopiero teraz uświadomił sobie, że telefony, które mają, są opłacane przez kancelarię. A jeśli tak, to…

Kordian zerwał się z krzesła i popędził do sypialni po macbooka. Zostawił go tam wczoraj wieczorem, oglądając bzdury, których dziś nawet nie pamiętał. Przed zaśnięciem obiecał sobie, że następnego dnia nie powtórzy tego błędu i po prostu weźmie książkę.

Otworzył klapę i niemal natychmiast rozległ się dźwięk oznaczający nadchodzące połączenie na Skypie.

Na monitorze zobaczył zaniepokojony wyraz twarzy przyjaciela.

– Czyś ty zwariował? – powitał go Kormak. – Gadać o takich rzeczach przez telefon?

Kordian rozłożył ręce.

– Nie jestem paranoikiem – wyjaśnił. – Poza tym przez Skype’a nie masz oporów?

– Nie mam.

– Więc słucham.

Chudzielec zaklął pod nosem i rozejrzał się. Oryński pomyślał, że akurat on nie ma się czym martwić. Trafił do miejsca, gdzie nic mu nie groziło.

– Nie mam zbyt wiele informacji – oznajmił Kormak. – Kancelaria kombinuje coś z Salusem, ale nie wiem co.

– Jakieś przekręty finansowe.

– Brawo, geniuszu – odparł pod nosem szczypior. – Obaliłeś szereg innych tez, które zakładały przekręty charytatywne, humanitarne i…

– Dobra, dobra – przerwał mu Kordian. – Powiedz mi lepiej, co będę w stanie sprawdzić na własną rękę.

– Nic.

– Jak to nic?

– Nie mieszaj się w to – odparł chudzielec. – Chyba że chcesz kolejnego spotkania z takimi typami jak Gorzym.

Oryński napił się herbaty, robiąc wszystko, by oczami wyobraźni nie zobaczyć tamtego łysola. Siedział obecnie w więzieniu, ale takich jak on z pewnością było na pęczki.

– Będę uważał – zapewnił przyjaciela Kordian. – Musisz tylko mnie pokierować, bo nie wiem nawet, od czego zacząć.

– Od dania sobie spokoju.

– Słuchaj, Kormaczysko…

– Nie pomogę ci w popełnianiu samobójstwa. Jeśli masz ciągoty autodestrukcyjne, skontaktuj się z Chyłką.

Oryński wbił wzrok w monitor, a potem przeniósł go na obiektyw. Kormak natychmiast pokręcił głową z miną, jakby stanął na wyjątkowo kruchym lodzie i chciał zrobić wszystko, by jakimś cudem cofnąć czas.

– Nie, nie – powiedział. – Nie ma mowy. Wspomniałem o niej tylko w ramach… Nie, to nie jest dobry pomysł.

– Ale chyba jedyny.

– Jesteście przeciwnymi stronami w postępowaniu sądowym.

– To prawda – przyznał Kordian. – Ale w nim chodzi jedynie o polisę. Tymczasem ja chcę wykryć zorganizowaną grupę przestępczą.

Kormak roześmiał się, wciąż kręcąc głową.

– Będę ci zapalał wirtualne znicze na Powązkach – skomentował. – Bo sam na pewno się przy grobie nie pojawię.

– Dzięki. Wiedziałem, że zawsze mogę liczyć na twoje wsparcie.

– Mówię poważnie. To zły pomysł.

Miał rację, ale nie rozumiał, że w tej sprawie nie ma trzeciej, cudownej drogi. Wszystko sprowadzało się do tego, że albo razem z Chyłką stawi tym ludziom czoło, albo na zawsze zostanie prawnikiem na usługach mafii.

Oryński napił się jeszcze, zaczerpnął tchu, a potem zaczął opowiadać przyjacielowi o niespodziewanej wizycie patrona. Kiedy skończył, Kormak pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Okej – powiedział. – Więc analizujesz to wszystko na gorąco.

– Jakie to ma znaczenie? Temperatura emocji nie zmieni faktów.

– Takie, że jak się uspokoisz i zastanowisz, dojdziesz do wniosku, że lepiej tego nie ruszać.

– Już raz tak postanowiłem.

– I wyszedłeś na tym źle?

Obaj zamilkli. Przykład Chyłki nie mógł być bardziej wymowny.

– Nie bądź grabarzem swojej kariery, stary – dodał Kormak.

– I ty to mówisz?

– A co we mnie jest takiego, że nie mogę?

– Od początku uważałeś, że powinienem być lojalny wobec patronki, postępować moralnie i… co tam jeszcze sobie wymyśliłeś?

Chudzielec westchnął prosto do mikrofonu.

– Tylko krowa nie zmienia poglądów – oświadczył. – A szczególnie, kiedy przeniosą ją na inne pastwisko. W cholerę z moralnością, Kordian, ratuj swój tyłek.

Oryński podziękował mu za tę złotą myśl, po czym się rozłączył. Przez moment siedział bez ruchu, wlepiając wzrok w standardową tapetę OS X. Sprzęt kupił niedawno, nie miał jeszcze czasu, by zająć się estetyką systemu. Zarabiał wystarczająco, by pozwolić sobie na zakup w Apple Store, ale trudno było znaleźć kilkanaście minut w ciągu dnia, by zmienić tapetę. Coś za coś.

Pochylił się nad laptopem i uruchomił Lexa. Przez chwilę się zastanawiał, po czym zaczął przeglądać akty prawne. Początkowo skupiał się na furtkach w ustawie o działalności ubezpieczeniowej, ale po przejrzeniu kilkudziesięciu komentarzy zmienił koncepcję.

Zaczął szukać czegoś, co pomoże mu wybrnąć z patowej sytuacji. Kiedy jego herbata zupełnie wystygła, w końcu na coś trafił.

7
Sąd Okręgowy, al. Solidarności

Chyłka stawiła się na pierwszej rozprawie lekko wstawiona. Mogło być dużo gorzej, biorąc pod uwagę, że po wejściu do gmachu miała ochotę powtórzyć poprzedni scenariusz.

Tym razem posiedzenie miało odbyć się w innej sali, znacznie mniejszej. Prowadziła ją sędzia jednego z sześciu wydziałów cywilnych, o której Joanna nigdy nie słyszała.

Wraz z Bukano siedzieli na ławce przed wejściem, starając się ignorować obecność Kordiana i Lwa Buchelta. Żadne z uczestników postępowania nie odzywało się słowem – Oryński zajmował się czymś na smartfonie, stary adwokat toczył wzrokiem po korytarzu, a Chyłka i Rom patrzyli przed siebie. Kilkoro świadków rozmawiało, poruszając błahe i niezobowiązujące tematy.

W końcu drzwi się otworzyły.

– Sprawa z powództwa Roberta Horwata przeciwko pozwanemu, zakładowi ubezpieczeń Salus spółka akcyjna – oznajmiła urzędowo kobieta, stając w progu. – Proszę wszystkich o wejście na salę rozpraw.

Joanna i jej klient ruszyli jako pierwsi. Prawniczka od razu rzuciła kontrolne spojrzenie sędzi. Robiła raczej przyjazne wrażenie, ale Chyłka nie była przyzwyczajona do tego, że musi przekonać do swoich racji tylko jednego człowieka – i że to tylko od niego zależy całe rozstrzygnięcie.

Pożałowała, że nie wzięła jeszcze łyka. Myślałoby jej się lepiej.

Sędzia zweryfikowała tożsamość osób, które się stawiły, odbębniła szereg formalności i kilkakrotnie musiała się powtarzać, bo protokolantka nie nadążała z pisaniem. Dziewczyna wyglądała, jakby był to jej pierwszy dzień w pracy.

Cóż, taka waga sprawy, pomyślała Joanna. Wszyscy byli przekonani co do tego, że prawnicy reprezentujący Salusa nie będą

mieli wiele do gadania. Bukano został oczyszczony z zarzutów i w świetle prawa polisa po zmarłej żonie należała mu się jak psu buda, a może nawet bardziej.

Kiedy sędzia dopełniła wszystkich formalności, powiodła wzrokiem po zebranych.

– Czy są jakieś wnioski? – zapytała.

Buchelt pokręcił głową, ale nie zdążył się odezwać, gdyż Kordian gwałtownie podniósł się ze swojego miejsca. Chyłka spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Tak, wysoki sądzie – powiedział Oryński.

Lew zdawał się równie zaskoczony, jak Joanna. Wbiła pytający wzrok w dawnego podopiecznego, ale ten sprawiał wrażenie, jakby był nieświadomy jej obecności.

– Zatem słucham – odparła sędzia.

– Zgodnie z paragrafem dwudziestym drugim Zbioru zasad etyki adwokackiej i godności zawodu jestem zmuszony wyłączyć się z tego postępowania.

– Co takiego?

– Proszę wysoki sąd o…

– I teraz pan o tym wspomina?

– Przepraszam, ale…

– Proszę usiąść.

Kordian zajął miejsce i wbił wzrok przed siebie. Buchelt pobladł i trwał w zupełnym bezruchu, a sędzia wyglądała na nieco skonsternowaną. Zmrużyła oczy, zastanawiając się przez moment. W końcu ściągnęła gniewnie brwi.

– Konflikt interesów, tak?

– Owszem, wysoki sądzie.

Kobieta spojrzała na Joannę. Ta wzruszyła tylko ramionami, nie bardzo wiedząc, na co liczy sędzia.

– Nie wiedział pan o nim wcześniej?

– Wiedziałem – przyznał Oryński. – Nie znałem jednak brzmienia paragrafu dwudziestego…

– Nie znał pan treści kodeksu, który reguluje etykę wykonywania pańskiego zawodu?

– Właściwie to jeszcze…

– I zamierza pan złożyć egzaminy końcowe? Nie znając tak podstawowych regulacji?

– Najmocniej wysoki sąd przepraszam, ja…

– Proszę opuścić salę – poleciła kobieta.

Kordian wstał, skinął głową, a potem wykonał polecenie. Kiedy obrócił się tyłem do ławy sędziowskiej i patrona, posłał Chyłce ukradkowy uśmiech. Potem wyszedł na korytarz, odprowadzany spojrzeniami wszystkich zgromadzonych.

Lew podniósł się ociężale.

– Wysoki sądzie, jeśli mogę coś powiedzieć, to chciałbym zapewnić, że nic o tym nie wiedziałem.

Sędzia skinęła tylko głową. Nie wnikała w to, jaka była przyczyna konfliktu interesów, nie leżało to bowiem w jej gestii. Tę kwestię regulowały przepisy ustanowione przez Naczelną Radę Adwokacką, a obowiązek wyłączenia nie miał charakteru normatywnego.

W dodatku najpewniej niespecjalnie ją to interesowało. Oczywiście fakt, że Zordon zrobił to na jej sali sądowej, wywołał irytację, ale tak samo byłoby w przypadku każdego innego niecodziennego zdarzenia podczas rozprawy, bez względu na to, jak błahe by nie było. W takich miejscach *Ordnung muss sein*, a sędzia był niekwestionowanym panem i władcą, który najchętniej kontrolowałby nawet ilość wydychanego przez zebranych dwutlenku węgla.

– No dobrze… – podjęła kobieta. – Przejdźmy więc do meritum. Czy jest między państwem pole do porozumienia?

Buchelt się podniósł.

– Obawiam się, że nie, wysoki sądzie.

– Niestety muszę potwierdzić – dodała Joanna.

– Ale były podejmowane próby?

– Tak – skłamali oboje.

Nie od dziś wiadomo, że sądom zależy, by sprawy były załatwiane, jeszcze zanim prawnicy znajdą się w sali rozpraw. Zresztą dążenie do tego, by strony dogadały się same, stanowiło urzędowy obowiązek sądu – dzięki temu możliwe było pojednawcze załatwienie sprawy na każdym etapie postępowania, aż do wydania wyroku.

W tym przypadku jednak nie wchodziło to w rachubę.

– Rozumiem – powiedziała sędzia. – Zatem przystępujemy do procedowania. Proszę bardzo, pani mecenas.

Joanna podniosła się i przygotowała do sformułowania żądania. Od tego momentu zaczynały się konkrety – powód występował ze swoimi racjami, a potem przedstawiał dowody na ich poparcie.

W jej przypadku była to najłatwiejsza część wystąpienia. Żądali wykonania postanowień umownych, a dowód stanowiła treść samego stosunku prawnego. Chyłka odczytała najważniejsze fragmenty umowy, po czym podziękowała i usiadła.

Po niej głos zabrał Buchelt, ale prawniczka słuchała go trzy po trzy. Przede wszystkim dlatego, że wydukanie jednego zdania zabierało mu absurdalnie dużo czasu, ale także dlatego, że jej myśli mimowolnie wracały do tego, co postanowił zrobić Zordon.

Zastanawiała się, dlaczego zdecydował się na taki krok i w końcu stwierdziła, że musiał postrzegać go jako trzecią drogę. Narażał się wprawdzie Langerowi i własnej kancelarii, ale zrobił wszystko przed sądem. Bardziej *lege artis* już się nie dało. Jeśli ktoś z Żelaznego & McVaya lub Salusa będzie chciał zarzucić mu machinacje czy działanie na niekorzyść którejś z firm, przywoła protokół z rozprawy. Będzie argumentował, że wyłączył się tylko dlatego, by nie narażać kancelarii ani ubezpieczyciela.

Nie było to idealne rozwiązanie, ale z pewnością lepsze niż załatwianie takich spraw w zaciszu korporacyjnych gabinetów. Po wyjściu z nich nie pozostawał żaden dowód, a przyczynę ewentualnych konsekwencji przełożeni mogli wymyślić naprędce.

Joanna odsunęła od siebie te myśli. Langer i tak się za niego weźmie.

Skupiła się na powrót na Buchelcie. W swoim karkołomnym przemówieniu wreszcie docierał do sedna.

– Zwracamy się o oddalenie tego oczywiście bezzasadnego pozwu – powiedział. – W naszym przekonaniu przypadek pana Horwata i jego rodziny nie kwalifikuje się do wypłaty odszkodowania i mieści się w zakresie powodów odmowy określonych w ogólnych warunkach umowy.

Chyłka uznała, że to jednak jeszcze nie sedno, a jedynie jego zapowiedź. Ledwo jutrzenka na horyzoncie.

– Zdaniem ubezpieczyciela oraz szeregu prawników zaangażowanych w przeanalizowanie tej sytuacji zarówno pod względem cywilnym, jak i karnym zachodzi bardzo duże prawdopodobieństwo, iż w istocie ubezpieczony próbował złamać prawo.

– Co takiego? – wypalił Bukano, gromiąc wzrokiem adwokata.

– Proszę powoda o zachowanie spokoju – upomniała go sędzia. – A pozwanego o wytłumaczenie, w jakim zakresie powód dopuścił się czynu, o którym pan wspomniał.

– Nie powód, wysoki sądzie – powiedział Lew. – Mowa o drugim ubezpieczonym, a więc o żonie pana Horwata.

Bukano drgnął i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zamierzał dopuścić do głosu swoją impulsywną, romską naturę. Joanna jednak w porę złapała go za rękę i pociągnęła w dół. Ten prosty sygnał zadziałał.

Adwokat milczał, patrząc na Roberta, i Chyłka zrozumiała, że liczył na coś więcej. Chciał już na początku rozprawy zdyskredytować drugą stronę, pokazując porywczość Bukano.

– Panie mecenasie? – spytała sędzia, czekając na przedstawienie dowodów.

Buchelt pokiwał głową i odchrząknął. Podał paragraf umowy, w którym precyzowano, iż nie tylko popełnienie przestępstwa wyklucza wypłatę odszkodowania, ale także jego usiłowanie.

– Tuż przed śmiercią pani Patrycja kontaktowała się ze światem przestępczym – dodał Lew. – W toku postępowania karnego ustalono ponad wszelką wątpliwość, iż spotkała się z człowiekiem, który zarządza… moralnie wątpliwą działalnością.

– To znaczy?

– Sam nie był nigdy karany, poświadczył to podczas rozprawy, ale na wielu jego podopiecznych ciążą lub ciążyły przeróżne zarzuty – wyjaśnił Buchelt i podniósł kartkę papieru. – Tutaj wyszczególniliśmy każdy taki przypadek i zapewniam, że jest ich ponad piętnaście.

Czyli szesnaście, skwitowała w duchu Chyłka. Spojrzała na Lwa pobłażliwie i przypuszczała, że sędzia również to zrobiła. Jego intryga była grubymi nićmi szyta i niewiele było trzeba, by obalić ją

z pomocą kilku podstawowych kontrargumentów. Sam zresztą musiał zdawać sobie z tego sprawę.

Ale dlaczego w takim razie zdecydował się na taki ruch? Czyżby Salus był już tak zdesperowany? Ta myśl podziałała na Joannę krzepiąco. Wszystko wskazywało na to, że sprawa Bukano jednak zmierza ku szczęśliwemu finałowi.

Nie, upomniała się w duchu, nie może tak myśleć. Jeśli w to wszystko jest zamieszany Langer, powinna mieć się na baczności i być gotowa na wszystko.

Lew przedstawił materiał dowodowy, a potem zaczerpnął tchu, by kontynuować.

– Na poparcie moich tez chciałbym przeprowadzić dowód nie tylko z dokumentów, ale także osobowy.

Chyłka potoczyła wzrokiem po świadkach, odczuwając lekki niepokój. Może było coś, o czym nie wiedziała? Może Patrycja pojechała na Pragę Południe nie tylko po to, by rozmówić się z Weszo?

Jeśli tak, to należało przyjąć, że nie zabierałaby ze sobą córki… z drugiej jednak strony mogła traktować dziecko jako potencjalne alibi. Tak czy inaczej, naraziła je na niebezpieczeństwo. Z pewnością nie mogła pretendować do miana matki roku.

Sąd wezwał na świadka Krzysztofa Drygiela. Był niskim, szpakowatym mężczyzną koło pięćdziesiątki, który niczym nie wyróżniał się z tłumu. Miał na sobie zbyt dużą koszulę i podobnie niedobrany garnitur. Wzór na krawacie kazał sądzić, że zakupił go jeszcze na komunię dziecka, które do tej pory zdążyło założyć własną rodzinę.

Joanna wiedziała, że Buchelt zdecydował się wezwać tego człowieka – we wniosku musiało także znaleźć się uzasadnienie, na jaką okoliczność świadek będzie zeznawał. Nie wyglądało to najgorzej, Lew bowiem napisał, że chce udowodnić, iż Patrycja Horwat była z dzieckiem na bazarze.

Prawniczce wydawało się wątpliwe, by mężczyzna pamiętał dokładnie każdą klientkę – i do czegokolwiek nie dążyłaby strona przeciwna podczas jego przesłuchania, Chyłka wiedziała, że łatwo obali wszystkie jej argumenty.

Spojrzała w stronę zamkniętych drzwi. Zastanawiała się, czy Zordon czeka na zewnątrz.

Sędzia poinformowała Drygiela o prawie do odmowy zeznań oraz odpowiedzialności karnej za złożenie fałszywych oświadczeń. Potem zadała mu kilka ogólnikowych pytań i oddała głos stronie pozwanej. To jej, jako tej, która złożyła wniosek dowodowy, przysługiwało rozpoczęcie przesłuchania.

– Proszę powiedzieć, gdzie był pan między dziewiątą a jedenastą w dniu, gdy doszło do zabójstwa Patrycji i Aiszy Horwat?

– Tam, gdzie zawsze o tej porze, czyli na moim straganie.

– Na Bazarze Szembeka, tak?

– No… teraz to już nie bazar, a resztka. Pozwalają nam jeszcze pohandlować, ale zaraz będą wbijać łopaty i budować centrum handlowe.

Buchelt pokiwał głową ze współczuciem.

– Czym pan handluje?

– Głównie warzywami, ale mam też trochę innych rzeczy. Ostatnio najlepiej schodzą orzechy… nerkowce w szczególności.

Lew potarł brodę w zamyśleniu.

– Poświadczył pan, że nie znał żony powoda.

– Zgadza się.

– Ale widział ją pan na targowisku?

– Widziałem.

– I ot tak pan zapamiętał tę kobietę?

Chyłka zaklęła w duchu. Buchelt może i był flegmatykiem, ale także modelowym przedstawicielem gatunku sądowych wyjadaczy. Uprzedził jej pytanie, wychodząc z założenia, że lepiej będzie, jeśli sam upora się z kwestią wiarygodności. I miał rację, Chyłka wyeksploatowałaby każde, nawet chwilowe zawahanie. Teraz trudno jej to będzie zrobić, nie powtarzając pytań, które już padły.

– Zapamiętałem – przyznał Drygiel.

– Dlaczego?

– Rzadko się zdarza, żeby tak porządnie ubrane kobiety przychodziły. Poza tym mało jest nastolatków o tej porze. Wie pan, szkoła.

– Mhm – mruknął Lew.

– Jeśli już się pojawiają, to raczej w swoim gronie, nie z rodzicami.

– To dość logiczne.

– Tak – przyznał świadek. – Dlatego zacząłem zastanawiać się, co ta kobieta robi z tym dzieckiem na straganie. No i zapamiętałem je.

– Podeszły do pana?

– Nie, były kawałek dalej, kupowały jakieś owoce. U mnie nie ma.

Buchelt uniósł wzrok, jakby starał się objąć rozumem coś nieuchwytnego. Zmrużył oczy i trwał tak przez kilka sekund.

– Co stało się potem? – zapytał w końcu.

– Kobieta przeszła między straganami i zatrzymała się na drugim końcu, tuż przy tabliczce z informacją, że niebawem rozpocznie się budowa. Ja mam stoisko przy Zamienieckiej… no, wszyscy teraz przenoszą się na ulicę, to ja też.

– Rozmawiała z kimś?

– Tak – potwierdził grobowym tonem świadek. – Stanęła tuż przy ogrodzeniu, odesłała dziecko, by kupiło coś na straganie obok, a potem nawiązała rozmowę z jakimś Cyganem.

Chyłka drgnęła. Fakt ten nie pojawił się w postępowaniu karnym i należało uznać, że nie bez powodu. Poczuła głęboki niepokój. Buchelt nie wzywałby tego człowieka i nie pytał go o to, jeśli nie miałby dobrego powodu.

Joanna wiedziała, że zawisło nad nią widmo niebezpieczeństwa. Należało działać od razu, zanim będzie za późno. Powiodła wzrokiem po sali, a potem ukradkiem wyciągnęła telefon. Szybko wystukała lakoniczną wiadomość do Kormaka. Składała się z kilku krótkich, lecz treściwych słów – „pilne, potrzebuję pomocy, sprawdź Krzysztof Drygiel, bazar szembeka, szybko”.

Miała nadzieję, że będąc w Krakowie, chudzielec poczuje się na tyle bezpiecznie, by wyciągnąć do niej pomocną dłoń. Był to strzał w ciemno, ale z szansą, że uda jej się trafić. Jeśli kiedykolwiek miała przekonać się o tym, jakie stosunki łączą ją i Kormaka, teraz był ten moment.

– Z jakim Cyganem? – podjął po krótkiej pauzie Lew.

– Nie wiem, toć oni tacy sami – odparł Krzysztof. – Słyszałem tylko to, co ona mówiła.

– A co mówiła?

– Że nie udało się.
– Co się nie udało?
– Załatwić kanału dla towaru.
– Tak powiedziała?
– Dokładnie tak – potwierdził z pełną stanowczością Drygiel. – Zapamiętałem, bo nijak nie pasowało mi do tej kobiety.

Joanna wbiła wzrok w Lwa, a potem w świadka. Mężczyźni sprawiali wrażenie, jakby jej nie dostrzegali. Sędzia oparła podbródek na splecionych dłoniach i z uwagą przyglądała się Krzysztofowi.

– Coś jeszcze pan słyszał? – wymruczał stary adwokat.
– Nie, to tyle. Ale brzmiało to niepokojąco.
– W jakim sensie?
– Jakby chodziło o coś… no wie pan, nielegalnego. Pal licho, o czym gadali, ale sposób, w jaki to robili, był niepokojący.
– Jaki to był sposób?
– Rozglądali się nerwowo, Cygan cały czas mówił przyciszonym głosem, rozumie pan.

Buchelt nabrał tchu i na chwilę zamilkł, by spotęgować znaczenie słów Drygiela.

– Rozumiem – odparł w końcu i przeniósł wzrok na sędzię. – Nie mam więcej pytań, wysoki sądzie.

Kobieta wyglądała, jakby wyszła na spokojny niedzielny spacer i nieopatrznie wdepnęła w wyjątkowo dobrze zakamuflowane i śmierdzące łajno. Przeniosła wzrok na Chyłkę.

– Pani mecenas?

Joanna skrzywiła się i skinęła głową.

– Proszę świadka – podjęła prawniczka. – Czy świadek wie, jaka jest wartość przedmiotu sporu?
– A co to ma do rzeczy? – zapytał Krzysztof.
– Proszę odpowiedzieć.
– Ale jaki to ma związek…
– Wie pan czy nie?

Chyłka kątem oka kontrolowała reakcję sędzi. Zbyt ostre traktowanie świadków nie było w dobrym guście, szczególnie kiedy

zadawało się pytania niezwiązane z kwestiami, na okoliczność których zeznawali.

– Nie wiem, chyba milion.

– Zgadza się – potwierdziła Joanna. – Wie pan, jak nieznaczny ułamek stanowiłaby kwota przeznaczona na przekupienie handlarza…

– Pani mecenas! – zaoponowała sędzia. – Jeśli nie chce pani zakończyć tego posiedzenia z karą porządkową, proszę nie czynić takich insynuacji.

Joanna uniosła otwarte dłonie.

– Przepraszam, wysoki sądzie, ale pojawienie się takiego świadka w takiej chwili…

– Świadek zna ciężar konsekwencji prawnych za składanie fałszywych zeznań – odparła stanowczo kobieta. – Tak samo jak pani powinna znać te, które regulują takie zachowania na sali sądowej.

– Oczywiście.

– Niech to się nie powtórzy.

– Zrozumiano – odparła Chyłka i w ostatniej chwili powstrzymała się przed tym, by zasalutować.

Nie włożyła do kieszeni żakietu małej buteleczki i czuła z tego powodu dziwną pustkę. Absolut znajdował się w torebce, właściwie na wyciągnięcie ręki, ale wolałaby go mieć przy sobie.

Joanna spojrzała na świadka, który sprawiał wrażenie nieco zmieszanego.

– Zawsze tak pan się przysłuchuje rozmowom klientów, panie Drygiel? – zapytała.

– Nie.

– Więc co sprawiło, że tym razem pan to zrobił?

– Zainteresowałem się tą kobietą, to wszystko. A na Cyganów zawsze jestem wyczulony. Wie pani, ile mi nakradli ze straganu przez te wszystkie lata? Może i lepiej, że będzie centrum handlowe, a my wszyscy przeniesiemy się na Zamieniecką. Przynajmniej łatwiej będzie ich gonić.

Chyłka nie skomentowała tego wywodu. Właściwie nawet nie do końca go słuchała, bo jej myśli uciekły w stronę butelki absoluta.

Upomniała się w duchu, że musi jeszcze trochę poczekać. Choćby do przerwy.

– Jaki ruch jest na Zamienieckiej i Grochowskiej w godzinach porannych? – zapytała.

– Taki sobie – odparł świadek. – Ludzie w pracy, to i klientów…

– Mam na myśli ruch samochodowy.

Krzysztof wzruszył ramionami.

– Proszę świadka o odpowiedź – upomniała go sędzia.

– No… nie wiem – oświadczył Drygiel. – Trudno powiedzieć, jak tam człowiek siedzi cały dzień, to się wydaje, że mniej więcej taki jak o każdej innej porze.

– Nie różni się w godzinach szczytu? – drążyła Joanna. – Niech się pan zastanowi.

Mężczyzna potarł czubek nosa, mrużąc oczy. Przez moment myślał nad odpowiedzią, a zgromadzeni cierpliwie czekali.

– Czy ja wiem… koło dziewiątej korkuje się trochę przed skrzyżowaniem z Grochowską. W weekend o dwunastej Zamieniecka stoi już od Ostrobramskiej w kierunku Szembeka.

– A w dzień powszedni?

– No to tak, jak wszędzie indziej. Rano korki, popołudniu korki.

– To ruchliwy węzeł.

– Może i tak.

– I bez żadnego problemu słyszał pan tę wspomnianą rozmowę?

– Przecież mówiłem, że niecałą. A Cygana w ogóle nie słyszałem.

Chyłka pokiwała głową bez przekonania. Miała nadzieję, że dla sędzi to wszystko jest tak samo naciągane, jak dla niej. Przepytywała świadka jeszcze przez chwilę, cały czas wyczekując wibracji z kieszeni.

W końcu SMS przyszedł.

Joanna przymknęła powieki, potarła skronie i na moment przerwała przesłuchanie.

– Wysoki sądzie, czy mogę prosić o piętnastominutową przerwę? – zapytała.

Kobieta spojrzała na nią badawczo, ale nie dopytywała o powód. Zarządziła kwadrans wytchnienia, który dla Chyłki mógł okazać się kluczowy.

8
al. Solidarności, Śródmieście

Kordian przeszedł na drugą stronę ulicy i skierował się do restauracji o kuszącej nazwie Le Cedre. Brzmiało francusko, więc liczył na lekkie, wykwintne dania, ale kiedy wszedł do środka, przekonał się, że to przybytek, w którym serwuje się kuchnię libańską. Cóż, może to jeszcze lepiej, uznał.

Od razu wiedział, co zamówi. Falafel. Wegetariańskie smażone kulki z sosem tahina.

Wyciągnął telefon i położył go na stole, spodziewając się, że lada chwila skontaktuje się z nim Piotr Langer. Zdążył jednak zamówić, a potem zjeść i zastanowić się nad deserem, zanim rozbrzmiał dzwonek, który nijak nie komponował się z bliskowschodnimi rytmami wypełniającymi lokal.

– Tak? – zapytał lekkim tonem.

– Dla twojego dobra, Kordian, powiedz mi, że to nieprawda.

– Ale co takiego?

Langer milczał. Oryński przypuszczał, że nastąpiła przerwa w rozprawie, zapewne wymuszona przez Chyłkę, by prawniczka mogła uzupełnić zapas alkoholu we krwi. Buchelt prawdopodobnie skorzystał z okazji i złożył raport Piotrowi.

Ale czy aby na pewno? Lew dał jasno do zrozumienia, że zależy mu na tym, by Kordian nie podzielił jego losu. Informowanie Langera o wybiegu, który zastosował, byłoby sprzeczne z tym, co mówił, odwiedzając go w kawalerce.

– Jak do tego doszło? – zapytał Piotr.

– Do czego?

– Do wyłączenia.

Pytanie było raczej osobliwe. Langer powinien dociekać powodu, dla którego Kordian zdecydował się na tak lekkomyślny, ryzykowny

ruch, tymczasem mówił, jakby był przekonany, że było to niezależne od niego.

Aplikant podrapał się po skroni i oderwał wzrok od menu. Może Buchelt załatwił mu jakąś dupokrytkę? Może przekonał Langera, że to sędzia zgłosiła jakieś obiekcje, a Kordian uznał, że najlepiej będzie, jeśli się wyłączy, by nie komplikować sprawy?

– Przypuszczam, że Lew wszystko ci opowiedział – burknął młody prawnik.

– Tak, ale chętnie usłyszę to od ciebie.

Oryński napił się herbaty i gorączkowo zastanawiał nad tym, od której strony to ugryźć.

– Nie miałem innego wyboru – powiedział. – Musiałem to zrobić.

– To było cholernie niemądre z twojej strony.

– Okoliczności mnie zmusiły.

Piotr nie odpowiadał.

– Jesteś tam? – zapytał po chwili Oryński.

Langer mruknął coś pod nosem. Brzmiało to niemal jak warknięcie zwierzęcia gotowego rzucić się do ataku.

– Zastanawiam się, co z tobą zrobić, Kordian.

– To nie moja wina.

– Nie musiałeś się wyłączać – odparł twardo Piotr. – I doskonale wiem, że czekałeś na taką okazję.

Okazję? A więc Buchelt zdążył wpaść na jakąś sensowną wymówkę. Może powiedział mu, że to Chyłka wysunęła wątpliwość co do konfliktu interesów? Właściwie w niczym by jej to nie zaszkodziło, Langer i tak miał ją na celowniku.

– Narobiłeś sobie problemów, rozumiesz? – zapytał Piotr.

– Rozumiem.

– Oby było warto.

Rozmówca rozłączył się, zanim Kordian zdążył sformułować jakąkolwiek odpowiedź. Pozorowane rozgoryczenie w ustach Langera brzmiało bardziej niepokojąco niż jakiekolwiek groźby, które mógł naprędce sformułować.

Oryński nerwowo wypuścił powietrze, a potem zamówił deser. Spojrzał na zegarek i miał nadzieję, że posiedzenie niebawem dobiegnie końca.

Wiedział, że muszą wspólnie z Chyłką zastanowić się nad przyszłością. Nad tym, co zamierzają zrobić i jak uchronić się przed konsekwencjami tego, co ich czekało. Ona właściwie cały czas znajdowała się przed plutonem egzekucyjnym, on właśnie stanął obok niej.

Zdawał sobie sprawę, że albo razem stawią temu czoło, albo mogą pożegnać się ze spokojnym życiem. Narobiwszy sobie takich wrogów, trudno było codziennie ze spokojem kłaść się spać.

Kordian zamówił lody w trzech smakach z menu dla dzieci. Póki Joanny nie było w pobliżu, należało korzystać. Potem taki wybór sprowadziłby na niego grzmoty i pioruny ze strony byłej patronki.

Zanim zdążył zastanowić się nad tym, co jej powie po rozprawie, telefon znów się odezwał. Tym razem dzwonił Kormak.

Aplikant oddał kelnerce kartę, a potem odebrał.

– Co się tam wyprawia? – zapytał szczypior.

– Gdzie?

– W sądzie. Dostałem SMS-a, żeby sprawdzić niejakiego…

– Nie wiem, bo mnie tam nie ma.

– Jak to?

– Okazało się, że zaszedł konflikt interesów.

– O czym ty mówisz?

– Moje relacje z Joanną nie pozwalały mi na występowanie jako pełnomocnik w sprawie toczącej się z powództwa…

– Oszczędź mi nowomowy – bąknął chudzielec. – Dałeś stamtąd nogę?

– W zasadzie tak.

Kormak przez moment się namyślał i Oryńskiemu wydawało się, że słyszy, jak przyjaciel bezwiednie obgryza skórki.

– No dobra – odezwał się w końcu. – Dostałem SMS-a od Chyłki, żeby sprawdzić niejakiego Krzysztofa Drygiela. *Ring a bell*?

– Pierwsze słyszę – odparł automatycznie Kordian, choć zaraz zaskoczył. – Nie, czekaj. Borsuk wezwał go na świadka.

– To ciekawy wybór.

– Dlaczego?

– Facet jest co najmniej podejrzany.

– W jakim sensie?

Kormak nabrał tchu, a potem zreferował to, czego udało mu się dowiedzieć. Oryński słuchał z rosnącą ciekawością. Nie ulegało wątpliwości, że tego królika z kapelusza wyciągnął nie jego patron, a Langer.

Aplikant uśmiechnął się na tę myśl. Piotr musiał być zdesperowany, by zdecydować się na taką ostateczność. Zapewne cała sprawa była w toku, dopinano jeszcze wszystko na ostatni guzik, a Drygiela wezwano nieco przedwcześnie. Na tyle, że Kormakowi udało się go prześwietlić, zanim zaczęto wymazywać jego przeszłość.

Kordian ściągnął łyżeczką wierzchnią warstwę lodów.

Popełnili duży błąd, w dodatku na samym początku rozprawy. Chyłka do tej pory dostała już SMS-a, który nie zawierał wprawdzie wiele znaków, ale był bardziej wymowny niż kilka tomów akt. Z pewnością to wykorzysta i dzięki temu znacznie poprawi swoją pozycję w sądzie.

Oryński skosztował lodów waniliowych. Nie najgorsze.

Przez moment się zastanawiał, ale ostatecznie nie miał wątpliwości, co należało zrobić. Kiedy Chyłka skończy w sądzie, zapewne zgodzi się z nim w każdym punkcie. Nie było innego wyjścia. Wspólnie wytoczą ciężkie działa zarówno przeciwko Salusowi, jak i kancelarii Żelazny & McVay.

9
Sąd Okręgowy, al. Solidarności

Tym razem Joanna zdecydowała się na wzięcie tylko dwóch łyków w toalecie. Być może pozwoliłaby sobie na więcej, gdyby nie to, że przez większość czasu skupiała się na krótkiej wiadomości od Kormaka.

Chudzielec był na wagę złota, wiedziała to nie od dziś. Teraz jednak potwierdził ostatecznie, że bez niego ta robota po prostu nie ma sensu.

Zakręciła butelkę, schowała ją do torebki, a potem wróciła na salę rozpraw.

– Proszę kontynuować – oznajmiła sędzia, poprawiając łańcuch z orłem.

– Dziękuję – odparła Chyłka i przyjrzała się świadkowi.

Krzysztof sprawiał wrażenie, jakby był tutaj tylko przelotem. Nie denerwował się, nie przykładał większej wagi do tego, co się dzieje, i w końcu nie czuł się w obowiązku, by mówić prawdę, samą prawdę i tylko prawdę.

– Jak długo miał pan stragan na Szembeka? – zapytała Joanna.

– O, będzie już kilkadziesiąt lat.

Prawniczka uniosła brwi.

– Doprawdy? – zapytała. – W którym roku pan zaczął?

– Czy ja wiem… zaraz po tym, jak Messner został szefem rządu. Może w osiemdziesiątym piątym, miałem jakieś dwadzieścia lat.

– Kawał czasu.

– A żeby pani wiedziała. To miejsce to drugi dom. A teraz będzie biurowiec i centrum handlowe… cały ten klimat, całe to wszystko, przepadnie.

– I co pan będzie robił?

– Hę?

– Co teraz ze straganem?

– No, mówiłem, przeniosę się kawałek dalej, jak wygonią. I tak już stoimy na ulicy, to jaka różnica?

– W końcu i stamtąd każą wam się usunąć – zauważyła Joanna. – To nielegalny handel.

– Tak mówią, ale na razie prawie nas nie ruszają.

– Prawie?

– Przychodzą strażnicy mówić, że nie wolno, ale… – urwał i pokręciła głową. – Na razie jest, jak jest.

Chyłka poprawiła grzywkę i nieco zbyt energicznie przechyliła głowę. Na ułamek sekundy ją zamroczyło, ale szybko wróciła do siebie.

– Brzmi pan, jakby naprawdę darzył to miejsce sentymentem.

– No, a jak… wiadoma sprawa.

– Tym bardziej dziwi mnie, że chce je pan opuścić.

– Nie chcę, przecież mówiłem, że…

– A mnie się wydaje, że jednak pan chce – odparła. – Jako że wystawił pan swój stragan na sprzedaż.

Mężczyzna pobladł.

– Jest pan jednym z ostatnich, którzy mają jeszcze dobre miejsca – zauważyła. – Z pewnością wielu kupców, którzy muszą rozstawiać się na ulicy, chętnie odkupi od pana to miejsce.

– Ja…

– Dlaczego wystawił je pan na sprzedaż?

Spojrzała na sędzię, która zmarszczyła czoło, wbijając wzrok w świadka. Krzysztof z trudem przełknął ślinę i wreszcie zaczął sprawiać wrażenie, jakby nie wszystko było mu obojętne.

– Jest ogłoszenie w Internecie – dodała Joanna. – Sprzedaje pan swoje stanowisko. Dlaczego?

– Bo… bo i tak się będę musiał go pozbyć – odparł i nieco wróciły mu kolory. – I tak w końcu muszę przenieść się na ulicę – dodał.

Wydawało mu się, że złapał koło ratunkowe, ale w rzeczywistości nadal tonął, a Joanna nie miała zamiaru odpuścić.

– A mnie się wydaje, że sprzedaje pan, bo dostał inną, intratną propozycję.

– Nie.

– Nie otrzymał pan żadnej oferty?

– Nie, to centrum handlowe nie dało nam…

– Nie mówię o centrum handlowym – odparła z uśmiechem. – A o ludziach, którym zależałoby na tym, by powiedział pan w sądzie to, co przed momentem usłyszeliśmy.

Sędzia popatrzyła na Chyłkę ostrzegawczo, ale tym razem nie zaoponowała. Była młoda, miała jeszcze swoje ideały i zapewne chciała dotrzeć do prawdy, a nie tylko odbębnić kolejny proces.

– Co pan otrzymał w zamian? – zapytała prawniczka z uśmiechem.

– Wysoki sądzie… – zaapelował bezradnie Buchelt.

Kobieta popatrzyła po zebranych, jakby obudziła się z letargu.

– Świadek wprawdzie został pouczony o prawie do odmowy zeznań, ale chciałbym mu o tym uprawnieniu przypomnieć – powiedziała. – A panią mecenas upomnieć, że insynuacje na mojej sali sądowej nadal są niemile widziane.

– Rozumiem – odparła Chyłka.

Sędzia przeniosła wzrok na Drygiela.

– Czy świadek wie, czym różni się prawo odmowy zeznań od prawa odmowy odpowiedzi na pytanie?

– Ja…

Wyłuszczyła mu istotę problemu, zaznaczając tylko ogólnie, że w pierwszym przypadku chodzi o rodzinę, w drugim zaś o nienarażanie się na odpowiedzialność karną. Krzysztof znów pobladł. Zrozumiał, że rzucono światło na obszar, który powinien kryć się w mroku.

– W takim razie… odmawiam – oznajmił. – Odmawiam odpowiedzi na pytanie.

Joanna nie mogła powstrzymać uśmiechu. Odmowa oczywiście nie mogła o niczym świadczyć, ale jeśli już świadek trzymał się wersji z zaprzeczaniem, że otrzymał jakąkolwiek gratyfikację, nagła zmiana stanowiska była bardziej niż wymowna.

Mimo to postanowiła go przycisnąć.

– Kontaktował się pan kiedyś z jakimkolwiek przedstawicielem firmy Salus?

– Odmawiam odpowiedzi na pytanie.

– To zwykłe pytanie, panie…

– Świadek odmówił – zagrzmiała sędzia. – Proszę przejść dalej, pani mecenas.

– Tak jest – odparła Chyłka i wsparła się o boki. – Czy zna pan Piotra Langera?

Po raz pierwszy w całej sprawie nazwisko to padło w sali sądowej. Po raz pierwszy znalazło się w protokole, z którego nikt go już nie usunie. Chyłka miała świadomość, że zrzuciła kamyk, który mógł wywołać lawinę. I było jej z tą świadomością cudownie.

– Odmawiam odpowiedzi – odpowiedział Drygiel.

– Czy wie pan, kim jest Piotr Langer?

– Odmawiam.

Joanna rozłożyła ręce.

– Wysoki sądzie – zaapelowała. – To pytanie naprawdę nie może nikogo narazić na odpowiedzialność karną.

– Niemniej świadek odmówił.

Chyłka na moment przytrzymała jej spojrzenie. Potem skinęła głową, przyjmując, że w tej chwili nic na to nie poradzi.

– W takim razie dziękuję, nie mam więcej pytań, które i tak pozostaną bez odpowiedzi.

Do końca posiedzenia Lew Buchelt sprawiał wrażenie, jakby nagle znalazł się w innym świecie. Wodził nierozumiejącym wzrokiem po sali, burkliwie przesłuchiwał świadków i zdawał się nie rejestrować, co mówią.

Nie ustalono niczego konkretnego. Wszystkie najcięższe argumenty zostały podniesione na początku i teraz Chyłce pozostawało jedynie zdobyć dowody na poparcie jej zarzutów wobec Drygiela. Przypuszczała, że nie będzie łatwo, ale skoro Kormak dokopał się do samego ogłoszenia, być może uda mu się także skontaktować z kimś, kto widział, jak Krzysztof dobija targu z Langerem bądź którymś z jego ludzi.

Jeśli zdyskredytuje jego zeznania, Bukano będzie witał się z gąską. I to dość tłustą, bo milionową.

Joanna starała się nie myśleć o tym, że ona również uszczknie kawałek tego ciasta. Nie rozwiąże to jej problemów, ale przynajmniej spłaci większą część kredytu hipotecznego. Będzie się czuła trochę spokojniej. I skończy z tequilą drugiego sortu.

Wychodziła z sądu zadowolona. Obok szedł jej klient, który sprawiał wrażenie, jakby nie do końca ogarniał rozwój wypadków.

– Skąd się wziął ten człowiek? – zapytał, gdy zeszli po schodach na chodnik.

– Z tego samego miejsca, w którym szuka się innych takich. Ze ścieków.

– Co takiego?

– Z życiowych, rodzinnych, zawodowych ścieków.

Spojrzał na nią jak na wariatkę.

– Mniejsza z tym – zbyła temat. – Przydał nam się o tyle, że podał w wątpliwość zasadność całego procesu.

Zatrzymali się przed gmachem sądu. Prawniczka wbiła wzrok w knajpę naprzeciwko i wyciągnęła paczkę marlboro. Zapaliła jednego, myśląc o tym, że jeśli Zordon nie czekał w budynku sądu, to zapewne usadził się gdzieś w okolicy. El cośtam było logicznym wyborem.

Zaciągnęła się głęboko, czując, jak nikotyna wypełnia jej płuca.

– Więc obalisz jego zeznania? – zapytał Rom.

– Najprawdopodobniej. Ale w sądzie nic nie jest pewne, pamiętaj o tym.

Potwierdził ruchem głowy, ale nie wyglądał na przekonanego.

– Co jest? – zapytała Joanna.

– Po prostu trudno mi uwierzyć, że wszystko idzie w dobrym kierunku.

Obróciła się do niego i posłała mu długie spojrzenie.

– Nie wiem, czy to dobry kierunek, Bukano – powiedziała. – Twoja rodzina mieszka w koczowisku, twoi ludzie nadal uważają cię za skalanego, wciąż nie wiadomo, kto cię porwał i czy aby nie dojdzie do tego ponownie, straciłeś żonę i córkę, a poza tym…

– Nie musisz mi o tym przypominać.

Chyłka cofnęła się o pół kroku. Rzeczywiście, nie musiała, ale najwyraźniej absolut zdążył już porządnie grzmotnąć ją w głowę. Zamrugała kilkakrotnie, jakby w ten prosty sposób mogła nagle otrzeźwić umysł.

Posłała klientowi niewyraźny uśmiech.

– Trzeba też pamiętać, że zostaniesz milionerem – zauważyła.

– No tak.

– Nie każdy Cygan może to powiedzieć.

Uniósł lekko kąciki ust, wyłącznie z grzeczności. Potem obrócił się do niej i wyciągnął rękę.

– Dziękuję – powiedział. – Po tym wszystkim w końcu… w końcu coś zaczyna się układać. Nawet jeśli wszędzie wokół są gruzy mojego życia.

Potrząsnęła jego dłonią, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć.

– Powinniśmy to uczcić – powiedział.

– Co do zasady nie celebruję zwycięstwa, zanim nie zadam ostatniego ciosu – odparła Joanna. – Będzie na to czas, kiedy otrzymasz swoje pieniądze.

– W porządku – odparł znów bez przekonania.

– Bo otrzymasz je, Bukano.

– Miejmy nadzieję.

– Wciąż wątpisz?

– To po prostu wydaje się zbyt piękne – powiedział bez cienia wesołości, mierzwiąc czarne jak smoła włosy. – Od samego początku ci ludzie odnajdowali sposoby, by obrócić wszystko na swoją korzyść. Obawiam się, że teraz też tak będzie.

– Nie sądzę.

Bukano uniósł wzrok.

– A jeśli ten świadek to dopiero początek? – spytał.

– To będą mieć jeszcze większe problemy, niż obecnie mają – odparła twardo Chyłka. – Wymiar ścigania dopadnie tego, kto próbował przekupić straganiarza.

– Oby.

Zamilkli i stali tak w milczeniu przez kilka minut, wodząc wzrokiem za przejeżdżającymi tramwajami i samochodami. Chyłka pomyślała, że widok ze schodów sądu okręgowego powoli wychodzi jej bokiem. Zbyt często tutaj trafiała, bo zbyt często podejmowała się obrony klientów, których uczynki kwalifikowały się do właściwości okręgowej, a nie rejonowej. Miło byłoby dla odmiany zająć się czymś lżejszym.

Może to właśnie zrobi? Nic nie stało na przeszkodzie, by przekwalifikowała się na przedstawiciela innego zawodu

prawniczego. Po skończonej aplikacji i odpowiednim stażu były ku temu możliwości. Wielu zmieniało front i częstokroć ludzie ci byli wysoce cenieni za swój szeroki ogląd.

– Idę – odezwał się w końcu Rom, wyrywając ją z zamyślenia. – Jeszcze raz dziękuję, Chyłka.

– Spieprzaj.

Znów uścisnął jej rękę.

– Za uniewinnienie i za to, że zdecydowałaś się bronić mnie mimo swoich uprze…

– Won już stąd – powiedziała z uśmiechem i wskazała przed siebie.

Bukano nie miał jednak zamiaru odpuścić. Mimo że się przed tym wzbraniała, przyciągnął ją do siebie, objął, a potem poklepał po plecach. Poczuła się co najmniej dziwnie i szybko wyswobodziła się z uścisku.

Po chwili Robert Horwat poszedł w swoim kierunku, a ona w swoim. Musiała przyznać, że takiej wdzięczności doświadczała raczej rzadko. Nie dlatego, że nie wygrywała spraw dla swoich klientów, bo działo się wręcz przeciwnie. Powodem było to, że zazwyczaj po wygranej sprawie lub choćby udanej rozprawie szybko się ulatniała. Nie znosiła takich bzdur i miała nadzieję, że więcej nie będzie musiała ich znosić. W dodatku kolor jego skóry…

Wzdrygnęła się i uśmiechnęła w duchu. Pewne rzeczy się nie zmieniają. Ruszyła w kierunku przejścia dla pieszych, przeszła na drugą stronę alei Solidarności i wyciągnęła telefon. Wybrała numer Zordona.

– Co tak długo? – zapytał.

– Zatrzymał mnie jakiś świadek idiota.

– Aha. Coś słyszałem.

– Jesteś w El… coštam z cedrami, przy Solidarności? – zapytała.

Odpowiedziała jej cisza.

– Le, nie El. I skąd wiesz? – zapytał.

– Po pierwsze dlatego, że to najbliższy lokal, a ty nie lubisz się zbytnio ode mnie oddalać. Po drugie dlatego, że najczęściej wybierasz miejsca z przedrostkiem „El”.

– Tyle że…

– Nie dyskutuj – odparła, wchodząc do środka.

Kordian zauważył ją z oddali i uniósł rękę. Rozłączyła się i podeszła do stolika.

– „El Cedre", „El Popo" – zauważyła. – To już schemat.

Oryński pokręcił bezradnie głową.

– Mniejsza z tym – odparł. – Dla porządku dodam tylko, że od tamtej pory nie chadzam do miejsc, gdzie dania wypalają przełyk.

Chyłka na moment wróciła myślami do tamtego spotkania z Rejchertem, a następnie kolacji z Oryńskim. Nie trwała długo, bo szybko podjęła pochopną, irracjonalną decyzję. Wówczas pomagała jej w tym tequila rapido, dzisiaj…

Wzięła menu do ręki, a potem skinęła na kelnerkę.

– Butelkę libańskiego wina Wardy Cabernet Sauvignon proszę – powiedziała.

Dopiero potem usiadła przy stoliku.

– Mieszasz wino z wódą? – zagaił Kordian.

– Nie piłam dzisiaj żadnej wódki.

– A ten zapach skąd?

– Z ulicy przywiało – odparła.

Spojrzeli na siebie badawczo. Trudno było powiedzieć, w jakich obecnie są relacjach. Być może w żadnych. Gdyby sprawy po powrocie z Wrocławia potoczyły się inaczej, byłoby łatwiej dookreślić tę kwestię, ale w takim układzie stało się to zbyt skomplikowane.

– Zjedz coś. Są dobre falafele.

– Te kulki, które imitują kawałek mięsa?

– Nie wiem, czy…

– Dzięki, na razie zaspokoję się winem, a jak zaczniesz przynudzać, wezmę coś na ząb, byleby się czymś zająć.

– Nie zamierzam nudzić.

– Nie?

– Oczywiście, że nie – zapewnił, uśmiechając się półgębkiem. – Przecież właśnie położyłem na szali całą moją karierę.

Wbiła w niego wzrok i zacisnęła na moment usta. Potem zmitygowała się, że zaraz dostanie wino, zrelaksuje się. Nie było powodu, żeby wygarniać mu to, z czego sam dobrze zdawał sobie sprawę.

– Powinieneś to zrobić już dawno, Zordon – odezwała się. – A nie, kiedy stanąłeś pod ścianą.

– Nie stałem pod ścianą – zaoponował. – Mogłem doprowadzić proces do końca.

– Więc miałbyś na sumieniu przekupywanie świadka.

Pokiwał głową.

– Wiedziałeś o tym?! – niemal krzyknęła.

Rozejrzał się i wykonał uspokajający gest rękoma.

– Ciszej – powiedział. – Nie wiedziałem, Kormak do mnie dzwonił po tym, jak wysłał ci SMS-a.

Barman rzucił im długie spojrzenie, ale Joanna je zignorowała.

– Jak do niego zadzwonię, potwierdzi twoją wersję? – zapytała.

– Tak.

– Okej – oznajmiła, kładąc dłonie na blacie. – Mów więc, tchórzofretko, dlaczego tyle ci zajęło dojście do wniosku, że jednak postawisz się Langerowi?

– Przede wszystkim…

– Albo nie – odparła. – Właściwie gówno mnie interesuje twoja wewnętrzna przemiana.

– Mhm.

– Powiedz mi lepiej, co zamierzasz. I czy coś w ogóle.

– Tak – zapewnił, ale nie zdążył rozwinąć, gdyż pojawiła się kelnerka z winem. Przyniosła dwa kieliszki, ale Chyłka szybko oddała jej jeden z nich.

– Ten tu prowadzi – oświadczyła, a potem nalała sobie do pełna. – Dzięki.

Kiedy kobieta odeszła, a Joanna opróżniła jedną trzecią kieliszka, Kordian podjął temat.

– Wyszedłem z założenia, że chodzi o duże pieniądze.

– Klękajcie narody świata – odburknęła Chyłka.

– Naprawdę duże. Inaczej Salus nie ryzykowałby tak głośnym procesem, który w zasadzie był z góry przegrany. A fakt, że chcieli to zmienić, przekupując świadków, oznacza, że…

– Niczego nie oznacza – weszła mu w słowo, odstawiając pusty kieliszek. Spojrzała wymownie na aplikanta, a ten mruknął coś pod nosem, po czym jej dolał.

– Jak to nie? – zapytał.

– Danie w łapę temu gościowi to niewielkie ryzyko, przynajmniej dla nich – wyjaśniła. – Zapewniam cię, że Langer zadbał o to, by żadne gówno do niego nie wróciło.

– Może i tak – przyznał Oryński. – Ale to nie zmienia faktu, że zadali sobie dużo zachodu. Dlaczego?

– Dlatego, że wspólnie z kancelarią kombinują coś naprawdę lewego.

– Zgadzam się. I Buchelt o tym wie.

– Ta mumia ma w porywach ogólne pojęcie o tym, co się dzieje.

– No nie wiem. Sam przyszedł do mnie i mówił, żebym się wycofał, póki jeszcze pora. Ma sporo za uszami.

– Coś takiego… – odparła w zamyśleniu Chyłka. – Chyba zmienię o nim zdanie.

– Nie chciał powiedzieć, o co konkretnie chodzi, ale…

– Największa sierota w Żelaznym & McVayu bierze w łapę od mafii, coś takiego – powtórzyła z niedowierzaniem Joanna, otwierając menu. Przejrzała kilka pozycji, a potem uniosła kartę. Kelnerka pojawiła się natychmiast.

– Co podać? – zapytała.

– Kafta harra. Świętuję, bo świat okazał się jednak lepszym miejscem, niż sądziłam.

– To dość ostre danie.

– A ja jestem dość ostrą babą. Poproszę.

Kelnerka wyszczerzyła się w odpowiedzi, a potem oddaliła w kierunku kuchni. Kordian odchrząknął.

– Buchelt musi znać każdy szczegół – podjął Kordian. – Zapewniał im obsługę prawną od samego początku.

– To znaczy?

– Przypuszczam, że pracował też dla starego Langera, choć sam twierdzi inaczej.

Joanna uniosła brwi.

– Uważasz, że chciał się rozgrzeszyć w twoich oczach? – zapytała. – To by znaczyło, że zależy mu na twojej opinii.

– Albo potraktował to jako ubezpieczenie.

– Na wypadek czego?

– Tego, że prędzej czy później pójdę z tym do prokuratora – oznajmił Oryński. – Buchelt to stary adwokacki wyga, nieprawdaż?

– Prawdaż – odparła Chyłka i napiła się wina.

– Wiedział, że jeśli opowie mi o wszystkim, nie pozostanę bierny. A wtedy to on będzie tym, który zainicjował dojście do prawdy.

Prawniczka spojrzała w kierunku kuchni. Wydobywały się z niej ciekawe zapachy i jeśli mogły świadczyć o jakości potraw, to należało spodziewać się prawdziwej uczty. Z drugiej strony na tym etapie smakowałoby jej nawet mięso z McDonalda. Czuła, że ma w żołądku jedynie kawę i alkohol.

– Chciał, żebym zadziałał – dodał Kordian.

– Dlaczego akurat teraz?

– Może ma tego dosyć, a może uznał, że w którymś momencie przesadzili.

– Na przykład zabijając Patrycję i Aiszę?

Oryński mimowolnie cofnął głowę.

– Co takiego? – zapytał. – Co ty…

– Nie, nie mam żadnych dowodów – ucięła, przechodząc od razu do sedna. – Ale wydaje mi się całkiem logiczne, że są zamieszani.

Kordian sprawiał wrażenie, jakby nie miał zamiaru przyjmować takiej ewentualności. Nie mogła mu się dziwić, w końcu sam szedł z nimi ramię w ramię od samego początku. Jeśli to rzeczywiście Salus i Langer wydali wyrok na kobietę i dziecko, Oryński będzie musiał uznać, że partycypował w całym procesie.

– Nie – zaprzeczył. – To absurdalna hipoteza. Co mieliby osiągnąć?

Chyłka westchnęła, wyprostowała się i przygotowała do tego, by przedstawić dawnemu podopiecznemu kwintesencję całej sprawy.

– Nie mam bladego pojęcia – oznajmiła.

– Aha.

– Tylko tyle? To jest twój komentarz?

– Nie bardzo wiem, co więcej mógłbym powiedzieć – odbąknął. – Uważasz, że to oni zawinili, ale nie potrafisz podać nawet hipotetycznego powodu. I powiem ci, dlaczego tak jest.

– Proszę bardzo, oświeć mnie, uczony Zordonie.

– Bo to absurdalny pomysł – orzekł. – Nie zrozum mnie źle, chętnie zobaczyłbym Langera i resztę za kratkami i z pewnością

istnieje milion powodów, dla których powinni się tam znaleźć, ale zabójstwo Patrycji i Aiszy nie jest jednym z nich.

– Nie możesz być tego pewien.

– Domniemywam niewinność. Dokładnie tak jak cały nasz system prawny.

– W dupie mam system prawny – odparła, kiedy zbliżyła się kelnerka z jej daniem.

Adwokat popatrzyła na nie badawczo i z uznaniem mruknęła pod nosem. Wizualnie prezentowało się wprost idealnie, brakowało tylko, by talerz oplatały ognie piekielne. Zapach też informował, że w żołądku będzie się działo.

Wzięła kawałek mięsa i szybko potwierdziła swoje przypuszczenia. Wypalało przełyk, dokładnie tak, jak lubiła.

– Zresztą sam zobaczysz – powiedziała z pełnymi ustami. – Jak tylko ich dojedziemy, wszystko wyjdzie na jaw. Wszystko.

– W porządku.

Podczas gdy Chyłka pochłaniała swoją libańską ucztę, Kordian zdecydował się na kolejną porcję lodów. Spojrzała na niego z ukosa, ale nic nie powiedziała. Nie chciała przeszkadzać sobie w jedzeniu.

Absolut i wino sprawiły, że nie do końca obejmowała umysłem sytuację. Czuła się lekko zamroczona, emocje procesowe dopiero z niej schodziły. Była jednak pewna, że Buchelt szuka drogi wyjścia z impasu, w którym się znalazł, i wybrał Kordiana na osobę, która go nią poprowadzi.

Kiedy skończyła posiłek, dopiła szybko wino i oznajmiła, że wraca do domu.

– Ale… – zaczął Oryński.

– Od jutra zaczniemy kopać, Zordon. I gwarantuję ci, że dokopiemy się do prawdy.

– Tylko że…

– Co masz w tym czasie robić? – zapytała, podnosząc się chwiejnie. – Pracuj normalnie, jakby nic się nie stało. Buchelt nie puści pary, Langera ugłaskasz, a reszta niech cię nie obchodzi.

– Dobra – odparł, zapewne świadom tego, że i tak nie ma wyjścia.

– Będziesz moim szpiegiem. Kretem w Skylight.

– Nie ma mowy – zaoponował. – Jesteśmy partnerami.

– W żadnym wypadku. – Wyjęła z portfela dychę i rzuciła ją na stół. Może wystarczy na jedną czwartą głównego dania. – Jesteś moją wtyką.

– Partnerem – uparł się, gdy odchodziła.

– Szpiclem.

– Nie, Chyłka.

– Kablem i gumowym uchem – dodała na odchodnym. Potem nie słyszała już jego protestów.

10
XXI piętro Skylight

Kordian zwyczajowo przemknął po korytarzu, nim na posterunku zjawiły się rzesze praktykantów, stażystów i innych aplikantów. Minął Jaskinię McCarthyńską, patrząc na drzwi z rozrzewnieniem. Teraz pracował tam jeden z nowych junior associate, zapewne klnąc na czym świat stoi, że dostał klitkę bez okna.

Oryński wszedł do swojego gabinetu i zajął się sprawami, które nie wzbudzały w nim żadnych emocji. Wciąż myślał o decyzji, którą wczoraj podjął. Właściwie od początku wiedział, że prędzej czy później zakończy się to w taki sposób.

Zawsze brakowało mu pragmatyzmu i tę dziurę w charakterze niestety wypełnił idealizm. Nie miał zamiaru brukać się na resztę życia, robiąc to, czego wymagał od niego Langer. Nadeszła pora, by przejąć inicjatywę i zniszczyć jego poczucie bezkarności.

Kilka minut przed szesnastą rozbrzmiał wokal Willa Smitha. Kordian spojrzał na telefon niechętnie, spodziewając się kolejnego raportu z Krakowa. Dzwoniła jednak Chyłka.

Czym prędzej odebrał.

– Co jest? – zapytał.

– Dziwna sprawa.

Brzmiała z pewnością niecodziennie. W jej głosie brakowało determinacji i rutynowej irytacji, która zawsze pobrzmiewała gdzieś w tle, nawet gdy Chyłka miała dobry humor. Zupełnie jakby permanentnie spodziewała się, że ktoś go zepsuje.

– To znaczy? – ponaglił ją.

– Zaproponowali spotkanie.

– Kto?

– A jak myślisz? Salus.

– Co? W jakim celu?

– Są dwie możliwości – odparła mentorskim tonem. – Albo chcą mnie zastraszyć, albo… załatwić na miejscu.

– Nie ma trzeciej opcji?

– Mogą też grozić Magdalenie i jej rodzinie – przyznała. – A jeśli nie znają mojej historii rodzinnej, to także ojcu. To akurat byłoby optymalne. Jeślibym udała, że zależy mi na jego losie, może splot wyjątkowo szczęśliwych okoliczności sprawiłby, że wylądowałby w grobie.

Kordian odchrząknął.

– Powiedzieć, że jesteś wyrodną córka, to nie powiedzieć nic – skwitował.

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz.

– Więc może kiedyś…

– Nie – ucięła. – Nie mam zamiaru nigdy o tym z tobą rozmawiać.

Oryński przypomniał sobie moment podczas procesu Langera, gdy sam się przed nią otworzył. Uchylił jej rąbka tajemnicy o swojej rodzinie. Opowiedział o tym, że ojciec wini go za śmierć matki, a nawet podejrzewa umyślność. Niełatwo się o tym mówiło, ale Kordian uznał, że ich relacje były na tyle zażyłe, iż powinna wiedzieć. Najwyraźniej nie działało to w obie strony… a może po prostu stosunki między nimi skorodowały do tego stopnia, że nie było mowy o ich naprawie.

– Mniejsza z tym – powiedział. – Zamierzasz się z nimi spotkać?

– Oczywiście, jestem w drodze.

– Uważaj na siebie – rzucił Oryński.

– Coś ty powiedział?

– Żebyś…

– Błagam cię, Zordon, oszczędź mi melodramatu.

– Chciałem tylko…

– Powinieneś powiedzieć: zjedz ich na surowo i obgryź kości, a potem rzuć resztki świniom.

Uniósł brwi, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć.

– Zresztą nieważne – powiedziała. – Schodź na dół, jestem już niedaleko.

– Słucham?

– Jedziesz ze mną, geniuszu.

– Ja?

– A kto? – odparła. – Przecież nie wezmę Anki z Recepcji.

– Ale konflikt interesów…

Joanna westchnęła głośno i Kordian mógłby przysiąc, że gdzieś zaplątało się jeszcze niewybredne przekleństwo.

– Ci ludzie mają w dupie konflikt interesów, Zordon – oznajmiła Joanna, a on usłyszał dźwięk kierunkowskazu. – Mają w dupie wytyczne Naczelnej Rady Adwokackiej, uchwały, rozporządzenia, ustawy… mają w dupie prawo. Rozumiesz?

– Jedziesz samochodem?

– Koniec pytań. Schodź na dół.

Nie zdążył powiedzieć nic więcej, bo Chyłka się rozłączyła. Spojrzał na telefon, potem na stos papierów na biurku i poderwał się na równe nogi. Chwycił marynarkę, nogą zasunął krzesło i wyszedł na korytarz. Przechodząc obok recepcji, rzucił Ance, że bierze wyjście prywatne.

Podniosła się, jakby jej krzesło się zapaliło.

– Złożyłeś wniosek? – krzyknęła za nim.

– Tak!

– Buchelt…

– Zgodził się! – zapewnił Kordian na odchodnym, po czym wyminął kilka osób wychodzących z windy i zajął ich miejsce. Czym prędzej wcisnął parter i przyspieszył guzikiem zamknięcie drzwi. Potem przestępował z nogi na nogę, czekając, aż zjedzie na dół.

Chyłka czekała na niego przed Skylight. Bmw mrugało światłami awaryjnymi, jakby to mogło sprawić, że pozostali kierowcy będą bardziej wyrozumiali dla tego, który tak niefortunnie zaparkował.

Kordian usiadł za kierownicą.

– Jak tu przyjechałaś? – zapytał.

– Poprosiłam kogoś, żeby mnie podwiózł.

– Kogo?

– Khala Drogo. A teraz jedź, bo jesteśmy już spóźnieni.

Włączył się do ruchu, a Joanna wyłączyła awaryjki.

– Rozumiem, że znasz drogę do Mordoru? – zapytała.

– Tak.

– Zrozumiałe. Całe wasze pokolenie ciągnie tam jak muchy do gówna.

– To nie do końca trafna analogia, biorąc pod uwagę, że gówno wydziela smród, a Mordor na Domaniewskiej generuje zyski, które wychodzą daleko poza średnią krajową.

– Zachowaj te mądrości dla siebie i depnij trochę.

Zredukował bieg i przyspieszył, by zdążyć na zielone. Wiedział, że stając od tej strony na skrzyżowaniu Emilii Plater z Alejami Jerozolimskimi, będzie musiał długo czekać na swoją kolej. Przemknął na końcówce żółtego, sprawiając, że Joanna pokiwała głową z aprobatą.

Przeszło mu przez myśl, że daihatsu raczej nie podołałoby zadaniu. Mimo wszystko wolałby pojeździć swoim żółtym demonem szos. Na dobrą sprawę nie miał jeszcze okazji, by nacieszyć się własnymi czterema kółkami.

– Kupiłem auto – odezwał się z dumą w głosie.

– Że co proszę?

– Mam samochód. Używany, za dziesięć tysi.

– Ale… – zaczęła Joanna i urwała, otwierając szeroko oczy. Przyciszyła ryczących z głośników Ironsów. – Ale jak to możliwe, Zordon? Ty i samochód?

– Tak.

– Przecież to jakaś aberracja – oceniła. – Zdradziłeś te swoje tramwaje?

– Nadal mam do nich sentyment – odparł, spoglądając w kierunku torów po lewej stronie. – Ale zaspokajam go, czytając bloga tego gościa, który mówi „wi-tajcie, wi-tajcie”. Tramwaj numer cztery.

– Nie znam – powiedziała pod nosem. – Ale o jakim samochodzie mówimy? Cinquecento?

– Nie.

– Więc?

Oryński sięgnął po telefon i podał go Chyłce.

– Wejdź w galerię – polecił.

– Jesteś pewien? Nie chcę przypadkiem wpaść na jakieś kompromitujące materiały, Zordon.

– Nie ma obaw.

Joanna szybko znalazła odpowiednie zdjęcie. Przez moment przyglądała się daihatsu w milczeniu, a Kordian z jakiegoś powodu poczuł zdenerwowanie, jakby czekał na ogłoszenie ważnego wyroku.

Chyłka w końcu oderwała wzrok od telefonu. Oddała mu go bez słowa i nabrała tchu.

– Co to, kurwa, jest? – zapytała.

– Daihatsu.

Głośno przełknęła ślinę. Widział, że walczyła ze sobą, by nie powiedzieć tego, co ma na myśli. Cóż, właściwie trudno było spodziewać się, że Chyłka okaże uznanie. YRV nie kosztowało nawet jedną dziesiątą iks piątki.

– Więc podoba ci się? – zapytał Oryński.

Joanna poprawiła pas.

– Nie zwykłam krytykować pierwszego własnego samochodu. To jak pierwsze dziecko.

– Rozumiem.

– Aczkolwiek czasem, jeśli rodzi się wyjątkowy kosmita, trudno tak po prostu…

– Okej, okej – uciął. – Rozumiem, że to nie twój kolor.

– Żartujesz? To pieprzony rydwan ognia. Kolor akurat jest w dechę.

– Więc…

– To Japończyk.

Zamilkła, więc Kordian uznał, że to powinno wszystko tłumaczyć. Być może w świecie Chyłki tłumaczyło. Zjechał na lewy pas, a potem przyspieszył do setki. Godzina była odpowiednia, by kierować się aleją Niepodległości na południe – choć pewnie przed Domaniewską na moment staną.

Nie pomylił się. Do skrętu w lewo był niewielki korek. Chyłka spojrzała na zegarek.

– Mogę ich wyminąć i wcisnąć się na końcu – zaproponował Oryński.

– Nie. Niech gnidy na nas poczekają.

– W porządku.

– Poza tym to manewr, którego nie potrafiłbyś wykonać. Musisz trochę poćwiczyć swoim rydwanem ognia, zanim spróbujesz takich rzeczy moim bmw.

– Przyjąłem – zapewnił ją.

W końcu dojechali do skrzyżowania i trafili na zielone światło. Wymienili jeszcze kilka zdawkowych uwag na temat daihatsu, właściwie tylko po to, by ominąć tematy, które rzeczywiście miały znaczenie.

Potem Kordian zaparkował na niewielkim prywatnym parkingu i ruszyli w kierunku biurowca, gdzie mieściła się siedziba Salusa. Stanęli przed wejściem i Oryński powiódł wzrokiem po przeszklonej fasadzie.

– Mam nadzieję, że jestem tu ostatni raz – powiedział.

Chyłka spojrzała na niego z ukosa.

– No co? – zapytał.

– Zabrzmiało to złowróżbnie.

– Ale nie to miałem na myśli.

– Mimo wszystko… pomyślałam o twoim ciele zapakowanym w czarny, anonimowy worek.

– Czasem masz niepokojące myśli.

Wzruszyła ramionami i ruszyła w stronę wejścia.

– Nie zabraniaj dziewczynie marzyć – odparła lekkim tonem, przechodząc przez rozsuwane drzwi.

Kordian ruszył za nią, teraz samemu mimowolnie widząc w wyobraźni rzeczony worek. Langer z pewnością znał mnóstwo miejsc w okolicach Izabelina, gdzie grunt był właściwy do chowania zwłok.

Oryński sięgnął do kieszeni marynarki po e-papierosa, ale uświadomił sobie, że zostawił urządzenie w szufladzie biurka. Joanna tymczasem nie zapomniała, by zabrać ze sobą butelkę.

Prawniczka zatrzymała się przed okazałą ladą recepcyjną i pstryknęła palcami przed chłopakiem siedzącym po drugiej stronie.

– Chyłka do Langera i innych recydywistów – oznajmiła. – Gdzie ich szukać?

Recepcjonista otworzył usta, ale się nie odezwał.

– No, gdzie jest zarząd? – sprecyzowała. – Czekają na nas.

– Pie-pierwsze pię-piętro… sala konferencyjna numer jeden.

– *Danke schön* – odparła pod nosem, po czym skinęła na Oryńskiego i oboje ruszyli do windy.

W milczeniu przejechali na piętro.

– Skąd ten niemiecki? – zapytał Kordian.

– Nie wiem. Może podświadomie nastrajam się bojowo. Zrobimy im prawdziwy *Blitzkrieg*, Zordon.

Nie był przekonany, ale nie odezwał się. Znaleźli właściwą salę i przez przeszklone ściany dostrzegli czwórkę czekających na nich ludzi. Sprawiali wrażenie spokojnych, jakby nie zirytowało ich spóźnienie.

Joanna chwyciła klamkę i otworzyła drzwi. Oczy wszystkich zwróciły się w ich kierunku, ale prawniczka zamiast się przywitać, wyciągnęła telefon. Kordian zobaczył, że otworzyła skrzynkę odbiorczą. Trwała przez moment w bezruchu, a potem schowała smartfona i podniosła wzrok.

– *Guten Morgen* – powiedziała, przekraczając próg. – I *Hände hoch* – dodała.

11
Siedziba Salusa, ul. Domaniewska

Chyłka omiotła wzrokiem ułożenie pionków na szachownicy. Stół nadawał się idealnie do tego, by pokazać, kto tutaj rządzi. Miał eliptyczny kształt, a na samym końcu siedział Langer. Po jego prawicy miejsca zajęła trójka przedstawicieli Salusa, a prawnicy mieli usiąść naprzeciwko nich.

Joanna zajęła miejsce na wprost Langera. Zordon usiadł obok.

Znów wyjęła telefon z żakietu i położyła go na blacie. Przed momentem dostała SMS-a od Kormaka, który twierdził, że dotarł do czegoś konkretnego. Co do zasady nie popadał w przedwczesny hurraoptymizm, nie zwykł też przesadzać, więc należało uznać, że rzeczywiście coś wywęszył.

Nie napisał jednak, co to było. Dodał tylko informację, że muszą porozmawiać.

– Dziwne ma pani sposoby na rozpoczęcie spotkania biznesowego – odezwał się facet przypominający Donalda Trumpa.

Kordian wspomniał o nim wcześniej, twierdząc, że robi najlepsze wrażenie z całej trójki. Drugi z mężczyzn faktycznie wyglądał na Kryminalistę, a kobieta z powodu cieni wokół oczu przywodziła na myśl emerytowaną górniczkę. Nie ulegało wątpliwości, że Piotr sam dobrał sobie współpracowników.

Siedział naprzeciw Joanny, wbijając w nią beznamiętny wzrok. Doskonale pamiętała to spojrzenie. Towarzyszyło jej podczas każdego widzenia, kiedy broniła go przed zarzutem zabójstwa.

Wtedy udało mu się ją wymanewrować, ale tym razem nie miała zamiaru na to pozwolić. Na końcu tamtej sprawy przyrzekła sobie, że kiedyś mu odpłaci. I wreszcie miała okazję.

– Milczy pani – zauważył Trump.

Tych troje nie miało dla niej żadnego znaczenia. Nie zamierzała nawet odpowiadać na ich pytania i uwagi.

Wiedziała, że Langer od początku czekał na ten moment. Ona również, od kiedy tylko dowiedziała się, że jest zamieszany w sprawę Bukano.

W końcu Piotrowi drgnęły kąciki ust. Uniosły się lekko, a on nachylił się nad stołem. Położył na nim dłonie i na moment oderwał wzrok od Chyłki.

– Miło mi cię widzieć, Kordian – powiedział. – Choć przyznam, że twoja obecność po tamtej stronie stołu jest pewną niespodzianką.

– Nie miałem wielkiego wyboru.

– Mylisz się – odparł Langer. – Miałeś duży wybór.

Aplikant poprawił się na krześle i ściągnął poły marynarki.

– Zordon stawi czoło konsekwencjom swoich decyzji – zapewniła z uśmiechem Chyłka. – Podobnie jak wy wszyscy.

Piotr przechylił głowę w bok.

– Doprawdy?

– Oczywiście. To tylko kwestia czasu.

– Dajmy temu spokój – odezwała się Górniczka. – W ten sposób do niczego nie dojdziemy.

Joanna spojrzała na członków zarządu. Nadal sprawiali wrażenie, jakby kontrolowali sytuację i nie mieli powodów do niepokoju. Prawda była jednak taka, że to oni wyszli z propozycją spotkania. A więc to oni chcieli coś ugrać.

Prawniczka zaplotła ręce na karku i odgięła się na krześle.

– Więc? – zapytała.

Kobieta i Donald Trump spojrzeli na Kryminalistę. Najwyraźniej to on został wytypowany, by prowadzić rozmowę. Znaczyło to zapewne, że jest prawą ręką Langera w Salusie. Jego wygląd zresztą to sugerował.

– Mamy pewną propozycję – odezwał się. – Jeśli jesteście gotowi jej…

– Jaką propozycję? – ucięła Chyłka.

– Proponujemy zawarcie ugody.

Tego się nie spodziewała. Przypuszczała, że Piotr znalazł coś na Bukano i w zamian za zakopanie tego będzie żądał, by wycofano pozew. Wprawdzie Joanna nie podejrzewała, by w przeszłości Roma

można było dotrzeć do wielu brudów, ale z pewnością coś by się znalazło.

– Mamy dosyć tego procesu – dodał Kryminalista. – Wszyscy wychodzimy na nim niekorzystnie, bez względu na jego przebieg i ostateczny rezultat.

Były to oczywiste dyrdymały, ale zwyczajowo musiały zostać wypowiedziane. Chyłka uniosła brwi, nie bardzo wiedząc, jak zareagować.

– Przygotowaliśmy wstępną propozycję – ciągnął dalej mężczyzna, wyciągając z teczki plik kartek. Rozdzielił je między zebranych. – Sprowadza się do tego, że Robert Horwat otrzyma siedemset tysięcy złotych, płatnych ratalnie w wymiarze do uzgodnienia.

Joanna przebiegła wzrokiem tekst. Była to całkiem niezła propozycja, biorąc pod uwagę alternatywę. Nawet jeśliby wygrali sprawę w pierwszej instancji, Salus z pewnością by się odwoływał. W apelacji mogli przeciągać sprawę do woli, gdyby zatrudnili kogoś bardziej rzutkiego od Lwa Buchelta.

Chyłka skończyła czytać propozycję i rzuciła kartkę na stół. Przefrunęła kawałek i zatrzymała się na środku.

– To potwarz – powiedziała. – Plujecie w twarz mojemu klientowi.

– Chyba nie zdajesz sobie…

– Zdaję sobie sprawę z dwóch rzeczy – przerwała Kryminaliście. – Po pierwsze, przerżniecie tę sprawę sromotnie, dostając po dupie nie tylko w sądzie, ale i we wszystkich mediach. Po drugie, zapłacicie nie tylko pełną polisę, ale także odsetki za zwłokę. W dodatku pokryjecie wszystkie koszty postępowania. Zadbacie wprawdzie o to, by było długie, ale tym większe będą wasze ostateczne koszty.

Wstała z krzesła i skinęła na Zordona. Ten również szybko się podniósł.

– Myślałam, że przyszliśmy tutaj, żeby usłyszeć poważną propozycję – dodała. – Tymczasem to jest po prostu śmieszne.

Skierowali się do drzwi.

– Poczekaj – odezwał się Kryminalista.

Chyłce przemknęło przez myśl, że podczas tego spotkania nikt nie miał zamiaru certolić się z formami grzecznościowymi. Wszyscy chcieli konkretów, nie kurtuazji.

Joanna złapała za klamkę.

– Siedemset dwadzieścia – powiedział Trump.

Chyłka zaśmiała się pod nosem, nie odwracając się.

– Osiemset – powiedziała.

– Nie ma mowy – zaoponowała Górniczka. – Proces to także ryzyko dla was. Nie wiecie, czy nie pojawi się kolejny świadek potwierdzający wersję straganiarza.

– W takim razie *auf Wiedersehen*.

– Siedemset dwadzieścia pięć – oznajmił Kryminalista. – Ale to nasze ostatnie słowo.

Joanna otworzyła drzwi.

– Siedemset dziewięćdziesiąt – powiedziała, obejrzawszy się przez ramię.

Wymiana negocjacyjnych ciosów trwała jeszcze przez chwilę i zakończyła się dopiero, gdy spotkali się na pułapie siedmiuset sześćdziesięciu pięciu tysięcy złotych. Chyłka była zadowolona. Ugrała więcej, niż zazwyczaj można było otrzymać w takiej sytuacji.

Kazało jej to jednak sądzić, że coś jest naprawdę nie w porządku. Salus mógł spokojnie grać na zwłokę. Wprawdzie traciłby na tym trochę pod względem marketingowym, ale przynajmniej mówiłoby się o firmie. Nazwa co jakiś czas pojawiałaby się w mediach, a konotacja byłaby drugorzędna. Phineas Barnum miał rację, twierdząc, że nieważne, jak o tobie mówią – ważne, żeby poprawnie zapisali nazwisko.

– Muszę to jeszcze omówić z klientem – powiedziała dla porządku Joanna.

Każdy przy stole zdawał sobie sprawę z tego, że Bukano od razu przyjmie tę ofertę.

– W porządku – odparł Kryminalista.

Chyłka spojrzała na Langera. Obserwował to wszystko z obojętnością, nie odzywając się ani słowem. Wydało jej się to dziwne, ale nie byłby to pierwszy raz, kiedy Piotr zachowuje się nieracjonalnie. Być może psychopaci jego pokroju po prostu tak mają. Odsunęła te myśli, przypominając sobie, że Kormak coś odkrył. Coś, co mogło okazać się na tyle duże, by wreszcie rzucić

nieco światła na związki kancelarii z firmą. Na tym powinna się skupić.

– Wycofujecie pozew, do tego wspólna konferencja prasowa – oznajmił Trump. – Chcemy, żeby Rom usiadł z rzecznikiem prasowym i powiedział, jak zadowolony jest z tego, że to firma Salus ubezpieczyła życie jego żony.

– Naprawdę chcecie takiego cyrku?

– Oprawimy to odpowiednio. Mamy już przygotowane kwestie.

– Nie wiem, czy…

– Zgodzi się – zaoponował Kryminalista. – Za takie pieniądze każdy Cygan dałby się wypatroszyć przed kamerą.

Słowo „Cygan” wypowiedział z taką odrazą, że nawet Joanna się wzdrygnęła.

– I oczywiście bez ewentualnych przyszłych roszczeń w jakimkolwiek charakterze – dodała Górniczka. – Tudzież bez wnoszenia o odsetki.

– Jasne.

Członkowie zarządu spojrzeli na Langera. Ten przez moment świdrował wzrokiem prawniczkę, ale w końcu skinął głową. Cała trójka się podniosła, a chwilę później to samo zrobili Piotr i dwoje prawników.

– Nie ściskajmy sobie dłoni – zaproponowała Chyłka. – Z zasady trzymam się z daleka od oślizgłych rzeczy.

Żadne z nich nie odpowiedziało. Joanna podniosła telefon, po czym prawnicy wyszli na korytarz. Kordian odetchnął z ulgą, zapinając guzik marynarki.

– Nie wiem, czy jestem żywy, czy nieżywy – powiedział.

– Póki jesteś tutaj, sprawa się nie rozstrzygnie – odparła pod nosem. – Chodź, opuszczamy ten lokal.

Kiedy znaleźli się na zewnątrz, Kordian skręcił w lewo, ale Joanna szybko na niego gwizdnęła. Spojrzał na nią skonsternowany.

– Iks piątka stoi tam – zauważył.

– Nie idziemy do iks piątki.

– A gdzie?

– Uczcić zwycięstwo.

– A więc uznajemy, że wygraliśmy? W sensie, że nikt nie zabije nas w ciemnej uliczce?

– Tego nie wiem – przyznała. – Ale jestem pewna zwycięstwa. I tego, że nie wygraliśmy, tylko ja wygrałam.

– Aha.

– Poza tym Kormak na coś trafił.

Oryński uniósł brwi, a prawniczka wyjęła telefon. Włączyła sieć komórkową i poszukała pierwszego lepszego miejsca, gdzie serwowali meksykańskie jedzenie. Wyskoczył jej Gringo Bar, ale mimo przyjemnej nazwy, znajdował się za daleko.

Chyłka rozejrzała się i ruszyła w stronę osiedla znajdującego się po drugiej stronie ulicy.

– Dokąd idziemy? – zapytał Kordian.

– Jeszcze nie wiem.

Przeszli kilkaset metrów, docierając w końcu pod dziesięciopiętrowy blok o trudnym do określenia kolorze elewacji. Mieścił się gdzieś między łososiowym a szarym, ale z powodu plam, odpadającej farby i wszechobecnego brudu nie sposób było jednoznacznie przesądzić.

Weszli na podwórko otoczone pojedynczymi drzewami. Stało tu kilka ławek, ufajdany przez psy i zaniedbany trawnik, trzepak i kilka huśtawek. Chyłka usiadła na ławce.

– Co tu robimy?

– Świętujemy – odparła i wyjęła butelkę. Napiła się, po czym sięgnęła po telefon. – Dziś zajęcia plenerowe.

Kordian rozejrzał się niepewnie.

– Spokojnie, Zordon. Mieszka tutaj sól ziemi.

– Sól ziemi?

– Wnukowie robotników, którzy wznosili to wszystko, co dziś nazywamy sypialniami Warszawy, no wiesz.

– Nie, nie wiem. I nie czuję się tu jakoś przesadnie komfortowo.

Zignorowała go i wybrała numer Kormaka. Włączyła głośnik, by aplikant również mógł słyszeć rozmowę.

– Co znalazłeś, tłuściochu? – powiedziała, gdy chłopak odebrał.

Kormak mruknął pod nosem coś niezrozumiałego.

– Sporo – dodał po chwili.

– To znaczy?

– Prześledziłem sprawozdania finansowe Salusa i pewna rzecz rzuciła mi się w oczy.

– Jaka?

– Ich rozchody zawsze utrzymują się mniej więcej na takim samym poziomie.

– To podejrzane? – zapytał Kordian.

– Ty też tam jesteś? – odparł chudzielec. – Pogodziliście się na dobre czy jak?

– Mniej więcej.

– Pięknie – burknął Kormak. – W Warszawie wszystko wróci do normy, a ja będę siedział tutaj.

– Kraków to piękne miasto – odparła Joanna. – Ale w tej chwili stolice Małopolski i Mazowsza niewiele mnie obchodzą. Mów, co konkretnie znalazłeś po tych swoich dogłębnych analizach.

Napiła się i podała butelkę Oryńskiemu. Ten pokręcił głową.

– No więc… – podjął Kormak. – Co do zasady nawet najlepszy model biznesowy nie zapewni ubezpieczycielowi takiej stabilności przychodów i wydatków. Wprawdzie robią, co mogą, by dookreślać możliwie jak najbardziej grupy ryzyka, proponować stawki preferencyjne, analizować indywidualną historię chorób czy w końcu przewidywać potencjalne zdarzenia, które…

– Przygotowują się do swojej roboty, rozumiemy – wpadła mu w słowo Joanna.

– Mhm – potwierdził szczypior. – Co nie zmienia faktu, że równowaga poziomu składek i świadczeń to złota zasada, której nie da się tak łatwo wcielić w życie. Są wahnięcia, które można korygować różnymi sposobami, jak choćby przez zmianę prowizji i opłat, ale te dwie sfery dają swobodę w granicach kilkudziesięciu tysięcy złotych. To kropla w morzu. Z inwestycji można wydusić znacznie więcej, Salus rocznie zarabia na nich około trzech milionów, ale…

– Do rzeczy – ponagliła go Joanna.

– Te dane są zbyt sztywne.

– To znaczy?

– Nierynkowe – odparł Kormak. – Niemożliwe, żeby różnice z roku na rok były tak małe. Porównywałem to z innymi towarzystwami ubezpieczeniowymi i u nich sytuacja wygląda zupełnie inaczej. – Zaczerpnął tchu. – Kapitały własne, aktywa finansowe, rezerwy techniczno-ubezpieczeniowe… to wszystko się waha. W PZU w przeciągu kilku ostatnich lat sam ten ostatni element różnił się na koniec roku o dziesięć milionów złotych. W Salusie to różnica kilkuset tysięcy. To fizycznie niemożliwe.

– Więc co sugerujesz?

– Że otrzymywali regularne zastrzyki gotówki.

– Skąd?

– Od Langera.

Joanna i Oryński wymienili się spojrzeniami.

– Salus to pralnia brudnych pieniędzy? – zapytała prawniczka.

– Moim zdaniem nie ma innego wytłumaczenia.

– Jesteś pewien?

– Na tyle, na ile mogę być, nie posiadając nawet strzępka dowodów – odparł Kormak. – Opieram się na logice, a jak uczył Spock, ona nigdy nie zawodzi.

Chyłka pokręciła głową z niedowierzaniem, wyciągając paczkę papierosów. Zapaliła i machinalnie poczęstowała Zordona, ten jednak nie skorzystał.

– Langer musi mieć firmy stanowiące legalne fasady jego działalności przestępczej – kontynuował chudzielec. – Jest właściwie osobą publiczną. Po tej głośnej sprawie z Mokotowa niewiele brakowało, a zaprosiliby go do „Celebrity Splash” czy innych bzdur. Musi jakoś zalegitymizować swoje dochody, prawda?

– Ma firmę deweloperską – zauważył Kordian.

Joanna spojrzała na niego i przekonała się, że podobnie jak ona, nie jest przekonany. Zaciągnęła się głęboko i spojrzała wyczekująco na telefon.

– To nie wystarczy – odezwał się Kormak. – Potrzebuje jeszcze kilku takich przedsiębiorstw.

– Żartujesz sobie? – włączyła się Chyłka. – Po seniorze została mu jedna z najprężniej rozwijających się firm w tym sektorze.

– Otóż to – przyznał szczypior. – Więc nie może wtłoczyć w nią zbyt dużo lewych pieniędzy. Jest teraz na świeczniku, tymczasem takie firmy jak Salus działają na zasadzie ryzyka. Raz się uda, bo ktoś dłużej pożyje albo nie spełni warunków polisy, raz nie.

Joanna podrapała się po skroni. Właściwie chłopak miał rację, na miejscu Piotra porozdzielałaby dochody między kilka podmiotów gospodarczych, stworzyłaby siatkę, przez którą mogłaby przepuścić większość brudnych pieniędzy. Nie wszystkie, co do tego nie miała wątpliwości, ale z pewnością większą część.

– No nie wiem – odezwał się Oryński. – To chyba dość ryzykowne, prawda?

– Przeciwnie! – odparł Kormak. – To genialne w swojej prostocie. Salus idealnie nadaje się na pralnię.

– Dlaczego?

Słychać było, jak szczypior nabiera tchu.

– Wyobraź sobie typową sytuację – powiedział. – Przychodzisz do Salusa, chcesz wykupić polisę na życie. Opłacasz składki, dostarczając im pieniądze z legalnego obrotu. Co dostajesz w zamian?

– Jak kojfnę, to…

– Ale zanim kojfniesz – uciął Kormak. – Dostajesz jedynie gwarancję. Dajmy na to, że milionową.

– Mhm.

– To milion wirtualnych, jeszcze niewydzielonych pieniędzy – ciągnął szczypior. – Na tym etapie nie ma znaczenia, czy pochodzą z legalnego źródła, czy nie, bo prawdopodobnie nie zobaczysz ich na oczy. A teraz załóżmy, że takich jak ty są setki tysięcy, bo pierwszą zasadą jakiegokolwiek ubezpieczyciela jest masowość. To dla nich idealna sytuacja.

Kordian uniósł wzrok i zmarszczył czoło.

– Może i tak – przyznał.

– Dają wirtualne brudne pieniądze, wyciągają tradycyjne czyste.

– A jeśli muszą wypłacić? – zapytał Oryński.

– Muszą? Oni chcą wypłacać. Tylko że nie przeciętnemu Kowalskiemu, a określonym osobom ze swojego kręgu.

Aplikant potrząsnął głową.

– Teraz się zgubiłem – powiedział. – Miały być tylko hipotetyczne pieniądze…

– Dla rzeczonego Kowalskiego jak najbardziej – odparł Kormak. – Wypłata takiemu klientowi stanowi pewien problem, bo jeśli sytuacja na rynku się pogorszyła, duża kwota w czystych pieniądzach może okazać się kłopotliwa. A nie chcą przecież, żeby forsa z przestępstw trafiła do legalnego obrotu, przynajmniej nie w takiej formie. Polisy tymczasem zazwyczaj są duże, jak…

– Jak milion Bukano – dopowiedziała Chyłka.

– Zgadza się. I to tłumaczy, dlaczego tak zaciekle walczyli o to, by nie zobaczył ani grosza. Nie mieli legalnych środków na pokrycie wypłaty, musieli akurat wyprać jakąś większą partię.

Joanna zauważyła, że papieros wypalił jej się między palcami, podczas gdy ona zdążyła wziąć dwa sztachnięcia. Wyrzuciła go, zadeptała i odpaliła kolejnego.

Wersja Kormaka nie zawierała dowodów, ale trudno było odmówić jej logiki. W dodatku tłumaczyła zachowanie przedstawicieli Salusa od samego początku. Znalazło się w niej kilka dziur, ale Chyłka przypuszczała, że je również chudzielec zdołał załatać.

– Załóżmy, że masz rację – powiedziała.

– Na pewno mam – odparł Kormak. – Sama wiesz, że zrobiłabyś dokładnie tak samo, będąc w sytuacji Langera. Konieczne byłoby tylko skupienie większości udziałów w takiej spółce, żeby kontrolować sytuację.

– I sukinsyn to zrobił – przyznała.

– Tak.

Zaciągnęła się tak mocno, że popiół niemal się zbrylił. Zaklęła pod nosem, nie mogąc uwierzyć, że po raz kolejny dała się Piotrowi podejść. Powinna od początku wiedzieć, dlaczego jest głównym akcjonariuszem Salusa i jego prokurentem. Powinna się zorientować, że wymiana, jakiej dokonywał w ramach działalności ubezpieczeniowej, była dla niego idealna.

Obietnica wypłacenia brudnych pieniędzy w zamian za realne czyste pieniądze. Wymarzona transakcja dla każdego gnoja działającego w przestępczości zorganizowanej.

Ale to wciąż półśrodek, upomniała się w myśli. Połowiczne pranie.

– Kormak… – zaczęła.

– No? – zapytał szczypior, po czym pstryknął palcami. – Wiem! Zastanawiasz się, jak dokonywali największej wymiany. To banalnie proste.

– Nie wiem, czy chcę wiedzieć.

– Wypłacali polisę.

Kordian rozłożył bezradnie ręce.

– Ale… – Zawiesił głos.

Oboje wbili wzrok w telefon, który Chyłka położyła sobie na udzie. Widniało na nim zdjęcie Kormaka niezbyt dobrej jakości. Uśmiechał się, jak zwykle zresztą. Teraz zapewne szczerzył się jeszcze bardziej.

– Załóżmy, że chcesz wyprać milion z brudnej roboty – odezwał się z zadowoleniem. – Co robisz?

– Nie wiem – odparł Kordian dla porządku.

– Więc wyobraź sobie, że jesteś Langerem.

– Wolałbym tego nie robić. Nie mam socjopatycznych zapędów.

– Ale na chwilę.

– W porządku.

– Więc co robisz, chcąc wyprać ten milion? Wybierasz któregoś ze swoich pachołków z umierającym członkiem rodziny, ubezpieczasz nieszczęśnika, a jak odejdzie z tego świata, sam lub z twoją pomocą, wypłacasz pieniądze. Pachołek dostaje parępaście tysięcy, ty dużo więcej. I to wszystko czyste pieniądze.

Oryński spojrzał na Chyłkę. Prawniczka zastanawiała się przez moment, po czym skinęła głową. Biorąc pod uwagę to, do czego był zdolny Piotr, należało uznać, że to prawdopodobna wersja.

– Jak pomogłeś krewnemu pachołka odejść, płacisz więcej. Jak nie, mniej.

Cała trójka na moment zamilkła. W końcu Kordian rozmasował kark i pociągnął nosem, jakby chciał przypieczętować, że wszystko, co zostało powiedziane, rzeczywiście mogło być zgodne z prawdą.

– Potrzebujemy dowodów – zauważył.

– Nie – odparła Chyłka.

– Nie?

– Nie pracujemy w prokuraturze, Zordon.

– Owszem, tylko że…

– Tylko że pomyliłeś zawody. My bronimy ludzi, a nie oskarżamy. Chcesz zmienić front, po aplikacji droga wolna, nikt ci nie broni się przekwalifikować. Dociśniesz Langera i będziesz mógł zasypiać z czystym sumieniem… o ile znajdziesz sposób, by użyć wiedzy, którą uzyskałeś, będąc jeszcze przedstawicielem prawnym firmy Salus.

Oryński zacisnął na moment usta. Potem sięgnął po paczkę papierosów, ale Joanna sprzątnęła mu ją sprzed nosa.

– Stąd ta ugoda – powiedziała. – Mają dość rozdrapywania rany, a w dodatku mogli do tego czasu zebrać czysty kapitał do wypłaty Bukano.

– Ugoda? – zapytał Kormak.

– Nieważne – odparła Joanna. – To wszystko, co odkryłeś?

– Jeszcze ci mało?

– A masz coś więcej?

– Nie.

– To cześć – powiedziała, a potem się rozłączyła.

Odgięła się na ławce, Kordian zrobił to samo. Przez moment wbijali wzrok w pusty trzepak kawałek dalej. W oddali dziecko bujało się na huśtawce, inne kręciło się wokół, prosząc się o nokaut i nieszczęście dla całej rodziny.

Oryński krzyknął, by dziecko uważało, Joanna nadal patrzyła przed siebie.

– Myślisz, że Kormaczysko ma rację? – zapytał.

– A pamiętasz, żeby kiedyś pomylił się w czymś tak istotnym?

– Nie.

– Właśnie – odparła pod nosem, a potem się napiła. Najwyższa pora, uznała w duchu.

Znów przez moment milczeli. Chyłka układała sobie wszystko w głowie, choć musiała przyznać, że Kormak umieścił puzzle w odpowiednich miejscach. Wystarczyło tylko dosunąć je do siebie, by uzyskać pełny obraz.

– Kancelaria musiała w tym uczestniczyć – odezwała się.

– Mhm.

– Buchelt był zamieszany.

Naraz Kordian zrozumiał, do czego dąży dawna patronka.

– Można przycisnąć od tej strony! – zauważył. – Możemy złożyć na niego doniesienie, nie łamiąc żadnych zasad etyki. Otrzymaliśmy informację, przekażemy ją dalej. Nie wiemy, w co konkretnie jest zamieszany, ale organy ścigania z pewnością…

– Rozwalimy całego Żelaznego & McVaya – wpadła mu w słowo.

Oryński zamarł z otwartymi ustami.

– Artur musiał o tym wiedzieć – dodała Chyłka. – Może go opłacali, a może szantażowali, ale z pewnością o tym wiedział. A jeśli tak, to koniec kancelarii.

Widziała, że aplikant nie ma pojęcia, co powiedzieć. W okamgnieniu ta sprawa przeszła z czerni i bieli w odcienie szarości.

– Każdy prawnik będzie napiętnowany – powiedziała. – Ty, każdy Jacek z podatkowego czy medycznego, nawet pieprzona Anka z Recepcji. Wszyscy oberwą rykoszetem.

– Ale dopadniemy Langera.

– Może.

– Może? Wszystko prowadzi do niego.

Joanna obróciła się do Kordiana i przełożyła rękę przez oparcie. Spojrzała mu w oczy.

– Logika prowadzi do niego – sprostowała. – Ale jeśli znajdą choć jeden dowód, będzie to cud.

– Jest prokurentem, jego podpis widnieje na dokumentach. Jest też akcjonariuszem.

– Ale nie członkiem zarządu ani rady nadzorczej – odpowiedziała stanowczo. – A to oni będą głównymi podejrzanymi.

– Sugerujesz, że znowu się wywinie?

– Sugeruję, że może – odparła, a potem w zamyśleniu wbiła wzrok w jeden z bloków w oddali.

Jedna rzecz powodowała zgrzyt w całej tej układance. Jeden element zupełnie nie pasował do pozostałych, zupełnie jakby pochodził z innej partii puzzli.

– Nurtuje mnie pewna kwestia – odezwała się w końcu.

– Jaka?

– Jeśli wszystko, co ustalił Kormak, to prawda… kto i dlaczego zabił rodzinę Bukano?

– Hm?

– Nic by na tym nie ugrali. Nie wyprali dzięki temu ani grosza.

Oryński podrapał się po głowie i skrzywił. Spojrzała na niego i stwierdziła, że ona również nie ma bladego pojęcia, o co chodzi w tej sprawie.

12
XXI piętro Skylight

Jechali windą w milczeniu. Kordian raz po raz spoglądał na Chyłkę i nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Sprawiała wrażenie, jakby denerwowała się przed pierwszą randką. Kręciła się, przestępowała z nogi na nogę, rozglądała i nerwowo mrugała.

– Co się gapisz? – burknęła.

– Bo jesteś nadpobudliwa.

– Moja pięść zaraz pójdzie w ruch, wtedy zobaczysz nadpobudliwość.

– Denerwujesz się?

– Goń się, Zordon.

Drzwi się otworzyły i wyszli na korytarz. Joanna głęboko wciągnęła powietrze nosem, jakby dopiero teraz po długim czasie mogła odetchnąć pełną piersią. Ruszyli przed siebie, wymijając ostatnich pracowników zmierzających z powrotem do normalnego świata.

Na posterunku o tej porze zostali już nieliczni. Jednym z nich był Artur Żelazny, który oczekiwał dwójki prawników. Minęli zamkniętą recepcję i przeszli dalej.

Oryński zasugerował, by Chyłka sama spotkała się z imiennym partnerem, ale odmówiła. Twierdziła, że jeszcze w ramach dawnego stosunku patronackiego powinna go czegoś nauczyć.

Nieco wcześniej tego dnia nauczyła go też, jak przekazywać dobre wieści. Zabrała go ze sobą na Ursynów, do mieszkania Bukano. Rom początkowo był nieufny, widząc prawnika przeciwnej strony, ale ostatecznie pozwolił mu wejść.

Joanna zaczęła niepozornie od rozmowy na temat tego, jak zgrabnie poszła rozprawa. Potem wyprowadziła na pole walki ciężkie działa. Oznajmiła, że Salus jest gotowy zapłacić i wyłuszczyła Robertowi warunki.

Kordian obawiał się, że Rom będzie protestował, twierdząc, że niższa kwota w jakiś sposób neguje rozmiar tragedii, ale ten tylko skinął głową. Oryński zrozumiał, że nie chodziło mu o pieniądze, przyznanie się do winy czy ukaranie Salusa za zwłokę. Chciał zwycięstwa. Upatrywał w nim ostatniej rzeczy, jaką zrobił dla żony i córki.

Kiedy wychodzili, poprosił tylko o jedno. Oboje doskonali wiedzieli, czego oczekuje – chciał gwarancji, że odkryją, kto zabił jego rodzinę, a potem sprawią, że morderca zostanie ujęty i osądzony.

Chyłka obiecała, że będą robić wszystko, co w ich mocy, żeby tak się stało. Potem się pożegnali, klepiąc po plecach jak starzy, dobrzy znajomi. Kordian patrzył na to ze zdziwieniem. Nigdy nie przypuszczał, że Joanna trafi na klienta, z którym rzeczywiście nawiąże przyjacielską relację.

Ale we wszystkim musiał być ten pierwszy raz. Chyłka się zaprzyjaźniła, on miał szantażować imiennego partnera.

Stanęli przed gabinetem Żelaznego i spojrzeli na siebie. Zanim Kordian zdążył zapytać, czy na pewno zamierzają to zrobić, Joanna otworzyła drzwi i weszła do środka. Aplikant poszedł za nią.

– Lepiej, żeby to było kurewsko ważne – zapowiedział Żelazny, patrząc na byłą pracowniczkę i zupełnie ignorując Kordiana.

Na biurku stała szklanica z grubego szkła, ale zamiast whisky Artur wypełnił ją wodą z lodem. Nie wiedział, co konkretnie się szykuje, ale zdawał sobie sprawę, że to nie przelewki. Nie miał zamiaru przytępiać umysłu alkoholem.

Tego samego nie można było powiedzieć o Chyłce. Kiedy się spotkali na Argentyńskiej, była już lekko wstawiona. Wychodząc od Bukano, zataczała się, a po drodze wypiła jeszcze trochę z podręcznego zapasu.

Teraz sprawiała wrażenie, jakby miała problemy z utrzymaniem równowagi. Wsparła się o biurko, nachyliła w stronę Artura, a potem usiadła na krześle. Oryński spoczął obok.

– No? – ponaglił ją Żelazny. – O co chodzi, Chyłka?

– O twoją firmę.

– Moja firma nie ma nic wspólnego z ugodą. Załatwialiście to między sobą, poza sądem i bez udziału Buchelta.

– Nie chodzi o ugodę.

Skinął głową. Doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

– Więc o co? – zapytał.

– O to, że Salus pierze brudne pieniądze, a ty im w tym pomagasz.

Roześmiał się, kręcąc głową. Powoli podniósł szklankę, zatrząsł kostkami lodu, a potem napił się, jakby miało mu to przynieść nieco spokoju.

Joanna nabrała tchu i pokrótce przedstawiła wszystko to, co wcześniej słyszeli od Kormaka. Mówiła nieco bełkotliwie, ale przekaz był nader wyraźny – Żelazny znalazł się na granicy zawodowej tragedii.

Kiedy skończyła, znów się zaśmiał.

– Ją rozumiem – powiedział do Kordiana. – Ale ty, chłopcze? Naprawdę przyszedłeś dziś do mnie, żeby zakończyć swoją karierę?

Oryński się nie odzywał. Nie miał nic do dodania, poza tym wyszedł z założenia, że milcząc, będzie sprawiał wrażenie opanowanego i spokojnego o ostateczny rezultat całej sprawy.

– To twój wybór – dodał Artur. – Ale przyznam, że rzadko zdarza się, by ktoś w tak spektakularny sposób przekreślał całą swoją przyszłość.

Joanna podniosła się bez słowa i spojrzała na Kordiana. On również wstał.

– Co to ma znaczyć? – zapytał Żelazny.

– Idziemy, Zordon – poleciła Chyłka, ruszając w stronę drzwi. – Skoro właściciel kancelarii reaguje śmiechem, my zareagujemy, przekazując wszystkie materiały mediom.

Położyła dłoń na klamce, pewnie licząc na to, że Artur zaoponuje. Ten podniósł się, ale nie odezwał się słowem.

Dwójka prawników wyszła na korytarz. Kordian zamknął drzwi i zaklął pod nosem. Nie tak to miało wyglądać, Żelazny powinien…

Naraz drzwi się otworzyły.

– Do środka – polecił imienny partner.

– A jesteś gotów poważnie porozmawiać?

Ruchem ręki wskazał, by weszli. Wrócili na swoje miejsca, a atmosfera w pokoju zdawała się zgęstnieć. Artur dopił wodę,

otworzył szafkę przy oknie i wyjął z niej kolejne dwie szklanki i butelkę whisky.

Rozlał w milczeniu.

– Nie życzę sobie takich brudów – powiedział.

– Jeśli mijają się z prawdą, nie masz się czego obawiać – odparła Joanna.

– Oboje wiemy, że taki smród przylegnie bez względu na to, ile w nim prawdy, a ile fałszu.

– W tym przypadku jednak więcej prawdy.

Chyłka sięgnęła po szklankę, Kordian również. Uznał, że skoro do domu ma tylko rzut beretem, nic nie stoi na przeszkodzie, by w końcu się napił.

Pociągnął łyk i pomyślał, że whisky smakuje, jakby było lane prosto ze starej, dębowej beczki, wyniesionej przed momentem z lochu szkockiego zamku. Oblizał usta, a potem spojrzał na Żelaznego.

Przełożony zapomniał o delektowaniu się. Podobnie jak Joanna, opróżnił szklanicę jednym haustem. Przez moment wbijali w siebie wzrok, jakby wzajemnie wyzywali się do wyprowadzenia pierwszego ciosu.

W końcu Chyłka odchrząknęła.

– Jestem już umówiona z NSI – oznajmiła.

– I ma mnie to interesować?

– Opowiem im dokładnie o tym, co robiliście z Salusem i Langerem.

– Opowiadaj. A potem spodziewaj się fali pozwów z artykułu dwieście dwanaście paragraf jeden kodeksu karnego.

Kordian nie musiał ryć na pamięć przepisów, by wiedzieć, że chodzi o zniesławienie.

Joanna zaśmiała się pod nosem i wskazała na pustą szklankę. Artur ani drgnął.

– W sądzie dopiero miałabym używanie – zauważyła. – I doskonale zdajesz sobie z tego sprawę.

– Zdaję sobie sprawę, że jesteś pijana.

Chyłka uniosła brwi i pokiwała głową z uznaniem.

– I jakie to ma znaczenie? – zapytała.

– Z mojego punktu widzenia…

– Możesz się tylko cieszyć, Artur – weszła mu w słowo. – Gdybym myślała trzeźwo, przyprowadziłabym ze sobą chłopaków z CBA. Albo z CBŚ, skoro już wkroczyłeś na pole współpracy z przestępczością zorganizowaną.

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz.

Joanna przechyliła się przez biurko i sięgnęła po butelkę. Dolała sobie i Kordianowi, a potem odstawiła whisky.

– Nie? – zapytała. – To ciekawe, bo mam dowody na pranie brudnych pieniędzy przez Salusa. Całkiem pokaźne sumki, wszystko prosto od Langera do polis ubezpieczeniowych.

Żelazny spojrzał na nią ze współczuciem.

– Wirtualne gwarancje wypłat pokrywane brudnymi pieniędzmi w zamian za czyste składki – kontynuowała. – A pośrodku tego wszystkiego kancelaria prawna, która zapewniała obsługę całego procesu. Lew Buchelt pójdzie siedzieć, to jasne. Ale tobie też się oberwie.

Artur wciąż sprawiał wrażenie, jakby podchodził do sprawy z dużą pobłażliwością i wyrozumiałością.

– Cała kancelaria pójdzie w trzy strzępy – dodała Chyłka. – Szkoda mi tylko McVaya, ale może jakoś poradzi sobie za granicą. Ty natomiast będziesz skończony. Nie przyjmą cię nawet do butiku prawnego, gdzie ja, chcąc nie chcąc, będę kontynuować karierę. Chyba że uda mi się przy okazji odbudować reputację na tej sprawie. – Obróciła się do Oryńskiego. – Jak sądzisz, Zordon?

– Pewnie tak – przyznał, odstawiając szklankę. – Będziesz tą, która pogrążyła Salusa, Langera i Żelaznego.

– Upadek tego ostatniego sprawi mi szczególną satysfakcję.

– Mhm.

– Szczególnie, kiedy prześwietlą jego konta bankowe – dodała. – I przepływy finansowe pomiędzy nimi. – Zwróciła wzrok na Artura i uśmiechnęła się. – Przypuszczam, że dobrze ukryłeś dodatkowe wynagrodzenie od Salusa, ale nie licz na to, że się do niego nie dokopią. To już nie lata dziewięćdziesiąte, kiedy można było ukryć takie rzeczy.

Żelazny wciąż się nie odzywał, ale mina mu zrzedła. Kordian przypuszczał, że gorączkowo analizuje swoje możliwości. Miał pewnie nadzieję, że Chyłka blefuje i nie ma żadnych dowodów.

W jej gestii pozostawało, by przekonać go, że jest inaczej. Problem polegał na tym, że w istocie nie mieli strzępka dowodu.

– Kiedy Langer wymieniał zarząd i radę nadzorczą, mógł tam upchnąć kogoś od ciebie, Artur – kontynuowała Joanna. – Nie byłbyś bezpośrednio związany, a pieniądze trafiałyby prosto do rodziny. Ale ty chciałeś je mieć dla siebie… i przez to polegniesz.

Słychać było, jak Żelazny przełyka ślinę. Nadal nie wyglądał na zaniepokojonego, ale z pewnością już niewiele brakowało, by fasada runęła. Chyłka rzeczywiście perorowała, jakby miała dowody na poparcie swoich tez. Trudno było jednak przesądzić, czy imienny partner pomyśli podobnie.

– Musiałeś mieć możliwość wydawania – dodała. – A żeby to zrobić, dochód musiał być jakoś zaksięgowany. Co wymyśliłeś?

Pokręcił głową i prychnął.

– Nie chcę spekulować – powiedziała. – Ale właściwie nie muszę. Zajmą się tym już służby, a ja z ciekawością będę im się przyglądać.

Żelazny skrzywił się, a potem wziął niewielki łyk. Kordian nie mógł nie zauważyć nerwowości, gdy przełożony odkładał szklanicę.

– Czego ty chcesz, co? – zapytał Artur. – Obrzucasz nas brudami, bo myślisz, że w ten sposób zemścisz się na mnie za zwolnienie?

Wzruszyła ramionami, a potem skrzyżowała ręce na piersi.

– Nie miałem innego wyjścia – powiedział. – Wiesz doskonale, że sama spaliłaś swoją karierę.

– Właśnie ją odbudowałam.

Znów się podniosła i Oryński natychmiast zrobił to samo.

– I niczego nie chcę – oznajmiła. – Przynajmniej nie od ciebie. Zamierzałam tylko spojrzeć ci w oczy, zanim zrzucę na ciebie tę bombę i rozbiję całe twoje życie w drobny mak.

Ruszyła w stronę drzwi i tym razem się nie ociągała. Dwójka prawników wyszła na korytarz i skierowała się do windy. Żelazny nie zawołał za nimi, nie syknął pod nosem, nawet nie drgnął.

Kordian zaklął cicho.

– Nie kupił tego – powiedział.

Chyłka także nie wyglądała na zadowoloną. Stanęli przed windą i aplikant przywołał ją przyciskiem. Oboje czekali w milczeniu na odgłos kroków.

– Co robimy? – zapytał.

– Nic.

– To świetne wyjście.

– Jedyne możliwe – odparła cicho. – Czego oczekujesz? Jak tam wrócimy, pokażemy mu, że nic nie mamy. To on musi przyjść do nas.

Winda dotarła na piętro, drzwi się rozsunęły.

– Ale nie widzę, żeby szedł – szepnął Kordian. – Trzeba działać.

Chyłka pokręciła głową z rezygnacją i weszła do środka. Oryński obejrzał się jeszcze przez ramię, a potem do niej dołączył. Rzucili długie spojrzenie przez korytarz. Wciąż był pusty.

– Kurwa mać – skwitowała Joanna, a potem wybrała „parter".

Zjechali na dół w milczeniu. Zazwyczaj cisza w windach była niewygodna i Oryński czekał, aż się skończy. W tym wypadku jednak wolał, by milczeli. Jakikolwiek komentarz stanowiłby przypieczętowanie porażki.

Wyszli na Emilii Plater i rozejrzeli się. W okolicznych biurowcach światło paliło się jeszcze na wielu piętrach, po drugiej stronie ulicy mrok rozganiało oświetlenie Pałacu Kultury. Jednostajny szum samochodów mknących po Alejach Jerozolimskich i Marszałkowskiej był niemal usypiający.

Chyłka wyjęła paczkę marlboro i zapaliła.

– Co teraz? – zapytał Kordian.

– Nie wiem.

– Naprawdę pójdziesz z tym do mediów?

– Tak zapowiedziałam, prawda? – odparła pod nosem. – Jeśli tego nie zrobię, Żelazny zrozumie, że nic na niego nie mam. A ja zamierzam go pokonać, Zordon. Jego i Langera.

– Jak?

– Jakoś – odburknęła.

Trwali w milczeniu aż do momentu, gdy wypaliła.

– Zamawiam Ubera – powiedziała, wyciągając komórkę.

Ledwo to zrobiła, a zawibrowała jej w ręce. Kordian zobaczył, że dzwoni Artur Żelazny. Popatrzyli po sobie z nadzieją, choć sam

telefon na dobrą sprawę o niczym nie świadczył. Imienny partner mógł dzwonić, by poinformować ją, że powziął kroki, by zablokować zapowiadane przez nią starania. Mógł dzwonić, by jej zagrozić. I w końcu mógł też dzwonić, ponieważ się ugiął.

Joanna odrzuciła połączenie.

– Czyś ty zwariowała? – odezwał się Oryński.

– Spokojnie.

– Trzeba było…

– Jeśli skapitulował, zadzwoni jeszcze raz. Jeśli chodzi o coś innego, nie ma znaczenia, czy porozmawiamy.

Dwójka prawników czekała w napięciu. Mijały kolejne sekundy, ale telefon Chyłki milczał.

– Daj papierosa – powiedział Kordian.

– Miałam ostatniego.

– Daj, nie pie…

Urwał, gdy rozbrzmiał refren z *Afraid To Shoot Strangers* Iron Maiden. Oryńskiemu przemknęło przez myśl, że właśnie usłyszał pieśń triumfalną. Chyłka posłała mu zdawkowy uśmiech, zatoczyła się nieco w bok, a potem odebrała.

– No? – zapytała, włączając głośnik.

Kordian rozejrzał się. W okolicy nikogo nie było.

– Gdzie jesteś? – zapytał Artur.

– W drodze na spotkanie z dziennikarzem NSI.

– Poczekaj.

– Na co?

– Na to, aż się rozmówimy.

– W jakiej sprawie?

Żelazny westchnął nerwowo.

– Jeśli jesteś jeszcze w okolicy, czekam.

Rozłączył się, zanim zdążyła odpowiedzieć. Joanna wypuściła powietrze i wyprostowała się. Nie musiała się odzywać, Kordian także nie. To nie był moment na świętowanie zwycięstwa, wszystko jeszcze mogło się zdarzyć. Byli na dobrej drodze, ale Żelazny z pewnością zrobi wszystko, by ich z niej zawrócić.

Odczekali chwilę, a potem wrócili do jego gabinetu. Szklanki nadal były tam, gdzie je zostawili.

Dwójka prawników usiadła na krzesłach, Joanna założyła nogę na nogę.

– Czego chcesz? – zapytał Artur.

– Wrócić.

– Chyba sobie żartujesz.

– Nie – odparła z uśmiechem. – Chcę jeszcze tej nocy podpisać umowę. – Wskazała palcem na blat. – Na tym biurku. – Wymierzyła na pióro Watermana leżące na skraju. – I tym oto pisakiem.

Artur potrząsnął głową.

– Jak to sobie wyobrażasz? – zapytał z niedowierzaniem.

– Że zobowiążę się w umowie do nieujawniania kwestii związanych z obsługą prawną Salusa.

Żelazny zamilkł, Kordianowi również odebrało mowę. Nagle poczuł, jak oplata go przejmujący chłód. Przyszedł tutaj z Chyłką po to, by wymusić na Żelaznym jej wolę, bynajmniej nie po to, by zamieść sprawę pod dywan.

Spojrzał na dawną patronkę. Była gotowa zapomnieć o praniu brudnych pieniędzy. Była gotowa odpuścić Żelaznemu i innym, byleby wrócić na poprzednie miejsce. Byleby kontynuować swoją karierę tam, gdzie niemal utrąciła jej łeb.

Kiedy podjęła taką decyzję? Nie miał pojęcia, ale zmitygował się, że powinien był się tego spodziewać. Jeśli ostatnie miesiące czegokolwiek ją nauczyły, to właśnie tego, że nigdy nie powinna powodować nią moralność.

Zaczął zastanawiać się, czy od początku nie kierowała się właśnie tym, by doprowadzić do takiego finału. Może to, co się działo, tym razem nie było grą Langera, ale Chyłki? Kordian uznał, że nie może tego wykluczyć.

Spojrzał na nią i zobaczył błysk w oczach, który nie miał nic wspólnego z wypitym alkoholem. Naraz uświadomił sobie jeszcze coś. Joanna wcale nie zamierzała wracać na poprzednie stanowisko.

– Więc jak będzie, Artur? – zapytała. – Przyjmujesz mnie z powrotem?

Cała trójka wiedziała, że nie ma się nad czym zastanawiać. Otrzymywał gwarancję bezpieczeństwa niewielkim kosztem.

Owszem, po sprawie Szlezyngiera Chyłka nie zdobędzie żadnego dużego klienta, ale w tej sytuacji nie miało to żadnego znaczenia.

– Oczywiście musisz zaproponować mi coś… adekwatnego – powiedziała.

– Co? O czym ty…

– Na przykład stanowisko partnera.

– Nie ma mowy.

– Dzwoń do McVaya, zaproponuj mu to.

Żelazny zacisnął usta, aż pobielały.

– Wiesz, że nie mogę tego zrobić.

– Wiem – odparła z satysfakcją. – Bo Harry nie ma pojęcia o twoich brudach. I jeśli chcesz, żeby tak zostało, zatrudnij mnie z powrotem, a potem awansuj na partnera.

– To nie zależy wyłącznie ode mnie…

– Ale jeśli postawisz na szali swoje nazwisko, jestem pewna, że pozostali partnerzy się zgodzą.

– Co takiego?

– Zagrozisz odejściem – wyjaśniła. – A to powinno wystarczyć, bo „Kancelaria McVay" brzmi jakoś tak… mało prestiżowo, nie uważasz?

Milczał. I właściwie nie musiał się odzywać. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że Chyłka znalazła sposób, by stać się jednym z partnerów w Żelaznym & McVayu.

13
Hard Rock Cafe, Złote Tarasy

Poranek był koszmarem, więc na lunch Chyłka postanowiła porządnie doładować się tym, co ceniła najbardziej. Hickory-smoked barbecue combo. Zajadała w najlepsze, podczas gdy Zordon skubał swojego łososia.

– Dziwi mnie, że jeszcze tego nie wycofali – powiedziała.

– Hm? – mruknął, przeżuwając kawałek.

– Kto inny to zamawia?

– Ludzie… o innym metabolizmie… niż ty.

– Co?

– Nie każdy może tak się napychać i nie ponosić konsekwencji – wyjaśnił, tocząc wzrokiem po jej talii.

Joanna wymierzyła w niego palcem.

– Uważaj sobie – powiedziała. – Mówisz do partnera w kancelarii Żelazny & McVay.

– Jeszcze nie jesteś partnerem.

– To tylko formalność, Zordon – odparła i machnęła ręką. – Lepiej już się przyzwyczajaj.

– Nie wiem, czy dam radę. I nie wiem, czy ty podołasz.

– Że co proszę?

Napił się kawy i spojrzał na nią ostrożnie.

– Nie postawią ci warunku, żebyś przestała pić? – zapytał, ale szybko uniósł dłoń. – Przepraszam, nie pić. W twoim przypadku trzeba mówić o chlaniu, choć to też stanowi pewne niedopowiedzenie.

– Nie przesadzaj – odburknęła. – I jedyne warunki stawiam ja.

– Więc postaw sobie taki.

– Nie.

Złożył sztućce i pochylił się nad stołem.

– W końcu się wykoleisz, Chyłka – powiedział. – Udało ci się jakimś cudem spaść na cztery łapy, ale codziennie niszczysz się coraz bardziej.

– Błagam cię, Zordon… nie sprawiaj, że moją pierwszą decyzją jako partnera będzie wylanie z roboty pewnego aplikanta.

– Tylko mówię – odparł i odgiął się na krześle. – To się skończy tragedią. Właściwie dawno powinno się tak skończyć. Ratuje cię jedynie fakt, że z jakiegoś powodu los się do ciebie uśmiecha.

– Nie powiedziałabym. Zabrali mi prawko.

– Biorąc pod uwagę twoją chorobę, codziennym uśmiechem losu jest to, że nie lądujesz w szpitalu na płukaniu żołądka.

Wzdrygnęła się na słowo „choroba". Oczywiście, zdawała sobie sprawę z tego, że pije za dużo i trudno byłoby przestać. Nie miała zamiaru zakłamywać rzeczywistości ani tym bardziej oszukiwać samej siebie. Ostatecznie jednak Zordon miał rację – trwała w nałogu, bo pozostawała bezkarna. Po wszystkim co zrobiła, tymczasowa utrata prawa jazdy była błahostką.

Odkroiła kawałek żeberka i ledwo zmieściła go w ustach.

– Więc to tyle? – odezwał się po chwili Oryński.

– Hę?

– Załatwiłaś sobie drogę powrotną do kancelarii i na tym koniec?

– Nie, Zordon, to dopiero początek.

– Mhm.

– Dowiem się, kto zabił Patrycję i Aiszę.

– Jak?

– Systematycznie będę drążyć temat – odparła. – A w międzyczasie dojadę także Langera. Daję ci moje słowo, że ten facet wyląduje w więzieniu i spędzi tam resztę swojego parszywego życia.

– Z pewnością.

– W dodatku niedługo uszczknę trochę z tego prawie miliona, który dostał mój klient.

Owo niedługo jednak się przeciągało. Chyłka spodziewała się, że jeszcze tego samego dnia Bukano się z nią skontaktuje, ale Rom milczał. Zadzwoniła do niego po pochłonięciu mięsnego combo, jednak odpowiedział jej tylko ciągły sygnał.

Zamówiła sobie Irish Kiss na deser, Kordian wziął ciasto marchewkowe.

Spróbowała skontaktować się z Bukano jeszcze kilkakrotnie, ale efekt był za każdym razem taki sam. Zastanawiała się przez moment, a potem wybrała numer kobiety mieszkającej obok.

O ile brak odpowiedzi ze strony Roma stanowił preludium do niepokoju, o tyle słowa sąsiadki były zwiastunem katastrofy. Chyłka wysłuchała, co kobieta miała jej do powiedzenia, a potem bez słowa się rozłączyła.

– I nic? – zapytał niepewnie Kordian.

– Nie wrócił do mieszkania.

– Skąd wiesz?

– Mam szpicla, Zordon.

– Ale…

– Sąsiadkę. Gumowe ucho – dodała. – Kobieta słyszy wszystko. Odnotowała nawet, jak od niego wychodziliśmy. – Zawiesiła wzrok w oddali. – Potem Bukano był w domu przez dwie, trzy godziny i też go opuścił. Nie wrócił na noc i od tamtej pory babinka niczego nie słyszała.

Oryński odłożył widelczyk.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał.

– Nie wiem.

– To lepiej się dowiedz – poradził. – Jeśli zwinął się z kasą, to by znaczyło, że…

– Doskonale wiem, co by to znaczyło – odparła przez zęby. – Że broniłam winnego człowieka.

Przez chwilę milczeli.

– Nie, to niemożliwe – odezwał się w końcu Kordian. – Świadek zeznał, że napastnik miał biały kolor skóry.

– No tak.

– Aczkolwiek jestem sobie w stanie wyobrazić, że tamta kobieta mogła się pomylić.

– Mhm – mruknęła Joanna, słuchając tylko trzy po trzy. Jej umysł pracował na wysokich obrotach, a irlandzka whiskey dodatkowo go napędzała.

– Z drugiej strony… – podjął Oryński. – Trudno mi uwierzyć, żeby zgwałcił własną córkę.

– Mnie też.

– Choć już nie tacy popełniali przestępstwa.

Chyłka poprawiła grzywkę i rozejrzała się. Chętnie by zapaliła, ale przed wejściem do lokalu spożytkowała ostatniego papierosa.

– Więc jak sądzisz? – zapytał Kordian. – Dlaczego się zwinął? Może po prostu nie chce ci wypłacić?

– Widziałeś go wczoraj, Zordon? – odpowiedziała. – Widziałeś tę wdzięczność? Nie, tu coś innego jest na rzeczy. Coś, co…

Urwała, gdy Bruce Dickinson oznajmił, że ma połączenie przychodzące. Oboje natychmiast skierowali wzrok na wyświetlacz, przekonani, że oddzwania Bukano. Zobaczyli jednak napis „Piotr Langer".

Chyłka poczuła ciarki na plecach. Zapomniała, że od czasu procesu Langera ma jego numer wprowadzony do książki adresowej.

Komórka wibrowała na stole, gitarowe riffy rozbrzmiewały w najlepsze.

– Odbierzesz? – wydukał Kordian.

Nacisnęła zieloną słuchawkę. Oboje pochylili się nad telefonem.

– Gdzie on jest? – zapytała Joanna.

Piotr przez moment milczał, jakby to powitanie w istocie go zaskoczyło.

– Dobre pytanie – odparł w końcu. – Bardzo dobre pytanie.

Prawnicy podnieśli wzrok i wymienili się zdezorientowanymi spojrzeniami. Oboje spodziewali się usłyszeć w głosie Langera satysfakcję, skądinąd dobrze im znaną. Tymczasem brzmiał neutralnie. Może liczył się z tym, że był nagrywany?

– Wczoraj wieczorem byliśmy u niego w mieszkaniu – powiedziała Joanna. – Nie wyglądał na faceta, który ma zamiar uciec z milionem w kieszeni.

– O czym ty mówisz?

– Bukano byłby ostatnią osobą, która…

– Rom znikł?

Chyłka wyprostowała się. Albo czegoś nie rozumiała, albo Langer chciał bawić się w naprawdę tendencyjne gry. Nie podejrzewała go

o to. Owszem, był socjopatą i psychopatą, czerpał przyjemność z psychicznego znęcania się nad innymi, ale robił to w sposób bardziej wyrafinowany. Banalne gierki nie były w jego stylu.

– Znikł – potwierdziła Joanna. – Ale rozumiem, że nie chodzi ci o niego.

– Nie – potwierdził Piotr.

– A więc?

Znów zaległa cisza. Chyłka rozejrzała się niepewnie, jakby Langer czekał gdzieś za rogiem. Dopiła Irish Kiss i odsunęła szklankę.

– Halo? – zapytała.

– Zastanawiam się – odparł Langer.

– Nad czym?

– Nad tym, o której możemy się spotkać – odpowiedział i westchnął, jak gdyby była to ostatnia rzecz, jaką chciał zrobić. – Za pół godziny, wybierz miejsce.

– Hard Rock Cafe.

– Za dużo ludzi. I za dużo miejsc, gdzie możesz założyć podsłuch.

– W takim razie plener?

– Jak najbardziej – potwierdził. – Gdzie?

– Park Świętokrzyski.

– Za dużo ludzi, za mało przestrzeni.

– Ogród Saski – powiedziała stanowczo. – I skończmy z tymi wyliczankami.

– Za pół godziny. Między Wodozbiorem a aleją prowadzącą do Fontanny Saskiej.

– W porządku.

Nie słyszał już potwierdzenia, rozłączył się. Joanna spojrzała na Kordiana i zobaczyła w jego oczach powagę, która nieczęsto w nich gościła.

– Skończ tę imitację ciasta i idziemy – powiedziała.

Pokiwał głową i zabrał się do roboty. Jadł, jakby miało od tego zależeć jego życie, i Chyłka właściwie się nie dziwiła. Sama z chorobliwą niecierpliwością wyczekiwała momentu, gdy dowiedzą się, o co chodzi Langerowi.

– Cho… fmy… – zaproponował z pełnymi ustami Oryński, wstając od stołu.

Zerknęła na ciasto marchewkowe. Zostało jeszcze kilka gryzów.

Wyszli na zewnątrz i rozejrzeli się.

– Na piechotę? – zapytał Kordian.

– Nie. To jakieś dwadzieścia minut, a Langer może być wcześniej.

– W takim razie czas…

– Na rydwan ognia – dopowiedziała. – Owszem, Zordon. Wybiła pora, żebyś pokazał patronce twoją zdobycz prosto z piekielnych odmętów.

– Kupiłem w komisie.

– Właśnie o tym mówię – odparła. – Samochody kupuje się tylko w salonie.

– I nie jesteś moją patronką – dodał. – Nawet gdybyśmy postarali się o przywrócenie poprzedniego stosunku aplikanckiego, trudno się spodziewać, że NRA…

– Mentalnie jestem – zaoponowała, wciąż się rozglądając. – Czuję się odpowiedzialna za twoje koślawe poczynania zawodowe. – W końcu wbiła wzrok w budynek centrum handlowego. – Gdzie ten rydwan?

– Na parkingu w Złotych.

– Prowadź – poleciła.

Chwilę później niepewnie otworzył drzwi i wsiadł do daihatsu. Chyłka zajęła miejsce obok i skrzywiła się, nie mogąc rozprostować nóg. Odsunęła fotel, ale ten szybko dotarł do końca prowadnic.

– Niezła fura – oceniła pod nosem.

– Dzięki – odparł, zapuszczając silnik.

– Szczególnie podoba mi się ten spoiler z tyłu. Do czego służy?

Nie odpowiedział, przynajmniej nie słownie. Spojrzał na nią z ukosa, a potem wycofał z miejsca parkingowego i skierował się do wyjazdu. Po chwili jechali już w kierunku Ronda ONZ. Zjechali pierwszym zjazdem i pomknęli po Świętokrzyskiej w stronę Wisły. Joanna spojrzała na zegarek. Będą przed czasem, ale trzeba będzie jeszcze znaleźć miejsce parkingowe. Rydwan ognia wprawdzie był niewielki i mógł wcisnąć się wszędzie, ale w dzień powszedni, w godzinach szczytu, może być problem.

Kiedy zajechali pod gmach Ministerstwa Cyfryzacji, okazało się, że miejsc po drugiej stronie ulicy jest sporo.

– Zawróć na końcu, staniemy pod samym ogrodem – poleciła, wskazując przerzedzony ciąg samochodów zaparkowanych ukosem.

Wybrali miejsce tuż przy parkometrze, po czym ruszyli do ogrodu. Chyłka widziała, że Oryński miał zamiar coś z siebie wydusić, ale skończyło się na otwartych ustach. Sama nie miała nastroju do gdybania – chciała jak najszybciej dostać konkrety od Piotra.

Sięgnęła po podręczny zapas absoluta i napiła się na środku ulicy.

– O tym mówiłem – zauważył.

– Hm?

– Będzie tylko coraz gorzej. Następnym razem nie będziesz wychodziła do toalety, tylko dziabniesz na sali sądowej.

Joanna zastanowiła się przez moment.

– Widzę, że podoba ci się ta perspektywa – bąknął Kordian.

– Poniekąd. Ale zastanawiam się, jak wysoka byłaby kara grzywny.

– Jak tak dalej pójdzie, przekonasz się.

– Nie szkodzi. – Wzruszyła ramionami, chowając butelkę do torebki. – Mam teraz całą kancelarię prawną, która w razie czego mnie poratuje.

I rzeczywiście tego ratunku potrzebowała. Joanna powoli zbliżała się do granicy, za którą zaczną się problemy. Wprawdzie najprawdopodobniej zdąży na styk ze spłatą rat, ale tylko jeśli Bukano wypłaci jej honorarium. A teraz wszystko wskazywało na to, że tych pieniędzy może nigdy nie zobaczyć.

Przeszli kawałek po szerokiej alei i skręcili w prawo, ku Wodozbiorowi. Langer czekał już na jednej z ławek. Popatrzył w ich stronę, ale nawet nie drgnął. Miał na sobie czarny garnitur i białą koszulę bez krawata, z dwoma guzikami rozpiętymi.

Kiedy podeszli, założył nogę na nogę w kształt litery T i umieścił ręce za oparciem ławki.

– Więc Cygan znikł – oznajmił.

– Wszystko na to wskazuje – odparła Chyłka.

Stanęli przed nim, nie mając zamiaru siadać.

– Nie – zaoponował. – To nie ulega wątpliwości.

– Skąd ta pewność? – wtrącił Oryński.

– Stąd, że Robert Horwat wypłacił całą polisę, a następnie kupił bilet na pendolino. Wsiadł do niego dziś o siódmej pięćdziesiąt na

stacji Warszawa Wschód.

Prawnicy spojrzeli po sobie.

– Skąd o tym wiesz?

– Mam swoje dojścia – odparł Piotr i podniósł się z ławki. Rozejrzał się, a potem potoczył czujnym wzrokiem po pracownikach kancelarii.

– Wyglądamy ci, jakbyśmy przyszli z „Sowy i Przyjaciół”? – burknęła Joanna.

Piotr bez słowa wyciągnął niewielkie czarne pudełeczko z czterema antenami. Postawił je pionowo, a potem położył urządzenie na ławce, tuż obok niewielkiej aktówki, by nie było widoczne dla przechodniów.

– Co to jest? – zapytała Chyłka.

– Zagłuszacz – powiedział. – Działa do trzydziestu metrów, ma cztery dipolowe anteny obsługujące cztery różne pasma.

Prawniczka spojrzała niepewnie na skrzyneczkę.

– Wiesz, że prawo telekomunikacyjne zabrania zagłuszania…

– Pozwij mnie – przerwał jej. – A teraz do rzeczy – dodał, rozglądając się.

– Kazałeś go śledzić?

– Nie – odparł beznamiętnym głosem. – O tym, że kupił bilet, dowiedziałem się od mojego człowieka w PKP. To wszystko. Nie jestem nawet pewien, czy to nie zasłona dymna.

– Twierdzisz, że mógł nie wsiąść do tego pociągu?

– Jeśli wiedział, że będziesz go szukać, być może.

Chyłka skinęła głową. Nadal jednak nie rozumiała, jak to możliwe, że Robert postąpił w taki sposób. A może nadinterpretowała jego działania? Może ucieczka nie była równoznaczna z tym, że w istocie był winny? Potrafiła sobie wyobrazić, że chciałby zatrzymać te pieniądze dla siebie. Nie od razu, ale po namyśle… mógł nosić się z zamiarem rozpoczęcia nowego życia. A jej gaża była wcale niemała.

– Więc ślad po nim zaginął? – włączył się Oryński.

Langer lekko kiwnął głową.

– Ale nie dlatego się spotykamy – powiedział. – Wiem, kto i dlaczego zamordował tę kobietę i jej córkę.

Joanna natychmiast spiorunowała go wzrokiem. Powiedział to tak, jakby dziś rano dowiedział się w prognozie, że wieczorem może popadać. Przez kilka chwil trwali w pełnej napięcia ciszy.

Prawniczka zastanawiała się, czy Piotr naprawdę do czegoś dotarł. Jeśli tak, to z pewnością nie będzie skłonny przekazać informacji za darmo. I należało wciąż mieć na uwadze, że sam mógł być zamieszany w to morderstwo.

Tylko co mógłby dzięki temu osiągnąć? Chyłka chętnie przypisałaby mu winę, ale brakowało motywu. Cała sprawa była dla niego jedynie wielką uciążliwością. W dodatku ostatecznie musiał pozbyć się prawie miliona złotych, które zamierzał przeznaczyć na wypranie brudnych pieniędzy.

– Czego chcesz w zamian? – zapytała.

– Pomocy.

Joanna nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

– Znowu kogoś zabiłeś?

– Nie.

– Więc o co chodzi?

– Zrozumiesz, kiedy powiem wam, co tak naprawdę się wydarzyło – odparł. – Ale chcę od was obietnicy, że zrobicie wszystko, by rozwiązać mój problem.

– Mamy zadeklarować się *in blanco*? Tobie? – zapytała z uśmiechem niedowierzania. – Jednak jesteś bardziej niezrównoważony, niż myślałam.

Langer wskazał w kierunku ulicy.

– W takim razie proszę bardzo, możemy w tej chwili się pożegnać.

Usiadł na ławce, znów założył nogę na nogę i kontrolnie zerknął na zagłuszacz. Urządzenie działało, nie wydając niemal żadnego dźwięku.

Prawniczka wiedziała, że nie ma się nad czym zastanawiać. Takie obietnice były gówno warte, szczególnie kiedy składa się je przed osobnikami tego typu. Były nieegzekwowalne zarówno na płaszczyźnie prawnej, jak i honorowej.

– W porządku – powiedziała Joanna.

– Świetnie.

Usiadła po drugiej stronie ławki i obróciła się do niego.

– Aczkolwiek doskonale zdajesz sobie sprawę z tego, że nie dotrzymam słowa.

– Owszem.

– Więc wyciągaj ten papier, który z pewnością masz przygotowany.

Piotr sięgnął do aktówki i wyjął z niej trzy kopie spiętych ze sobą dokumentów. Każdy miał po dwie kartki i był zapisany od góry do dołu. Joanna wyszarpnęła mu jeden z egzemplarzy i przeleciała wzrokiem treść. Właściwie nie było to nic wielkiego, ot potwierdzenie tego, co i tak nakazywały im ustawy.

I zgodnie z tym, co przypuszczała, ich zobowiązanie wykraczało poza to, o czym wspomniał Piotr.

Podpisując dokumenty, deklarowali, że zachowają poufność w sprawach związanych z firmą Salus w ramach stosunku prawnego wiążącego kancelarię i ubezpieczyciela. Eliminowało to ewentualne luki, z których Chyłka mogłaby skorzystać z przyszłości, wykazując, że weszła w posiadanie pewnych informacji, nie będąc pracownikiem Żelaznego & McVaya. Realnie nie miało to wielkiego znaczenia – wiedziała, że strzelając w stopę firmie, obciąłaby tym samym własną.

Ale Langer chciał to mieć na piśmie. I dostał.

Chwilę później schował podpisane dokumenty do aktówki i zamknął ją.

– Cieszę się, że nasze relacje nie są zagrożone – powiedział i w jakiś sposób zdobył się na ton, który zaniepokoił Joannę. Przemknęło jej przez myśl, że podpisali cyrograf.

– Mów – ponagliła go.

Langer rozplótł nogi, a potem pochylił się i oparł na kolanach. Spojrzał po prawnikach, jakby miał zamiar przekazać im coś, co dotykałoby sensu ludzkiego istnienia lub innych ezoterycznych kwestii.

– Jeden z moich ludzi również znikł – powiedział.

– Kto?

– Członek zarządu. Widzieliście go przy ostatnim spotkaniu.

– Donald Trump? – podsunął Kordian.

– Co? – spytał zmieszany Langer.

– Ten z grzywką?

– Nie, drugi.

– Kryminalista – powiedziała Joanna. – Jak to znikł? W twoim świecie to eufemizm na…

– Nie – zaoponował Piotr. – Rozpłynął się w powietrzu, ślad po nim zaginął. Dokładnie tak, jak po waszym Bukano.

Chyłka zamrugała, jakby to mogło sprawić, że obraz w jej umyśle się wyostrzy. Wszystko jednak nadal było jak za mgłą.

– To nie przypadek – dodał Langer. – Zaczęliśmy grzebać w przeszłości tego człowieka i dotarliśmy do faktów, które nie były nam znane.

– Czyli?

– W osiemdziesiątym trzecim trzech Cyganów napadło jego ówczesną dziewczynę. Zgwałcili ją, a potem zabili.

Joanna z trudem przełknęła ślinę. Czuła, jak krew odpływa jej z twarzy.

– Zbrodnia była wyjątkowo okrutna – referował bez emocji Piotr. – Zmiażdżyli jej twarz czymś ciężkim, prawdopodobnie kamieniem. Policja nigdy nie odnalazła sprawców, ale on tak. I sam wymierzył sprawiedliwość… choć oczywiście wiedzą o tym tylko nieliczni.

Prawnicy spojrzeli po sobie bezradnie. Oboje chcieli zatrzymać wnioski pojawiające się w głowie, ale było na to za późno.

– Chował urazę – dodał Langer. – Korzystał z okazji za każdym razem, gdy jakiś Cygan krzywo na niego spojrzał. Nie mogę powiedzieć, bym się dziwił. Sam na jego miejscu podjąłbym się podobnej krucjaty, choć może nieco szerzej zakrojonej.

– Do rzeczy – przerwała mu Chyłka.

Piotr obrócił głowę na bok, napinając mięśnie karku, aż coś w nim strzeliło.

– Odkryliśmy, że od miesięcy planował się wycofać – ciągnął. – Przerzucał gotówkę na fikcyjne konta, a potem przelewał za granicę. Zbierał fundusze na emeryturę, ale wiedział, że musi być ostrożny. Zbyt duże sumy zaalarmowałyby kogoś z moich ludzi.

– Ile zdążył przerzucić?

– Dużo. Ale doskonale wiedział, że będzie musiał zostawić około miliona.

Joanna wyciągnęła kupioną po drodze paczkę papierosów. W ustach zupełnie jej zaschło, ale musiała zapalić. Potem podała marlboro Kordianowi.

– Przypuszczam, że dowiedział się o polisie Horwatów kilka miesięcy temu – dodał Piotr. – Od tamtej pory zaczął układać plan. Nie był zbyt skomplikowany i zakładał upieczenie dwóch pieczeni na jednym ogniu.

Chyłka podpaliła sobie papierosa i wyciągnęła zapalniczkę do aplikanta.

– Wiedział, że musi uważać – kontynuował Langer. – Wiedział, że jak tylko wzbudzi moje podejrzenia, zabiję go.

– Więc…

– Zgwałcił i zamordował tę kobietę oraz jej córkę. A potem grał tak, jak powinien. Stwarzał wrażenie, jakby robił wszystko, by polisy nie wypłacono. A ostatecznie to on zgarnął całą pulę.

Joanna potarła nerwowo skronie. Było w tej teorii wiele dziur i prawniczka gorączkowo starała się je wypełnić wątpliwościami. Ostatecznie jednak musiała przed sobą przyznać, że Langer na pewno dogłębnie zbadał sprawę.

– To on porwał Roma między procesem karnym i cywilnym – ciągnął. – Znaleźliśmy szopę, w której go trzymał.

– W jakim… – zaczęła Chyłka. – W jakim celu?

– Chciał go zastraszyć, jak przypuszczam – odparł Piotr i odchylił się w kierunku oparcia. – Już wtedy załatwić tę sprawę.

– Nie rozumiem.

Langer uniósł brwi, ale nie skomentował tego spostrzeżenia.

– Porwali twojego Roma i jego rodzinę.

– Słucham?

– Tych dwoje z Wrocławia. Nie ma ich już w koczowisku.

– Wiedziałeś o… – zaczęła, ale właściwie nie musiała kończyć. Oczywiście, że wiedział o rodzicach Bukano. W końcu właśnie przez wyjazd do Wrocławia Kormak i Kordian mieli ponieść konsekwencje.

– Ich również nie możemy znaleźć – dodał Langer. – Przypuszczam, że albo byli razem wtedy, albo pokazali mu przetrzymywaną rodzinę dopiero po procesie.

– Ale po co go porywali?

– Żeby pokazać Cyganowi, że ma do czynienia z ludźmi, którzy nie żartują. Żeby bez zająknięcia wypłacił pieniądze, a potem im je przekazał. Czy raczej jemu, bo ten, którego nazwaliście Kryminalistą, zapewne wyeliminował później swoich towarzyszy.

– I znikł z pieniędzmi – dopowiedział Oryński.

– Tak – odparł Piotr. – W dodatku dokonał ostatecznej zemsty na Cyganach, poniewierając kobietę i dziewczynę. Wysłał jasny sygnał, że ktokolwiek będzie się z nimi wiązał, skończy w taki sposób.

Zanim Joanna zdążyła zapytać, skąd Langer czerpie wiedzę, ten wyciągnął tablet z aktówki. Wręczył go prawniczce. Włączyła ekran, a strona była już ustawiona. Zaprojektowano ją w najprostszy możliwy sposób – na białym tle widniała kolumna wyjustowanego tekstu. Był to manifest człowieka, który przyznawał się do zabójstwa. Nie podpisał się, ale nie musiał. Prawdopodobnie nie zostawił też żadnych elektronicznych śladów – Kryminalista miał wystarczająco dużo czasu i zasobów, by o to zadbać.

– Zbrodnia z nienawiści… – powiedziała cicho Chyłka.

– Połowicznie – przyznał Langer. – Druga część to wiele milionów złotych i nowe życie.

Spojrzała z góry na Piotra.

– Dlaczego chciał się wycofać? – spytała.

– Nie wiem. Jak możesz się domyślić, nie rozmawiał ze mną o tym. Może poznał jakąś kobietę, która przypominała mu tamtą dziewczynę i chciał zacząć z nią nowe życie, a może po prostu miał dosyć. Jego motywacje mnie nie interesują.

Cała trójka zamilkła. Kordian przejrzał manifest, kręcąc głową.

Nienawiść rodziła nienawiść, zbrodnia pociągała za sobą zbrodnię. Nie stanowiło to żadnego *novum* w historii ludzkości. Właściwie było jednym z fundamentów jej historii, pomyślała Chyłka.

Nabrała głośno tchu, a potem zapaliła jeszcze jednego papierosa. Piotr podniósł się i zamknął aktówkę.

– Jest jeszcze coś, co chcecie wiedzieć? – zapytał.

Joanna przez chwilę się zastanawiała. Ostatecznie jednak uznała, że jeśli jakieś pytania zrodzą się w jej umęczonym umyśle, będą na tyle nieistotne, że nie warto poświęcać im pojedynczej myśli. Pozostawała tylko jedna kwestia.

– W czym mamy ci pomóc? – spytała.

– W odnalezieniu zwłok.

– Co takiego?

– Muszę zobaczyć trupa tego Cygana, żeby mieć ostatecznie potwierdzenie wszystkiego. A sam nie mogę go szukać. Nie mogę znaleźć się nigdzie w jego pobliżu.

Chyłka zamknęła na moment oczy. Nie przyniosło to żadnego ukojenia.

– Znajdźcie zwłoki – dodał Langer, a potem odszedł w kierunku Grobu Nieznanego Żołnierza.

14
ul. Argentyńska, Saska Kępa

Ciało Roberta Horwata odnaleziono tydzień później na rubieżach Warszawy. Według raportu kryminalistycznego odniósł liczne obrażenia, w większości przedśmiertne. Znalazły się jednak również ślady świadczące o tym, że część ciosów została zadana *post mortem*.

Chyłka nie chciała o tym myśleć. Zadzwoniła do kancelarii, oznajmiła Ance z Recepcji, że bierze wolne, po czym zamknęła się w mieszkaniu. Towarzystwo miała zapewnić jej tequila sunrise.

Raz dzwonił Zordon, kilkakrotnie próbował dobić się do niej Szczerbiński. Jednego i drugiego zignorowała, nie mając ochoty z nikim rozmawiać. Podobnie zrobiła, gdy wieczorem dzwonili najpierw Magdalena, a potem ojciec.

W tym ostatnim wypadku zastanawiała się nad odebraniem. Przynajmniej rozładowałaby emocje, wyrzucając z siebie tonę wściekłych epitetów.

Dwukrotnie w trakcie dnia ktoś piłował dzwonek. Obie próby wdarcia się do jej mieszkania zignorowała. Wieczorem ten sam lub inny natręt znów podjął starania, ale nawet gdyby chciała, trudno byłoby jej dojść do drzwi. Była tak pijana, że ledwo rozumiała, co się dzieje.

Około jedenastej zdrzemnęła się, a dzwonek obudził ją tuż przed pierwszą. Zerknęła na zegarek, zaklęła i uznała, że skoro ktoś fatyguje się o tej porze, być może sprawa rzeczywiście jest ważna.

Wstała i zatoczyła się w kierunku drzwi. Uderzyła w nie z impetem, śmiejąc się pod nosem. Słyszała męski głos dochodzący z korytarza, ale nie potrafiła rozpoznać słów. Nie mogła też ustalić, do kogo należy.

– Saras… saras… – wymamrotała, a potem z na wpół zamkniętymi oczami udało jej się odryglować zamek.

W progu zobaczyła mężczyznę w garniturze. Brakowało mu krawata, koszulę miał wymiętą, a w ręce trzymał butelkę wina.

– Choś, Sordon… – mruknęła i zatoczyła się w tył.

Złapał ją w porę, mówiąc coś niezrozumiałego, a potem zaprowadził ją do salonu.

– No so? – zapytała. – Po… popijam soie…

– Jesteś popieprzona, Chyłka – oznajmił, pomagając jej usiąść na fotelu.

Osunęła się niżej, ale szybko ją podciągnął.

– Siedź – powiedział. – Przyniosę ci… sam nie wiem, coś. Masz cytryny?

– Sytrynyyy… – wydusiła i z nieznanych sobie przyczyn roześmiała się. Szybko tego pożałowała, bo gdy na moment straciła koncentrację, głowa opadła jej do tyłu. Zrobiło jej się niedobrze i pomyślała, że powinna wypić jeszcze trochę, by nie dopuścić do kaca.

Myśli zdawały się coraz bardziej mętne.

Kordian wrócił z dwoma wyciśniętymi cytrynami i kazał jej pić.

– Wleesz mi tekili… to wypiję…

Pomógł jej wziąć pierwszy łyk. Skrzywiła się i odsunęła szklankę. Nie rozumiała, dlaczego daje jej coś tak ohydnego, kiedy w zasięgu są tequila i grenadyna.

– So tu… robisz? – zdołała zapytać, kiwając głową bezwiednie na boki.

– Porozmawiamy rano.

– So tu…

– Choć z drugiej strony może cię to otrzeźwi – powiedział, prostując się. Podszedł do drzwi, podniósł swój neseser z plakietką oznajmiającą wszem i wobec, że pracuje dla kancelarii Żelazny & McVay, a potem wyjął plik kartek. – To aneks numer jeden do umowy, którą podpisałaś.

– Hrmpf…

– Jest w nim jasno zapisane, że firma przyjmuje cię do pracy i mianuje na stanowisko partnera pod warunkiem, że jako pierwszego klienta będziesz broniła Filipa Obertała.

– Soo…?

Wydawało jej się, że Oryński opowiedział jakiś dowcip, którego zupełnie nie zrozumiała.

– Jach to? – zapytała. – Jachi aneks…

Kordian uniósł kartki.

– Kuchenny? – dopytała i znów się roześmiała.

– Zobowiązałaś się do tego – powiedział. – Zawiązano stosunek obrończy, skuteczny od dzisiaj. Nie wiem, czy dodali ten aneks później, czy byłaś zbyt pijana, by go przeczytać, ale fakt jest faktem, że będziesz bronić swojego ojca.

– Szed czym… szed kim… szedemną?

Tym razem śmiech wywołał kolejną falę nudności i szybko spoważniała.

– Nie jest napisane.

– Ne… – powiedziała i machnęła ręką, która opadła gdzieś poza oparcie. – Ne bronie… pedofili…

Kordian wbił w nią wzrok, a przynajmniej tak jej się wydawało, wirował bowiem wokół wraz z całym światem.

– Co ty powiedziałaś?

– Sze nie bronię… – zaczęła, ale nagle poczuła, jak oplata ją uczucie błogości. Ostatnie drinki musiały właśnie zacząć działać.

Poczuła, że się podnosi i dopiero po chwili uświadomiła sobie, że to Oryński wziął ją na ręce, przeniósł do sypialni, a potem położył na łóżku i obrócił na bok.

– Supełnie jak… na Masurach… – powiedziała, a potem odpłynęła.

Przebudziła się godzinę, może dwie później. Wszystko, co działo się wcześniej, wydawało się ledwo uchwytną, surrealistyczną wizją. Uznała, że to nie szkodzi. Nie miała zamiaru jej chwytać.

Przeszła cicho przez salon, widząc, że Kordian śpi na kanapie. Dotarła do kuchni, wyjęła butelkę tequili z lodówki i wróciła do sypialni, podpierając się o ściany. Położyła się na łóżku, a potem zaczęła wlewać w siebie alkohol prosto z butelki. Nie piła, tequila przelatywała jej przez przełyk.

Joanna tłoczyła w siebie meksykańską wódkę aż do momentu, gdy straciła przytomność. Prawie pusta butelka wysunęła się jej z ręki i upadła na podłogę. Potoczyła się kawałek w stronę salonu, a potem zatrzymała. Gdyby minęła próg, być może obudziłaby Oryńskiego,

nie spał głęboko. Może mruknąłby coś, zwlókł się z kanapy i poszedł do sypialni Joanny, sprawdzić, co z dawną patronką. Wystarczyłby rzut oka, by sięgnął po komórkę i czym prędzej wezwał karetkę. Ale butelka zatrzymała się. Cicho uderzyła o futrynę i nie poruszyła się ani o centymetr dalej.

Ostatnią myślą Chyłki było to, że powinna dokonać rewizji… ponownej oceny kierunku, w którym zmierzało jej życie.

Posłowie

Panta rhei. Wszystko płynie, a wraz ze wszystkim płynie także nieprzerwany, wezbrany strumień zmian legislacyjnych. Kiedy zaczynałem pisać *Rewizję*, obowiązywał kontradyktoryjny proces karny – kończąc redakcję, wiem już, że książka najprawdopodobniej trafi do księgarń po tym, jak ustawodawca wróci do poprzedniej procedury.

Jakie to ma znaczenie? Dla Chyłki i Zordona właściwie żadne, oni żyją w innym świecie, który na dobrą sprawę rządzi się swoimi prawami (a ja mam przyjemność te prawa tworzyć, co sprawia mi wyjątkową frajdę). Zawsze jednak staram się dochować wierności fundamentom procesu karnego, stąd wspomnienie o zmianach było konieczne.

Konieczne są także podziękowania dla tych wszystkich, którzy sprawiają, że moje książki trafiają na półki księgarń. W pierwszej kolejności więc należą się Czytelnikom – bez Was nie byłoby ani Chyłki, ani Zordona, ani nawet Langera (choć może on gdzieś, w jakiś sposób, mógłby się prześlizgnąć).

Dziękuję także całej ekipie z wydawnictwa Czwarta Strona, w tym:

– Monice, która nieprzerwanie ćwiczy cierpliwość, pracując ze mną na co dzień;

– Karolinie, której czujność nie zna granic;

– Piotrowi, który wciąż wpada na nowe sposoby promowania naszego duetu prawniczego;

– Ani, która mówi o moich książkach tak dobrze, że partnerzy handlowi rzeczywiście skłonni są wypuścić je w świat.

Dziękuję też oczywiście Dagmarze i moim Rodzicom – bez Waszego wsparcia nie powstałaby żadna z moich książek.

Ale co będzie dalej z prawnikami z kancelarii Żelazny & McVay? Jeśli chodzi o Chyłkę, przypuszczam, że bez płukania żołądka się nie obejdzie.

A potem dopiero się zacznie…

Remigiusz Mróz
Opole, 21 sierpnia – 14 września 2015 roku

(Tak, pisałem dzień i noc.
Nie pytajcie, ile czasu
zabrała mi potem redakcja).

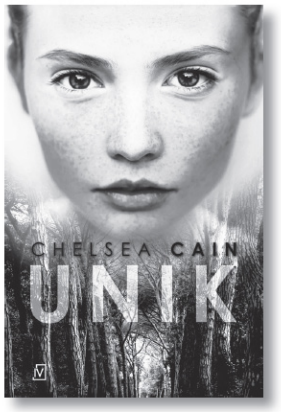

Kick Lannigan, mimo młodego wieku, przeżyła w życiu koszmar. Porwana w biały dzień, w wieku zaledwie sześciu lat, przepadła bez wieści. Po kliku miesiącach poszukiwań już mało kto wierzył w szczęśliwe zakończenie tej historii. Wszyscy zakładali najgorsze. Gdy więc niespodziewanie, po kilku latach od tego tragicznego zdarzenia, okazało się, że dziewczynka żyje – wszyscy przecierali oczy ze zdumienia.

Każda trauma pozostawia jednak ślad. Kick, w pierwszych miesiącach po uwolnieniu, zmaga się z zespołem stresu pourazowego, a rozliczne terapie, w których uczestniczy, zdają się tylko pogarszać sprawę. Lekarstwem okazuje się… wysiłek fizyczny i walka. Dziewczyna zaczyna trenować boks, łucznictwo, szkoli się w walce wręcz, rzucaniu nożem oraz strzelaniu do celu. I poprzysięga, że już nigdy nie będzie ofiarą…

Kiedy więc w ciągu miesiąca w Portland ginie dwójka małych dzieci, a na jej drodze staje tajemniczy Bishop, Kick nie waha się ani przez moment. Dziewczyna uzbrojona w arsenał broni rusza na poszukiwania zaginionych, zupełnie nieświadoma, że wszystkie tropy prowadzą bezpośrednio do jej przerażającej przeszłości…

Jeszcze nigdy strach nie był tak namacalny

Szwecja. Miasto Ystad. To tutaj mieszka komisarz Anna Lindholm. Tu toczy się jej kariera policyjna oraz poukładane życie prywatne, u boku kochającego męża. Pewnego dnia jednak harmonia znika, bo dwie życiowe ścieżki Anny zaczynają się niebezpiecznie splatać...

Vidar – mąż Anny, ulega wypadkowi, w wyniku którego przestaje chodzić. Niedługo potem policjantka otrzymuje list z więzienia, z którego dowiaduje się, że zdarzeniu winny jest Narcyz – seryjny morderca, którego doprowadziła do skazania. Faktów jednak nie udaje się potwierdzić, bo Narcyz umiera otruty.
Anna natomiast zaczyna otrzymywać od tajemniczego nadawcy cytaty z utworów Oscara Wilde'a… Ból w odróżnieniu od przyjemności nie nosi maski.

Pierwsza część trylogii z komisarz Anną Lindholm to epicki kryminał z rozbudowaną warstwą obyczajową na miarę Camilli Läckberg.

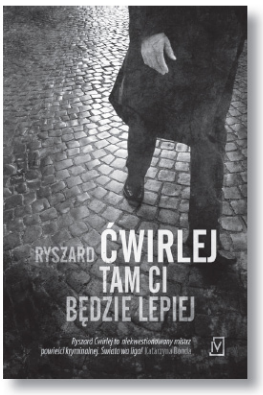

Poznań, początek 1924 roku. Mieszkańcami miasta wstrząsa fala brutalnych morderstw. Z rąk nieznanego sprawcy giną prostytutki. Śledztwo prowadzą komisarz Antoni Fischer oraz jego zastępca Albin Siewierski. Ten pierwszy to dystyngowany i elokwentny oficer najpierw pruskiej, a potem polskiej armii, przystojny trzydziestokilkulatek, znany ze swojego roztropnego i przemyślanego działania, który ponad wszystko ceni sobie poznański sznyt. Ten drugi, to pochodzący z Kongresówki jegomość, dla którego najważniejsze są szybkie efekty pracy, blichtr i brylantyna. I choć reprezentują zupełnie inne wartości, muszą połączyć siły, żeby złapać bezwzględnego zabójcę.

W międzywojennym Poznaniu, gdzie niemal w każdej bocznej uliczce czają się drobni złodziejaszkowie, ale też zwyrodniali mordercy, trudno utrzymać mores i ład. W mieście, które mimo wszystko szczyci się tradycją pruskiego porządku i mieszczańskiej stabilizacji, dochodzi do serii bestialskich morderstw. A jakby tego było mało – śledztwo utrudniają bolszewiccy szpiedzy. Czy zatem uda się powstrzymać mordercę?

Tam Ci będzie lepiej to początek nowej, fascynującej serii autora znanego dotychczas z powieści noemilicyjnych, która odsłoni zupełnie inne, mroczniejsze oblicze Poznania.

Ryszard Ćwirlej to niekwestionowany mistrz powieści kryminalnej. Światowa liga! Katarzyna Bonda.

Spis treści

Rozdział 1
1. Arkadia, al. Jana Pawła II
2. Skylight, ul. Złota
3. ul. Argentyńska, Saska Kępa
4. Skylight, ul. Złota
5. ul. Saska, Saska Kępa
6. Biuro Oryńskiego, XXI piętro Skylight
7. ul. Domaniewska, Mokotów
8. Gabinet Oryńskiego, XXI piętro Skylight
9. Park Malickiego, Ochota
10. Restauracja Downtown, InterContinental
11. Lasek Brzozowy, Ursynów
12. Mieszkanie Oryńskiego, ul. Emilii Plater
13. ul. Argentyńska, Saska Kępa
14. Skylight, ul. Złota
15. Sala widzeń, Areszt Śledczy Warszawa-Białołęka
16. XXI piętro Skylight, ul. Złota
17. ul. Ornecka, Białołęka
18. Hard Rock Cafe, ul. Złota
19. Praga Południe, Warszawa
20. Gabinet Oryńskiego, XXI piętro Skylight
21. ul. Argentyńska, Saska Kępa
22. ul. Argentyńska, Saska Kępa

Rozdział 2

1. Pacific Office Building, ul. Domaniewska
2. ul. Argentyńska, Saska Kępa
3. Sąd Okręgowy w Warszawie, al. Solidarności
4. Skylight, Śródmieście
5. Wał Miedzeszyński, Saska Kępa
6. Gabinet Oryńskiego, Skylight
7. ul. Argentyńska, Saska Kępa
8. ul. Złota, Śródmieście
9. al. Stanów Zjednoczonych, Saska Kępa
10. Skylight, Śródmieście
11. ul. Argentyńska, Saska Kępa
12. Plac Szembeka, Praga Południe
13. Węzeł Dąbrowa, droga ekspresowa S8
14. Skylight, Śródmieście
15. ul. Kamieńskiego, Psie Pole
16. Romskie koczowisko, ul. Kamieńskiego
17. ul. Argentyńska, Saska Kępa
18. Naam Thai, ul. Saska

Rozdział 3

1. Sąd Okręgowy w Warszawie, al. Solidarności
2. Skylight, Śródmieście
3. Sąd Okręgowy w Warszawie, al. Solidarności
4. Siedziba Salusa, ul. Domaniewska
5. ul. Lasek Brzozowy, Ursynów
6. Kawalerka Kordiana, ul. Emilii Plater
7. Sąd Okręgowy, al. Solidarności
8. al. Solidarności, Śródmieście
9. Sąd Okręgowy, al. Solidarności
10. XXI piętro Skylight
11. Siedziba Salusa, ul. Domaniewska
12. XXI piętro Skylight
13. Hard Rock Cafe, Złote Tarasy

14. ul. Argentyńska, Saska Kępa

Posłowie

Reklamy